PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY PIĄTY. — TOM IC.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1908.

KRAKOW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1908

Errata:

Str. 149, wiersz 9 z góry, zamiast: »brzmiących pozorów«, ma być: »brzmiące pozory«.
Str. 158, wiersz 2 z góry po słowach: »celowej kolonizacyi Argentyny«, dodać należy: »i brazylijskiego stanu San Paolo przez Włochów, jakoteż« — wreszcie
Str. 164, wiersz 2 z góry po słowach: »blaszane naczynie«, należy dodać słowa: (»menażki, nóż, widelec i łyżkę, przeznaczone do zabrania na okręt«).

W CELOWCU I OSSYACHU.

Stary, cesarski Wiedeń z ogrodami Prateru, z barwną mozajką ruchu na Ringu i Grabenie, z przystrojonymi w olbrzymie festony kwiatów słupami elektrycznych tramwajów, został daleko za nami. Pociąg przerzyna się przez gęste tumany mgły, które owijają się dokoła wagonów, czepiają przydrożnych drzew i skał, mleczną zasłoną pokrywają błonia i pola. Gorące jednak, choć jesienne słońce, rozprasza to białe morze; wychylają się wzgórza, doliny, miasta i wioski — na widnokręgu błyszczą blade wody Dunaju.

Dziwna to rzeka i dziwny zawsze wywiera urok na tego, kto bliżej ją poznał. W swym wężowym pochodzie do morza oblewa ona wybrzeża cesarstw, królestw i księstw; stolicom państw dodaje powagi i uroku; łączy swe wody z wodami stu dwudziestu rzek; sześć języków rozbrzmiewa nad jej brzegami i głosi chwałę starego Isteru.

Silniej jednak przemawia do serca i ducha przeszłość tej rzeki, bogata w tyle wspomnień i wydarzeń. Stałem kiedyś nad brzegiem Dunaju w bułgarskim Ruszczuku, gdzie długie wieki panował półksiężyc, powiewała zielona chorągiew, niebo błyszczało od łun a ziemia płynęła krwią; stałem na ruinach mostu Trajana na pograniczu rumuńsko-serbskiem w Turn Severin — sterczą dziś jeszcze z głębokich wód Dunaju częściowo już skamieniałe słupy

mostu, którego broniły po obu brzegach olbrzymie bastyony i wieże a przez który mieczem i pożogą szerzona cywilizacya szła z Zachodu na Wschód do plemion barbarzyńskich, ale pierwotną swoją naturą silnych i zdrowych; i patrzyłem się na Dunaj blizko już ujścia przy sławnych mostach, przez które prosta droga z Europy do morza. Tam rozdziela on wołoskie stepy baragańskie od Dobruczy; nad jego wysokim o łagodnych stokach brzegu, wznosi się dziś nędzna turecka mieścina, Cerna-Voda; przed wiekami stała tam potężna rzymska warownia, Axiopolis.

Ale gdziekolwiek na Wschodzie nad Dunajem ktoś stanie, wszędzie mówi on o krwawej tylko przeszłości, przypomina szczęk oręża i wojenne okrzyki, pokazuje rzymskie orły i legiony lub złoty półksiężyc — wieki płynęły za wiekami a z wyjątkiem kilku pierwszych stuleci, w których chrześcijaństwo zdobywało i nareszcie zdobyło prawie dzisiejszą Dobruczę, nic tam nie mówi o pracy kulturalnej i twórczej; wszystko przypomina krew i gwałt, a wreszcie letarg i śmiertelny sen, który dopiero teraz powoli ustępuje.

Inaczej przedstawia się ten sam Dunaj na północnym zachodzie. I tu jego brzegami szła nawała rzymska, tu wznoszą się także na wiekowych granitach ruiny rycerskich zamków, co opowiadają o wojennem rzemiośle i gorącej krwi, ale tu świadczy on również i o cywilizacyjnej pracy chrześcijaństwa. Po dawnych imperatorach i rzymskich koloniach pamięć żyje tylko w historyi, rycerskie zamki w gruzy się rozsypały, twórcza praca przetrwała burze i zagłady, przetrwała wieki. I oto tam, z pięćdziesiąt siedm metrów wysokiej granitowej skały, niby nad Wisłą nasz Tyniec, tylko bardziej rozległy i bardziej olbrzymi, wpatruje się od dziewięćset przeszło lat w płynący u swych stóp Dunaj, stary Melk, sławne opactwo benedyktyńskie, jedna z tych ostoi, z których niby z ogniska promieniowało światło, szerzyła się wiedza i wiara. Ta barokowa budowa, w której złoto i marmury idą w zawody z malarstwem i rzeźbą, historyczne groby Babenbergów mówią o przeszłości, siedemdziesiąt tysięcy tomów, ośmset sześćdziesiąt inkunabuł i tysiąc ośmset pięćdziesiąt sześć tomów rękopisów licząca biblioteka opowiada o pracy umysłowej i nauce,—

i dziś jeszcze, choć wśród zmienionych warunków, nie sprzeniewierzyła się chlubnej i świetnej przeszłości, lecz w nią wpatrzona, po wytkniętej od dziesięciu prawie wieków drodze kroczy naprzód.

Te myśli nasuwały mi się, kiedy Melk pojawił się na widnokręgu. Ale nie dzisiaj czas na zwiedzanie wiekowej pamiątki; droga do Celowca, stolicy Karyntyi, daleka a pięknych dni może niewiele — wykorzystać je trzeba. Wybrałem do podróży kolej państwową, choć dłuższą, gdyż kolej południowa zanadto mi przypominała owe pociągi rumuńskie, gdzie z powodu corocznych prawie przesileń finansowych robi się oszczędności kosztem wygody podróżnych. Zresztą nęciła mnie nieznana, a jak mi opowiadano, romantyczna droga, wiodąca do samego prawie Celowca. Nadzieja nie zawiodła.

Zaraz za Amstetten, gdzie zmieniamy pociągi, wjeżdżamy w podgórze. Tor kolejowy wije się między dwoma łańcuchami coraz to wyższych, lesistych pagórków o łagodnych stokach; jesień przystroiła je w szkarłat i bronz, słońce sieje swe jasne blaski na szerokie hale i zbocza — rwie się dusza do tych słonecznych przestrzeni. Wzgórza powoli przemieniają się w góry porośnięte lasami, nad nimi wybujają jednak coraz to wyższe, skaliste szczyty, szmaty brudnego śniegu tu i ówdzie je pokrywają; okolica alpejska. Pociąg mknie brzegiem Anizy, przebiega ją na licznych mostach, a wówczas jedna część olbrzymów górskich odbiega od toru, druga do niego się zbliża; wreszcie wąwóz się ścieśnia, tor dąży po skalistych zboczach a podróżnego dochodzi już nie szum, ale grzmot Anizy, który zagłusza nawet turkot kół pociągowych. To sławne *Gesäuse*, najpiękniejsza część całej drogi, a jak utrzymują znawcy, mogąca iść w zawody z najbardziej uroczymi widokami Alp szwajcarskich i włoskich. Stoisz przy oknie w niemej zadumie, dusza pogrąża się w ten świat cudów; z zadumy wyrywają cię banalne słowa zachwytu podróżnych i wszędzie dokoła, jak uprzykrzone muchy, brzęczące pytania: *Haben Sie auch das Gesäuse gesehen?* — pytania najniepotrzebniejsze w świecie, boć przecież każdy uważał za swój obowiązek wyrażać głośno swój zachwyt nad *Gesäuse*.

Trzy godziny prawie trwa ta cudowna droga wśród tęczo-

wych wodospadów, poszarpanych szczytów i szumów zielonych fal Anizy — jeszcze jeden tunel i przed nami otwiera się szeroka, słońcem zalana, dolina; pojawia się sterczące wysoko ku niebu Admont z imponującym klasztorem Benedyktynów, pochodzącym z jedenastego wieku a gustownie odbudowanym po pożarze w 1865 r.; pojawia się prześlicznie wśród wyniosłych, skalistych gór położone Selzthal, później zaś Judenburg, sławne pobytem Jana Kapistrana i okrutną rzezią Żydów w początkach czternastego stulecia; zbliża się wreszcie św. Wit, który aż do czasów Reformacyi był drugą stolicą Karyntyi. O ile podróż, począwszy prawie od Seltzthal'u, gdzie zawsze jest uroczą, traci jednak powoli na pięknościach przyrody, o tyle zyskuje na pamiątkach historycznych; bezpośrednie otoczenie św. Wita zasiane wzgórzami, których szczyty wieńczą ruiny lub dobrze utrzymane starożytne zamki. Jeszcze pół godziny jazdy, niespodziewane spotkanie się z polskim urzędnikiem kolejowym i o wpół do dziesiątej w nocy, po czternastu godzinach podróży, stajemy w Celowcu.

Niemiłe rozczarowanie! Nie było mi wprawdzie tajnem, że niemiecka fala coraz więcej na Karyntyę się rozlewa, sądziłem jednak, że przynajmniej w stolicy znajdę trochę Celowca, — znalazłem tylko Klagenfurt. Nazwy ulic, szyldy kupieckie na domach, afisze i ogłoszenia na ścianach i murach — wszystko niemieckie; język niemiecki rozbrzmiewa po ulicach. Z uśmiechem litości i zgorszeniem popatrzano się na mnie, gdym w hotelu zapytał, czy kto przypadkiem po słoweńsku nie mówi. Chcąc usłyszeć język słoweński trzeba przyjść do Celowca w dzień, w którym okoliczni Słoweńcy zjeżdżają się na targ, lub trzeba iść na przedmieścia; tam jeszcze spotkać się można z Paryasami społeczeństw.

Wogóle ruch słoweński w Karyntyi przedstawia się w niebardzo korzystnem świetle; nie brak nawet między przywódcami ruchu (z łatwo zrozumiałych przyczyn nie podaję tu nazwisk) takich, którzy uważają całą tę placówkę za straconą, a jeżeli wytężają wszelkie siły, by uświadamiać i skupiać rozproszone szeregi, czynią to raczej dla idei, aniżeli dla nadziei zwycięstwa.

I nietrudno przyznać, że Słoweńcy w Karyntyi żyją w szczególnie niesprzyjających ich rozwojowi warunkach. Tych sto do

stu dwudziestu tysięcy Słoweńców karynckich znajduje się odciętych skalną ścianą Karawanek od Krainy, w której pulsuje i drga słoweńskie życie narodowe; tym sposobem wzajemny wpływ jest, jeżeli już nie uniemożliwiony, to przynajmniej bardzo utrudniony, tem więcej, że dziwne jakieś okoliczności wyrodziły wzajemną nieufność między tymi dwoma krajami, która dopiero w ostatnich latach powoli zanikać poczyna.

Rzuceni w olbrzymie środowisko ludności niemieckiej nie mają skąd czerpać soków, ożywiających organizm narodowy. Dla wszechniemców i dla narodowców niemieckich Słoweńcy nie istnieją, a jeżeli muszą się czasami z nimi liczyć, upatrują w nich tylko wrogów, których za wszelką cenę zgnieść potrzeba; nie dziw więc, że przy ostatnich wyborach tu i ówdzie Słoweńcy szli ręka w rękę z kandydatami socyalistycznymi przeciwko wszechniemcom. Stronnictwo chrześcijańsko-socyalne pragnie być sprawiedliwem; za mało jednak zna ruch słoweński, nie interesuje się nim, nie rozumie go, dlatego też nie idzie mu z wystarczającą pomocą. Szerokie warstwy ludności niemieckiej, o ile dawniej zachowały się wobec Słoweńców albo obojętnie, albo nawet przychylnie, w ostatnich dziesięciu latach, roznamiętnione i rozfanatyzowane przez agitatorów i stronnictwa, stają coraz częściej na stanowisku Słoweńcom nieprzychylnem i wrogiem.

Do tego dodać jeszcze potrzeba, że pewien procent Słoweńców zamieszkuje okolice, gdzie nadludzkich prawie potrzeba wysiłków, żeby nie uledz pokusie i trwać wiernie przy kraju i narodowości. O kilka np. kilometrów od Celowca, połączone z miastem sztucznym kanałem, rozlewa się tak zwane Werbskie jezioro (Wörther See), największa chyba atrakcya Karyntyi. Jego urocze brzegi, z których wyrastają olbrzymy górskie o rzadko gdzieindziej spotykanej rozmaitości kształtów, zasiane willami, których wieże i dachy wychylają się z pośród lasów i gajów i odbijają w przeźroczych wodach jeziora. Tu dla przepięknej okolicy i dla ciepłych kąpieli zjeżdżają każdego roku liczni letnicy, rozumie się sami Niemcy. Brzegi jeziora zamieszkują w olbrzymiej części Słoweńcy i oni też dostarczają żywności gościom, ciągnąc z tego wielkie korzyści... kosztem swej narodowości. Z Niemcem porozumie

się Słoweniec tylko po niemiecku, a gdy ten Niemiec jeszcze w nim patryotę zauważy, będzie go, rzecz jasna, bojkotował, a nie wiedzieć, co więcej szkodzi: obawa niedostatku czy też nadmierne pragnienie zysku, szczególniej jeżeli te masy nie są jeszcze narodowo zbyt uświadomione. Następstwem tego to uczenie się i używanie języka niemieckiego, co w innych warunkach mogłoby być bardzo nawet korzystnem, lekceważenie swojej mowy i narodowości, przejmowanie się duchem niemieckim a, co za tem idzie, odstępstwo narodowe.

Nieobliczalne szkody przynosi karynckim Słoweńcom szkoła ludowa. Wprawdzie piąta część nauczycieli jest słoweńską, są to jednak w przeważnej większości tak zwani *nemškutarji* czyli renegaci i do tego wrogowie ludu. Może się to wydawać dziwnem, ale po długim namyśle wyliczyły mi sfery kierujące ruchem narodowym i znające go dobrze, tylko piętnaście do ośmnastu nazwisk nauczycieli prawdziwie słoweńskich, na których można budować i którym można zaufać. Własnych szkół wyższych Słoweńcy w Karyntyi nie mają; mają jedną szkołę ludową państwową, w trzech państwowych równoległe klasy słoweńskie, jedną wielką prywatną w Św. Rupercie — budują drugą w Św. Jakóbie.

To jak na opędzenie potrzeb stutysięcznej ludności słoweńskiej bardzo mało, tem bardziej, że temu antynarodowemu ruchowi nie można przeciwstawić równoznacznej działalności intelligencyi świeckiej. Znajdują się wprawdzie między tą intelligencyą nazwiska bardzo nawet zasłużone na polu polityki, szkoły i literatury pięknej, jak np. dr. Brejc, dr. Sket lub profesorowie Apih i Scheinig, — takich jednak na palcach policzyćby można; są oni kroplą w oceanie niemieckim.

Rząd znowu pragnąłby cały ruch słoweński zniszczyć i stłumić; stąd albo go ignoruje, nie mogąc zrozumieć, że ten ruch jest samorodnym i żywiołowym, albo go gnębi i szykanuje. To też na zebraniach pojawia się żandarmerya i policya, tak, że jak mi jeden z Niemców, w którym jednak przynależność niemiecka nie stłumiła jeszcze poczucia sprawiedliwości, powiedział: *Da ist*

unsere Regierung um keinen Dr... besser, wie die preussische— zwykły, zdaje się, los słowiańskich narodów.

Jeżeli do tego doda się germanizacyę przez wojsko i fabryki, to obraz trudności, z jakiemi walczyć musi ruch słoweński w Karyntyi, przedstawia się wprawdzie w barwach bardzo konkretnych, ale zarazem i ciemnych, i nie można się dziwić, że z ust patryotów słoweńskich wyrywa się bolesna skarga: dwie piąte ludności nieuświadomione; ruch się cofa i upada; Niemcy nas prześcigają; z trudem i wysiłkiem podtrzymujemy to, co już stworzono.

A wysiłków i pracy nie brak.

Kto chce choćby pobieżny, ale sprawiedliwy sąd wydać o położeniu Słoweńców w Karyntyi, nie może żadną miarą przemilczeć olbrzymiego udziału, jaki w ciężkiej pracy nad odrodzeniem narodu bierze kler. Biskup Slomšek i ks. Andrzej Einspieler dali przed pięćdziesięciu laty początek ruchowi narodowemu; pod kierownictwem księży rozwijał się on i jeszcze dziś się rozwija. W Celowcu i gdziekolwiek w Karyntyi, szerzy i podtrzymuje działalność narodową prawie wyłącznie ksiądz. Znajduje się w Karyntyi dość wielki procent parafii słoweńskich; dekanaty, jak Pliberk (Bleiburg), Doberla Ves (Eberndorf), Kapla pri Dravi (Koppel a. d. Drau), Domačale (Damtschach), Tinje (Tajnach), Velikovec (Völkermarkt), są prawie wyłącznie słoweńskie i obsadzone prawie wyłącznie księżmi słoweńskimi, których rozumiejących dobrze swoje zadanie i powołanie będzie około stu. W takich parafiach odbywają się nabożeństwa po słoweńsku; w parafiach mieszanych otrzymują Słoweńcy to, co im się należy. Gdzieindziej postarał się kler słoweński, i to jest już jego wyłączną zasługą, o to przynajmniej, aby dzieciom po szkołach religię w ich ojczystym języku wykładać. Księża słoweńscy są dlatego rządowi solą w oku. Oni urzędowe podania redagują i wysyłają do władz po słoweńsku; władze je odrzucają, kler rekuruje wyżej i zwykle wygrywa. Rząd jednak odpłaca się pięknem za nadobne i zasypuje biskupa skargami na podwładnych mu księży. Stąd stanowisko biskupa bardzo trudne; znajduje się on między młotem a kowadłem, umie jednak widocznie zachować sprawiedliwość,

skoro ze strony słoweńskiej słyszałem słowa wysokiego uznania i pochwały dla karynckiego biskupa.

Jedno tylko mniej się podoba słoweńskim patryotom: kierunek seminaryum duchownego w Celowcu. Oto zarzut: chociaż w seminaryum tworzą Słoweńcy dwie piąte całości, znajduje się ono pod kierownictwem wyłącznie niemieckiem. Ciało profesorskie liczy tylko jednego Czecha, niema zaś żadnego Słoweńca.

Czy słuszny? Jak na razie trudności tej usunąć niepodobna, nie dla braku dobrej woli lub przychylności, ale ponieważ kongregacya kierująca seminaryum nie ma na tylu księży Słoweńców. W każdym razie, twierdzono to jednogłośnie, profesorzy kierujący seminaryum, mają najlepszą wolę i starają się być zupełnie bezstronnymi; dlatego też stoją zdala od ruchu tak niemieckiego jak i słoweńskiego; z przywódcami obydwóch obozów się nie stykają; wobec ruchu słoweńskiego w seminaryum, choć go nie rozumieją, zachowują się życzliwie i uznają go, nie umieją nim tylko kierować. Trudno podobno wogóle o większą bezstronność. Dlatego też seminarzyści słoweńscy mają swoje tygodniowe posiedzenia, literackie wieczorki i zgromadzenia, i wogóle nie spotykają się w seminaryum z niczem, coby ich uczucia patryotyczne obrazić mogło.

Kler przyczynia się również w niemałej mierze do podtrzymania i rozwoju *Stowarzyszenia św. Mohora.* Założono je w początkach drugiej połowy ubiegłego wieku, a celem jego było: budzić ducha katolicko-narodowego przez popularyzowanie nauki i dostarczanie ludności słoweńskiej po bezgranicznie taniej cenie książek pisanych w ojczystym języku. Członkiem tego *Stowarzyszenia,* które pobłogosławił i przywilejami obdarzył Pius IX, a którego siedzibą jest Celowiec, może stać się każdy Słoweniec, który uiści roczną wkładkę dwóch koron; za to otrzymuje corocznie kalendarz i pięć książek treści religijnej, historycznej, praktycznej i belletrystycznej. Organizacya *Stowarzyszenia* jest pod każdym względem doskonała; najlepszy dowód choćby w tem, że na wzór *Stowarzyszenia św. Mohora* zorganizowali również w Celowcu w roku 1894 Niemcy swoją *St.-Josef-Bücherbruderschaft,* która w najdrobniejszych prawie szczegółach przyjęła program św. Mohora, i to ostatnie stowarzyszenie, rozumie się, przewyższyła.

Ile *Stowarzyszenie św. Mohora* uczyniło dla rozbudzenia ruchu narodowego między Słoweńcami Karyntyi i Krainy, i jak było potrzebnem, poznać można choćby z pobieżnego przyjrzenia się statystyce członków. Kiedy w r. 1859 liczyło tylko 263 członków, to w r. 1860 miało ich już 1082, w r. 1870 — 17.027, w r. 1885 do 30.000, w r. 1891 do 50.000, w r. 1907 około 80.000, z tych 6.000 w Karyntyi, co, zważywszy trudność położenia, jest wcale poważnym przyczynkiem. *Stowarzyszenie* opiera się przedewszystkiem na poparciu księży; oni nie tylko biorą walny udział w wewnętrznym zarządzie, ale jednają dla *Stowarzyszenia* członków, przyjmują i wysyłają wkładki, zachęcają i napominają opóźniających się. Na ich ręce zarząd wysyła każdoroczne premie, a oni je rozdzielają. *Stowarzyszenie* zyskuje tym sposobem na czasie, na pieniądzach a przedewszystkiem na nowych siłach. Gdyby jeszcze ci księża znaleźli poparcie nauczycieli, przyszłość przedstawiałaby się w więcej różowem świetle. Tak niestety! nie jest. Zamiast poparcia spotykają tylko trudności, zamiast zachęty niedowierzanie.

W ciężkiej pracy nad uświadamianiem narodowem znajduje *Stowarzyszenie św. Mohora* pomoc w celowieckim politycznym tygodniku *Mir*, w trzydziestu niepolitycznych związkach t. zw. *nepolitična društva*, w dwudziestu sześciu kasach oszczędności, w bardzo dodatnio działającem *Towarzystwie katolicko-politycznem i gospodarczem*. Stowarzyszenia te wspomagają ludność finansowo i moralnie a związki niepolityczne zakładają czytelnie i biblioteki, urządzają odczyty i zgromadzenia. W tych ciasnych ramach robi się więc co można a jeżeli cały ruch narodowy słoweński w Karyntyi ma charakter wybitnie katolicki, to wychodzi mu to tylko na korzyść i niemały pożytek; w obecnych warunkach Karyntyi powiedzieć można, wogóle przynajmniej, że co nie jest katolickiem, to też przestaje być słoweńskiem.

Jaką przyszłość mają Słoweńcy w Karyntyi, tego dziś przesądzać nie można, a nadziei tracić nie wolno, choć nieraz trudno ją żywić. To też kiedym raz pod wieczór stał na obszernym placu Celowca, na którym znajduje się studnia, gdzie olbrzymi smok, który w zamierzchłej przeszłości miał pustoszyć Karyntyę, aż padł

z ręki skazanego na śmierć zbrodniarza, wyrzuca ze swej paszczy strugi wody i kiedy później z wysokiej wieży celowieckiej Kalwaryi objąłem okiem okolicę: skalną ścianę ponurych Karawanek, pasmo gór styryjskich i dużą plamę jeziora Werbskiego, które w blaskach zachodu paliło się, jak gdyby na ziemi drugie świeciło słońce, — a wszystko przetkane zielenią błoni i lasów, głęboki żal osiadł w duszy, że ta ziemia, piękna jak senne marzenie, dziś taka obca, taka nieswojska, klejnot wydarty z korony słowiańskiej. Dawną, słowiańską Karyntyę obecnie znaleźć można jedynie w św. Mohorze, w muzeum miejskiem i na odległem od Celowca o milę t. zw. karynckiem polu, gdzie dotąd jeszcze stoi kamiennny tron, z którego publicznie wobec zgromadzonego ludu zstępował słowiański książę, aby zrobić miejsce dla swego następcy.

* * *

Trudno opuścić Karyntyę, nie zwiedziwszy wpierw grobu króla Bolesława Śmiałego w Ossyachu. Jakkolwiek krytyka historyczna na starożytne podanie się zapatruje, faktem jest, że Ossyach pozostanie na zawsze drogą dla każdego polskiego serca pamiątką. Tu zwracały się przez długie lata oczy Polski, tu podróżujący Polacy kierowali często w ciągu wieków swe kroki, tu, jak bluszcz koło dębu, owijały się koło kamienia królewskiego grobu pieśni i legendy; poezya i proza i ustne podania ludu otoczyły to miejsce nimbem tajemniczości. Nie dziw więc, że z bijącem sercem zbliżałem się do grobu króla-wygnańca.

Wśród wysokich gór i rozłożystych wzgórz, na których jesień położyła swe barwy, toczy się pociąg brzegiem ossyackiego jeziora. Cisza dokoła i pustka; milczą olbrzymy górskie, patrzą się na jasne fale rozległego jeziora i tylko szumy lasów z ich szczytów dochodzą — jakiś cień melancholii unosi się nad krajobrazem. Po drugiej, północnej stronie jeziora, wyrastają z wieńca drzew jakieś ruiny i mury, wychyla się biała wieża kościoła — to Ossyach; droga do niego prowadzi przez jezioro.

Nie mogę się od razu zoryentować, gdzie stoi dom przewoźnika, pytam więc idącej przedemną wieśniaczki. Kobiecina zro-

zumiała natychmiast sytuacyę. *Ah! wollen's wohl zum Polakkenkönig?* — Za chwil kilka kołyszę się już na błękitnych wodach.

Dziwna rzecz, jak tu wszystko nastraja! I te milczące skały samotne, i senne, rozmarzone fale jeziora i cała atmosfera, która się nad tem miejscem unosi. Myśl biegnie w daleką przeszłość; pragnęłaby sobie uzmysłowić charakter krajobrazu z owych czasów, w których stała się rzeczywistość lub zrodziła legenda.

Dobijamy do brzegu; staję u drzwi kościoła wielkiego, tonącego w świetle, które gra po złoceniach, gzymsach i sztukateryach. Kościół ten, którego początek ginie w zamierzchłych wiekach, o charakterze pierwotnie romańskim, przeistoczonym przy różnych przebudowach w rodzaj gotyku z domieszką baroku, bodaj nawet, czy nie renesansu, wołałby w oczach każdego znawcy prawdopodobnie o pomstę do nieba; na przeciętnego widza robi on oryginalne wrażenie.

Ale nie o sam kościół mi chodzi. W dwóch nawach świątyni, począwszy od nawy południowej, wysoko nad oknami pod samem prawie sklepieniem, wśród pięknej lecz pstrą farbą zeszpeconej ornamentyki, znajduje się sześć fresków w kształcie medalionów, przedstawiających w bronzowym kolorze historyę Bolesława. Pierwszy fresk uzmysławia śmierć św. biskupa, drugi najpotężniejszy w wyrazie: klątwę papieską rzuconą na króla, trzeci: Bolesława-pielgrzyma, czwarty już w nawie północnej: Bolesława pokutującego w klasztorze, piąty: śmierć króla i wyjawienie tajemnicy, szósty, dosyć zniszczony: pielgrzymów polskich ciągnących do grobu swojego króla.

W północnej również nawie, niedaleko drzwi, pokazuje się w murze przysłonięta częściowo przez ołtarz św. Sebastyana, dość nizka, łukowa framuga; czerwono-ziarnista, imitująca marmur mozaika, otacza wielką, białą marmurową płytę, na której złotemi literami wyryty napis: *Boleslaus Rex Poloniae.* Rzewne wrażenie zrobiły dwie na płycie leżące sztuczne korony, zielona i biała, i śliczny, z Polski przez nieznanego ofiarodawcę przysłany biały krzyż ze słomianek z palmowemi liśćmi.

Główna część nagrobka znajduje się jednak na zewnątrz i zdala już wpada w oczy. Żelazne sztachety o złoconych ostrzach,

z żelazną listwą, na której również złotemi literami umieszczony napis: SARMATIS PEREGRINANTIBUS SALUS, otaczają grób. W niszy umieszczonej o jakie półtora metra od ziemi, nakrytej z góry daszkiem, stoi duży drewniany obraz, składający się z całej seryi malowideł, przedstawiających znowu historyę króla. I tak: Stanisław upomina króla — Stanisław modli się pod drzewem, gdzie mu się objawia świetlany krzyż; pod tym obrazem napis: *Sanctus Stanislaus* — morderstwo Świętego — pielgrzym — sługa klasztorny w Ossyachu — śmierć i wyjawienie tajemnicy — pogrzeb; w środku wizerunek króla w koronie z podpisem: *Boleslaus rex Pol: ano MLXXXIX.* U stóp obrazu na szarem polu następny łaciński czterowiersz:

Occidit, Romam pergit, placet Ossiach illi,
Ignotus servit, notus pia lumina claudit.
Ossiach hinc placat tibi, Stanislae, tyrannum,
Mitem quod factum coelestibus intulit astris.

Sumptibus civitatis cracoviensis cura Praesidis urbis Dris Weigel Renovatum 1884 a.

Pod niszą wpuszczona pionowo w ścianę płyta z białego, krystalicznego wapienia; w jej środku osiodłany samotny koń, a dokoła wyryty napis:

Rex · Boleslaus · Po
lonie · Occisor · Sancti ·
Stanislai · Epi · Cracovi
ensis.

Ta płyta położona na grobie, widocznie dopiero po kanonizacyi św. Stanisława, jest w każdym razie najstarszym chyba zabytkiem odnoszącym się do naszej pamiątki, gdyż zdaniem znawców pochodzi z XIII lub co najpóźniej XIV wieku.

Przestrzeń między ścianą kościelną a sztachetami, o których wyżej, wypełnia już zwykła leżąca płyta grobowa.

Grób sam znajdował się dawniej na zewnątrz kościoła; od mniej więcej r. 1500, kiedy kościół rozszerzono, znajduje się jednak

pod samym murem. Otworzono go ostatni raz w r. 1839; znaleziono w nim wówczas tylną część czaszki, kości ramion i nóg silnego mężczyzny, żyły z rąk i nóg, trochę długich gwoździ i mosiężną spinkę z muszelkami, którą wysłano do skarbca wawelskiego. W kruchcie pokazują jeszcze duże, jak się zdaje, bardzo stare, ale i bardzo zniszczone malowidło na drzewie, które przedstawiało prawdopodobnie te same sceny, jak i obraz nad grobem.

Na chórze wreszcie znajduje się, luźny tylko związek z naszą historyą mający, piękny i cenny witraż z napisem: *Zum Andenken an den in diesem Gotteshause ruhenden Polenkönig, Boleslav II der Kühne benannt, † 1089 gewidmet vom Landesausschusse der Königr. Galizien u. Lodomerien m. d. Stadt Krakau. 1905.*

Inne do historyi Bolesława odnoszące się pamiątki znaleźć można w muzeum w Celowcu i u proboszcza w Ossyachu, ks. Franty, Czecha rodem. Zbiera on podania i druki mające związek z grobem króla i z pietyzmem zajmuje się tak kościołem, jak też i grobem, który utrzymuje czysto i schludnie. Brak środków nie pozwala mu jednak tak się oddać umiłowanej sprawie, jakby tego pragnął.

W jego towarzystwie oglądałem dawne zabudowania klasztorne. Najstarsze te, w których Bolesław, jeżeli tam się znajdował, przebywać musiał, rozebrano za cesarza Józefa II, aby z nich wybudować stajnie dla stadniny ogierów, które się również i w klasztorze mieszczą. Po resztkach jednak murów i fundamentów i po tem, co dziś jeszcze pozostało, widać jakie to olbrzymie były budowle; freski i obrazy, zachowane w dawnej sali prałackiej i sali rycerskiej, w której za mej tamże bytności przechowywano owoce, i dziś jeszcze głośno mówią o dawnej potędze i chwale, o minionych dniach.

Poszedłem raz jeszcze do grobu króla. Cmentarz tonął w powodzi południowego słońca i przepełniony był zapachem kwiecia, co cały ten przybytek zmarłych pokryło; przez gałęzie połyskiwała tafla jeziora; cisza i senny spokój dokoła, tylko trzciny

i szuwary na brzegu lekko, lekkuchno szemrały, jakby chciały sobie opowiadać o tajemniczym królu-pielgrzymie. I do ust cisnęły się słowa: »gdziekolwiek spoczywają prochy twoje, królu nasz, wygnańcze! za to, że pokutą zmazać się starałeś zbrodnię życia twojego, i że nas nauczyłeś, jak winy nasze okupiać, i że w obcej ziemi złożyłeś twe kości, — za to błogosławioną niech będzie pamięć twoja«.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z MYŚLI WIECZORNYCH.

III.

Jest on jeszcze bardzo oddalony...

Pogrążanie się w wieczorze wspominającym, tęskniącym, wiecznym, w wieczorze nad mogiłami zadumanym — oto jedno z najpowszechniejszych nieszczęść świata.

Przyjdzie może czas, że siłą dobroci i siłą miłości, siłą mądrości dobrej, ludzie przerabiać będą nieszczęścia w szczęścia, ale teraz, jest on jeszcze bardzo oddalony.

Przyjdzie może czas gdy silni słabych, mądrzy mniej mądrych, piękni szpetnych, młodzi starych braterskiemi otoczą ramiony i miasto jątrzyć rany pieprzem pośmiechu, pogwizdu, goić je będą słodyczą przyjaźni, pomocy. Wówczas cudem tej słodyczy słabi przemienią się w silnych, niemądrzy w mądrych, szpetni w pięknych, a starzy długo żyć będą, duchem młodzi.

Ale teraz czas ten jest jeszcze bardzo oddalony.

Czy kiedykolwiek przyjdzie?

Jestże wolą Stwórcy, aby stworzenie ziemskie czasu takiego zaznało?

Posiadaż stworzenie ziemskie moc stworzenia takiego czasu?

Istnieje przecież, tleje lub goreje, w nielicznych sercach ludzkich, jego przeczucie.

Czemże są te przeczucia? Czem są te skrzydła, co przez mgieł

pierzchliwych zwoje niosą serca w świetliste głębie czasu i tam przeciw nadziejom zawieszają kotwice nadziei.

Wszystko na ziemi przeciw nim się sprzymierza, a one trwają. Wszystkie rzeczy jawne, mocne, głośno brzmiące, tryumfujące, wołają na nie: marą płonną, mgłą, złudą, z nierozumu powstałem niczem — jesteście!

A one odpowiadają: trwamy! I przez wieki, przez wichry, przez gromy, w sercach, jak w arkach, niosą kotwicę nadziei w świetlistą dal, w nieznaną głębię czasu.

Czemże są?

Nie sąż rysem nieśmiertelnym, na sercach skreślonym wówczas, gdy serca te były iskrami w Twoim płomieniu, jelonkami pojącemi się u Twych zdrojów, — o, Zródło wszechwód czystych! O, ognisko ogni świętych!

Nie sąż promieniem wiekuistym, który na serca spłynął wówczas, gdyś naznaczał je światłem Oblicza Twojego, — o Zbiorniku wszechświateł, lejących się na wszechświaty i czasy!

Przez wichry i kurzawy, przez grady i gromy, niosą serca wierne ten rys i ten promień, ku czasowi królestwa Twojego, który teraz jest jeszcze bardzo oddalony...

IV.

Słyszy to wieczór...

Ludzie, oblicza, brzmienia głosu, uczucia, związki, sceny natury i obrazy życia, momenty serca i momenty myśli, formy i treście, powierzchnie i jądra — przemijają. Wszystko co ziemskie przemija.

Pamięta o tem wieczór.

Nie w każde serce dzień wszczepia uczucie przemijalności wszystkiego co ziemskie, lecz to, w które wszczepi, minut radości zaznawać niekiedy może, godzin smutku zaznawać zawsze musi.

Wie o tem wieczór.

Więc częściej od pór dnia przeminionych pochyla się nad

swą duszą i wargami, pragnieniem wiekuistości drżącemi, mówi: ty nie przeminiesz!

A ona, w pomroku wieczora świecąc iskrą brylantową, skrzydła rozpina i odpowiada: od naczyń kruchych, od prochów rozsypnych, od zmiennych form i znikających cieni — ulecimy!

Słyszy to wieczór...

Eliza Orzeszkowa.

POGRZEBY POSĄGÓW [1].

SZKIC HISTORYCZNO-OBYCZAJOWY.

Dziwnie wyglądały Atheny w tym 478 r.

Wiosna już była w pełni; słońce z każdym dniem dłużej przygrzewało, lecz nie wysuszyło jeszcze wezbranych wód Ilissu i Kefissu, które z wesołym pomrukiem toczyły się wartko w kamiennych łożyskach. Łąki nadrzeczne złociły się jaskrem, czerwieniły i różowiły kwieciem krasnych anemonów, jaśniały bielą dzikich narcyssów. Lecz w ogrodach, winnicach i sadach podmiejskich wszędzie znać było rękę perskich najeźdców: macice winne powyrywane z korzeniem lub stratowane końskiemi kopyty, figowe i oliwne gaje w pień wycięte na paliwo, owocowe drzewa strzaskane bezlitośnie, nawet platany w Akadema ogrojcu, który jeszcze Solon obwiódł był dokoła murem, nie uszły siekiery. Na każdym kroku widne były ślady spustoszeń i okrutnej swywoli.

Miasto samo przed dwoma laty przez barbarzyńców doszczętnie złupione i zburzone, nie zdążyło się jeszcze odbudować. Obywatele jednak z polecenia rządzącej Rady czemprędzej żony z dziećmi i z dobytkiem sprowadzili z Trojzenu i Salaminy, dokąd je schronili byli przed perską nawałą. Przed ruinami swych domów poczerniałymi od pożogi, białegłowy zawodziły przeciągłym płaczem,

[1] Opowieść niniejsza składa się w całość artystyczną i syntetyczną z drugą opowieścią »Wielkie Dionysia«, którą zamieścimy w miesiącu następnym. Tytuł wspólny obu tych opowieści jest »Po zwycięskiej wojnie«.
Redakcya.

i mężowie stawali z krwawiącem sercem i załamanemi rękoma. Lecz ocknęli się niebawem z rozpaczy. Drągami popodpierali zarysowane ściany, połatali je naprędce surowym kamieniem i gliną, odgarnęli rumowiska, sklecili tymczasowe dachy z chróstu i sitowia i tak z rodzinami gnieździli się od biedy w zwaliskach.

Świątynie i gmachy publiczne ciągle jeszcze leżały w gruzach — na razie nie można jeszcze było myśleć o ich odbudowie. Themistokles nawoływał ustawicznie i naglił o niezwłoczne podźwignięcie obronnych murów miasta i grojca, dowodząc, iż to najpilniejsze. Wymownym i gwałtownym wywodom zwycięzcy z pod Salaminy wtórowali zgodnie mężowie co wyborniejsi: popierał je żarliwie mężny Xantippos, który w zeszłorocznej morskiej bitwie pod Mykale, okrył się jako wódz atheńczyków niemałą sławą, i młody Kimon Miltiadów, co dawniejsze pustoty i wybryki zmazał cudami waleczności w salamińskiej potrzebie, a zwłaszcza Themistoklowemu zdaniu przywtarzał usilnie sam wielki, prawy Aristejdes, aczkolwiek znany Themistoklesa przeciwnik.

Jęli się tedy najskwapliwiej mężowie atheńscy pracy onej ku obronie ojczyzny. Codzień od wczesnego rana do wieczora tłumno bywało i gwarno przy odbudowie murów, co w krąg miasta wznosiły się już na kilka piędzi od ziemi. Równocześnie ze stromych zboczów Akropolu wyrastały potężne podmurowania i skarpy kamienne, przeznaczone do dźwigania znacznie rozszerzonej korony murów zamkowych. Niestrudzony Themistokles był wszędzie naraz, wszystkiego dozierał i kierował wszystkiem; płomiennem słowem i własnym przykładem zagrzewał rodaków do pracy: znużonych rozochocał żartobliwą zachętą, leniwych zawstydzał łagodną przyganą, chętnym i pracowitym sypał zręczne pochwały. Samo jego pojawienie się dodawało wszystkim otuchy.

Mąż to był wyniosłego wzrostu i pięknej postawy, smukły i prosty pomimo, że dobiegał już pięćdziesiątki. Drobną głowę, siwiejącą nieco na skroniach nosił hardo na długiej, żylastej szyi. Długa, pełna broda w bujnych kędziorach spływała mu na piersi i czarnym wieńcem okalała podłużne, smagłe oblicze, na którem wyryły swe piętno i wola niezłomna i duma nieokiełznana. Cały

jednak potężny wyraz tej nadzwyczajnej twarzy skupiał się w spojrzeniu wielkich, niespokojnych oczu: jarzyła się w nich latami nieprzytłumiona, kipiąca namiętność, łyskała chwilami w ich nagłem spojrzeniu przenikliwa bystrość umysłu; te oczy umiały wszystko: rozkazywać, nagradzać, gardzić, pieścić, urągać, zdawało się, że mogą i zabić jednem spojrzeniem. Przez ruiny Akropolu szedł żwawym krokiem, odziany powłóczystym jońskim chitonem i fałdzistem himationem, które w sutych fałdach spływało mu z ramion; głowę okrywał mu płytki atheński hełm z małym kabłąkiem i krótką kitą z końskiego włósia. Przystawał co chwilę i wzrokiem rzucał na zwaliska budowli, na złomy posągów potrzaskane i walające się wpośród gruzów, to na mężów zajętych odbudową twierdzy.

Roiło się od ludzi całe wzgórze: jedni, siedząc na ziemi, obrabiali kamienie dłutem i młotem, drudzy już obrobione ciosy z trudem dźwigali, by je podać budownikom, co na gotowych warstwach podmurowania starannie układali nową. Ze wszech stron dolatywały szybkie, dźwięczne krzesania żelaznemi narzędziami o głazy, nawoływania, urywki rozmów i śmiechy...

Przesławny syn Neoklesów podszedł ku zburzonemu chramowi Atheny.

Prastare, okopcone pożarem zręby ścian, sięgające początkiem swoim w czasy Kodrosa, czy może i dawniej, sterczały teraz chwiejne i spękane. Dach przez Pejsistrata kryty niegdyś marmurowemi płytami, runął do wnętrza, ciężarem swym obalając także i kolumnadę. Po jednej stronie ostało się z niej kilka jeszcze kolumn, które na szerokich głowicach dzierżyły w powietrzu kawał belkowania. Wszystkie inne kolumny padły, jak podcięte drzewa i rozsypały się w dzwona podobne do kamieni młyńskich. Wokoło leżały szczątki rzeźb, co trójkątny szczyt świątyni zdobiły i razem z nim zwaliły się na ziemię. Ich wspaniałości tak niedawnej ledwie można się było domyślać w poobijanych odłamach. Oto potłuczone nie do poznania dwie postaci gigantów, co z narożników trójkąta zwierzęcymi ruchy wypełzały ku środkowi do walki z bogami; oto Pallas Athene, co powaliwszy wielkoluda, przebijała go włócznią, lecz prawica bogini z podnie-

sionym oszczepem rozprysła się w drzazgi a głowa utrącona ajgidowładnej córy Zeusowej poniewiera się między rumowiskiem. Themistokles pamiętał dzieckiem, jak w przyczole świątnicy te wielkie rzeźby stawiano z podziwem i radością całego pokolenia. Tak, to było niebawem przed zabiciem Hipparcha przez Harmodiosa i Aristogejtona. Ich posągi ustawione pod Akropolem na Arejopagu, cudne dzieło Antenora rzeźbiarza, zniknęły także. Pono Xerxes uwiózł je do Azyi. Ile szkód, ile klęsk przyniósł ojczyźnie ów najazd okropny. A jednak te wojny dały Athenom wiekopomną sławę. Póki słońce wstawać będzie nad Salaminą, póty ludzie wspominać muszą ów dzień ogromny.

— Cóżby się dzisiaj z ojczyzny tej ostało, gdyby nie ja?! — myślał i duma pierś mu rozpierała. I nagle ujrzał sam siebie, jak wtedy, w onym dniu salamińskim stoi na przedzie korabia, słonecznem złotem oblany, chmurą strzał perskich nieustraszony i wielkim głosem wydaje rozkazy. Widział u stóp swoich nurty morskie, zrumienione krwią, kołyszące na spienionym odmęcie setki a setki trupów. A potem zdało mu się, że na hełmie dźwiga ciężki wian laurowy. Pochylił pod nim czoło zadumane i spostrzegł o kilka kroków przed sobą walającą się w rumowisku marmurową głowę Atheny. Oburącz podniósł ją i długo przypatrywał się jej dziewiczemu obliczu.

— Witajże mi zbawco Hellady, synu Neoklesa! — odezwał się za nim głos przygasły i starością drżący.

Themistokles obejrzał się szybko: tuż poza nim stał człowiek siwobrody i zgarbiony późnym wiekiem.

— Pozdrowion bądź Nearchu! — odpowiedział i marmurową głowę ostrożnie położył na kamiennych złomach.

— Jakże nam spustoszyli miasto, sponiewierali świątynie, poniszczyli posągi ci barbarzyńce, psom podobni z wejrzenia! — mówił stary, wyciągając pięści zaciśnięte.

— Odbudujemy większe Atheny, wyższe mury, wspanialsze świątynie, piękniejsze posągi!

— Ja tego nie doczekam, Themistoklesie. Starym jest i w dom Hadu zstąpię z onych rozwalin. Ale niczegobym nie żałował, ni winnicy mojej z korzeniami wydartej, ni moich sadów do cna

sumienie. Ów poznawszy go, drgnął mimowoli; chciał się z nim na spojrzenia zmierzyć, ale potęgi tych źrenic nie mógł wytrzymać: spuścił wzrok. Zaraz jednak, by pomieszanie swe pokryć, przystąpił do siedzącego męża i wyciągnął ku niemu rękę.

— Witaj Aristejdesie! Przecz tak pozierasz na mnie?

— Chcę w oczach twoich należć odpowiedź na jedno pytanie.

— Jakież to pytanie?

— Żali ty miłujesz w sobie jedynie zbawcę Athen, siebie-li tylko samego w Athenach zbawionych? — odrzekł Aristejdes półgłosem.

Nie znalazł na to ni słowa zwycięzca z pod Salaminy. Szerokim ruchem odgarnął na ramię spadającą chlajnę i poszedł dalej. Okrążył rozwaloną świątynię i stanął, kędy było święte oliwne drzewo Pallady. Z pnia ściętego świętokradzką ręką i osmalonego pożarem strzelał wysoko nad ziemię gruby rozgałęziony już pęd, liściem srebrzystym gęsto pokryty. W cieniu świętej oliwy leżał barczysty, krzepki starzec. Dychał ciężko i wodę chwilami popijał z malowanego dzbana. Włosy siwe na modłę staroświecką zwinięte miał w gładkie zaploty, które mu na kark spadały; przytrzymywała je lniana przepaska dokoła głowy obwiązana.

— Snać bardzoś upracowany, Frynichu — rzekł przystępując doń Themistokles — Kronosowe masz lata!

— Jeszcze mi ramiona służą i nogi — odparł stary — tchu jeno w piersiach nie staje czasami.

— Młodszych tu dość. Wolejbyś piękny chór ułożył na cześć Pallady, niźli tu zdzierał się w twardym znoju, leciwy pieśniarzu.

— Widzisz-li, synu Neokla — zawołał Frynichos, ukazując ręką — jako tam dźwiga do budowy kamienie Ajschylos Euforionów? Pijemy wodę z jednego dzbana i pracujemy razem. Mam-li gorszy być odeń? Zawżdym ja mu kroku dotrzymywał i we wszystkiem, dziś też nie ustąpię!

Themistokles pozierał tymczasem na męża, którego wskazał mu był Frynichos. Tamten zasię, głaz doniósłszy budownikom, zbliżał się zwolna, czoło znojne ocierając dłonią. Pięćdziesięcio-

letni, rosły jak dąb, nieco pochyło się nosił, zwieszając łysiejącą głowę jakby mu ciężyło brzemię ogromnych myśli. Twarz miał surową i smutną, lecz na ustach jakoby kobiecych łagodność była rozlana. Z pod czoła zoranego przedwczesnemi zmarszczkami pozierały na świat oczy mądre i spokojne, jakowąś mgłą wilgotną przesłonięte. Od całej postaci jego szła cicha, głęboka zaduma i lwia moc i królewskie dostojeństwo ducha.

Pogrążony w sobie, nie widząc Themistoklesa, przystąpił do leżącego Frynicha i po dzban rękę wyciągnął w milczeniu, lecz gdy go do warg podnosił, wzrok jego spotkał się z wodza spojrzeniem. Zatrzymał dzban w powietrzu...

THEMISTOKLES. Pij, zdrowo pij, Euforionów synu. Widno pragniesz bardzo.

AJSCHYLOS *(rękę wyciągając do uścisku).* Nie tak, iżbych ciebie nie miał witać wprzódy. — Pił potem długo i chciwie a resztę wody wylał pod pień świętej oliwy. — Niechajże nam buja wysoko, szeroko drzewo Atheny cudem odrodzone...

THEMISTOKLES. Jak ta ojczyzna ocalona cudem.

AJSCHYLOS. Za wolą bogów i za twoją sprawą, synu Neokla.

FRYNICHOS. Gdybyż to miasto samo chciało z gruzów odrastać, jak z pnia to drzewo Pallady!

THEMISTOKLES. Minęły czasy Orfeja, co thebańskie mury mocą pieśni spiętrzył z głazów. Dziś w Athenach pieśniarze nasi do budowy nosić muszą ciosy krwawym potem oblane. Pieśni twoje najsłodsze, Frynichu, nie ruszą ni kamyka...

FRYNICHOS. Niech jeno serca ludu ruszą.

THEMISTOKLES. Byle nie do łez gorzkich, Frynichu, jak wonczas: płaczem teatr cały buchnął, gdyś w tragedyi ukazał dobycie Miletu przez barbarzyńców.

FRYNICHOS. Po zwycięstwach, po takich zwycięstwach miałbych w tony żałosne uderzać? Nie nam dzisiaj płakać i zawodzić. Tryumf Athen ukażę na scenie: dziełu miano dałem *Fojnicyanek.*

Oczy Ajschylosa nagłym blaskiem zagrały; chwilę milczał brodę gładząc dłonią.

AJSCHYLOS. Tryumf Athen ukażesz Frynichu? Ale jakaż tragedya wyrazi boleść Persów opłakaną, całej Azyi lamenty a wycia po Salamińskim, Platajskim pogromie?!

THEMISTOKLES. Ty ją napisz — dzieło godne ciebie...

AJSCHYLOS. Może napiszę kiedy. Niech pierwej mury z gruzów powstaną i domy, niech spustoszony teatr się podźwignie.

FRYNICHOS. Tak-ci tam wszystko teraz, jak przed laty, gdy — pomnisz? — grali Pratinasa sztukę i załamały się widzów siedziska, podówczas jeszcze drewniane.

THEMISTOKLES. Na przyszłoroczne wielkie Dionysia, z pomocą bogów, może już teatr zdążymy przywieść do ładu.

FRYNICHOS. Ajschylos może w Syrakuzach będzie na przyszłe wielkie Dionysia...

THEMISTOKLES. Cóż on powiada, synu Euforionów? I skądże tobie jechać do Syrakuz? Tam po Gelonie, iże właśnie umarł, brat jego pono stolicę osiadł Sikulijską, Hieron, co rządził dotąd Gelą miastem.

AJSCHYLOS. Żył jeszcze Gelo, kiedy mnie Hieron od dawien dawna zapraszał do siebie. Ninie Sikuliej całej panem będąc, swe zaproszenia ponawia. Mówiąc, że rozmiłowan w pieśni a w pieśniarzach na swoim dworze już ma Simonida z Keos, Pindara thebańskiego piewcę i siła innych mężów znamiennych.

THEMISTOKLES. I ty chcesz jechać?

AJSCHYLOS. Nie pojechałem przed medyjską wojną, bo chciałem służyć Athenom orężem, jako naówczas w Marathońskim boju. I nie pojadę teraz póki miastu rąk do budowy grojca i murów potrzeba. Lecz później, kiedyś...

Tak oni rozmawiali, gdy oto mąż jakowyś przystąpił ku nim raźno. Młody był jeszcze, bo nie dobiegał lat ani trzydziestu; średni wzrostem lecz i postawą znaczny i włosów płowych bujną gęstwą, która na czoło spływała w kędziorach, na kark opadała i kryła uszy, łącząc się na licach z młodzieńczą brodą.

— Lakedajmońscy posłowie — rzekł szybko — przed godziną do miasta przybyli. Wszyscy ciebie szukają, synu Neokleosów i na Arejopagu już gromadzi się Rada...

— Idę, Kimonie — odpowiedział Themistokles, a zwracając

się do Frynicha i Ajschylosa dorzucił: — I wy pewnie pójdziecie przysłuchać się odprawie spartańskiego poselstwa.

Jakoż obaj tragiczni poeci ruszyli w ślad za nimi. Tymczasem wieść o przybyciu Spartan rozeszła się widno wśród obywateli pracujących na grojcu: wszyscy, porzuciwszy narzędzia, podążali na dół, ku pagórowi Aresa.

* * *

Tłum niezmierny oblegał stoki Arejopagu i zajmował poblizkie stoki Akropolu, podle źródła Klepsydry. Wszystkie oczy zwrócone były na podłużny, płaski szczyt Aresowego wzgórza. Krawędź jego wschodnia zwieszała się nad urwistą czeluścią, kędy Eumenidy, straszliwe bóstwa pomsty i kary miały swój przybytek. Tuż obok był grób thebańskiego Ojdipa. Nad owem urwiskiem na wzgórzu zasiadła kamienne ławy dostojna Rada, między ołtarzem Dwunastu Wielkich Bogów a zwaliskami świątyńki Aresa.

Nieprzeliczone pogłowie ludzkie milczało pobożnie a wśród świętej ciszy, archont, który po dawnych jednowładcach wziął w puściznie miano »króla« i godność ofiarnika, kończył uroczysty obrzęd składania objat publicznych. Mściwym Erynnyom zlewał krew czarnego tryka zmieszaną z mlekiem i miodem, Dwunastu Bóstwom Olympu na cześć płonęły na ołtarzu tłuste udźce buhajów i jałowic.

Obok archonta-króla stali dwaj towarzysze jego w najwyższym urzędzie rzeczypospolitej: ten, od którego imienia rok nazwę przyjmuje, i ów drugi, co wodzem jest naczelnym sił zbrojnych. Onych trzech otaczała półkręgiem reszta Rady: wszyscy poważni wiekiem i obliczem, wszyscy z wieńcem oliwnym na skroniach i strojni w długie, powłóczyste szaty.

Wobec nich dziwnie wyróżniali się posłowie. I oni, na znak swej nietykalnej godności uwieńczone mieli czoła, lecz każdemu z nich ponad wieńcem sterczał wysoko na ciemieniu *krobylos*, gruby węzeł uwity ze splecionych, długich włosów. Krótkie lakońskie chitony z wełny szarej sięgały im do kolan, z ramion opadało w sutych fałdach zwierzchnie okrycie, od chitonów nie

wiele dłuższe, zwane *tribonion*. W ręku dzierżyli białe laski, znamię swojego urzędu.

Skończyły się ofiary, poczem archont-król, jako ten, który ma pieczę i władzę nad wszelkim obcym przybyszem, odezwał się do Spartan:

— Witajcie nam Lakedajmońscy mężowie; powiedzcie z czem do nas przychodzicie?

Wysunął się tedy na czoło poselstwa człowiek w sile wieku, wspaniałéj i dumnej urody. Był to Pausanias Kleombrotów, hetman znamienity, bohatyr przesławny. Znała cała Hellada tę piękną, orlą twarz, na której męstwo, pycha i namiętność wycisnęły swe piętna — i głos ten znała donośny, spiżowy, który sprzymierzonym Grekom wydawał rozkazy na Platajskiej równinie.

Pomilczawszy chwilę, Pausanias jął mówić krótko a jasno.

— Przybywamy do was, przesławni mężowie atheńscy, z pozdrowieniem od Sparty i ludów peloponneskich z oną sprzymierzonych. Doszła bowiem aż do nas wiadomość, iż mury miasta i grojca, przez Medów obalone, tem potężniej dźwigacie. Co, gdy nie jest z bezpiecznością Hellady, przestrzega was przedtem i przez usta nasze upomina Lakedajmon...

Na te słowa pomruk przeleciał po tłumach, które zakotłowały się jako woda wrząca. Archontowie uciszyli je snadno rąk podniesieniem. Gdy znowu cisza nastała, Pausanias niezmieszany mówił dalej:

— Nie zawiścią ku wam, jeno miłością pospólnego dobra Hellady całej, śle wam Lakedajmon tę przestrogę! Snadno bowiem powrócić mogą po raz trzeci Persowie z potężną swą Azyjską przemocą, aby się klęsk poniesionych pomścili, a w niewolę zamienili wolność plemienia greckiego. Do tego gdyby przyszło, zważcie sami, o mężowie atheńscy, komu twierdze wasze budujecie? Onym — nie sobie! Wszak barbarzyńcy niedawno Theby warowne zająwszy i mnogością swych wojsk osadziwszy, w miasta onego murach obronnych usłali sobie silne gniazdo, tak, iż tylko z ciężkością, po krwawem oblężeniu wyżenąć ich stamtąd można było. Tem doświadczeniem nauczona Sparta i z nią Peloponnez, nie chce i nie może dopuścić, aby na Hellady wybrzeżu wschodniem,

jako Medom ku najazdowi najłacniejszem jakiekolwiek miasto murami się opasywało.

I znowu poruszyły się niespokojnie tłumy Atheńczyków, lecz Pausanias nie bacząc na to, kończył podniesionym głosem:

— Prosi was tedy Lakedajmon, iżbyście zaprzestawszy budowania twierdzy, raczej wespół z nim i z peloponeskimi narody, przeciwko Persom porażonym i osłabionym wyprawę morską pospólnie podjęli. Jako zasię z polecenia współobywateli moich, objąć mam naw spartańskich dowództwo, przetom jest posłan do was i powiadam: złączcie z naszymi wasze korabie, iżbyśmy od Kyporu wyspy, aż po Byzantion uzwolili osady helleńskie z pod Xerxesowego jarzma!

Skończył i stał oparty na białej lasce, a za nim stali nieruchomo jego towarzysze. Cichość była na razie, aliści wnet zerwał się szmer mnóstwa zmieszanych głosów i w głuchy gwar przechodził. Zamilkli wszyscy dopiero, gdy z pośród mężów radnych powstał Xantippos, który w zeszłym roku statkami atheńskimi dowodził pod Mykale. Budowy krępej, ramion szerokich, mąż ów miał w sobie coś z tura, nawet kosmyki rzadkich włosów trefione i z pod wieńca wymykające się na nizkie, szerokie czoło zwiększały podobieństwo z onym potężnym zwierzem. Łatwo zgadnąć można było, że ociężałość jego ruchów nie z ospałości pochodzi, jeno raczej z niezłomnego uporu i z hamowanej popędliwości, która wybuchnąć może w szał i zapamiętanie. Człowiek ten wówczas gotów bić głową o ścianę... i przebić!

Z pod brwi spojrzawszy na posłów, rozpoczął:

— Słysz mnie Lakedajmonie i wraź w serce moje słowa. Gdzie trzeba lać krew za pospólne dobro Hellenów, tam Atheny zawżdy bywają pierwsze od Marathońskich czasów. Nie zwłóczą z bojem, ani księżyca nie pytają o wróżbę. Ty sam waleczny Kleombrota synu zaświadcz rodakom swoim, czyli Atheńczycy pod wodzą Aristejdesa by na krok ostali w tyle za Spartą na Platajskich błoniach; ja zasię poświadczyć mogę i potwierdzi to sam król wasz, Leotychides, jako, że atheńskie nawy od spartańskich nie gorzej sprawowały się pod Mykale. Skoro tedy nikomu na wojnie w męstwie nie ustępujemy, przecz mielibyśmy przed

czyjąkolwiek ustępować wolą podczas pokoju i w naszych ojczystych sprawach? Nie natośmy Xerxesowi ziemi a wody zaprzeczyli, nie natośmy na ziemi a na wodzie potykali się zwycięsko z przemożnym wrogiem, iżbyśmy, jarzmo perskie mieczem zdruzgotawszy, pod lakedajmońskie potulny kark pochylali.

Na barbarzyńców najazdy najbardziej wystawieni, — jako sami powiadacie — mamyż-li gród nasz i domy bezbronne dla najezdników, jako szaleńcy, trzymać otworem? białychgłów, dzieci, majętności naszych nie zabezpieczać twierdzą, przeto jedynie, że się tak Sparcie podoba?! Wracajcie i powiedzcie tam nad Eurotasem, iż Atheny kromia praw swoich, nikomu nie zwykły podlegać, a czynić u siebie chcą i będą to, co im samym zda się słuszne i mądre. Powiedzcie, iż Lakedajmon spać może spokojnie, bo gdyby wrócili Persowie, Atheny wonczas murami swymi i piersią własną tem ci pewniej zasłonić go potrafią!

Przywtórzyła mu zewsząd burza gromkich okrzyków i oklasków ludu. On zasię z oczu krwią nabiegłych miotając błyskawice siadł ciężko i dyszał.

Pausanias milczał, a gdy się nie mógł doczekać, by gwar głosów ustał, wyprostował się hardo i z pełnej piersi zapytał przekrzykując wrzawę:

— Żali to jest odpowiedź wasza cała, mężowie Atheńscy?!

Tymczasem atheńska starszyzna półgłosem naradzała się między sobą; lakedajmońscy posłowie czekali niecierpliwie. Wtem podniósł się zwolna mądry Aristejdes Lysimachów. Przenikliwem spojrzeniem potoczył dokoła, jakby ciszę nakazując oczyma. Zaraz też milkły wzburzone tłumy, on zaś mówił do nich spokojnie a z mocą. Słowa jego płynęły równo, powoli, padając na roznamiętnione umysły, jak oliwa na wzdęte wały morskie.

— Rozważmy bez gniewu i nagłości, o Atheńczycy, wszystko cośmy z ust posłów spartańskich słyszeli. W onych przemówieniu dwie ja widzę sprawy, które z osobna waszemu rozsądkowi poddawam. Broni nam Lakedajmon utwierdzać murami gród i miasto — wszak to jedno; — powtóre wzywa nas do pospólnej, dalszej walki z barbarzyńcami na morzu. Co się obwarowań tyczy, odpowiedź na to nie łacna jest i wymaga dojrzalszego namysłu, przeto nie-

chaj w tej chwili na bok odłożoną będzie. Gdy nas jednak o pomoc proszą przeciwko Persom, każdy Atheńczyk całem sercem przyzwolić może i powinien, a to z wiela i ważnych powodów: aby wrogowi znacznie zwątlonemu rogów na dobre przytrzeć; aby helleńskiej braci wybawienie z Xerxesowej niewoli kupić krwią i męstwem; aby, — jako słusznie wyrzekł Xantippos — nasze Atheny w dzielności nikomu nie ustąpiły kroku; a wkońcu i dlatego, iżbyśmy Spartanom życzliwość okazali chocia nie wszystkie ich żądania uznać możemy za sprawiedliwe. Przeto mniemam, że Spartanom przeciw królowi perskiemu na oswobodzenie Kypru i wysp innych nie odmówicie korabiów czterdziestu, które pod naczelną wodzą Pausaniasa do naw lakedajmońskich popłynąć mają. To się od nas w tej chwili należy Helladzie, tego po nas domaga się sława i wielkość ojczyzny naszej!

Rzekł i usiadł, a tłumy wtórzyły jego słowom oklaskiem, okrzykiem i wzniesionemi ramiony. Po myśli onych rzesz ludu głosowała i Rada gałkami.

Zaczem podniósł się z ławy Themistokles. Ruszyły się na jego widok tłumy, ścisk powstał pod Arejopagiem, każdy bowiem chciał z blizka widzieć go i słyszeć. On jął mówić, jakby słowa z pod serca mu tryskały a głos jego pełny, głęboki, dźwięczny brzmiał zapałem i siłą:

— Wiadomo wam z dawien dawna, obywatele atheńscy, że nieczęsto zgadzam się z Aristejdesem. Jesteśmy jak woda i ogień. Wszak on sam niegdyś powiedział do was: jeśli spokoju w mieście pożądacie, na wygnanie skażcie i mnie i Themistoklesa. Skoro my tedy obaj godzimy się na jedno, to rzecz taka ze wszech miar dobra być musi. Zdaniem Aristejdesa, nie powinniśmy się kwapić z odpowiedzią na spartańskie żądanie, iżby miasta i grojca obwarowanie zaniechane było. Mądre zdanie i przywtórzę mu ja, którym zawżdy bywał za krótkością w naradach, szybkością w postanowieniach, pośpiechem w czynach. Jakoż nam dzisiaj wyrzec się tego, cośmy wszyscy w duchu za pożyteczne ojczyźnie uznali? Jakoż mnie, którym najżarliwiej nawoływał do budowy murów, dziś odradzać tę budowę? Ale równie ciężko na sercu byłoby nam życzenie, może i słuszne, Lakedajmonu i peloponneskich na-

rodów odrzucić wzgardliwie; braterstwo na tylu polach walki uświęcone krwią przelaną wspólnie, rozerwać; z gorących przyjaciół, wrogów sobie uczynić. O ile ciężej mnie, — który niedawno powtarzałem, — iż okręty nasze, owe mury drewniane, przed Persami najlepiej nas obronią, mnie samemu dziś o ile ciężej byłoby wmawiać w lud, że dla kamiennych murów poświęcić należy najdroższy skarb, zachowanie i miłość u ludów helleńskich! Skoro tedy na dwoje ważą się myśli nasze, odpowiedzmy posłom: co czynić wypada, nie umiemy na razie rozstrzygnąć; rozważymy zatem głęboko, powoli uradzimy, odpowiedź damy wam zasię najrychlejszą. Wy jej nie czekajcie, osobne z nią poselstwo wyprawimy do Sparty.

Od hucznych oklasków i przytakiwań ludu brzmiało powietrze, starszyzna w Radzie też jednomyślnie przyzwala na zdanie Themistoklesa. Powstał tedy archont-król, podniesioną prawicą wrzawę uśmierzył i rzekł:

— Oto macie odpowiedź Athen posłowie Lakedajmonu!

Taką wzięło poselstwo spartańskie odprawę. Zaczem archontowie do miasta wiedli Pausaniasa i towarzyszów jego, by onych w prytanejonie przystojnie ugościć. Lud rozchodził się, żywo rozprawiając po drodze nad tem, co dalej będzie z odbudową murów i grojca.

Z Arejopagu zstępował powoli Aristejdes. Głowę ku ziemi zwiesił i ciężką miał troskę na twarzy. Przyłączył się doń Kimon Miltiadów, który w milczeniu potrząsał płową grzywą, niby lew, jako to miał w zwyczaju ilekroć bywał wzburzony. Po chwili zagadnął go z nagła:

KIMON. Lepiej ty, Aristejdzie, niż ktokolwiek z Rady czy z ludu przeznałeś Themistoklesa. Nie zgadujesz-li, co miał na myśli odprawiając posły ni z tem ni z owem?

ARISTEJDES. Podstęp jakowyś jest w tem napewno, którym chce przechytrzyć Lakedajmony. Z oczu mu to wyczytałem, gdy przemawiał. Zawżdyć on w potrzebie fortel ma gotowy. Przed salamińską bitwą, gdy przymierzeńcy z korabiami swymi już nas odstąpić mieli, a najgorzej gardłował za tem Adejmantes Koryntyanin — wonczas Themistokles, nic nie mogąc wskórać

prośbą ni groźbą, namową ni złotem, do Xerxesa tajnie posłał, iżby helleńską flotę zawarł w cieśninie, a tak fortelnie rozpierzchnieniu Greków zabieżał i wszystko do szczęsnego końca doprowadził. Zawżdyć on, gdzie nie można prostą drogą, krzywe ścieżki najdzie a swego dopnie. Niechby jeno takich sposobów nie jął się kiedy przeciw ojczyźnie: wielki on, ale i niepewny, bo w nim duma gra i namiętność.

KIMON. Co poczniemy? Zwłoka w odpowiedzi rzeczy samej nie zmienia, skoro wszyscy dobrze wiemy, że mury być muszą i twierdza na grojcu.

ARISTEJDES. Od tego nie możemy odstąpić przed groźbami Lakedajmonu. Wojna stąd wyniknąć może snadno.

Chciał coś Kimon odpowiedzieć, lecz tejże chwili stanął przed nimi niespodzianie sam Themistokles i ręce ku nim wyciągnął.

THEMISTOKLES. Wiem ja, że mi przeciwni bywacie, ale gdy dobro miasta wymaga, pewien jestem porozumienia z wami. Musicie mnie wysłuchać i pomódz mi obaj w tem, co zamierzyłem.

ARISTEJDES. Mów otwarcie.

THEMISTOKLES. Umyślone jużem w głowie miał wszystko, jakobyśmy obwarować mogli gród i miasto, kiedy Spartanom obiecywałem późniejszą odpowiedź przez osobne posły. Oni jutro do domu powrócą, a my Radę i zgromadzenie zwołamy...

KIMON. Jakąż ty chcesz odpowiedź, byśmy uchwalili?

THEMISTOKLES. Żadną. Nie będzie odpowiedzi. Niechaj mnie jeno, z kimkolwiek drugim lud w poselstwie do Sparty wyprawi. Podejmuję się w Lakedajmonie zwlekać z odpowiedzią pół roku, może dłużej, będę się ociągał, na przybycie naszych posłów innych rzekomo czekając, będę z dnia na dzień i z miesiąca na miesiąc odkładał. Atheńczycy niechaj zasię przez ten czas mury co żywo kończą, niechaj nie mitrężą nad ciosaniem głazów, jeno z domów i świątyń gotowe kamienie biorą do budowy: i dzwona i głowice kolumn i belkowań, i marmurowe złomy, wszystko niech idzie w budowę; nie żałować niczego, nie oglądać się na nic, byle prędzej, byle mocniej a wyżej wzniosły się obwarowania!

ARISTEJDES. Czy mniemasz, synu Neoklesa, iż Lakedaj-

monowie nie dowiedzą się, co się u nas dzieje? Nie wtargną, nie przeszkodzą?

THEMISTOKLES. Jeśli do nich wieść dojdzie o budowiech naszych — zaprzeczę, i powiem iżby gwoli przekonania się posły ponownie do Athen wysłali, a tak zyszczę znowu na czasie.

KIMON. Ale raz przecie prawda na wierzch wypłynie, a wonczas ty życiem ją przypłacisz!

THEMISTOKLES. Gotów jestem i na to. Jednakże na wszystko jest rada: skoro posły dla sprawdzenia wieści do Athen przybędą, wy onych zatrzymajcie chociażby przemocą, póki mury nie będą gotowe i póki mnie wespół z towarzyszem Spartanie zdrowo nie wypuszczą. Wówczas, choćby do wojny przyjść miało, zabezpieczeni warownymi mury, Lakedajmonu nie będziemy się bali: niechaj przyjdą miasta dobywać, niech sobie zęby o nasze twierdze łomią!

. . . . . .

* * *

Rok mijał od owej wiosny.

Wszystko stało się w tym czasie, jak umyślił był Themistokles, który w Lakedajmonie siedział posłem wraz z Habronychosem, synem Lysiklesa i Spartan obietnicami a wymówkami zwodził i manił. Gdy zasię nie bez trudności wyrwali się i do Athen powrócili, miasta ni grojca obaj poznać prawie nie mogli.

Potężne mury w krąg otaczały miasto; do wnętrza wiodło jedenaście zaworzystych warownych bram. Akropol obiegała górą wysoka, mocna korona murów kamiennych, w której — zwłaszcza od północnej strony widać było, do budowy użyte złomy ciosów, bębny i głowice kolumn i głazy belkowań. Doszczętnie bowiem rozebrano w tym celu zwaliska Hekatompodonu, najstarszej onej świątyni na grojcu i ruiny dawnego pałacu Pejsistratidów, na wschód od świątnicy położone. Pocieszali się Atheńczycy myślą, że stokroć piękniejsze chramy i gmachy postawią niebawem.

Na dole w mieście zniknęły również dawnych domostw rudery i zgliszcza; kamień z nich uzyskany poszedł na odbudowę murów. Natomiast jedne przy drugich wyrastały już nowe domy

i domki tworząc ulice i place. Wobec nadchodzących wiosennych świątków Dionysosa czemprędzej uprzątano z gruzów teatr wykuty w południowem zboczu góry zamkowej, by na nim odgrywać tragedye uświęconym w tej porze obyczajem.

Bujne młode życie odkwitało w całej pełni na każdym kroku; zabliźniały się rany straszliwe perskiego najazdu. Rozpromienionemi oczyma pozierał na to wszystko Themistokles. Przez cały pierwszy dzień po przyjeździe pospołu Habronychem, otoczon mężami z Rady i rzeszą ciekawych, obchodził dokoła mury i bramy, oglądał ulice, podziwiał warownię Akropolu. Tam, na wschodniopołudniowym krańcu wzgórza pod skwapliwym nadzorem Kimona, wrzała jeszcze gorączkowa robota. W tej stronie na murach tuż ponad teatrem ostatnie warstwy ciosów kładli budownicy, a równocześnie tłum niezmordowanych pracowników gruzem i odłamami posągów napełniał i wyrównywał wklęsłość, która tu wgłębiała się w płaską powierzchnię szczytu.

Wiosenne popołudniowe słońce zdawało się przepajać blaskiem szczerozłotym niebiosa i ziemię; światłem i cieniem podkreślało zarysy murów i zaostrzało ruchome kształty ludzi rojących się na świętym grojcu. Themistokles patrzał i z radości serce w nim rosło na widok tego ładu i zapału w pracy.

Oto przez całą szerokość grodziszcza, stamtąd, gdzie stał niegdyś Hekatompodon, po kilku i kilkunastu ciągną powoli mężowie odziani w krótkie, robocze chitony. Żylaste ich ramiona dźwigają lub toczą po ziemi złom kamienny, czy posąg srodze pogruchotany. Miarowym, ciężkim chodem kroczą ku wgłębieniu temu, zstępują w dół i na dnie składają równo, jedne przy drugich one okruchy dawnej wspaniałości. Już legły spokojnie obok siebie potrzaskane tułowie gigantów, co w szczycie zburzonej świątnicy z naroży wypełzali chyłkiem, na walkę z bogami; już bezgłowe, dziewicze ciało Pallady obok nich złożono, pomiędzy gruzem znać jeszcze sute fałdy ajgidy świetnie malowanej; tam znowu leży ów dziewięsił mocarny, którego bogini obaliwszy przebijała włócznią: rzekłbyś, iż ostatnim wysiłkiem olbrzym chce się zerwać na nogi, aby żywcem nie był pogrzebiony i tak w gwałtownym ruchu skamieniał z bezsilnej, głuchej rozpaczy... Oto

w posadach rozebranej kolumnady naleziono rzeźby jakoweś prastare, niedołężnie potworne, surowo malowane, snać pamiątki naddziadowych czasów: sploty skłębionych wężów, bezmyślnie uśmiechnięte czarnobrode oblicza, kadłub i łeb ogromnego byka, szczątki lwich cielsk drgające krwi chciwą wściekłością... Niosą to wszystko, wloką, rzucają na dno, zasypują miałkiem rumowiskiem, ubijają gładko ciężkimi stępory. Zaraz potem inni ciągną sznurami, albo w rękach dźwigają drobne dziewczęce postaci, takie misterne i wdzięczne, a tak sponiewierane, obite, pokruszone. Lecz te biedne, jakby nie wiedziały co się z niemi dzieje, uśmiechają się napół smutnie a na pół zalotnie, resztą poutrącanych rąk podtrzymują powłóczyste, barwne sukienki. Niosą je ludzie smagli, uznojeni; żywcem strącają, staczają do grobu jednę po drugiej; a kamienne dziewki z uśmiechem żałosnym na różowych wargach po raz ostatni patrzą malowanych źrenic tęsknem spojrzeniem w szafirową kopułę nieba, przepojoną słonecznem złotem i tak niemym żalem oczu na długo żegnają się z błękitem i światłem, na lat całe tysiące...

W jednej z nich, największej i najokazalszej Themistokles poznał od razu dzieło Agenora, dar Nearcha starego zduna z Keramejsku. Wnet i starucha onego zobaczył, jak przez ciżbę się przebiwszy, stanął nad otwartą mogiłą marmurowych panien. A gdy je zasypywano ziemią i okruchami kamienia, pochylił się nizko, piasek i grudki ziemi zgarniał oburącz i rzucał z takim smutkiem, jak gdyby córkę młodą grzebał. Zadudniały niebawem stępory, dziesiątki nóg jęły udeptywać zasypisko i tak wyrównywała się wklęsłość góry zamkowej. Stary garncarz długo jeszcze stał i patrzał przed siebie oczyma od łez szklanemi.

Słońce tymczasem zniżyło się ku zachodowi. Themistokles z Habronychem podążał ku wyjściu, a za nim szła spracowana rzesza. W bramie grodziszcza zatrzymał się syn Neoklesa przykuty wspaniałością widoku. W dole, u stóp jego rozpościerało się na wsze strony miasto zmartwychwstałe ze zgliszczów, murami obwiedzione, basztami warowne, a dalej za pagórami Pnyxu i Musajonu ciągnęła się żyzna równina, zieleniejąca młodziuchnymi sady i winnicami założonemi świeżo. W tej chwili na wszystkiem

kładła się łuna zachodzącego słońca, które nakształt ogromnej, czerwonej kuli z nieba złocistego nieznacznie chyliło się ku morzu. Było zasię zwierciadło morskie, jako płynna rozżażona miedź łyskająca blaskami. Różany jej bezmiar w głąb lądu wrzynał się trzema zatokami.

Themistokles oblany zorzą wieczorną, wpatrywał się czas niejaki w one przepychy morza i ziemi, słońca i nieba, przysłaniając oczy dłonią. Nagle zwrócił się do stojącego przy nim Kimona:

— Zali nie mniemasz, Miltiadów synu, że naszej flocie z dawna już nazbyt jest ciasno w przystaniach Faleronu i Munichii? Gdybyśmy tak z Pejraju ostoję główną uczynili, a z miastem związali ją murami obronnymi?! Niechajby potem — jako straszą Spartanie — Xerxes przeciwko nam raz jeszcze Azyę całą spędził, oddechu do morza już nam wonczas nie odetnie!

Milczeli wszyscy wielkością tego męża i tej myśli zdumieni. A jemu tymczasem kładły się na wyniosłem czole ostatnie promienie słońca, które niebawem w toń morską miało się pogrążyć. Wieczorny podmuch z dołu od miasta niósł odgłosy radosnych pieśni zmieszane z dźwiękiem narzędzi muzycznych. Albowiem ostatni wieczór zapadał przed wielkiemi świątkami Dionysosa.

Lucyan Rydel.

PROROCY I IDEAŁ MESYAŃSKI W IZRAELU.

(Ciąg dalszy).

Pod koniec życia Ozeasza zjawia się na widowni historycznej »za dni Oziasza, Joathana, Achaza i Ezechiasza królów judzkich« największy z proroków, przez Ojców Kościoła ewangelistą zwany, Izajasz. Natchniony eklezyastyk nazywa go »prorokiem wielkim i wiernym przed oczyma Bożymi«, który »wielkim duchem przejrzał pośledniejsze (ostateczne) rzeczy i płaczące w Sionie pocieszył« (r. 48, 25, 27).

Powołanie swoje sam prorok tak opisuje: »Roku, którego umarł król Oziasz (r. 739), widziałem siedzącego na stolicy wysokiej i wyniosłej... seraphim stali przed nim... I wołali jeden do drugiego i mówili: święty, święty, święty Pan Bóg zastępów, pełna jest wszystka ziemia chwały jego... I przyleciał do mnie jeden z seraphim, a w ręku jego kamyk, który był wziął kleszczami z ołtarza. I dotknął się ust moich i rzekł: owo się to dotknęło warg twoich, i odejdzie nieprawość twoja a grzech twój będzie oczyszczony. I usłyszałem głos Pana mówiącego:

...Idź, a powiesz ludowi twemu: słuchajcie słuchając, a nie rozumiejcie i oglądajcie widzenie a nie poznajcie. Zaślep serce ludu tego, a usty jego obciąż i oczy jego zawrzyj, aby snadź nie widział oczyma swymi i uszyma swymi nie słyszał, a sercem swym nie rozumiał, a nawróciłby się i uzdrowiłbym go. I rzekłem: dokądże Panie? (trwać będzie ta niewiara). I rzekł: aż będą spustoszone miasta bez obywatela, a domy bez człowieka a ziemia

ciągnienie skrzydeł jego, napełniając szerokość ziemi twojej o Emmanuelu«. I ty na to pozwolisz Emmanuelu, pyta się trwożliwie prorok? Przenigdy, sam odpowiada, »zgromadźcie się narodowie a bądźcie zwyciężeni, a słuchajcie wszystkie dalekie ziemie: zmacniajcie się a bądźcie zwyciężeni, przepaszcie się a bądźcie zwyciężeni. Wnidźcie w radę a będzie rozerwana: mówcie słowo, a nie stanie się: bo z nami Bóg« (VIII, 7—10). Na nic potęga miecza i potęga geniuszu wrogów. Zwycięstwo będzie po stronie Izraela, bo z nami Emmanuel.

»Pana zastępów tego święćcie, ten strachem waszym i ten bojaźnią waszą. I będzie wam poświęceniem« lub »kamieniem obrażenia i opoką zgorszenia... I obrażą się z nich bardzo wiele i powalą się i starci będą i usidleni będą i pojmani będą« (13—15). Bardzo wielu popadnie w niewiarę i starci będą, tylko mała garstka się ostoi. I dla tych niewielu »zawiąż świadectwo, zapieczętuj zakon między uczniami moimi (t. j. zawiąż i przechowaj zwój pergaminowy z proroctwem dla uczniów). A czekać będą Pana, który zakrył oblicze swe od domu Jakóbowego i poczekam go.

Oto ja i dzieci moje (t. j. Schear jaschub i Maher schalal-Haz bas), które mi dał Pan na znamię i na cud w Izraelu od Pana zastępów, który mieszka na górze Sion.

A gdy rzekę do was: Pytajcie się pythonów i wieszczków, którzy markocą w czarowaniu swoim, a za naród nie będzie się pytał u Boga swego o żywe od umarłych (t. zn. czyliż nie słuszna, żeby naród radził się swojego Boga, żeby nie dowiadywał się od umarłych o żywych?).

Do Zakonu raczej i do świadectwa (t. j. do proroctwa. Takie hasło rzuca prorok ludowi). A jeśli nie rzeką według słowa tego (jeśli wierzyć nie będą), nie będą mieć jutrzennej światłości«. I tu opisuje prorok tragedyę duszy ludu, łaknącego prawdy i rzeczy Bożych: »I przejdzie przez nię (t. j. przez Judeę jutrzenna światłość), powali się i łaknąć będzie: a gdy będzie łaknął będzie się gniewał i będzie przeklinał króla swego i Boga swego a będzie w górę poglądał. I na ziemię patrzyć będzie, a oto ucisk i ciemność, rozerwanie i ściśnienie i mrok ścigający a nie będzie mógł odlecieć z ucisku swego« (15—22).

I kto uratuje kraj z zaguby, kto podźwignie i uzdrowi duszę narodu? Nie kto inny, jak Emmanuel i tu rzuca prorok pęk światła na ponurą rzeczywistość. W Galilei, spustoszonej przez Assyryjczyków, zajaśniała światłość wielka: »Lud który chodził w ciemności ujrzał światłość wielką: mieszkającym w krainie cienia śmierci światłość im weszła. Rozmnożyłeś naród...

Albowiem maluczki narodził się nam i syn jest nam dany: i stało się panowanie na ramieniu jego i nazową imię jego: Przedziwny, radny, Bóg, mocny, ojciec przyszłego wieku, książę pokoju«. Cudowne dziecię to, umocni chwiejący się tron Dawidów i rozszerzy granice państwa judzkiego na ziemię całą: »Rozmnożone będzie państwo jego a pokoju nie będzie końca: na stolicy Dawidowej i na królestwie jego siedzieć będą, aby je utwierdził i umocnił w sądzie i w sprawiedliwości odtąd i aż na wieki: zawistna miłość Pana zastępów uczyni to« (IX, 1—7).

Prorok, cudowne narodzenie Emmanuela przepowiedział na znak najbliższych wypadków, ale niebawem tajemnicze dziecię przyobleka się w przymioty Boskie i panuje światu i przenosi się w zamgloną dal przyszłości.

Lud żydowski wszelako »w pysze i wyniosłości serca« swego nie kwapi się do Pana. I dlatego srogie przyjdą nań klęski zewnętrzne i wewnętrzne, które go ostatecznie pogrążą w bratobójczych walkach i do zupełnej przywiodą ruiny. »Bo się zapaliła jako ogień niezbożność, tarń i ciernie żreć będzie a zapali się w gęstwie lasu (t. j. wśród ludu i możnych)... dla gniewu Pana zastępów strwożyła się ziemia i będzie lud jako strawą ognia... każdy mięso ramienia swego żreć będzie: Manases Efraima, a Efraim Manasesa, ci społem na Judę« (IX, 18—20).

Małe resztki tylko nawrócą się do Pana (za czasów Ezechiasza i Emmanuela): »Ostatek się nawróci, ostatek, mówię, Jakóba do Boga mocnego«. Niechaj nikt zadufany w obietnice Boże w tej mierze nie czyni sobie iluzyi, ostatek tylko, mówi prorok z naciskiem, się nawróci. »Bo choćby było ludu twego Izraelu jako piasku morskiego, ostatek (tylko) nawróci się z niego: dokonanie skrócone wyleje sprawiedliwość (t. zn. sąd ten nieodwołalny dopiero wytworzy sprawiedliwych). Bo dokonanie i skróce-

nie uczyni Pan Bóg zastępów w pośrodku wszystkiej ziemi« (X, 21—23).

Upadnie też potęga assyryjska, »rózga gniewu« Bożego: Biada Assurowi, w którego »ręku jest rozgniewanie moje«, mówi Pan (X, 5).... Dumny Sennacheryb może sobie grozić miastu świętemu z Nobe: »jeszcze dzień jest (nim słońce zejdzie), że mogę stać (stanąć) w Nobe (skąd widać Jerozolimę): będzie potrząsał ręką swoją ku górze córki Sion, pagórkowi Jeruzalem. Oto panujący Pan zastępów stłucze łagwicę w strachu (roztrąci garniec wśród grozy), a wysokiego wzrostu wycięci będą, a wyniośli będą poniżeni. I obalone będą gęstwy lasu żelazem: i Liban z wysokimi upadnie« (X, 31—33). Dumny, jak wyżyny Libanu i wysokopienny gąszcz leśny, Assur będzie poniżony i obalony, ażeby zrobić miejsce królestwu Emmanuela, które rozszerzy się na świat cały. Bo Mesyasz i królestwo pokoju już blizkie.

»I wynijdzie różdżka z korzenia Jessego (ojciec Dawida), a kwiat z korzenia jego wyrośnie. I odpocznie na nim Duch Pański, duch mądrości, i rozumu, duch rady i mocy, duch umiejętności i bogobojności, i napełni go duch bojaźni Pańskiej. Nie według widzenia oczu sądzić będzie, ani według słyszenia uszu strofować będzie: ale będzie sądził w sprawiedliwości ubogie, i będzie strofował w prawości za cichymi na ziemi: i ubije ziemię rózgą ust swoich, a duchem warg swoich zabije niezbożnika. I będzie sprawiedliwość pasem biodr jego: a wiara opasaniem nerek jego.

Będzie mieszkał wilk z jagnięciem, a pard z koźlęciem legać będzie: cielę i lew i owca pospołu mieszkać będą, a dziecię małe pędzić je będzie. Cielę i niedźwiedź będą się paść: społem legać będą dzieci ich: a lew jako wół plewy będzie jadał. I będzie grało dzieciątko od piersi nad dziurą żmijową: a odchowane dziecię do jamy bazyliszkowej wpuści rękę swoją. Nie będzie szkodzić ani zabijać po wszystkiej górze świętej swojej: bo napełniona jest ziemia znajomości Pańskiej, jako wody morskie pokrywające«.

Znajomość tedy Boga tak głęboka i rozległa jak wody oceanu, znajomość ogarniająca i przenikająca serce ludzkie i wszystkie

dziedziny pracy i życia społecznego: oto warunek i źródło nieodzowne tego blasku i szczęścia i pokoju rajskiego, którym zakwitnie ziemia.

Królestwo to szerzyć się będzie najprzód wśród pogan. »Onego dnia krzew Jesse, który stoi na znak narodów, jemu się narodowie modlić będą, i będzie grób jego sławny« [1]. A więc z ukrycia i poniżenia rozwinie Mesyasz swoją chorągiew, około której narody pogańskie kupić się będą, jak żołnierze około znaku bojowego. Narody z żrącą tęsknotą szukać go będą, a on wszystkich zaprasza do udziału w pokoju i chwale. »Wyniknie w gałązki a uczyni owoc i będzie cedrem wielkim. I będą mieszkać pod nim wszystko ptactwo i wszelkie co lata pod cieniem gałęzi jego gnieździć się będzie« (Ezech. 18, 23). I spełnią się obietnice dane patryarchom, i wykwitnie odwieczne królestwo Dawidowe z korzenia Jesse.

Powtóre gdy Mesyasz stanie się znakiem narodów »dnia onego przyłoży Pan powtóre rękę swą, aby posiadł ostatek ludu swego, który postawion będzie od Assyryjczyków i od Egiptu, i od Phetros i od Etiopii i od Elaru i od Sennaar i od Emath i od wysep morskich. I podniesie chorągiew między narody i zgromadzi wygnańce Izraelowe i rozproszone Judzkie zbierze od czterech stron ziemi«.

Po raz pierwszy położył Bóg wszechmocną rękę swoją na ludzie żydowskim gdy »nalazł go w ziemi pustej, na miejscu strachu i głębokiej pustyni, (gdy) obwiódł go i uczył i strzegł jak źrenicy oka swego. Jako orzeł wywabiający ku lataniu orlęta swe, i nad nimi latający, rozszerzył skrzydła swoje i wziął go i nosił na ramionach swoich« (Deut. 32, 10—11).

A gdy naród po utracie ojczyzny poszedł na wiekową tułaczkę, Pan po raz wtóry »dnia onego«, gdy ludy pogańskie pokłonią się Chrystusowi, »zgromadzi wygnańce Izraelowe« ze wszystkich stron świata około sztandaru krzyża. I będą »czerpać wody z radością ze zdrojów zbawicielowych« i chwalić Pana, »bo

[1] Tłumaczenie św. Hieronima odbiega tu od oryginału. Ustalony tekst hebr. mówi: »narody szukać go będą a spoczynkiem jego będzie chwała«.

wość) narodu wyda. Nie będzie wołał ani będzie miał względu na osoby, ani będzie słyszan głos jego na ulicy. Trzciny nałamionej nie skruszy a lnu kurzącego się nie zgasi: w prawdzie wywiedzie sąd. Nie będzie smutnym ani zaburzonym, aż postanowi na ziemi sąd, a zakonu jego wyspy czekać będą. To mówi Pan, który stworzył niebiosa i rozpostarł je, który umocnił ziemię i co się rodzi z niej... (r. 42).

Wielki jest majestat i nieporównana potęga jego. On tylko jeden jest mocen wyzwolić lud z niewoli i wznowić dawną chwałę Izraela. On który mówi: »Wzbudzam słowo sługi swego (proroka) a radę posłów swoich wykonywam. Który mówię Jeruzalem: będą mieszkać w tobie, a miastom Judzkim: Będziecie zbudowane: a spustoszenia jej wzbudzę... Który mówię Cyrusowi: jesteś pasterz mój a wszystką wolę moją wykonasz. Który mówię Jeruzalem: Będziesz zbudowany a kościołowi, będziesz założony. To mówi Pan pomazańcowi memu Cyrusowi, któregom ujął prawicę, abych podbił przed nim narody, a grzbiety królów obrócił (t. j. do ucieczki zmusił) i otworzył przed nim wrota, a bramy nie będą zamknione«. (r. 44, 26–45, 1).

Prorok patrzy się w duchu na wspaniały powrót ludu swego z miejsca wygnania i dźwigające się z ruin miasta judzkie i zakwitające chwałą świętą miasto Boże, widzi bohatera, który skruszy potęgę Babilonu i pozwoli wygnańcom powrócić do ojczyzny. »Jam wzbudził ku sprawiedliwości (t. j. żeby uczynił sprawiedliwość) i wszystkie drogi jego uprostuję: on zbuduje miasto moje i więźnie moje wypuści nie za okup ani za dary« (45, 13). I Izrael nawróci się do Messyasza i poznają w nim »zbawiciela« (r. 15) a poganie »zbawieni z narodów« skruszą bałwany i uznają majestat jego (r. 20).

Wszystkie narody nawrócą się do Pana: »Nawróćcie się ku mnie a będziecie zbawione wszystkie kraje ziemi, bom ja Bóg a nie masz innego. Przysiągłem sam przez się, wynidzie z ust moich słowo sprawiedliwości a nie wróci się: że się mnie kłaniać będzie wszelkie kolano i każdy język przysięgać. A tak Panie, rzecze, moje są sprawiedliwości i rozkazowanie: do niego przyjdą i zawstydzą się wszyscy, którzy mu się sprzeciwiają (r. 22–26).

Przepowiednie te odnoszą się wprawdzie w pierwszym rzędzie do »pomazańca« Cyrusa i do powrotu Żydów z wygnania babilońskiego (r. 45, 4). Ale pomazaniec ten i powrót Żydów do ojczyzny to tylko typ i symbol innej niewoli i innego Pomazańca, który ma wyzwolić wszystkie narody z grzechu i założyć królestwo łaski i prawdy, ogarniające ludzkość całą. Jedno proroctwo zlewa się tu z drugiem w jeden obraz jasnej przyszłości i na jednem tle pod względem czasu i miejsca rozgrywają się wypadki, oddzielone od siebie wiekami. Tak wizya prorocza stapia w jedną całość wypadki, celowo ze sobą związane, a w rzeczywistości przesłonięte wiekami.

Rozdziały 49—57 stanowią drugą grupę proroctw, której punktem środkowym i górującym są cierpienia i śmierć ofiarna »sługi Jehowy«.

Ofiara ekspiacyjna i idea solidarności to najwnętrzniejsza istota religii żydowskiej. Niema zgody z Bogiem bez zadosyćuczynienia, bez ofiary przepisanej w Zakonie. Z drugiej strony idea solidarności, tkwiąca w świadomości religijnej Żydów, pozwala na substytucyę zadosyćuczynienia. Modlitwą albo uczynkami ofiarnymi sprawiedliwego można zadosyćuczynić za grzechy narodu.

Otóż na dwu tych ideach opiera się cały plan odkupienia ludzkości. Sprawiedliwy bez skazy i winy cierpi okrutnie za grzechy ludzkości i po śmierci tragicznej zmartwychwstaje z grobu: oto treść główna najwznioślejszych proroctw Izajaszowych.

»Kto uwierzył słuchowi naszemu? a ramię Pańskie komu jest odkryte? A wystąpi jako latorośl przed nim, a jako korzeń z ziemi pragnącej: nie ma krasy ani piękności, i widzieliśmy go, a nie było nacz pojrzeć i pożądaliśmy go, wzgardzonego i najpodlejszego z mężów, męża boleści i znającego niemoc: a jakoby zasłoniona twarz jego i wzgardzona skąd aniśmy go mieli zacz. Prawdziwe choroby nasze on nosił, a boleści nasze on odnosił: a myśmy go poczytali jako trędowatego, a od Boga ubitego i uniżonego. Lecz on zranion jest za nieprawości nasze, zstart jest za złości nasze: karność pokoju naszego za nim a sinością jego

Prozodya poezyi hebrajskiej wogóle, a księgi Joba w szczególności nie jest niezbicie udowodnioną, ni ustaloną. Prawie każdy filolog podaje inny system. Tylko podział na człony (στίχοι) jest prawie pewny, natomiast kombinacya ich w celu utworzenia wyższych jednostek metrycznych (strof) jest trochę problematycznej natury, chociaż zdaje się nie ulegać poważnej wątpliwości sam fakt, że Izraelici znali strofy w poezyi, i że w szczególności autor Księgi Joba był z niemi dobrze spoufalony. Każdy wiersz hebrajski składa się z dwóch lub trzech członów (στίχοι); każdy człon rozpada się znowu na dwie symetryczne części, przedzielone małym przestankiem *(caesura)*. Rytm poszczególnych członów tworzą zwykle cztery ἄρσεις, którym bardzo często towarzyszą i θέσεις; te ostatnie mogą jednak brakować, zwłaszcza przed przestankami i pauzą.

Przy kombinacyi wierszy i członów w strofy powinny przyświecać, być niejako kamieniem probierczym systemu, naprzód: symetrya członów, tworzących strofki, następnie ich zgoda z treścią i z biegiem myśli poematu. Powyższe zasady, zdaje mi się słuszne, starałem się mieć na oku przy niniejszym przekładzie i podziale członów na strofy.

Ponieważ każdą z trzech części pierwszej mowy Joba różne znamionują myśli, różne przebiegają i ożywiają uczucia, przeto i układ strofek może i powinien być różny. Nawet Masoreci, którym wogóle nie leżała na sercu strofika, różną ilość członów wyznaczyli pojedynczym wierszom. Nie można jednak twierdzić, by całość przeprowadzili zupełnie szczęśliwie, konsekwentnie i bez zarzutu. Tak np. według Masoretów wiersz 3-ci składa się z dwu członów; wiersze 4, 5, 6, 9 z trzech; w. 7, 8, 10—26 znowu tylko z dwu członów. W tym podziale, w ogólnych zarysach dość trafnym, mniej zadowalają wiersze: 7, 8, 10, które zdaje się — winnyby mieć po trzy człony, jak tego wymaga paralelizm do wierszy 4—6 i 9. Bez jakiejkolwiek zmiany treści i tekstu, można jednak w pierwszej części liczyć po 3 στίχοι na wiersz.

Hontheim[1] wpadł na dość szczęśliwy pomysł, że wiersz

[1] Joseph Hontheim, *Das Buch Job* (1904) p. 84.

pierwszy (*recte:* 3,3), będący niejako tytułem i jakby treścią całości, mógłby się powtarzać jako *refrain* na końcu każdej z trzech części, a więc po wierszach 10, 19, 26. W systemie strofi cznym Hontheima »refrain« ten był koniecznym; ale nie da się zaprzeczyć, że podnosi on niemało siłę liryczną poematu, zwłaszcza po pierwszej części. Uważany jednak sam w sobie, »refrain« ten przy innym systemie strofi cznym niezbędnym nie jest. Zdaje mi się nawet, że ów »refrain« po 2-ej i 3-ej części nie bardzo harmonizuje z psychologią serca i logicznym biegiem myśli całej pierwszej mowy. Natomiast po pierwszej części byłby on bardzo na miejscu, a symetrya strofek częściowo go nawet wymaga. To też w układzie strofi cznym, który proponuję, przyjąłem ów »refrain« jako możliwy, a nawet wskazany. Komuby jednak zdało się to mniej uzasadnionem, może »refrain« pominąć, a wiersz 3,3 uważać za odrębną dla siebie całość, za program i jakby tytuł całości.

Układ strofi czny, który w przekładzie proponuję, przedstawia się następująco:

$$\begin{aligned} A &= 2 + (3 \times 3) + (3 \times 3) + [2] \\ B &= \quad (2 \times 3) + (2 \times 3) + (2 \times 3) \\ C &= \quad (2 \times 3) + \quad 2 \quad + (2 \times 3) \end{aligned}$$

Szczegółowy *komentarz filologiczny* (w rzeczy samej najważniejszy) muszę niestety tu pominąć, gdyż specyalnością swoją nie nadaje się dla wszystkich czytelników *Przeglądu* a i jego druk natrafia na wielkie trudności techniczne. Ograniczam się przeto do kilku koniecznych uwag.

w. 3 b. Dosłownie: »noc, która rzekła [ogłosiła, zaświadczyła]: począł się człowiek«.

w. 4 b. W pojęciu starożytnych Bóg imiennie wywołuje na firmament gwiazdy, a tem samem i dni, którym one przewodniczą; por. Izaj. 40, 26.

w. 6 a. W tekście masoreckim: »noc ona« — atoli treść całego wiersza (6) i kontekst wykazuje, że tu zaszła pomyłka przepisywacza. Winno być: «dzień on«.

w. 8. W przekonaniu ludów Wschodu miała istnieć szczególna, najstraszniejsza i najpotężniejsza klasa czarnoksiężników,

nieprzyjaciół światła (bóstwa) a przyjaciół odwiecznego chaosu i ciemności. Ten odwieczny chaos, ciemność i zło, uosabiali sobie Żydzi w Liwiatanie, smoku-wężu morskim. U Babilończyków nosił on nazwę: Tiâmat.

w. 12. U Semitów jest to dość ogólnym zwyczajem, że po przyjściu dziecka na świat, bierze je ojciec na swe kolano i przez ten akt uznaje niejako jego prawowitość; następnie oddaje je matce, by je karmiła. — Po wierszu 12-ym najlepiej odpowiada do kontekstu *wiersz 16*, który znowu między 15 a 17 w. mąci nieco bieg i harmonię myśli. W zgodzie z wielu filologami przeniosłem go przeto między w. 12 a 13. Zyskuje na tem i logiczny rozwój myśli części II-ej i symetrya strof tejże części (2 × 3) + (2 × 3) + (2 × 3).

w. 14 b. Dosłownie: »którzy ‚ruiny' (חרבות) powznosili sobie«. Mowa tu jednak o królewskich i książęcych grobach a może i o egipskich piramidach, które Arabowie po dziś dzień jeszcze nazywają haram (*pl.* hirâm albo ahrâm). Zważywszy dość wielkie podobieństwo w staro-aramajskiej kursywie między ב a מ możnaby może za innymi filologami przyjąć tu pomyłkę przepisywacza i czytać הרמות (piramidy?) zamiast הרבות (ruiny)? Zamiana przydechowych ה na ח byłaby w tej hypotezie tylko konsekwentną poprawką ortograficzną czasów późniejszych, gdyby הרבות nie dawało żadnego sensu i było nieznane. — Zródłosłów הרם musiał istnieć w języku hebrajskim, jak tego dowodem imiona własne הָרָם, הָרֵם, miejscowości ב תּ־הרם (Jos. 13, 27); a nawet wyraz הַרְמוֹן (Amos 4,3); co do jego znaczenia niema jednak zgody między filologami; najprawdopodobniej miejscowość bliżej nieznana.

w. 17—19. W tej strofie opisuje zbolały Job względne szczęście mieszkańców państwa cieni, które w porównaniu do obecnego jego stanu wydaje mu się nader pożądanem.

w. 23. Należy uzupełnić z wierszą 20: »Czemu to Jahue daje mnie żywot« = czemuż ja żyję, ja nędzarz, który, niby zwierz osaczony w kniei, nie wiem dokąd mam się zwrócić.

w. 24 a. Dosłownie: »bo (przed) przy chlebie moim idzie jęk mój« — paralelizm z 24 b (gdzie skargi są porównane do wody) nakazuje przypuścić następującą przenośnię:

westchnienie { jest moim chlebem } = są moim pokarmem.
i jęk { jest moją wodą }

w. 26. Wulgata tłumaczy ten wiersz błędnie: »Nonne dissimulavi? nonne silui? nonne quievi? et venit super me indignatio« — myśl, która nie odpowiada ni tekstowi hebrajskiemu, ni kontekstowi całej pierwszej skargi.

Przekład. Literatura polska posiada kilka przekładów Księgi Joba. Obok starego już tłumaczenia ks. Wujka na podstawie Wulgaty i Cylkowa [1] z hebrajskiego możnaby wymienić prace ks. Buczkowskiego [2], Żuławskiego [3] i Brzozowskiego. Ksiądz Buczkowski dał nam wolny wierszowany przekład z Wulgaty, któremu często zbywa na polocie a dość często nawet na wierności; wyjątki z Joba przez Żuławskiego są raczej parafrazą lub fantazyą poetyczną na tle myśli Joba, fantazyą, która — może dla wygody czytelnika — opuszcza miejsca trudniejsze lub ciemniejsze. Poetycznego przekładu Brzozowskiego niestety nie znam. Wzmiankowane przekłady nie uwzględniają nowszych zdobyczy krytyki filologicznej; to też wielkiej wartości filologiczno-egzegetycznej nie posiadają. Dodatnio, choć tylko w części, wyróżnia się od powyższych praca d-ra Cylkowa; lecz i ona nie zupełnie stoi na wyżynie swego zadania. Za podstawę np. bierze tylko tekst masorecki; daje przekład często zbyt niewolniczy [4], nie zawsze wolny od błędów językowych, a objaśnienia tekstu nie zawsze zadowalają, choć przeważnie są rzeczowe i uwagi godne.

Przekład Pisma św. z natury swojej winien koniecznie posiadać trzy przymioty: być krytycznym, wiernym i odpowiadać duchowi danego języka. 1) Winien być krytycznym; a więc nie mieć jedynie na oku tekstu hebrajskiego (względnie greckiego)

[1] Dr. J. Cylkow: »Księga Ijob«. Kraków 1904.

[2] Ks. Kazimierz Buczkowski: »Księga Joba«, »Treny Jeremiasza«, »Pieśń nad pieśniami« i »Kazania Salomona«. Tarnów 1890.

[3] Jerzy Żuławski: »Xięgi niektóre z żydowskich pism Starego Zakonu wybrane«. Lwów 1904 (1905?) — Z Joba podaje 3_{1-26}; 7_{1-21}; 9_{1-35}; 10_{1-22}; 14_{1-22}; 23_{1-17}; 29_{1-25}; 30_{1-31}; 31_{1-40}: 98_{1-40}.

[4] Tak np. *casus pendens* często bez potrzeby dosłownie tłumaczony, sprzecznie z duchem języka polskiego.

przekazanego tradycyą i pracą Masoretów, ale iść dalej i wyzyskać wszystkie naukowe zdobycze nowoczesnej krytyki filologicznej. 2) Przekład winien być wiernym, t. j. nie być tylko parafrazą lub fantazyą na kanwie myśli natchnionego pisarza, ale zachować wiernie koloryt, obrazowanie, styl i porównanie oryginału, nie mówiąc już nic o wiernem ile możności oddaniu każdej myśli, a ile na to język pozwala także i każdego słowa. Wierność ta jednak z natury rzeczy różnych dopuszcza stopni, zależnie od tego, czy dany utwór jest poematem, czy traktatem filozoficzno-dydaktycznym, czy księgą historyczną. To, co np. będzie tylko wiernością przy przekładzie księgi historycznej, mogłoby czasem nadać cechę niewolniczości przekładowi utworu poetycznego. 3) Przekład winien wkońcu odpowiadać duchowi danego języka, t. j. nie być niewolniczym, nie oddawać np. każdej konstrukcyi lub szyku wyrazów tekstu oryginalnego, taką samą lub podobną formą innego języka, jeżeli to z duchem owego języka nie zupełnie zgodne. — Oczywista, że całkowite opanowanie tych trzech przymiotów przechodzi czasem siły ludzkie, lub jest przynajmniej bardzo trudnem do osiągnięcia — i dlatego prawdą pozostanie, że żadne tłumaczenie nie jest w stanie całkowicie oddać i zastąpić oryginału. Ale pokusić się o ten ideał można i warto, choćby się nie miało nadziei posiąść go w zupełności.

Urywek niniejszy chce być tego rodzaju próbką. Warto zaznaczyć, że nie chodzi tu ni o poetyczne obrazy, ni poetyczną parafrazę, ale o przekład filologiczny, który nie będąc niewolniczym, pragnie ile możności być wiernem oddaniem myśli a przeważnie i słów oryginału. Każdy wiersz, a nawet każdy στίχος odpowiada wiernie hebrajskiemu; żadne ważniejsze słowo oryginału nie zostało pominięte. Uzupełnienia dozwolone lub nakazane treścią, ale nie znajdujące się w tekście hebrajskim, są obiete klamrami [ ].

»Jôβαδ jôm«... (Job. 3,2—3,26).

A.

(3) Przeklętym niechaj będzie dzień urodzin moich
I noc, co była świadkiem poczęcia człowieka!

*

(4) Dzień on! — o niechajże w ciemność się odmieni!
Niech o niego nie pyta na niebiosach Bóg!
Niechże nad nim światła nie jaśnieje blask!
(5) Bodajby się pomścił nad nim mrok ponury!
Bodajby zawisła nad nim groza chmur,
I z nagła ogarnęła go posępność dzienna!
(6) ‚Dzień on!' — o niechże go pożrą ciemności!
Niechby nie był wliczon między roku dni!
Bodajby w miesięcy poczet nie był wszedł!

*

(7) Noc ona! — niepłodność niechże padnie na nią!
Niech się nie odezwie w niej wesela krzyk!
(8) Niechaj jej złorzeczą zaklinacze światła,
Sprawni [bezkarnie] drażnić smoka mórz!
(9) Oby zgasnęły gwiazdy jej zarania!
Bodaj wyglądała świtu nadaremnie,
A jutrzenki nigdy nie ujrzała rzęs! —
(10) Bo nie zawarła bram łona mej [matki]; —
[Nie] zakryła nędzy przed oczyma memi!

*

[Przeklętym niechaj będzie dzień urodzin moich,
I noc co była świadkiem poczęcia człowieka!]

B.

(11) Czemuż nie skonałem w żywocie matczynym?
[Czemuż] wyszedłem z łona, a [nie] zgasłem?
(12) Na co mię pieściły kolana [rodzica]?
Na co [mi dawano] piersi, którem ssał? —

(16) Nie byłbym! — jak poroniony płód, co zakopują,
Jak dziatwa, co [nigdy] nie ujrzała światła!

*

(13) Otobym teraz leżał i w spokoju mieszkał,
Uśpiony [na to], bym wytchnienie miał, —
(14) Razem z królami i ziemi wodzami,
Którzy powznosili ‚piramidy' sobie;
(15) Albo z książęty, którzy złoto mieli,
Co swe pałace przepełniali srebrem!

*

(17) Tam bezbożnicy przestają się srożyć; —
Tam oni leżą wycieńczeni z sił!
(18) [Tam] jeńcy społem zażywają wczasu,
[Bo] ciemiężyciela już nie słyszą krzyku!
(19) Mały i wielki są tam równi sobie,
A służba od swoich niezależna panów!

C.

(20) Czemu to nędzarza [Stwórca] darzy światłem,
A tych żywotem, w których sercu żółć?
(21) Tych, co wzywają śmierci — a jej nie masz —
Co jej szukają gorliwiej niż skarbów; —
(22) Z niej ucieszeni aż do szału [prawie],
Wykrzykiwaliby, że znaleźli grób!

*

(23) [Czemuż ja żyję] o przyszłości ciemnej
mąż, którego ze wszech stron osaczył Bóg?

*

(24) Oto me westchnienie stało mi się chlebem,
A moje skargi płyną, jako wody!
(25) Bo naszło mię widmo, któregom się lękał,
A to, przed czem drżałem, [z nagła] na mnie spadło!
(26) Nie zaznałem szczęścia, ani wypoczynku; —
[Jeszczem] nie odetchnął — już uderzył grom!

Ks. Władysław Szczepański.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Nowe drogi. *Leopold Caro*, z przedmową ks. arcybiskupa Teodorowicza. Poznań 1908. Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha.

Nowe drogi jakże nam potrzebne, jak pożądane. Stare zarosłe chwastami, pełne wybojów: niedaleko nas zaprowadzą, jeśli co najmniej nie odnowimy ich gruntownie.

Pan Leopold Caro w swych, różnymi czasy i przy różnych okolicznościach pisanych, a obecnie pod powyższym tytułem zbiorowo ogłoszonych artykułach i rozprawach ma na widoku odnowienie dróg naszych społecznych, a poniekąd i politycznych, głównie w Galicyi, w pewnej mierze na całym obszarze naszego życia narodowego. W dążeniu swem opiera się na zasadach chrześcijańskich i katolickich; dwie też uwagi poświęca sprawom mniej lub więcej ściśle złączonym z zagadnieniami współczesnego życia religijnego.

Na czele zbioru po krótkiej przedmowie arcybiskupa Teodorowicza, podnoszącej znaczenie »nowych dróg« w obecnym momencie naszego rozwoju społecznego, — znajdujemy wstępny artykuł autora, w którym określa zasadnicze swe stanowisko wobec stronnictw krańcowo konserwatywnych, uparcie trzymających się dawnych, bardzo już przestarzałych dróg i kierunków działania i wobec stronnictw socyalistycznych, podkopujących najistotniejsze zasady porządku społecznego, a przedewszystkiem warunkujące go nieodzownie — szczególnie w naszym kraju — zasady wiary religijnej. W jednakiem przeciwieństwie do tych krańcowości zachowawczych i postępowych, autor pragnie postępu

z zachowaniem tego, co stanowi najcenniejszy skarb naszej tradycyi rodzimej i przenikających ją na wskroś pierwiastków ducha chrześcijańskiego.

Szczerze postępowa jego dążność przejawia się istotnie we wszystkich artykułach wchodzących w skład zbioru »Nowych dróg«. Przedewszystkim w artykule »Historya i polityka«, zawierającym, jak się sam autor wyraża »próbę programu«, czyli kilka bardzo zdrowych i słusznych myśli o zadaniach polityki galicyjskiej w najbliższej przyszłości. Głównem z tych zadań ma być zerwanie z hyperlojalizmem rządzącego dotąd w Galicyi stronnictwa, które w widokach rzekomej wyższej polityki, dla uzyskania jak największych wpływów w Wiedniu, poświęcało nieraz dla tak zwanych austryackich konieczności państwowych bardzo ważne gospodarcze interesy rodzinnego kraju. Jest to zarzut stawiany nieraz konserwatywnemu stronnictwu krakowskiemu przez wrogie mu stronnictwa postępowe; p. Caro podnosi go tu ponownie i oświetla z nierównie bliższego, bo pokrewnego im religijnie stronnictwa, postępowej demokracyi chrześcijańskiej.

Toż samo stanowisko zajmuje autor w mowie mianej w klubie konserwatystów o »zadaniach naszej polityki«, a uzasadnia je bliżej w artykułach o »współczesnych zadaniach katolicyzmu«, będącym odpowiedzią, na ankietę *Przeglądu powszechnego*. Słusznie zbija tu autor głoszony nieraz powierzchowny pogląd o tożsamości dążeń chrześcijaństwa i socyalizmu współczesnego, wykazując, że tu raczej o krańcowem przeciwieństwie mówić należy, o przeciwieństwie idei chrześcijańskiej z doktryną materyalizmu historycznego, istotną podwaliną obecnej demokracyi socyalnej. Co innego wszakże takie i podobne jej doktryny, a tkwiące w niej niewątpliwie i wywołujące ją w znacznej mierze słuszne skargi i domagania się uciśnionego przez chciwy, drapieżnie-żarłoczny kapitalizm współczesny stanu robotniczego. Te ze stanowiska chrześcijańskiego powinny i muszą być uwzględnione. W rozwiązaniu wynikającej z nich kwestyi socyalnej na gruncie sprawiedliwości widzi autor najpierwsze zadanie Kościoła w całym świecie, a w szczerem przejęciu się zasadami chrześcijańskiemi przez cały nasz naród uznaje jedyny zbawczy środek na wszystkie nasze cierpienia i niedole społeczne.

Następujące artykuły poruszają rozmaite zagadnienia życia społeczno-religijne i ekonomiczne, wynikające z bardzo ważnych i pełnych znaczenia prądów współczesnej naszej rzeczywistości. W referacie, wy-

głoszonym na zjeździe pisarzy katolickich w Warszawie bardzo słusznie mówi autor o »braku wykształcenia ekonomicznego w naszym narodzie« — braku, który tyle nam już szkód wyrządził w przeszłości i tyle wyrządza obecnie, począwszy od najzwyklejszych spraw bytu codziennego, aż do najwyższych zadań ogólno-narodowego bytu i rozwoju. Następnie rzuca autor kilka »ulotnych myśli« o stosunku duchowieństwa do kwestyi społecznej, zgodnie ze swem stanowiskiem postępowem domagając się czynnego, obywatelskiego udziału duchownych w realnem życiu społeczeństwa, a to wbrew niektórym naszym, którzy w księdzu chcieliby tylko widzieć funkcyonaryusza kultu i głosiciela prawd wiary, a bardzo niechętnem spoglądają okiem na wszelkie jego uczestnictwo w tak im nienawistnym ruchu i postępie społecznym.

Dosyć też antyzachowawcze, a przytem bardzo prawowiernie chrześcijańskie poglądy wygłasza nasz autor w sprawie własności (»Chrześcijańskie pojęcie własności prywatnej«) wyzyskiwanej nieraz przez wielu żarliwych obrońców obecnego porządku społecznego, który aczkolwiek w swem łonie kryje tyle wołającego o pomstę do nieba nierządu, dla nich najwyższym jest ładem, mającym trwać po wiek wieków, aż do spełnienia się czasów. Owóż p. Caro cytatami z ojców i doktorów Kościoła, — które zresztą nieraz były przedstawione *ad oculos* naszym czcicielom obecnego porządku społecznego — udowadnia jasno i dobitnie, że z punktu widzenia chrześcijańskiego, własność nie jest i nie może być tak absolutnie nienaruszalną świętością za jaką ją poczytują. Kościół tak w poglądach swych mędrców, jak i w postanowieniach swych powag urzędowych poczytywał ją zawsze nie za przywilej, ale za obowiązek i znosił stanowczo jej nienaruszalność skoro stawała się środkiem pasorzytnictwa i wyzysku społecznego. Mogą na to gniewać się niektórzy zachowawczy jej czciciele, którzy w Kościele chcieliby mieć przedewszystkiem rodzaj duchowej policyi ku jej obronie służącej — ale na to niema rady. Tak jest rzeczywiście i żadne zamykanie oczu nie zgasi światła tej wielkiej prawdy chrześcijańskiej przez Kościół zawsze głoszonej.

Bardzo pouczającą jest rozprawa p. Caro o wychodźtwie polskiem, odczyt wygłoszony na zjeździe Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Warszawie w 1907 r. Jest to praca oparta na bardzo gruntownych studyach teoretycznych nad przedmiotem i na dokładnem obznajomieniu się z praktyczną jego stroną. Dzięki temu wiele rzuca światła na całą

naszą emigracyę zarobkową i wiele zawiera cennych wskazówek, co do sposobów zapobieżenia ujemnym jej skutkom.

W pozostałych trzech artykułach kreśli autor wrażenia swe z pobytu w Warszawie na zjeździe pisarzy katolickich, rozwija pogląd na ideę narodową w »Wyzwoleniu« Wyspiańskiego i w formie dyalogu między dyplomatą rosyjskim i pruskim zestawia w kilku ogólnych rysach politykę polską obu państw odnośnych. Sąd o »Wyzwoleniu« nie wydaje mi się zupełnie słusznym. Przyznaję, że autor najzupełniejsze miał prawo ze stanowiska społecznego sądzić ten utwór, poruszający takie doniosłe problematy z życia naszego społeczeństwa, nie mogę się jednak zgodzić na uczyniony Wyspiańskiemu zarzut, obniżenia w postaci Konrada idei patryotycznej dawnych naszych poetów. Autor nie dostrzegł, jak mniemam, nadzwyczajnej zawiłości problematu narodowego w »Wyzwoleniu«, odpowiadającej ogromnemu powikłaniu się odnośnych zjawisk życiowych od doby mickiewiczowskiej, kiedy w nierównie prostszej ukazywały się postaci. Wielkość Wyspiańskiego polega głównie na genialnie bystrem ujęciu i unaocznieniu nam tego problematu, jak on obecnie przez pół świadomie przez pół bezwiednie żyje w głębi naszych dusz, a »Wyzwolenie« jest jednym z najwspanialszych objawień tej prawdziwie wieszczej twórczości poety, który nie obniża nigdy naszej idei patryotycznej, a tylko na nowo ją kształtuje w dążeniu do wyższej syntezy, mającej powstać z różnorodnych, niekiedy i niższych pierwiastków współczesnej rzeczywistości narodowej.

Zaznaczywszy odrębne moje zapatrywania na jedno z arcydzieł współczesnej naszej poezyi, wyrazić muszę uznanie moje dla poglądów autora »Nowych dróg« na zagadnienia współczesnego naszego życia. Radbym tylko widzieć u niego więcej stanowczości, może nawet więcej bezwzględności w akcentowaniu postępowo-demokratycznych dążeń na gruncie chrześcijańskim. Pan Caro jest jednym z nielicznych w naszej publicystyce przedstawicieli demokracyi chrześcijańskiej. Jest to kierunek, do którego, jak mniemam, przyszłość należy. Dotąd jednak nie wyszedł on z fazy przygotowawczej. Wtedy dopiero wejdzie w fazę prawdziwego rozwoju, gdy w czynie i w słowie śmielej, dobitniej się zaznaczy, choćby nawet w dość ostrem przeciwieństwie do pewnych, niedających się z nim pogodzić kierunków przeszłości.

W. Gostomski.

Jezuici w Polsce. *Ks. Stanisław Załęski T. J.* W skróceniu, 5 tomów w jednym, z dwoma mapami. Kraków, Anczyc i Sp. 1908. Str. XVIII, 370.

Dziwiłem się długo, dlaczego *Przegląd powszechny* nie dał dotychczas obszernego sprawozdania z dzieła tak pomnikowego, jak »Jezuici w Polsce«, dzieła, zaszczyconego nawet chlubnem wspomnieniem Akademii Umiejętności krakowskiej na dorocznem jej posiedzeniu. Dopiero ostatnimi czasy dowiedziałem się, że nie wina w tem Redakcyi ani wina sprawozdawcy, który oceny tego dzieła się podjął, ale zbieg przypadków, który temuż sprawozdawcy wykonanie zamiaru utrudnił. Przypuszczając, że obszerniejsze to sprawozdanie z pod pióra tego czy innego autora niebawem wyjdzie, podaję dziś pobieżną tylko notatkę o skróconem wydaniu tej olbrzymiej książki.

Autor zważywszy, że ogrom dzieła (5 tomów, czyli 11 książek, 200 arkuszy druku) nie jednemu może utrudnić czytanie umyślił te pięć tomów streścić i ująć w jeden tom: pięć ksiąg tego tomu odpowiada pięciu tomom obszernego wydania.

Oto geneza »skróconego« wydania.

W księdze I opowiada autor o wprowadzeniu Jezuitów do Polski, oraz o walce ich z różnowierstwem na polu szkolnictwa, pisarstwa i kapłańskiej ściśle pracy w latach 1564—1608. Wtedy to zaraz, dzięki hojności króla Batorego, a przedewszystkiem Zygmunta, dzięki poparciu i wspaniałomyślności biskupów i szlachty, budują Jezuici wspaniałe kościoły, otwierają wzorowe szkoły, do których garnie się szlachecka młodzież, i zakładają domy misyjne skąd się rozchodzili kapłani, by głosić słowo Boże na stepach Ukrainy i Podola, albo wśród puszcz litewskich do na pół dzikiej czerni. Zaraz na początku, jak każde zbożne dzieło, tak i praca jezuicka spotkała się z trudnościami i walką.

Rychło jednak trudności ustąpić musiały prawdzie, a zakon rozpoczął okres swej pomyślności, którą się cieszył, aż do śmierci Władysława IV.

Te jaśniejsze chwile przesuwają się w księdze II.

Księga III opisuje owe nieszczęsne dla Rzeczypospolitej i w symbiozie z nią żyjącego zakonu, czasy: w latach 1648 - 1717, w latach wojen krwawych, bądź domowych, bądź postronnych. A gdy w ślad za wojną stąpał głód i mór, więc i wsie opustoszały, i miasta wymarły, a szkoły jezuickie rozpadły się, zubożały kollegia, niektóre nawet znikły z widowni; zakonnicy częścią rozprószeni, częścią giną na

usłudze zapowietrzonym, częścią w niewoli u heretyka lub pohańca. Po roku 1717 nastały czasy »szczęśliwości saskiej«. A chociaż i Jezuici, będąc dziećmi swojego wieku musieli te wady ze sobą wnosić do zakonu, to jednak zakon nie tylko bronił się przeciwko tym błędom, ale i obronił się, nie tylko nie upadł, ale się nawet wzmógł, rozrósł, aż na cztery prowincye.

Objaśnieniem oraz i uzupełnieniem tych dziejów jest księga czwarta: obejmuje ona monografie wszystkich domów od r. 1564 - 1773.

Księga piąta, to domówienie całej historyi Jezuitów w Polsce, kasata zakonu przez Klemensa XIV w r. 1773. Śmiertelny cios, jaki uderzył w polskich Jezuitów pierwszym podziałem, był o tyle sroższym dla nich, że w tym samym czasie otrzymali oni dekret, skazujący ich zakon na zupełną zagładę. I tylko przedziwnem zrządzeniem Opatrzności bożej resztki zakonu Jezuitów ocalały w Rosyi, w dawnej prowincyi Białejrusi, przechowując ducha dawnego po to, aby go przekazać Towarzystwu Jezusowemu, wskrzeszonemu przez Piusa VI. Dopełniwszy tej misyi, idą zaraz sami w rozsypkę w r. 1820. Rozchodzą się po Włoszech, Francyi, Austryi i Hiszpanii wszczepiając ducha św. Ignacego w nowe pokolenie Jezuitów.

Oto pokrótce treść całego dzieła.

Oparte jest ono na materyale przeważnie rękopiśmiennym, archiwalnym, a po wielkiej części niedostępnym, zebranym po archiwach publicznych i prywatnych całej niemal Europy. »Niemal« mówię, gdyż chociaż wszystkie państwa, mają pretensye do kultury i cywilizacyi, jednak nie wszystkie z nich stoją na takim stopniu kultury, aby pozwolić na wolne badania i poszukiwania uczonemu, dlatego, bo ten badacz jest księdzem. Skądinąd wiadomo, że ks. Załęski używał w tym celu wszelkich środków; posunął się aż do tego stopnia ofiary ze siebie, że gotów był nawet oddać się pod nadzór policyjny, byleby mu tylko otworzono wstęp do kraju, gdzie spoczywa tyle materyału po archiwach państwowych.

Że z tych to powodów, dzieło ks. Załęskiego »Jezuici w Polsce« nawet jako zbiór materyałów, nie jest alfą i omegą, — to z góry już trzeba przyjąć; a i sam badacz otwarcie się przyznaje do tego braku, który chyba nie jemu ujmę przynosi. Bądź co bądź, pozostanie prawdą i niespożytą zasługą ks. Załęskiego to, że on pierwszy, mimo tak niesłychanych dla badacza utrudnień, podjął się tego dzieła, i dał nam opracowanie źródłowe, zbiór materyałów, na jaki dziś już i w przyszłości powoływać się muszą historycy.

Bo jakie to materyały, skąd czerpane?

Archiwum spraw zagranicznych w Paryżu, archiwa watykańskie, archiwa państwowe we Wiedniu, miejskie Gdańska, Torunia, Lwowa, i t. d., archiwa kapitulne i biskupie, archiwalne zbiory naszych wielkich książnic, czy to krajowych czy zagranicznych, jak Czartoryskich, Raczyńskich, cesarskiej we Wiedniu i t. d., wreszcie obfite archiwa zakonne dostarczyły materyału rękopiśmiennego. Materyał ten, to listy nuncyuszów oraz instrukcye sekretarza stanu papieskiego: listy królów, biskupów i magnatów, do jenerałów zakonu; — listy Jezuitów (głównie przełożonych) do tychże jenerałów, — listy jenerałów do samychże Jezuitów polskich. Wnioski i uchwały obrad Jezuitów zebranych na zjazdach prowincyonalnych Jezuitów z całej Polski. Kroniki pojedyńczych domów, roczne sprawozdania (t. zw. *Litterae annuae*) przesyłane jenerałowi zakonu co roku z każdego domu. Stan majątkowy domów jezuickich. Katalogi osób i zajęć, dzienniki każdego domu, informacye o osobach (rodzaj austryackich *Konduitenlisten*) wreszcie dyplomy, przywileje, kontrakty i t. d.

Pominąć już trzeba obfity materyał drukowany, — rozumie się samo z siebie, że publikacye dokumentów, opracowania pewnych epok, oraz naukowe monografie wypadków, osób, miast, dyecezyi, miał ks. Załęski i czerpać z nich obfitą ręką musiał, jak wskazują liczne przypiski. Przypiski te, opuszczone we wydaniu skróconem, ułatwiają niezmiernie kontrolę, a poszukiwaczowi wskazują od razu źródło, na jakiem się oparł autor; również niezbędną rzeczą jest bardzo szczegółowy spis rzeczy, oraz alfabetyczny spis (także w wydaniu skróconem) osób, miejscowości i rzeczy; spis, którego brak we wielu naszych naukowych wydawnictwach niepotrzebnie utrudnia tylko pracę. W ten też sposób ma ułatwioną pracę każdy, chcący się zapoznać z życiem duchowem w Polsce od XVI w. począwszy z historyą kultury naszej; czy do stosunków czysto kościelnych (np. schisma), czy kościelno-państwowych, czy do historyi sztuki kościelnej (styl jezuicki), czy ekonomiczno-społecznych kwestyi (podatki, lokacye kapitałów, majątki jezuickie), znajduje się tutaj materyał obfity, a pierwszorzędny, bo zakon, o tak szerokiej działalności, jak Jezuici, na wszystkich objawach życia i prywatnego i publicznego musiał wywierać swe charakterystyczne piętno.

Oto krótka notatka, pozostawiająca ocenę tej niezwykłej książki i jej niezwykłych przymiotów obszerniejszemu sprawozdaniu.

Th. Wybicki.

Z niwy poetyckiej.

Połów gwiazd. *Kornel Makuszyński.* Lwów 1908. Nakładem księgarni H. Altenberga.

I mówi do mnie wieś. *Kazimierz Króliński.* Poezye. Serya druga. Lwów 1908. Nakładem księgarni Maniszewskiego i Mainharta.

Jak smutna ballada. *Adam Dobrowolski.* Sceny dramatyczne. Tarnopol. Nakładem księgarni Alfreda Bruggera. 1908.

Obszerny, bo szesnaście arkuszy druku liczący tom poezyi p. Kornela Makuszyńskiego dotąd spotykał się przeważnie z bardzo pochlebnemi ocenami, co jednakże jest — bądźmy szczerzy — w lwiej części... koleżeńską usłużnością naszych krytyków dziennikarskich. Nie zaprzeczamy, i zaprzeczyć się nie da, że p. Makuszyński opanował technikę wiersza, że tom ten świadczy dodatnio o oczytaniu autora we współczesnej poezyi, wszystkie jej echa bowiem, najbardziej zaś te najjaskrawsze, odbiły się w omawianym zbiorku, ale poza tem nic nie znajdujemy w tym zbiorze, nic nowego, nic oryginalnego, coby zarysowało choćby najdelikatniej odrębność duszy autora, jej oryginalność. Pan Makuszyński jest niezaprzeczenie talentem przetwarzającym, ale wcale nie twórczym. Ze wszystkich zaś wpływów najsilniej oddziałali na autora Staff, Kasprowicz i Słowacki, tak, że niejednokrotnie ma się niemal widoczne przemienienie ich utworów na modłę jedynie przerobionych. A przecież twórczością nie jest niezgrabne zrywanie całunów pośmiertnych ze Słowackiego, i to świadome, lub trzymanie się tużurka Staffa, lub Kasprowicza. Ten talent przetwórczy daje w rezultacie i rzeczywiste zło. Spotykamy się czasem z nonsensami, które lubo filozoficznie błędne u ich twórców, zawsze jednak przynajmniej były nowością i dały się psychologicznie wytłumaczyć, tu zaś są czczem gonieniem za tanim efektem, za modą, za tanim oklaskiem. Bo p. Makuszyński choruje niebezpiecznie na »manię wielkości«, on i Chrystus to, według logiki autora, dwaj koledzy-poeci, wobec czego ośmiela się nawet p. Makuszyński wygłaszać takie zdanie: »bo Chrystusowe kłamstwem jest orędzie« (str. 13). A ta mania wielkości i płytka »modność«, pozwalająca się miotać p. Makuszyńskiemu, na fatalnej str. 13, na osobę Chrystusa, a co podkreślić należy na zimno, dla mody, powtarza się to częściej, to rzadziej, na 285 stronach jego »poezyi«. Zaprawdę, że to niezdrowe maniactwo niektórych dzisiejszych pigmejów-wierszokletów przechodzi już potępienia godną arlekinadę. Czy nie lepiejby było, zamiast tego, wejść w siebie, wsłuchać

się w tony własnej duszy, i dać jeden lub dwa arkusze utworów, może nie najlepszych, ale szczerych, swoich, zamiast dawać szesnaście arkuszy stylizowanych zasłyszanymi, niezrozumianymi i nieprzetrawionymi frazesami.

O wiele niżej pod względem techniki, ale o całe niebo wyżej pod względem etyki stoją utwory p. Kazimierza Królińskiego w zbiorku: »I mówi do mnie wieś«. I dziwne to, bo pierwszy zbiorek poezyi p. Królińskiego p. t. »Z ugorów« (Stanisławów. Księgarnia R. Jasielskiego. 1906) z powodu swej szczerości zapowiadał daleko więcej. Czytając ostatni zbiorek, odczuwa się brak głębszego wykształcenia i brak rzetelnego natchnienia, które zastępuje robotą. A poezya nieda się robić.

Mile natomiast względem autora usposabia nas książeczka pana Adama Dobrowolskiego p. t.: »Jak smutna ballada«. Język czysty, gdzieniegdzie tylko przeładowany jednostajnością zwrotów, w ustępach rymowanych wiersz dość subtelny, melancholia owiewająca cały utwór, mimo aż za dość widocznego wpływu Maeterlinka i Wyspiańskiego — oto rzeczywiste zalety tych »scen dramatycznych«.

Adam Stodor.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II, t. XXII. Ogólnego zbioru t. 47. Kraków.

Pierwsza z rzędu praca umieszczona w tym roczniku, to rozprawa Antoniego Prochaski p. n. »Hołdy mazowieckie«, (1386—1430) przedstawia w niej autor usiłowania potężnego księcia na Płocku Ziemowita, by korzystając z niepewnego we własnem mniemaniu stanowiska Jagiełły i poparcia zagranicy wyłamać się z pod obowiązku hołdowniczego wobec Polski.

Ojciec Ziemowita IV, Ziemowit III, złożył prawdopodobnie hołd Ludwikowi węgierskiemu. Toż samo Ziemowit IV zaraz po koronacyi Jagiełły złożył mu hołd i przysięgę wierności. Jagiełło jeszcze przed koronacyą wydał Ziemowitowi dla pozyskania sobie poparcia niedawnego współzawodnika do Korony Polskiej akt donacyjny wszystkich ziem Rusi, jakie do niego podówczas należały. Donacya ta była niejasna, nie określała bowiem dokładnie rozmiaru darowanych ziem.

Gdy dwa lata potem Ziemowit na radzie królewskiej przedłożył dokument ten, żądając spełnienia obietnicy, dzierżący wówczas tymczasowo pieczęć Mikołaj Kurowski przeciął ten dokument.

W tym samym roku Ziemowit ożenił się z siostrą Jagiełły Ale-

ksandrą. Jagiełło nadaje mu ziemię bełzką, nie wydając jednak na to nadanie dokumentu, Ziemowit miał z ziemi tej złożyć hołd i dawać pewną ilość żołnierzy na wojnę.

Tymczasem Ziemowit IV, żywiąc szerokie dyplomatyczne plany i potrzebując na ich przeprowadzenie pieniędzy, zadłużył się w bogatym skarbcu krzyżackim i wpadł wskutek tego w zależność od nich.

Tem się tłumaczy przyjaźń Ziemowita dla Zakonu. To zaostrzyło stosunki z Jagiełłą, który dopiero w r. 1396 wydał mu dokument na nadanie ziemi bełzkiej, zastrzegając sobie w nim, by lennik nie wdawał się w żadne walki bez zezwolenia króla. Darowiznę zatwierdziła królowa Jadwiga jako pani całej Rusi, zastrzegając, iż Ziemowitowi wolno nadaną ziemię sprzedać, ale tylko poddanym Korony.

W następnych latach król ma powody do niezadowolenia z postępowania swego lennika. Ziemowit spełniał pozornie sumiennie swe obowiązki wobec króla, lecz poza tem zdradzał ambicye wyemancypowania się, prowadzenia polityki na własną rękę. To też Jagiełło wytacza mu proces o fałszowanie monety. Król uwolnił Ziemowita od winy, ale wymierzył karę bardzo dotkliwą, odbierając lennikowi część nadanych ziem. Powtórnie wytoczył mu Jagiełło proces o fałszerstwo a wreszcie oskarżył Ziemowita o knucie zamachu na swe życie. Wyrokiem księcia Witolda zostaje Ziemowit uwolniony, natomiast jego kanclerz, Stanisław Pawłowski, dostaje się za współudział w tych knowaniach do więzienia. Wkrótce jednak po wyjściu z więzienia Pawłowski jedzie do Rzymu z misyą od króla do papieża i otrzymuje potem biskupstwo płockie.

W r. 1423 zawiera Jagiełło układ z cesarzem Zygmuntem co do wspólnej walki z husytami w Czechach. Zygmunt chciał tym układem zaszachować Czechów, nie myślał jednak na seryo o tem, by Polska miała podjąć z nimi walkę. Obawiał się dążeń Czechów do połączenia się z koroną Polską. Dlatego znosi się potajemnie i popiera potajemnie separatystyczne dążenia księcia mazowieckiego, płaci pensye dostojnikom polskim nawet z otoczenia króla. Tenże dowiaduje się prawdopodobnie od Pawłowskiego o tych zakulisowych knowaniach i żąda od Zygmunta wyjaśnień tego. Zygmunt wyparł się wszystkiego. Pawłowski, by nie dopuścić felonii, wyzyskuje synod w Łęczycy, na którym duchowieństwo miało uchwalić *subsidium charitationem* na wyprawę do Czech. Pawłowski oświadczył imieniem chorego biskupa płockiego, że nie może dotyczyć nakaz papieski złożenia *subsidium* dyecezyi płockiej. Mazowsze posiada własnych książąt niepodległych nikomu.

Uczynił to w tym celu, aby zwrócić uwagę króla na sprawę hołdu mazowieckiego i skłonić go do energicznego traktowania tej sprawy. Król rzeczywiście wzywa Ziemowita IV do złożenia hołdu; ten wysyła po długich zwłokach swych synów do złożenia w jego imieniu, co jednak królowi nie wystarcza. W ciągu nalegań, a nawet energicznych kroków króla, by skłonić Ziemowita IV do złożenia hołdu osobiście, tenże umiera. Synowie jego znów zwlekają z hołdem, ale wreszcie składają go.

Pawłowski w czasie tego zajmuje młodych książąt procesami. Chodzi mu o to, aby zająwszy ich sprawami domowemi, nie dopuścić ich na drogę felonii. Do felonii zdążali oni, postarawszy się u cesarza Zygmunta o widymacyę uznania lennictwa od korony czeskiej, złożonego przez ich przodka Wańka. Praw z tego lennictwa zrzekł się już cesarz Karol w r. 1353; nie miało ono tedy żadnego znaczenia; starania się o widymacyę charakteryzowały tylko dążności i cele polityczne książąt mazowieckich.

Adam Kłodzieński poddaje w rozprawie »Rokowania polsko-brandenburskie w r. 1329« rewizyi sprawę zdrady Wincentego z Szamotuł.

Sprawa ta różne przechodziła drogi w naszej historyografii. Rocznik trocki, źródło najbliższe tych wypadków, podaje, że Wincenty spowodował napad Krzyżaków na Polskę. Powtórzył to Długosz, a Voigt w *Geschichte Preussens* trzyma się niewolniczo tej tradycyi. Prof. Potkański zarzuca podejrzenie o zdradę na rzecz Krzyżaków i posądza Wincentego o knowanie z Brandenburgią; toż samo przedtem Ignacy Zakrzewski, Balzer, Semkowicz w recenzyi pracy Potkańskiego. Zarzut ten opierają ci uczeni na dwóch dokumentach. Pierwszy datowany z Krakowa 29 października 1329 r. W dokumencie tym oświadcza król Władysław Łokietek dotrzymać postanowionego czasu rozejm i pokój, który nasz wierny Wincenty... z najdostojniejszym księciem i panem Ludwikiem, margrabią brandenburskim i jakimiś Saksonami od najbliższego św. Marcina na lat trzy ważnie i niewzruszenie był zarządził, jako też poręczamy niniejszem unii nieodmiennemi, miłemi i trwałemi te wszystkie warunki i zobowiązania, które w naszem imieniu pomieniony Wincenty był poczynił i ułożył...

Drugi dokument nosi datę 18 sierpnia 1331.

W dokumencie tym obiecuje Wincenty ze swymi braćmi księciu Ludwikowi i jego starostom nadto innym mieszczanom i wasalom »stać na straży pokoju i wszystkiemi warowniami wiernie służyć. W ten

sposób, że gdyby pan i król polski usiłował ziemie panu margrabiemu pustoszyć albo w jakikolwiekbądź sposób niepokoić, to powinni będziemy wzbronić mu wstępu i wyjścia przez nasze grody Wieleń i Czarnków i na odwrót uczynimy tak samo panu margrabiemu, gdyby się pokusił w jakikolwiekbądź sposób targnąć na dzierżawy pana i króla polskiego. A jeśliby pomieniony król polski innemi drogami albo zamkami naszedł ziemie tegoż pana margrabiego, wtedy obowiązani będziemy posiłkować tegoż pana margrabiego i jego wasali naszymi zamkami po tej stronie Noteci, dozwalając im wnijścia i wynijścia. Tudzież, że gdyby nam Wincentemu i naszym braciom pan i król nasz jakowąś zniewagę lub krzywdę wyrządził, alboli naszym przyjaciołom, przez co stalibyśmy się nieprzyjacioły pomienionego króla polskiego, wtedy będziemy winni przystać do margrabiego ze wszystkimi naszymi grodami, z panem i królem Polski nie czyniąc żadnej zgody ani układu, póki będzie wola margrabiego...«

Kłodzieński opierając się na treści drugiego dokumentu, stosunkach w marchii, celu jego wystawienia i t. d., twierdzi, że zaszedł w nim błąd pisarski w oznaczeniu roku. Niema być rok MCCCXXXI, lecz MCCCXXIX; pomyłka powstała przez przestawienie jedynki. Z datą 1329 dokument ten nabiera wyrazistości.

Na skutek polityki cesarza Ludwika Bawarczyka marchia brandenburska była wystawiona na najazdy ze strony Polski, Pomorza i kto tylko chciał. Regencyę nad młodym Ludwikiem i wogóle rządy w marchii sprawowała partya Starobrandenburczyków z rodziną Wedelów na czele. Rodzina ta we własnym interesie pragnęła pokoju, miała bowiem posiadłości od granicy Polski, w razie najazdu w pierwszej linii narażone na zniszczenie. Tuż za granicą w Wielkopolsce mieli przewagę Nałęcze, do których należał Wincenty, spowinowacony z rodem brandenburskim Ostenów. Zabiegom Wedelów udało się zawrzeć z Polską rozejm na 3 lata, którego postanowienia poznać możemy tylko z dokumentu z 29 października 1329, będącego widocznie ratyfikacyą ze strony Łokietka. A cóż znaczy dokument z 18 sierpnia? Są to zobowiązania, o jakich wspomina dokument ratyfikacyjny, a które poczynił sam *fidelis Vincentius*. Celem tych zobowiązań jest ustanowienie gwarancyi trwałości pokoju ze strony Polski, a tę gwarancyę mógł najpewniej dać ten, którego posiadłości leżały nad granicą i w razie wojny były zagrożone oraz stanowiły klucz do marchii. A z drugiej strony Wedelowie i Ostenowie w swym prywatnym interesie wysilili cały swój dowcip, aby pokój uczynić jak najbardziej trwałym a przy-

stępowali doń z nieufnością względem Polski, czego dowodzą postanowienia współczesnego układu między Polską a Meklemburgią.

Dokument omawiany nie stanowi dowodu jakichś tajemnych knowań z marchią, gdyż wyrażenie w dokumencie ratyfikacyjnym wskazuje, że król o tej umowie gwarancyjnej wiedział i ją również ratyfikował.

Rozprawa prof. Abrahama »Udział Polski w soborze pizańskim« odsłania nam ciekawą kartę z dziejów polityki Polski. Udział w soborze nie była to sprawa wyłącznie kościelna, lecz miała znaczenie wybitnie polityczne i król Jagiełło chciał ją wyzyskać dla celów politycznych a przedewszystkiem dla uregulowania stosunków z Krzyżakami.

Polska trzymała się stale obedyencyi rzymskiej Grzegorza XII. Bawił właśnie we Włoszech biskup Wysz jako delegat Jagiełły i Witolda w celu prowadzenia starań o usunięcie rozdwojenia w Kościele. W tym czasie pod wpływem kanonistów, a przedewszystkiem uniwersytetów w Paryżu i Bolonii powstała myśl, aby ze względu na nadzwyczajne stosunki zwołać sobór i ponieważ żaden z dwóch papieży tegoby nie uczynił, aby uczynili to kardynałowie. Posłowie delegowani do Polski dla pozyskania króla dla soboru nie osiągnęli z początku pomyślnego rezultatu i dopiero na powtórne poselstwo król zamianował *swym pełnomocnikiem bawiącego już we Włoszech* Wysza. Tenże z początku zajął wyczekujące stanowisko bawiąc w Padwie i dopiero po siódmem posiedzeniu zjawił się na soborze. Udział delegata polskiego w pracach soboru nie jest znany z oficyalnych sprawozdań: autor przypuszcza, że musiał być wybitny zwłaszcza w układach poza posiedzeniami soboru. Oprócz Wysza byli na soborze biskup włodzimierski Grzegorz, zdaje się cichy pełnomocnik Witolda, posłowie księcia Ziemowita i biskupa płockiego Mścisław, opat tyniecki. Uniwersytet krakowski wysłał na sobór pismo w duchu teoryi koncyliarnej, lecz nie ustanowił zastępcy, podając, że bawi już we Włoszech kanclerz uniwersytetu biskup Wysz, który prawdopodobnie przystąpi do prac soboru.

Rezultatem soboru był wybór papieża Aleksandra V, którego Polska wkrótce uznała. Ponieważ jednak Grzegorz XII i Benedykt XIII nie chcieli zrzec się godności, przeto było właściwie trzech papieży.

Po zamknięciu soboru Wysz nie wrócił do Polski, lecz wybrał się do Ziemi świętej. Dopiero w roku 1411 widzimy go w kraju a w r. 1412 przeniósł się pod naciskiem króla na gorzej dotowane biskupstwo poznańskie. Toby dowodziło niełaski, w jaką popadł Wysz

i autor poszukuje też powodu tej zmiany w usposobieniu króla. Przypuszcza, że Wysz nie działał na soborze w myśl mandatu króla, że nie starał się o poparcie w sprawach z Krzyżakami, że źle pokierował sprawę biskupstwa włodzimierskiego, że wreszcie zaangażował się w sprawie schizmy papieskiej więcej, niż to odpowiadało widokom politycznym Polski.

Zmarły niedawno prof. Potkański przeprowadza w rozprawie »Zajęcie Wielkopolski, rok 1313 i 1314«, rewizye poglądów i wniosków przedstawionych w swej »Walce o Poznań«. Dochodzi do wyniku, że zajęcie Poznania przez stronników Łokietka nastąpiło między jesienią 1313 a sierpniem 1314, i że Łokietek sam nie brał udziału w tej walce.

Fraca »Studya nad osadnictwem Małopolski« odbiega od dotychczasowego zakresu działalności naukowej dr. Franciszka Bujaka. Wyjaśnia sam genezę jej w ten sposób, iż mając zamiar opracować urządzenie stosunków włościańskich na obszarze Rzeczypospolitej krakowskiej od rozbiorów Polski uważał za konieczne zbadać naprzód ustrój agrarny za czasów Piastów.

W pierwszym rozdziale tej pracy daje autor obraz dotychczasowych poglądów na kwestyę osadnictwa: prof. Wojciechowskiego, Balzera, Piekosińskiego i Potkańskiego.

Następnie rozpatruje autor warunki osadnictwa w Polsce w XI—XIII wieku. Stan kultury w wieku XI nie był tak nizki, jak ogólnie się sądzi. Wszak w wieku IX Polska jest terenem organizacyi państwowej. Trudno przypuścić, by cała organizacya była dziełem wyłącznie geniusza Bolesława Chrobrego.

Najazdów i to częstych nie można wykluczać, lecz nie widać śladów takiego podboju, jak go sobie wyobraża prof. Piekosiński.

Bez silnych podstaw i zasobów materyalnych nie mógłby Chrobry rozwinąć tak szerokiej działalności zwłaszcza, że monarchia wojenna, jaką była Polska za Chrobrego, nie rozwija nowych sił, ale tylko korzysta z istniejących.

Polska w tym okresie miała dobre drogi i mosty nawet kamienne. Złota i srebra dość było w Polsce, na co również wskazuje wzrastanie cen ziemi. Dość było w Polsce i żelaza. Roli była ilość dostateczna, a lasów raczej za mało, skoro pojawiają się ustawy ograniczające ich wyrębywanie. Zaludnienie było gęste, a rąk do pracy nie brakowało, bo spotykamy nawet ślady odrębnej grupy robotników rolnych Niewola i handel ludźmi przetrwał do XIII wieku.

W okresie omawianym ludność okazuje wielką ruchliwość. Obowiązki wojskowe, budowanie i naprawa grodów, dróg i t. p. zmuszała ludzi do odbywania wielkich podróży. Tożsamo powodowało staranie się o wymiar sprawiedliwości, potrzeby religijne. Dalej myśliwstwo, rybołowstwo zmuszało ludzi do przebywania wielkich przestrzeni.

Wojna wywoływała bardzo wielkie zmiany w osiedleniu. Celem jej było przedewszystkiem zdobycie jeńców. Chrobry przez wojny podniósł ilość ludności Polski. Ludność ta zmniejszyła się za jego następców; dopiero Bolesław Krzywousty zaludnia znów Polskę jeńcami. W okresie dzielnicowym nastaje znów upadek z powodu najazdów i uprowadzania jeńców; zaś wojny między-dzielnicowe nie podwoiły populacyi przez zabór jeńców, gdyż kończyły się zwykle ich wymianą.

Papieże występowali przeciw braniu w niewolę, lecz było to bezskuteczne, gdyż nie mieli poparcia w ogóle duchowieństwa, potrzebującego zaludniać obszary posiadane przez siebie.

Wojny wyludniały też wsi tak nieraz, że właściciele nie mając w nich rąk do uprawy, opuszczali je, na czem korzystał tylko skarb książęcy wykonywując prawo kaduka.

Ważnym czynnikiem w ruchu ludności były pomory i głody, powodujące emigracyę ludności w okolice pomyślniejsze. Emigracyę powodowały też ciężkie warunki zależności. Książęta podejmują też w swoich włościach działalność kolonizacyjną. Dla zaludnienia włości oddawały kościoły książętom lub prywatnym swe włości, naturalnie z zastrzeżeniem zwrotu po dokonaniu w nich osadnictwa.

Srogie wedle ówczesnego prawa egzekucye, konfiskaty dóbr, sprzedawanie w niewolę za długi powodowały zmiany w osiedleniu się.

W okresie tym powstaje liczna klasa rolnych dzierżawców. Mają oni z powodu swego wolnego stanu łatwość przesiedlania się.

W wielu okolicach przechował się sposób uprawy zwany »łazy«. Jest to wypalanie lasu nizkopiennego celem uprawy jedno lub dwurocznej bez pomocy pługa.

Znajdują się ślady, że ludność wolna może się osiedlać na ziemi nie należącej do księcia tylko za tegoż zezwoleniem.

Autor wskazuje, że w tym okresie znano już lokacyę na prawie polskiem wsi i miast, i że była ona przygotowaniem do kolonizacyi niemieckiej w wiekach następnych.

Wszystkie te czynniki wycisnęły na osadnictwie tego okresu piętno niestałości: w ciągu jednego stulecia mogły setki osad powstać i zaginąć.

To też prawdopodobnie mało osad przetrwało bez zmiany nazwy od X w. do naszych czasów. Do oceny, które nazwy są starsze, niema żadnego kryteryum prócz tego, że za starsze i niepodlegające zmianom można uważać miejscowości ważne pod względem administracyjnym, handlowym i komunikacyjnym. Ustalanie się stosunków posuwa się od zachodu ku wschodowi zacząwszy od XII wieku.

Dla zbadania pierwotnego osiedlenia Polski posługiwała się dotąd nauka podaniem i klasyfikacyą nazw miejscowych. Dwie tu zachodzą trudności. Pierwsza, to niestałość osadnictwa w pierwszych wiekach historycznych. Drugą trudność stanowi niemożność nieraz odróżnienia nazw miejscowych pochodzących od imion osobowych i słów pospolitych. W średniowiecznem imiennictwie odgrywają wielką rolę imiona wzięte z natury. Nazwy tworzące się z imion pospolitych przybierają nieraz formy identyczne z nazwami pochodzącemi od imion osobowych.

Rozróżnienie wprowadzone przez Piekosińskiego imion osobowych rycerskich od gminnych i wnioski stąd o nazwach miejscowości (wsi o nazwach patronimicznych, szlacheckich i wieśniaczych, dzierżawczych szlacheckich i wieśniaczych) niema uzasadnienia w faktycznym stanie: nie znalazł bowiem autor, by rycerstwo używało innych kategoryi imion niż lud.

Nie wielkie mają znaczenie nazwy patronimiczne, włodycze i dzierżawcze dla historyi osiedlenia. Częste są wypadki, że konieczne nazwy tej samej miejscowości, patronimiczna zmienia się na dzierżawczą i przeciwnie, bez żadnego zresztą powodu, uzasadnionego zmianą typu osadnictwa. Nazwy t. zw. włodycze nie znają związku z włodykami, podobnie nazwy zwane przez Piekosińskiego narokowe, a oznaczające osady przemysłowe nie mają związku z wykonywaniem naroku: żadna z wsi wyliczonych w dokumentach, jako narokowe nie nosi nazwy o typie narokowym. Autor zastanawia się przytem nad pojęciem naroku i zadaniem tej instytucyi. Wedle wywodów dr. Bujaka, narok nie oznacza wszelkiej ludności przywiązanej do majątku księcia i zorganizowanej w celach wykonywania prac przemysłowych na rzecz księcia i grodów, lecz jest to instytucya prawa karnego. W pewnych wypadkach ukarania, ziemia i ludzie skazanego przechodziła na rzecz księcia. Narok było to postępowanie sądowe w tych wypadkach.

Autor sam badając niezależnie od dotychczasowych teoryi chronologię nazw miejscowych dochodzi do wyniku, że najstarsze i naj-

więcej rozpowszechnione są nazwy topograficzne, urobione od przyrodzonych właściwości miejsca i okolicy.

Przeważał typ osadnictwa zbiorowego w osadach o przeciętnie 15 gospodarstwach i obok tego spotyka się jednak osady jednodworcze.

W ugrupowaniu gruntów należących czy do jednej wsi, czy w obrębie wsi do jednego właściciela daje się spostrzegać szachownice t. j., że grunta sąsiedzkich wsi wchodzą jedne w drugie i tożsamo grunta poszczególnych właścicieli. Co do szachownicy między wsiami przypuszcza autor, że pochodzi to z zawłaszczania gruntów wspólnie przez mieszkańców kilku wsi używanych przez poszczególne osoby lub też z rozdziału takich gruntów, przyczem pedantycznie przestrzegano, aby każdy z uprawnionych otrzymał z różnych rodzajów gruntu przeznaczonych do rozdziału, równy udział w gruncie każdej jakości i kultury. Też same przyczyny składały się na wytworzenie szachownicy w obrębie gruntów jednej osady.

Wiele wsi nie miało ściśle oznaczonych granic. O ile granice były określone, stanowiły je potoki, drogi albo też oznaczano je przez wykopanie rowów, wzniesienie kopców lub zabicie pali. Ograniczenie wodami, naokół których można było terytoryum dane objechać, nazywano ujazdem, a stąd nazwa przeszła na same terytoryum. Tworzenie ujazdów nieraz prawdopodobnie za wpływem i wolą monarchy, sprzyjało ustalaniu się indywidualnego prawa własności. Z tem łączy się powolny zanik prawa bliższości i t. zw. zapowiedzenie dziedziny. Jest to zakaz właściciela wzbraniający wszelkim sąsiadom i obcym korzystania z jego ziemi.

Przy każdej zmianie własności odbywało się obejście granic przez delegatów księcia i to wobec całego sąsiedztwa opolnego.

Posiadłość mierzono równie powrozem oznaczonej długości. Jest w źródłach wzmianka o książęcych żerdnikach *(perticarii)*.

Miarą był źreb czyli pług większy, wielkości około 90 morgów i pług mały czyli łan.

Jeszcze przed kolonizacyą niemiecką znany był w Polsce pług, radło i socha.

Wkońcu autor polemizuje z prof. Balzerem, wykazuje, że w Polsce istniała organizacya lokalna, niższa od grodu, nie oparta jednak na wspólności rodowej. Mianowicie była zależność wzajemna co do uprawy roli pól ułożonych w szachownicę, musiała być zatem i organizacya celem normowania czasu i rodzaju uprawy na gruntach pomieszanych,

musiały być jakieś zebrania tej organizacyi. Zależność jednak taka i organizacya nie były regułą przy osiedleniu gromadnem.

To są wyniki pracy d-ra Bujaka nad kwestyą mało dotąd w piśmiennictwie historycznem opracowaną i prawie leżącą odłogiem. Poruszył w niej autor wiele interesujących pytań i w miarę możności i zakresu wiadomości źródłowych rozporządzalnych postarał się dać na nie mniej lub więcej pewną i dokładną odpowiedź. O pewności rozwiązania kwestyi nie możemy mówić w kwestyach, gdzie źródła są ułamkowe, gdzie wiadomości w nich zawarte trzeba przypuszczeniami i własnemi kombinacyami łączyć w całość. Choćby jednak dalsze badania obaliły wyniki pracy d-ra Bujaka, to zostanie trwałą jego zasługą, że dał inicyatywę i poruszył wiele pytań dotąd nie rozważonych, i że wskazał na źródła, w których na nie szukać należy odpowiedzi.

Dr. A. Bielecki.

Państwo — Naród — Jednostka. *Ks. K. J. Kantak.* Poznań. Księgarnia św. Wojciecha. 1907.

Dzieło to broszurowane obejmujące 120 stronic, nie wzbudza na pierwszy rzut oka zainteresowania głębszego, bo każe może spodziewać się zbyt popularnego przedstawienia zagadnień o treści teoretycznej, której poważny czytelnik niezawodnie pragnąłby zaczerpnąć z dzieł fachowych. Tymczasem tytuł seryi zagadnień »Głosy na czasie«, do której wspomniana broszurka należy, zniewala sam przez się do bliższego zainteresowania się jej treścią i to nie bez pożytku:

I. We wstępie podaje autor krótki a zwięzły pogląd na zasadnicze zagadnienia państwowości, począwszy od Greków, aż do naszych czasów, oraz na literaturę prawnopolityczną polską.

II. Następnie rozwija swoje zapatrywanie na społeczności ludzkie wogóle, a naród i państwo w szczególe. Jednostki mają z woli Boga w sobie siłę zrzeszania się w społeczności i to dla wypełnienia pewnego celu każdej właściwego, chociaż bezpośrednio nie wiadomego.

III. Narody różnią się pomiędzy sobą, pomijając inne nie wiele znaczące różnice w istocie, odrębnym sposobem myślenia oraz i językiem. Naród, chcący być uważanym za taki, musi w masie swej być tego samego pochodzenia i mieć poczucie swej odrębności.

IV. Chociaż język nie jest cechą rozstrzygającą o narodowości samej w sobie, pomimo to posiada on dla narodu poważne znaczenie,

jest bowiem wyrazem jego objawiającym się w historyi i literaturze (u Polaków w poezyi).

V. Państwo, jest to społeczność zorganizowana na pewnem terytoryum, które zajmuje wyłącznie. Dwa państwa nie mogą istnieć w tych samych granicach, ale za to dwa narody w jednem państwie. Idealny stan ludzkości byłby, gdyby każda społeczność narodowa była zorganizowaną w państwo dla siebie, tymczasem historya stwierdza, że państwa powstały nie w sposób idealny, lecz na drodze podboju. Dwa rozróżniamy typy dzisiejszych państw: nacyonalne i związkowe. Pierwsze oznacza państwo, w którem jeden naród ma przewagę w funkcyach państwowych; drugie zaś składa się z kilku narodów, które dzielą między sobą pracę państwową. Aby się w swoich wewnętrznych sprawach urządzić, tworzy naród organizacyę wewnętrzną, czyli społeczeństwo różnego rodzaju w miarę potrzeb i rozwoju danego narodu. Różni się ono od państwa tem, że jest organizacyą dobrowolną, nie zajmuje pewnego obszaru i nie jest na zewnątrz niezależnem. Zależnie od stopnia rozwoju bywa społeczeństwo więcej lub mniej zależnem od państwa żyjąc z niem w mniejszem lub większem porozumieniu.

Z wszystkich ustrojów państwowych uważa autor arystokracyjny za najlepszy, niestety teorya nie odpowiada dzisiejszym czasom, z wyjątkiem bowiem Anglii i Stanów Zjednoczonych, rozwielmożniła się wszędzie mniej lub więcej biurokracya ze szkodą ludzkości, czyniąc głównie spustoszenie między Słowianami.

VI. Co się tyczy stosunku Kościoła do państwa, to Kościół ani niema zupełnej przewagi nad państwem, ani też odwrotnie; organizacya jego mająca na celu zakres nadprzyrodzony z natury rzeczy stoi ponad narodem i państwem, nie przedstawia więc ani organizacyi narodowej, ani państwowej, dlatego nie godzi się nadużywać go do celów narodowych.

VII. Czynnikiem rozstrzygającym o narodowości osobnika jest według autora wybór, urodzenie zaś, wychowanie i tradycye rodzinne są tylko pobudkami do odnośnego wyboru. Tyczy się to naturalnie tylko człowieka uświadomionego; u nieuświadomionego zaś rozstrzyga nie wybór lecz zbieg okoliczności: wychowanie, otoczenie i różne wypadki i koleje życiowe.

VIII. Jednostka należy do państwa bezpośrednio, skoro społeczeństwo jej jest zarazem państwem, pośrednio zaś, skoro społeczeństwo czyli organizacya narodu nie utożsamia się z państwem, jednostka

bowiem należy w pierwszym rzędzie do naturalnej organizacyi na podstawie narodowej. W takim razie jeżeli panuje przyjacielski stosunek między państwem a społeczeństwem, wtedy wykonuje ono w porozumieniu z państwem pewne prawa i obowiązki. Gdy zaś państwo nie uznaje społeczeństwa wtedy, bądź to należąc z wyboru, bądź to z przymusu, może się ono od państwa odłączyć, skoro nie znajduje korzyści w przynależeniu dalszem do niego.

IX, X. Wreszcie autor rozwodzi się nad obecnym stanem państw, walkami rasowemi, nienawiścią wobec innych narodów, skłaniającą się ku uciskowi wobec słabszych spółobywateli, rzekomo dla interesu silniejszego narodu. Winni temu są panujący, dlatego przyszłość lepsza w ręku wolnych narodów. Urzeczywistnienie jej leży nie w ręku kongresów pacyfikacyjnych, lecz w »zamianie Środkowej i Wschodniej Europy na federacye z samoistnością narodową«. Zwracając się do kwestyi polskiej przestrzega przed niemoralnym uciskiem z jej strony narodów mieszkających w jej historycznych granicach. Zatem pragnie sprawiedliwości i miłości wobec Litwinów, Białorusinów, Rusinów, Żydów i Rosyan, uznania ich jako odrębnych narodów, skoro się za takie uważają.

Oceniając w ogólności wartość całego dziełka, nie można nieprzyznać mu pewnego znaczenia dla obfitości i gruntowności myśli w nim zawartych, które zdradzają w autorze, pomimo jego młodego wieku, sporą dozę wiedzy. Nie potrzeba jednakże się godzić na wszystkie jego twierdzenia i dowodzenia, mianowicie, co się tyczy kwestyi posłannictwa narodów i zmieniania narodowości. Zdaniem naszem można uważać wprost za błąd twierdzenie, jakoby ten sam osobnik mógł równocześnie należeć do kilku narodów, choćby nawet i w teoryi, przytem błędnie przytoczony jest jako przykład cesarz austryacki rzekomo należący do kilku narodów (str. 90).

Str. 95 i 96 pozostawiają pod względem jasności w rozprowadzeniu treści niejedno do życzenia, przyczem autor popełnił zdaniem naszem błąd formalny, bo według tytułu rozdziału VIII, zajmuje on się zagadnieniem o stosunku człowieka do państwa, w rzeczy samej zaś przeważa treść o stosunku społeczeństwa do państwa.

Na uznanie między innemi zasługuje to, że autor często swoje teoretyczne wywody sprowadza na grunt aktualny do kwestyi polskiej, przestrzegając w rozdziale IX i X przed niebezpieczeństwem grożącem jej ze strony egoistycznych pojęć, które niestety już opanowały częściowo myśl narodowo-polityczną; przytem uwzględnia z wielką zna-

jomością literaturę polską, szkoda tylko, że nie podaje dokładniej źródeł i miejsc, na które się odwołuje, utrudniając przez to czytelnikowi w razie głębszego zainteresowania się, ódszukanie odnośnych informacyi.

Ks. J. Kozłowski.

Z historyi sztuki.

F. F. de Daugnon: »Gli Italiani in Polonia, dal IX secolo al XVIII«. — Franciszek Mączyński: »Ze starego Krakowa. Ulice, bramy, sienie«. — Dr. Stanisław Tomkowicz: »Wawel. T. I. Cz. I. Zabudowania Wawelu i ich dzieje«.— Ks. Tadeusz Trzciński: »Ozdoby architektoniczne w gnieźnieńskim kościółku św. Jana«. — Ks. Tadeusz Trzciński: »Jeszcze o zagadkowym nagrobku katedry gnieźnieńskiej«. — Ks. Tadeusz Trzciński: »Miniatury w antyfonarzu katedry gnieźnieńskiej«. — Dr. Emanuel Świeykowski: »Pamiętnik Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie (1854—1904). Pięćdziesiąt lat działalności dla ojczystej sztuki«. - Dr. Emanuel Świeykowski: »Zarys artystycznego rozwoju tkactwa i haftarstwa«.

Polska dała gościnę wybitnym i licznym artystom i uczonym włoskim. Literatura też obca ciągle ma sposobność zajmowania się postaciami, które działalnością swoją stały się własnością dziejów dwóch odległych od siebie krajów: Włoch i Polski. Dwutomowe dzieło pana F. F. de Daugnon [1] o Włochach bawiących w Polsce daje znowu obszerniejsze wiadomości o wszelakiego rodzaju artystach i rodach włoskich, które z pod włoskiego nieba powędrowały na północ, pod gościnne strzechy polskie i tu kwitły i pleniły się wzbogacając niwy kulturalne nowej przybranej ojczyzny.

Szkoda, że sz. autor mimo całej sympatyi, z jaką odzywa się o Polsce, nie zaznajomił się bardziej z jej historyą, nie włada, jak widać, jej językiem i nie zna publikacyi naukowych polskich. Stąd płyną fatalne błędy w nazwach i epokach i roi się też od nich w dziele całem. Naturalnie najwięcej tutaj wiadomości o artystach, których pobyt u nas związał się ściśle z dziejami Krakowa.

Pan Mączyński powiada [2], że Kraków to wielkie murowane dzieło

---

[1] F. F. De Daugnon: *Gli Italiani in Polonia, dal IX secolo al XVIII. Note storiche con brevi cenni genealogici araldici e biografici.* Crema, tipografia editrice Plausi e Cattaneo 1905 i 1907, tomów dwa.

[2] Franciszek Mączyński: »Ze starego Krakowa. Ulice, bramy, sienie«. Król. 8-ka, str. 16, tabl. 91,

sztuki. Napisał o nim książkę, w której przeważną częścią, fundamentalną są illustracye ze starego Krakowa, jego ulic, domów, bram, sieni i klatek schodowych. Dodał do niej opis zabytków i w nim treściwie i trafnie scharakteryzował tę tak niemal że nie tkniętą a tak ciekawą ze wszechmiar stronę starego Krakowa. Autor jest artystą, czuje całe piękno zaklęte w starych murach i z żalem patrzy, jak »Stary Kraków« — ginie. Znika powoli w szczegółach takich, jak portale, podwórza lub bramy. Całemi powierzchniami zmienia się przy przebudowach, zmienia się stara fizyognomia, młodnieje z grymasem powszedniości i modernizmu. Jakaż szkoda niepowetowana! *Neues Leben blüht auf den Steinen.* To stare śródmieście jako kompleks domów mimo »całej różnorodności form stylowych, ma swój styl odrębny, swą harmonię, swój wyraz. Zamknięte śladami dawnych murów obronnych, ze swym placem centralnym i siecią ulic z placu głównego płynących, jest po prostu wzorem, historycznie niezrównanym«.

I jak dalej p. M. pisze: »Pod względem malowniczości i ogólnego wyrazu chyba Wenecya lub Rotterdam dadzą się z naszem śródmieściem porównać«.

Założeniem i zadaniem pracy artysty-autora nie było podanie formy do bezpośredniego zastosowania, ale rysował swoje spostrzeżenia jako wynik obserwacyi, jako wskazówkę sposobu rozwiązania problemu.

Architekt, któremu przypadnie w udziale nową budową zmienić fizyognomię starego miasta, jeżeli nie chce popełnić wykroczenia przeciwko dobremu smakowi, musi się dobrze zastanowić nad tem, jakiem ogniwem stanie się jego dzieło, w miejsce starej budowli, które rozbiją kilofy.

Szkoła daje podstawowe wiadomości o wiedzy budowniczej, lecz dusza kompozycyi leży już poza jej sferą. To dar Boży, wrodzone poczucie artystyczne. Powtarzanie ślepe znanych i pewnych form architektonicznych, wykonane choćby przez najbardziej utytułowanego architektę, będzie zawsze tylko naśladownictwem. Nie jest wynikiem twórczości, a choć może ogrom form imponować swoją olbrzymiością kształtów lub zawiłością formy, to przecież pozostanie niczem innem jak kopią obcej myśli, jak zdawkową monetą z podłego wybitą kruszcu. Wyzwolenie się od bezmyślnego przeładowania form, aczkolwiek skądinąd dobrych, świadczy o samoistnym duchu twórczym, który wie z jakiej przyczyny i w jakim celu używa jednej lub drugiej formy.

Artysta, którego zmysł dojrzał już do samodzielności, gdy kom-

ponuje budowlę o szerszem pojęciu, zamyka ją pewnemi liniami, które wyszukał na podstawie poczucia harmonii z otoczeniem a zarazem wniknął w cel i przeznaczenie gmachu, modelując całość zapomocą kontrastów siłą twórczego talentu i pracą poza szkołą. Oby te zasady znalazły wymowny wyraz przy stworzeniu i uplanowaniu Wielkiego Krakowa! co było troską artysty ujawnioną w jego dziele.

»Perspektywy ulic krakowskich, jako wynik połączonych ze sobą fasad domów, przedstawiają mozajkową różnorodność form, stylu, kolorów«. Słusznie obawia się autor, że nowa ustawa budowlana czyniąca bardzo nęcące ulgi podatkowe dla przebudowujących się domów niemal zachęca do zmiany starych fasad a tem samem wyglądu całych ulic.

Po raz pierwszy mamy w dziele p. Mączyńskiego podaną artystyczną charakterystykę domów krakowskich. Autor dowiódł, że nie tylko jest doskonałym architektem, ale równocześnie włada dzielnie piórem. Tematu naturalnie nie wyczerpał, bo Kraków daje go w takiej obfitości motywów, że na wyczerpujące ich omówienie nie starczyłyby siły jednego człowieka — kto wie, jednego życia.

Publikacya Grona Konserwatorów Galicyi zachodniej w nowym tomie IV-ym pomieściła pracę niezwykle poważną d-ra Stanisława Tomkowicza o Wawelu[1]. Dzieło naukowe o charakterze ścisłym i systematycznym. Nie posiada ono zalet rozprawy popularnej, ale od początku do końca przedstawia rzetelny rezultat wyczerpujących badań nad przeszłością zamku królewskiego. Jest to dopiero część pierwsza. Zawarła zaś w sobie całą epokę wieków średnich i stanęła u progu Odrodzenia.

Treść jej odsłania nam dzieje góry wawelskiej od zamierzchłych czasów, mówi o zamku Bolesławów i przedstawia wszystkie burze, jakie przeciągnęły ponad ziemią krakowską, a więc i zamkiem w XII i XIII wieku, kiedy to pierwsze zagony tatarskie pożogą i mieczem niszczą polskie ziemice, a Piastów ród wiedzie nieustanne i krwawe boje o zamek krakowski. Naturalnie autor nie lęka się dotknąć tych czasów, o których doszły nas tylko fragmentaryczne wieści, z których historyk musi budować hipotetyczny obraz dziejowy. Dopiero od cza-

[1] Dr. Stanisław Tomkowicz: »Wawel. Tom I. Część 1. Zabudowania Wawelu i ich dzieje«. 8-ka królewska. Stron 214, fig. 32. Ze zbioru ogólnego pod tytułem: »Teka grona Konserwatorów Galicyi zachodniej«. T. IV.

sów Łokietka, a jeszcze więcej Kazimierza rozjaśnia się historya budowy zamku już gotyckiego. Bo też i pomnik sam mieści w sobie wielkie architektoniczne kompleksy budowli ostrołukowej. Odtąd historya sztuki przemawia wymowną formą i niezbitymi dowodami. Jeszcze pamięć Kazimierza Wielkiego, swego budowniczego największej miary w Polsce, wiąże się do dziś dnia legendarnie z murami. Jeszcze dziś pokazują salę, w której konał wielki król. A potem już kwitnie tutaj pamięć wnuki jego po kądzieli, najpiękniejszej z postaci niewieścich, królowej Jadwigi. Z całym pietyzmem przechodzi pątnik polski przez progi wieżycy zamkowej, zwanej: Kurzą stopą. W salce jasnej, rozświetlonej pięcioma oknami ona tu mieszkać miała. Prawdopodobniej była to kaplica, w której na modłach długie godziny spędzała, modląc się o następcę tronu, o szczęście ludu Polski i Litwy. Jagiełło budował tutaj, komnaty zdobił makatami, a ruscy malarze freskami okrywali ściany zamkowe, a któż wie może głównie malowidła ich odnosiły się do zamkowej, wspomnianej wyżej kaplicy. Tendencye dekoracyjne Jagiełły związały się również z jego wiekopomnem zwycięstwem na polach Grunwaldu. Na cześć bohaterskiej walki przeciwko Krzyżowym rycerzom wypisać kazał król na ścianach hymn pochwalny, aczkolwiek ślad jego w zamku zaginął; dochowała się kopia jego w archiwum królewieckiem.

Po górze zamkowej rozsiane wznosiły się kościoły, gród, domy, szkoły, stajnie królewskie, kuchnie, rurmus, w ogrodach były kwietniki, sady i winnice, były tu sadzawki i skrzynie rybne, psiarnia i menażerya, studnie i kanały, co wszystko razem wziąwszy odźwierciedla nam ślady wysokiej kultury owoczesnej i pozostaje niezbitem świadectwem, że Wawel to prawdziwe centrum cywilizacyjne wielkiego państwa.

Prócz powyższych widzimy tutaj: skarbiec i archiwum, siedzibę sądu najwyższego i grodzkiego, mieszkania królewskicn dworzan i załogi. Czerwone mury zamkowe z potężnemi wieżycami, których dotąd połowa się jeszcze zachowała, ujęły wzgórze w obronny puklerz i nadawały rezydencyi królewskiej znaczenie pierwszorzędnej twierdzy w państwie.

Oto treść znamienitej książki, napisanej z wielką sumiennością i nadzwyczajnym nakładem pracy.

Jednym z kościołów polskich, którego dziejami zajmowano się

bardzo niewiele, był kościółek św. Jana w Gnieźnie[1]. Najstarsza wiadomość o nim mieści się w dokumencie Przemysława z roku 1243, w którym książę ofiaruje szpital przy kościółku Bożogrobcom z Miechowa. W r. 1255 zakład stał się osadą zakonną a to w moc przywileju otrzymanego od arcybiskupa Fulkona. Miechowscy zakonnicy przeprowadzili też wówczas przebudowy. Jakie i w jakim rozmiarze?— tego nie wiemy.

Ks. Trzciński przypuszcza, że odnosić się one mogły również do kościółka a popiera jeszcze go wzgląd uboczny a mianowicie, że po pobycie tutaj w latach 1311—1314 wypędzonego przez Łokietka Bożogrobca Henryka, herbu Ossoryja, namalowano na bocznej ścianie jego herb rodzinny.

Dawna polichromia średniowieczna pokryta jest dzisiaj pobiałką wapienną i w miejscach gdzie odpada, widać dotąd jej ślady. Ks. T. spodziewa się, że pod nią kryje się stare malowidło z czasów Władysława Łokietka, które jeszcze oglądał Nakielski. Wywody ks. Trzcińskiego mocno zachwiały determinacyę kościoła dokonaną przez J. Kohtego w *Kunstdenkmäler der Provinz Posen*, który wiek kościoła oznaczył na XV stulecie.

Kościół św. Jana mimo odarcia okien z pięknego laskowania, mimo licznych śladów smutnego opuszczenia, sprawia wewnątrz niezmiernie estetyczne wrażenie. Wywołują je, rzetelność konstrukcyi, harmonia proporcyi i ostrołukowe krzyżowe sklepienie o silnych żebrach ze sztucznego kamienia. Owóż te żebra udekorowane są w sposób niezwykły rozetami, zwornikami z tarczami herbowemi, oraz wspornikami ożywionymi rzeźbą symbolicznej treści.

Głównie też chodziło autorowi o interpretacyę ikonograficzną tych scen, jakie rzeźbiarz wymodelował. Świat pojęć średniowiecznych przemówił do nas plastycznie i obrazowo: pelikan karmiący własną piersią pisklęta, to symbol cnoty miłości, lub jak woli sz. autor — mądrości. Lis pouczający gęsi, to satyra na wyzyskujących ludzką prostotę. Jakiś zwierz himeryczny, jakby połowa dromedara, może powtórzenie niozrozumiałych kształtów gdzieśindziej widzianych. Głowa niewieścia z wieńcem okalających ją róż to *caritas mater virtutum.*

---

[1] Ks. Tadeusz Trzciński: »Ozdoby architektoniczne w gnieźnieńskim kościółku św. Jana«. W 8-ce, str. 19, ryc. 9 (odbicie z *Przeglądu kościelnego*). Poznań 1906.

Twarz męska trzymająca w zębach gałęzie, ma oznaczać uosobienie dyabła.

Te i inne wyjaśnienia rzeźb symbolicznych oświetlają nam myśl artystyczną i moralizującą — średniowiecza. Broszura napisana z umiłowaniem rzeczy ojczystej zaleca się jasnością i sumiennością wykładu. Mimo wszystko, znaczenia symbolicznego rzeźb nie udało się sz. autorowi w zupełności rozświecić, lub jego objaśnienia i domysły nie zadawalniają. Odnosi się ta uwaga do objaśnień figuralnych przedstawień na wspórnikach fig. 3, 4 i 5. Uwaga nasza nie jest zarzutem, bo nie tylko, że kwestya ikonograficzna, symbolizmów plastycznych w średniowieczu nie jest dotąd dostatecznie zbadana, ale nadto stan omawianych pomników jest bardzo nadwyrężony, co utrudnia zrozumienie form i wytłumaczenie ich znaczenia. Uczony Wielkopolanin ks. Trzciński [1] poczuwa się do chwalebnego obowiązku rozprószać ciemności dziejowe nad pomnikami u grobu św. Wojciecha. Z gorącem umiłowaniem jął się żmudnej pracy. Wdzięcznej, bo dotyczy prastarej macierzy, z której niegdyś rozeszło się naokół światło wiary.

Wspaniała płyta, rzeźbiona w czerwonym marmurze, o której znaczeniu różni różnie mówili, jest przedmiotem rozprawy. Wyobraża ona w płaskorzeźbie postać okazałą biskupa z herbem »Poraj«. Już na tem miejscu w *Przeglądzie Powszechnym* mówiliśmy o niej obszernie z okazyi omówienia pracy prof. Maryana Sokołowskiego na ten sam temat. Ksiądz autor przyjmując najzupełniej wszystko, co znakomity historyk sztuki powiedział o zaletach artystycznych rzeźby i o domniemanym jej autorze, co do fundamentalnego pytania, kogo ona przedstawia, na odmiennem staje stanowisku.

Prof. Sokołowski w przedstawionej postaci, widzi arcybiskupa Jana Gruszczyńskiego, gdy tymczasem autor: »ś w. W o j c i e c h a«.

Ks. T. zestawia wszystkie racye, jakie przemawiają *pro* lub *contra* i w przekonywujący sposób dochodzi do ostatecznego wyniku, że rzeźba jest częścią mauzoleum św. Wojciecha, fundowanego w latach 1480—1486 przez Jakóba z Sienna, arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Wszystkie dalsze wywody dotyczące dotąd dochowanych płaskorzeźb i napisów, stawiają kwesyę ponad wszelką wątpliwość jasno

---

[1] Tadeusz Trzciński: »Jeszcze o zagadkowym nagrobku katedry gnieźnieńskiej«. W 8-ce, str. 32, ryc. 6. (Odbitka z Rocznika Towarzystwa Przyjaciół nauk w Poznaniu T. XXXII), Poznań 1906.

i przekonywująco. Uznaje on wreszcie, jak i jego poprzednicy rzeźbę za wybitne dzieło Wita Stwosza.

Pociągającą treścią i formą jest dalsza rozprawa ks. Tadeusza Trzcińskiego [1] o miniaturach, jakie znalazł w 4 tomach antyfonarza katedry gnieźnieńskiej. Jest to pamiątka po mecenasie duchownym kanoniku gnieźnieńskim i poznańskim Klemensie z Piotrkowa. Plebejusz, ale zamiłowany w sztuce zawdzięczał jedynie własnej pracy i dzielności swe wyniesienie. Niepospolitego umysłu, rzutki i przedsiębiorczy upamiętnił on imię swoje wydrukowaniem brewiarza i mszału dla dyecezyi gnieźnieńskiej. Prócz tych dwóch ksiąg liturgicznych szerszego znaczenia ofiarował samej katedrze ów wspomniany u wstępu wspaniały antyfonarz, czyli zbiór śpiewów liturgicznych, używany na wspólnem nabożeństwie chórowem poza Mszą św., pisany on na pergaminie i ozdobiony inicyałami, w których pomieszczone miniatury przedstawiają: Grób Chrystusowy, Zmartwychwstanie Pańskie, Zesłanie Ducha św., św. Piotra, Koronacyę Matki Boskiej, św. Stanisława, Wszystkich Świętych, Chrystusa królującego w Kościele powszechnym i widok katedry gnieźnieńskiej.

Wśród otaczających tekst winiet spotykamy nie tylko kilkakrotne powtórzenie portretu fundatora, jak również portrety jego dobrodzieja biskupa poznańskiego Jana Lubrańskiego, tudzież wielkiego katedry gnieźnieńskiej restauratora, arcybiskupa Jarosława ze Skotnik. Wzmianki w kodeksie wyjaśniają, że pisał go skryptor zakonny Abraam, a więc znany kopista dominikański w Krakowie, w roku 1505 i 1506.

Lakoniczna wskazówka rozjaśnia wiele. Każe natychmiast zwrócić oczy na środowisko artystyczne, jakiem był wówczas Kraków, a w szczególności cele mnichów dominikańskich przy kościele św. Trójcy. Tu żył malarz miniaturzysta i swem dziełem stwierdził, że stoi w ścisłej łączności z ówczesną krakowską sztuką. Lubuje się w formach i tradycyach jeszcze gotyckich, a jeżeli w narysowaniu figury lub kompozycyi biblijnej nie dosięga mistrzowstwa, a trzyma się średniego poziomu, celuje w przedstawieniu przyrody i rozwinięciu strony dekoracyjnej.

Jakież np. charakterystyczne jest to miasto średniowieczne, które

[1] Ks. Tadeusz Trzciński: »Miniatury w antyfonarzu katedry gnieźnieńskiej. (Odbitka z *Przeglądu historycznego* t. IV, zesz. 2 i 3) 8-a Warszawa, 1907, str. 32, tabl. 6.

widzimy na miniaturze ze sceną zmartwychwstania, i jaki ciekawy pejzaż roztacza się poza niem.

Pęki roślinności tryskające z inicyałów splatają całe stronice, a wśród splotów ornamentyki uwijają się wesoło ptaki naszych pól.

Z miniatur czuć już lekkie tchnienie wczesnego Odrodzenia. Do tego samego centrum życia kulturalnego, należy niewątpliwie współczesna oprawa kodeksów. Deski obciągnięte skórą z okuciem silnem, mosiężnem, wycinanem z grubej blachy w symetryczne figury. Praca niniejsza jest poważnym przyczynkiem do znajomości historyi malarstwa w Polsce i w autorze poznajemy poważnego na tem polu pracownika.

Dr. Emanuel Świeykowski [1], znany autor monografii Dukli, należy do grona sumiennych i żarliwych pracowników nad zabytkami oraz nad historyą sztuk pięknych w Polsce. O jego pamiętniku Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie, wydanym w 1906 r. ku uczczeniu 50-letniej działalności dla ojczystej sztuki nie było wzmianki dotąd w *Przeglądzie Powszechnym*. Wina za to nie spada na redakcyę lecz na zbieg okoliczności, które spowodowały, że zamówiona recenzya dotąd się nie pojawiła. Naprawiając złe zdajemy sprawę o tej interesującej w wysokim stopniu pracy bodaj w krótkości.

Książka dzieli się na trzy części: część I obejmuje historyę zasłużonego Towarzystwa od chwili jego założenia przez Mikołaja Walerego Wielogłowskiego w roku 1854 po rok 1904, kiedy już od lat czterech zdobyło się na własną okazałą siedzibę na placu Szczepańskim.

W tym rzucie oka na działalność Towarzystwa mówią wymownie cyfry, jak wielką dźwignią dla rozkwitu sztuki polskiej było Towarzystwo, jak wielkie moralne i finansowe poparcie dawało artystom. Niepospolitą zasługą jego był również stanowczy i silny wpływ cywilizacyjny na naszą publiczność i społeczeństwo wogóle. Liczby odnoszące się do zwiedzającej wystawy osób, które początkowo obejmowały skromne koła kulturalnych jednostek, zwiększają się i obejmują coraz to szersze warstwy społeczeństwa. Illustracyą tego ruchu i rozrostu sfery wpływów, dają jasne wyobrażenie tablice graficzne

[1] Dr. Emanuel Świeykowski. »Pamiętnik Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie (1854—1904). Pięćdziesiąt lat działalności dla ojczystej sztuki«. W 8-ce, str. 592, LXXXIV nl. K. 1 z illustr.

i zestawienia liczbowe odnoszące się do wzrostu i ubytku akcyonaryuszy, ilości dzieł nadesłanych, wysokości sum przeznaczonych na zakup i nabytki przez osoby prywatne.

Część druga obejmuje dzieła sztuki, jakie były wystawione w powyższym okresie w salonach Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych, wreszcie trzecia biografie artystów polskich, których prace tutaj wystawiono. Życiorysy te są tem więcej ciekawsze, że są w znacznej części autobiografiami, więc dają najpewniejszy źródłowy materyał dla historyka sztuki. Ta też część ostatnia musi zająć każdego, który interesuje się tym najpiękniejszym kwiatem cywilizacyi, który w zmysłowej materyi ujawnia geniusza narodu.

Historyi tkactwa i haftarstwa ujętej w całość, literatura polska dotąd nie posiadała. Dał ją dopiero p. Świeykowski [1] w swoim rozumowanym katalogu zbiorów Muzeum narodowego. Część książki obejmująca zarys artystycznego rozwoju tkactwa i haftarstwa zajęła 196 stronic podając treściwą wiadomość o tkaninach, haftach, dywanach, gobelinach i t. p.

Część druga zawiera opis 420 przedmiotów barwnej sztuki tkackiej i haftarskiej, przyozdobiony 25-ma tablicami doskonałych reproducyi. Zbiory tkanin to rzecz stosunkowo nowa, bo dopiero w XIX stuleciu, szukając za wzorami do szat kościelnych, jęło się gorliwie zbierania tych cennych i niesłychanie ciekawych zabytków. Zbiór Muzeum narodowego w Krakowie powstał bardzo niedawno, bo dopiero za dyrekcyi obecnego dyrektora dr. Feliksa Kopery, którego zabiegliwości zawdzięczać należy, iż zawiera w tym kierunku zabytki pierwszorzędnej wagi.

Historya tkanin napisana jest treściwie, ze znajomością prawdziwą przedmiotu, a przytem barwnie illustrująca rzecz faktami historycznymi i przedstawiająca kwestye zawilsze, jak np. scharakteryzowanie rodzajów techniki w sposób bardzo jasny i przystępny. Widzimy z książki, że autor obok ks. prałata Józefa Bąby w Tarnowie i ks. prałata Żarnowieckiego jest wytrawnym znawcą tego działu tak mało dotąd znanego. Kto więc zapragnąłby zbogacić swoją wiedzę o tkaninach,

---

[1] Dr. Emanuel Świeykowski. »Zarys artystycznego rozwoju tkactwa i haftarstwa«. Objaśniony zabytkami Muzeum narodowego w Krakowie, z XXV tabl. Kraków. Wydawnictwo Muzeum narodowego 1906.

niechaj weźmie do ręki p. Świeykowskiego »Zarys artystycznego rozwoju tkactwa i haftarstwa«, a może zaufać mu, jako pewnemu przewodnikowi tej pięknej sztuki.

Leonard Lepszy.

Z piśmiennictw obcych.

Z najnowszej literatury o inkwizycyi.

L'inquisition, étude historique et critique sur le pouvoir coercitif de l'Eglise. *E. Vacandard.* Paris 1907. Libr. Bloud.

L'inquisition, ses origines, sa procédure. *Mgr. Douais.* Paris 1906. Libr. Plon.

Średniowieczne sądy kacerskie, tak zwana inkwizycya, to temat, który zwłaszcza w ubiegłym wieku wciąż wracał pod pióro pisarzy, zaczepiających czasy »wszechwładzy Kościoła«, wciąż też zajmował umysły katolickich uczonych. Gdy Hergenröther, późniejszy kardynał, wydawał przed trzydziestu przeszło laty swe dzieło historyczno-apologetyczne o stosunku Kościoła do państwa [1], które dziś jeszcze cieszy się w sferach naukowych słusznem uznaniem, zdawać się mogło, że jego poglądy na inkwizycyę będą chyba ostatniem słowem katolickich zapatrywań na tę kwestyę. A jednak od tego czasu do dziś dnia nie przestała ta instytucya zajmować uczonych obydwóch obozów. Nie mówiąc już o mniejszych artykułach [2] lub o broszurach popularnych, dążących tylko do roznamiętnienia tłumów, mamy z ostatnich lat cały szereg dzieł poważniejszych, traktujących tę kwestyę ze stanowiska historycznego i prawniczego [3]. Większość zajmuje się historyą inkwizycyi we Francyi, gdzie ta instytucya w wiekach średnich największe

[1] Hergenröther: *Katholische Kirche und christlicher Staat in ihrer geschichtlichen Entwicklung.* Fryburg w Br. 1872.

[2] Np. Döllingera: *Rom und die Inquisition. Die spanische und die römische Inquisition,* wyszłe powtórnie w *Kleinere Schriften.* Stutgart 1890.

[3] Z dzieł prawniczych zasługuje przedewszystkiem na wzmiankę Hinschius: *System des katholischen Kirchenrechtes,* t. v i vi (niedok.) Berlin 1895—7; nadto Henner: *Beiträge zur Organisation und Competenz der päpstlichen Ketzergerichte.* Lipsk 1890.

znalazła zastosowanie [1], inni omawiają różne jej szczegóły [2], lub inne kwestye, które zostają w ścisłym związku z trybunałami papieskimi [3], znalazła się nawet próba ogólnej historyi tych sądów w wiekach średnich [4], której autor w trzytomowem dziele, w różne szczegóły bardzo obfitem, omawia inkwizycyę we wszystkich krajach Europy [5]. Wywołały zapewne tę obfitą literaturę wydawnictwa przeróżnych dokumentów i aktów, odnoszących się do inkwizycyi [6], a raczej te dwa objawy ruchu naukowego wspólnie na siebie oddziaływały. Zaczęto znów zaglądać do starych podręczników inkwizytorów [7], a wyciągnąwszy je z archiwów i zakątków bibliotek, wydawano je na światło dzienne [8].

---

[1] Molinier: *L'inquisition dans le midi de la France au XIII et au XIV siècle.* Paryż 1880. — Tanon: *Histoire des tribunaux de l'inquisition en France.* Paryż 1893. — Langlois: *L'inquisition d'après les travaux récents.* Paryż 1902. — O inkwizycyi w Niemczech: Kaltner: *Konrad von Marburg und die Inquisition in Deutschland.* Praga 1882 i i.

[2] Frederichs: *Robert le Bougre, premier inquisiteur général en France.* Gandawa 1892. — Douais: *La formule »Communicato bonorum virorum consilio« des sentences inquisitoriales* w sprawozd. Kongresu kat. we Fryburgu szw. 1898; *La procédure inquisitoriale en Languedoc au XIV siècle.* Paryż 1900. — Vidal: *Un inquisiteur jugé par ses victimes.* Paryż 1903; *Le tribunal de l'inquisition de Pamiers* Paryż 1905.

[3] Ficker: *Die gesetzliche Einführung der Todesstrafe für Ketzerei.* Insbruk 1880. — Havet: *L'hérésie et le bras séculier au moyen âge jusqu'au XIII siècle.* Paryż 1896.

[4] Lea: *A History of the Inquisition in the Middle Ages.* N. York 1888.

[5] Pomija jednak zupełnie milczeniem Polskę, w której, jak wiemy, zaprowadzono inkwizycyę za Władysława Łokietka, a napotykamy jej ślady jeszcze w XVI wieku.

[6] Döllinger: *Beiträge zur Sektengeschichte des Mittelalters.* Monachium 1890 (drugi tom zawiera dokumenty). — Frédéricq: *Corpus documentorum inquisitionis haereticae pravitatis Neerlandicae.* 4 tomy. 1889—1900. — Douais: *Documents pour servir à l'histoire de l'inquisition dans le Languedoc.* Paryż 1900, 2 tomy — i inne pomniejsze zbiory lub pojedyncze dokumenty.

[7] Bern. de Come: *Lucerna inquisitorum haereticae pravitatis.* Rzym 1584. — Carenna *Tractatus de officio sanctissimae inquisitionis.* Rzym 1669 (pochodzące z w. XIII). — Eymeric: *Directorium inquisitorum.* Rzym 1578 (napisane ok. 1376). To ostatnie wygodne pod tym względem, że zawiera zarazem wszystkie bulle papieskie i dekreta, odnoszące się do inkwizycyi. (Egzemplarz nieco późniejszego wydania znajduje się w Bibl. Jagiel.).

[8] Bernard Gui (Guidonis) *Practica officii inquisitionis heretice pravitatis.* Wyd. Douais. Paryż 1886. Tegoż autora: *St. Raymond de Pennafort et les hérétiques, directoire à l'usage des inquisiteurs aragonais 1242,* w *Moyen Age* 1899.

Trudno jednak powiedzieć, byśmy dziś posiadali już historyę inkwizycyi: »historya inkwizycyi, to rzecz do zrobienia«, mówi ostatni autor, który zabrał słowo w tej kwestyi [1], a jeśli chodzi o wszystkie kraje, gdzie ten osławiony trybunał swoją działalność rozciągał, na razie nawet »do zrobienia niemożliwa, póki ważniejsze dokumenty odnoszące się do tej kwestyi nie będą wydane lub przynajmniej przejrzane«. Wyżej podaną historyę inkwizycyi trudno uważać za taką, zwłaszcza że wiele posiada braków tak w poglądach, jak i w podawanych szczegółach [2], a daleką jest od tej bezstronności, jakiej żądać można od prawdziwego historyka, choć protestanta, nawet w tak drażliwej kwestyi, jaką jest ta instytucya.

A jednak to, co dziś już wiemy o inkwizycyi wystarczy, by módz sobie o niej wyrobić choćby ogólny tylko sąd historyczny, by módz się zająć kwestyą pojawienia się tego trybunału w historyi średniowiecza, a zwłaszcza jego procedurą w swej pierwotnej formie i rozwoju. Pierwszem pytaniem [3] zajmuje się w swojej książce dopiero przytoczony autor, ks. Vacandard, następne są główną treścią dzieła mgr-a Douais, biskupa z Beauvais, których książki niejako się uzupełniają, a jako ostatnie słowa w tej sprawie dać nam równocześnie mogą dobry obraz dzisiejszego stanu tej kwestyi [4].

Począwszy od apostołów [5], ciągną się sprawy z herezyami przez całą historyę kościelną, a w szczególności, gdy chodzi o herezye manichejskie w wiekach średnich, o t. zw. katarów i pokrewne im sekty, już cały dwunasty wiek obfituje w przykłady represyi i przeciwdziałania kacerzom tak ze strony władzy świeckiej, jak i kościelnej [6]. Jednak inkwizycya w historycznem tego słowa znaczeniu pojawia się dopiero później. Gdzie szukać jej początku? Do tego koniecznem jest wyrobić sobie jasne pojęcie, co się rozumie przez inkwizycyę [7].

---

[1] Vacandard: w dziele, które omawiamy.

[2] Por. krytykę, jaką z okazyi rzekomego 2 wyd. umieścił pr. Baumgarten w *Theologische Revue,* wrzesień 1907.

[3] Zajmiemy się niem na trzeciem miejscu.

[4] Nie wszystkie szczegóły, które niżej podamy, wyjęte są jedynie z tych dwóch dzieł. O ile znaleźć je można w innych pracach, zazwyczaj uwzględnimy to w uwadze.

[5] Św. Paweł do Tytusa, św. Jan w swoich listach.

[6] Por. np. Vacandard str. 40 nn.

[7] To jest treść I rozdz. książki Mgra Douais.

Nie chodzi nam tu o postępowanie inkwizycyjne, które w prawie kanonicznem pojawia się za Inocentego III [1], lecz o trybunały papieskie tego imienia, których istnienie uderza nas dopiero za pontyfikatu Grzegorza IX, jako środek prawie powszechny przeciw herezyi. Trybunał ten zamyka się w jednej tylko osobie samego inkwizytora, delegata papieskiego w sprawach herezyi (*D.* str. 14). Takich delegatów apostolskich spotykamy już w XIII wieku często, różni się jednak od nich późniejszy inkwizytor nie tylko ściśle oznaczonym zakresem działalności (herezya), ale i pewną stałością urzędu, choć ma przytem wszystkie cechy delegata n a d z w y c z a j n e g o (str. 15).

Gdy tak określimy stanowisko inkwizytora, możemy się zająć badaniem dokładnem czasu, kiedy się pojawia w historyi ta instytucya. Niektórzy pisarze utożsamiający inkwizycyę z występowaniem przeciw herezyi [2], widzą jej początki już w najdawniejszych czasach [3], inni znowu chcą się dopatrzeć jej początków na sejmie w Weronie (1184 r.), kiedy to papież Lucyusz III wydał wyrok potępienia na wszystkich sekciarzy manichejskich i polecił biskupom samym zwiedzać parafie zarażone herezyą albo przynajmniej czynić to przez swych delegatów, donosząc o heretykach do władz świeckich [4]. To rozporządzenie jednak nie zmieniło nic w kompetencyi sądów biskupich, poleca im tylko większą czujność wobec grasujących bezkarnie heretyków. Ani za Inocentego III, który kilkakrotnie wyjątkowych legatów ustanawiał dla południowej Francyi w sprawie herezyi, w którego dokumentach kilkakrotnie nawet nazwa inkwizytora się pojawia, nie można mówić jeszcze o inkwizycyi we właściwem tego słowa znaczeniu, bo brak tej instytucyi najważniejszej rzeczy, pewnej stałości cechującej późniejszych delegatów apostolskich. Za Honoryusza III ani wzmianki niema o prawdziwych inkwizytorach, zato [5] od Grzegorza IX pojawiają

---

[1] R. Schmidt starał się wykazać w rozprawie *Die Herkunft des Inquisitionsprocesses.* Fryburg w Br. 1902, że Inocenty zaczerpnął wzór do tej innowacyi z praw miast włoskich i Sycylii. Tego nie zdaje się uwzględniać mgr. Douais (str. 7).

[2] Tak np. Fredericq w wyż. pod. dz.

[3] Tak np. Lea, Tanon, inni.

[4] Tak np. Luchaire: *Manuel des institutions françaises.* Paryż 1892.

[5] Dla tego nagłego pojawienia się sądów inkwizycyjnych, sądzimy, że nie wytrzymuje krytyki teorya podana przez p. Lea w obszernem dziele (t. I, str. 328), że inkwizycya nie miała powstać planowo i dla jakiejś z góry przewidzianej przyczyny, lecz przypadkowo raczej i okolicznościowo się rozwijać. Co innego zupełnie przedstawia ks. Vacandard, gdy rozwija cały proces

się już w wielu krajach zarażonych herezyą jako instytucya stała, złożona przeważnie w ręce nowopowstałych zakonów, zwłaszcza Dominikanów [1]. Dziś też coraz więcej ustala się data powstania inkwizycyi na l. 1230—35, skoro od tego czasu pojawiają się we Włoszech i we Francyi stałe trybunały, które miały tak ważne zająć stanowisko w późniejszej historyi Kościoła.

Określiwszy czas powstania inkwizycyi wypada się zastanowić nad jej historyczną przyczyną, nad powodem, który skłonił papieża do powołania do życia tej nowej instytucyi. Nie warto przytaczać tu wszystkich hipotez, jakie stawiano w ostatnich czasach dla rozwiązania tej zagadki dziejowej [2]. Sprzeciwia się faktom takie przypuszczenie, jakoby to była np. instytucya, której się upadająca władza kleru chwyciła, widząc w niej jedyny sposób utrzymania się przy rządach. Sprzeciwia się to faktom historycznym, gdyż wiemy, że czasy powstania inkwizycyi są czasem największej potęgi papieży i kleru, a herezya z wyjątkiem kilku części Francyi i Włoch nie znajdowała sympatyi ogólnej u ludu, który często przeciw niej ostrzej występował od władzy duchownej [3]. Zazwyczaj obok wielkiego rozrostu oraz charakteru antysocyalnego herezyi w. XII i XIII, co zmuszało do gwałtownej represyi, podają jako najbliższą przyczynę niedołężność lub niemoc biskupów, wplątanych w najróżniejsze zajęcia i świeckie sprawy, którzy zatem nie mogli odpowiednio stawiać oporu herezyi, podczas gdy nowopowstałe zakony uzbrojone we władzę przez samego papieża, doskonale się nadawały do tego celu. Ślub ubóstwa odgradzał im drogę do przekupstwa, a oderwanie od świata do stronniczości, które to

---

ewolucyi w represyi herezyi, aż wreszcie doszła do ogólnego przekonania o słuszności kary śmierci i do jej prawnego rozpowszechnienia, na którym to fundamencie dopiero powstać mogła inkwizycya.

[1] Mgr. D. (str. 144) wyrzuca ks. V. wymyślenie nowego terminu inkwizycyi mniszej *(inquisition monastique)*, jako osobnej formy tego trybunału, gdy tymczasem inkwizycya oddana z zasady wyłącznie mnichom nigdy nie istniała. Słuszny zarzut, jeśli chodzi o nazwę i zasadę; co do rzeczy rozumie ks. V. tę instytucyę, która się pojawiła za Grzegorza IX, a która faktycznie była prawie wyłącznie w ręku zakonów żebrzących.

[2] Wyliczeniem najważniejszych zajmuje się mgr. D. w rozdz. 2—4 swego dzieła.

[3] D. str. 44, V. str. 40 nn. Czy można twierdzić z mgr. D., że wojny krzyżowe, prowadzone przeciw kacerzom a po nich synod lateraneński »zadały herezyi cios śmiertelny« (str. 46), tak, iżby z tego punktu inkwizycya nie miała racyi bytu, śmiemy powątpiewać.

skargi najczęściej słyszeć się dają w tych czasach na sądy biskupie. Autorowi naszemu (r. V i n.) i ta hipoteza [1] się nie podoba, chce znaleźć inną przyczynę w ówczesnej konstelacyi politycznej. Wobec zamysłów Fryderyka II dążącego do zguby papiestwa, a zarazem wobec występowania tegoż Fryderyka przeciw herezyi, którą wyzyskiwał, jako polityczny środek do usunięcia swych nieprzyjaciół, co rozumie się, niemałą Kościołowi przynosiło szkodę, musiał Grzegorz stanowczo wystąpić. Skoro więc pokój w San-Germano (1230) polepszył losy papieża, musiał on pomyśleć i o odebraniu z rąk Fryderyka skutecznego środka politycznego: tępienia herezyi; stąd początek trybunałów inkwizycyjnych. Herezya jako rzecz wiary należała do Kościoła, a Fryderyk okazawszy rzekomo taką gorliwość w tej sprawie nie mógł się sprzeciwić trybunałom papieskim, które zdawały się tylko jego sprawę popierać. Tak więc papież zręczną polityką wytrącił z rąk Fryderyka tę potężną broń.

Mimo wielką znajomość ówczesnych stosunków, jaka przejawia się w postawieniu tej hipotezy [2], sądzimy jednak, że główny błąd w takiem postawieniu kwestyi jest ten, że zwraca ono uwagę na ten tylko punkt wyjścia, jako na jedyną przyczynę inkwizycyi. Tych przyczyn musiało być więcej, które dopiero razem złączone mogą dać poznać tło, na którem wysuwa się ta nowa instytucya. Niewątpliwie i położenie polityczne i roszczenia Fryderyka wywarły tu swój wpływ, ale Fryderyk zawsze powoływał się na Kościół (biskupów), właściwego sędziego w sprawie herezyi, (D. str. 121), zatem i wyżej podane przyczyny, które wskazywały na braki sądów biskupich w sprawie herezyi, musiały się przyczynić w tej mierze [3]. A jak wytłumaczyć w hipotezie mgr-a D. fakt, że inkwizytorzy pojawiają się naprzód we Francyi i w państwie kościelnem, nie zaś np. w państwie neapolitańskiem lub w północnych Włoszech? Niewątpliwie i charakter osobisty Grzegorza, który lubiał stanowczość tam zwłaszcza, gdzie chodziło o wiarę, może i tak częste w wiekach średnich walki o kompetencyę między sądami świeckimi i duchownymi wywarły tu swój wpływ. Te

[1] Przyznać trzeba, że to tylko hipoteza, gdyż pozytywnych dowodów nie posiadamy, a »bulla ustanawiająca inkwizycyę jest nam nieznana« (str. 17), bo zapewne nigdy nie istniała.

[2] Sam autor chce ją tylko za hipotezę uważać.

[3] Por. np. list Grzegorza do biskupów francuskich 1233 r. Potthast *Regesta Rom. Pont.* nr 9143.

i inne przyczyny historycznie rozwinięte dałyby zapewne dopiero tło, na którem inkwizycya się pojawiła.

Ważniejszą może od pierwszej jest część druga dzieła mgr-a D., w której zapoznaje nas z procedurą sądów kacerskich [1]. Sądów tych kompetencya rozciąga się tylko do herezyi, stąd określenie herezyi było przedmiotem, który zajmował umysły nawet uczonych inkwizytorów i biskupów w pierwszych czasach istnienia tego trybunału, (str. 147), określenie to zajmuje i dziś w pierwszym rzędzie umysły tych wszystkich, co się do badań nad inkwizycyą zwracają [2]. Przyznać trzeba, że herezya średniowieczna miała głównie charakter antysocyalny (str. 148), owszem powiedzieć można więcej: wielka część ludzi oskarżonych o herezyę, to byli prawdziwi zbrodniarze w dzisiejszem słowa znaczeniu, którzy często niejedno życie ludzkie, niejeden rabunek mieli na sumieniu i dlatego nawet według naszych pojęć prawnych na śmierć zasługiwali [3]. Z tego jednak nie można wniosku wyciągać, jak czyni nasz autor [4], żeby tylko takie występki należały pod kompetencyę inkwizytorów, które ten charakter posiadały. Prawo, którem się kierowały trybunały papieskie, nie znało tej różnicy [5]; *Quicumque haereticus, maxime Patarenus etc. tradatur saeculari curiae*, mówi Inocenty III [6], a Konstytucye włączone w bullę Inocentego IV jeszcze jaśniej to zaznaczają: *Quicumque fuerint de haeresi manifeste convictus*, mówi Konstytucya z r. 1223 [7], a wyraźniej prawo sycylijskie: *Si inventi fuerint a fide catholica saltem in articulo deviare* [8]. Jest to zresztą tłumaczenie spółczesnych teologów katolickich z św. Tomaszem na czele [9], którzy mówiąc o karze śmierci za herezyę nie wyróżniają katarów lub innych kacerzy, lecz mówią o heretykach wogólności. Stąd też sądzimy, że trudno rozróżniać tak dokładnie, jak to autor czyni, herezyę zewnętrzną

---

[1] Opiera się w tem na najpoważniejszych źródłach, bo prócz dokumentów papieskich na podręcznikach inkwizytorów, zwłaszcza Bernarda Gui i Eymeric'a.

[2] Ks. V. str. 191 nn. Hinschius t. v, str. 471 i t. d.

[3] Ks. V. str. 283, pr. przykłady, jakie podaje Lea np. t. I, str. 550.

[4] W. p. m. i w rozprawie *St. Raymond de Pennafort et les hérétiques*, w czasopiśmie *Moyen âge* 1899, str. 306.

[5] Ks. V. str. 135 i 284 nn.

[6] Registry Ks. 10, list 130.

[7] *Bullarium*, wyd. turyńskie t. III, str. 504.

[8] Eymeric: *Directorium*. append.

[9] *Summa th.* II. II, 9, 10, a 8; q. 11 a 3 & 4.

i wewnętrzną: rozumie się, że inkwizycya jako trybunał *fori externi* musiał się kierować w swych wyrokach według zewnętrznych objawów herezyi, których dokładną klasyfikacyę podaje autor w rozdziale drugim. Widocznie jednak wystarczało inkwizytorowi z zewnętrznych faktów mieć dowody na zapatrywania heretyckie oskarżonego, skoro już podejrzany wzbraniający się upornie oczyścić się przysięgą od herezyi mógł być traktowany jako kacerz [1]. Trudno więc powiedzieć, by tej przysięgi domagano się jedynie »dla zapobieżenia doniosłej w skutkach swych recydywy« [2].

Nie będziemy się zapuszczać w pojedyńcze szczegóły procesu inkwizycyjnego, którego każdą czynność podaje dokładnie nasz autor; zwrócimy tylko uwagę na kilka jego momentów bardziej spornych.

Wiemy, że według zasad prawa rzymskiego, które przejęła inkwizycya, oskarżony przyznać się musiał do winy. Między innymi środkami, które do tego służyć miały, przyjęto z prawa świeckiego także i torturę. Straszny ten, jak na nasze pojęcia, środek wymuszania zeznania od obwinionego, miał już swoje zastosowanie za czasów rzymskich; wtedy jednak Kościół z całą stanowczością występował przeciw niemu. Tak nakazuje synod w Auxerze 585 r. [3] klerykom, by nawet nie udawali się na to miejsce, gdzie oskarżonych poddają torturze, a w kilka lat później grozi synod w Mâcon [4] klątwą i złożeniem z urzędu za przestąpienie tego prawa. Mikołaj I uważa użycie tortury za wykroczenie przeciw boskiemu i ludzkiemu prawu [5]. To też zanikało

---

[1] Eymeric cz. III, nr 147.

[2] »Dans le but de prévenir des retours fâcheux«, str. 161.

[3] Kan. 33, Harduin: *Collectio conciliorum*, t. III. K. 446 n.

[4] Tamże, K. 464.

[5] *Responsa ad consulta Bulgarorum*, tamże t. V, K. 380, pr. Vacandard, str. 176: »Si fur vel latro deprehensus fuerit — mówi papież — et negaverit quod ei impingitur, asseritis apud vos, quod iudex caput eius verberibus tundat et aliis stimulis ferreis, donec veritatem depromat, ipsius latera pungat: quam rem nec divina lex nec humana prorsus admittit, cum non invita, sed spontanea debeat esse confessio; nec sit violenter elicienda, sed voluntarie proferenda. Denique si contigerit vos. etiam illis paenis illatis, nihil de his, quae passo in crimen obiiciuntur, penitus invenire, nonne saltem nunc erubescitis et quam impie iudicetis agnoscitis? Similiter autem si homo crimi natus, talia passus, sustinere non volens dixerit se perpetrasse quod non perpetravit; ad quem, rogo, tantae impietatis magnitudo revolvitur, nisi ad eum, qui hunc talia cogit mendaciter confiteri? Quamvis non confiteri noscatur sed loqui, qui hoc ore profert, quod corde non tenet«.

używanie tortury w średnich wiekach coraz więcej. Dopiero w XII wieku, gdy pod wpływem odrodzenia prawa rzymskiego zaczęli legiści uważać wszystkie wytwory ducha germańskiego i cywilizacyi chrześcijańskiej, mieszczące się w prawach zwyczajowych, za nienawistne pozostałości starego barbarzyństwa, wrócono do niejednego pojęcia dawno zarzuconego. Pod tym wpływem przyjęły miasta włoskie znów torturę w swoje prawodawstwo, za ich przykładem poszły wnet i Niemcy, a Inocenty IV wprowadził ten rodzaj badania także do prawa kanonicznego w sławnej bulli *Ad extirpanda* 1252 r., choć żądał bardzo oględnego stosowania tortury, *extra membrorum diminutionem.* Słusznie zauważa mgr. D., (str. 175), że stosowano różne środki ostrożności, które straszne prawo poniekąd łagodzić miały. Że jednak nie zawsze miara była zachowana, wbrew twierdzeniu naszego autora, mówi nam choćby jeden przykład, który przypadkiem doszedł do naszej wiadomości [1].

Rzecz dla naszych pojęć trudną do zrozumienia, że nie dawano oskarżonemu obrońcy prawnego, wytłumaczyć się da (str. 181 nn.) z ówczesnych pojęć prawnych, które nie dozwalały nieść pomocy heretykom w rzeczach tyczących się ich występku. Dobrze określone jest według Eymeric'a stanowisko obwinionego wobec wyroku inkwizytora (str. 187 nn.); nie było ściśle mówiąc, apelacyi od wyroku, gdyż inkwizytor przedstawiał osobę samego papieża, ale mógł oskarżony nie uznać kompetencyi inkwizytora, co spowodować mogło przeniesienie całego procesu do kuryi papieskiej [2].

Gdy przejdziemy do kar, jakie wyroki inkwizycyjne naznaczały, zaznaczyć wypada sposób zapatrywania się na nie ze strony sądów papieskich [3], które je uważały raczej za pokuty nałożone za grzech herezyi [4]; karą właściwą była tylko kara śmierci i konfiskata dóbr, a obydwie wykonywała władza świecka. Pod tym kątem widzenia do-

---

[1] Vidal: *Le tribunal de l'inquisition de Pamiers.* Paryż 1905, str. 286.

[2] Niesłusznie więc twierdzi Hinschius t. v, str. 467, że wszelka apelacya była wzbroniona, nie dodając żadnego tłumaczenia.

[3] Pr. np. Vac. str. 154. Więzienie nawet, jako kara nieznane w prawodawstwie rzymskiem, miało swój początek w więzieniach klasztornych, zachowało zatem swój charakter raczej pokutny niż karny (Vac. str. 58).

[4] Wynika to z samego pojęcia nawet więzienia jako środka zapobiegającego powtórnym odstępstwom i z samych wyrażeń, jakie czytamy w wyrokach: np. »by dożywotnie w więzieniu o chlebie i wodzie swą winę opłakiwał« i t. p.

piero rozumiemy częste darowanie i umniejszanie kar (str. 228 nn.), nawet dożywotniego więzienia. Według litery prawa jednak kary były straszne: więzienie lekkie *(murus largus)* nie przedstawiało się jeszcze tak groźnie, gdyż można było i dary i nawet odwiedziny z zewnątrz przyjmować, a niekiedy nawet wychodzić; więzienie ciężkie zaś *(murus strictus)* połączone było zazwyczaj z postem o chlebie i wodzie, wyjątkowo tylko z okuciem w kajdany. Zauważyć tu trzeba (str. 224), że kary inkwizycyi tem się różniły od innych, iż miały na celu nie tylko ukaranie winnego, ale i jego nawrócenie: stąd różne praktyki pobożne nakazane więźniom, odosobnienie go od heretyckich współwyznawców, by go uchronić od recydywy i t. d. Że jednak rzeczywistość nie zawsze odpowiadała tym wymogom i duchowi prawa, to rzecz łatwa do przewidzenia [1].

Najwięcej osławiona kara sądów inkwizycyjnych, to śmierć na stosie. To pojęcie, że heretyk winien stać się pastwą płomieni, nie rozwinęło się na łonie prawodawstwa kościelnego. Cały szereg podobnych faktów, gdzie heretycy giną z woli ludu lub książąt świeckich, znany nam jest z historyi dawno przed zaprowadzeniem papieskich sądów kacerskich [2]; stąd wyrobiło się mniemanie o słuszności tej kary. Owszem zgodzić się można na zapatrywanie [3], że pod tym względem inkwizycya stanowi pewien postęp, normując tę straszną karę i zmniejszając ilość skazanych [4]. Najtłumniejsze skazania, przynajmniej co się

---

[1] Klemens V starał się po części temu zaradzić (pr. Vac. str. 170) i wysłał nawet komisyę kardynałów do Carcassonne, gdzie więzienia były najstraszniejsze (Douais: *Documents*, t. II, str. 304 n.)

[2] Vac. str. 40 nn.

[3] Mgr. D. str. 142; Vac. str. 236 i i.

[4] Przytoczę tu dłuższy ustęp historyka, wcale niepodejrzanego o przychylność dla Kościoła (Lea t. I, str. 549), stąd też i w ustępie tym obok słusznych zapatrywań występują stronnicze poglądy: »Mimo częstego stosowania kary śmierci — mówi on — jestem przekonany, że liczba ofiar, która rzeczywiście zginęła na stosie jest o wiele mniejsza od tej, jaką sobie zazwyczaj wyobrażamy. Rozmyślne palenie żywcem człowieka dlatego tylko, że odmienne ma przekonania, jest okrucieństwem tak dramatycznem i tak silnie działającem na wyobraźnię, że pod jej wpływem uważa się tę karę za najgłówniejszą cechę działalności inkwizycyi. Ale choć częste uciekanie się do stosu jest niewątpliwe, stanowiło ono jednak małą tylko część środków represyjnych. Dokumenty z tych nieszczęsnych dni w wielkiej części zginęły, stąd niema możności odtworzyć statystyki owych wyroków; ale gdyby to uczynić można, nie wątpię, że rzeczywista liczba egzekucyi na stosie wywołałaby zdziwienie, gdyż wypadłaby o wiele mniejsza od przypuszczeń

tyczy kacerzy manichejskich, miały miejsce przed zaprowadzeniem regularnych sądów papieskich, choć je często niektórzy autorowie kładą po prostu na karb inkwizycyi. Wogóle niejedno rozpowszechnione mniemanie o wielkiej ilości stosów, zapalonych przez inkwizycyę, nie

---

ogółu. Wyobraźnię rozbudza bardzo rozważanie różnych okrucieństw świętego officyum, stąd gotowa jest do przyjęcia bez krytyki przesady, która stała się zwyczajem. Nikt nie może podejrzywać uczonego Don Briala o uprzedzenie ani o ogólny brak akuratności, a jednak w swej przedmowie do 21 tomu »Zbioru historyków francuskich« (str. XXIII) podaje jako wiarogodne twierdzenie, że Bernard Gui, podczas swego urzędowania jako inkwizytor tuluski od r. 1308 do 1323 r., skazał na śmierć nie mniej jak 637 heretyków. A była to, jakeśmy widzieli (autor nie znał jeszcze wszystkich wyroków Bernarda, których, według mgra D. jest 930; stosunek spalonych na stosie do ogólnej liczby wypada na korzyść twierdzenia naszego autora), ogólna liczba wyroków wydanych w ciągu tych lat, a z nich 40 tylko (według D. 42) przeznaczało na śmierć, nadto 67 (69) umarłych heretyków miało być odgrzebanych i spalonych w większej części dlatego, że nie byli już przy życiu, by herezyę odwołać. Nadto żaden inkwizytor nie zostawił po sobie sławy większej gorliwości i zapału w niezmordowanem prześladowaniu herezyi niż Bernard de Caux (o nim pomówimy jeszcze niżej), którego działalność przypada na wcześniejszy peryod, kiedy kraj był jeszcze zasłany herezyą, a kacerze mniej często z bojaźni się poddawali. Bernard Gui charakteryzował go jako »prześladowcę i młot na heretyków, człowieka świętego i pełnego bojaźni Bożej, podziwu godnego w swem życiu, podziwu godnego w prześladowaniu herezyi«, czynił on cuda za życia, a w r. 1281, w 38 lat po jego śmierci, znaleziono ciało niezepsute z wyjątkiem części nosa. Taki człowiek nie może być oskarżony o litość względem kacerzy, nie zgadzającą się z jego obowiązkiem; a jednak w jego spisie wyroków między r. 1246 a 1248 niema ani jednego wypadku wydania władzy świeckiej, chyba że chcemy policzyć jako takie zasądzenia *in contumaciam* nieobecnych, którzy musieli być koniecznie uważani za heretyków. Takie zasądzenie było, rozumie się, połączone z karą stosu, wykonaną przez władzę świecką, ale w rzeczy samej mogli się tacy zawsze uwolnić przez poddanie się... Tak więc, jakeśmy już widzieli, główne zadanie inkwizytorów było skierowane raczej do otrzymywania nawróceń z konfiskatą i wydaniem stronników, niż do wywoływania męczeństw. Sporadyczne palenie na stosie było jedynie pożądane dla utrzymania zbawiennego strachu w opinii ludności. Temi 40 egzekucyami w ciągu lat 15 przygotował Bernard Gui zgniecenie ostatnich konwulsyjnych wysiłków katarów, trzymanie w szachu waldensów, powstrzymanie gorączkowego zapału spirytualnych Franciszkanów. Za prawdziwie skuteczną broń świętego officyum, za prawdziwą męczarnię, która gnębiła naród, należy uważać jego więzienia i konfiskatę, jego upokarzające pokuty żółtych krzyżów, jego tajną policyę, czem zagłuszało serce i duszę każdego, który się dostał w jego ręce«.

wytrzymuje krytyki historycznej. Zachowane dokumenta podają nam stosunkowo małą ilość oddanych ramieniowi świeckiemu *(brachio saeculari)* w porównaniu do ogólnej liczby procesów [1]; większość wyroków skazywała na więzienie dożywotnie lub czasowe i na rozmaite publiczne pokuty, pielgrzymki i t. d.

Największa może zasługa mgr-a D. w tem ostatniem dziele, pomijając ciekawy szczegół o poważnym głosie »konsultorów« inkwizycyjnych, który jest tylko przedrukiem poprzedniej pracy, jest wskazanie na fazy rozwoju postępowania inkwizycyjnego, na co, o ile nam wiadomo, on pierwszy zwrócił baczniejszą uwagę [2]. Pierwsza (str. 270) odpowiada pontyfikatowi Grzegorza IX; widzimy jeszcze niejaką niepewność w całej procedurze, choć wogóle przyjęto zasady postawione przez Inocentego III; kary też jeszcze niezupełnie ustalone, owszem zdaje się wynikać ze spisu wyroków Bernarda de Caux, inkwizytora nieco późniejszego (1244—8), że nie wszędzie jeszcze stosowano bezwzględnie karę śmierci za recydywę [3]. Druga faza to czasy Inocentego IV do Bonifacego VIII; do niej możnaby zaliczyć zwyczaje podane w *Practica* Bernarda Gui, choć jego urzędowanie jest nieco późniejsze (1308—23). W tym czasie pewne obostrzenie w wymuszaniu zeznania, skoro Inocenty IV zaprowadza torturę; dodalibyśmy też o czem autor nie wspomina, pewną zmianę w samej procedurze inkwizycyjnej od czasów Inocentego IV [4]. Jednak pod innym względem odczuć się dają rozmaite złagodzenia, jak np. bardzo częsta zamiana kary, skracanie więzienia i t. d. Równocześnie ustala się forma trybunału nadzwyczajnego i normuje wiele zwyczajów, zwłaszcza stara się stolica św. utrwalić powagę inkwizytora. Trzecia wreszcie faza rozwoju procedury inkwizycyjnej, to czasy po Bonifacym VIII aż do reorganizacyi całej instytucyi w XVI wieku [5]. Złagodzono praktykę

[1] Jako obraz jeden wyświetlający tę rzecz, wystarczy przypomnieć spis wyroków Bernarda Gui, o którym była mowa poprzednio w uwadze. Nie mówimy, rozumie się, o wyjątkowych wypadkach, ani o tych, gdzie wchodziła polityka rządów, jak np. w procesie Templaryuszów, gdzie jednak i na Klemensa V niemała część winy spada, lub w inkwizycyi hiszpańskiej. Inaczej też wyrazić się należy o procesach czarownic w Niemczech. Nie chcemy również twierdzić, by absolutna ilość skazańców była nieznaczna.

[2] Niektóre szczegóły, choć niesystematycznie, poruszył Lea.

[3] Pr. Vac. str. 209. Tego punktu nasz autor nie porusza.

[4] Pr. Schmidt, w. p. d. str. 26 n.

[5] Jest to czas teologów i kanonistów, o których zaraz pomówimy; niektórzy pojawiają się już w XIII wieku.

tajenia nazwisk świadków i niedopuszczania adwokata *(apostoli)*, stąd łatwiejsza obrona i pewniejsze zabezpieczenie sprawiedliwego wyroku. W tym czasie również zyskują na znaczeniu *boni viri* (konsultorzy inkwizycyi), prawdopodobnie, odkąd Klemens V [1] unormował stosunek inkwizytora do biskupa.

Sądzimy jednak, że dla sprawiedliwej oceny tego trybunału nie należało pominąć rozróżnienia między prawem a zwyczajem, między dziełem papieży, którzy władzą prawodawczą przyłożyli rękę do tej instytucyi, a kanonistami lub autorami podręczników dla inkwizytorów [2], którzy niejeden przepis zwyczajowy wprowadzili, niejedno prawo nawet na swój sposób tłumaczyli [3]. Różne takie przepisy i praktyki, zawarte np. w dziełach Eymeric'a i B. Gui dobre są do wytworzenia sobie obrazu historycznego o działalności sądów papieskich, muszą być jednak inaczej traktowane, gdy chodzi o ocenę samej instytucyi [4].

Takich praktyk możnaby wyliczyć dość długi szereg. Do nich należą różne sposoby badania i wyciągania zeznania od oskarżonych [5], tu zaliczyć należy kilkakrotne stosowanie tortury. Chociaż prawo pozwalało tylko na jednorazowe użycie tych męczarni, ominęli inkwizytorzy to rozporządzenie w ten sposób, iż chwytali się ponownie tego środka *non ad iterandam, sed ad continuandam quaestionem.* Zwyczajem nie zatwierdzonym prawnie było również stosowanie tortury do ś w i a d k ó w dla otrzymywania zeznań, i to samo powiedzieć można o stosowaniu długiego i ciężkiego więzienia (co słusznie niektórzy uważają za rodzaj tortury) dla wymuszenia odwołania herezyi; prawo bowiem [6] znało torturę jedynie w tym celu, by się o s k a r ż o n y p r z y z n a ł, d o w i n y i współwinnych wyjawił [7]. Gdy na podobne szczegóły zwrócimy uwagę, spadnie wina za niejedno nadużycie lub okrucieństwo raczej na karb pojedynczych inkwizytorów lub komentatorów, a nie na samych prawodawców.

---

[1] Dekreta jego ogłosił dopiero jego następca, Jan XXII.

[2] Z których żaden nie uzyskał urzędowego zatwierdzenia.

[3] Czyni to Vac. str. 190 nn. Mgr. D. zdaje mu się to nawet wyrzucać (str. 144).

[4] Co czyni mgr. D. np. str. 273.

[5] Eymeric: *Directorium* III, 99.

[6] Ad extirpanda, lex 25; *Bullarium,* t. III, str. 556.

[7] Vac. zalicza nawet oddanie w ręce *brachii saecularis* za recydywę do zwyczajów nieprawnie wprowadzonych (str. 209).

Mówiliśmy dotychczas o książce mgr-a Douais. Z licznych jednak cytatów i myśli, zapożyczonych z dziełka ks. Vacandard można było sobie już wyrobić zdanie o jego zapatrywaniu na kwestyę, która nas zajmuje. Główną treścią jego książki jest, jak już z samego tytułu poznać można, rozwój pojęć o używaniu środków do represyi kacerstwa w Kościele aż do czasów, które nas obecnie zajmują. Dopiero na tem tle poddaje krytyce całą instytucyę. Pod tym względem umiał rzeczywiście autor uchwycić całą rzecz z punktu widzenia, którego żaden jeszcze pisarz katolicki nie uwydatnił; o tyle zaś wyższy jest ponad akatolickich pisarzy, że wolny jest od uprzedzenia, które niestety zwłaszcza w tej kwestyi przebija się w pracach nawet najgruntowniejszych uczonych przeciwnego obozu. Zająć się tu chcemy tylko krytyczną częścią jego książki, wracając do historycznego rozwoju (którego już w poprzednich uwagach niejeden punkt wyzyskaliśmy), tylko tam, gdzie dla zrozumienia jego stanowiska będzie potrzebne. Równocześnie zobaczymy, jakie dotychczas poruszano punkty z katolickiej strony dla obrony inkwizycyi.

Najważniejszy kamień obrazy to, rozumie się, kara śmierci za herezyę. Nierzadko na obronę Kościoła podnoszono, że wina za tę karę nie spada na Kościół. Nie on, ale władza państwowa karę wykonywa, a prawo kanoniczne o niej nie mówi, orzekając tylko, że oporni heretycy oddani być mają ramieniu świeckiemu i stosownie ukarani. Taka obrona jednak z historycznego stanowiska nie da się przeprowadzić. Wprawdzie papież nigdy w swojem imieniu nie wydał wyroku śmierci ani prawo kanoniczne o niej wprost nie mówi i jej nie zaprowadziło, jak widzieliśmy wyżej, jednak gdy chodziło o ujęcie rozpowszechniającego się zwyczaju w formę prawną, sami papieże do tego się przyczynili [1] i pod grozą klątwy żądają ścisłego wykonania tego prawa; a zrozumiemy całą doniosłość tej klątwy, gdy przypomniemy sobie rozporządzenie Aleksandra IV [2], by uważano każdego, kto się w ciągu roku od klątwy nie uwolni, za heretyka godnego kar grożących kacerzom.

Inni [3] widzą usprawiedliwienie tej kary tak w stosunku ówcze-

[1] Inocenty IV poleca w bulli *Ad extirpanda* 1252 r., by w ciągu pięciu dni po wydaniu heretyka kara była wymierzona, w inną wcześniejszą bullę *Cum adversus* włącza konstytucye Fryderyka II, ustanawiające karę śmierci i żąda przyjęcia tej bulli do prawa miast.

[2] *De haeret.* l. 6, cp. 7.

[3] Tak np. Hergenröther *Katholische Kirche und christliche Staat* i i.

snym Kościoła do państwa, jak i w charakterze ówczesnych herezyi. Kościół tak był związany z państwem, że tworzyły niejako jedność i podtrzymywały się nawzajem. Wynika ten stosunek z samego powstania i genezy państw średniowiecznych, u których kolebki stał Kościół, jedyny czynnik utrzymujący poszanowanie prawa i cywilizacyę w ogólnem zdziczeniu i barbarzyństwie epoki wędrówek narodów. Z tej łączności wynikało pojęcie, że każda herezya jest zarazem występkiem przeciw społeczeństwu, gdyż jest naruszeniem istniejącego porządku społecznego, dążącem do rozerwania tej łączności z Kościołem.

Drugi dowód na wytłumaczenie tej kary, nie dającej się pogodzić z naszemi pojęciami dzisiejszemi, to duch heretyków owych czasów, kiedy stosy płonąć poczęły. Herezye katarów były wprost wywrotowe, burzące podwaliny ustroju społecznego; »gdyby te herezye były zwyciężyły, mówi Döllinger, musiałby nastąpić powrót do barbarzyństwa«. Ale niemniej niebezpieczni byli waldensi nie tyle przez swe dogmaty, ile przez swą opozycyę przeciw wszelkiej własności i przez swe gwałtowne środki.

Są to dowody poważne i głęboko obmyślane. By zacząć od drugiego przyznaje nasz autor (str. 284 nn.), że ten moment wiele zaważyć może na szali w ocenie pojęć współczesnych: od pojęcia herezyi ówczesnej bowiem łatwe było przejście do uogólnienia pojęcia na wszystkie herezye. Owszem większa część ludzi skazanych przez inkwizycyę byli to prawdziwi zbrodniarze w dzisiejszem słowa znaczeniu, którzy często niejedno życie ludzkie, niejeden rabunek mieli na sumieniu, jakeśmy już wyżej nadmienili. Gdy jednak chodzi o teoryę, widzieliśmy już, że nie rozróżnia ona między herezyą jedną lub drugą, wywrotową lub spokojną, lecz za każde odstępstwo karze. Stąd wynika i odpowiedź na pierwszy dowód: państwo, boć ostatecznie ta kara zostaje karą państwową, choć się Kościół do niej przyczynił, karać może za wykroczenia szerzące zaburzenia lub podkopujące porządek społeczny, nie zaś za same odmienne przekonania, choćby objawione na zewnątrz. Zdanie swe uzasadnia autor z historyi Kościoła, z rozwoju pojęć, jakie widzimy od czasów skazania Pryscyliana (kiedy ten wyrok wywołał oburzenie biskupów) do teologów średniowiecznych, którzy często dość niezgrabnymi dowodami bronili słuszności tej kary. Niewątpliwie ten głos dawnych wieków wiele przemawia za naszym autorem, bo wiemy, że odrodzenie prawa rzymskiego niejedno pojęcie w XII wieku spaczyło.

Niech wystarczy tych kilka pobieżnych uwag o samym trybunale; gdy się zaś przypatrzymy ludziom, którzy w tej pracy udział brali, czyż sąd nasz o nich podobnie wypadnie? Jeśli zwrócimy uwagę na ducha czasu, który żywą wiarą przejęty herezyą się brzydził jako największem złem a nie przywykł do miłosierdzia, gdy chodziło o obrazę Bożą, który widział wywrotowy kierunek ówczesnych herezyi, słyszał o tak częstych zbrodniach i rabunkach kacerzy, mamy dostateczne wytłumaczenie [1] tych ludzi, którzy z niekłamanym zapałem do rzeczy Bożych i z gorliwością nie cofającą się nawet przed śmiercią męczeńską [2] umieli połączyć czyny prawdziwego, jak na nasze czasy, okrucieństwa [3]. Gdy chodzi o ocenę samych papieży przyznać musimy, że przyjąwszy raz w zasadzie inkwizycyę, starali się ją uczynić jak najmniej szkodliwą i często występowali przeciw nadużyciom: Grzegorz IX zawiesza urzędowanie inkwizytorów oskarżonych o okrucieństwo wobec heretyków tuluskich. Bonifacy VIII czyni to samo dla miast Pawii i Wicencyi, gdzie franciszkańscy inkwizytorzy dopuścili się nadużyć, Klemens V ogranicza torturę w ten sposób, iż tylko za wiedzą biskupa używać jej można, do więzień południowej Francyi posyła komisyę kardynałów dla zbadania słuszności skarg, Klemens VI zakazuje nakładać kary pieniężne na mieszkańców Florencyi wobec zbyt wielkiej ostrości tamtejszego inkwizytora; przykładów tych ilość możnaby znacznie powiększyć. Jednak i w nich pokazuje się duch czasu: ten sam Grzegorz, który zawiesił czynności inkwizytorów francuskich, stara się o rozszerzenie i utrwalenie kary śmierci za herezyę we Włoszech, ten sam Klemens, który chce ograniczyć torturę, nakazuje jej ścisłe stosowanie w procesie Templaryuszów.

Sąd księdza V. możnaby streścić w ten sposób (pr. str. 306 nn.): wobec stosunków średniowiecza wogóle a w szczególności epoki, która stała się kolebką inkwizycyi, instytucya ta da się zupełnie wytłumaczyć. Dadzą się też wytłumaczyć (powiedzielibyśmy usprawiedliwić) ludzie biorący w niej udział. Powiedzieć jednak trzeba, że ludzie

---

[1] »Wytłumaczyć nie znaczy usprawiedliwić«, mówi ks. V. (str. 274) słusznie gdy chodzi o samą instytucyę pojętą z ogólno-ludzkich poglądów; czy jednak w ocenie ludzi samych te pojęcia nie zlewają się często w jedno?

[2] Mamy kilku inkwizytorów wyniesionych do godności ołtarza za palmę męczeństwa.

[3] Nie potrzeba dodawać, że nie chodzi o wytłumaczenie wszystkich; trudnoby to było np. co do postaci takich, jak Konrad z Marburga lub Robert le Bougre.

ci nie mieli o sprawiedliwości takiego pojęcia, jakie my sobie wobec dzisiejszych stosunków o niej tworzymy.

Sądzimy, że nie od rzeczy było wglądnąć w tych kilka prac z dziedziny, która jak wskazaliśmy na początku, nie przestaje zajmować umysłów uczonych. Uważaliśmy to tem bardziej za odpowiedne, że zarzuty, czynione Kościołowi z powodu inkwizycyi nigdy nie milkną, podnosi się je przy każdej sposobności, i wysnuwa się stąd daleko idące wnioski o okrucieństwach Kościoła, o barbarzyństwie, do którego prowadzą jego rządy i t. p. »Wolno krytykom, dla których wieki średnie są światem zamkniętym, wylewać cały potok obelg i pogardy na system sądownictwa, którego surowość ich razi. Pogarda nie zawsze jest oznaką słusznego sądu, a obelgi nie są koniecznie dowodem rozumu. By dobrze osądzić jakąś epokę, nie wystarczy mieć jasno wyrobione własne poglądy, trzeba jeszcze umieć wniknąć w pojęcia innych ludzi, choćby ci należeli do wieków już odległych« [1].

Niestety posiada nasza literatura tylko tego rodzaju pisma, mówmy raczej pamflety [2] na inkwizycyę, które słusznie nazwano »partyjne«, bo tchną jedynie żądzą zniesławienia Kościoła i jego instytucyi, ich celem nie jest objektywna prawda! Zestawić fakta minionej epoki, choćby prawdziwe, celowo wybierając jednak tylko jedną ich kategoryę, czynić to zwłaszcza w broszurach popularnych, przeznaczonych dla ludzi, którzy nie są nauczeni patrzeć się na rzecz oczyma innego wieku, a czynić to bez komentarza — to istne fałszowanie opinii, to prawdziwa partyjność. Przedstawić rzecz objektywnie, potępić co potępić należy, usprawiedliwić lub wytłumaczyć to, co znajomość ducha czasu wytłumaczyć pozwoli — oto najlepsza apologia. Kościół na przedstawieniu prawdy nigdy nie straci, byle badaniom przyświecała rzeczywiście żądza prawdy a nie »partyjne« żądze!

Ks. Józef Sawicki.

---

[1] Vac. str. 308.

[2] Dwa tłumaczenia: Sassenbach: »Święta inkwizycya«, wydanie nowe, Kraków 1907. Hoensbroech: »Papiestwo«.—Nadto broszurka: Wrocki: »W imię krzyża«. Kraków 1908.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Obowiązki społeczne i narodowe. *Ks. K. J. Kantak.* (Z cyklu »Głosy na czasie«). Poznań 1908. Str. 63.

Niniejsza broszura przedstawia uzupełnienie dawniejszej »Państwo, naród, jednostka«. Obejmuje wnioski z tamtej, coś podobnego jak teologia moralna wobec dogmatyki. Prowadzi to do niedogodności, do powtarzania i cytowania pierwszej. Lepiej było połączyć obie w jedną całość.

Autor rozpatruje obowiązki, jakie ma człowiek wobec społeczeństwa, a społeczeństwo względnie naród lub państwo wobec człowieka. Trzyma się tu idei wypowiedzianej poprzednio, żeby społeczeństwo względnie państwo ograniczyć w swych prawach na korzyść jednostki do *minimum.* Przy tej okazyi rozprawia się z niektórymi »fetyszami« jak godność narodowa, egoizm narodowy i t. p. Jako obowiązki względem całości, przedniejsze, wymienia poznanie narodu a mianowicie dziejów piśmiennictwa i kraju. Pod tym względem zasługuję na uwagę, że od czasów Libelta na nowo tę powinność przypomina. Dalej spełnienie obowiązków ściśle religijnych, obowiązków stanu i t. p. Jako obowiązki państwa względem człowieka uważa: zabezpieczenie swobody i dobrobytu celem rozwoju wyższych działalności duszy, jako to wiedzy sztuki i t. p.

Aczkolwiek nie ze wszystkiem można się zgodzić na zasady tutaj wypowiedziane, jednak wobec ciekawych poglądów autora polecamy tę broszurę uwadze naszego społeczeństwa, tem więcej, że jest zwięźle i przejrzyście napisana.

Ks. J. K.

Bibliotheca ascetica-mystica. Manuale vitae spiritualis continens *Ludovici Blosii* opera spiritualia selecta. Herder. Friburgi Brisg. 1907. Str. XVIII i 573.

Słusznie mówi kard. arcybiskup koloński Fischer, w przedmowie do tej książki, że »nieznane prawie są księżom dzieła ascetyczne dawnych wieków, pierwszorzędnej wartości, gdyż są i bardzo rzadkie, więc drogie i w wielkich formatach, po kilka w jednej księdze drukowane, a także nie zawsze po łacinie«. Otóż ks. kardynał namówił Herdera do wydawnictwa tej biblioteki ascetyczno-mistycznej w dogodnej formie i w tłumaczeniu łacińskiem, aby dla księży wszystkich narodowości była przystępna, jako w języku Kościoła powszechnego drukowana.

Blozyusz, opat benedyktyński w XVI wieku napisał wiele małych dziełek ascetycznych. Najważniejsze, wydane w niniejszej książce są: »Norma życia duchownego« *(Canon vitae spiritualis),* »Wybór pobożnych modlitewek« *(Piarum precularum cimeliarchion),* »Tablica duchowna« *(Tabella spiritualis),* »Zwierciadło duchowne« *(Speculum spirituale)* i »Naszyjnik duchowny« *(Manile spirituale).*

Autor ten był bardzo ceniony przez św. Ignacego Lojolę i św. Franciszka Salezego. Odznacza się umiarkowaniem w ascezie; miał bowiem to przekonanie, że nie celem jest ona dla człowieka, ale środkiem do miłości Boga i bliźniego. Tytuły co prawda wyżej wymienione dziwnymi się nam mogą wydawać, treść jednak i styl w nich dziwnie są miłe a jędrne.

Książka więc wszelkiego zalecenia jest godna. *H.*

Die zweite Wahrmundbroschüre. Anmerkungen und Ausstellungen von *Dr. Wiktor Naumann (Pilatus).* Graz und Wien. 1908. 12-ka. Str. IV, 41.

Dr. Naumann zdobył sobie sławę gruntownego znawcy historyi katolickiej moralności przez swoje słynne dzieło *Quos ego!* przeciw hr. Hoensbroechowi. Wahrmund, pełen uwielbienia dla »uczonego« Hoensbroecha, powołał się nań jako na powagę i tem samem dał »Pilatusowi« pochop do zabrania głosu w tej sprawie dziś jeszcze tak aktualnej.

Wahrmund napisał swą drugą broszurę p. t. »Ultramontan« w celu naukowego uzasadnienia zarzutów, które podniósł w pierwszej broszurze przeciw moralności katolickiej. Naukowe to uzasadnienie jest przedmiotem bezstronnej, ale miażdżącej krytyki Pilatusa. Widać z broszury Pilatusa, że Wahrmund nie opiera się na autentycznych źródłach, że cytuje z drugiej ręki i to niewiarogodnej, że dowody swoje snuje na podstawie sfałszowanych przez Hoensbroecha cytatów, że komentuje bez uwzględnienia kontekstu i kulturalnego tła tych czasów, z których te cytaty pochodzą, że nie umie rozróżnić od siebie jednostkowych poglądów pewnych moralistów od nauki obyczajowej Kościoła. Tak np. przypisuje Wahrmund Kościołowi poglądy moralne, które Kościół wyraźnie potępił. Wogóle Wahrmund niema jasnego pojęcia o nauce moralnej Kościoła, skoro ją utożsamia z kazuistyką. Słusznie zauważa Pilatus, że genezy tej broszury nie należy szukać w naukowej pracy, ale w tendencyi monistycznej Wahrmunda. Trzeba ją uważać za psychologicznie zrozumiały objaw nienawiści monisty ku Kościołowi katolickiemu. Wahrmund idzie w ślady Haeckla, — to też dzielić będzie w kołach uczonych ten sam smutny los, jakiego dorobił się Haeckel. Pilatus broni »dobrą wiarę« Wahrmunda: ale nikt nie może obronić go od zarzutu, że poniżył swą godność profesorską wobec świata całego przez plagiat, który sam uważał za pracę naukową.

E. M.

Lehrbuch für den kath. Religionsunterricht in oberen Klasen. *Dr. H. Wedewer.* Herder. 1907. Str. XIII, 138.

Naturalnie, że książka ta nie może służyć jako podręcznik dla naszych gimnazyów i szkół średnich, ale będzie znakomitą pomocą dla ks. profesorów jako podręcznik, do którego się zagląda bezpośrednio przed wykładem, a zarazem może być i normą, czego żądać od uczniów, a raczej co uczniowie powinni wynieść z wykładu. Dat niewiele — może wszystkiego 70; rzeczy dotyczące raczej świeckiej historyi, prawie pominięte; również zdarzenia z zakresu historyi kościelnej, jeśli dla naszych czasów mają małe bardzo znaczenie; za to szerzej rozprowadzone są te dzieje, których skutki do dziś dnia odczuwamy. Przedewszystkiem ważną zaletą tego podręcznika jest, że zwraca wielką uwagę na wewnętrzny rozwój Kościoła, na kulturę Kościoła i w ten sposób ożywia przedmiot, dla niektórych uczniów mało zajmujący, stawia go na wyżynie najżywotniejszej.

Przejrzystość, nie zawsze właściwa Niemcom, święci tutaj swe tryumfy, czy to w krótkiem scharakteryzowaniu epoki, czy w podziale każdego rozdziału na historyę zewnętrzną Kościoła i wewnętrzną (herezye, ustawodawstwo, nauka, sztuka, życie religijne). Praktyczny ten podręcznik uzu-

pełniają: alfabetyczny spis rzeczy, spis wszystkich papieży, spis soborów, a nadto ośm tablic, dla pokazania uczniom zasadniczych różnic w architekturze kościelnej; ze znawstwem wybrano do tego tak klasyczne przykłady jak: św. Klemens w Rzymie, św. Zofii katedra w Halberstadt, i della Salute w Wenecyi.

K. K.

Katharine Frensham by *Beatrice Harraden*. II vol. Tauch. ed.

Wogóle powieści angielskie tracą wiele na uroku gdy się nie poruszają na angielskim gruncie. W *Katharine Frensham* przeciwnie; sama fabuła jest dość nieznaczną a wartość książki stanowią opisy życia ziemian norwegskich i części norwegskiego kraju. Autorka przenosi swoich Anglików wraz z paru Duńczykami na sezon letni do wielkiego norweskiego *gaardu* to jest dworu, gdzie ludzie, których mieni wieśniakami, żyją dostatnio, szczycąc się starożytnością rodu i rozległością koligacyi oraz mnogością bydła wysyłanego wysoko w góry na paszę. Lud to spokojny, skory do pieśni a małomówny, rozsądny w czynie a romantyczno-zabobonny w myśli. Z okazyi pogrzebu pana domu stoły muszą się uginać pod ciężarem mięsiwa, serów i ciast, zwłaszcza serów i ciast, aby olbrzymia czereda żałobnych gości mogła przez całe trzy dni objadać się od rana do nocy. Co prawda każdy z biesiadników powinien przywieźć z sobą pewną ilość pieczywa, ale też gdy odjeżdża kosze jego napełniają w zamian z domowych zapasów. Wódka przytem i kawa są zawsze na porządku dziennym. Nieboszczyka do grobu odprowadzają prócz wdowy sami mężczyźni; kobiety zaś zapełniają czas pogrzebu łażeniem po całym domu, zaglądaniem do każdej szafy, do każdego pudełka—tego dnia nikt im nie bierze za złe takiej ciekawości. Opisy umajone są wtrąconemi opowiadaniami o Troldach, duchach gór i o pięknej jędzy Huldre, wyprawiającej harce na powietrznym koniu, zamiatającej góry i doliny brzegami zielonej, powłóczystej szaty, rzucającej urok na bydło i ludzi. Huldry wszyscy się boją i nikt nie śmie imienia jej wymówić w oborze lub wkoło górskich szałasów, dokąd na noc w długim szeregu wracają krowy i kozy, gdzie z koziego mleka wyrabia się chluba Norwegii, ser zwany Mysost, bez którego żaden z tamecznych mieszkańców nie pojąłby życia. Ów ser robi się za pomocą drożdży i dzieli na ogromne dziesięciofuntowe kawały, z których każdy zużywa podój 40 kóz. Prócz opowiadań mrs Harraden podaje kilka pieśni ludowych wraz z muzyką przypominającą w wielu miejscach utwory Griega, co jest tem mniej dziwne, że Grieg pono motywy swoje czerpał po części ze starych pieśni norweskich. W samej powieści o Katarzynie Frensham psychologia kilku charakterów dobrze jest utrzymana; ulubioną jednak tak dla autorki jak dla czytelnika postacią jest stara, otyła, arcypoczciwa i arcyzabawna Duńka, z którą żal jest się rozstać po skończeniu powieści.

T. W.

The Moorings by *Rosa Nouchette Carey*. II vol. Tauchnitz ed. 1906.

Dawniejsze powieści angielskie, między niemi istne arcydzieła, zwykły były zawierać opisy życia codziennego, przez które w silniejszych zarysach wił się dramat, rzucający kolejno swój cień lub jasność na szare tło, a tem samem podnoszący w nim wartość każdego szczegółu. Autorka

powieści *The Moorings* i kilku poprzednich utworów pragnęła widocznie naśladować ton pisarzy z przed 20 lat; nakreśliła opis codziennego życia, zapomniała tylko o dramacie. Być może, iż ta sama fabuła wydałaby się jędrniejszą, gdyby nie była rozwleczoną na dwa tomy. Jest w każdym razie uczciwą i zawiera ładne ustępy. Jest to historya dwojga rodzeństwa pracujących na życie odkąd ojciec odumarł ich w długach; młodszy brat uciekł z domu nie dając o sobie znaku życia. Szczęściem jakaś ciotka zostawia im małą posiadłość z ładnym dochodem naszych 7 do 8.000 fl., co widocznie w Anglii uchodzi za bardzo mało. Przenoszą się do nowego domu, gdzie brat natychmiast zakochuje się w 28-letniej nieładnej Antygonie swego chorego sąsiada a siostra 30-letnia Sheila w pięknym a poważnym pastorze. Dobrze im jak w raju, ale powrót marnotrawnego brata z poślubioną w Australii córką węglarza i dwojgiem dzieci, oczywiście w chorobie i nędzy, zakłóca na pewien czas ich spokój. Później jednak Edward poślubia swoją bohdankę a Sheila dowiedziawszy się, że pastor ciężko chory na płuca czy serce, wydaje się za niego z zapałem. Piękną jest kilkanaście stron jej dziennika z nad »jasnego brzegu«; pięknym zwłaszcza sen, który mąż wciąż myślący o śmierci opowiada jej raz. Oto śniło mu się, że widzi wielką bramę, dokoła niej cień, wśród którego widnieją dwie postacie aniołów. »Gdyby oni wiedzieli, jaka to prosta i łatwa rzecz — przestaliby się bać!« — rzecze jeden. »To ciemności ich straszą — odpowiada drugi. — Nie wiedzą, że zaraz za progiem jest jasność. Próbowałem to szeptać niektórym, zwłaszcza młodym gdy się bardzo boją, ale prawie nikt nie chciał mnie słuchać«. A wtedy — dodaje pastor — ucieszyłem się słysząc, że to rzecz tak prosta i oto usłyszałem zbliżający się tłum ludzi, niby wojsko całe. Szli ku ciemnej bramie, za której progiem jest jasność!« Istotnie piękny sen, ale niestety sen tylko: pobożny pastor zapomniał lub wiedzieć nie chciał, że za progiem czarnej bramy są dwie ogniste otchłanie, z których jedna pożera na wieki a przez drugą w straszliwych mękach dusza dążyć musi, czasem bardzo długo aż do innej bramy, poza którą dopiero jest jasno. To nie rzecz »tak prosta«, jak się aniołowi z bajki zdawało...

T. W.

Friedrich Smetana von *F. V. Krejči.* Berlin 1906. Verlagsges. Harmonie. 8-ka, str. 54.

Autor tej popularnej rozprawki umie ze szczerym entuzyazmem nakreślić życie i dać charakterystykę działalności Smetany jako kompozytora i reformatora czeskiej opery, którego znana również u nas, lecz niestety rzadko grywana opera »Przedana narzeczona«, zajmuje to samo miejsce w rozwoju opery czeskiej, co »Halka« Moniuszki u nas. Całość dobrze oryentuje czytelnika i sprawia sympatyczne wrażenie.

A. Ch.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z wyborów belgijskich.

Ze sprawozdań, rożnymi czasami w *Przeglądzie* pomieszczonych, znanem jest czytelnikom, że system wyborczy w Belgii opiera się na tak zwanym systemie pluralnym, mocą którego pojedynczy wyborca, stosownie do majątku, wykształcenia lub rodziny, posiada jeden do trzech głosów; wybory więc belgijskie, choć są bezpośrednie i tajne, nie są równe. Mandaty zatrzymują wybrani na cztery lata, tak jednak, że co dwa lata połowa deputowanych je składa, skutkiem czego przy rozwiązaniu parlamentu pewna część członków tylko przez dwa lata zasiada w izbie. Termin wyborów oznaczony został stale na czwartą niedzielę maja.

Od roku 1883 zasiadała w parlamencie większość katolicka, która jednak w ostatnich latach zaczęła się zmniejszać; kiedy w kadencyi parlamentarnej 1904 na 1906 r. katolicy liczyli 93 członków przeciwko 43 liberałom, 28 socyalistom i 2 dzikim, czyli posiadali większość 20 głosów, to w kadencyi 1906—1908 utracili 4 mandaty i posiadali już tylko 12 głosów większości czyli 89 katolików przeciwko 46 liberałom i 31 socyalistom, w kadencyi zaś 1908—1910 mają większość jedynie 8 głosów czyli 87 katolików przeciwko 43 liberałom, 35 socyalistom i 1 dzikiemu. Do urny

wyborczej stawały 24 maja b. r. prowincye: Flandrya wschodnia, Hennegouwen, Namur, Liège i Limburg, które wybierały razem 81 deputowanych.

Nie można zaprzeczyć, że wybory ostatnich lat wykazują powolne, ale stałe zmniejszanie się głosów katolickich. Jaka tym razem tego objawu przyczyna?

Najpierw zbyt różowe zapatrywania rządu, który jeszcze w przeddzień wyborów przez usta ministra sprawiedliwości, Renkin'a, ogłosił na szpaltach wolnomyślnego *Soir*'u, że spodziewa się, iż większość rządowa w nowej izbie wynosić będzie przynajmniej 20 głosów, a zapomniał o tem, że polityka jego kolonialna, a przedewszystkiem ta polityka, którą słusznie nazywają »polityką trwonienia pieniędzy«, wywołała w całym kraju głębokie wzburzenie.

Główna przyczyna sięga jednak głębiej i o ile jest smutnym, o tyle jest równocześnie pocieszającym objawem; stwierdza bowiem, że pomniejszania się głosów katolickich nie trzeba przypisywać antypatyom do katolików lub sympatyom do socyalistów czy liberałów, lecz raczej katolikom samym albo też w ostatniej chwili zmienionym, nieprzewidzianym okolicznościom.

Tak np. w Liège utracili katolicy jeden mandat. Dlaczego? Poróżnili się tam konserwatyści i chrześcijańscy demokraci. Ponieważ konserwatyści w swem zwalczaniu socyalistów stanęli na stanowisku, na które chrześcijańscy demokraci zgodzić się nie mogli, przyszło ostatecznie do zupełnej scysyi, której rezultatem było zwycięstwo przeciwnego obozu. Ten brak jedności spowodował drugą klęskę w Tongern; dyssydent katolicki dopomógł do zwycięstwa liberałowi, a sam upadł.

Inaczej przedstawia się rzecz w Huy-Waremme. Tam zwalczający się ustawicznie i nienawidzący wzajemnie liberali i socyaliści zawarli ze sobą kartel w tym celu, by utrącić kandydata katolickiego, a ponieważ przy ostatnich wyborach w r. 1906 katolicy skupili na siebie w tym okręgu głosów 28.005, liberali 15.778 a socyaliści 23.600, było jasnem, że kandydat kartelowy przejść musi, i socyalista też przeszedł.

Ale ten kartel jest wprost klasycznym. Ze strony liberałów

postawiono w Huy kandydaturę wielkiego przemysłowca, Braconniera, ze strony socyalistów, Hubina — kartel kandydatów przyjął. Kiedy przed sześciu laty urządzili socyaliści w Belgii miniaturową rewolucyę i niszczyli kraj, przedewszystkiem w obwodzie Huy, zniszczyli też prawie doszczętnie fabryczne zabudowania tego samego Braconniera, a przywódcą niszczącej bandy był właśnie Hubin, którego kandydaturę kartel za swoją przyjął. Słusznie powiedział Heine: »nie rozumiemy się nigdy, *doch als wir im Kot uns fanden, da verstanden wir uns gleich*«.

Nie zapoznając bynajmniej niebezpieczeństwa sytuacyi, sądzimy jednak, że niema bezpośrednich przyczyn do obaw; gdziekolwiek katolicy szli zgodnie ze sobą i zrozumieli warunki czasu, tam też zwyciężali. Tak było między innemi w przemysłowem mieście Mons. Mieszczaństwo było tam od dawna liberalnem, robotnicy socyalistami. W tem z pewnością niesprzyjającem środowisku konserwatyści i chrześcijańscy demokraci pracowali zgodnie, zajęli się kwestyą socyalną, ale zajęli praktycznie i odciągnęli powoli mieszczaństwo od liberałów a ludność roboczą od socyalistów; następstwem było, że w tem odwiecznem gnieździe liberalizmu przepadł kandydat liberalny a przeszedł katolicki. Jeżeli się jeszcze uwzględni, że przy równoczesnych wyborach do senatu większość katolicka poskoczyła z 14 na 18 głosów, sprawa nie przedstawia się wprawdzie bardzo dodatnio, ale też i niezbyt ujemnie.

Najgorzej wyszli na wyborach liberali. Wprawdzie w dzień wyborów głosił ich wódz, Janson, że liberali załatwili się już »z klerykalną hydrą« i że trzeba rozwiązać parlament, aby tę »hydrę« do reszty zetrzeć, wnet jednak nastąpiło otrzeźwienie. Liberali zdobyli dwa mandaty i zdobyli je z powodu rozdwojenia panującego wśród katolików; utracili zato jeden na korzyść katolików i cztery na korzyść socyalistów, tak że kartel dał się wszędzie tylko liberałom we znaki.

Najlepiej powiodło się jeszcze socyalistom, gdyż zyskali oni cztery mandaty; dlaczego — staraliśmy się wykazać wyżej. Ale dlatego właśnie powinny ostatnie wybory dla katolików belgij-

skich, a nie tylko dla nich, być wezwaniem i usilną zachętą do jedności i łączenia się.

Wybory w Luksemburgu

Równocześnie prawie, bo 26 maja, odbywały się częściowe wybory w Luksemburgu. Z trzynastu kantonów wyborczych stanęło do urny sześć. Izba luksemburska liczy 50 członków, z tych było dotychczas 22 katolików, 13 liberałów, 7 socyalistów i 8 nie należących do żadnych stronnictw; ci ostatni też zwykle o wszystkiem w izbie decydowali.

Na dwudziestu dziewięciu członków, których mandaty obecnie wygasły, było 11 katolików, 9 liberałów, 5 socyalistów i 4 niezależnych; rezultat wyborów jest następujący: 10 katolików, 13 liberałów, 4 socyalistów, 2 niezależnych; całokształt izby przedstawia się więc w trochę zmienionej formie i liczy obecnie: 21 katolików, 16 liberałów, 6 socyalistów i 6 bezpartyjnych. W tym więc wypadku zwycięstwo zostało po stronie liberalnej.

Jaka tego objawu przyczyna? Katolikom luksemburskim bezczynności zarzucić nie można, przeciwnie, rozumieli oni sytuacyę, utworzyli Związek ludowy, który dzielnie pracuje, i że weszli na dobrą drogę, dowód w tem, że w kantonie Remich obalili przywódcę stronnictwa liberalnego, Lacroix. Wogóle uzyskali wszystkie mandaty z wyjątkiem jednego, który dostał się w ręce niezależnego, w kantonach agrarnych.

Inaczej stoją rzeczy w kantonach przemysłowych, których ludność skłania się ku liberalizmowi i socyalizmowi. Tu liberali i socyaliści pod hasłem: »Klerykalizm to wróg«, utworzyli znowu kartel, a żeby mu dopomódz do zwycięstwa, wysunęli na kandydatów właścicieli hut, zatrudniających tysiące robotników, którzy terroryzowani przez pracodawców i przekupiani, za nimi, rozumie się, głosowali; tym sposobem stało się np., że w kantonie Esch z jedenastu mandatów, katolicy, którzy przedtem tam mieli dwa, obecnie nie otrzymali żadnego. Fakt to ostatecznie smutny, ale wskazujący równocześnie, że tak liberali jak i socyaliści nie zawdzięczają zwycięstw swoich przekonaniom ludności, lecz tylko terroryzmowi i korrupcyi.

Z zamętu francuskiego.

Kto zna obecnego Ojca św., dla tego nie mogło być niespodzianką, że odrzucił on dla Francyi tak zwane *Mutualités ecclesiastiques* czyli kasy wzajemnej pomocy dla kleru, o których pisaliśmy w zeszłym miesiącu. Mógł się jednak rodzić pewien niepokój, jak kler francuski przyjmie to rozporządzenie. Kler nie zawiódł.

Pod dniem 29 maja ogłosili kardynałowie francuscy w tej sprawie list do papieża. »Francuscy kardynałowie, piszą, przyjęli z dziecięcą uległością list, który Wasza Świątobliwość w sprawie kościelnych kas wzajemnej pomocy do nich wystosował. Ich odpowiedź jest wyznaniem absolutnego posłuszeństwa względem rozporządzenia Namiestnika Chrystusowego. Papieżowi zlecił Bóg straż nad zasadami, które dzieło Chrystusa zachować mają czystem i nienaruszonem. Dokąd mamy się zwrócić po środki służące do obrony tych zasad... które jedynie są w stanie dać Kościołowi życie i nieśmiertelność? Cały francuski episkopat postępuje i myśli tak, jak my... Kwestye praktyczne różnie rozsądzać można; nie może jednak być różnicy zdania względem podstawowych zasad; powaga głowy Kościoła decyduje, co drugorzędnego poświęcić, aby zasady uratować...«

Podobnie wyrazili się i inni biskupi. Arcybiskup Paryża stwierdza w swym liście pasterskim, że słowo Ojca św. znalazło wszędzie posłuch, i że episkopat i kler francuski są gotowi i nadal ponosić wszelkie ofiary, aby uratować Boską instytucyę i jedność Kościoła. Ponieważ zaś rząd skonfiskował fundacye mszalne, wzywa arcybiskup spadkobierców fundatorów, by korzystali ze swoich praw i wytaczali państwu procesy o zwrot nieprawnie zabranych funduszów i porozumiewali się z władzami kościelnemi co do dalszego ich przeznaczenia. Równocześnie też dodał, że Ojciec św. przyjął na siebie obowiązek odprawienia dwóch tysięcy Mszy św. a nadto co miesiąca jedną odprawiać będzie. To samo uczyni i arcybiskup a każdy kapłan dyecezyi przynajmniej jedną Mszę św. fundacyjną na rok za fundatorów ofiaruje.

Niemniej po katolicku znalazł się i arcybiskup z Rouen, Fuzet, który bardzo gorąco sprawę kas wzajemnej pomocy popierał. »Razem z wieloma arcybiskupami i biskupami byliśmy

zdania, że wolno nam poprosić Stolicę św. o zatwierdzenie przyszłych kas. Po długiem rozważaniu tej prośby ogłosił Ojciec św. przyczyny, które mu naszą propozycyę odrzucić kazały. To rozstrzygnięcie zakończyło wszystko. Wierni tradycyom Kościoła z Rouen i naszym własnym przekonaniom wyznajemy, że... jakkolwiek przed rozstrzygnięciem papieskiem mieliśmy niezaprzeczalne prawo wypowiedzieć o sprawie nasz sąd i uzasadnić go, obecnie po załatwieniu rzeczy przez najwyższą powagę kościelną, mamy ścisły obowiązek powiedzieć ze św. Augustynem: *Roma locuta est, causa finita est.* Taka dyscyplina utrzymuje jedność Kościoła i tworzy jego siłę; nasza chluba w tem, że temu Kościołowi się poddajemy«.

Z powodu t. z. strejku studentów krakowskich.

Przebieg strejku studenckiego znanym jest czytelnikom z dzienników; pisał o nim zresztą *Przegląd* w artykule prof. Smolki. Dzisiaj chcielibyśmy na tem miejscu rzucić tylko kilka uwag na temat nieudałego strejku krakowskiej młodzieży p o s t ę p o w e j.

Wywołał on śmieszne, ale i przykre wrażenie.

Śmieszne dlatego najpierw, że rozpoczął się wówczas, kiedy burza już się powoli uspokajać zaczynała; przypomniał się nam ów angielski ambasador z hiszpańskiej powieści Colomy »Drobnostki«, który każdego ranka sumiennie i po kolei śmiał się z wszystkich dowcipów, jakie poprzedniego wieczora w towarzystwie usłyszał.

Nie mniej śmiesznym był przebieg strejku. Aż żal się robiło tej biednej delegacyi, która w pocie i znoju obchodziła pojedyncze sale, wzywając w imię wolności nauki do przerwania wykładów i wszędzie spotykała się z odpowiedzią, że właśnie w imię wolności nauki wykład się rozpoczyna; przy tej okazyi padały podobno czasami pod adresem delegacyi nie bardzo pochlebne epitety.

Miał strejk jednak i swą smutną stronę. Pomijamy już, że został on siłą narzucony i wbrew uchwale wiecu, na którym przecież użyto wszelkich środków, by strejk przeprowadzić — takie

postępowanie ze strony młodzieży postępowej nie jest dla nas nowiną.

Sąd nasz o tej młodzieży, która nie wiedzieć dlaczego nazwała się postępową, zamieściliśmy już w poprzednim zeszycie *Przeglądu;* strejk w tym sądzie nas utwierdził.

Walką i metodą strejku były wycia i ryki; do prowadzenia takiej walki, zdawało się nam, nie potrzeba być studentem, ulica to także potrafi, może nawet lepiej — postępowa młodzież jednak inaczej sądziła i przed jej zdaniem, jako zdaniem fachowem, schylamy głowę.

Metodą walki było także niszczenie preparatów, środek bardzo kulturalny i wykazujący niezbicie, że tu naprawdę chodziło o wolność nauki.

Smutniejszą jednak rzeczą, to fakt, że ta tak zwana młodzież postępowa, nie w imię wolności nauki, bo o tę im z pewnością nie chodzi, ale w imię nienawiści do religii, której nie rozumie i nie zna, i w imię nienawiści do Boga, który nakazuje w człowieku stłumiać *la bête humaine*, do tego stopnia się upodliła, że poszła pod komendę największych wrogów polskości, wszechniemieckich burszów. Nie na nią jednak spada cała odpowiedzialność, bo ona nie była nawet w stanie ocenić doniosłości swojego kroku; w piersi uderzyć powinny się te dzienniki, które chociaż w ostatniej chwili od strejku odwoływały, jednak chorobliwemi majaczeniami o jakiejś klerykalnej nagonce na uniwersytety, kiedy chodziło przecież tylko o równouprawnienie, sprawiedliwość i uszanowanie religijnych przekonań, — a do tego w wieku równości i braterstwa, zdaje się, i katolik chyba ma także prawo, — powoli przygotowywały i przygotowały wreszcie teren. I to jest może najciemniejsza strona tego smutnego objawu.

Pierwszy dom rekolekcyjny w Galicyi.

W sierpniu bieżącego roku odbywać się zaczną w pierwszym domu rekolekcyjnym w Galicyi, zbudowanym we Lwowie przy ulicy Dunin-Borkowskich, a kierowanym przez księży Towarzystwa Jezusowego regularne rekolekcye, które w Belgii robią nieskończenie wiele dobrego i taką cie-

szą się sławą, że aż Réné Bazin wciągnął je w temat swej powieści: »Kiełkujące zboże«.

Jaki cel tego domu rekolekcyjnego? Odpowiada prospekt. »Większa chwała Boża i pożytek, pociecha, spokój i zbawienie dusz, dla których ten dom będzie w całem tego słowa znaczeniu — schroniskiem, sanatoryum.

Mężczyźni wszelkich zawodów i powołań, a więc Duchowieństwo i obywatelstwo nasze, intelligencya miejska i nauczycielstwo ludowe, dorastająca kształcąca się młodzież, rzemieślnicy i robotnicy zbierać się będą grupami w odpowiednich czasach w ciągu całego roku, by w zupełnem usunięciu się od zgiełku świata i wiru zajęć, szukać w zaciszu tego domu przez odprawienie 3—4 dniowych rekolekcyi odświeżenia duszy, spokoju sumienia, pogłębienia wiary, pokrzepienia nadziei, rozgrzania miłości Boga i bliźniego, wzmocnienia woli i charakteru — słowem tężyzny duchowej potrzebnej do spełniania obowiązków względem Boga, siebie, rodziny i ojczyzny.

Są liczne u nas sanatorya dla pokrzepienia sił fizycznych — cóż dziwnego, że powstaje — bodaj jedno — sanatoryum, mające za wyłączny cel: pokrzepienie dusz. Mała Belgia posiada 6 takich domów rekolekcyjnych, które nadzwyczajne przynoszą rezultaty; nie wątpimy, że nie mniejsze korzyści przyniesie ten pierwszy dom rekolekcyjny w naszym wielkim kraju, zwłaszcza, że — jak ufamy — korzystać z niego będą zarówno duchowni jak świeccy nasi bracia z za kordonu. Prawda, że i dotychczas kapłani zwłaszcza, a czasem i świeccy, zgromadzali się w różnych klasztorach i seminaryach na doroczne rekolekcye, wiemy jednak, że ze względów technicznych rekolekcye takie połączone nieraz bywały z wieloma trudnościami. Dom rekolekcyjny we Lwowie, nie mając innego celu, przez cały rok będzie otwarty dla rekolektantów, a każdy rekolektant otrzyma za możliwie najniższem wynagrodzeniem osobny pokój, których oprócz dużej kaplicy, sali zebrań, refektarza i kilku obszernych werand, będzie w domu około 50 — i całkowite utrzymanie.

Za miejsce dla domu rekolekcyjnego obraliśmy za błogosławieństwem Najdost. Arcypasterza miasto Lwów, właśnie dlatego,

by ułatwić odprawienie rekolekcyi i tym, którzy do Lwowa, jako stolicy kraju w celu załatwienia rozmaitych spraw zjeżdżają.

Chociaż dom rekolekcyjny znajdować się będzie w dużem, ruchliwem mieście, to jednak nie zabraknie rekolektantom pożądanego i potrzebnego spokoju, ponieważ położony jest w cichej, willami zabudowanej dzielnicy, a ogród sprawia wrażenie cichej wsi. Komunikacyę z dworcem kolejowym ułatwia nowa linia tramwaju elektrycznego, którego stacya znajduje się o 100 kroków od domu rekolekcyjnego.

Przy domu rekolekcyjnym mieszkać będzie kilku księży, przeznaczonych do udzielania rekolekcyi (a później i do obsługi kościoła), oraz kilku księży, przeznaczonych do udzielania misyi ludowych, co ułatwi kapłanom przybywającym na rekolekcye, porozumienie się w sprawie misyi ludowych w ich parafiach«.

Znając całą doniosłość tak bardzo przez Kościół zalecanych rekolekcyi i patrząc się na obfite owoce, jakie przynoszą, możemy wyrazić tylko życzenie, aby tyle starań podjętych dla wzniesienia tego domu, przyczyniło się do chwały Bożej i dobra ojczyzny.

Ks. Wiktor Wiecki.

Listy z Warszawy.

Literatura przed- i po-rewolucyjna.

Inter arma silent Musae!

Bo cóż może obchodzić wojnę sztuka, która jest ornamentacyą życia, zbytkiem, wypoczynkiem, *dulce lenimen laborum* społeczeństwa spokojnego, cywilizowanego? Wojna bezwzględna, brutalna, nieubłagana mścicielka lub drapieżna zdobywczyni, depce życie stopą żelazną, burzy jego ornamentykę, zmienia najwytworniejszego człowieka na polu bitwy w maszynę do zabijania i niszczenia.

I cóż mogą obchodzić wojnę pisane, śpiewane, malowane tragedye, lamentujące przez cały tom, przez pięć aktów nad nieszczęściem dwojga kochanków? Jej kule, jej miny, jej torpedy zabijają w przeciągu kilku godzin więcej ludzi, piszą krwawsze tragedye, aniżeli ich zabili, napisali wszyscy autorowie literatury powszechnej.

Sztuka operuje jednostkami, gromadką ludzi, wojna krociami, a jak dziś, milionami; sztuka wrażliwa, dość często egzaltowana, nawija każdą łzę, każde westchnienie, każdą skargę na srebrny kłębek poezyi, — wojna nie zwraca nawet uwagi na łzy, westchnienia, skargi i kąpie się bez zgrozy w całych potokach krwi. Sztuka jest marzycielką — wojna bezwzględną realistką, walczącą o pochwytne materyalne dobra narodów.

Jakże takie przeciwieństwa, jedno, utkane z mgieł fantazyi, z woni kwiatów, z widmowych blasków księżycowych, z pożądań i skarg miłości, z pajęczych nici wykwintnej, subtelnej psychologii, — drugie, ulane z żelaza, ze spiżu, owiane dymem prochu i hukiem armat, mogłyby się pogodzić? W chwili, gdy wojna zaczyna przemawiać gromami dział milknie świegot Muz, przerażonych wrzawą piekielną i barbarzyństwem pierwotnego człowieka, zbudzonego przez Marsa.

Wojna japońsko-rosyjska wypędziła literaturę z prasy warszawskiej. Telegramy, sprawozdania z krwawych pól i mórz zajęły tyle miejsca, iż zabrakło go dla literatury. Zapomniano o książce, o krytyce literackiej, o sztuce pisanej, malowanej, rzeźbionej.

Po wojnie przyszła rewolucya. Teroryzm socyalistyczny, rozjuszony byk, przewracający, niszczący wszystko, co spotykał na drodze, i bandytyzm, rabuś, złodziej, morderca, świętokradca, zabijający dla kilku rubli kobiety, dzieci, starców, nie mogli natchnąć nikogo do twórczości artystycznej.

Wraca nareszcie względny pokój — zmęczyła się furya rewolucyjna, zmęczyła się zbrodnia — wraca wolno, a z nim razem zaczyna się sztuka odzywać. Sypią się znów powieści, nowele, obrazy rzeźby.

By zrozumieć literaturę porewolucyjną, trzeba ją zaczepić o literaturę przedrewolucyjną.

Aż do roku 1890 mniej więcej, żyliśmy w Warszawie pod znakami pozytywizmu. Uwielbialiśmy t. zw. wiedzę niezależną z jej etyką niezależną, biliśmy korne pokłony rozumowi temu samemu, który encyklopedyści francuscy ubóstwiali, wierzyliśmy w moc odradzającą handlu, przemysłu i wszelkiej pracy praktycznej wogóle. Głównym doktrynerem i polemistą tego »trzeźwego« kierunku był Aleksander Świętochowski, jego krytykiem literackim Piotr Chmielowski, jego filozofem Julian Ochorowicz, a belletrystami: Michał Bałucki, Adolf Dygasiński i inni mniejsi.

Nie całe społeczeństwo uległo urokowi pozytywizmu. Przeciwstawili się mu t. zw. młodozachowawcy, zgrupowani dokoła »Niwy«

(od r. 1882), ale tych zagłuszył huczący prąd chwili. Wpływu na szersze koła »młodozachowawcy«, nazwani wstecznikami, nie mieli.

Tymczasem obudziła się już w Europie Zachodniej reakcya przeciw pozytywizmowi i jego dzieciom artystycznym: naturalizmowi, weryzmowi i t. d. Obudziła się bez wyraźnego, jasnego planu, wrzawą chaotyczną. Spirytyzm, okultyzm, symbolizm, dekadentyzm, nietzscheanizm złożyły się na tę wrzawę, której echa zaczęły powoli, jak zwykle, przypływać do naszego kraju i potrącać o struny młodych serc.

Powstała »Młoda Polska« z siedzibą nasamprzód w Krakowie, zwłaszcza organem (tygodnik *Życie*), następnie w Warszawie (miesięcznik *Chimera*).

Mimo szeregu polemicznych artykułów, pomieszczonych w krakowskiem *Życiu* (»Sztuka Narodowa« i »Młoda Polska«), nie zdołali nowi reformatorowie na razie zwrócić na siebie uwagi szerszych kół. Właściwy kierunek »Młodej Polsce«, czyli modernizmowi, jak się ten ruch później nazwał, nadał Stanisław Przybyszewski, autor, znany już w Niemczech w kołach modernistycznych przed debiutem w Polsce (w r. 1898).

Przybyszewski ogłosił w *Życiu* krakowskiem, (w pierwszym numerze na rok 1899) swoje *Confiteor*, ale nie w tem jego wyznaniu wiary trzeba szukać jego istotnego światopoglądu.

Do tajników psychologii naszego modernizmu wprowadzają ciekawego dwie rozprawki Przybyszewskiego: 1) Przedmowa do *De Profundis;* 2) studyum o Edwardzie Munchu i Gustawie Wigelandzie p. t. »Na drogach duszy«.

Wstręt do praktycznego, trzeźwego, mieszczańskiego rozumu, do mózgu, który był bożyszczem pozytywistów, jest czerwoną nicią, wijącą się przez wszystkie pisma Przybyszewskiego, szlakiem najwyraźniejszym.

— »Mózg, to materyalizm w zakresie wiedzy, to nauka o najmniejszym odporze siły, to psychofizyka, to socyalizm i niezliczone systemy ekonomiczne, które rodzą się, aby uszczęśliwić człowieka przez kolektywizm pracy... cha, cha... Całem *facit* wszystkich naukowych i filozoficznych spekulacyi logicznego mózgu jest *ignoramus et ignorabimus,* czyli zupełne bankrutwo wszystkich jego rozpaczliwych usiłowań. Artystycznem *facit — risum teneatis amici* — jest naturalizm, bezduszna, brutalna sztuka dla ludu, sztuka mieszczańska *par excellence, biblia pauperum* dla słabego, normalnego, leniwego, tchórzliwego plebejskiego mózgu, który wszystko objaśnia, chce wszystko rozumieć,

drwi z wszelkiej głębi i tajemnicy, szaleństwem je nazywając, dla tego rozumu, który nienawidzi duszy, bo jej nie rozumie.

Büchnera, Straussa, Vogla, Spencera i innych proroków »trzeźwości« nazywa Przybyszewski ograniczonemi, ciasnemi miernotami, ze zdobyczy rewolucyi politycznych i społecznych, z konstytucyi, parlamentaryzmu, ze swobody prasy drwi bez miłosierdzia; sztuką realistyczną gardzi. Odrzuca on całego cielesnego człowieka, skrępowanego zmysłami, przytroczonego do ziemi potrzebami życia i każe artyście wnikać w duszę, w »nagą duszę«.

Po tak postawionym programie naszego modernizmu przez jego głównego przedstawiciela należało się spodziewać jakiejś wielkiej reakcyi idealistycznej w literaturze. Dusza zrzuci z siebie ciało, jego chucie i pożądania, jego nędze i cierpienia i wybije się wysoko, naga, czysta, wolna, ponad nędze ziemi, by się skąpać w przeźroczych błękitach swoich tęsknot. Albo: dusza skupi się, spojrzy, wniknie w siebie, rozpatrzy manowce, jakie przebiegła już w życiu w więzach ciała i zacznie szukać drogi właściwej...

Takich mistycznych wzlotów, idealnych zachwytów, tęsknot do światów innych, lepszych, przeczuć, innych przeznaczeń należało się spodziewać.

Tymczasem...

»Nagie dusze« Przybyszewskiego *(De Profundis,* »Dzieci szatana«, *Homo Sapiens)* bezczeszczą siostry, zniesławiają kobiety, kradną, podpalają, zdradzają przyjaciół, zazdroszczą posiadającym majątków, mordują słabszych lub głupszych od siebie i piją wszyscy, ciągle, bezustannie gorzałkę, koniak, piwo, wszelaki alkohol, jaki się da gdzie pochwycić i wlać w gardło i przerzucają się z objęć jednej kobiety w drugie, najchętniej w objęcia kobiety rozwiązłej.

Z wielkiej góry szerokich olśniewających frazesów o przeznaczeniu sztuki wyszła drobna, szara myszka starej, jak belletrystyka, miłości płciowej, z tą tylko różnicą, że miłość modernizmu nie jest uśmiechniętą słodko, dobrą wróżką, lecz »bolesną, pełną trwogi świadomością nieznanej, strasznej siły, która dwie dusze rzuca na siebie i pragnie je zlać w jedno intenzywne cierpienie, w którem dusza się łamie« (»Na drogach duszy«) i z tą różnicą, że kobieta nie jest naturalnem dopełnieniem mężczyzny, lecz »straszliwą, kosmiczną potęgą, która w mężczyźnie obudziła chuć, przykuła go podstępną, a fałszywą pieszczotą i wszczepiła mu w krew jad szatańskiego bólu«, mężczyzna zaś »rośnie w dzikiej nienawiści do tej strasznej, niszczącej siły,

staje się fanatycznym oskarżycielem, któryby jak najchętniej skazał kobietę na stos, byle uwolnić świat od tego największego zła« (»Na drogach duszy«).

Nie byłożby rozumniej omijać ową straszliwą, kosmiczną potęgę, co daje zamiast słodyczy jad szatański i ból i rozpacz?

Zdjąwszy z twórczości Przybyszewskiego królewski płaszcz olśniewającej frazeologii i melodyjnej dykcyi, widzi się na jej dnie pospolitą pożądliwość zmysłową. Zamiast »nagiej duszy« spotykamy wszędzie nagie ciało, czyli nagie instynkty. Wcieleniem nagich instynktów, niezadowolonych apetytów, głodnych, a nienasyconych pożądliwości są socyaliści i anarchiści w »Dzieciach Szatana«, wcieleniem nagich instynktów, oszalałych z lubieżności jest rodzeństwo w *De Profundis*, wcieleniem zmysłów, rezonujących z przewrotnością sofistów, jest Eryk Falk w *Homo Sapiens*. I pod kwiecistem, wonnem słowem »Nad Morzem« i pod dziwacznemi obrazami »Wigilii« i we wszystkich dramatach Przybyszewskiego czuje się tylko zmysły. Ale te zmysły są chore. Twory Przybyszewskiego nie posiadają bezwzględności, rzutkiej siły »nadczłowieka« Nietzschego, który im przyświeca, druzgocącego przeszkody bez namysłu. Blada trwoga chorych nerwów, mózgów, zatrutych alkoholem, straszonych wizyami, dręczonych bezsennemi nocami, krępuje ich wolę. Zanim popełnią najpospolitszą podłość, rezonują, miotają się, namyślają, przywołują na pomoc całą kazuistykę filozoficzną od Schopenhauera począwszy, aż do Nietzschego, mówią tyle, krzyczą tak głośno, jak gdyby istnienie świata od tego zależało, czy Falk zbałamuci Izę, Maritę lub Janinę. W fosforycznych blaskach ich halucynacyi, w gęstych mgłach ich szałów wyrasta rzecz najbłahsza do rozmiarów olbrzymich. Kiedy się mężczyzna całuje z kobietą, to »spływa cała wieczność«, kiedy kochanek tęskni za kochanką, którą sam wypędził, to »wyciąga coś z dna jego duszy straszne, biedne ręce w łkającym jęku po kielich odkupienia«. Pijacy, nie mogący wytrzymać ani godziny bez alkoholu, zdechlaki fizyczne, syfilitycy, pokraki, najpospolitsi durnie mają ciągle na ustach: wszechbyt, prałono, świat, wieczność, albo udają Neronów, Domicyanów, Ryszardów III, Dantonów, z czem im tak do twarzy, jak musze w zbroi rycerskiej, albo naiwnemu chłopcu w ognistym płaszczu Mefistofelesa.

Wstręt artysty do filisterstwa rozsądku, a indywidualisty do karności obowiązku zmieszały się w twórczości Przybyszewskiego z chorą megalomanią Nietzschego, z dekadentyzmem Beaudelaire'a z symbolistyką Maeterlinka i z halucynacyami alkoholu i stworzyły

całość tak poszarpaną, iż trudno uchwycić jej kontury. Ani jedna linia w tej twórczości nie jest prosta, wyraźna.

Jak w olbrzymim kotle warzą się, kipią, przewalają się strzępy najrozmaitszych doktryn filozoficznych i artystycznych, kłócą się z sobą, walczą, a z tej wrzawy chaotycznej wybucha kiedy niekiedy krzyk prawdziwie nagiej duszy lub zaszlocha w niej prawdziwie nagie serce człowieka nieszczęśliwego — dziecka epoki bez ideałów. Ten krzyk, ten szloch jest najwymowniejszem świadectwem talentu Przybyszewskiego, — talentu, skazanego przez chwilę przedrewolucyjną na błąkanie się w ciemnościach chaosu pojęć i wyobrażeń.

Dziś po gasnącej rewolucyi, wiemy, że Przybyszewski był w naszej literaturze najpełniejszym wyrazem »chwili bankructwa idei, rozczarowań do życia społecznego i jego typowego produktu, t. j. współczesnego filistra«, że wziął w siebie cały wstręt, cały żal rozczarowanego do pozytywizmu pokolenia i wszystkie gruzy, strzępy, odpadki zamkniętej u nas chwili dziejowej, i stąd ów chaos w jego estetyce, etyce i filozofii. Ogłaszając swoje *Confiteor*, zdawało mu się niewątpliwie, że stworzy nową reakcyę idealistyczną przeciw kultowi t. zw. niezawisłego rozumu, chciał prawdopodobnie stworzyć tę reakcyę, ale zbrakło mu sił do tego dzieła. Zbrakło mu sił, bo był sam tych gruzów dzieckiem, bo napił się sam trucizny rozkładającego się, gnijącego światopoglądu. Pionierem chciał być nowych czasów, a tkwił jeszcze sam w bezpośredniej przeszłości z tą tylko różnicą, że wlókł się na jej końcu. Nie zwiastunem nowego kierunku był, lecz tylko likwidatorem konającego pozytywizmu.

Pierwsi pozytywiści byli szczęśliwsi od swoich likwidatorów, od modernistów, przyświecała im bowiem szczera wiara w potęgę wiedzy, prowadził ich wyraźnie określony cel pracy społecznej. Z pełną świadomością obcięli oni lotne skrzydła fantazyi, wytrzeźwili uczucie, obniżyli znaczenie intuicyi. Zasklepiwszy się w nauce i sztuce w granicach pięciu zmysłów, w życiu społecznem w granicach potrzeb materyalnych człowieka, szli równą, dobrze wytyczoną drogą wyraźnego, zamkniętego w sobie programu. Byli reakcyą »wytrzeźwienia« przeciw tęczowym, ładnym złudzeniom romantyzmu, wierzyli, że służyli swojemu społeczeństwu dobrze.

Inaczej ich wychowańcy, ich epigoni. Tym nie przyświecała już szczera wiara w skuteczność t. zw. wytrzeźwienia. Zawiodła ich wiara we wszechmoc wiedzy, która zamknęła swój entuzyazm skargą: *ignoramus et ignorabimus!* wyrzucanie duszy i jej tęsknot, serca i jego

uczuć poza nawias życia okazało się jednostronnym eksperymentem, wyłączna troska o dobra materyalne zmieniła się w ohydną walkę o byt.

Gdzież jest owa pełna wiedza, gdzież owe szczęście doczesne, obiecywane przez trzeźwych? pytało pierwsze pokolenie, wychowane w praktycznych zasadach pozytywizmu. Wiedza niezależna, nie rozwiązawszy nam zagadki wszechbytu, zburzyła w naszych sercach wiarę przodków i gromadne wtargnięcie do świątyni wiedzy, zamiast dać nam dobrobyt, wytworzyła liczną armię intelligentnego proletaryatu, smaganego, dręczonego nienasyconymi apetytami; światopogląd przyrodniczy zdarł z życia purpurowy płaszcz poezyi; kapitalizm, prawowity syn handlu i przemysłu, wysuniętych na samo czoło pracy społecznej, zmienił legiony bezdomnych w bezwolne narzędzia, w kółka i śrubki wielkiej maszyny fabrycznej.

I powstał lament pessymistyczny, rozległy się zgrzyty, rozdźwięki, skargi. Cała prawie młoda literatura przedrewolucyjna jest jednym wielkim zgrzytem, choć jej się zdawało, że tworzy nową, wspaniałą, natchnioną symfonię.

Oto np. powieść Saryusza (pseudonim kobiety) p. t. »Między świtem a dniem«. W książce tej słyszy się płacz i jęk zrozpaczonej duszy, rzuconej w noc ciemną, bez gwiazd, bez księżyca, na drogi rozstajne, poszarpanej na strzępy. Bo czegóż w niej niema? Resztki pozytywizmu (uwielbienie dla wiedzy) ocierają się o estetyzm modernistów (kult piękna); dawny honor rycerski, dawna wrażliwość na czyny niegodne sąsiaduje z wybrykami nadludztwa z bezwzględnem, nieliczącem się z nikim i niczem samolubstwem rozpętanego indywidualizmu (Nietzsche); ideał chrześcijaństwa (dobroć) brata się z brutalnością pożądliwości zmysłowych. A ponad tem wszystkiem huczy burza zbuntowanej duszy, dławiącej się w wężowych splotach licznych rozdźwięków.

Chaos...

Nie jako dzieło sztuki (zbyt to bowiem pierwotna robota) zasługuje między »Świtem a dniem« Saryusza na uwagę, lecz tylko jako ciekawy przyczynek do psychologi chwili przedrewolucyjnej. Z wrażliwością natury kobiecej wessała w siebie autorka rozdźwięki »schyłku wieku« i rzuciła je na papier z gwałtownością młodego, niezrównoważonego talentu.

Mówi autorka pomiędzy innemi: »My wszyscy, wykolejeni, szukający swej drogi, ścierający się ze światem i w sobie, my, bez dog

matu, a z żądzą wiary i podstaw, z porywami jak płomień w duszy, my, słabi żeglarze, błądzący po omacku wśród tego mętnego wiru nowych dróg i chaosu naszych idei, które tworzymy w nadmiarze wezbranych sił, w rozpaczy dążeń, w wysiłku szukania, my, szamocący się, wyegzaltowani i przerafinowani, my... schyłkowcy, jesteśmy, jak wszystkie przejściowe twory na drodze ewolucyi, na wczesną zagładę skazani, bośmy dziećmi przełomu, bośmy urodzeni między świtem a dniem«.

Więc »Między świtem a dniem« jest krzykiem rozpaczliwym wykolejonych bez dogmatu, a trawionych żądzą wiary i podstaw, jest obrazem słabych żeglarzów, błądzących po omacku wśród mętnego wiru nowych dróg i chaosu nowych idei; jest echem burzy, jaka szaleje w duszy najmłodszego pokolenia, rwącego się do życia, a nie widzącego przed sobą drogi jasno wytkniętej.

Takich autorów »schyłkowych« wydała chwila przedrewolucyjna długi szereg. Prawie wszyscy młodzi pisarze należą do tego typu. Głównym, najwięcej utalentowanym przedstawicielem tych beznadziejnych, tych rozbitków światopoglądu pozytywistycznego, jest Wacław Berent, autor »Próchna«.

Wszyscy »spróchniali«, występujący w »Próchnie« Berenta, męczą się młodem życiem. Wiszą oni między niebem a ziemią, bez żadnego oparcia. Nie podtrzymuje ich religia, wypalona z ich serc przez krytycyzm, nie przyświeca im obowiązek, odtrącony przez indywidualizm, nie prowadzi ich wola, strawiona przez pesymizm. Smutne dzieci gasnących ideałów pozytywistycznych wychowane wśród jej gruzów i zgrzytów, są oni jak rozbity okręt bez żagla i steru. Młodość budzi w nich pragnienia szczęścia, szerokiego lotu, a oni przyszli na świat ze skrzydłami połamanemi. Wznieść się, wzbić na wyżyny, czy ofiary obywatelskiej, czy szczerego natchnienia, nie umieją, przeto miotają się, jak ptak w sieci, jak ryba, wydobyta z wody. Nie wziąwszy po swoich ojcach, wielbicielach wiedzy niezależnej, nic dodatniego (trzeźwość, poczucie obowiązku obywatelskiego, zapał do wiedzy), odziedziczyli po nich tylko same strony ujemne, doprowadzone do absurdu,— żądzę użycia, kult zmysłów, bezwzględność w walce o byt.

W pierwszej chwili robią »spróchniali« Berenta wrażenie pospolitych zmysłowców, rozpustników, cyników. Wszyscy »poprawiają bezustannie inteligencyę alkoholem«, jak się jeden z nich wyraża, wszyscy mieszkają najchętniej w szynkach i kawiarniach, gdzie się »dziś kultura robi«, bawią się najlepiej w tingl-tanglu, wszyscy nurzają się

się w błocie niewybrednej miłości, polegającej jedynie na zaspokojeniu chwilowego podniecenia zmysłowego, wszyscy chorują na »monomanię erotyczną, opętaną alkoholem«.

Wsłuchawszy się jednak uważniej w cyniczny żargon »spróchniałych«, słyszy się tak samo, jak u Przybyszewskiego na jego dnie serdeczny, głęboko odczuty żal do życia, które cisnęło schyłkowców na wspienione fale pragnień i tęsknot, nie dawszy im na tę drogę niebezpieczną wyraźnych wskazówek — żal do ruin i rozdźwięków, wpośród których wzrastało najmłodsze pokolenie.

Nie sam tylko Berent prowadzi swoich »spróchniałych« do knajp i tingl-tanglów, w których się »dziś robi kultura« i nie jego tylko schyłkowcy »poprawiają intelligencyę alkoholem«. Pijaństwo, rozpusta, erotomania, pomijane świadomie przez beletrystów »trzeźwych«, wysunęły się na pierwszy plan w powieściach i nowelach czasów najnowszych. Piją bez miary artyści Jaroszyńskiego (»Chimera«), piją literaci Przybyszewskiego, piją schyłkowcy i nadludzie innych autorów. Butelka jest w nowszych powieściach ciągle w robocie. Leje się absynt, koniak, gorzałka, wino, leje się całemi strugami.

I epigoni romantyczni lubili trunek, ale w ich cyganeryi było dużo humoru, fantazyi. Humor i fantazyę zastąpił okrutny w smutku swoim cynizm. To pijaństwo najnowszej powieści staje się wkońcu humorystyką. Bo żaden człowiek nie jest w stanie wypić tyle tego różnego paskudztwa, ile go młodzi belletryści każą pochłaniać swoim »bohaterom«.

Jest to pozornie drobny szczegół, ale ten drobny szczegół zmienia się w rys charakterystyczny, gdy się rozważy, że nie sami tylko »bohaterowie« papierowi »poprawiają intelligencyę alkoholem«. Podniecają się tym środkiem, jak wiadomo, i twórcy, z czem się wcale nie ukrywają. Butelka i szynk odgrywają wśród najmłodszych pisarzów bardzo dużą rolę, co wpływa oczywiście na to, co piszą.

Jeszcze nigdy nie było w powieści polskiej tylu chorych, tylu neurasteników, alkoholików, suchotników, tylu zatrutych różnymi narkotykmi i jadami. Dlaczego? Bo sami autorowie nie są zdrowi.

A inaczej patrzy na życie człowiek zdrowy, inaczej chory. Cóż zdrowego obchodzi »bankructwo wiedzy« i uwiąd uschłych teoryi, przestarzałych haseł? Wie on, że wiedza, jako taka, nie bankrutuje nigdy, że idzie ciągle naprzód, pracując bez wytchnienia, że zużywają się tylko metody, które można zastąpić nowemi, lepszemi. I wie, że skarga na nicość życia nie prowadzi do niczego, nic bowiem człowiek

na tę »nicość« nie poradzi. W każdej epoce, jakakolwiekby ona była, znajdzie natura zdrowa sferę działalności, odpowiadającą jej zdolnościom i upodobaniom. Człowiek zdrowy nie rozumie po prostu, nie odczuwa bezsilnych lamentów, przysłuchuje się zdziwiony »rozdźwiękom« i żalom niewczesnym.

Jak u Przybyszewskiego, odgrywa u wszystkich schyłkowców rolę pierwszorzędną erotomania, tak samo brutalna, zwyrodniona, jak u niego.

Miłość płciowa była zawsze ulubionym tematem beletrystyki, miłość jednak, a erotomania to dwie bardzo różne siły. Pierwsza buduje rodzinę, druga niszczy, łamie jednostkę.

Dla autorów najmłodszych jest kobieta tylko narzędziem do zaspokojenia chwilowej fantazyi, narzędziem rozkoszy, które się rzuca, gdy znudziło. Autorowie najmłodsi nie tylko lekceważą kobietę, lecz nienawidzą jej wprost, jak się nienawidzi śmiertelnego wroga lub wstrętnego gada. Stary aktor Borowski Berenta (»Próchno) nazywa kobietę kałużą i poucza swojego syna: »Bierz je wszystkie (kobiety), ale potem spluń i przepędź, boć to bydło przecie, gad zimny i leniwy. I nie wiąż się z tem zwierzęciem«. Dziennikarz Jelski twierdzi, że »kobiety stawały się zawsze potężne wtedy, kiedy idee kurczyły się i zasychały w doktryny; dla czasów i ludzi żywych mają one tylko wartość markietanek na postoju naszym« — »kobiety są, jak żuki: składają najpłodniejsze nasiona w to, co próchnieje i gnije...«, »dzisiejsze kobiety opryskują się sztuką, ciągną do złota i cuchną prostytucyą«.

Ta chorobliwa nienawiść do kobiety jest rysem znamiennym wszystkich modernistów, naszych i obcych.

Nienawiść modernistów do kobiety rozumie się dopiero wtedy, gdy się rozważy, z jakiej warstwy biorą najmłodsi autorowie swoje typy niewieście, gdzie uczą się znajomości psychologii kobiecej. Szynk, knajpa, małe teatrzyki, domy publiczne, buduary kokot nie są miejscem właściwem do obserwacyi wszechstronnych. I różne typy histeryczek, dziś coraz częstsze — to jeszcze nie kobieta. A moderniści szukają głównie towarzystwa kobiety zwyrodniałej, zdrowa jest bowiem dla nich za mało »subtelna«.

Równolegle z lamentującym pessymizmem i zwyrodnieniem etycznem i zmysłowem schyłkowców szedł drugi prąd. Prądem tym był krzyk rozpaczy i nienawiści inteligentnego proletaryatu, zawiedzionego przez program »trzeźwych«.

Wiedza to potęga, jedyna, najwyższa — głoszono bez końca w dziełach i dziełkach, w broszurach i broszurkach, w artykułach dziennikarskich i wzmiankach reporterskich; wiedza oświeca, uszlachetnia, zbogaca — powtarzała za mistrzami głodna rzesza, wyciągająca chciwe ręce do życia, do jego dóbr i rozkoszy.

Wiedza zbogaca, daje dobrobyt...

Ale doświadczenie nauczyło, że wiedza nie daje dobrobytu, że pierwszy lepszy sprytny kupczyk, nieuczciwy szachraj, spekulant bywa w świątyni Mamona milej witanym i hojniej wynagradzanym od najuczeńszego, najzasłużeńszego uczónego. Wiedza buduje rzadko pałace dobrobytu, majątku. Ona płaci swoich żarliwych wyznawców głównie rozkoszą pracy umysłowej, radością ze zdobytych rezultatów badania.

Nie takiej, więcej idealnej, niż materyalnej nagrody szukała, pragnęła owa rzesza głodnych, uwiedziona obietnicami »trzeźwych«, tłocząca się po r. 1870 gromadnie do szkół średnich i wyższych. Te wszystkie dzieci ubóstwa chwytały za książkę w nadziei, że im patent uniwersytecki da od razu wygodną, dostatnią niezależność materyalną, a kiedy je doświadczenie zawiodło, buchnął z ich piersi krzyk rozczarowania, gniewu, nienawiści do istniejącego porządku. Te wszystkie dzieci ubóstwa, które uczyły się tylko dla smacznego chleba, wyciągnęły ręce do socyalizmu, u niego pomocy szukając.

Stefan Żeromski autor »Bezdomnych«, jest tego rozczarowania inteligentnego proletaryatu najwyraźniejszym, najzdolniejszym przedstawicielem i dlatego to ogłosił go cały inteligentny proletaryat swoim mistrzem i oklaskuje tak namiętnie każde jego nowe dzieło.

Charakterystyka literatury przedrewolucyjnej nie byłaby pełną, gdyby się pominęło grupę estetów, artystów *par excellence*, uprawiających sztukę dla sztuki, zgrupowanych dokoła warszawskiej »Chimery«. Zenon Przesmycki (Miriam) był tej grupy reżyserem.

Rozczarowani do pozytywizmu i materyalizmu, znużeni wrzawą roboty społecznej, esteci urządzili sobie kapliczkę artystyczną, w której zdala od gwaru chwili, od głuchego pomruku nadciągającej rewolucyi, czcili sztukę, piękno, kąpali się w widmowych blaskach mistycyzmu i symbolizmu, zabawiali się rzeźbą języka, formy i różnemi sztuczkami artystycznemi. Arystokracyą ducha nazwała się ta grupa.

Pesymizm rozczarowanych, zrozpaczonych, gniewny, namiętny krzyk zawiedzionego w swoich nadziejach proletaryatu inteligentnego i obojętność estetów, arystokratów ducha na społeczne bóle chwili — oto główne cechy znamienne literatury przedrewolucyjnej. Chaos, po-

mieszanie pojęć, wyobrażeń, zrywanie z całą przeszłością, dążenie do czegoś nowego, jeszcze nieokreślonego, niewyraźnego...

Przyszła rewolucya...

Przyszła bezpośrednio po modernizmie, po ostatniej formie ubóstwienia sztuki, po reakcyi, zwróconej przeciw zdegradowaniu artyzmu i artystów przez pozytywizm. Beletryści, poeci, malarze, rzeźbiarze, muzycy nawet zabawiali się w symbole, w nastroje, dysputowali o »sztuce dla sztuki«, majaczyli o »królewskości, boskości sztuki«, o odrodzeniu ludzkości przez sztukę, stroili się w patrycyuszowską togę »arystokratów ducha«, a na dole pod nimi, w nizinach społecznych przygotowywał tymczasem wzgardzony przez nich »tłum«, »motłoch« taką żywą, straszliwą tragedyę, na jaką się nawet najbujniejsza fantazya najfantastyczniejszego symbolisty nie zdobyła.

Oniemiała oczywiście z przerażenia sztuka dla sztuki, arystokratka z gustów, z upodobań. Uzbrojona w bomby, w braumingi, w noże walka o byt, walka klasowa zmiotła estetyzm modernistyczny, jak wicher zmiata zwiędłe liście. Uwielbiany w Warszawie Przybyszewski, zasypywany wieńcami z napisem: *ecce homo!* przestał istnieć.

Część schyłkowców, trawionych żądzą jakiejś zmiany i grupa pisarzów, otaczająca Żeromskiego, rzuciła się w wir walki społeczno-politycznej głową naprzód na oślep.

Powstała wrzawa wiecowa: polityczna, społeczna, filozoficzna, etyczna wrzawa, zwana »uświadamianiem«, która wchłonęła w siebie wszystkie zdolniejsze siły pisarskie. Książka ustąpiła miejsca trybunie, dziennikowi, drukowane słowo słowu żywemu. Przez trzy lata milczała literatura.

Ale to, co mówiła za literaturę trybuna, co wypadało, buchało z ust agitatorów i prelegentów, było uwypukleniem, ożywieniem skarg, żalów, pesymizmów, pożądliwości, marzeń, rozczarowań literatury przedrewolucyjnej z tą tylko różnicą, że bezsilne skargi, żale i marzenia, zachęcone, ośmielone przez rewolucyę, przez czyn, zmieniły się w płomienne, głośne, butne hasła i pobudki.

Rozpatrzywszy dziś wszystko, co się u nas mówiło w przeciągu tych lat w salach wiecowych, słyszy się jeden motyw, powtarzający się bezustannie, wszędzie: wywrócić, wywrócić wszystko, wywrócić do góry nogami całą przeszłość, całe doświadczenienie zgasłych pokoleń i zbudować dla człowieka nowe życie! Wywrócić rodzinę, małżeństwo, wychowanie, szkołę, etykę, religię, własność, zwyczaje, obyczaje... *tabula rasa!* Niech nie zostanie kamień na kamieniu po tem, co było

co jest! Najgłośniej krzyczeli żydzi, najnamiętniej oklaskiwały wywrotowcow żydówki. Izraelowi zdawało się, że nadszedł nareszcie czas ostatecznego pohańbienia ideałów chrześcijańskich i radował się wielce i wrzeszczał z radości, jak opętany: precz z krzyżem!

Zmęczyła się nareszcie rewolucya, wystygł zapał polityczny — ludzie wracają powoli do teatrów, do książki. Literatura podnosi znów głowę, sypią się powieści, nowele, szkice. Jedne z nich usiłują odtworzyć gasnącą rewolucyę (»Książe« Rygier-Nałkowskiej, »Ol-Soni-Kisań« Sieroszewskiego, »Nowele« Słońskiego i inne), ale są to tylko szkice, fragmenty, na pełny bowiem obraz rewolucyi jeszcze za wcześnie. Cały materyał psychologiczny ludzi i wypadków, najgłówniejszy dla artysty, jest jeszcze zamknięty dla przedmiotowego obserwatora. Burza musi zupełnie zamilknąć, krwawa łuna oszalałych namiętności musi zgasnąć doszczętnie, by psycholog artystyczny mógł widzieć plastycznie ludzi i pobudki czynów, by mógł złożyć ze szczegółów obraz pełny, zbudować dzieło sztuki.

Wszystkie zresztą te obrazki rewolucyjne nie zwróciły dotąd na siebie uwagi, ani szerszych kół, ani krytyki. Pierwszą nowością porewolucyjną, która wprawiła w ruch mnóstwo piór zoilowych, i którą publiczność rozchwytała, są »Dzieje Grzechu« Stefana Żeromskiego.

Nie było, zdaje się, jeszcze w Polsce książki, o którejby zaraz po jej wyjściu tyle mówiono i pisano, ile o »Dziejach grzechu«. Nawet Sienkiewicz nie może się pochwalić w swojej szczęśliwej karyerze literackiej takiem powodzeniem. Bo nie tylko mówi się, pisze, drukuje bezustannie o »Dziejach grzechu«, ale co chwilę, codziennie staje gdzieś, na jakiejś trybunie jakiś prelegent i rozprawia szeroko o »arcydziele« Żeromskiego.

Cóż to za dziwo, które ludzi tak bardzo zajmuje?

Jakaś panna, pochodząca z rodziny starej kultury (szlachcianka), niezwykle rasowo urodziwa, niezwykle duchowo piękna, czysta czystością dziewiczej duszy i czystego serca, wychowana religijnie i wierząca, bardzo wykształcona staje się kolejno: metresą, dzieciobójczynią, złodziejką, uliczną ladacznicą, wspólniczką bandytów i morderczynią.

Jakże tej sztuki dokazał Żeromski?

W chwili, kiedy się powieść zaczyna, była Ewa Pobratyńska u spowiedzi i przygotowuje się szczerze, z całą wiarą katoliczki, z całem skupieniem uczciwej duszy, pragnącej się oczyścić nawet z najlżejszego prochu życia powszedniego, do komunii św.

W tej chwili staje przed nią, w przeddzień przystąpienia do Stołu Pańskiego, jakiś pospolity rezoner filozoficzny, jakiś zdawkowy niedowiarek, szablonowy ateusz (Łukasz Niepołomski), zasypuje ją całą furą encyklopedyjnej, taniej uczoności antropologicznej i innej, nadzianej gęsto cytatami z różnych autorów greckich, rzymskich, francuskich i innych; i czysta, biała, wierząca dusza Ewy, staje się, bez długiego namysłu, bez dłuższej ewolucyi, buntowniczką. Z kościoła, zamiast do Stołu Pańskiego, idzie na schadzkę z owym Niepołomskim.

Odtąd jest jej życie plugawą epopeją grzechu i zbrodni. W szybkiem tempie spada z wyżyn uczciwości na samo dno podłości. Ewa staje się jakąś zwyrodnioną, z rozkoszą w kale tarzającą się bestyą.

Dlaczego? Wie o tem chyba tylko sam autor, jego chora logika, zwykła bowiem zdrowa logika ludzka, która rozumie i tłumaczy dużo, staje wobec ewolucyi charakteru Ewy Pobratyńskiej z otwartemi ustami: nic nie rozumie.

Ta zwykła, zdrowa logika ludzka rozumuje i wnioskuje tak: miłość płciowa rzuca bardzo często kobietę na manowce, odbiera jej rozum, moc panowania nad zmysłami; popełniony raz błąd pcha nieszczęśliwą dalej w kierunku pochyłym, bo grzech rodzi grzech; pcha ją najczęściej do samobójstwa, jeśli posiada kulturę i duszę Ewy Pobratyńskiej. Bywa tak często. Ale tu zatrzymuje się zwykła logika.

Kobieta wytwornych uczuć i uczciwych tradycyi rodzinnych, religijna, nabożna, uwielbiająca bandytę, zwyrodniałego »chama«, który ją ograbia i zniesławia, zachwycająca się jego »siłą i potęgą«, wchodząc w spółkę z rabusiami i mordercami, zabijająca z zimną krwią, z premedytacyą w celach rabunku człowieka, który był dla niej uprzejmym uprzejmością rycerską, jest takiem monstrum, taką łamigłówką psychologiczną, iż mogła się wylądz tylko w chorej wyobraźni chorego talentu.

Wiadomo, że *la bête humaine,* przesiąknąwszy trucizną z kałem grzechu, dochodzi do takich rezultatów, do jakich żadne zwierzę nie dochodzi, ale tych okazów zwyrodnienia zbrodniczego trzeba szukać nie w tych warstwach społecznych, do jakich należy Ewa Pobratyńska Żeromskiego. Trzeba ich szukać pośród tych nieszczęśliwych, w których dziedziczny grzech w połączeniu z alkoholizmem zabił elementarne zasady etyki.

I jeszcze jedna powieść porewolucyjna, Włodzimierza Perzyńskiego »Sławny Człowiek«.

Brudną, cuchnącą ścierką od początku do końca jest ten sławny

człowiek Perzyńskiego, młody autor dramatyczny, Porycki. Ubogi, medytuje ciągle nad tem, skądby złapać rubla, skądby pożyczyć kilka złotych na najniezbędniejsze potrzeby życia i na knajpę.

Dziurawe suknie, podarte buty nie hańbią nikogo, a najmniej młodego, polskiego literata, którego całe buty (pracę) zabierają wydawcy, księgarze, różni przekupnie, ale hańbi każdego człowieka, nawet takiego, co ulice zamiata, brak uczciwości, honoru i ambicyi.

Porycki jest nieuczciwym, bo pożyczonych pieniędzy nigdy nie oddaje, niema ambicyi, bo bierze je, wyłudza podstępnie od naiwnych, łatwowiernych, nie ma poczucia honoru, bo nie czuje nawet nikczemności takiego postępowania.

I jest lekkomyślnym: dorwawszy się trochę grosza za dramat, za nowelkę, pozbywa się swojej krwawicy z taką nieopatrznością, jak gdyby rozporządzał milionami.

Jest leniwym, próżniakiem. Zamiast zabrać się do regularnej pracy, żeby wydobyć się raz z tej cuchnącej nędzy, woli przesiadywać całymi dniami, całemi nocami w knajpie.

Jest tchórzem. W sprawie honorowej zachowuje się, jak nędzny kupczyk, jak kabotyn, odgrywający na lichej scenie amatorskiej rolę bohatera z operetki.

Jest wkońcu podłym. Ludziom, którzy go przyjęli serdecznie, którzy mu byli przyjaciółmi, płaci za gościnność oszczerstwem paszkwilem. Kochankę, która zaspokoiła jego głód zmysłów, głód ubogiego chłopca, który nie posiadał środków na miłość, »odstępuje« za kilkadziesiąt rubli komu innemu i t. d.

Brud aż cieknie ze »sławnego człowieka« Perzyńskiego, brud: pozy, kłamstwa, zmysłowości, egoizmu, podłości, tchórzowstwa, brud tem przykrzejszy, że Perzyński wylewa go przed czytelnika z całym spokojem objektywnego obserwatora i z lekko drwiącym uśmiechem chłodnego satyryka. *Znaczy to, że widział takich »sławnych ludzi«*, że zna ich, że kopiował ich z natury.

Skądże wzięli się ci nowi »artyści« bez duszy artystycznej, skąd ci szubrawcy, ordynarni pijacy, ci tchórze i podlcy, ten cały legion wszelakiego rodzaju łotrzyków, od których roi się literatura przed- i porewolucyjna, ci pospolici durnie, strojący się w pióra »nadludzi«, a walający się z upodobaniem w kale, jak plugawe robactwo?

Pokolenia ostatnie (od r. 1870) wychowały się pod znakiem doktryn pozytywistycznych, materyalistycznych i socyalistycznych, które zdruzgotały idealny światopogląd, wydrwiły bojaźń Bożą, wysunęły

na pierwszy plan walkę o byt, a z egoizmu stworzyły źródło t. zw. etyki niezawisłej. Do tej mikstury dodał Nietzsche swojego »nadczłowieka«, bezwzględnego indywidualistę, modernizm swoją chorą miłość płciową, swoją erotomanię, rewolucya swoich bandytów, rozpustę zbrodni, literatura rosyjska (Dostojewski, Górki, Andrejew i inni) swój okrutny jęk katorgi, kajdan, ponurej rozpaczy, judaizm swoją nienawiść do chrześcijaństwa.

Wszystkie wpływy, jakie działały na ostatnie pokolenia, złożyły się na wytworzenie chaosu, na wywrócenie dawnych wartości etycznych i życiowych, na kupę gruzów. W tym chaosie zmieniających się ciągle, z wyżyn idealistycznych w niziny zmysłowych pożądań, głodów i rozpaczy zsuwających się pojęć i wyobrażeń, zginął cały dorobek dodatni przeszłych pokoleń: poczucie obowiązku, honor, uczciwość, rezygnacya. Pożądanie zmysłowe, nieograniczone niczem, i samowola, nie krępująca się żadnymi względami (»nadludztwo«), zajęły miejsce dawnego katechizmu religijnego i honorowego.

Tylko w tén sposób można sobie wytłumaczyć niezwykłe powodzenie takich »Dziejów grzechu«. Żeromski spoliczkował, skopał polską kobietę ze sfer inteligentnych, Perzyński opluł polskich pisarzów, uczniowie Przybyszewskiego babrzą się w kale zwyrodnionej miłości płciowej, a publiczność rozchwytuje z gorączkową ciekawością ich dzieła, pochłonia chciwie ich potworności. Dzieci, gimnaziści i pensyonarki, karmią się łapczywie brudem życia i pornografią. Ciągłe mordy, ciągłe zbrodnie ostatnich trzech lat stępiły do tego stopnia smak estetyczny, iż potrzeba mu koniecznie asafetydy literackiej. »Dzieje grzechu« Żeromskiego i fantazye kryminalne Sherlocka Holmesa są dziś najmilszą literaturą Warszawy.

Gnijemy etycznie, rozkładamy się.

Więc czas na reakcyę idealistyczną w literaturze, nie na tę sztuczną symbolistyczno-dekadencką modernizmu, ale tę szczerą, przekonaną, wierzącą, któraby przywróciła cześć i siłę dodatniej puściźnie przeszłości: religii, obowiązkowi, uczciwości, honorowi — któraby podniosła sponiewieraną, oplutą duszę ludzką.

Teodor Jeske-Choiński.

Konkursy naukowe.

Z konkursów Akademii Umiejętności w Krakowie.

4) Akademia Umiejętności przedłuża niniejszem temat pierwszy konkursu im. Mikołaja Kopernika, a mianowicie:

a) »Opracować stosunki klimatyczne jednej z większych dzielnic Ziem polskich, albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiek z kolonii zamorskich, do których emigruje gromadnie ludność polska, z klimatem rodzinnym«.

Nagroda wynosi 1.200 K.

Termin konkursu 31 grudnia 1908. (Nr. Dz. p. 388/07 i 98/08).

b) i przypomina temat drugi: »Zbadać metodą wskazaną przez A. Schustera (patrz czasop. *Terrestrial Magnetism* 1898) lub podobną, czy okresy zmian szerokości geograficznych, podane przez Chandlera, Kimurę i innych, są istotne, czy nie«.

Nagroda wynosi 1.000 K.

Termin konkursu 31 grudnia 1908. (Nr. Dz. p. 2788/904).

Autor pracy uwieńczonej nagrodą zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku od wypłacenia mu nagrody pracy uwieńczonej drukiem nie ogłosił, natenczas uczynić to może sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii.

Zarówno autor, jak i Akademia, składają cztery egzemplarze wydrukowanej pracy Gminie miasta Krakowa.

5) Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem konkurs im. Czerwińskiego na napisanie »Historyi sztuki w Polsce«. Warunki konkursu są następujące:

1. Historya sztuki w Polsce ma uwzględnić wszystkie Ziemie dawnej Polski łącznie z Litwą i Rusią.

2. Powinna objąć czas od przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę aż po koniec stylu empire.

3. Ma być syntezą dotychczasowych badań na tem polu; samodzielnych rezultatów się nie wymaga, są jednak pożądane.

4. Układ i rozmiary dzieła, pozostawia się autorowi.

5. Fotografii ani rysunków autor nie jest obowiązanym dołączyć do rękopisu.

6. Do konkursu dopuszczone mogą być prace zbiorowe, ewentualnie przez kilku autorów wykonane, jednakże jednolitej redakcyi.

7. Termin konkursu upływa z dn. 31 grudnia 1908 r.

Nagroda wynosi 1.000 rubli (Nr. Dz. p. 2828/904 i 119/08).

6) Akademia Umiejętności przedłuża niniejszem konkurs im. Juliana Ursyna Niemcewicza na dwa następujące tematy:

1. »Historya ustroju Królestwa Kongresowego« (1815 do 1830).

Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1908 roku.

2. »Historya obyczajów społeczeństwa szlacheckiego w Polsce w końcu XVI i na początku XVII w. w obrębie obranego terytoryum (co najmniej województwa) Rzeczypospolitej«.

Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1908 roku.

Nagroda może być podzieloną na dwie, niekoniecznie równe części. (Nr. Dz. p. 2944/904 i 120/08).

7) Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem konkurs z fund. Ks. Adama Jakubowskiego na następujące dwa tematy:

1. »Historya ustroju Księstwa Warszawskiego«.

2. »Monografia jednej z wybitnych osobistości polskich z epoki porozbiorowej«.

Nagroda wynosi 1.400 K. i może być podzieloną na dwie, niekoniecznie równe części.

Termin konkursu 31 grudnia 1908. (Nr. Dz. p. 121/08).

8) Akademia Umiejętności ogłasza niniejszem konkurs im. dr. Władysława Kretkowskiego na rozwiązanie następującego zadania:

»Znaleźć zastrzeżenia konieczne, dostateczne, różne między sobą i w najmniejszej liczbie, aby m równań różniczkowych pomiędzy n zmiennemi były całkowalnemi przez p całek. Równania są kształtu:

$$\sum_{l=1}^{l=n} Z_{k,l}\, dx_l = 0 \quad (k = 1, 2, \ldots, m).$$

gdzie x_l $(l = 1, 2, \ldots . n)$ są zmiennemi, zaś $Z_{k,l}$ $(k = 1, 2, \ldots, m;$ $l = 1, 2 \ldots, n)$ są funkcyami zmiennych powyższych. Znalezienie liczby najmniejszej jest koniecznym warunkiem otrzymania nagrody«.

Nagroda wynosi 1.500 K.

Termin konkursu 31 grudnia 1908. (Nr. Dz. p. 130/07 i 95/08).

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności w Krakowie bezimiennie, pod godłem, obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres, a opatrzonej tem samem godłem.

Według § 18 Regulaminu Akademii wypłata wszelkich nagród konkursowych następuje dopiero po ogłoszeniu drukiem pracy uwieńczonej nagrodą.

9) W celu uczczenia 60-letniego jubileuszu Najjaśniejszego Cesarza Franciszka Józefa Akademia Umiejętności w Krakowie rozpisuje niniejszem konkurs na napisanie Historyi Galicyi w okresie lat 1848 do 1908.

Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1910.

Nagroda wynosi 1200 koron; objętość dzieła co najmniej 20 arkuszy druku.

Akademia Umiejętności zastrzega sobie prawo własności nagrodzonego rękopisu. Po wydrukowaniu autor otrzyma jako honoraryum, oprócz nagrody, dalsze 1200 koron.

Autor winien zwrócić przedewszystkiem uwagę na rozwój wewnętrznych stosunków Galicyi i wszechstronnie przedstawić wszystko, co w tym kierunku w czasie 60-letniego okresu do skutku przyszło.

Uczeni, zamierzający pracy tej podjąć się, mogą po bliższe informacye zgłaszać się do Sekretaryatu Generalnego Akademii.

X. T. J.

Druk ukończono 6 lipca 1908 r.

SPÓŁCZESNA CYWILIZACYA.

Najcięższym, najbardziej podstawowym zarzutem, który uczynić wypada epoce nam współczesnej, jest wykrzywienie osi cywilizacyi, w stronę materyalistycznych dążności i zdobyczy. Oddawna już cywilizacya współczesna wyglądać mi zaczęła jak wóz na poły przewrócony, którego koło jedno zawisa w pustce, a drugie zatapia się w błocie.

Dlaczego w świecie teraźniejszym jednocześnie mieści się tyle wiedzy i tyle złości? Dlaczego wytwarza się w nim tak wiele teoryi o pięknie, i jednocześnie tyle szpetoty w uczuciach i czynach? Nigdy ludzkość nie była tak uczona jak jest dzisiaj, i nigdy gusta estetyczne nie były tak szeroko rozpowszechnianymi. Nauka i sztuka są niewątpliwie czynnikami uszlachetniającymi; dlaczegoż dzisiejszego świata nie uszlachetniają? Oto: nauka i sztuka, jeżeli nie wyłącznie, to bardzo przeważnie, skierowanemi zostały ku zaspakajaniu potrzeb, ku dogadzaniu wybrednościom i żądzom natury fizycznej.

Tosamo ze sprawą wychowania pokoleń młodych. Ten człowiek wychowanym jest najlepiej, który przez sztukę zdobytą najłatwiej potrafi zostać zwycięzcą w walce o dobrobyt materyalny, tak jak ten wynalazek naukowy jest najcenniejszym, który najlepiej przysługuje się materyalnemu bytowi państwa czy jednostek, tak jak ta robota artystyczna najwyżej jest szacowaną, która przez podnietę wrażliwości zmysłowej udziela zmysłom najwięk-

szej sumy używania, z jaknajmniejszym wydatkiem dla myśli i dla głębszych, lotniejszych nad zmysłowe, uczuć ludzkich.

W szkołach napełnionych wiedzą tak wielką, jakiej nigdy dotąd na świecie nie bywało, dzieci wzrastają nie ku wzrastaniu w ludzkości dobra i prawdy, lecz ku swemu własnemu w przyszłości najprzyjemniejszemu jedzeniu, piciu i przepędzaniu czasu.

Najbogatszymi, najsłynniejszymi z wynalazców są wynalazcy najdoskonalej morderczych oręży wojennych i najmniej skrupulatnych operacyi finansowych.

W dziełach sztuki, to co górne i wzwyż podnoszące, stało się odrzucanem i nudnem, a co po nizinach zmysłowości pełza, uwielbianem i poszukiwanem. Mnóstwo ludzi, z utraconym do szczętu zmysłem prawdziwego piękna, w najlepszej wierze poczytuje za poezyę to, co w rzeczy samej nie jest czem innem, jak w masce poezyi chodzącą po świecie — pornografią.

Myliłby się ktoby mniemał, że świat nowożytny Olimpu swego nie posiada. Wprawdzie Bóg — Stwórca, Bóg — Ojciec ludzi, Bóg — Ognisko wiekuiste prawdy i dobra, z coraz wzrastającym zapałem strącanym zostaje z tronu serc ludzkich i wyrzucanym z dziedziny ich wierzeń! Ale natomiast wstąpiło na tron ten i zakrólowało nad tą dziedziną bóstwo wielogłowe i długorękie, któremu na imię: Finanse. Bóstwu temu towarzyszy bożków głównych pięciu: Przemysł, Handel, Konkurencya, Reklama i Karyera.

Cokolwiek dziś na świecie dzieje się i staje, dzieje się i staje ku czci i wzrostowi tych przedstawicieli Olimpu dzisiejszego.

Dla nich powierzchnię wód i lądów przebiegają parowozy niezliczone, dla nich toczą się mordercze wojny, ku chwale ich wznoszą się gmachy najwyższe, nad rozrostem ich potęgi dumają głowy najmocniejsze, o nich jako celu najwznioślejszym marzą nieprzebrane zastępy młodzi szkolnej, o nich matki nucą nad kolebkami swych dzieci. Względy na nich usprawiedliwiają wszystko, nawet zbrodnie, i bez śladu narodów i jednostek wywabiają wszystkie plamy, nawet krwawe. Ku ich wytłumaczeniu, wywyższeniu, zgłębieniu powstaje takie mnóstwo sofizmatów, że tonie w nich prawdziwa mądrość, i takich pojęć o życiu, takich wymagań od

życia, które pomimo cywilizacyi pozornie daleko posuniętej, utrzymują w ludzkości, pod przeciwnymi pozorami utajoną, lecz zupełnie pierwotną dzikość.

Konkurencya, czyli współubieganie się ludzi o byt i dobrobyt, o chleb i marcypan, dosięgła wytężenia, które piędź ziemi każdą napełnia tupotem stóp walczących, a serce każde przepaja wrzącą żółcią. Potokiem nieprzebranym wypływają z tego źródła gniewy i nienawiści, podstępy, potwarze, zbrodnie skryte i jawne, niekrwawe i krwawe, ale będące zawsze zaprzeczeniem czystości, wzniosłości i postępu ludzkiego ducha.

Jeżeli Konkurencyę nazwać można zbrodniarką ludzkości, to Reklama jest jej blagierką, czy jej klownem. Wszechwładną panią świata stała się, i w jej ręku spoczęły oceny wszystkich prac i czynów ludzkich. Gibka, jak ciało cyrkowego skoczka, pstra, jak odzież arlekina, stała się sprężyną, która wynosi na szczyty i spycha na niziny. Wszystkie dziedziny działań ludzkich królowaniem swojem ogarnęła, panuje w nauce i sztuce, zarówno jak w handlu i przemyśle, ustanawia wartości wszelkich rzeczy, bije monetę cen i zapłat, powodzenia i niedoli. Niema na świecie takiej miary i wagi, któraby zmierzyła i zważyła wszystkie wielkości przez nią zmiażdżone, i wszystkie małości do rozmiarów wielkości rozdęte, wszystkie kłamstwa, które w obieg powszechny puściła, i wszystkie głupstwa albo i szkaradzieństwa, które wypisała, wymalowała, wykrzyczała, i w wiarę ludzką, w smak ludzki, w bieg życia ludzkiego wszczepiła. Blagierką i klownem ludzkości będąc, stała się jej prawodawczynią, stała się igłą magnesową, według której ludzkość na oceanie życia statkiem swym kieruje...

. . . . . .

...Wóz napoły przewrócony, którego koło jedno zawisa w próżni, a drugie zatapia się w błocie. Próżnia, to zaniedbany, opuszczony przez ludzki rozum i przez ludzką uwagę świat ducha — błoto, to ubóstwiona, pieszczona, przez ubóstwianie i pieszczoty w proces gnicia wprawiona materya...

Dlaczego tak się stało? Przyczyna?

Nigdy wielkich zjawisk świata nie sprowadza przyczyna tylko jedna, lecz jest ich zawsze wiele, które na drogach ludz-

kości schodzą się, łączą z sobą, współdziałają, ale pomimo to zawsze wśród nich znaleść można jakąś jedną, która jest pierwotną, główną, i nad pochodnemi, podrzędnemi trwałością i siłą swą panuje.

Tu, taką pierwotną i główną przyczyną wydaje mi się ta właściwość natury ludzkiej, która sprawia, że w ręku ludzkości, tak jak zabawki w ręku dziecka, pożyteczne i piękne, przez samą udzkość wymyślone narzędzia i zdobycze, z biegiem czasu łamią się, psują, wykrzywiają, plamią, aż kończy się na tem, że wykłuwają oczy, szarpią duszę, i plamami okrywają odzież tego szalonego dziecka, którem jest ludzkość. Granic niema dla umiejętności, z jaką ludzkość psuje wynalezione i zdobyte przez samą siebie rzeczy najpiękniejsze, a najpożyteczniejsze przerabia na szkodliwe.

Nie oparły się tragicznemu prawu temu idee i dzieła religii, patryotyzmu, rodziny, miłości, nie oparły się nauka i sztuka, nie oparło się wszystko to, co ogarnia sobą wyraz: cywilizacya.

I tragizm ogromny tkwi w tej fatalnej zdolności naszej do pomysłów wspaniałych, z jednoczesną koniecznością okaleczania i marnowania ich — w wykonaniu.

Przez czas jakiś wszelkie dzieło ludzkie, jak zdrowe drzewo, wzrasta bujnie, płodzi kwiaty cudowne i owoce żywiące, aż po upływie czasu karleć poczyna, próchnieć i sączyć z siebie truciznę...

. . . . . .

...Czy Syzyf dźwignie się kiedy z otchłani, w którą go niemoc własnej jego natury zanurzyła?

Może, bo siłę dźwigania się z nizin ku wyżynom posiada.

Tylko punkt oparcia ze wzroku utracił i nie wie o co zaczepić ma swą dłoń, martwo sterczącą ku górze.

Czy ktokolwiek wzrok i dłoń jego ku zbawczej oporze doprowadzi?

Może, ale będzie to chyba przychodzień z bardzo czystych, bardzo gorących, bardzo słonecznych wyżyn duchowych, sam bardzo czysty, gorący, słoneczny i — prosty...

Eliza Orzeszkowa.

NASI WYCHODZCY ZAMORSCY.

I. Potrzeba badań w sprawie emigracyjnej i wskazanie ich kierunku.

Epoka, w której żyjemy, zdawałoby się szczególnie jest wrażliwą na kwestyę socyalną. Polityczny antagonizm wobec socyalizmu wywołuje jednak to przykre i niepożądane następstwo, że w Austryi przytłumia się instynkty socyalne, utożsamiając je zupełnie błędnie i fałszywie z socyalizmem. Zwalcza się każdą pracę społeczną pod najrozmaitszymi pozorami: dawniej zawodową organizacyę rolników, obecnie ubezpieczenie robotników na starość i w razie niezdolności do pracy, wyszukując przytem przezornie dla swej opozycyi pięknie brzmiących pozorów.

Tak samo postępuje się ze sprawą emigracyjną.

Państwo prawne, jakiem jest bądź co bądź Austrya, ocenia tę sprawę dotąd bądź ze stanowiska interesu pracodawcy przemysłowego lub rolniczego, pragnącego emigracyę powstrzymać i używającego argumentów patryotycznych z obawy podwyższenia się płac roboczych, jako naturalnego następstwa ubytku podaży rąk do pracy — bądź też ze stanowiska przedsiębiorców okrętowych, właścicieli biur podróżnych, kolei i agentów, których interes wymaga nieprzeszkadzania emigracyi i uchylenia wszystkich, dotąd stawianych jej przeszkód, a nawet zniesienia kontroli ze strony władz państwowych. Ponieważ atoli i tu frazes pokryć musi prawdziwe intencye, więc argumenta patryotyczne zastępuje

w ustach przedsiębiorców okrętowych i agentów zwrot o wolności gospodarczej, o postępie ludzkości i t. d.

Tak zwana opinia publiczna, reprezentowana przez dzienniki nie posiadające fachowych referentów i inspirowane bądź z jednej bądź z drugiej strony, przechyla się też nieświadomie ku jednej lub drugiej stronie interesowanej i smutno wyznać — z nielicznymi wyjątkami — na ogół nie pomyślała dotąd, iż człowiek poza tem, iż może być przedmiotem korzyści lub wyzysku innych osób, jest przedewszystkiem celem sam dla siebie, że o jego dobru w pierwszym rzędzie myśleć należy i że w dotychczasowych rozważaniach najmniej pomyślano o stronie etycznej tej kwestyi, która w każdym ruchu społecznym, choćby błędnym, stanowi jego uprawnione jądro i zyskuje mu najliczniejsze zastępy zwolenników. Trzeba przyznać, że tak w austryackiej izbie poselskiej, jak i w publicystyce znalazły się chlubne wyjątki, które w niniejszej sprawie zajęły jedynie właściwe stanowisko. Muszą one jednak pozostać bez wpływu, a ich działalność bez skutku, skoro znajomość odnośnych stosunków emigracyjnych w całej Austryi jest dotąd na tak niesłychanie nizkim poziomie.

I tak, nie wiemy dotąd, ilu ludzi od nas emigruje. Wiemy jedynie to, co podaje w tej mierze statystyka imigracyjna Stanów Zjednoczonych. O liczbie przybyszów do innych krajów Ameryki zupełnie nie jesteśmy poinformowani, jakkolwiek Brazylia i Argentyna podają coś w rodzaju statystyki państwowej, co atoli zupełnie na tę nazwę nie zasługuje. Statystyka narodowościowa nigdzie prawie, prócz Stanów Zjednoczonych, prowadzona nie jest, bo i Kanada wykazuje tylko Austryaków i Rosyan, a o Polakach np. nie czyni wzmianki. Statystyki rewertentów, to jest powracających do Austryi zupełnie się nie uprawia, a obliczenia sum, przybywających z krajów zamorskich do Austryi, ograniczają się do ilości sum, przesłanych pocztą, nie dają więc również całkowitego obrazu. Nawet tam, gdzie zestawienia statystyczne emigrantów i rewertentów od paru lat się prowadzi, jak np. w urzędzie policyjnym w Szczakowie, obliczenia te są niesłychanie pobieżne. Nie rozróżniają emigrantów wedle celu podróży, nie podają o nich żadnych bliższych wskazówek co do wieku,

płci, wykształcenia i t. d., tak, że na podstawie cyfr austryackich zupełnie nie można sobie wyrobić najmniejszego wyobrażenia o rozmiarach wychodźtwa, wydatkach, jakie ono za sobą pociąga, dochodach, jakie przysparza, tak więc brak najważniejszego środka badania danego objawu społecznego, brak cyfr.

Nie lepiej dzieje się z kwestyą przyczyn emigracyi. Przyczyny te podaje się zupełnie dowolnie. Mówią jedni o nizkich płacach a wysokich cenach ziemi, mówią wprost o braku ziemi, o braku lub słabem rozwinięciu przemysłu. Te wszystkie przyczyny jednak są z natury rzeczy lokalne i stosownie do miejsca rozmaite. Badanie społeczne, jeżeli ma przynieść pożytek, nie może poprzestać żadną miarą na apryorycznych ogólnikach. W jednych powiatach lub miejscowościach istnieje przeludnienie i brak przemysłu przy wysokich płacach i średnich cenach ziemi, przyczyną emigracyi jest więc tam oczywiście przeludnienie w połączeniu z brakiem przemysłu. W drugich może być przyczyną emigracyi wyzysk fabrykanta, nieudały strejk, nienawiść chłopa do obywatela ziemskiego, wywołana w równej mierze przez głodowe płace i agitatorów, jak u nas np. ruskiej partyi socyalistycznej i t. d. Może być także przyczyną pragnienie poprawienia swego losu i chęć poznania rzeczy nieznanych, którą tak chętnie w formie zarzutu podnoszą jako przyczynę emigracyi niektórzy nasi obywatele ziemscy. Oprócz tych wszystkich przyczyn działalność agentów hojnie wynagradzanych, koncesyonowanych lub tajnych, opłacanych przez towarzystwa okrętowe lub kraje zamorskie, odgrywa niewątpliwie doniosłą rolę. Umiejętne zbadanie przyczyn emigracyi rzuciłoby nowe światło nie tylko na tę kwestyę, ale i na położenie ekonomiczne i socyalne naszego kraju. Specyalni urzędnicy powinni być ustanowieni w tym celu w stacyach granicznych, jak np. u nas w Oświęcimiu, Szczakowej, Boguminie, tudzież w Tryeście. Konsulowie państwowi w krajach zamorskich, badając szczegółowo ludzi, z którymi mają styczność, winniby zadawać im pytania, ożywione jednym duchem i wspólną kierowane myślą przewodnią. Rezultat takiego badania byłby olbrzymiej doniosłości nie tylko dla wychodźców, ale i dla tych, którzy zostają w kraju.

Nie zbadano dotąd również i nie uznano za godną zbadania kwestyi, skąd płyną sumy, jakie wychodźca w drogę ze sobą zabiera, czy z dzierżaw i sprzedaży gruntów, czy z pożyczek i jakiego rodzaju — w ilu wypadkach i dokąd idzie wychodźca do Ameryki na zasadzie z góry zapłaconych przez jego rodzinę już w Ameryce przebywającą, biletów okrętowych, tak zwanych *prepaid'ów*. W razie zbadania tych kwestyi wyszłaby na jaw zapewne cała nędza emigrantów, liczne fakty wyzysku ze strony nabywców lub dzierżawców jego gruntu, jakoteż zmieniaczy pieniędzy. Zbadanie tych kwestyi wyobrażam sobie tak, że przed przekroczeniem granicy niemieckiej lub wedle okoliczności szwajcarskiej, tudzież w Tryeście, specyalni urzędnicy we wszystkich tych kierunkach wypytają wychodźców, oczywiście nie wedle szablonu biurokratycznego, nie z krzykiem i zniecierpliwieniem, wywołującem nieufność i nie w narzuconym a nieuznanym na szczęście języku państwowym. Stąd właśnie, że dotąd jest inaczej, pochodzi ogólna nieufność ludności włościańskiej do urzędnika. Nie widzi w nim przyjaciela, który dba o jego los i pragnie mu dopomódz, ale wroga lub przynajmniej sługę wrogiej potęgi, która żąda od niego podatków i służby wojskowej, a nic w zamian dla niego nie czyni. Naturalnie, że w tych warunkach włościanin odmawia wyjaśnień lub mówi byle co, aby się tylko wydostać poza granice monarchii. A potem narzeka się na nieufność ludu, tym zaś, którzy pragną w tej drodze jedynie właściwej zbadać jego potrzeby i pragnienia, krzywdy doznane przezeń i niedomagania społeczne, zarzuca się ideologię i nieznajomość faktycznych stosunków. Gdy urzędnicy nabiorą większego wykształcenia społecznego i obudzi się w nich większe zrozumienie potrzeby sprawiedliwości społecznej, zaufanie będzie naturalnem zmienionego postępowania następstwem, a wtedy w większej niż dotąd mierze będzie można coś uczynić dla ludu, który doskonale czuje, kto ma dla niego serce i łatwo da się powodować, ale tym jedynie, którzy na to wyższem zrozumieniem swoich obowiązków zasługują. Nie potrzeba dodawać, że wyjaśnienie kwestyi tu poruszonej stanowi pierwszorzędny interes monarchii, której nie może być obojętnem, iż co roku odpływa z jej granic około 200.000 ludzi

do różnych krajów Ameryki, a drugie tyle, a może i więcej na roboty do Prus, tudzież, że kraj pozbawiony jest w ten sposób najdzielniejszych rąk i najenergiczniejszych ludzi, którzy w dodatku na każdym kroku są wyzyskiwani i krzywdzeni, nie znajdując nigdzie ochrony i opieki.

We Włoszech istnieje ustawa, zabraniająca tak zwanej subwencyonowanej emigracyi, to samo w Niemczech. U nas niema o tem mowy. Emigracya ta polega na tem, że rządy państw zamorskich pragnąc zaludnić olbrzymie przestrzenie swych ziem, ponoszą koszta transportu emigrantów, nawet niekiedy koszta podróży koleją aż do portu, utrzymują tych emigrantów czas jakiś w domu emigracyjnym aż do chwili zwiezienia ich na kolonie, co więcej, aż do pierwszych żniw dają im pożywienie, dostarczają narzędzi rolniczych, na dogodne spłaty oddają inwentarz i t. d. Tak czyni w szczególności Brazylia, głównie stan San Paolo, kilkakrotnie stan Parana podobne wydawał ustawy i postanowienia, które potem cofał. Inne państwa dają bodaj część tych ustępstw, jak np. Argentyna, Kanada, a prawdopodobnie zawierają układy z towarzystwami okrętowemi lub nawet z agentami i towarzystwami rzekomo opiekującemi się wychodźcami, tej treści, że za dostarczenie kolonistów opłacają im pewne kwoty od głowy. Układy takie zawierają także prywatne przedsiębiorstwa, jak np. w Brazylii kolej San Paolo-Rio-Grande, w Kanadzie pewne kopalnie żelaza, węgla i t. d. Nie ulega kwestyi, że zbadanie bliższe tych układów byłoby rzeczą pierwszorzędnej doniosłości. O ile emigracya, wywołana ekonomicznemi przyczynami nie powinna być tamowaną, o tyle emigracya sztuczna, przez towarzystwa lub państwa zamorskie subwencyonowana, stanowi akcyę wprost wrogą dla danego państwa; pozbawia je bowiem najżywotniejszych sił, które mogłyby z pożytkiem wewnątrz danego społeczeństwa pracować. Jeżeli kto, to my zbytku tych sił nie mamy i dalszego ubytku tychże strzedz się winniśmy. Jeżeli potężne Niemcy i wzrastające w potęgę Włochy wydały ustawę przeciwko subwencyonowanej emigracyi, tem bardziej winna to uczynić Austrya, a w jej granicach nasza reprezentacya winna najgłośniej tego się domagać. Czy atoli można to uczynić, nie

znając ani ustaw subwencyonujących emigracyę w Brazylii, Argentynie i Kanadzie, ani tajnych układów, które wprawdzie w dziennikach praw państwa nie są uwidocznione, ale które konsulowie austro-węgierscy w Ameryce znają lub znać powinni, a o których wiadomość ministerstwo spraw zagranicznych winno ogłosić drukiem i przedłożyć delegacyom wspólnym?

Ponadto ileż dalszych kwestyi pozostaje do zbadania: pomieszczenie emigrantów w porcie przed odejściem okrętu, stosunki w rozmaitych schroniskach i przytułkach, które — wstyd powiedzieć — najlepsze są jeszcze w Niemczech, ilość dni pracy straconych podczas podróży morskiej z rozmaitych portów aż do portu wylądowania, rodzaj pożywienia i ilość światła i powietrza w międzypokładzie, obchodzenie się z pasażerami ze strony personalu okrętowego! A tego wszystkiego nikt nie zbadał i nie zestawił, podobnie jak przejść emigranta w stacyach kontrolnych i zbiorowych w Niemczech, prawdziwych więzieniach, jak niemniej całości ustawodawstwa imigracyjnego i kolonizacyjnego w różnych państwach Ameryki, jakoteż wykonywania tych ustaw w praktyce, na które konsulowie nasi, zbyt zajęci sprawami handlowemi, zanadto mało i przygodnie tylko, z wyjątkiem Brazylii, zwracają uwagi.

Wreszcie położenie setek tysięcy robotników sezonowych [1], szalony wyzysk agentów, pośredników i przodowników, nieusprawiedliwione wytrącania z płac, zatrzymywanie kosztów podróży powrotnej, brutalne obchodzenie się z robotnikami, znane tylko z poszczególnych i luźnych sprawozdań! W państwie niemieckiem prowadzi się statystykę robotników sezonowych ze zwyczajną gruntownością i skrupulatnością, ale się jej z łatwo zrozumiałych przyczyn nie ogłasza drukiem. O austryackiej statystyce robotników sezonowych zupełnie niema mowy.

Jasnem jest, że wszystkie te informacye, jeżeli nie mają być tylko przygodne i polegać na mniej lub więcej dokładnych spostrzeżeniach jednostek, pociągają za sobą bardzo znaczne koszta

[1] Por. Caro: »Nasi robotnicy sezonowi« *Przegląd powszechny* luty 1908. *Unsere Abwanderer* w *Österreichische Rundschau* 1 marca, 1908.

zebrane, być mogą zaledwie przez duży sztab urzędników, a opracowane być winne przez naczelny urząd emigracyjny tak, jak to ma miejsce w Niemczech, Włoszech i Szwajcaryi. Póki tego niema, oczywiście panuje słabe zainteresowanie, a nawet obojętność ogółu, a skutek tego jest ten, że sfery interesowane, pilnujące swoich »tajemnic kupieckich«[1] z wielką troskliwością i znajdujące za granicą u rządów swoich zawsze pożądane poparcie, z łatwością zaprzeczać mogą faktom, ogłaszanym przez poszczególnych badaczy, lub przedstawiać je jako możliwe wyjątki.

Niema dotąd w Austryi kontroli tych, którzy na emigrantach robią majątki, ożywionej wspólną myślą przewodnią, niema państwowego urzędu emigracyjnego, niema surowej ustawy ochronnej, niema wreszcie energicznego i świadomego celu wystąpienia wobec zagranicy i do tego wszystkiego dopóty nie przyjdzie, póki potęga faktów zebranych, jak dotychczas tylko przez osoby prywatne, nie wymusi zasadniczej poprawy istniejących opłakanych stosunków.

Nie będę więc mówił o korzystnych skutkach emigracyi w kierunku materyalnym, a może i moralnym, które istnieją niewątpliwie. W razie bowiem usunięcia wytkniętych niedomagań, korzystne te skutki istniałyby w większym jeszcze stopniu, a w każdym razie wytknięte braki tych zbawiennych skutków nie powodują, a przeto na ich obronę przytoczone być nie mogą. Kto, jak to czynią stale sfery interesowane (agenci, towarzystwa okrętowe i t. d.) podnosi i korzystne skutki emigracyi, przesuwa rozmyślnie dyskusyę celem opóźnienia zmian i reform dla siebie niepożądanych. A zresztą sumy odsyłanych do ojczyzny pieniędzy, jakoteż liczba powracających do ojczyzny nie jest dotąd znana i polega tylko na mniej lub więcej prawdopodobnych przypuszczeniach. Jeżeli się liczy sumy, jakie z Ameryki przychodzą pocztą, a nie liczy sum przysłanych za pośrednictwem banków, z drugiej zaś strony nie potrąca się sum, które emigrant wywozi

[1] W Hamburgu pewien Rusin, słuchacz praw, W. B., delegat *Narodne Rady*, który pragnął informować się o losie wychodźców, został na żądanie *Hamburg-Amerika Linie* za rzekome wnikanie w jej tajemnice kupieckie aresztowany! (*Dziennik Chicagowski* z 11 stycznia 1905).

z kraju po sprzedaniu swego gospodarstwa lub w inny sposób uzyskanych, ani też sum przysyłanych z zagranicy, a przeznaczonych na koszta wyjazdu dalszych członków rodziny, a przeto do aktywów bilansu krajowego nie należących, to oczywiście przechwałki na temat trwałej poprawy stosunków gospodarczych w kraju dzięki olbrzymim sumom z Ameryki nadeszłym, spotkać się muszą conajmniej z rezerwą, na jaką wszelki dyletantyzm zasługuje.

I liczba powracających jest zupełnie nieznana. Jedni na podstawie informacyi w jednym jedynym porcie i w czasie przybycia jednego okrętu twierdzili, że wraca Polaków około 80%, drudzy bardziej do prawdy zbliżeni przypuszczali 30%. Omówiłem te hipotezy i brak wszelkiej wartości naukowej tychże w rozprawie p. t. »Statystyka polskiej i austro-węgierskiej emigracyi do Stanów Zjednoczonych«, ogłoszonej drukiem w *Czasopismie prawniczem i ekonomicznem* za rok 1907 [1]. O ile emigrantowi powracającemu przybywa niewątpliwie energii, wykształcenia, wytrwałości i znajomości intenzywnej pracy, o tyle z drugiej strony trzeba wziąć pod rozwagę utracone zdrowie i częste wynarodowienie, jako objaw ujemny. Gdzie jest ta waga socyalna tak delikatna i tak wrażliwa, iżby potrafiła doniosłość dodatnich objawów z ujemnymi zestawić i nadwyżkę jednych nad drugimi sprawiedliwie wykazać?

Na pytanie, czy emigracya jest w ogólności korzystnem lub niekorzystnem zjawiskiem społecznem, trudno tedy odpowiedzieć stanowczo, a to tem mniej, iż dotąd owe wszystkie okoliczności, o których wyżej była mowa, nie zostały zbadane, a oczywiście bez ich dokładnej znajomości sąd stanowczy, choćby czasowo i miejscowo ograniczony, nie może być wydany. Tak więc z natury rzeczy jednostka, choćby lata całe poświęciła sprawie emigracyjnej, poprzestać musi na skromniejszem zadaniu i ograniczyć się jedynie do wykazania niedostatków, których usunięcia pragnie, pozostawiając przyszłości wyczerpującą odpowiedź na owo pytanie.

[1] Oraz w osobnej odbitce, tosamo po niemiecku w *Zeitschrift für Volkswirtschaft Socialpolitik und Verwaltung*, styczeń 1907, a jeszcze obszerniej w toku dyskusyi o sprawie emigracyjnej na zjeździe prawników i ekonomistów polskich we wrześniu 1906 r.

II. Przyczyny emigracyi w Galicyi [1].

Główną przyczynę smutnego położenia materyalnego ludności włościańskiej w Galicyi, a tem samem i chęci emigracyi zamorskiej i sezonowej, stanowi może w pierwszym rzędzie brak elementarnej oświaty. W latach pięćdziesiątych do siedmdziesiątych zeszłego stulecia oświata początkowa stała w Niemczech równie nizko, jak obecnie u nas. Wówczas też tam było żniwo dla agentów emigracyjnych, podobnie jak jest u nas obecnie. Z człowiekiem ciemnym najłatwiej sobie wszelki agent poradzi, najwięcej bajek może mu o zamorskich krajach opowiedzieć, najłatwiej staje się mu nieodzownym, do czego przyczynia się jeszcze okoliczność, że język polski i ruski nie ułatwia mu w tym stopniu, jak niemiecki emigrantom niemieckim, porozumienia się w obcym kraju. Analfabeta łatwiej też ulega namiętnościom, dopuszcza się aktów gwałtu, a wtedy ucieczka i emigracya pozostaje czasem ostatnią deską ratunku, łatwiej wpada w lichwiarskie sieci bankierów wiejskich, pokątnych zakładów zastawniczych po wsiach i lichwiarskich kas zaliczkowych, gorzej gospodaruje, a skutkiem tego ma mniej dochodu i dalszą do wychodźtwa podnietę.

Wedle spisu ludności z 31 grudnia 1900 w Galicyi było jeszcze 52% analfabetów płci męskiej, 59.99% analfabetów płci żeńskiej, ponad 6 lat liczących. Porównując te cyfry z tem, co było dawniej w Galicyi, albo też z tem, co wykazuje statystyka Królestwa, jest to niewątpliwy postęp; zestawiając natomiast owe daty z cyframi innych krajów europejskich, prócz oczywiście Rosyi, analogiczne stosunki znajdziemy chyba w południowych

[1] Źródła: Caro: *Der Wucher*. (Duncker & Humblot). Lipsk 1893. Tego samego: »Studya społeczne«, Kraków 1906 (16 rozpraw socyalno-politycznych, dotyczących głównie małej własności w Galicyi), — Rozwadowski: »Ruskie bezrobocie w Galicyi wschodniej«. — Grabski: »W kwestyi parcelacyi«. 1904 i referat na czwartym kongresie polskich prawników i ekonomistów 1906. (*Czasopismo prawnicze i ekonomiczne* 1906). — Pazdro: »Strejki rolne w Galicyi wschodniej« 1905. Lassoty: »Strejki rolne w Galicyi wschodniej«. — Krzyżanowski: »Studya agrarne«. Kraków 1900. — Fr. Bujak: »Limanowa, Żmiąca, Maszkienice«, (monografie wsi galicyjskich). Galicya, t. I, (1908). — Zofia Daszyńska — Golińska: »Ujście Solne«.

Włoszech i w Sycylii, gdzie atoli skutkiem bogactwa kraju, celowej kolonizacyi Argentyny i innych przyczyn, stosunki oświatowe i materyalne poprawiają się w o wiele szybszem tempie, niż u nas.

Drugą przyczynę zubożenia ludności wiejskiej w Galicyi stanowi panujący dotąd jeszcze nie tylko w Galicyi wschodniej i na Bukowinie, ale także i u nas wśród Mazurów, alkoholizm. Za przekroczenie ustawy o pijaństwie w samej Galicyi bez Bukowiny między r. 1890 a 1901 zasądzono 219.837 ludzi, a więc przeciętnie w roku 18.319 ludzi; za dalsze lata daty statystyczne nie są ogłoszone, a ustawa o pijaństwie nie karze oczywiście każdego pijanego, każdego, kto grosz ciężko zapracowany z uszczerbkiem własnym i swej rodziny marnuje, skracając sobie przytem życie i podkopując siły do pracy, oznacza karę dopiero wtedy, gdy kto w miejscu publicznem, np. w gospodach lub szynkowniach lub na gościńcu w stanie widocznego, wywołującego zgorszenie upicia się znajduje, tudzież w takich miejscach drugiego rozmyślnie rozpaja, niemniej przeciwko tym szynkarzom i właścicielom gospód, którzy gościom już pijanym, lub poza wypadkiem istotnej potrzeby, widocznie niedorosłym, przybywającym bez towarzystwa osób starszych, napoje wyskokowe wydają lub wydawać pozwalają.

Liczba licytacyi publicznych wynosi dotąd w Galicyi 2500 do 3000 rocznie, połowa zaś licytacyi tych odbywa się z powodu niezapłacenia kwot poniżej 200 K. To chyba nie świadczy korzystnie o stosunkach gospodarczych ludności galicyjskiej.

Pieniactwo ludności wiejskiej w Galicyi, podtrzymywane przez całe zastępy ciemnych egzystencyi, bardzo niekorzystnie odróżnia się od innych krajów koronnych i dalszą stanowi przyczynę smutnego losu materyalnego ludności. Ilość procesów drobiazgowych (do 100 K) wynosiła w Galicyi w latach 1890—1891 w przecięciu 466.815, w bogatych Czechach 138.356, w Niższej Austryi wraz z Wiedniem 128.846; w roku 1902 wynosiły dotyczące cyfry: 523.381, 106.616, 117.511; w r. 1903: 555.872, 104.252, 119.119. Wogóle w innych krajach koronnych z wyjątkiem Bukowiny i Dalmacyi stosunki się poprawiają, w Galicyi

w kierunku pieniactwa się pogarszają. Na 10.000 mieszkańców wypada procesów drobiazgowych:

	1901	1902	1903	1904
w Galicyi	632	646	685	721
w Niższ. Austr. z Wiedniem.	357	357	365	366
w Czechach	158	155	162	158

Procesów o naruszenie posiadania było:

	1895/97	1898/1900	1902	1903
	w przecięciu rocznie			
w Galicyi	19,386	18,620	19,215	19,072
w Czechach	2,017	1,965	1,981	1,764

Na każdych 10.000 mieszkańców było przeto podobnych procesów w Galicyi 25—26, w innych krajach koronnych 2—5.

W innych rodzajach procesów wykazuje również Galicya ogromnie wysokie cyfry i to zarówno absolutnie, jak w stosunku do liczby ludności. Rozdrobnienie gruntów postępuje tak daleko, że w okolicach Krakowa niektóre parcele są tak małe, że na mapie katastralnej w proporcyi 1 : 2880 nie dadzą się nawet ich granice oznaczyć (Trzciński: *Russisch-polnische u. galizische Wanderarbeiter.* Stuttgart 1906). Chłopu często brak lasu i pastwiska. Prowadzi gospodarstwo prymitywne, choćby i potrafił prowadzić lepsze, własność jego bowiem nie jest skomasowana, a długie, wązkie zagony nie pozwalają na racyonalną gospodarkę. W tych warunkach tylko brak potrzeb kulturalnych, który tak długo przetrwał na polskich ziemiach w sferach włościańskich i nader skromne wymogi życiowe, umożliwiły znaczny przyrost ludności. Podczas, gdy jeszcze w r. 1890 na 1 km² wypadało 84 mieszkańców, już w r. 1900 było ich 93·2. Sposobność do zarobku wewnątrz kraju, jest istotnie tylko w majątkach większych i średnich, oprócz niewielu fabryk i to nie na stałe lub na czas dłuższy, lecz po największej części tylko podczas żniw i zbioru ziemniaków. Od czasu wzmożenia się emigracyi płaca i w Galicyi znacznie wzrosła i daleko już do tych płac, o których np. starostwo trembowelskie wspomina w r. 1896 w relacyi do Namiestnictwa (8, 10, 12, a najwięcej 15 do 20 ct. dziennie), dorównuje ona dziś wynagrodzeniu, płaconemu zagranicą, a tu i ówdzie je nawet przewyższa. Mimo to krótszy okres czasu, braz liczne

święta, wywołują skutek finansowo niekorzystny dla robotnika w kraju pracującego.

W tej kwestyi pisze prezes Wydziału krajowego Dr. Pilat: »Robotnicy w Niemczech mają pewność zarobku od wiosny do późnej jesieni bez przerwy, podczas gdy u nas tylko na większych dobrach znajdują stałe zatrudnienie, na innych tylko czasowe lub na czas pilnych robót polnych. Poza tym okresem nadzieja osiągnięcia pracy jest minimalną« [1]. Winę tych fatalnych i korzystny rozwój rolnictwa, tamujących stosunków ponosi w pierwszym rzędzie brak intenzywnego zagospodarowania ziemi, co jedynie mogłoby wywołać stałe zatrudnienie robotnika; następnie w Galicyi wschodniej podwójny kalendarz, wedle którego obchodzi się święta zarówno rzymsko-katolickie, jak i grecko-katolickie, wreszcie także liczne święta kościelne, które w innych krajach jak np. we Francyi, w katolickich prowincyach Niemiec, za zezwoleniem Stolicy Apostolskiej przeniesione już zostały na najbliższą niedzielę.

Sumy oszczędzone zagranicą obraca chłop galicyjski po powrocie w największej części na zakupno ziemi. Skutkiem ogromnego popytu, ceny ziemi wzrosły też w Galicyi niesłychanie. Dopóki emigracya w podobnych rozmiarach potrwa i emigranci wracać będą do domu z oszczędzonym groszem, nie należy oczekiwać spadku cen ziemi. Ten głód ziemi chłopa, upierającego się w chwili nabycia gruntu chętnie przy wsi rodzinnej, lub najbliższem sąsiedztwie, a nawet wracającego kilkakrotnie zagranicę bądź dla spłacenia reszty ceny kupna, bądź dla umorzenia długów na ziemi ciążących, wyzyskują na równi obywatele w złych stosunkach będący, zawodowi spekulanci parcelacyjni i spekulacyjne banki. Osiągnięta cena stanowi nagi rezultat podaży, ograniczonej przywiązaniem chłopa do kawałka ziemi ojczystej, oraz bardzo silnego popytu i przenosi bardzo znacznie istotną wartość obliczoną na zasadzie dochodu. W ten sposób przedsiębiorca parcelacyjny bez własnej zasługi staje się niejednokrotnie uczestnikiem

[1] *Über die Mittel zur Abhilfe gegen den Mangel an Arbeitern un Dienstboten in der Landwirtschaft.* 1900.

ciężko zarobionej przez naszego chłopa zagranicą płacy robotniczej. W miejsce dawnych pańszczyźnianych stosunków, nastały nowe, a nadwyżka ceny kupna nad prawdziwą wartość, odpowiadającą dochodowi z niej, stanowi dziesięcinę rezultatu najemnej pracy roboczej, jaką nasz rolnik składa w dani przedsiębiorcy parcelacyjnemu.

O przyczynach emigracyi na Bukowinie i niektórych okolicach Czech pisałem w rozprawie: *Unsere überseeischen Auswanderer und die Enquete vom Jahre 1905* [1], tu je więc, jako mniej doniosłe pomijam.

III. Agenci i Towarzystwa okrętowe [2].

Pierwsze wiarygodne źródło o postępowaniu agentów emigracyjnych stanowią akta sądowe sławnego procesu wadowickiego, przeprowadzonego w latach 1889 i 1890. Proces ten rzuca światło na nader charakterystyczne sposoby wyzysku emigrantów. W Oświęcimiu miało wówczas agencyę hamburskie towarzystwo Hamburg-Amerika-Linie, albo, jak urzędowy jego tytuł opiewa, Hamburg-Amerika-Paketfahrt-Actiengesellschaft (od początkowych liter tych wyrazów pochodzi skrócona nazwa: Hapag). Towarzystwo to w Oświęcimiu robiło doskonałe interesy, a agencya w Oświęcimiu była niezmiernie ruchliwą. Zdołano wówczas w czasie przeszło jednego roku przeprowadzić tamtędy 12.406 osób; urzędnicy i portyerzy kolejowi, konduktorowie, strażnicy skarbowi, żandarmi i urzędnicy cłowi pobierali tajny żołd z potężnej agencyi, płacony z całą regularnością miesięcznie i oczywiście za to starali się służyć agencyi na każdym kroku. Podróżnym, pozyskanym przez naganiaczy agencyi, nie pozwalano przed Oświęcimem wy-

[1] *Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik und Verwaltung*, listopad 1907.

[2] Źródła: Akta procesów przeciw agentom przeprowadzonych, akta c. k. Ministerstwa spraw wewnętrznych, prezydyum c. k. Namiestnictwa we Lwowie i Wydziału Krajowego, oraz odpowiedzi na ułożony przezemnie i rozesłany za pośrednictwem austryackiego Towarzystwa św. Rafała kwestyonarz.

siadać. Kto nie chciał zaopatrzyć się w bilet w agencyi, temu grożono aresztowaniem, albo aresztowano go naprawdę. Kto chciał pojechać inną drogą, a nie przez Oświęcim, tego aresztowano również i traktowano, jako zbiega wojskowego. Konduktorowie kolejowi objaśniali włościan, że agencya w Oświęcimiu ma wyłączny przywilej sprzedawania kart okrętowych do Ameryki [1]. Kto był już w posiadania biletu okrętowego, nabytego w innej agencyi, tego aresztowano, podróżni bilet zakupiony tracili i musieli nowy zakupywać. Kto nie miał pieniędzy, temu kazano telegrafować do domu. Gdy pieniądze nie nadchodziły, aresztowano go i oddawano sądowi karnemu, jako zbiega wojskowego, co pociągało za sobą oczywiście śledztwa przeciwko agentom innych towarzystw. W ten sposób tłumiono wszelką konkurencyę. W lokalu agencyi przybity był wielki blaszany orzeł cesarski, wisiał tam także obraz cesarza, oczywiście celem wywołania wrażenia, że chłopi znajdują się w cesarskim urzędzie. Wzywano wychodźcę wyniosłym tonem urzędowym, przejętym z naszych władz galicyjskich, do przedkładania dokumentów podróżnych i legitymacyi, jakoteż do okazania pieniędzy, jakie ma przy sobie. Posłuszniejsi wydobywali wtedy pieniądze z butów, płaszczy, futer, czapek i t. d., upartszych poddawano rewizyi osobistej. Cena kart okrętowych była rozmaita. Obowiązani do służby wojskowej płacili często podwójną taksę, niekiedy anonsy, reklamy i karty adresowe bez wartości sprzedawano im za to jako bilety okrętowe. Przy wejściu do biura agencyi podczas sprzedaży biletów zawsze jeden człowiek pilnował wejścia, by osób niepowołanych nie wpuścić. Przy przeliczaniu pieniędzy, potrzebnych na bilet okrętowy z waluty austryackiej na marki i dolary, zdzierano włościan niemiłosiernie. To samo przy efektywnej zmianie pozostałej gotówki na zagraniczną monetę, o ile wychodźcy cokolwiek zostawiano. Gdy okazywał nieufność i nie chciał płacić wyższej ceny w agencyi, odpowiadano mu, że tu niema oszustwa, tutaj jest kancelarya Jego Cesarskiej Mości, że liczy się mu ściśle wedle taksy. Na

[1] Jest to sposób, którym wedle twierdzenia jednego z ekspertów na wiedeńskiej ankiecie emigracyjnej z r. 1905 i obecnie niektórzy agenci się posługują.

dowód wskazywano na jednego ze wspólników, mniemanego starostę. Nie wiadomo, czy był nim rzeczywisty starosta bialski, faktem atoli jest, że prawdziwy starosta Foedrich tę bandę oszustów protegował. Gdy groźby nie skutkowały »starosta«, prawdziwy, czy przebrany lub kierownik urzędu policzkował chłopów, groził im aresztowaniem lub wydaniem żandarmeryi celem odszupasowania do wsi rodzinnej, a w końcu zarządzał zamykanie ich do chlewów, »póki się nie namyślą«. Ten środek zawsze miał skutek niezawodny. Chłop bowiem, wierząc na podstawie fałszywych informacyi agentów, że wszelka emigracya wogóle jest ustawą wzbroniona, bał się kary, często znajdował się w wieku popisowym, po sprzedaży gruntu nie miał już nic absolutnie w domu do czynienia, a zresztą widział na własne oczy codziennie, że upartych aresztowano, wydawano władzy i odsyłano do domów.

Ze skruszonym grzesznikiem można było wtedy już wszystko uczynić, co się podobało. »Dyrektor okrętu«, Abraham Izrael Landerer nakręcał budzik i w ten sposób zapytywał w Hamburgu, czy jeszcze jest miejsce na okręcie. Po jakiejś chwili znowu budzik nakręcano i przyjmowano odpowiedź. Za to porozumienie, funkcyonujące o wiele szybciej niż drut telegraficzny policzano osobno tylko 4 – 6 złr. Za pośrednictwem budzika zapytywano i w Ameryce, czy są jeszcze grunta wolne dla wychodźcy. Wreszcie szło tą samą drogą zapytanie i do »cesarza amerykańskiego«, od którego zależała ostateczna decyzya, czy chce przyjąć owych poddanych. Po nabyciu biletu, zabezpieczeniu miejsca na okręcie, gruntu w Ameryce, oraz po pozyskaniu samego cesarza amerykańskiego, rozpoczynał się asenterunek. Udający lekarza spólnik przedsiębiorstwa orzekał niejednokrotnie po bardzo gruntownem obejrzeniu, że emigrant nie nadaje się i przyjętym być nie może. Wówczas po cichu radzono strapionemu wychodźcy, by wzorem galicyjskim z lat dawnych, praktykowanym przy asenterunkach, wsunął coś w rękę »pana konsyliarza«. Ponieważ obok panów Herza i Klausnera, głównych agentów spółki musiał zarobić i trzeci spólnik p. Löwenberg, więc tłumaczono chłopu, że w Ameryce w siermiędze chodzić nie wolno i że musi sobie kupić w sklepie Löwenberga miejskie ubranie. Spłukany w tak przemyślny sposób

wychodźca dostawał się do Hamburga, gdzie za nocleg z wiktem i blaszane naczynie płacił 10—13 marek. Kto tych sum płacić nie był w stanie, spędzał kilka nocy, aż do odpłynięcia okrętu pod gołem niebem.

Mimo wprost zatrważających wyników tego procesu, nauki jego poszły szybko w zapomnienie. Nie zrozumiano żywiołowej strony ruchu wychodźczego, którym zawładnąć usiłowano zapomocą małych środków. Więc wychodźcom odmawiano wydania paszportów lub orzekano, że nie wystarcza paszport, lecz muszą uzyskać zwolnienie z poddaństwa. Od czasu do czasu liczne zastępy wychodźców chwytano na granicach państwa i przymusowo odstawiano do domów. Szybko jednak znaleźli na to radę agenci. Jeden z pierwszych, Silvio Nodari, osławiony agent emigracyjny z Udine, udzielał wychodźcom na cienkich skrawkach papieru, rozsyłanych wraz z prospektami rady, by jechali przez Węgry, tam bowiem władze nie żądają paszportów, póki zaś bawią w granicach austryackich, by jako cel podróży podawali Rzym. Słoweńcom radzono wysiadanie w Nabresina przed Tryestem, kupowanie biletów do Sagrady, stamtąd spacer pieszo do Palma nuovo, tam zaś dopiero nabycie biletu kolejowego do Udine. Mieszkańcy powiatów Bischoflack i Idria otrzymali wskazówki podróży przez Huda južna, Podmalec albo Kirchheim do Tolmein, stamtąd do Karfreit, stąd zaś dopiero pocztą lub piechotą do Cividale we Włoszech. Kto jako cel podróży podawał Rzym, otrzymywał dalszą jeszcze wskazówkę, by mówił, że jedzie zobaczyć Ojca św., lub odwiedzić brata księdza. Ponieważ zaś wówczas w Tryeście służył pułk galicyjski, więc i tę wymówkę Nodari zalecał, że wychodźca jedzie odwiedzić brata, służącego przy wojsku w Tryeście. Agent B. Karlsberg w Hamburgu niemniej był pomysłowy. Wskazywał on polskim i ruskim wychodźcom drogę przez Stanisławów, Stryj, Żywiec, Bielsko, Cieszyn, Frydek, Mistek i Opawę. Na zapytanie należało odpowiedzieć, że jedzie się na robotę do Czech; w Opawie należało kupić bilet do Raciborza, tam zaś dopiero po stronie pruskiej bilet do Hamburga. Inną rutę zaleca agent N. Morawetz w Hamburgu. Pisze on do jednego z wychodźców galicyjskich: »Kup Pan sobie czarny surdut, abyś wyglądał jak szlach-

cić i nie jedź Pan prosto do mnie, ale przez Kraków, Przerów, Pragę i Magdeburg. Bilety kolejowe kupuj Pan tylko na mniejsze przestrzenie, a do Przerowa bilet pospiesznym pociągiem. Dopiero z Magdeburga możesz Pan jechać IV-tą klasą; gdy się spytają przed Krakowem, dokąd Pan jedzie, podawaj Kraków, za Krakowem powiedz Pan, że jedziesz dla zarobku do Pragi, minąwszy Pragę możesz Pan śmiało jechać i w ten sposób nie potrzebujesz całkiem paszportu«. Mimo to rząd nie czyni przeszkód tym panom w ich nieuczciwem werbowaniu wychodźców, jakkolwiek przez podobne wskazówki dopuszczają się przekroczenia ustawy, każdy zaś dziennik, zamieszczający ich anonse staje się poniekąd współwinnym tego przekroczenia. Wdrożenie odpowiednich dochodzeń karnych przeciwko Karlsbergowi i Morawetzowi doprowadziłoby do ich zasądzenia choćby *in contumaciam*, a ogłoszenie wyroków odnośnych może skłoniłoby pisma galicyjskie do nieumieszczania nadal anonsów tych panów. Stosunki bowiem i dzisiaj nie uległy zmianie na lepsze. Z Budziszyna (Budweis) w Czechach otrzymuję wiadomość, że robotnik chcący emigrować zgłasza się tam po książkę robotniczą lub legitymacyę do starostwa, podając, że tylko czasowo udaje się na robotę do Prus, przyczem podaje zmyślony adres, o ile jest wojskowym i chodzi tylko o uchylenie się od ćwiczeń na przyszłość; jeżeli pragnie uchylić się od służby wojskowej, w takim razie jedzie prosto, aż do granicy, tam przejdzie piechotą, a od najbliższej stacyi w Niemczech jedzie już oczywiście bez przeszkód aż do portu. Nikt się o to nie troszczy, niema bowiem w Austryi żadnych stacyi kontrolnych i żadnej statystyki emigrantów, a ponieważ rząd austryacki nie upomina się energicznie o swoje prawa, więc też towarzystwa okrętowe, które zarabiają miliony na austryackich wychodźcach, nie żądają od nich ani paszportu, ani też świadectwa zwolnienia ze służby wojskowej, poprzestając jedynie na metryce chrztu.

(Dok. nast.).

Dr. Leopold Caro.

OSTATNI DZIEŃ FLAWIUSZÓW [1].

Z papierów pośmiertnych ks. Maryana Morawskiego T. J.

OSOBY:

FLAVIUS DOMICYAN, cesarz.
FLAVIUS KLEMENS, konsul, krewny cezara.
SABINUS, LUCYUSZ, } synowie Klemensa.
NERWA, senator, (następca Domicyana na Cesarstwie).
STEFANUS, wyzwoleniec Domicyana.
FAUSTULUS, syn Stefana, dwunastoletni.
ELIMAS, czarnoksiężnik.
WINDEKS, trybun Pretoryanów.
NEREUS, ACHILLES, } słudzy Klemensa.
CYMBER, centurion gwardyi Domicyana.
SENATOROWIE, ŻOŁNIERZE, LIKTORZY.

Scena się odbywa w Rzymie, roku 96 po Chr.

(Wszystkie osoby są historyczne, prócz Faustulusa, Elimasa, Windeksa i Cymbra).

---

[1] W papierach pośmiertnych ks. Morawskiego znalazła się pięcioaktowa tragedya pod powyższym tytułem. Rzecz pisana w latach młodszych. Podajemy kilka pierwszych scen z aktu pierwszego i cały akt piąty, które dają dość dobre pojęcie i o treści tragedyi i o rodzaju twórczości.

Redakcya.

AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia Triclinium w pałacu Nerwy — jest noc — kagańce palą się na trójnogach; w głębi okno, za którem widać gwiaździste niebo z konstellacyami Strzelca, Skorpiona i Wagi. — Z początku aktu okno zasłonięte kotarą. — Nerwa siedzi na łożu, Elimas przy nim stoi.

SCENA I.

NERWA, ELIMAS.

NERWA. Oszukałeś mię, wróżbiarzu. Od roku prawisz mi o tronie cesarskim; tymczasem Flawiusze nie tylko siedzą na tym tronie, ale umocnili się na nim na długie lata.

ELIMAS. Dnia, w którym się spełnią wyrocznie dotąd nie zapowiedziałem.

NERWA. Ale tego dnia nigdy nie doczekam. Jutro Domicyan przybiera za synów i purpurą cezarów obdarza dwóch synów kuzyna swego Klemensa, i Rzym niewolniczo powita nowych panów.

ELIMAS *(ironicznie)*. I otóż stworzona dynastya Flawiuszów... Wiem o tem wszystkiem zacny Nerwo.

NERWA. Ha Flawiusze! Znałem ja Flawiusza Wespazyana jak był prostym centurionem w legii Retyckiej; ojciec jego handlował mułami; a dziś ten ród dorobkiewiczów trzęsie światem: już trzech cesarzów dał Rzymowi; a teraz, gdyśmy się spodziewali, że wygaśnie z Domicyanem, oto odradza się w tych dwóch niedorostkach. Hytry Domicyan tym jednym zamachem zaciera 15 lat zbrodni, kwituje przeszłość i oraz przyszłość swemu rodowi zapewnia.

ELIMAS. Co w gwiazdach wypisano, to się spełnić musi.

NERWA. Na Jowisza! daj mi pokój z twemi gwiazdami. Nie chcę być cesarzem i nigdy o tem nie marzyłem. To nie na moje lata puszczać się na taką harcówkę z losami. Mam wciąż na myśli okropne skony Nerona, Galby, Otona i Witeliusza, na które własnemi oczyma patrzyłem. Tytusa jedynego z tylu mi znanych cesarzów, co na jakiś zasługiwał szacunek, ten nikczemnik brato-

bójca skrycie trucizną zgładził. — Nie chcę i nigdy nie chciałem być cesarzem! — tyś mnie tylko kusił Elimasie.

ELIMAS. Elimas tylko opowiadał nieodmienne przeznaczenie. Ono dotąd ognistemi zgłoskami iskrzy się na niebie. Teraz właśnie zbliża się północ. Znak Skorpiona jest po tej stronie. Patrz! *(odsłania kotarę z okna i pokazuje niebo. Nerwa się zbliża).* Widzisz tych ośm gwiazd, składających linię krzywą? to ogon Skorpiona. Nieco wyżej, na prawo, w samym środku Skorpiona, widzisz główną gwiazdę Antares? to gwiazda cezarów.

NERWA. Jak się iskrzy rudem światłem, jak żelazo w ogniu!

ELIMAS. Patrz dalej: po prawej stronie Antaresa, widzisz cztery jasne gwiazdy w kwadracie? to Waga. A po lewej stronie w tej samej mniej więcej odległości widzisz pięć gwiazd, trzy w linii poziomej, a dwie nieco wyżej i kilka mniejszych?

NERWA. Widzę. Co to za konstellacya?

ELIMAS. To Łucznik.

NERWA *(z przerażeniem).* Na Jowisza! Łucznik tak blizko gwiazdy cezarów...

ELIMAS. Rozumiesz, Nerwo? Gwiazda cezarów jest między Szalą a Łucznikiem. Za Augusta promieniła się ku Szali, potem ku Łucznikowi. Temu lat 27, zwróciła się znowu ku Szali.

NERWA. Temu lat 27? to był właśnie początek rządów Wespazyana.

ELIMAS. Teraz, od 15 lat, znowu iskrzy się w stronę Strzelca; ale tej nocy widzę, że się zwraca ku Wadze.

NERWA. Co to wszystko znaczy?

ELIMAS. Taki jest los waszego państwa. Zawsze musicie mieć panów podług jednego z tych dwóch wzorów: Augusta albo Nerona. Wszelako więcej Neronów.

NERWA. A ten ogon Skorpiona?

ELIMAS. Patrz, ten ogon niby wychodzi z gwiazdy Antaresa, lecz żądłem zwraca się ku niej.

NERWA. Cóż to znowu znaczy?

ELIMAS. To także fatalistyczne prawo cezaryzmu. Każdy cesarz musi mieć takie gwiazdy, które sam stworzył, a które się przeciwko niemu zwracają, skrycie i z jadem, jak ogon Skorpiona.

NERWA *(z przestrachem)*. Już dosyć! spuść kotarę.

ELIMAS. Jeszcześ swego horoskopu nie widział. To na co patrzysz, te jawne, nieruchome gwiazdy, w których każdy początkujący w wielkiej sztuce czytać potrafi. Ale teraz odsłonię ci tajemnicę mistrzów. Rękę połóż na piersi, a oko wlep w niebo, w pobliżu Antaresa.

NERWA *(z trwogą)*. I cóż?

ELIMAS. I uważasz która gwiazda migoce w takt z biciem twego serca. Tylko jedna taka być może.

NERWA. Na bogi! wszystko mi się miesza; pulsu swego nie czuję.

ELIMAS. To ja ci pokażę, *(kładzie mu rękę na piersiach)* — *(chwila milczenia)*. Widzisz tę małą gwiazdkę tuż pod Antaresem?

NERWA. Nie widzę.

ELIMAS. Patrz uważnie i spokojnie.

NERWA. ...Chwilami... spostrzegam... taka nikła...

ELIMAS. To twoja gwiazda. Ona płynie ku gwiaździe Antaresa; już jej prawie dotyka. Jutro będzie świecić w jej promieniach.

NERWA. Jutro! na Jowisza! zimno mi się robi wkoło serca.

ELIMAS. Tak jest bądź zimnym, jak na cesarza przystoi.

NERWA *(wstaje)*. Elimasie, daj mi pokój. Zapomnijmy o wszystkiem. Jutro rano wyjeżdżam z Rzymu.

ELIMAS. Myślisz, że wyjechać możesz?

NERWA. Kto mi przeszkodzi?

ELIMAS. Przeznaczenie.

NERWA. Ja nie wierzę w twoich bogów.

ELIMAS. Ale wierzysz przynajmniej w moc cesarza. Wielu astrologów w tesame gwiazdy patrzy: od jakiegoś czasu różne pogłoski o tobie krążą. Domicyan już może o nich wie, albo lada dzień się dowie; a twój nagły wyjazd wszystko potwierdzi.

NERWA. Ale ja ucieknę!

ELIMAS *(szyderczo)*. Uciekniesz? dokąd? do wrogich Partów, czy do dzikich Kaledończyków? Kto, kiedy uciekł przed cezarem?

NERWA. Więc jestem związanym! niewolnikiem!

ELIMAS. Tak jest. Kto jest wybrańcem losów, jak ty, ten ma tylko dwie drogi przed sobą, panować albo ginąć!...

NERWA *(po milczeniu)*. Elimasie! ratuj mnie... Pokaż mi jeszcze horoskopy Domicyana i synów Klemensa.

ELIMAS. Gwiazdy Domicyana nie zobaczysz, bo jest obecnie utopiona w świetle Antaresa. Ale wierzaj mi, że jutro zgaśnie.

NERWA. A gwiazdy synów Klemensa?

ELIMAS. Wiem, że są po drugiej stronie *(pokazuje w lewo)*, w konstellacyi Ryby.

NERWA *(powtarza machinalnie)*. W konstellacyi Ryby?

ELIMAS. Ale napróżno szukałem ich przez kilka nocy; zawsze jakiś biały obłoczek mi zawadza. Patrz! znowu ten obłoczek.

NERWA. Widzę. Dziwny jego kształt; co to znaczy?

ELIMAS. Od lat 40 badam niezmierne niebo od końca do końca. Od 20 lat na wszystkie pytania o gwiazdach odpowiadałem bez wahania i bez pohyby. Ale na twoje pytanie, wyznam, że nie mam odpowiedzi. Pierwszy raz coś podobnego na niebie widzę.

NERWA. Elimasie! niepokoisz mię... Ktoś idzie – spuść kotarę.

SCENA II.

CIŻ SAMI I STEFANUS.

NERWA. Kto to wchodzi do moich komnat?

STEFANUS. Wyzwoleniec cesarza, Stefanus.

NERWA. Znam cię. Ale czegóż chce boski cesarz odemnie o takiej godzinie?

STEFANUS. Nie bój się czcigodny Nerwo. Z sypialni cesarza wychodzę, ale nie od niego wysłany.

NERWA. Pocóż więc przychodzisz?

STEFANUS. Przynoszę ci tabliczki Domicyana, na których zwykł kreślić swoje myśli dla pamięci. Wykradłem je z pod jego poduszki i tobie Nerwo przynoszę je w darze, licząc na twoją wdzięczność.

NERWA. Mnie to przynosisz! co mi do tego?

STEFANUS. Czytaj.

NERWA *(bierze i czyta)*. »Ukarać«... na Bogi! »Kassyusza... Rufusa...« *(siada — oddając tabliczki i zasłaniając się togą)*.

ELIMAS *(do Stefana)*. Czytajże!

STEFANUS. »Rufusa, Nerwę, obu prefektów, — Pliniusza, Parteniusza, Domicyę«. Zbrodniarz — własnej żony cnoty znieść nie może! widać, że jutrzejszym cezarom chcą złożyć hekatombę.

ELIMAS. Więc widzisz: śmierć, albo panowanie.

NERWA. *(po chwili odsłaniając się)*. Rzucona kostka... Stefanie, wiele żądasz za tę usługę?

STEFANUS. Żądam ci oddać drugą, jeszcze większą usługę.

NERWA. Jaką?

STEFANUS. Zgładzić potwora.

NERWA *(z przestrachem)*. Ty się na Domicyana targniesz? Nie wiesz jaka straż go otacza? Nie wiesz, że każdego wchodzącego od stóp do głów rewidują? że w jego pokojach po wszystkich ścianach wiszą lustra, żeby nawet za plecami swemi widział.

STEFANUS. Wiem o wszystkiem najlepiej, bo jestem pokojowym jego sługą. Ale już plan bitwy ułożyłem. Od kilku dni w pałacu rękę noszę na temblaku; i nikt nie wątpi, że mam rękę skaleczoną. Ale w tej samej ręce, pod tym temblakiem, jutro będzie sztylet. Wiem chwile, w których sam na sam bawi się zabijaniem much... Reszta już moją rzeczą. Wtedy dopiero, jak będziesz cesarzem, przyjdę do ciebie po nagrodę.

NERWA *(po namyśle)*. Pchacie mnie na straszne tory!

ELIMAS. Ale nie pohybne, jak przeznaczenie. Idź śmiało naprzód!

NERWA. Iść naprzód?... Nuż się nie uda!... A choćby się udało, to już Domicyan ma gotowych następców w synach Klemensa.

STEFANUS. I na to się znajdzie rada. Klemens ma wielu nieprzyjaciół. Przez cały rok, zamiast bawić Rzym, jako przystawało na konsula, sam się bawił filozofią; ani w teatrze, ani w świątyniach, ani na ucztach go nie widziano... Wierzaj mi Nerwo, Klemens nie jest wybrańcem fortuny.

NERWA. Wierzę, że tak sądzisz, bo inaczej przystałbyś do Klemensa.

ELIMAS *(budząc się z zadumy)*. Stefanie! w twoich słowach znalazłem klucz całej sprawy *(z naciskiem)*. Ja zrobię, że Domicyan, zanim zginie z twojej ręki, sam zniszczy własne swoje dzieło i wytępi swój ród.

NERWA. Czy ten wróżbiarz szaleje?

ELIMAS. Wszak masz Stefanie małego synka, co się zwykle bawi z synami Klemensa?

STEFANUS. To mój jedynak. Faustulus, dwunastoletni chłopczyk.

ELIMAS. Przyprowadź go tu natychmiast. Nie mamy czasu do stracenia.

STEFANUS. Nie rozumiem o co idzie, ale posłucham *(wychodzi)*.

SCENA III.

NERWA, ELIMAS.

NERWA. Co ty zamierzasz z tem dzieckiem?

ELIMAS. Powiedziałem, że zmuszę samego Domicyana do wymordowania reszty swego rodu — Klemensa i jego synów.

NERWA. Wytłumacz się, bo mówisz jak człowiek obrany z rozumu.

ELIMAS. Domyślam się, że Klemens i jego synowie są chrześcijanami.

NERWA. Chrześcijanami! a skąd ten domysł!?

ELIMAS. Postępowanie Klemensa, o którem co dopiero wspominał Stefan, na tę myśl mię naprowadza. Dziwi mię, żem od dawna na nią nie trafił.

NERWA. Ba! to domysł; a dowody? a świadkowie? Faustulus ich nie oskarży.

ELIMAS. Dziecko, to prawda w kryształowem naczyniu. Po kilku pytaniach będę wiedział o wszystkiem. A przed cesarzem świadków nie potrzeba. Dosyć podejrzenie rzucić; chrześcijanin się nie zaprze.

NERWA *(z uwagą)*. Rzecz bardzo wątpliwa. Ale choćby i tak było, czy myślisz, że Domicyan zechce ukarać swych przybranych synów? zniszczyć w jednym dniu najulubieńsze marzenie swego życia?

ELIMAS *(stanowczo)*. Myślę, że tak uczyni. Kiedy idzie o chrześcijan, każdy cesarz rzymski szaleje. Zresztą, poruszymy w tym celu wszelkie sprężyny... *(Zamyśla się)*. Ha! jutro! będzie to najświetniejszy dzień mego życia. Od najmłodszych lat dwie nienawiści, dwa węże żywię w mojem sercu. Byłem w pieczarach pod świątynią jerozolimską, kiedy Tytus świątynię palił; stałem po kostki we krwi izraelskiej, co z góry na mnie spływała; od tej chwili zaprzysiągłem zemstę Flawiuszom; i po to tylko przyszedłem do Rzymu i wczołgałem się do pałacu cezarów, aby tę zemstę wykonać. Będąc jeszcze małem dzieckiem, w Kafarnaum widziałem samego Jezusa i uciekłem przed jego błogosławieństwem; a od tej chwili nienawidzę Chrystusa i mszczę się nad jego chwalcami. W jutrzejszym dniu oba węże się nasycą, — ujrzę wytępienie rodu Flawiuszów i gniazdo chrześcijańskie, tak wysoko osadzone, własną ręką zgniotę!...

AKT PIĄTY.

Więzienie w pałacu cesarskim.

SCENA I.

SABINUS i LUCYUSZ.

LUCYUSZ *(przy oknie)*. Już się zmierzcha. Dzień prędko ucieka.

SABINUS. Ach, jak mi się ten dzień dłuży!

LUCYUSZ *(zbliżając się do niego, czule)*. Wciąż w tej samej walce zostajesz, bracie? Niech cię Bóg łaską swoją pocieszy.

SABINUS. Czego się spodziewasz, Lucyuszu.

LUCYUSZ. Nic smutnego, bracie!

SABINUS. Oh! wiem ja dobrze, co znaczy to więzienie pałacowe; tu wszyscy tyrani, od Tyberyusza począwszy, chowają

swoje ofiary, których nie śmią przed światem karać. Tu nikt nie dojrzy; tylko cesarz i kat; żadnego krzyku te mury nie przepuszczą; tu się umiera skrycie, służąc tylko za pastwę okrucieństwu cezara; tu nikt wśród walki nie powie słowa pociechy, nie doda odwagi i oko konające nie spotka oka przyjaźnego.

LUCYUSZ. Bracie kochany! oddal te smętne obrazy! nie jesteśmy sami; całe niebo na nas patrzy. Przez to kamienne sklepienie widzą nas nasi święci ojcowie, którzy nas uprzedzili w tryumfie. Patrz na nich oczyma wiary. Oto pokazują nam swoje palmy i wzywają nas do swej chwały! Chrystus już tak blizko. Wyciąga ku nam ramiona... Sabinie, czy to znaczy umrzeć?...

SABINUS. Umrzeć! ach! życie tak pięknie się zapowiadało!

LUCYUSZ *(z wyrzutem)*. Sabinie!

SABINUS. Nie, bracie! chociażem młody, nie jestem przywiązany do rozkoszy ziemskiego życia. Purpura sama w sobie nie ma dla mnie powabu; ale... *(milczy)*.

LUCYUSZ. Co?

SABINUS. Próżno mówić.

LUCYUSZ. Mów, proszę cię!

SABINUS. Nie chcę zakłócić błogiego pokoju twej duszy.

LUCYUSZ. Co, bracie? masz przede mną sekreta, pierwszy raz w życiu i to w takiej chwili?...

SABINUS. Lucyuszu, czy niczego w tej chwili nie żałujesz?

LUCYUSZ. Żal mi, że nas matka nie pożegnała i nie pobłogosławiła; żal mi jej też; więcej niczego nie żałuję.

SABINUS *(wstając)*. Więc ty nie czujesz tej gorączki czynu, co mię dręczy? nie żal ci umierać w chwili, gdy mogłeś tyle zdziałać dla królestwa Bożego i szczęścia ludzkości?... a umierać nic nie zrobiwszy? Mój Boże! czemuś mi dał tę młodość, ten zapał, tę siłę, którą w sobie czuję? Czemuś mi ukazał ten wspaniały zawód, do którego się zwróciły wszystkie moje żądze? — jeszczem nie zaczął, a już mam kończyć!...

LUCYUSZ. To nie koniec, Sabinie!

SABINUS. A cóż więc?

LUCYUSZ. To właśnie zorza. Zamiast błąkać się długo wśród ciemnej nocy, od razu do niej trafiasz. Dziękuj za to Bogu!

SABINUS. Ach, Bogu chciałem się przysłużyć; dla niego tylko chciałem panować. Pragnąłem oddać świat w objęcia Kościoła, mej matki! Niestety! Kościół także łudził się tą nadzieją, wykołysał nas z dumą macierzyńską; a oto jutro rano ogłosi mu biskup, że jesteśmy w kajdanach, że nadzieje zawiedzione, a może!... i cóż zostanie? Krwi trochę... a dla Kościoła te same żale, ta sama niewola co wczoraj! Ach! Chryste!... Nie!... będę milczał — pęka mi serce *(siada)*.

LUCYUSZ *(tuląc się do niego)*. Sabinie! Sabinie kochany! pomnij na nauki, którycheśmy wspólnie słuchali. Czy krew Bogu poświęcona jest straconą? czy ta młodość, ten zapał, te nadzieje marnie giną, gdy się z nich Bogu czyni całopalenie? — Żal ci łez matki naszej, Kościoła; a czy nie wiesz, co Kościół o takiej śmierci sądzi? Czy myślisz, że go mniej ozdobią nasze korony męczeńskie, jak korony cesarskie?

SABINUS. Koronę męczeńską już Kościół ma na skroniach; teraz należy mu się jeszcze korona cesarska. Już czas, Lucyuszu, już czas, aby Chrystus królował. Ach! gdybym miał miecz w ręku...

LUCYUSZ. Cóżbyś zrobił?

SABINUS. Nie! — Nie pytaj mnie... Wstyd, żal, tysiąc żądz mną szamoce! burza w mojej duszy!

SCENA II.

CI SAMI, KLEMENS.

KLEMENS *(wchodząc)*. Moje dzieci kochane.

LUCYUSZ. Ojcze!

SABINUS. Ach Ojcze!

LUCYUSZ. Kto cię tu wpuścił?

SABINUS. Co za wieści przynosisz?

KLEMENS. Byłem przez parę godzin uwięziony w pokojach cesarskich, a teraz, wskutek jakiegoś niespodziewanego rozkazu, tu mnie przyprowadzono.

SABINUS. Co to znaczy? Co zamierza cesarz?

KLEMENS. Nie wiem doprawdy, co o tem mysleć!...

LUCYUSZ. Bóg tę myśl podał cesarzowi, abyś był z nami, kochany Ojcze! A matka nasza wie o wszystkiem?

KLEMENS. Moje dzieci, pokażcie się godnymi jej synami. Przed chwilą miałem od niej posłańca: powiada, że wie o waszym losie i korzy się przed wyrokami Bożymi; że bała się o was, gdy wam Domicyan wkładał purpurę cesarską, lecz teraz kiedy wam Chrystus swoją purpurę gotuje, już się nie boi!... Płacze, ale z temi łzami poświęca was Chrystusowi!

SABINUS. Ach, święta matka, gdyby wiedziała, co za walka w mej biednej duszy?...

KLEMENS *(zdziwiony)*. Sabinie, ty się lękasz? *(wchodzi Achilles z księgą w ręku).*

SCENA III.

KLEMENS, SABINUS, LUCYUSZ, ACHILLES.

ACHILLES. Panie! szukam cię od dwóch godzin po całym pałacu; dopiero mię tu Windeks wprowadził. Czy i ty, panie, jesteś uwięziony?

KLEMENS. Z czem przychodzisz, Achillesie?

ACHILLES. Przychodzę od świętego biskupa naszego z drogocennym darem dla ciebie.

LUCYUSZ. Co to?

KLEMENS. Pokaż!

ACHILLES. Dzisiaj przyjechali dwaj dyakoni z Grecyi i przywieźli od Polikarpa »Nową księgę apostoła«.

SABINUS. Z Patmos?

ACHILLES. Tak. Niedawno temu na wyspie Patmos napisał ją z natchnienia Bożego; a dziś trzy odpisy przyszły do nas. Ten tu przysyła wam Ewaryst na pociechę w waszem więzieniu. *(Całują księgę, potem ją otwierają i rozwijają. Sabinus czyta z góry. Lucyusz klęcząc chwyta ją w środku i po cichu czyta).*

SABINUS *(czyta)*. »Objawienie Jezusa Chrystusa, które jemu Bóg dał, aby objawił sługom swym, co się ma dziać wkrótce; i oznajmił, posławszy przez anioła swojego słudze swemu Janowi,

który świadectwo wydał słowu Bożemu i świadectwo Jezusa Chrystusa, cokolwiek widział«.

KLEMENS *(przerywając)*. Jaki dar dla cierpiącego Kościoła!

ACHILLES. Oby nam jeszcze Bóg długo zachował świętego starca!

LUCYUSZ *(żywo)*. Sabinie! Sabinie! słuchaj! *(czyta)* »A gdy otworzył piątą pieczęć, widziałem pod ołtarzem dusze pobite dla słowa Bożego i dla świadectwa, które miano; i wołały głosem wielkim mówiąc: Dokądże, Panie święty i prawdziwy, nie sądzisz i nie mścisz się krwi naszej nad tymi, co mieszkają na ziemi? I dano im po szacie białej i powiedziano im, aby czekały jeszcze krótki czas, ażby się dopełnił poczet współsług i braci ich, którzy mają być pobici, jak oni!... Rozumiesz, Sabinie drogi? Duch św. przemówił.

SABINUS *(odczytuje te miejsca po cichu i zamyśla się)*.

KLEMENS. Sabinie, mój synu! bądź mężny, Chrystus z nami!

LUCYUSZ *(całując jeszcze świętą księgę)*. Z tą świętą księgą więzienie nie będzie nam się dłużyło.

SABINUS. Mój Boże! Mój Boże! *(wchodzi Windeks)*.

SCENA IV.

CIŻ SAMI. WINDEKS.

WINDEKS. Konsulu, daruj, że znowu z tą samą prośbą przychodzę, ale nie ma innej rady.

KLEMENS. Czego chcesz, Windeksie.

WINDEKS. W mieście rozruchy i zamieszanie okropne. Słychać krzyki: Śmierć chrześcijanom! ale nierównie więcej ich woła: Wolność synom Klemensa! Niech żyją Sabinus i Lucyusz! Nie wiedzieć kto między ludem ruch podnieca. Cesarz błąka się od kilku godzin, jakby obrany z rozumu; lada chwila, sądzę, wybuchnie z wściekłością. Moja rota gotowa dać się wyrąbać za was na progu tego więzienia; lecz cóż to pomoże? A w obozie zamiejskim jesteśmy bezpieczni. Prefekt tamtejszy już wie o naszem przybyciu...

KLEMENS *(przerywając)*. Milcz, Windeksie, nie obrażaj Boga i mnie!!

WINDEKS. Konsulu, błagam cię, niema chwili do stracenia. Odprowadzam was z mymi stoma żołnierzami.

SABINUS. Ojcze!

KLEMENS. Nie słuchaj go, Sabinie.

WINDEKS. Ale ja muszę was wyratować! Chrystus was potrzebuje.

KLEMENS. Ty nie Chrystusowi służysz w tej chwili. Precz stąd!...

LUCYUSZ. Oddal się, oddal.

SABINUS. Ojcze!

WINDEKS *(do Klemensa)*. Lżysz mię, ale się tem nie zrażam. Błagam cię, na wszystko co święte! na życie twych synów! Nie oddawaj ich na śmierć!

KLEMENS. Niech umrą niewinnymi!

SABINUS. Boże!... Boże!... co się ze mną dzieje! Ojcze mój! wola Boska!...

KLEMENS. Synu, to obraza Boska.

LUCYUSZ. Bracie! zmiłuj się nad sobą i nami.

WINDEKS. Sabinie, ty przynajmniej pójdź ze mną; za godzinę wrócimy z dwoma legionami i wyzwolimy ojca i brata przemocą *(dobywa miecza)*. Bierz ten miecz, cezarze, i broń Chrystusa!...

KLEMENS. Synu! pomnij na krzyż Chrystusowy!...

SABINUS *(biorąc za miecz)*. Ojcze! Krzyż osadzę na Kapitolu!... *(wychodzi z Windeksem)*.

LUCYUSZ *(próbując go zatrzymać)*. Bracie! Bracie!

KLEMENS. Nieszczęśliwy!...

SCENA V.

KLEMENS, LUCYUSZ, ACHILLES.

ACHILLES *(po chwili milczenia)*. O Chryste! co za nieszczęście!

KLEMENS. Mój Boże! mówiłem dziś rano, że będę błogosławił jego cesarskiej koronie, a ja ją będę musiał przekląć.

LUCYUSZ. Módlmy się, ojcze! aby go Bóg oświecił i nawrócił.

KLEMENS. Tak jest, i aby nie dopuścił uiszczenia grzesznych zamiarów Windeksa. *(Wstają wszyscy trzej i podnoszą ręce i oczy do nieba).*

KLEMENS. Boże, wejrzyj ku wspomożeniu naszemu!

LUCYUSZ i ACHILLES. Panie, pospiesz na ratunek nasz! *(Lucyusz i Achilles spuszczają ręce, ale oczy mają wciąż w niebo podniesione).*

KLEMENS *(z podniesion. rękami).* O Wszechmocny, o Wszechwiedzący, Miłościwy, który litujesz się nad wszystkimi; bo wszystko możesz i miłujesz wszystko coś stworzył; zlituj się nad tą duszą, którąś krwią swoją odkupił. Pasterzu dobry, szukaj tej owieczki zbłąkanej, którą chowałem dla ciebie, a której teraz doścignąć nie mogę. Panie, patrz na utrapienie nasze i zmiłuj się nad nami!... *(opuszcza ręce).*

LUCYUSZ i ACHILLES *(szepcą).* Panie, zmiłuj się nad nami! Amen.

LUCYUSZ *(podnosząc ręce).* Boże nasz, Panie Jezu Chryste, któryś umiłował swoich aż do końca, pomnij, że Sabinus cię wyznawał; kochał cię i służył ci od dzieciństwa. Panie, przyjm za niego ofiarę krwi naszej, którą ci z ochotą niesiemy; a nie dopuść, abyśmy się mieli rozłączyć na wieki! Chryste, zmiłuj się nad nami! *(spuszcza ręce).*

KLEMENS i ACHILLES *(szepcą).* Chryste, zmiłuj się nad nami.

ACHILLES *(podnosząc ręce).* Panie, miłosierdzie twoje nad wszystkie dzieła twoje: ukochałeś to dziecię, uprzedziłeś go łaską swoją od zarania życia; poświęciłeś go wodą zbawienia i naznaczyłeś świętym znakiem krzyża twego. Nie daj, aby nieprzyjaciel ucieszył się nad nim; nie zasmucaj Kościoła twego; nie gardź pokornemi modłami świętych twoich.

WSZYSCY RAZEM. Panie, Panie, zmiłuj się nad nim! *(Achilles spuszcza ramiona).*

KLEMENS *(klęka i wszyscy z nim).* W duchu pokory i w skruszeniu serca przyjmij nas, Panie, i niechaj tak się spełni dzisiaj

ofiara nasza w obliczu twojem, aby ci była przyjemną, Panie i Boże!

LUCYUSZ i ACHILLES. Amen. *(Wchodzi Domicyan z Cymbrem i liktorami; obecni prędko wstają).*

SCENA VI.

CIŻ SAMI, DOMICYAN CYMBER.

DOMICYAN *(zmieszany i cichy).* Co tu robicie?

LUCYUSZ. Modlimy się, Panie.

DOMICYAN. Gniew Chrystusa na moją głowę przywołujecie.

KLEMENS. Nie, cesarzu! Nigdy nie prosimy Chrystusa, jak tylko o przebaczenie dla tych, co nas prześladują. Tak nas Chrystus przykładem nauczył.

DOMICYAN *(siada).* Nie dziwujcie się moim odwiedzinom w takiem miejscu; przychodzę tu szukać schronienia między wami na tę noc.

LUCYUSZ. Co mówisz, panie.

DOMICYAN. Jestem panem świata, a nie wiem gdzie głowę przytulę?

KLEMENS. Panie, czy się jakich wrogów lękasz?

DOMICYAN. Lękam się... Ha! nie wiem doprawdy kogo się lękam, ale czuję, że mam pełno wrogów koło siebie...; każdy filar, każda kotara mię przeraża... Tytusie! Tytusie!... nienawistny cieniu!...

KLEMENS. Masz także wielu wiernych sług.

DOMICYAN. Na czyjąż wierność ja liczyć mogę?

LUCYUSZ *(nieśmiało).* Na chrześcijan!!

DOMICYAN *(milcząc przypatruje się wszystkim obecnym; nagle odzywa się żywo).* A gdzie Sabinus? *(milczenie)* Mówcie! gdzie Sabinus? kto go puścił z więzienia?

ACHILLES. Przyszedł tu żołnierz, który go stąd wyprowadził.

DOMICYAN. Co za żołnierz? dokąd? *(milczenie)* Cymbrze, zawołaj Windeksa! *(Cymber wychodzi)* Klemensie! wasze milczenie jest mi podejrzanem. Mówcie, na Jowisza! co się z Sabinem stało?

KLEMENS. Myśmy się z więzienia nie ruszyli, nie mogliśmy widzieć, dokąd go zaprowadzono.

LUCYUSZ. Płakaliśmy nad nim.

DOMICYAN. Ja muszę wiedzieć, co to wszystko znaczy?

CYMBER *(wracając)*. Cesarzu! Windeksa niema w pałacu. Widziano go, jak niedawno temu z rotą pretoryanów wychodził, podobno do obozu za Tybrem.

DOMICYAN. Windeks do obozu? A kto pilnował więzienia?

CYMBER. Myśmy go mieli pilnować, ale nas Windeks z wyższego rozkazu odprawił, i sam tu stał ze swymi żołnierzami.

DOMICYAN *(po milczeniu)*. Teraz dopiero mi się oczy otwierają i zaczynam rozumieć skąd mi grozi niebezpieczeństwo. Milczeliście! Windeksa nie chcieliście wymienić! Ha! nie widzieliście dokąd uprowadził Sabina. *(Słychać marsz żołnierzy i szczęk broni)*. Co słyszę? marsz żołnierzy! szczęk broni! *(Chowa się w głąb ganku za liktorami. Wchodzi nagle Windeks prowadząc Sabina, za nimi Faustulus)*.

SCENA VII.

CIŻ SAMI, WINDEKS, SABINUS, FAUSTULUS.

WINDEKS *(wpadając)*. Konsulu, nasza przegrana! jakiś szatan pokrzyżował mi drogi.

ACHILLES. Milcz, na Boga!

KLEMENS. Owszem, mów! Niech słyszy, kto ma słyszeć.

WINDEKS *(nie postrzegając cesarza)*. W czasie tych kilku godzin, które tu przepędziłem, w obozie wszystko się zmieniło. Plantusa prefekta porwano podobno bez wiedzy cesarza, Fawencyusz za niego objął komendę; czarnoksiężnik jakiś opowiada żołnierstwu, że Sabinus i Lucyusz są chrześcijanami. Byłbym wpadł w ich ręce, gdybym nie był spotkał w drodze tego dziecka, wracającego z obozu.

FAUSTULUS. Uciekłem z obozu od Elimasa, żeby was ostrzedz.

WINDEKS. Oddaję ci syna; ale na tym progu dam się zabić za was z mymi żołnierzami, co tam za drzwiami stoją!

SABINUS *(rzucając się do nóg ojca)*. A ja tu umrę z wami! Ojcze, przebacz!

DOMICYAN *(występując z ukrycia)*. Windeksie! co to znaczy?

WINDEKS *(przerażony)*. Chryste! cesarz tu?

DOMICYAN. Ja tu jestem i wiem o wszystkiem. Liktorzy! dobywać toporów!

WINDEKS. Zginęliśmy! konsulu! wołam żołnierzy.

KLEMENS. Stój, na Boga! ja do nich przemówię. *(Otwiera drzwi i mówi do żołnierzy za drzwiami stojących)*. Pretoryanie! wiecie, że władzy macie słuchać jak Chrystusa; ja, konsul, rozkazuję wam, abyście stąd odeszli do swoich koszar; wasz trybun zostanie tu ze mną, a komendę nad wami ma centuryon Probus. Idźcie!... *(Słychać marsz odchodzących)*. Teraz, cesarzu, rób z nami co chcesz!

DOMICYAN. Klemensie! jeszcze raz mię chcesz oszukać udaną szlachetnością! Więcej mię nie zwiedziecie; pojmałem was na gorącym uczynku.

SCENA VIII.

ELIMAS i STEFANUS *(wchodzą)*.

ELIMAS. Cesarzu, szukamy ciebie po całym pałacu.

STEFANUS. Ktoby się był domyślił, że jesteś w tych pieczarach? *(widząc Faustulusa)*. Co? Faustulus tu!

DOMICYAN. Elimasie! Teraz dopiero uchwyciłem wątek spisku i wiem, skąd mi śmierć groziła. Klemens i jego synowie i Windeks knuli bunt z pretoryanami z za Tybru.

ELIMAS. Ratuj się więc; jesteś cesarzem.

DOMICYAN. Ha! przeklęci chrześcijanie!

STEFANUS. Kiedy wiesz, panie, że są twymi wrogami, to wszystkich na śmierć poślij!...

LUCYUSZ. Panie Jezu! oddajemy się w ręce twoje.

DOMICYAN. Tak jest, wszystkich na śmierć!... Liktorzy! wkładajcie kajdany Klemensowi.

WINDEKS. Stójcie! Ja sam jestem winien, ja sam ich do buntu wzywałem; oni się wzbraniali; Sabina porwałem gwałtem.

DOMICYAN. Liktorzy, słuchajcie!

ELIMAS *(do Stefana)*. Moja sprawa skończona, teraz na ciebie kolej *(wychodzi)*.

SCENA IX.

CIŻ SAMI, prócz ELIMASA.

KLEMENS *(podając ręce do związania)*. Boże, przebacz im i zmiłuj się nad Rzymem! przyjm nas w ofierze za jego zbrodnie.

DOMICYAN. I tym dwom wyrodnym synom.

LUCYUSZ *(podając ręce)*. O szczęśliwa godzino! Od kiedy wiem o sobie tęskniłem do niej. Panie, miej w twej opiece Kościół Twój i przyjm krew moją za niego.

SABINUS *(podając ręce)*. Boże! niech ta krew zgładzi moją winę.

KLEMENS *(tuląc go)*. O mój synu, Bóg ci przebacza; dziś będziem razem w niebie.

DOMICYAN *(pokazując Windeksa)*. I tego zdrajcę związcie!

WINDEKS *(ponuro)*. Zgrzeszyłem! I jestem godzien śmierci.

ACHILLES *(do Windeksa)*. Oddaj Bogu życie z ochotą; on ci miłościwie odpuści!...

DOMICYAN. Czy i ten chrześcijaninem?

ACHILLES. Jestem chrześcijaninem, sługą Klemensa.

FAUSTULUS. I ja, Panie, wierzę w Chrystusa!

STEFANUS. Faustulu! milcz!... Nie prawda!...

FAUSTULUS. Ja jestem chrześcijaninem!...

STEFANUS. Faustulu! mój synu! Czyś oszalał? Cesarzu, zmiłuj się! to dziecko!

DOMICYAN. Stefanie, dziś rano przysięgałeś się, że gdyby twój syn przystał do chrześcijan, sam byłbyś jego katem.

STEFANUS. Panie, ja go jeszcze nakłonię...

DOMICYAN *(przerywając)*. Milcz! Jużem dosyć dzisiaj popełnił słabości. Liktorzy! wszystkich na ścięcie!

STEFANUS *(rzucając mu się do nóg)*. Litości...

DOMICYAN. Spieszcie się, liktorzy!!!

STEFANUS *(do siebie)*. I ja się muszę spieszyć. *(Wszyscy wychodzą prócz Domicyana)*.

SCENA X.

DOMICYAN sam.

DOMICYAN. Ach! okropna nocy! Dzień się tak pięknie zaczął... Poczynałem wierzyć w zacność ludzi... o mało com Chrystusowi nie przebaczył — a tak się kończy! Klemens — Sabinus — Lucyusz... Myślałem, że ich kochać będę i będę kochanym... Tymczasem wszystkie mi się szyki połamały... Jakaś jędza piekielna mię prześladuje? *(Milczenie).* Tytusie! straszysz mię... nie dam się pokonać!... Jeśli będzie trzeba cały pałac wymorduję. *(Milczenie).* Ach! jak ta noc długa. *(Patrzy w okno).* Jeszcze brzasku nie widać. *(Milczenie).* Jak tu jestem osamotniony! czy niema liktorów za drzwiami? *(otwiera drzwi)* ciemno... ktoś idzie... Ha!

SCENA XI.

DOMICYAN, STEFANUS.

DOMICYAN *(z przerażeniem).* Kto tam?

STEFANUS *(wchodząc).* To ja, panie, nie lękaj się.

DOMICYAN. Gdzie moja straż? czemu mnie tu samego zostawiacie?

STEFANUS. Zaraz po nią pójdę; ale oto tajny list — bardzo pilny.

DOMICYAN *(z niepokojem).* Dawaj! *(Otwiera list i czyta; wtem Stefanus dobywa z temblaku rękę ze sztyletem i rzuca się na Domicyana. Domicyan chwyta go za rękę, wołając)* Ratunku!... do mnie Cymber! liktorzy!

STEFANUS *(chwytając go drugą ręką za gardło).* Wołaj jak chcesz, — te mury ci nie odpowiedzą! *(zaczynają się pasować).*

DOMICYAN. Zdrajco! ty na mnie!... *(padają obaj za kulisy; zjawia się Elimas i stoi na scenie, podczas gdy Stefanus i Domicyan pasują się między kulisami).*

SCENA XII.

DOMICYAN i STEFANUS między kulisami; ELIMAS na scenie.

DOMICYAN. Ratunku! kto tam?

ELIMAS. Śmiało, Stefanie!... dobrze tak!... pchnij go jeszcze raz!

STEFANUS. Dławi mię! Ratuj!

DOMICYAN. Ha! morderco!... Elimasie, ratuj! rzuć mi noża!...

ELIMAS. Giń Flawiuszu! to pomsta, za krew Izraela!...

DOMICYAN. Przeklęty żydzie!... żołnierze! ratunku!...

ELIMAS. Dalej Stefanie!... Tak! dobrze!... w bok!...

STEFANUS. Ginę! pomóż!... dławi mię... dusi!... *(Słychać jeszcze jęki i krzyki obu).*

ELIMAS. Pan świata, a nie ma jednego człowieka do pomocy!... Nie może się oprzeć przeznaczeniu!... Udusi Stefana, ale go nie przeżyje!... Kałuża z krwi! *(z radością)* Taksamo wyglądało w pieczarach Sionu; *(słychać charkania konających).* Już tylko drgają... Skonali obaj!... Co w gwiazdach napisane, to się spełnić musiało!...

SCENA XIII.

WCHODZĄ NERWA, SENATOROWIE i LIKTORZY.

ELIMAS *(witając Nerwę).* Niech żyje cesarz!

NERWA. Co się stało?

ELIMAS *(pokazując w stronę gdzie padli).* Obaj skonali.

SENATOROWIE I LIKTORZY. Niech żyje cesarz!

NERWA. Jakie szkaradne trupy! Wywlec je prędko! *(Jeden z Senatorów do nich się zbliża i przynosi pierścień cesarski, który podaje Nerwie przyklękając i mówiąc:)*

JEDEN Z SENATOROW. Oto pierścień, godło cesarskiego majestatu!

NERWA *(kładąc go na palec).* Cały krwawy!

DRUGI SENATOR *(wydobywa z zanadrza wieniec laurowy i wkłada go Nerwie).* Cesarzu spełniło się, co było przepowiedzianem. Niech ci bogowie długich lat użyczą.

NERWA. Gdzie Klemens i jego synowie?

ELIMAS. Poszli na stracenie.

NERWA. Dawno?

ELIMAS. Przed chwilą.

NERWA *(do Liktora)*. Natychmiast odwołać rozkazy Domicyana; i przywieść ich do mnie. *(Liktor wychodzi)*.

ELIMAS. Panie! tyś sam prosił Domicyana o ich krew.

NERWA. Bo wyście mnie do tego zmuszali. Teraz, gdy jestem cesarzem, już role zmienione.

ELIMAS. Oni są chrześcijanami!

NERWA. Gdybym wam wszystkim mógł tak zawierzyć, jak chrześcijanom, miałbym spokojne panowanie.

ELIMAS. Ach! cesarzu! nie boisz się ułaskawiać synów Klemensa, dziś takimi okrzykami od ludu witanych? Przecież do tego zmierzały wszystkie nasze usiłowania, by cię uwolnić od tych rywalów.

NERWA. Od kilku godzin, jak wiesz, wszystko zmienione i obecnie wszystko w mem ręku; zaledwo słońce zaświta, po całym Rzymie okrzyczą mnie cesarzem. Nie mam się czego lękać od tych młodzieńców.

ELIMAS. Cesarzu, rozważ...

NERWA *(przerywając)*. Już dosyć dziś krwi wylano. Tutaj ślizgają się w niej stopy. Nie zacznę mego panowania od okrucieństwa. *(Otwierają się drzwi, wchodzi Cymber wprowadzając Windeksa i Faustula)*.

SCENA XIV.

CIŻ SAMI, FAUSTULUS i WINDEKS.

CYMBER. Cesarzu! tych dwóch tylko wyratowałem.

NERWA. A tamci?

CYMBER. Już po nich!

FAUSTULUS *(z płaczem)*. O Chryste! oni już w niebie, a ja się z nimi rozstałem.

WINDEKS. Nie byłem godzien umrzeć z męczennikami!

NERWA. Już koniec tym mordom! Żyjcie, a bądźcie wierni Rzymowi; kasuję wszystkie wyroki przeciw chrześcijanom przez Domicyana wydane!

Ks. Maryan Morawski.

WIECZNOŚĆ ŚWIATA

WOBEC NAUKI DZISIEJSZEJ.

I.

Niełatwą jest rzeczą, zwłaszcza jeżeli opierać się będziemy wyłącznie na doświadczeniu zmysłowem, urobić sobie pojęcie dokładne o stosunku świata do czasu. Naszemu bowiem pojmowaniu naiwnemu wydaje się, że przestrzeń jest jakby naczyniem przeźroczystem o wymiarach bezbrzeżnych, nieskończonych, w którem to naczyniu najrozmaiciej są poukładane przedmioty tego świata; podobnież czas przedstawia się nam jako niedające się bliżej oznaczyć płynienie momentów po sobie, bez początku i bez końca. Wszak jakąkolwiek naznaczymy sobie w myśli granicę, od której miałoby się rozpocząć owo kolejne następstwo momentów czyli czas, to wyobraźnia nasza nie pozwoli nam zatrzymać się przy tej granicy, ale stawiać będzie coraz dalsze, bardziej wstecz posuwane granice, i przed każdą, choćby największą ilością czasu, wyobrażać sobie będzie inny czas, dawniej ubiegły, a wskutek tego świat przedstawia się nam jako jestestwo niemające granic w przestrzeni, i wiecznie trwające.

Wpływa też na powyższy nasz pogląd niemało i ta okoliczność, iż wokoło nas spostrzegamy rzeczy powstające z materyi już istniejącej, a nie widzimy, ani też nikt z ludzi nie widział, jakoby materya powstać miała z niczego, lub też, aby mogła być unicestwioną. Wprawdzie przodkowie nasi nie posiadali znajomości

gazów tak rozległej, jaką się szczyci nauka dzisiejsza, ani też rezultaty syntez i przemian chemicznych nie były im w tej mierze, co nam, znane; a jednak i oni silnie byli przekonani, że materya świata ani się nie rodzi, ani nie ginie z kretesem, tylko coraz inne przybiera formy bytowania. Wypowiedział tę myśl jasno Lukrecyusz Carus (II w. po Chr.) w tych słowach: *Nam neque adaugescit quidquam, neque deperit inde. (De natura rerum.* II, 296).

To też, jak daleko myślą sięgniemy wstecz dziejów filozofii starożytnej, czy do Chin i Indyi, czy do Grecyi, wszędzie się spotkamy z tem przekonaniem prawie dogmatycznem myślicieli ówczesnych, że materya świata istnieje od wieków, sama z siebie, a jedynie uporządkowanie jej przypisywali niektórzy z pośród nich Bóstwu. Bronił tej wiary Laotse, Kapila i Gotama, szerzyli ją w Grecyi Heraklit, Tales, Anaksymander, Anaksymenes, Demokryt i Leucypp, Empedokles i Epikur, a nawet najgenialniejszy z myślicieli greckich, Arystoteles, mający w tym względzie Anaksagorasa za poprzednika, nie wzniósł się na wyżyny pojęcia, iż materya aktem stwórczym Bóstwa została z nicości powołaną do bytu, a tylko dowodził, że Bóg jako pierwsza, niezmienna, a zarazem niemateryalna przyczyna ruchu (πρῶτον κινοῦν ἀκίνητον) od wieków wprowadził ład i porządek w materyę. Podobnie zapatrywał się na materyę i Platon, z tą jednak różnicą, że według niego już nie Bóstwo samo, lecz istota od Niego niższa, demiurg, zajęła się ukształtowaniem materyi odwiecznej w świat widzialny. Gorzej jeszcze postąpili Stoicy, gdyż utożsamili świat z Bóstwem, tak, że świat byłby w tym razie tylko stroną zewnętrzną, widzialną Bóstwa, które na wzór ognia sztucznego przenika świat cały [1]. Śladami Platona poszli Nowoplatończycy (Atticus, Plutarch, Celsus), a nadto Żyd Philo z Aleksandryi [2], w czasach zaś późniejszych uczeni arabscy: Alkindi († 870), Alfarabi († 950), Avicenna († 1037), oraz Averroës († 1189) [3]. Dopiero

[1] Por. Cl. Bauemker: *Das Problem der Materie in der griechischen Philosophie.* Münster, 1890. Str. 366 nast.

[2] Philo: *De plant. Noë. 1.* (I, 329).

[3] Por. dr. M. Worms: *Die Lehre von der Anfangslosigkeit der Welt bei den mittelalterlichen arabischen Philosophen.* Münster, 1900. Str. 5—9.

chrześcijaństwo określiło jasno stosunek świata do Boga, nauczając, że Bóg nie tylko uporządkował materyę w świat, ale i tę materyę stworzył wraz z czasem. Kiedy w wieku XVI odkopywano z pyłu zapomnienia dawne, pogańskie systemy filozoficzne, znów nauczali niektórzy przyrodnicy ówcześni, że materya świata jest odwieczną jako emanacya Boga (Giordano Bruno, poniekąd Mikołaj z Cues), zaś materyaliści wieku XVIII i XIX (Dela Mettrie, Cabanis, Magendie, baron Holbach, Karol Vogt, Moleschott, Ludwik Büchner, Czolbe, D. Strauss i t. d.), jako pierwszorzędny postulat naukowego badania stawiali twierdzenie, że materya świata zawsze istniała i nigdy istnieć nie przestanie. Za naszych dni przedstawicielem najgłośniejszym obozu materyalistów jest profesor jenejski: Ernest Haeckel, podług którego naukowo wyjaśnia zjawiska przyrody tylko ten, kto je umie oprzeć na prawach mechaniki; ponieważ zaś każdy skutek mechaniczny wymaga przyczyny mechanicznej, przeto jeżeli w poszukiwaniu tych przyczyn nie mamy posuwać się w nieskończoność, musimy przyjąć, że mechanizm zjawisk w świecie jest odwieczny i samemu sobie byt zawdzięcza [1]. Zresztą najlepiej odzwierciedlają nam jego przekonania te słowa: »Nawet Chrystus, powiada on, Chrystus, syn Boży, który oko Swoje kierował w strony pozaświatowe, nie miał przeczucia najmniejszego o ważnych odkryciach kosmologicznych (Chińczyków, Chaldejczyków i Egipcyan), ani też nie miał pojęcia o tych wielkich systemach świata, jakie na 300—600 lat przed Jego narodzeniem postawili byli greccy filozofowie, zajmujący się badaniem świata. Z chwilą, kiedy Kopernik obalił w r. 1543 układ świata geometryczny, a Newton przez swą teoryę o powszechnej grawitacyi położył w r. 1686 silne podstawy matematyczne pod nowy układ świata heliocentryczny, znalazła kosmogonia w dziele Kanta: *Allgemeine Naturgeschichte des Himmels*, oraz w Laplace'a: *Mécanique céleste* swoje uzasadnienie monistyczne; odtąd też niemasz już mowy w całej dziedzinie astronomii o świadomej czynności stwórczej ze strony Boga« [2]. W podobny sposób zapa-

[1] Por. jego: *Natürliche Schöpfungsgeschichte*. IX Aufl. Berlin, 1902.
[2] Por. Ernest Haeckel: *Lebenswunder*. II Aufl. Stuttgard, 1904. Str. 537.

trują się na początek świata dwaj popularyzatorowie materyalistycznych poglądów: Oswald Köhler [1] i A. Schroot [2] oraz dr. E. Koenig [3], który apodyktycznie wypowiada zdania: *Stoff und Kraft sind immer gewesen und werden immer sein, sie sind ewig und unendlich. Ihre Ursache haben sie in sich selbst.* Wszelako i mężowie, mający w nauce swe imię i zasługi nieraz wielkie, i wcale nie goniący za poklaskiem nieoświeconych tłumów, jak Reinke [4], Svante Arrhenius [5], Newcomb [6], Wundt [7] i wielu innych, wypowiadają bez zastanowienia to zdanie, że materya odwiecznie z siebie istnieje, gdyż im się zdaje, że to twierdzenie jest konsekwencyą dwóch nader ważnych praw, a to prawa niezniszczalności materyi oraz stałości energii. Proklamują tedy ruch wieczysty materyi, rozwijanie się światów poprzez wieczność całą, zanikanie jednych światów, a powstawanie, jak Feniks z popiołów, światów nowych, ze zgliszcz i szczątków rozbitych światów dawniejszych.

Wobec tego stanu rzeczy odpowiedzieć wypadnie na trzy donośne pytania: 1) czy wszechświat w obecnym swym układzie istniał od wieków, 2) czy materya świata istnieje z siebie samej, oraz 3) czy po naszym świecie nastąpi świat nowy.

II.

Punktem wyjścia przy rozważaniu pytania pierwszego może być tylko stan obecny ciał niebieskich. Otóż dokądkolwiek wzrok swój skierujemy, czy ku ziemi, czy ku słońcu, ku gwiazdom stałym, czy wreszcie do najdalszych, jeszcze przez nas dostrzegalnych rojów gwiazd i gwiazdeczek w mgławicach, wyniesiemy zewsząd

---

[1] Por. Osw. Köhler: *Weltschöpfung und Weltuntergang.* Stuttgart 1903, str. 49.

[2] Por. A. Schroot: *Populäre Entwicklungsgeschichte der Erde.* Bamberg 1906, str. 10.

[3] Dr. E. Koenig: *Das Leben, sein Ursprung und seine Entwicklung auf der Erde.* Berlin 1905, str. 1—9. Por. także Adolf Stöhr: *Philosophie der unbelebten Materie.* Leipzig 1907, str. 418 i nast.

[4] Dr. J. Reinke. *Die Welt als Tat.* Berlin 1905, str. 498.

[5] Svante Arrhenius: *Das Werden der Welten.* Leipzig 1907, str. 190.

[6] Newcomb-Engelmanns: *Populäre Astronomie.* Berlin 1905. str. 638.

[7] Wundt: *System der Philosophie.* II Aufl. Leipzig 1897, str. 343.

to przekonanie, że stan obecny owych ciał nie jest ich stanem pierwotnym, lecz, że jest wynikiem rozwoju dawniejszego. Geologia i astrofizyka jednaką w tym względzie dają odpowiedź. Ziemia nasza ma w swych pokładach różnorodnych wypisane swe dzieje, wykazujące z jednej strony oziębianie się ustawiczne jej jądra, a z drugiej pozwalające na wniosek całkiem ścisły, że jej temperatura musiała niegdyś być nader wysoka. Wzrastanie temperatury w miarę posuwania się w głąb ziemi, badania geogoniczne, wykazujące, że skorupa ziemska była niegdyś o wiele cieńsza, fakt promieniowania w zimną przestrzeń, z drugiej strony skamieliny, przedstawiające resztki dawnych form życia na ziemi, tworzenie się gór i szczelin na powierzchni ziemi, wszystko to dowodzi, że szara nasza ziemia jest ciałem, które się oziębia coraz więcej, a które niegdyś posiadało ciepłotę tak wysoką, jak ją mają ciała niebieskie, które dziś jeszcze błyszczą własnem światłem.

Gdy od ziemi skierujemy wzrok na planety, w których gronie wirujemy około słońca, znów spotkamy ten sam fakt, iż planety zmierzają stale ku temu stanowi, w którym nizka ich temperatura nie będzie przeszkadzała chemicznemu łączeniu się różnych pierwiastków, z których są zbudowane ich masy. Jedne z nich posunęły się w oziębianiu stopniowem dość daleko, jak za tem przemawia brak u nich atmosfer, w innych brak jeszcze równowagi i stanu skupienia cząstek stałego, a stąd zdarzają się, jak na Jowiszu, gwałtowne erupcye. Zatem stan obecny planet, do naszego układu słonecznego należących, jest także tylko przejściowym, poprzedzonym przez stan inny, w którym planety bujały w przestworzu jako kule, posiadające światło własne.

Ten sam los, jakiemu uległy planety, oczekuje i nasze słońce. Nie wiele wprawdzie możemy powiedzieć o jego jądrze, gdyż jest ono otoczone atmosferą, która jest przepełniona gazami świecącymi, jak to wykazała analiza spektralna; nie ulega jednak wątpliwości, że dziś jeszcze to jądro posiadać musi temperaturę bardzo wysoką, skoro obserwowana w r. 1869 przez Younga protuberancya wynosiła 48000 mil geogr. długości, a wyrzucona była na 5000 mil od słońca. Ten sam astronom obserwował wybuch na słońcu dnia 30 września 1871 r. między $12\frac{1}{2}-2$ po północy;

wyrzucona ze słońca masa ognista, miała około 21.700 mil dług., a najwyższe części dosięgały 45.800 mil wysokości od słońca [1]. W r. 1893 obserwował Jezuita Fényi w Kalocsa na Węgrzech wybuch na słońcu, który nastąpił z taką siłą, że dosięgnął 360.000 klm. odległości; w kwadransie nastąpił wybuch powtórny, przy którym słup ognisty z szybkością 350 klm. na sekundę wzbił się do wysokości 500.000 klm. [2], a te cyfry dają nam pojęcie następne o tem, jakie to życie, jeżeli to życiem nazwać można, panuje we wnętrzu ognistem słońca.

Nie należy jednak zapominać o tem, jak wielką ilość ciepła wysyła słońce w dalekie przestworza. Astronom francuski Fay [3], opierając się na obliczeniach Crova i Violle'a, przyjął, że metr kwadr. powierzchni słońca, wydziela 18.500 kaloryi ciepła, skąd łatwo już obliczyć ilość kaloryi, którą cała powierzchnia słońca promieniuje; wynosi ona 114 z 21 zerami kaloryi. Pomnóżmy tę ilość przez ilość sekund w ciągu dnia, a więc przez 86.400, następnie przez 365·24 czyli przez ilość dni, a uzyskamy sumę 3535 z 27 zerami, jako ilość kaloryi, wypromieniowanych przez słońce w ciągu jednego roku. Jest to ilość ciepła tak wielka, że potrafiłaby w jednej minucie stopić pierścień lodu, otaczający słońce na grubość 10·5 metra, lub podnieść temperaturę pierścienia wodnego naokoło słońca o grubości 1 metra w jednej minucie z 0° na 816·71° C. Gdybyśmy zaś wyobrazili sobie, że od ziemi ku słońcu prowadzi most, cały z lodu, mający $2^1/_4$ mil angielskich grubości i szerokości, a 20 milionów mil geogr. długości i skierować mogli całą energię cieplną słońca na ten most, to już w ciągu 1 sekundy most ów stopniałby całkowicie, a w ciągu dalszych 8 sekund przemieniłby się w parę wodną [4]. Jeżeli się teraz zważy, przez ile to tysięcy, a może i milionów lat słońce promieniowało tak olbrzymie ilości ciepła w zimne przestworza, to do dzisiejszej temperatury słońca, którą Christiansen i Warburg obliczyli na 6000° C., a Wilson i Gray na 8000° C., należałoby dodać co naj-

[1] Por. Schellen: *Die Spektralanalyse.* Bd. II, str. 194—198.
[2] Por. W. Meyer: *Das Weltgebäude.* Leipzig 1898, str. 291.
[3] Por. H. Fay: *Sur l'origine du monde.* Paris 1896, str. 221.
[4] Por. Ch. Young: *General Astronomy.* Boston 1899, str. 219.

mniej dwa zera, aby uzyskać temperaturę pierwotną słońca. W takiej zaś temperaturze wysokiej nie może być mowy o połączeniach chemicznych, czyli słońce w zaraniu swojem musiało być jakąś mgławicą gazową.

Potwierdzenie tego wyniku a zarazem i wyjaśnienie tego procesu oziębiania się znajdujemy w tem, co nam spektroskop ukazuje w królestwach mgławic. Herschel starszy oraz Laplace przypuszczali niegdyś, że mgławice są rojami gwiazd i gwiazdeczek, które nam się przedstawiają mgławicowato dlatego jedynie, iż nauka nie posiada szkieł dość potężnych, aby wyróżniać gwiazdy poszczególne w roju. Atoli w czasach naszych, dzięki astrofotografii oraz spektroskopowi, uległo zdanie powyższe całkowitej zmianie. Nie brak wprawdzie mgławic, które i dziś jeszcze są rojami gwiazd; ale spektroskop wykazuje ponad wszelką wątpliwość istnienie nierozwiązanych mgławic gazowych. Mgławice te posiadają różne formy; jedne są niemal koliste, inne owalne, to znów całkiem nieregularne, niektóre są eliptycznie wydłużone, to spiralne, jak w Ogarach, to wreszcie, jak w Andromedzie i Lutni, wyglądem swoim przypominają Saturna z pierścieniem. Otóż dyrektor obserwatoryum Licka w Kalifornii, W. W. Campbek, kreśli w następujący sposób tworzenie się gwiazd ze stadyum mgławicowatego: »Nie trudną jest rzeczą, powiada on, wskazać długi szereg dobrze znanych gwiazd, których stan nie bardzo się różni od stanu plam mgławicowych. Widma takich gwiazd zawierają linie jasne tak wodoru, jak i helu. γ i ζ Puppis do tej właśnie klasy należą... Nieco więcej zdają się od tego stanu mgławicowego oddalać takie gwiazdy, które wykazują zarówno jasne, jak i ciemne linie wodoru; można je wtedy głównie zauważyć, gdy zamieniają ukazywanie się jasnych linii w miejsce ciemnych. Gamma w Kassiopei, Pleione i My w Centaurre są tego przykładem. Blizko spokrewnione z tamtemi są gwiazdy helowe. Ciemne ich linie odpowiadają liniom wodoru oraz dwudziestu lub więcej liniom helu, jakoteż kilku słabym liniom metalowym. Białe gwiazdy w Oryonie i Plejadach są typami tej klasy. Obserwacya ich widm czyniła prawdopodobnym wniosek, że te klasy gwiazd odpowiadają stadyum dawniejszemu ich rozwoju. Przy pomocy fo-

tografii odkryto masy mgławicowe w blizkości gwiazd z jasnemi liniami, oraz gwiazd helowych, a to odkrycie świadczy w sposób zadziwiający o ich młodym wieku...

Z biegiem czasu ciepło gwiazd promieniuje w przestrzeń i ginie dla gwiazd. Z drugiej zaś strony wzrasta ich siła ciężkości na powierzchni wskutek ściągania się masy. Wówczas znikają niektóre, przez Pickeringa odkryte linie wodoru, a natomiast występują silniej jego zwykłe linie, atoli wszystkie jako linie ciemne. Pochodzące od helu linie ciemne stają się niewyraźne, natomiast występują linie ciemne wapnia i żelaza. Wega i Syryusz przedstawiają typ gwiazd w tem właśnie stadyum rozwoju.

W miarę, jak się starzeją gwiazdy, zmniejsza się siła linii wodoru, linie zaś wapnia i linie metalowe są silniejsze, barwa gwiazdy niebiesko-biała przechodzi w żółtawą, a po odbyciu kilku znanych stadyów nadchodzi stan, jaki panuje na słońcu... Gwiazdy, należące do typu naszego słońca, znajdują się blizko najwyższego punktu w rozwoju gwiazd...

Z czasem opada temperatura coraz więcej. Barwa gwiazdy przechodzi z żółtej w czerwoną, a to wskutek malejącej temperatury i silniejszej absorbcyi światła w atmosferze gwiazd. Linie wodoru stają się niewyraźne, przeciwnie linie metalowe silnie się uwydatniają, nadto zjawiają się smugi szerokie absorbcyjne. W tej klasie, do której należy α w Herkulesie, nie znamy jeszcze przyczyn tych smug, lecz w innej klasie, której przedstawicielką jest gwiazda 19-ta w Rybach, uznano, że smugi te pochodzą od połączeń węglowych. Nie ulega przytem wątpliwości, że ten typ gwiazd (IV-ty Secchiego) zbliża się ku stadyum ostatniemu swego rozwoju. Temperatura ich części zewnętrznych opadła tak dalece, że zdarzać się w nich mogą o wiele więcej złożone połączenia chemiczne, aniżeli na brzegach zewnętrznych słońca«. (Przytoczone przez Svante Arrheniusa: *Das Werden der Welten.* Lpzg. 1907. Str. 169—170).

Jeżeli teraz uwzględnimy tę okoliczność, że nasze słońce jest punktem ciążenia dla naszej ziemi jak i planet oraz planetoid i komet, i że wszystkie te ciała z niego kiedyś wziąć musiały początek, dalej i to, że takich układów, jak nasz układ pla-

netarny, istnieje w przestworzu wielkie mnóstwo, i że wszystkie one ze wspólnego źródła muszą pochodzić, za czem przemawia skonstatowana przez analizę spektralną jedność materyi, z której wszystkie ciała niebieskie są zbudowane, jakoteż fakt, że wszystkie te ciała ulegają tym samym prawom zasadniczym grawitacyi, wówczas okaże się, że punktem najdalszym, do którego nauka empiryczna dojść może przy dociekaniach nad początkiem wszechświata, będzie jakaś mgławica, rozlana po przestrzeni niezmierzonej, jakich biblijne *tohu vabohu*, z którego zwolna świat miał się tworzyć. Układ więc naszego świata okazuje się, o ile posuwamy się w przeszłość dziejów świata, jako niestały, jako podległy rozwojowi; o tem zaś, czy przed światem, obecnie istniejącym, istniał jakiś inny wszechświat, nauce ścisłej zgoła nic nie wiadomo, a twierdzeń gołosłownych Schrootta, Kleina, Mohra, Meyer'a i wielu innych nie można uważać za dowody, że światy następowały kolejno po sobie przez wieczność całą.

III.

Lecz od czegóż dogmat, że materya od wieków z siebie samej istnieje! Jeżeli zaś materya zawsze istniała, to nie widać żadnej przeszkody w tem, iżby przed naszym światem nie miał istnieć świat dawniejszy, a przed tamtym znów inny, i tak w nieskończoność — śmierć jednego świata była początkiem życia dla świata następnego. Zbadajmy tedy, co prawdy na tem, że materya sama z siebie od wieków istnieje.

Twierdzenie powyższe popierać mają dwie zasady, a to zasada niezniszczalności materyi, oraz zasada stałości energii. Chemia nowsza wykazała niezbicie, że przy wszelkich procesach chemicznych ilość materyi pozostaje niezmienną, żadna jej cząstka nie ginie ani też unicestwić się nie daje, wszelka grudka materyi zawdzięcza swe istnienie syntezie cząstek materyi, które już przedtem istniały. Z drugiej znów strony energia wszechświata ani się zwiększyć, ani też zmniejszyć nie może, lecz musi być ilością stałą; o ile bowiem traci energia aktualna, kinetyczna, o tyle zyskuje potencyalna, tak, że suma obydwóch gatunków energii jest niezmienną, gdyż w przeciwnym razie trzebaby przypuścić, iż

energia z niczego może powstawać. Atoli stałość ilości energii kinetycznej i potencyalnej w tym tylko wypadku jest możliwą, jeżeli podmiot energii czyli materya nie ulegnie zmianie co do swej ilości. Jeżeli więc materya jest niezniszczalną, a przytem suma jej energii niezmienna, to sama materya zawsze istnieć musiała i nigdy istnieć nie przestanie.

Tymczasem grubo się mylą ci, którzy mniemają, że powyższe dwie zasady naprawdę dowodzą tego, jakoby materya od wieków i na wieki istniała sama z siebie. Po pierwsze bowiem stąd, że materya nieda się unicestwić zapomocą sił materyalnych, wcale jeszcze nie wynika, jakoby nie mogła być unicestwiona przez siłę jakąś wyższą, niemateryalną. Powtóre, zasada stałości materyi, ściśle rzecz biorąc, to jedno tylko wypowiada, że póki istnieje materya, póty jej ilość ani się nie zwiększa, ani się nie zmniejsza; wcale zaś ona nie orzeka, skąd wogóle wzięła się materya, tak, iż na tej podstawie mógłbym równie dobrze twierdzić, że materya z siebie istnieje, lub, że została stworzona, albo wreszcie, że jest emanacyą z Bóstwa, jak mniemali Nowoplatończycy.

Po trzecie, zasada, o której mówimy, i tego nie określa wcale, jak długo ma ilość materyi pozostać niezmienną, tak, iż zasadzie stałości materyi zadość się staje, czy materya istnieć będzie przez wieki całe, czy też tylko przez czas pewien, ściśle określony, byle tylko przez czas istnienia materyi, jej ilość ani się nie zwiększyła, ani nie zmniejszyła. Kto więc na podstawie tej zasady dowodzi, że materya zawsze istniała i nigdy istnieć nie przestanie, ten podsuwa zasadzie swej coś, co się w niej zgoła nie zawiera, ten popełnia błąd logiczny *petitionis principii*, gdyż przyjmuje za rzecz udowodnioną to, czego wprzódy dowieść należało.

Po czwarte, zwolennicy energetyki dzisiejszej (Oswald i inni) nie widzą żadnej sprzeczności w tem, jakoby energia nie miała istnieć bez swej podściółki materyalnej; ten sam Herbart, Fechner, Lotze i t. d. przyjmowali zamiast atomów rozciągłych, jako ostatnich składników materyi, jedynie punkta wirtualnie rozciągłe, w którym to razie zniknąłby całkowicie stosunek energii do materyi, a zarazem sama zasada o stałości materyi.

Po piąte, jeżeli materya posiada istnienie z siebie samej, to nie widać racyi, czemuby nie miała zmieniać dowolnie swej ilości powiększając ją lub pomniejszając. Moglibyśmy nie dostrzegać przyrostu lub ubytku w ilości jej cząstek, to rzecz inna; ale nie mielibyśmy prawa twierdzić na pewno, że ta ilość jest zawsze stała; w ślad znów za zmianą ilości materyi, musiałaby ulegać zmianom także i ilość energii we wszechświecie istniejącej. A tak zasady, które rzekomo miały wykazać, że wszechświat obejść się może bez Stwórcy, nie tylko nie czynią tego, lecz owszem domagają się tem usilniej istnienia Przyczyny pozaświatowej, od której stałość ilości materyi i energii wszechświata pochodzi.

A może istota materyi jest tego rodzaju, że materya nie może nie istnieć, czyli, że musi istnieć zawsze? Na to odpowiadam, że jest bezwątpienia rzeczą trudną wyobrazić sobie, iż te miliardy jestestw widzialnych, które nas otaczają, że to wszystko, co szatę materyi nosi, naraz zniknęło gdzieś, przepadło z kretesem w głębiach nicości. Czego jednak wyobrazić sobie nie zdołamy, to jeszcze nie musi to być wewnętrznie niemożliwie, a to, co wewnętrznej nie zawiera sprzeczności, może być przez nas pomyślane. Nie możemy sobie wyobrazić np. myriagona, tysiącokąta, bo już przy kilkunastu liniach, przecinających się na to, aby utworzone zostały kąty, doznamy we wyobraźni niepośledniej trudności, a cóż dopiero, gdybyśmy mieli wyobrazić sobie 1000 linii przecinających się tak, aby zostało utworzonych 1000 kątów! A jednak dobrze to pojmujemy, że taka figura jest możliwa, że nie zawiera się w jej pojęciu żadna sprzeczność. Gdybym jednak spróbował pomyśleć sobie koło trójkątne, od razu spostrzegę, że taka figura jest niemożliwa, jako zawierająca znamiona sprzeczne i wzajemnie się wykluczające, gdyż żadne koło nie może być trójkątem, ani trójkąt kołem. Otóż żadna sprzeczność nie zawiera się w tem, jeżeli sobie pomyślimy, iż materya nie istnieje, że nigdy nie istniała, a to byłoby niedopuszczalne, gdyby do istoty materyi należała ta cecha, że materya musi istnieć. Kto chce mieć pojęcie koła, musi sobie je pomyśleć jako taką figurę, w której każdy punkt obwodu jest równo odległy od punktu środkowego. Gdyby więc do istoty materyi należało, aby istniała, to myśląc o materyi,

musiałbym zarazem i to pomyśleć, że materya zawsze istniała i nigdy istnieć nie przestanie, podczas gdy w rzeczywistości myśląc o materyi, mogę sobie i to pomyśleć, że materya zgoła nie istnieje, jak to czynili Eleaci oraz dynamiści czasów późniejszych: Boscovič oraz Leibnitz. Jeżeli atoli możliwą jest rzeczą pomyśleć sobie, że materya nie istnieje, czyli jeżeli istnienie nie jest związane z istotą materyi, to gdy materya rzeczywiście istnieje, musi ona to istnienie zawdzięczać jakiejś przyczynie zewnętrznej, a nie swej własnej istocie.

Do tego samego rezultatu dojdziemy, jeżeli uwzględnimy inne cechy materyi. Jak nas zapewnia jeden z najwybitniejszych fizyków doby dzisiejszej: Oliver Lodge [1], jest bezwładność cechą najbardziej zasadniczą materyi, a nawet wtenczas, gdybyśmy sobie pomyśleli całą materyę, jako sumę elektronów, a więc bajecznie małych atomów, wyposażonych we względnie wielką energię elektryczną, nie zniknie bezwładność, skoro jest cechą istotną materyi. Otóż w przypuszczeniu, że materya ze swej istoty posiada istnienie, mogłyby jej cząstki być albo w ruchu, albo w spoczynku. Jeżeli przyjmiemy możliwość pierwszą, wówczas sprzeczność istniałaby w łonie samej materyi, bo z jednej strony jej cząstki byłyby w ruchu, z drugiej dążyłyby do równowagi i spoczynku; jeżeli znów przyjmiemy możliwość drugą, musiałaby cała materya pozostać w stanie spoczynku bezwzględnego, a tem samem materya nie mogłaby się była zróżniczkować w te miliardy jestestw, jakie faktycznie widzimy. Niech przytem pogodzi, kto może, te dwie cechy: bezwładność z tą potęgą nieskończoną, jaka potrzebna była, aby materya sama sobie dała istnienie! Zresztą, gdyby nawet materya sama mogła się wprawiać w ruch, powinnyby wszystkie jej cząstki posiadać tę samą formę ruchu, a więc albo ruch, właściwy elektryczności, albo chemiczny, albo drobinowy, a to znaczy, że materya byłaby musiała pozostać w spoczynku bezwzględnym, bo ruch, i z niego wyłaniający się rozwój jestestw, jest możliwy tylko wówczas, jeżeli istnieje ruch różnorodny i możliwość przemiany jednej formy energii na inną.

---

[1] Por. Oliver Lodge: *Life and matter*. London 1905, str. 27.

Zważmy i to, że inną cechą materyi jest podzielność. Nie znamy wprawdzie granic ostatecznych, do których można doprowadzić podzielność materyi, lecz to, co nam prawi ultramikroskopia dzisiejsza, wydoskonalona w czasach ostatnich przez Siedentopfa, Zsigmondy'ego, Cottona i Montona [1], okazuje, że materya daje się dzielić na cząsteczki, zdumiewająco maleńkie. Otóż dziwny to zaprawdę byt, ta materya, która nie chciała, choć mogła była skupić wszystkich cząstek i istnieć jako jestestwo proste, ale wolała istnieć rozłożona na cząstki. Jeżeli materya naprawdę sama byt sobie dała, to z tą mocą wprost bezwzględną absolutnie się nie godzi ta niedoskonałość, iż materya jest podzielna na części, gdyż być rozciągłym w przestrzeni, nie jest to cechą dodatnią, tylko ujemną, jest niedoskonałością, bo wówczas byt całości jest zawisły od bytu jej części.

Jeżeli dalej materya sama dała sobie istnienie, znów rzecz to niezrozumiała, czemu materya rozróżniła się na owe, chemii znane pierwiastki? Wszak idea jedności i tożsamości wymaga, iżby materya istniała albo jako tlen, albo wodor, azot i t. d., ale wprost niepojętą jest rzeczą, jak mimo swej bezwładności wystąpić mogła pod formą stukilkunastu pierwiastków, z których każdy posiada swe własności specyficzne, wyróżniające go od innych pierwiastków.

Gdy wreszcie uwzględnimy tę okoliczność, iż materya z natury swej jest obojętną na stan skupienia swych cząstek, a jednak występuje w stanach ściśle określonych, nadto, że każda jej cząstka musi zajmować miejsce ściśle określone, wskutek czego i cała materya musi być ogarnięta przestrzenią, dalej, że ta materya występuje jako żywa i martwa, że w przewidywaniu z góry zamierzonego celu grupuje swe cząstki, aby raz ukazać się jako roślina, to znów jako zwierzę lub człowiek, to te objawy jej różnorodne tylko w ten sposób wyrozumieć zdołamy, jeżeli przyjmiemy, że jak ukształtowanie materyi według praw stałych, tak i istnienie zostało jej dane przez Przyczynę zewnętrzną, a Przyczynę dość potężną, iżby mogła aktem swej woli z niebędącej uczynić materyę

[1] Por. *Wszechświat.* Nr. 6. Warszawa 1908, str. 83 nast.

istniejącą, czyli aby ją stworzyć mogła. To też materyaliści i ateiści żadną miarą powoływać się nie mogą na prawo przyczynowości w tej błogiej nadziei, iż gdy przyjmą szereg nieskończony skutków i ich przyczyn, to ten szereg nie będzie wymagał istnienia jakiejś Przyczyny bezwzględnej, Boga, lecz sam sobie całkowicie wystarczyć zdoła. Kto tak rzecz pojmuje, zdradza, że nie rozumie istoty prawa przyczynowości. Choć nie widzę przy zegarku stojącego zegarmistrza, jestem jednak pewny, że zegarek sam się nie zrobił; ale gdy widzę wszechświat jako cudownie celowo urządzoną całość, mamże uwierzyć, że ten wszechświat sam się urządził? W takim razie wystarczy mi pomyśleć szereg nieskończony zegarków, a wówczas podług wywodu materyalistów muszę być przekony, że ten szereg sam się zrobił i nie potrzebował żadnego zegarmistrza. Dobrze powiada Reinke: »Znajomość przyrody prowadzi nieuniknienie do idei Boga, i właśnie na mocy to prawa przyczynowości jesteśmy, podług mego zdania, Boga tak pewni, jak istnienia przyrody. Filozofia sceptyczna może temu wnioskowaniu nadać tylko skromny stopień prawdopodobieństwa lub nazwać je niefilozoficznem... tymczasem przyjęcie Boga nie jest urojeniem, ale indukcyą. Odnajdujemy Go zapomocą tej samej metody, co i prawa natury; jeżeli zaś nie posiadamy narządu zmysłowego, aby Go dojrzeć, to ta okoliczność nie może przemawiać przeciwko Jego istnieniu... Gdyby bowiem człowiek nie posiadał wzroku, wówczas nie widziałby przedmiotów tego świata, a przecież ich istnienie niemniej byłoby prawdziwe. Chociaż więc Boga nie widzimy nawet przez teleskopy i zapomocą mikroskopu ujrzeć go nie możemy, ani też zapomocą reakcyi chemicznych wykazać Go nie zdołamy, to nie jest to argumentem przeciwko Jego istnieniu« [1].

V.

Atoli i co do przyszłości stawia nauka dzisiejsza horoskopy nie bardzo pomyślne, a w każdym razie nie takie, jakichby pragnęły niektóre koła myślicieli. Horoskopy te nie są bynajmniej

[1] Por. Reinke: *Welt als Tat.* Berlin 1905, str. 479.

przypuszczeniami dowolnemi, ale konsekwencyami ze znanych pewników termodynamiki i nauki o energii.

Energią zwiemy możność fizyczną wykonania jakiejś pracy. Różne są formy energii; jest energia położenia, np. ciało ciężkie, położone wyżej nad powierzchnią ziemi, ma więcej energii, aniżeli wtenczas, gdy spoczywa na ziemi; jest dalej energia ruchu, np. kula wystrzałowa posiada energię, która jest proporcyonalna do masy kuli i kwadratu jej chyżości; inny rodzaj energii, to ciepło, które jest skutkiem ruchu drobin w danem ciele; nagromadzenie energii mamy także w akumulatorach elektrycznych, w procesach chemicznych i t. d. W miarę, jak energia jakaś wykonywa pracę, zmniejsza się jej zasób o tyle, ile pod wpływem energii zyskano jednostek pracy. Tak np. zmniejsza się napięcie pary wodnej, która musi tłok poruszać; opada sprężyna po wykonaniu jakiejś pracy; woda, obracająca koło młyńskie, traci siłę swego spadku i chyżość, znika wreszcie energia chemiczna, nagromadzona w prochu strzelniczym, gdy przez jego spalenie zostanie kula w ruch wprawiona i t. d. Aby zaś taka zamiana energii na pracę mogła nastąpić, potrzebne są dwa układy materyalne, z których jeden oddaje energię, a drugi ją odbiera we formie pracy w tej mierze, w jakiej tamten układ tracił energię. Tak np. przechodzi energia mechaniczna wody na koło, z koła na kamienie młyńskie i t. d., energia znów cieplna z palącego się węgla udziela się wodzie, w której cząsteczki ze stanu ciekłego przechodzą w stan lotny, a ich energia udziela się tłokowi, który wprawia w ruch całą maszynę. Tam znów, gdzie ciało, będące w ruchu, uderzy o inne ciało cięższe, tak, iż tego ostatniego nie będzie mogło wyruszyć z miejsca, nie zamieni się energia ciała uderzającego w nicość, nie przepadnie, lecz objawi się we formie ruchu drobin ciała uderzonego, które wskutek tego się rozgrzeje.

Pokazuje się atoli stąd, że można jedną formę energii zamienić na inną jej postać, pracę mechaniczną w ciepło, ciepło znów w pracę i to w stosunkach, dających się ściśle oznaczyć. Chociaż jednak w teoryi ta zamiana ostatnia, mianowicie ciepła w pracę, jest możliwa, w praktyce atoli nie da się cała ilość energii cieplnej zamienić na pracę, gdyż część ciepła zniknie bez pożytku

dla pracy, bo ciepło z natury swej dąży do rozmieszczenia się równomiernego w otaczających je ciałach. Jeżeli atoli taka jest natura ciepła, i jeżeli przy przemianach form energii jedno tylko ciepło stale zyskuje, to z czasem ciepło we wszystkich ciałach będzie równomiernie rozmieszczone, czyli że ustawicznie zmierza entropia (ἐν—τροπή=zamiana) wszechświata do swego *maximum*. Wyobraźmy sobie pokój idealny, mianowicie taki, żeby ciepło nigdzie z niego nie uchodziło, ani też do niego nie dochodziło; powstawiajmy weń przedmioty o różnych temperaturach, a przekonalibyśmy się po pewnym czasie, że wszystkie te przedmioty posiadać będą temperaturę jednakową, bo ciepło z ciał cieplejszych już to przez promieniowanie, już też przez przewodnictwo udzielać się będzie ciałom o niższej temperaturze, póki w całym pokoju nie nastąpi ciepłota jednakowa. Takim pokojem według Clausiusa jest właśnie nasz wszechświat[1]. Lecz rozmieszczenie ciepła jednakowo we wszystkich ciałach pociąga za sobą zanik wszelkiej pracy, bo praca tam tylko możliwa, gdzie ruch, a ruch znów zjawia się jako skutek różnych od siebie energii; gdzie więc niemożliwą się okaże zamiana ciepła w inne energie, tam ani ruchu, ani pracy być nie może.

Zastosujmy te dane termodynamiki do naszego układu słonecznego. Wiemy, jak wielką ilość energii cieplnej wysyła słońce w przestworza. Lord Kelvin obliczył, że gdyby masa słoneczna była zbudowana z węgla kamiennego, to energia cieplna słońca wyczerpałaby się już w ciągu 8.000 lat; taki wynik jest niezgodny z rzeczywistością, wobec czego astronomowie i fizycy poczęli się zastanawiać nad źródłem, z którego słońce czerpie zapasy swej energii olbrzymiej. Aby pokryć ubytek roczny energii termicznej słońca, potrzebaby w każdej sekundzie dorzucić do jego wielkiego pieca 11.600 bilionów ton węgla, albo rocznie 90 takich brył węgla, jak cała nasza ziemia[2]. Przypuszczano tedy, że źródłem

---

[1] Por. dr. R. Schweitzer: *Die Energie und Entropie der Naturkräfte*. Köln 1903, str. 16 nast. — Prof. August Witkowski: »Zasady fizyki«. Warszawa 1904, str. 221 nast.

[2] Por. dr. Joseph Pohle: *Die Sternenwelten und ihre Bewohner*. Köln 1906, str. 161.

tej energii jest proces chemiczny w łonie samego słońca; atoli astronom Fay [1] obliczył, że gdyby słońce było zbudowane z dwóch, najwięcej ciepła przy swem spaleniu wydzielających pierwiastków krzemu i tlenu, gdyż 1 klgr. tej mieszaniny daje 3650 kaloryi, to słońce już w ciągu 2040 lat utraciłoby całą swą energię cieplną. Newton, R. Mayer i inni sądzili, że na słońce spadają komety i meteoryty i równoważą w ten sposób ubytek jego ciepła. Fay obliczył, że gdyby 1 klg. materyi w chwili upadku na słońce posiadał chyżości 616.000 metrów na sekundę (taką chyżość posiadała kometa, obserwowana w r. 1843, w punkcie przysłonecznym), to z upadku owego kilograma wywiązałoby się wprawdzie 45.10^6 kaloryi, atoli już w ciągu 2000 lat powiększyłaby się masa słońca o $\frac{1}{13000}$, a takie powiększenie się masy słońca pociągnęłoby za sobą raptowne posuwanie się ziemi ku słońcu; tymczasem odległość ziemi od słońca nie zmieniła się w czasach historycznych, skąd wynika, że masy słonecznej nie przybywa. Wobec tego przyjął Helmholz [2] inną hipotezę, mianowicie że pod wpływem zgęszczania się jądra słonecznego czyli przez posuwanie się pierwiastków cięższych ku środkowi masy zamienia się energia potencyalna owych pierwiastków w kinetyczną, przez co ciepło się wytwarza w takiej ilości, że podług rachunku Maxwella wystarcza skurczenie się średnicy słońca o 39·15 metrów rocznie, aby została wytworzona ilość ciepła, jaką słońce zdoła wypromieniować w ciągu roku. Według obliczeń Helmholza wypada, że gdyby słońce żadnego innego źródła swej energii cieplnej nie posiadało, tylko zgęszczenie własnej masy, mogłoby słońce przez 17 milionów lat promieniować jednakową ilość ciepła. W ostatnich czasach zwrócono uwagę na inne źródło promieniowania, a to na rad i hel [3]. Przekonano się, że 1 gram radu daje 100 kaloryi w godzinie, wobec czego obliczono, że wystarcza 3·6 gramów radu na każdy metr kubiczny słońca, aby wynagrodzić utratę roczną jego

[1] Por. Fay: dz. w. prz. str. 223.

[2] Por. Helmholz: *Vorträge und Reden.* v Aufl. Bd. II, str. 85. Braunschweig 1903.

[3] Por. Robert Kennedy Duncan: *The new Knowledge.* London 1907, str. 172.

energii cieplnej, skąd znów lord Kelwin doszedł, iż zdolność promieniowania słońca trwałaby 480 milionów lat. Atoli badania spektroskopiczne C. Runge'a i Precht'a (1903) nie wykazały istnienia radu na słońcu, za to istnieje tam niewątpliwie hel.

Lecz jakiekolwiek przyjmiemy źródło energii cieplnej w słońcu, nie ulega wątpliwości, że ono się wyczerpnie, w ślad za czem nastąpi okres oziębiania się coraz większego. Potężne masy oparów metalowych, które istnieją na słońcu we formie gazów, utworzą mgłę nieprzeźroczystą, okrywającą płynne, do białości rozżarzone jądro słoneczne. Słońce utraci wskutek tego swój blask obecny, jego światło białe zamieni się zwolna w czerwone; lecz i to kiedyś ustąpi, a słońce stanie się kolosem ciemnym, bez światła, a takich kolosów zna astronomia dzisiejsza ilość dość znaczną.

Nim jednak słońce dojdzie do tego stadyum istnienia swego, przebiegnie ziemia o wiele wcześniej stadya swego rozwoju. Obliczono, że w ciągu 7—10 milionów lat cała powierzchnia obecna lądu stałego przeniesie się w morza pod wpływem erozyi, denudacyi czyli pod wpływem deszczów, mrozów, wody bieżącej i fal morskich, które pracują nieustannie nad niszczeniem skał, choćby najtwardszych [1]. W miarę jednak, jak jedne morza tracić będą na głębokości wskutek osadów, musi dno innych podnosić się, zaczem nowe się ukażą kontynenty w miejsce dzisiejszych, a równocześnie dno wielkich oceanów musi się obsuwać coraz głębiej w celu utrzymania równowagi. Naciskanie na jądro ziemi pociągnie za sobą miażdżenie części słabiej spojonych, przez co pod wpływem ciśnienia skośnego powstać muszą nowe pasma gór. Wskutek ogólnego obniżenia się ciepłoty ziemi stanie się rozwój i utrzymanie życia na ziemi niemożliwe, co i z tego powodu nastąpić musi, iż coraz większy objawiał się będzie brak wody, która bezustannie wsiąka w głąb ziemi lub schwytana bywa w różnych związkach chemicznych.

Śladami ziemi pójdą i planety, a na ich czele te, które są dalej od słońca położone. Smutny ten horoskop dotknie więc

[1] Por. M. Neumeyr: »Dzieje ziemi«. Tom I. Wydał J. Morozewicz. Warszawa 1906, str. 92.

w pierwszym rzędzie Marsa, po nim przyjdzie kolej na Wenus i Merkura; Jowisza i Saturna będzie chronił jakiś czas od zamarznięcia większy zapas własnego ciepła. Nie potrzeba zaś dodawać, że los, jakiemu ulegnie nasz układ planetarny, stanie się udziałem i innych systemów słonecznych, bo jedne są prawa natury. Jedne z nich wcześniej, aniżeli nasz system słoneczny, inne po długich okresach czasu dojdą do stanu, w których jako bryły ciemne będą błądziły po przestworach niebieskich.

Czy na zawsze? Nikt z ludzi nie może powiedzieć coś pewnego w tej mierze. Bronią wprawdzie tego zdania niektórzy astronomowie, natomiast inni sądzą, że wskutek zmniejszania się objętości mas planetarnych pod wpływem zgęszczania się ich materyi staną się ich drogi obiegowe izochroniczne, z obrotami około własnych osi, jak to się stało z księżycem; ze zmniejszaniem się zaś mas muszą się one posuwać coraz bliżej ku słońcu, póki na niego nie spadną[1], co pociągnęłoby za sobą straszny pożar ciała spadającego. Astronomia dzisiejsza zna już wypadki takich katastrof, a w szczególności co do ziemi bynajmniej nie jest wykluczona możliwość, iż pożar na niej powstać może wskutek zderzenia się z nią komety, których do 20 milionów błąka się pomiędzy gwiazdami stałymi. Zazwyczaj wyśmiewaną bywa wiara pospólstwa, że ukazanie się komety jest zapowiedzią zbliżającego się nieszczęścia. Czy jednak nie przebija się w tej wierze zabobonnej jakiś lęk mimowolny przed skutkami takiego zderzenia? Byłoby się naprawdę czego lękać. »Przypuśćmy, powiada Braun, że jądro komety, mającej $\frac{1}{10000}$ masy ziemi, uderzy o ziemię; wyniosłoby to 270.000 mil □ geograficznych, czyli 110 milionów klm. □ masy, posiadającej gęstość ziemi, lub też około 580.000 □ mil geogr. = 227 milionów □ klm. masy o gęstości naszych gór. Masa ta zbliżałaby się z chyżością kosmiczną 6 mil geogr. na sekundę, to znaczy, z chyżością około 70 razy większą od chyżości naszych najlepszych dział nowoczesnych. Jasnem jest, że skutki takiego uderzenia przechodzą wszelkie nasze wyobrażenie. Siła bowiem zniszczenia przez ciało uderzające wywołana, jest proporcyonalną

[1] Por. Lapparent: *Science et apologetique.* Paris 1905, str. 170 nast.

do kwadratu chyżości, a więc skutek byłby mniej więcej taki sam, jak gdyby o ziemię uderzyło ciało, mające tę samą, co i ona masę, za to z chyżością kuli działowej. Takiej katastrofy nie przeżyłby żaden człowiek nawet w tym wypadku, gdyby owa masa wywiązała energię 1000 razy mniejszą« [1].

Gdyby nawet jądro komety obeszło się łaskawie z ziemią, a tylko warkocz komety lekko musnął powierzchnię ziemi, pociągnęłoby to za sobą zniszczenie życia. Przedewszystkiem bowiem nacisk takiej masy gazów, jakie się mieszczą w ogonie komety, spowodowałby najstraszniejszy orkan. Atoli analiza spektralna wykazała, że warkocze komet zawierają wielką ilość węglowodorów, a więc związków, które w kopalniach węgla wywołują tak straszne spustoszenia i pozbawiają życia rok rocznie tysiące ofiar. Gazy zaś te nie tylko zatrułyby całkowicie powietrze, ale w dodatku wskutek zetknięcia się z tlenem, musiałyby wzniecić pożar na całej powierzchni ziemi.

Wynikałoby stąd, że nauka wcale nie zakłada swego *veto* przeciwko słowom natchnionych pisarzy. Św. Jan Ewang. pisze w księdze Objawienia: »I widziałem, gdy otworzył szóstą pieczęć, a oto stało się wielkie trzęsienie ziemi, i słońce stało się czarne, jako wór włosiany, i księżyc wszystek stał się jako krew. A gwiazdy z nieba upadły na ziemię, jako drzewo figowe zrzuca niedojrzałe figi swoje, gdy od wiatru wielkiego bywa zatrzęsione. A niebo odstąpiło jako księgi zwinione, a wszelka góra i wyspy z swoich miejsc są poruszone« (Jan VI, 12—14). »A dzień Pański przyjdzie jako złodziej, w który niebiosa z wielkim szumem przeniknią, a żywioły od gorąca rozprószą się, a ziemia i dzieła, które na niej są, popalone będą« (Piotr, II list, rozdz. III, w. 10)[2].

Przeciwko takim wynikom, które przepowiada Pismo św., a przewiduje nauka jako możliwe, oburącz bronią się ci, którzy nie chcą słyszeć o żadnej Przyczynie pozaświatowej, ci, którzy mniemają, że świat jest sam z siebie dobrze urządzoną maszyną,

---

[1] Por. Dr. Carl Braun S. J.: *Über Kosmogonie vom Standpunkt christlicher Wissenschaft.* III Aufl. Münster 1905, str. 383.

[2] Por. także: św. Mateusz r. 24 w. 29 nast., św. Łukasz r. 21 w. 35 n.

maszyną, która nawet wówczas, gdy wszystkie jej koła i kółka zbiją się w jedną masę, dość znajdzie w sobie sił, aby z nich powstać mógł świat nowy. Gdy się wypalą słońca, poczną się zbliżać ku sobie, a z ich zderzenia powstanie tyle energii, że z tej nowej mgławicy kosmicznej tworzyć się pocznie świat nowy o swych własnych siłach podług praw mechaniki, którym ulega materya. Tak między innymi mniemają Walter von Walthoffen [1], Mach [2], Newcomb, Klein, Mohr, R. Falb, du Prel [3] i t. d.

Tymczasem nie ulega wątpliwości, że skoro nie można wychwytać energii, która w postaci ciepła się objawiła, to każda nowa próba utworzenia świata z rozbitków świata dawniejszego daćby musiała rezultaty coraz gorsze tak, jak się wyczerpuje energia ruchu bąka, wprawionego w ruch ręką chłopca. Jeżeli *perpetuum mobile* w zamkniętym jakimś systemie sił jest niemożliwe, to nie widać racyi, czemuby miało być inaczej odnośnie do całego świata. Nawet w tym wypadku, że się przyjmie, jak chce Mach i Walthoffen, wszechświat nieskończony, *perpetuum mobile* nie byłoby możliwe, bo z jednej strony cechy istotne materyi będą jej właściwe bez względu na jej wielkość, inaczej trzebaby przypuścić, że całość posiada przymiot, którego nie posiadają jej części, a powtóre rozmieszczanie się równomierne ciepła odbywaćby się musiało jednakowo we wszystkich częściach nieskończenie wielkiej masy materyi, przez co stosunek ciepła do pracy byłby taki sam, jak i wówczas, gdy mamy do czynienia z jakąś ograniczoną ilością materyi w ruchu będącej. Walthoffenowi się wydaje, iż gdy się przyjmie wszechświat nieskończony, wówczas możliwe będzie, iż gdy jedne części wszechświata dopiero zmierzać będą do końca swego rozwoju, to inne pospadawszy na siebie dadzą początek nowej mgławicy, z której wyłaniać

---

[1] Dr. Hippolyt Walter von Walthoffen: *Das Weltproblem und der Weltprocess.* Wien 1904, str. 39.

[2] Por. Franz Mach: *Das Religions-und Weltproblem* Dresden 1904, tom I, str. 104.

[3] Por. Karol du Prel: *Der Kampf um's Dasein am Himmel.* 1876, str. 217 nast. oraz tegoż: *Die Planetenbewohner.* Leipzig 1886.

się pocznie układ planetarny, wskutek czego możliwy jest: *ein ewiger Kreislauf.*

Otóż bez wątpienia rozwój poszczególnych ciał niebieskich nie w jednakowem tempie się odbywa, bo zależy to w pierwszym rzędzie od wielkości ich masy i ilości ciepła początkowego, a powtóre od odległości większej lub mniejszej względem ciała środkowego, względem jakiegoś słońca. To też na księżycu, który stanowi $^1/_{80}$ masy ziemi, nie widać atmosfery, a temperaturę jego obliczyli lord Rosse, Neison i Carpenter na + 150° C (przez $14^3/_4$ dnia, kiedy słońce jest nad horyzontem), oraz na —130° C (przez $14^3/_4$ dnia, gdy słońce pod horyzontem), gdy tymczasem na ziemi życie kwitnie i rozwija się w całej pełni; ale rezultat ostateczny tak małych, jak i wielkich ciał jest jednakowy, to jest zamarcie na nich wszelkiego ruchu. Jeżeli zaś Walthoffen i du Prel sądzą, że gdyby wszystkie planety, planetoidy, komety i meteoryty, które w myśl hypotezy Laplace'a miały powstać z tej samej mgławicy, co i słońce, spadły na słońce, to powstałaby taka sama mgławica, jak ongi przed milionami lat, to na to odpowiedzieć można, iż gdyby nie tylko planety z całym swym orszakiem, będące tylko częścią pewną masy słońca, ale drugie takie słońce, jak nasze, zderzyło się z niem, wówczas stąd powstała kula mogłaby zająć przestrzeń, której wielkość byłaby dwa razy większa od średnicy każdego słońca. Co więcej, gdyby nie dwa słońca, lecz 20—100 milionów gwiazd na siebie pospadało, nie utworzyłyby mgławicy o tej rozciągłości, jaką posiada nasz tylko system słoneczny, a tylko odpowiednio zostałaby spotęgowana zdolność promieniowania słońca, zdolność, która wobec masy skończonej tych ciał także musiałaby być skończona.

Inny środek obronny przeciw drugiemu prawu termodynamiki i konsekwencyom, do których ono wiedzie, wskazał W. Siemens. Powiada on[1], że przestrzenie międzyplanetarne nie są puste, lecz wypełnione gazami jak wodor, węgiel, tlen, azot, kwas węglowy, i to o gęstości $^1/_{2000}$ gęstości naszej atmosfery. Pod wpływem ezotacyi słońca muszą owe gazy wirować w płaszczyźnie

[1] Por. Braun dz. w. prz. str. 363 nast.

równika, skąd znów siła odśrodkowa słońca je odpędza, a na ich miejsce inne masy gazowe posuwają się w stronę biegunów słońca; gdy się zaś dostaną w sferę działania słońca, podlegają ciśnieniu gwałtownemu, które powoduje ich rozżarzenie. Tak więc proces promieniowania wiecznie odbywać się może, bo na miejsce wypromieniowanej ilości ciepła zjawiają się inne ilości, dostarczane przez owe gazy.

Atoli z trzech powodów odrzucić należy wniosek Siemensa. Po pierwsze wiadomo, że 2 klgr. wodoru i 16 klgr. tlenu dają przy spaleniu swojem 69.000 kaloryi. Aby więc z tej mieszaniny było można uzyskać ilość energii cieplnej w słońcu, potrzebaby było 1137 kwatrylionów tej mieszaniny; tymczasem masa słońca wynosi 1,990.127 kwatrylionów; zatem tamta masa byłaby 1750 częścią masy słońca. Nadto, aby owe masy gazowe ściągnąć można było z okolic podbiegunowych słońca ku równikowi, i nadać im chyżość jakich 2000 metrów w sekundzie, potrzebaby znacznej energii, tak że według rachunku Brauna, już w ciągu 710 lat nastąpiłoby wyczerpanie całkowite energii słońca na wykonywanie powyższej pracy.

Powtóre, gdyby przestrzenie międzyplanetarne były wypełnione gazami o takiej gęstości, jak przyjął Siemens, wówczas planety doznawałyby oporu znacznego w swym biegu, a to co do ziemi spowodowałoby zmniejszenie dnia według rachunku Brauna o $^1/_{1117}$ długości roku obecnego, to znaczy, że średnica orbity ziemskiej musiałaby się zmniejszyć o powyższy ułamek, wskutek czego planety musiałyby się zbliżać zanadto raptownie ku słońcu; ziemia np. spadłaby już w ciągu 100 lat na słońce. Takiemu rezultatowi sprzeciwiają się dane astronomii.

Po trzecie w przypuszczeniu Siemensa promieniowanie słońca pochodziłoby tylko z utleniania się gazów, a wynikła stąd temperatura nie przenosiłaby jakich 2600° C; tymczasem temperatura na powierzchni słońca wynosi od 6000—8000° C.

Wkońcu Svante Arrhenius mniema, że ujdzie konsekwencyom drugiego prawa termodynamiki (ciepło z ciała zimniejszego nie przenosi się samo z siebie na ciało cieplejsze), przyjąwszy, że to, co entropia zyskuje przez promieniowanie słońc, zostaje

wyrównane przez zwiększanie się temperatury w mgławicach, które ściągają ku sobie materyał gazowy, pochodzący z rozbicia gwiazd [1]. Niech nam jednak wolno będzie zapytać się, czy mgławice są skończone w przestrzeni, i czy posiadają temperaturę, dającą się wyrazić zapomocą liczb? Jeżeli tak — a inna odpowiedź jest niemożliwa — wówczas i co do mgławic zachodzić musi entropia, boć i one posiadają zdolność promieniowania.

Wszelako zburzenie obecnego układu świata nie znaczy jeszcze jego unicestwienia. Nauka jednak nie może się posunąć poza ten kres, jaki da się przewidzieć, nie może powiedzieć, jakie będą dalsze losy zatamowanego biegu świata. To pewne, że o własnych siłach nie podniesie się on ze swej ruiny. Za to pocieszającą odpowiedź daje w tym względzie Pismo św. »Oto ja tworzę, mówi Duch św. przez usta Izajasza r. 65 w. 17, niebiosa nowe i ziemię nową«. Św. Jan Ewang. pisze w Apokalipsie r. 21, w. 5: »I widziałem niebo nowe i ziemię nową. Albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeszły«.

[1] Svante Arrhenius dz. w. prz. str. 190.

Ks. dr. Fr. Gabryl.

PO ZWYCIĘSKIEJ WOJNIE.

WIELKIE DIONYSIA.

W one dni świąteczne, przypadające na pierwszy wiosenny miesiąc Elafebolion, istny szał ogarniał zawsze Atheny. Od rana do wieczora przeciągały po mieście uwieńczone bluszczem, podochocone winem gromady, które z pełnych dzbanów przypijały do siebie, wśród śmiechów, żartów, orgiastycznych skoków, śpiewów i nieustannych okrzyków: *Euoj!* Umajone młodą zielenią i kwieciem ołtarze Dionysosa i matki jego thebańskiej Semeli, bez przerwy dymiły kadzidłem, a dokoła tłumy ludu, wziąwszy się za ręce, hasały bez upamiętania, przy odgłosie muzyki przy pieśniach i klaskaniu w dłonie. Wino lało się strumieniami; trzeźwość była dziś przywarą: w pląsach, śpiewaniu i piciu starzy nie ustępowali młodym, stateczne niewiasty dziewczętom zawsze tak cichym i skromnym. Szalał kto żyw!

Na agorze spustoszonej wojną, do południa skończyły się uroczyste ofiary, które sprawował archon-król w otoczeniu całej Rady. Sto brodatych kozłów padło pod nożem. Ich piszczele, tłuszczem owinięte płonęły w ofiarnym ogniu, mięsiwo zasię pożywał lud, winem je gęsto skrapiając, a przy wtórze fletni, forming i bębenków zgodnymi głosami śpiewał chór:

Który sprawia, iże młody
W znojne gotów iść zawody
I w żądzach niewyczerpany
Nie opada z nóg;

Który w skoczne wprawia tany
Rej tancerzy rozhulany —
Zstąpił na nas bóg!

I tłum do rytmu przytupując nogami, a dzbany pełne do góry podnosząc, gromko zawtórował: »Zstąpił na nas bóg!« poczem pieśń chóru popłynęła dalej, radosna, upojona, skrzydlata:

Nam śmiertelnym na pożytek
Czarodziejski dał napitek,
Co wszelakie troski leczy,
Płód złocistych gron;
A gdy pełne drogiej cieczy,
Któż je trzyma w swojej pieczy
Jeżeli nie on!?

Kiedy grona się obrzeże,
On w opiekę ludzi bierze,
Iżby, zdrowi, wszyscy w grodzie
Pili winny sok:
Zdrowi — w pięknych ciał urodzie,
Zdrowi — w lubej serc pogodzie
Aż po przyszły rok!

Nieopisany zapał ogarnął wszystkich: ręce sięgały po czasze owite bluszczem, twarzy płonęły, skrzyły się oczy, z ust rozchylonych upojeniem wyrywała się żwawa, dźwięczna melodya tej ulubionej pieśni, w której przelewała się rozkoszna pełnia helleńskiego życia:

Zdrowi — w pięknych ciał urodzie
Zdrowi — w lubej serc pogodzie...

Tak aż do nocy płynęły śpiewy i strugi wina i szalone godziny tego pierwszego dnia Dionysejskich świąt.

*

Nazajutrz o świcie miasto wyległo całe na stok południowy Akropolu i na płaskie dachy domów poblizkich w dzielnicy zwanej Kydathenajon. Z najdalszych stron Attyki nadciągnęły także nieprzejrzane tłumy. Wszyscy czekali na uroczysty pochód, który wyruszyć miał z Lenajonu, niewielkiej świątnicy Dionysosa położonej tuż poniżej teatru. Znajdował się w niej drewniany, prastary posąg boga pochodzący pono z Eleutheraj na pograniczu Bojotii, skąd cześć Dionysosa w niepamiętnych czasach rozpowszechniła

się po całym kraju. Dawniej wizerunek ten odwieczny miał swój przybytek w starej świątyńce na drodze do gaju Akademosa; później dopiero przeniesiono go do Lenejonu. Na tę pamiątkę co roku gromadna *theoria* prowadziła posąg przez główne ulice aż do podmiejskiej onej świątyńki, gdzie ofiary składano, poczem towarzyszyła mu do Lenajonu z powrotem.

W ciżbie gwarno było jak w ulu. Rozmowy nie ustawały. Tam opowiadano sobie, jak to podczas perskiego najazdu cudem ocalało Lenajon z posągiem boga i z ubiorami jego potrzebnymi do świętych obrzędów. Gdzieindziej z ust do ust rozchodziła się pogłoska, iż podobno z thebańskiej swej ojczyzny, czy z dworu Hierona w Syrakuzach przybył wielki Pindaros, przesławny pieśniarz i nowym hymnem wiosennym dzisiejsze uroczystości uświetni. Ukazywano sobie głośno wybitniejszych mężów, kiedy nadchodzili do Lejnaonu; zwycięsców z ostatniej wojny, jak Themistoklesa, Aristejda, Xantippa witano grzmotnym oklaskiem. Ale też kto nielubiony był w mieście, przechodzić musiał pod gradem złośliwych dowcipów i drwinek, przeprowadzany hucznym śmiechem. Nieżyczliwy szmer odezwał się w ciżbie, gdy spostrzeżono Kalliasa Hipponikowego, który z powodu niesłychanego bogactwa miał przezwisko Lakkoplutos. Pomimo lat średnich już łysy i otyły, niósł się dumie, jak gdyby chciał oczy ludzkie olśnić drogocenną swą szatą. Złośliwi utrzymywali, że on, czy ojciec jego, przywłaszczył sobie w zamęcie wojny perskiej, skarby Eretryjczyków, którzy mu je powierzyli byli, gdy Xerxes przemocą przesiedlał ich z Euboi do Azyi. Dziwa też opowiadano sobie o jego zbytkach i chciwości. Więc teraz, na widok nadętego bogacza, posypały się z tłumu głośne przycinki:

— Midas! Midas! Ukaż nam z pod wieńca ośle uszy!

— Dajcie mu spokój — podrwiwał ktoś drugi — on złote ma serce, tylko czoło miedziane!

— Hej, Lakkoplutos, nie tak spiesznie! Jest tu do ciebie poselstwo z Eretryi!

Homeryczny śmiech wybuchał po każdym takim przygryzku. Łuna oblała Kalliasowi opasłą twarz, gruby kark i łysinę. Nie obejrzał się nawet na dowcipnisiów i czemprędzej przepadł w ciżbie.

Na nieszczęście swoje nadeszła w tej chwili z bratem piękna Elpinike, przyrodnia siostra, a zarazem i małżonka Miltiadowego Kimona. Związki takie między przyrodnimi dozwolone były niegdyś prawem atheńskiem, obecnie należały do wyjątków i krzywo na nie patrzono. Lecz była jeszcze inna przyczyna, dla której Elpinike miru nie miała w Athenach. Lud przyjął Kimona życzliwymi okrzykami, gdy w tem głos jakiś, niewiadomo skąd zawołał na całą moc:

— Oto męża wybawicielka! Oto Sosandra!

— Sosandra! Sosandra! powtarzały z urągowiskiem rzesze, zanosząc się od śmiechu...

Ona w pierwszej chwili zbladła i stanęła nieruchomo podobna posągom z marmuru, w tej białej, fałdzistej szacie i zdjęta żałością a wstydem, zwiesiła cudną, złotowłosą głowę, bluszczem uwieńczoną. Śmiechy zamilkły, lecz nie pod groźnem spojrzeniem Kimona: rozbroiła je piękność niewieścia i cichy żal. I nagle zerwał się potężny okrzyk: »Chwała tobie, córko Miltiada!«.

Elpinike podniosła dumne, błękitne oczy i poszła dalej z Kimonem.

— Co to znaczy? Przecz wołali na nią Sosandra? — zapytał swego sąsiada w tłumie jakiś wiejski prostak, z daleka snać przybyły.

Ów spojrzał nań drwiąco przez ramię i zamiast odpowiedzi rzucił mu pytanie:

— Gdzieżeś ty się chował, człowiecze?

— Na wsi pod Kythajronem, trzody pasam w górach — odrzekł potulnie.

— Ale o tem chyba wiesz, jako Miltiades, na grzywnę pięćdziesięci talentów [1] skazan, w więzieniu dokonał żywota? A może o tem ludzie nie słyszeli, u was, pod Kythajronem?

— Słyszeli, słyszeli, srodze się nawet Atheńczykom dziwowali...

Po takiem powiedzeniu przeszła wszystkim otaczającym ochota do podśmiewania się z górala.

---

[1] 50 talentów = 277.350 K.

— Mieliście może i słuszność, tam, pod Kythajronem — odezwał się po chwili zagadnięty Atheńczyk. — Dość, iż po śmierci Miltiadesa, na syna jego Kimona, spadła grzywna, której gdy nie miał czem zapłacić, zdało się, iż młodzieniaszek wtrącon będzie do lochu. Wtedy na bogaczu onym, na Kalliasie, urodą swoją siostra Elpinike uzyskała pięćdziesiąt talentów, a tak wykupił się Kimon od winy. Rozumiesz ninie, przecz ją Sosandrą, męża wybawicielką, wołali?

Rozmowę przerwał ogromny, przeciągły okrzyk *Euoj! Euoj!* którym ludzkie ono mrowie powitało wynoszony z Lenajonu posąg Dionysosa. Była to niekształtna i sztywna, jaskrawo pomalowana postać z oliwnego drzewa. Z jej ramion aż po same stopy spływała szeroka bassara, bakchiczna szata z tkaniny drogocennej i pstrokato wyszywanej. Głowa boga w porannym słońcu łyskała wieńcem uwitym ze złotych liści winogradu; tyrsos pozłocisty, przymocowany był do wyciągniętej prawicy bożyszcza, co klejnotami całe obwieszone ani śladu w sobie nie miało helleńskiej piękności.

Gromada kapłanów i ofiarników otoczyła wysoki, płaski wóz, na którym ustawiono posąg Dionysosa i w chwili, gdy orszak miał ruszać, tłumy zawiodły ogromnym głosem prastary, homerycki hymn:

Rozgwarny i bluszczem uwieńczon niech pieniem się tem uweseli
Dionys, przesławny syn Zeusów, zrodzon z chwalebnej Semeli.
Wzdy Nimfy o pięknych warkoczach, ojcową spełniając w tem wolę,
Do piersi go swych przysadziły, a tak wykarmiły pacholę;
I rósł gdzie Nisajskie doliny, od swego rodzica w oddali,
W chłodami dyszącej pieczarze... bogowie go bogiem uznali
A kiedy, pieniami wielbiony, w boginek wychował się gronie,
Wawrzynem i bluszczem uwieńczon, pobieżał, gdzie leśne ustronie;
Szły Nimfy za jego przewodem, a las brzmiał hukaniem w pogłosie.
— Ty przeto, szafarzu gron winnych, pozdrowion bądź Dionysosie,
Ty spraw, niech nam jedna po drugiej wesoło godzina ulata
I niechaj tak z godzin wesołych najdłuższe splatają się lata...

Spiew rósł, potężniał, huczał, a równocześnie mieszał się i mącił, a nakoniec przeszedł w ogłuszającą rytmiczną wrzawę, w której zatarły się i słowa i melodya; z tego morza głosów ludzkich wyrywały się coraz częściej ostre, przenikliwe krzyki

Euoj! i cienkie piskania fletni i dźwięczne, wysokie jęki srebrnych tympanów. A potem wszystko zlało się i skłębiło w jeden bijący w niebo huragan rozpętanego szału. Taksamo splątało się i skłębiło człowiecze ono rojowisko, tocząc się naprzód niby stubarwna rzeka, ponad którą płynął wysoko na wozie chwiejny, za każdym obrotem kół drgający posąg boga. Dwanaście ogromnych, białych capów o pozłacanych rogach, ciągnęło wóz Dionysa; lecz wkrótce nim jeszcze pochód wtoczył się na agorę, tłum w zapale odprzągł niesforne zwierzęta i setkami krzepkich ramion sam ciągnął, wlókł, pchał... Gromady młodych satyrów, półnagie, przepasane bluszczem i skórą koźlą albo rysią, hasały w szalonych podskokach. Trzęsły się im przyprawne brody z koziej sierci, z czół okwieconych wiankami fiołków czy jaskrów sterczały groźne, kręte rogi. Odurzeni aż do zapamiętałości może bardziej hałasem i krzykiem niż winem, tłukli co sił w bębenki, talerze spiżowe, kotły, tympany; dęli co tchu w kobzy, fletnie, piszczałki, syringi. Inni duszkiem pili, do ust przytykając oburącz krągłe, bluszczem owinięte ojnochoy, albo wzajemnie sobie na twarz pryskali promieniami wina. Rozswywolone chłopięta i podrostki okrakiem siadszy na grzbietach wyprzężonym capom, rękoma dzierząc się mocno rogów, rozpychali ciżbę i gnali bez pamięci, na całe gardło krzycząc: *Euoj! Euoj! Euoj!* Spłoszone capy sadziły w dzikich susach, wspinały się na zadzie, zwalały na ziemię jeźdźców, a rozbawiony tłum śmiał się do łez...

Wrzawa, jak przypływ i odpływ morski, chwilami wzbierała jeszcze i znów opadała chwilami; wtedy zrywał się, jak szum wichru, skoczny, gromki chór satyrów:

Bakchos, to Zeusów syn,
On duchy zwalnia z pęt!
— Gdy szałem tchnący płyn
Zstępuje mi do trzew,
Skaczę w taneczny pęd!

I zaraz, inna gromada wpadała w nutę i w słowa:

Gdym upojeniem zjęt,
Raźniej mi krąży krew
I taki ze mnie pan,
Jakbym pół świata miał...

I tłum cały podchwytywał pieśń:

Więc głośniej dzwoni śpiew
I huczniej dudni dzban...
W miłosny wpadam szał
I znów chcę skoczyć w tan!...

Zaczem ogarniało wszystkich rozpętane uniesienie taneczne. Ale skoczny pląs onego mnóstwa ciał miotanych rytmicznym ruchem, skręcał się w miejscu, drgał i przytupywał zamknięty w ciasnocie wązkich ulic. I zdawało się, że świeżo zbudowane ściany domów na Keramejku pod prężeniem tańczącej ciżby pękną. Dopiero za bramą Thryasyjską—którą później Dypylonem zwano—gdy wezbrane owo pogłowie ludzkie rozlało się szeroko na drogę, na łąki, na pastwiska, uderzyły naraz rzesze w tan zapamiętały. Oszalałe *bassaridy* w powiewnych, jaskrawych szatach, nieścignionym pędem zataczały kręgi, młyńce i koła, bosemi stopy ziemi prawie nie tykając; od rozmachu rozplatały się im na skroniach wieńce bluszczowe, trzepotały się za niemi lotne fałdy szat stubarwnych, lecz one, nie bacząc na nic, hasały w świętem opętaniu, podobne motylom olbrzymim. Majnady z rozwianym włosem, z tyrsami i brzękadłami w garściach, obłędnie gnały na oślep i z wyczerpania na ziemię padały dyszące, aby za chwilę znowu zerwać się w orgiastyczny pląs. Gromady półnagich thyad, nie władnące już ni sobą, ni młodem swem ciałem, rzucały się w dzikich podskokach, jak gdyby targane jaką niesamowitą, tajemniczą mocą, z nieprzytomnych źrenic gorączkowym ogniem ziały i dłonią w dłoń bijąc nieustannie, zawodziły wkółko jedno wciąż: *Euoj! Euoj! Euoj!*

Dwie z nich, przytomniejsze nieco, wlokły z sobą starego Nearcha, dzierżąc go pod ramiona; rozhulany garncarz w rękach trzymał skórzany bukłak pełen wina i co sił przydreptywał skocznie. Wieniec fiołków osunął mu się na tył siwej głowy, on zasię, mimo wrzawy, wyśpiewywał złamanym głosem:

Choć stary długimi laty,
Więcej piję, niźli młody!
W pląs jam gotów już...
Dzierżę wina wór brzuchaty,
Nie mnie z różdżką chorowody.

A kto pragnie iść na boje,
Niech wojuje — mniejsza o to!
Dla mnie wina kruż
Zmieszaj, podaj chłopię moje,
Niech mi płynie strugą złotą.

Chocia jestem starym dziadem,
Lecz w Sejlena pójdę ślady:
I w pląs ruszam już!

Lecz mimo najlepszej woli stary »w pląs nie ruszał«, bo... nie mógł; tylko szawłokiem wina potrząsał w rytm śpiewki, aż mu go z rąk wyrwały thyady, rozpruły i dłońmi wychleptały słodki sok Bakchosa.

Kalliasowi, gorzej niż komukolwiek, nadmiar picia zmysły odjął i nogi. Młodzi satyrowie posadzili go na ośle, który biegł objuczony koszami fig i wszelakich owoców. Chwiał się tedy na oślim grzbiecie spojony tłuścioch, istny Sejlen, podtrzymywany ramionami satyrów, którzy go bluszczu splotami obwiązali, by nie wywijał rękoma. Wieniec na oczy ześlizgiwał mu się z łysiny, a Lakkoplutos nie zważając na to, wykrzykiwał ochrypłym głosem:

A pozwól-że mi — na bogi klnę cię —
Pić, byle duszkiem pić,
Przy Bromiosa wesołem święcie
Chcę, chcę pijanym być!

Mógł się pocieszyć, iż mu do tego nic już nie brakuje. On jednak śpiewał, a śpiewał swoje, o świecie nie wiedząc. Nie słyszał nawet zgiełku, wrzawy, okrzyków, muzyk, pieśni, które jego pijacką śpiewkę głuszyły.

Tak walił naprzód przez łąki zielone ów skoczny, hałaśny, oszalały chorowód bakchiczny. Była w nim żywiołowa jakaś niewyczerpana i niepojęta pełnia sił rozkiełznanych, co raz w rok targały wszelkie tamy, druzgotały wszelkie szranki, by na cześć tajemniczych, wszechrodzących potęg zmartwychwstałej przyrody, jak wulkan wybuchnąć z piersi ludzkiej. Bo też do lawy podobna wrząca, młoda, bujna krew tętniła w żyłach onego pokolenia, ta krew, co pieniła się i burzyła, jak moszcz w wiośniane dni Dio-

nysyów, a jak woda lała się bez ceny i bez miary w dniach Salaminy i Platai za wolność, za ojczyznę, za bogów...

Niebawem zatrzymał się pochód, przed nawpół rozwaloną świątyńką. Kapłani z wozu posąg boga zdjąwszy, do wnętrza wnieśli go na ramionach. Dziesiątki capów na rzeź już prowadzono przed kamienny ołtarz i uroczysta cisza zaległa w tłumach, przed chwilą tak swywolnych i rozpasanych. Ale nim ofiarnicy noże podnieśli do cięcia, stanął na stopniach ołtarza mąż poważny, słońcem ogorzały, który siwiejące skronie opasane miał wiankiem narcyssów i fiołków. Srebrnostruną formingę trzymał w ręku.

— Pindaros! Pindaros! — wionął szmer przez mrowie ludu.

Dostojną, łagodną twarz podniósł, oczyma patrzył przez chwilę jak gdyby w głąb swej własnej myśli i w słodkie struny bijąc, pełną piersią zaśpiewał:

Wejrzyjcie na te chóry,
Olimpu bogi,
Swych łaski im z góry
Ześlijcie promień błogi.
Obecni wszak nieraz jesteście
W samem Athen świętych mieście
Gdzie ołtarz kadzidłem wam dymi;
I rynek nawiedzacie
W budowli majestacie
Prześwietny;
Z wiankami dziś fiołkowymi
W niekrwawej ofierze weźmiecie
Dar kwietny:
Na wiosnę rwane kwiecie!

I na mnie wejrzyjcie, niebiany,
Bo pieśniarz, a z Zeusa obchodu
Do tego przychodzę dziś grodu
Śpiew cudny wznieść
Bogu na cześć,
Co chadza w bluszcz opasny:
U nas mu śmiertelnych dano
Hucznego Bromiosa miano.

I oto przyszedłem opiewać pogłowie,
Które ogromni ojcowie
Z niewiast kadmejskich spłodzili...
Wróżb nie omyli

W argejskiej Nemei latorośl palmowa
A gdy rozwierają Hory
Pełne woni swe komory,
Zapachem dyszące przeczują wnet zioła,
Że wiosna przychodzi już nowa!

Wtedy, o wtedy w krasę wiosnianą
Stroją dokoła
Fijołków pęki
Tę nieśmiertelną ziemię kochaną;
Wieńczą się różami czoła,
Płyną rytmów śpiewne dźwięki
Z fletniami do wtóru,
Płyną słodkie pienia chóru
Semeli na chwałę
Zdobiącej skronie w opaski białe!
. . . . . .

* * *

Wieczorem dopiero, po złożeniu mnogich ofiar, odbył się do miasta powrót przy pochodniach, bodaj czy jeszcze nie szaleńszy w bezgranicznem rozkiełznaniu. W czerwonej, migotliwej łunie żagwi sunęły najdziwaczniejsze przebrania i stroje unoszone wirem skoków i pląsów, migały twarzy namiętnością rozpalone, łyskały w uśmiechu białe zęby, jarzyły się fosforycznie oczy a wszystko nabierało nieprawdopodobnych cech fantastycznego widzenia. Zmieszana wrzawa tysiącznych głosów biła w strop nocnego nieba, po którem płynął srebrnorogi księżyc. Gromadki thyad, majnad i bassarid co chwila odrywały się od pochodu, z głośnymi krzykami pierzchając przed stadem satyrów, którzy w pogoni za niemi gnali przez gaje, winnice i sady wśród nawoływań, hukań, śmiechów i powtarzanego wciąż: *Euoj!* Rogaty księżyc wysoko stanął na niebie i uśmiechał się z góry poprzez gałęzie osypane drobnem wiosennem liściem.

Bakchiczny szał i nazajutrz nie ustawał. Dopiero trzy dni ostatnie Dionysejskich świątek przybrały inną, stateczniejszą cechę, jako wyłącznie przeznaczone na widowiska teatralne. Tragedya przed kilku zaledwie dziesiątkami lat wytworzyła się była z chórów i pląsów mimicznych na cześć Dionysosa, to też miała wyraźne jeszcze znamiona obrzędu religijnego. Przedstawienia jej

odbywały się jako publiczne uroczystości za sprawą i pod opieką władzy państwowej. *Archon Eponymos* czyli ten, od którego imienia rok przybierał nazwę, z urzędu swego zajmował się widowiskami teatralnemi w czasie wielkich Dionysyów: jemu poeci dramatyczni składali swe dzieła do zatwierdzenia, on za trylogie, dopuściwszy je na teatr, wypłacał twórcom wynagrodzenia w imieniu Rzeczypospolitej, on chórów teatralnych udzielał (χόρον διδόναι). Dostarczenie chóru, czyli *choregia*, należało do t. z. *lejturgij* czyli ciężarów publicznych, które przyjmowali na siebie najmajętniejsi obywatele przez rodowiska atheńskie corocznie w tym celu wyznaczani. *Choregos* taki miał obowiązek zapłacić chórzystów i sprawić im stroje teatralne, co razem stanowiło niekiedy znaczny wydatek. Lecz choregowie prześcigali się w hojności i staranności: który z nich powierzoną sobie sztukę najwspanialej wystawił i chór najlepiej dobrał, ten porówno z poetą tragicznym otrzymywał wieniec w nagrodę i miał prawo imię swoje upamiętnić darem czestnym dla Dionysosa. Zazwyczaj ofiarowywał ozdobny trójnóg do świątyni Dionysosa w Lenajonie, a gdy z biegiem czasu i świątyńka i najbliższe otoczenie teatru pełne były trójnogów, choregowie zwycięscy stawiali je wzdłuż poblizkiej ulicy wiodącej do teatru, która z tego powodu nazwę »ulicy trójnogów« otrzymała.

Ale w onym czasie, po wojnach, nie brakowało jeszcze miejsca na choregiczne trójnogi w samym Lenajonie i ponad teatrem na wschodnio-południowem zboczu Akropolu. I teatralne urządzenia dalekie były jeszcze od późniejszych marmurowych okazałości. Kowane w skale kręgi zwyczajnych siedzeń piętrzyły się jedne ponad drugiemi, nakształt podkowy obejmując położoną w dole *orchestrę*, czyli krągłe boisko taneczne dla chóru, które podówczas było zarazem i sceną dla aktorów. Na obu krańcach podkowy w przedłużeniu siedzeń kamiennych ciągnęły się nasypy ziemne z ławami darniowemi. Naprost widzów, poza obwodem orchestry, stał niewielki budynek z dwoma wysuniętemi naprzód skrzydłami bocznemi. Główna jego ściana t. z. *proskenion*, służyła za tło widowiska; miała zaś troje drzwi, przez które wychodzili aktorzy na środek orchestry, kędy wznosiła się *thymele*, czyli

kamienny ołtarz, jakby na dowód i pamiątkę, iż teatr powstanie swoje zawdzięczał obrzędom religijnym.

Trzeci, ostatni dzień Dionysyów dobiegał już prawie południa. Wczoraj stary Frynichos *Fojnicyankami* swemi wzbudził nieopisany zapał i przewyższył o wiele Aristiasa syna Pratinasowego i wszystkich innych współzawodników w tragedyi; dziś Ajschylos wypełniał dzień cały trylogią swoją, która malowała starcie helleńskiego świata ze wschodem: właśnie przed godziną skończyła się pierwsza część, *Fineus* osnuty na tle podania o wyprawie Argonautów. Lud, rojący się w amfiteatrze, rozprawiał żywo i gwarnie o tragedyi dopiero co przedstawionej i korzystał z całogodzinnej przerwy, by posilić się i odetchnąć nieco. Ławy od góry do dołu nabite były głowa przy głowie przez tłum blizko trzydziestotysięczny. W przejściach, które od orchestry nakształt promieni rozchodziły się w górę przecinając rzędy siedzeń, przekupnie jedni obnosili owoce, chleb, mięsiwo, inni z pękatych dzbanów nalewali w kubki wino przez pół roztworzone wodą.

(Dok. n.)

L. Rydel.

PROROCY I IDEAŁ MESYAŃSKI W IZRAELU.

(Dokończenie).

Tragiczny był naprawdę koniec Judei.

Upadek polityczny królestwa judzkiego — królestwo izraelskie i Samaryę zburzył 722 r. assyryjski król Sargon i uprowadził mieszkańców w głąb Azyi — rozpoczyna się z chwilą, gdy egipski król Nacho w celu shołdowania sobie ludów zachodniej Azyi szerokie zapuścił zagony po krajach libańskich. Śmiercią bohaterów poległ wówczas w bitwie pod Meggedo 608 r. szlachetny król ludzki Joziasz, który na krótko przed śmiercią razem z prorokiem Jeremiaszem żywotną był rozwinął działalność nad podniesieniem i odrodzeniem moralnem kraju. Nieszczęśliwa bitwa ta pozbawiła kraj samodzielności i zamieniła go w prowincyę egipską.

W kilka lat później (606 r. i 604 r.) rozpadają się w gruzy pod ciosami Babilończyków i Medów dwie największe światowe potęgi militarne: Assyrya i Egipt, które przez wieki długie pod grozą miecza i pożogi trzymały cały świat ówczesny w trwożliwem posłuszeństwie. Na ich ruinach wyrasta pod wodzą genialnego Nabuchodonozora światowładna potęga militarna Babilonu, która w spuściznie po Egipcie zagarnia pod swoje panowanie wszystkie ludy zachodniej Azyi wraz z królestwem judzkiem i Jerozolimą. W czasie owym koczujące ludy Scytów nawiedziły zachodnią Azyę aż po Egipt. Jak burza straszna z dalekiej północy toczą się rwistym pędem ogromne masy jeźdźców dzikich przez Syryę ku Egiptowi i z powrotem, szerząc wszędzie zniszczenie i spusto-

szenie. Jeremiasz żali się przed Panem: »Pokój wam będzie — przepowiadali nam złudni prorocy — a oto miecz przeszedł aż do duszy«. Wicher palący z pustynnego stepu pędzi w kierunku Jerozolimy, »oto jako obłok wnijdzie, a jako burza wozy jego. Prędsze niż orłowie konie jego: biada nam, żeśmy zburzeni« (IV, 11—13).

W trzy lata po klęsce egipskiej, król judzki Joakim w zmowie z Egiptem podnosi bunt przeciwko Nabuchodonozorowi, któremu zawdzięczał wolność i tron. Napróżno Jeremiasz przestrzega króla i lud przed złudną i niebezpieczną polityką egipską, napróżno grozi, że za grzechy narodu Pan odda miasto Boże i świątynię »na przeklęctwo wszystkim narodom ziemskim« (r. 26, 16). Prorok musi się ukrywać, bo »kapłani i (pseudo-) prorocy i wszystek lud« chcą go śmiercią ukarać. Wówczas Jeremiasz ogłasza wszystkie swoje proroctwa na piśmie i każe je odczytać wobec ludu, zebranego w świątyni na nabożeństwo błagalne, w celu odwrócenia grożących ojczyźnie klęsk. Król drze na strzępy proroctwa i rzuca je na płonący ogień. Prorok po raz wtóry ogłasza swoje proroctwa i dodaje nową przepowiednię, że trup króla pozostanie bez pogrzebu i ród jego pozbawionym zostanie tronu (r. 36, 1—32).

Proroctwo to niebawem się spełniło. Przyszedł król Nabuchodonozor z wojskiem wielkiem, zdobywa Jerozolimę, topi bunt we krwi i uprowadza Żydów co znaczniejszych wraz z królem i ze skarbami świątyni za Eufrat. Pomiędzy uprowadzonymi znajdował się prorok Ezechiel, podczas gdy Jeremiasz pozostaje w Jerozolimie.

Na tronie, wśród ruin miasta i opustoszałego kraju, osiadł z łaski Nabuchodonozora Sedecyasz. Ale zaledwie zabliźniły się nieco po Babilończykach rany wojenne, Żydzi, zadufani w wielkie przeznaczenie religijne swego narodu i zasłuchani w kłamliwe słowa różnych proroków ludowych, znowu roją sobie złote sny przyszłości. Czyż podobna, żeby upadło miasto Boże i świątynia, do której przywiązane są proroctwa Jehowy? Przenigdy! wybawienie już blizko, kiedy Babilon rozpadnie się w gruzy a Jerozolima znowu zajaśnieje dawną chwałą. Takie złudne nadzieje snuli pseudoprorocy, przeciwko którym podjęli nieprzejednaną

walkę prorocy Boży: na wygnaniu Ezechiel a w Jerozolimie Jeremiasz.

»Jakośmy zburzeni i zawstydzeni bardzo — woła Jeremiasz ukazując na oko straszne obrazy blizkiego spustoszenia — bośmy opuścili ziemię, bo rozrzucone są mieszkania nasze. A tak słuchajcie niewiasty słowa Pańskiego, a niech przyjmą uszy wasze mowę ust jego, i nauczajcie córek waszych lamentu, a każda blizką swoję narzekania. Bo wlazła śmierć okny naszemi, weszła do domów naszych, aby wytraciła dzieci z ulice a młodzieńce z rynków. Mów: to mówi Pan i polęże trup człowieczy jako gnój po polu i jako siano za żnącym, a nie masz, ktoby zbierał...«

Żydzi nie usłuchali proroka. Jerozolimę dosięgnął cios ostatni i spełniło się proroctwo Micheasza: »Sion jako pole zorane będzie a Jeruzalem jako gromada kamieni będzie, a góra kościelna wysokością lasów« (porośnie). Straszliwą klęskę tę opłakuje Jeremiasz w prostych i bezbrzeżną boleścią przepełnionych słowach natchnionych t. z. lamentacyach.

Księga proroctw Jeremiasza składa się z trzech części. W pierwszej części są opowiadania historyczne i proroctwa z różnych czasów o zburzeniu świątyni jerozolimskiej i upadku królestwa judzkiego, o uprowadzeniu mieszkańców w niewolę i o grzechach, które spowodowały te klęski. W przeciwieństwie do Izajasza prorok Jeremiasz zatrzymuje zwyczajnie wzrok swój na ponurych obrazach i tylko tu i owdzie wskazuje na jaśniejszą przyszłość, gdy mówi o wyzwoleniu szczęśliwem z niewoli lub jasnej erze messyańskiej.

Straszne i pełne jakiejś tajemniczej grozy są słowa proroka, któremu Bóg zakazał wstawiać się za ludem swoim niepoprawnym:

»Przetoż ty nie módl się za tym ludem, ani przyjmuj za nimi chwały i modlitwy, bo nie wysłucham czasu wołania do mnie, czasu utrapienia swego... Ty Panie zastępów, który sądzisz sprawiedliwie a nerek i serca domacasz niech ujrzę pomstę twoją nad nimi, bom tobie objawił sprawę moją«.

Ale bo też »biada — woła prorok — pasterzom (t. j. królowi i starszym), którzy gubią i rozszarpują trzodę pastwiska mego«. Ród Jechoniasza strącony zostanie z tronu i wygaśnie, ale przyjdą

dni, mówi Pan, a wzbudzę Dawidowi płód sprawiedliwy: a będzie królował król i mądrym będzie i będzie czynił sąd i sprawiedliwość na ziemi. W one dni zbawion będzie Juda a Izrael bezpiecznie mieszkać będzie: a to jest imię, którym go zwać będą: »Pan sprawiedliwy nasz« (r. 22, 30—23, 6).

W r. 25 przepowiada Jeremiasz zaborczy pochód Nabuchodonozora i koniec niewoli babilońskiej:

»Przeto, iżeście nie słuchali słów moich: oto ja poślę i pobiorę wszystkie narody północne... i Nabuchodonozora, króla babilońskiego, sługę mego, i przywiodę je na tę ziemię i na obywatele jej i na wszystkie narody, które są około niej i pozabijam je i położę je zdumieniem i świstaniem i pustyniami wiecznemi. I wytracę z nich głos wesela i głos radości, głos oblubieńca i głos oblubienicy, głos żarn i światło kagańcowe. I będzie wszystka ta ziemia spustoszeniem i zdumieniem, i służyć będą te wszystkie narody królowi babilońskiemu 70 lat. A gdy się wypełnią 70 lat, nawiedzę na królu babilońskim i na narodzie onym, mówi Pan, nieprawość ich, i na ziemi chaldejskiej — i położę na pustynie wieczne«.

W rozdziałach 30—34 mówi o wyzwoleniu z niewoli babilońskiej i niewoli grzechowej i tłumaczy istotę nowego przymierza, które Bóg uczyni »z domem izraelskim i domem judzkim«.

»Bo oto dni przychodzą, mówi Pan: że przywrócę zaprowadzenie ludu mego izraelskiego i judzkiego, mówi Pan, a przywrócę je do ziemi, którąm dał ojcom ich i posiądą ją... skruszę jarzmo z szyi twojej i związki jego potargam a nie będą więcej nad nim obcy panować: ale będą służyć Panu Bogu swemu i Dawidowi królowi swemu, którego im wzbudzę«...

Wyzwolenie z niewoli babilońskiej i potęg ciemności i grzechu zlewa się tu w jeden obraz i w jedno proroctwo: »skruszę jarzmo«. I odtąd tylko służyć Bogu będą i Dawidowi, królowi swemu, a służba królowi równać się będzie służbie Bożej.

»To mówi Pan: oto... zbuduje się miasto na wysokości swojej i kościół według porządku swego założon będzie. I będzie wódz jego z niego: a książę z pośrodku jego wywiedzion będzie, i przytulę go i przystąpi do mnie, bo któż to jest, któryby przy-

tulił serce swe, aby się przybliżył ku mnie, mówi Pan? I będziecie mi ludem a ja wam będę Bogiem. Oto wicher Pański, zapalczywość wychodząca, burza spadająca na głowie niezbożnych odpocznie«.

Z łona ludu, wedle prastarych obietnic Bożych, wyjdzie wódz i książę wielki, który zbliży się i przystąpi do mnie, jak arcykapłan Jehowy do *sancta sanctorum*. I lud się pogodzi z Bogiem a na głowy niezbożnych spadnie gniew Boży, jak wicher i burza.

W dalszym ciągu proroctwa przedstawia Jeremiasz powrót wygnańców z Babilonii i zaludnienie opustoszałego kraju, zakwitającego znowu dobrobytem i weselem. »I przyjdą i chwalić będą na górze Sion: i zbiorą się do dóbr Pańskich na zboże i na wino i na oliwę i na płód bydła i na stada; a będzie dusza ich jako ogród wilgotny i nie będzie już więcej łaknąć. Tedy się będzie weseliła panna w tańcu, młodzieńcy i starcy społem: i obrócę płacz ich w wesele i pocieszę je i rozweselę od smutku ich«...

I tu nagle przerywa jasne swoje widzenie. Umysł jego zasępia się i zwraca na chwilę do najbliższej przyszłości, kiedy nieprzyjacielskie wojska gnać będą w pętach masy narodu w głąb Babilonii: »To mówi Pan: głos na wysokości (hebr. Rama) słyszan jest narzekania, płaczu i żałości, Rachel, płaczącej synów swoich a niechcącej przyjąć pocieszenia nad nimi, że ich nie masz«...

W Rama na kończynach gór Efraim, przy drodze do Betleem, kędy grób Racheli, widzi prorok niepocieszoną matkę ojczyzny, powstającą z grobu na widok prowadzonego w niewolę ludu.

»Niech przestanie głos twój od płaczu a oczy twoje od łez, bo ma zapłata robota (boleść) twoja, mówi Pan, i zwrócę się z ziemi nieprzyjacielskiej«...

Ażali Efraim (Izrael) nie jest »poczciwym synem« i »rozkosznem dzieckiem« mojem, mówi Pan, gdy mu prorok przedstawia pokutę i zawstydzenie wygnańców, którzy dopiero w niewoli w ognisku kultury pogańskiej poznali, kto jest Pan. »Przetoż się poruszyły wnętrzności moje nad nim: litując zlituję się nad nim, mówi Pan. Postaw sobie strażnicę, nakładź sobie gorzkości,

obróć serce swe ku drodze prostej, którąś chodziła (t. z. uważaj i pokutuj, bo to konieczny warunek wyzwolenia się z niewoli. W tekście hebr.: postaw sobie drogowskazy i znaki, zapamiętaj sobie dobrze drogę, którą szedłeś): wróć się panno izraelska, wróć się do tych miast twoich. Dokądże od rozkoszy rozpuścisz się córko błędna — błaga prorok — bo Pan stworzył nowinę na ziemi: Białogłowa ogarnie męża«.

Córa izraelska mimo miłościwych nawoływań Pana snać nie kwapi się do powrotu do ojczyzny. Tam w niewoli odurzyła ją rozkoszna atmosfera kultury babilońskiej, tam ona chciwie piła z czary zmysłowych rozkoszy, nie spieszno więc jej wracać do opustoszałej ojczyzny. I dlatego prosi i błaga i zaklina prorok na nowinę niesłychaną, która świat zadziwi: »Białogłowa ogarnie męża«. Czyż cud ten i znak Izajaszowy o Pannie, która porodzi syna, nie skłoni grzesznej córy izraelskiej do nawrócenia się do Boga i wyzwolenia się z niewoli?

»Oto dni przychodzą, mówi Pan — i tu następuje wspaniała przepowiednia, tłumacząca jasno istotę Nowego Zakonu w przeciwieństwie do Starego — i postanowię z domem izraelskim i z domem judzkim przymierze nowe: nie według przymierza, którem z ojcy ich postanowił w dzień, któregom ujął rękę ich, abych je wywiódł z ziemi egipskiej, przymierze, które zgwałcili a jam panował nad nimi, mówi Pan. Ale to będzie przymierze, które postanowię z domem izraelowym: po onych dniach, mówi Pan, i dam zakon mój do wnętrzności ich, a na sercu ich napiszę ji: i będę im Bogiem a oni będą mi ludem. I nie będzie więcej uczył mąż bliźniego swego i mąż brata swego, mówiąc: Poznaj Pana, bo wszyscy poznają mię od najmniejszego ich, aż do najświętszego, mówi Pan, bo się zlituję nad ich nieprawością a grzechów ich więcej nie wspomnę«. I to »nowe przymierze«, które prorok tu po raz pierwszy w Piśmie nazywa po imieniu, będzie wieczyste i nieodmienne jak prawa natury: »To mówi Pan, który daje słońce na światłość dnia, porządek księżyca i gwiazd na światłość nocy, który wzrusza morze i szumią wały jego, Pan zastępów imię jemu. Jeśli ustaną te ustawy przedemną, mówi Pan, tedy i nasienie izraelowe ustanie, żeby nie był naród przedemną po

wszystkie dni«. Czyż to nie przygrywka do słów Chrystusa: »niebo i ziemia przeminą a słowa moje nie przeminą«.

Powszechna znajomość Boga, rozlewająca się przez działanie Boże wewnątrz serc ludzkich, odpuszczenie grzechów i prawo Boże, wyrażone na duszach: oto owe trzy zasadnicze podstawy w przeciwieństwie do Starego Zakonu, na których wzniesie się nowe miasto Boże: »Oto dni przychodzą, mówi Pan, i zbudowane będzie miasto Panu«, obejmujące »i wszystkę dolinę trupów i popiołu i wszystkę krainę śmierci«. Bo i krainy przeklęstwem dotknięte wcielone będą do nowego miasta Bożego, które stanie się królestwem świętych i nie będzie wyrwane ani zepsowane więcej na wieki (r. 32).

W ostatnich rozdziałach (46—51) zwraca się prorok do sąsiednich ludów pogańskich, które wszystkie staną się łupem Babilonu, jak to już uprzednio był przepowiedział: »Jam dał te wszystkie ziemie w rękę Nabuchodonozora, króla babilońskiego, sługi mego... i będą mu służyć wszyscy narodowie i synowi jego i synowi syna jego, aż przyjdzie czas ziemie jego i jego samego — będą mu służyć mnodzy narodowie i wielcy królowie« (r. 27, 6, 7). W dwu zaś końcowych rozdziałach przedstawia upadek i fizyognomię rumowisk Babilonu.

W chwili, kiedy olbrzymia i dumna stolica, pełna bogactw i przepychu, której mury ochronne dochodziły do 100 kilometrów długości, której ogrody wiszące i okazała architektura wprawiały w zdumienie świat cały, dławiła okrutnie ludy i rzucała groźny postrach na cały ówczesny świat kulturalny, Jeremiasz przepowiada zupełną zagładę Babilonu.

»Kubek złoty Babilon w ręce Pańskiej upajający wszystkę ziemię: wino jego pili narodowie i dlatego wzruszeni są (hebr. będą szaleć narody). Nagle upadł Babilon i połamał się: wyjcie nad nim... opuścijmy ji, a podźmy każdy do swej ziemie, bo doszedł aż do nieba sąd jego i wyniósł się, aż do obłoków... I wzruszy się ziemia i zatrwoży, bo się ocuci przeciw Babilonowi myśl Pańska, aby położył ziemię babilońską pustą i niemieszkalną. Ustali mocarzowie babilońscy od bitwy, mieszkali w zamkach:

pożarta jest siła ich i stali się jako niewiasty; zapalono mieszkania jego, złamano zawory jego«...

Natchniony wzrok proroka sięga w przyszłość daleką, kiedy »Babilon będzie mogiłami, mieszkaniem smoków, zdumieniem i świstaniem, dlatego, że niemasz obywatela«. Zda się, że to opis stanu dzisiejszego rumowisk i bagien: »Wystąpiło morze na Babilon, pokryt jest mnóstwem wałów jego. Stały się miasta jego zdumieniem, ziemią niemieszkalną i pustą, ziemią, w której nikt nie mieszka, ani chodzi przez nią syn człowieczy... i mur babiloński upadnie«...

Nie brak też szczegółów uderzających z czasu oblężenia:

»Choćby wstąpił Babilon do nieba i obwarował na wysokości moc swoją, ode mnie przyjdą pustoszyciele jego, mówi Pan. Głos wołania z Babilonu a zstarcie wielkie z ziemi chaldejskiej, bo Pan zburzył Babilon i wytracił z niego głos wielki — i szumieć będą wały ich, jako wody obfite — wydał szum głos ich...

I upoję książęta jego i mądre jego i wodze jego i urzędniki jego i mężne jego i zasną sen wieczny, a nie ocucą się... mur babiloński on szeroki, podkopaniem podkopany będzie a bramy jego wysokie ogniem spalone będą, a prace ludzi w niwecz i narodów na ogień będą i zginą.

Nie będą w nim mieszkać dalej aż na wieki, ani będzie zbudowan aż do pokolenia i pokolenia. Jako wywrócił Sodomę i Gomorę i blizkie jej, mówi Pan, nie będzie tam mąż mieszkał«.

Wielki prorok kończy swą przepowiednię temi słowy: »I rzekł Jeremiasz do Sarajasza: gdy przyjdziesz do Babilonu, a ujrzysz i przeczytasz wszystkie te słowa, rzeczesz: Panie, tyś mówił przeciw miejscu temu, że je masz wytracić, aby nie było ktoby w niem mieszkał od człowieka aż do bydlęcia i żeby było pustkami wiecznemi. A gdy skończysz czytanie tej księgi, przywiążesz do niej kamień, a wrzucisz ją w pośród Eufratesa, i rzeczesz: Tak zatopion będzie Babilon, a nie powstanie od utrapienia, które ja nań przywiodę i rozwali się«. I ziściło się wszystko aż do szczegółów.

Proroctwa Ezechiela, trzeciego z rzędu wielkiego proroka wspaniałą rozpoczynają się wizyą: wicher i obłok ognisty i jasność wielka, wśród której na tronie tajemniczym w otoczeniu cherubów

ukazała się prorokowi jakby chwała Jehowy. »I widziałem, opowiada, i upadłem na oblicze swe i usłyszałem głos mówiącego... synu człowieczy, posyłam ciebie do synów izraelowych, do narodów odstępnych, które odstąpiły odemnie« i opowiadaj im bez trwogi słowa moje.

Lud żydowski mimo ciężkich doświadczeń trwał upornie w dawnych illuzyach. Już dwa razy (606 i 599) wojska babilońskie jak burza niszcząca przeszły przez kraj judzki i zagnały tysiące wraz z królem i kwiatem narodu w niewolę, a lud zadufany w swoje posłannictwo, łudzi się nadzieją, że Jerozolima nie upadnie, że nad świątynią czuwać będzie Jehowa, że Egipt się podźwignie i zmiażdży dumę Babilonu. I przeciwko tym złudnym nadziejom podnosi nieustraszony głos swój i odsłania straszne wyroki Boże Ezechiel (r. 4—24).

»Przetoż to mówi Pan Bóg: żeście przewyższyli narody, które są około was a nie chodziliście w przykazaniach moich, a sądów moich nie zachowaliście... przeto ojcowie będą jeść syny w pośrodku siebie a synowie będą jeść ojce swe, i będę czynił w tobie sądy i rozsypię wszystkie ostatki twoje na każdy wiatr... trzecia część ciebie morem pomrze, i głodem wyginie w pośrodku ciebie, a trzecia część ciebie od miecza poleże około ciebie, a trzecią część twoję na wszelki wiatr rozproszę, a miecza dobędę za nimi«... (V).

Tylko tu i ówdzie przebija się przez ponure te proroctwa jasny promień nadziei, jak owe słowa pociechy, które prorok na rozkaz Boga miał do wygnańców. »Przeto mów, to mówi Pan Bóg: zbiorę was z narodów i skupię z ziem, po którycheście rozproszeni a dam wam ziemię izraelową. I wnidą tam i zniosą wszystkie urazy i wszystkie obrzydłości jej z niej. I dam im serce jedno i ducha nowego dam do wnętrzności ich, i odejmę serce kamienne z ciała ich i dam im serce mięsiste, żeby chodzili w przykazaniach moich a strzegli sądów moich i czynili je, aby mi byli ludem a ja im był Bogiem« (r. 11, 16—20).

Po zburzeniu Jerozolimy, ażeby wskrzesić konającą ufność w wszechmoc Jehowy i podnieść i pokrzepić złamanego straszliwą klęską ducha narodu, zapowiada prorok odrodzenie Izraela i przed-

stawia wspaniałe perspektywy rajskiego królestwa z Messyaszem na czele.

Najprzód idą proroctwa z różnych czasów, odnoszące się do wrogich Żydom narodów: Bóg skruszy potęgę drobnych państewek i Tyru i Egiptu i wzbudzi pasterza i lud odmłodzony, wśród którego zakwitnie świętość i pokój.

»I wzbudzę nad nimi pasterza jednego, który je będzie pasł, sługę mego Dawida. On je paść będzie i on im będzie pasterzem. A ja Pan będę im Bogiem a sługa mój Dawid książęciem w pośrodku ich: ja Pan mówiłem. I uczynię z nimi przymierze pokoju i uczynię, że ustaną bestye złe z ziemi. A ci, którzy mieszkają na puszczy, bezpiecznie będą spać w lesiech... I nie będą więcej łupiestwem narodów ani pożrą ich bestye ziemi, ale będą mieszkać bezpiecznie bez żadnego strachu. I wzbudzę im płód mianowany, a nie będą więcej umniejszeni głodem w ziemi, ani poniosą więcej sromoty narodów« (r. 34, 23—29).

W następnych rozdziałach prorok potężnymi rysy kreśli naturę i charakter tego odrodzenia z wody i ducha:

»I wyleję na was wodę czystą i będziecie oczyszczeni od wszech nieczystot waszych i od wszech bałwanów waszych oczyszczę was. I dam wam serce nowe i ducha nowego położę wpośród was a wyjmę serce kamienne z ciała waszego i dam wam serce mięsne. A ducha mego położę w pośrodku was, a uczynię, żebyście w przykazaniach moich chodzili i sądów moich strzegli i czynili« (r. 36, 25—27).

I tu następuje owa wspaniała wizya o kościach, która ma pokazać na oko ludowi wszechmoc Jehowy i w sercach rozpalić ognie niezachwianej ufności i zmartwychwstania narodu. »I postawił mię (Duch Pański) wpośród pola, które było pełne kości... Kości suche słuchajcie słowa Pańskiego. To mówi Pan Bóg tym kościom: oto ja wpuszczę w was ducha i żyć będziecie. I dam wam żyły i uczynię, że poroście na was mięso, a powlokę was skórą i dam wam ducha i żyć będziecie a poznacie, żem ja Pan.

I prorokowałem jako mi był nakazał: i stał się szum, gdym ja prorokował, a oto poruszenie: i przystąpiły kości do kości, każda do stawu swego«... A więc po co poić się żalem i rozpa-

czą: »wyschły kości nasze i zginęła nadzieja nasza i jesteśmy odcięci« od ojczyzny? »Oto ja otworzę — mówi Pan — groby wasze a wywiodę was z grobów waszych, ludu mój, i wwiodę was do ziemi izraelskiej«.

Wprawdzie przyjdą walki wielkie i straszne. W pochodzie historyi zmagać się zawsze będzie prawda Boża z fałszem, cnota z występkiem, światło z ciemnością, lud Boży z wrogiemi sobie potęgami, ale pod koniec czasów dopiero, po jasnych dniach szczęśliwości messyańskiej przypuści książe ciemności ostatni szturm na miasto Boże. Przedśmiertną walkę tę odwiecznego wroga ludzkości z nowym Izraelem opisuje prorok w rozdziałach 38 i 39.

»Po długim czasie (t. j. pod koniec wieków) nawiedzion będzie (dotknie cię kaźń): w ostateczne lata wnijdziesz do ziemi, która się wróciła od miecza, (t. z. jest znowu wolna od miecza)... a wstępując jako burza przyjdziesz i jako obłok, abyś zasłonił ziemię ty i wszystkie hufy twoje i narodów wiele z tobą«.

Najezdzcą tym to Gog, książe dzikich ludów północy Magog, Masoch i Thubal, które symbolizują wrogów ludu i miasta Bożego. Zaborczy ten władca powiedział sobie: »wtargnę do ziemi bez muru, przyjdę na spokojne a mieszkające bezpiecznie: ci wszyscy mieszkają bez muru a zawór i bram nie mają... na lud, który jest zebrany z narodów, który począł posiadać i być obywatelem środka ziemi... i przyjdziesz, mówi prorok, z miejsca twego, z stron północnych, ty i narodów wiele z tobą, wsiadający na konie wszyscy, lud wielki i wojsko gwałtowne. I przyciągniesz na lud mój izraelski jako obłok, abyś pokrył ziemię. W ostateczne dni będziesz i przywiodę cię do ziemi mojej, żeby mnie poznali narodowie, gdy będę poświęcon w tobie przed oczyma ich, o Gog«.

Pod koniec więc wieków napadnie lud zaborczy i dziki jak burza straszliwa, jak obłok, pokrywający ziemię, na społeczność, promienną szczęściem, która, aczkolwiek w pośrodku ziemi położona, nie opiera się na żadnej potędze militarnej, a której obywatele mieszkają bezpiecznie. Społecznością tą to nowy Izrael i nowe miasto Boże, rzucające się w oczy całej ludzkości nieporuszoną potęgą wiary i miłości.

Bóg wielki, który panuje nad wrzawą i wypadkami świata,

dopuści ten najazd zuchwały: »przywiodę cię do ziemi mojej«, przyzywa go jakby wroga do orężnego starcia. Po co i dlaczego? »Żeby mię poznali narodowie, gdy będę poświęcon« mówi Pan, żeby zajaśniała świętość i wszechmoc i sprawiedliwość Boża w obliczu świata całego, bo cała historya, to pochód sądów Bożych w ludzkości.

»I będzie w on dzień, w dzień przyjścia Gog na ziemię izraelską, mówi Pan Bóg: wstąpi rozgniewanie moje w zapalczywości mojej... I poruszą się od oblicza mego ryby morskie i ptactwo powietrzne, i zwierz polny, i wszelki płaz, który się rusza po ziemi i wszyscy ludzie, którzy są na obliczu ziemi i poprzewracają się góry, i poupadają płoty, i każdy mur na ziemię upadnie. I zwołam przeciwko niemu ze wszystkich gór moich miecz, mówi Pan Bóg: miecz każdego obróci się na brata swego. A osądzę go morem i krwią i deszczem gwałtownym i kamieniem wielkim: ogniem i siarką dżdżyć będę nań i na wojsko jego i na narodów wiele, które są z nim. I uwielmożę się i poświęcę się a znajomy będę przed oczyma wiela narodów i poznają, żem ja Pan« (r. 38).

Księga proroctw kończy się podobnie jak na początku wspaniałą wizyą o wznowionem mieście Bożem i świątyni. Prorok »na górze bardzo wysokiej« widzi dźwigającą się świątynię w całej okazałości i nowym blasku i kult nowy w otoczeniu kapłanów i lewitów. Izrael i miasto, leżące w gruzach po grozie wojennej, zakwita jakiemś szczęściem niezamąconem i pokojem rajskim. A w krąg, jak ongi wokoło świętego przybytku, obozuje 12 pokoleń w braterskiem porozumieniu i miłości.

Niewola babilońska była dla Żydów wyborną szkołą życia religijnego. Tam nad wodami Chobar pod wodzą Ezechiela, którego dom był promieniejącem ogniskiem życia religijnego i narodowego, oni przekonali się na oko, czem są bogowie i religijny kult babiloński w porównaniu z Jehową, i zaczęli rozmyślać o grzechach swoich, i pogrążać się w żalu i ufności w wszechmoc i miłosierdzie Boże. A ta wiara i ten żal i ufność, wolne od pobudek i zabarwienia politycznego wznosiły się najczystszym płomieniem na wyżyny religijnej czci proroków. Tam na tle przeobrażającej

się politycznej fizyognomii świata snuł ostatni z wielkich proroków Daniel wspaniałe wizye przyszłości o wielkiem przeznaczeniu Izraela i przyjść mającym Messyaszu, a te wizye były tak wyraziste i jasne, iż zda się jakby je spisywał jakiś historyk współczesny. O królestwie mesyańskiem pisali wszyscy prawie poprzedni prorocy — proroctwa ich lśnią się od blasku, kolorytu i uroczych obrazów rajskiego pokoju — ale Daniel ujął te wizye jakby w system jakiś, przedstawił je w postępowym rozwoju historycznym i natchnął taką mocą, że się stały źródłem i wzorem odrębnej literatury apoliptycznej i krzepiły wiarę narodu przez długie wieki aż do przyjścia Messyasza i zburzenia Jerozolimy.

Tak mesyańskie znaczenie mają owe wizye wspaniałe o symbolicznym posągu Nabuchodonozora (r. II, 31—45) i egzotycznych bestyach, wyłaniających się z przepaści morskich (VII).

»Widziałem w widzeniu moim w nocy, ano cztery wiatry niebieskie potykały się na morzu wielkim. A cztery bestye wielkie występowały z morza, różne od siebie«: skrzydlata lwica i niedźwiedź i skrzydlaty leopard i potwor dziesięciorożny, symbolizujące militarne potęgi tego świata, które w ciągu historyi rozpościerają kolejno swoje panowanie nad ludem wybranym. Wszystkie one rozpadną się w gruzy, ażeby zrobić miejsce »Synowi człowieczemu«, który z wszystkich narodów zbuduje sobie królestwo wieczne. »Odjęto im władzę, mówi prorok, i namierzono im czasy żywota aż do czasu i czasu«.

»Patrzałem tedy w widzeniu nocnym a oto z obłoki niebieskimi jako syn człowieczy przychodził i aż do starowiecznego przyszedł i stawili go przed oblicze jego. I dał mu władzę i cześć i królestwo i wszyscy narodowie, pokolenia i języki służyć mu będą i władza jego, władza wieczna, która nie będzie odjęta, a królestwo jego, które się nie skazi«.

Kto jest »syn człowieczy«? To personifikacya ludu żydowskiego, nowego Izraela, nawróconego do Boga, podobnie jak lwica i leopard skrzydlaty, symbolizują państwa Nabuchodonozora i Aleksandra, to król ludu żydowskiego, Ten, co otrzymał misyę założenia królestwa Bożego, to Messyasz.

On przyjdzie na czele ludu wybranego i świętego, by ugrun-

tować panowanie »ludu świętych Najwyższego«, ale dopiero po panowaniu czwartej bestyi i pokonaniu tego, który »będzie mówił mowy przeciw Wysokiemu i świętych Najwyższego skruszy«, i któremu »będzie się zdawało, że może odmienić czasy i prawa«.

»I zasiędzie sąd (odbędzie się sąd), aby była odjęta moc i był zstart i zginął aż do końca (t. j. ze szczętem). A królestwo i władzę i wielkość królestwa, która jest pod wszystkiem niebem, żeby dano ludowi świętych Najwyższego, którego królestwo, królestwo wieczne jest, a wszyscy królowie będą mu służyć i słuchać go« (VII, 26—27).

Czy tu mowa o doczesnem czy wiecznem królestwie i idealnej teokracyi Bożej? Któż zdoła rozwiązać ten problem apolipty- czny? Podobnie jak u Izajasza i innych proroków w jedno ἓν καὶ πᾶν się tu zlewa niebo ze ziemią i wieczność z czasem, teokracya niebieska z ziemską, pokój rajskiej szczęśliwości z strasznym sądem Bożym nad ludzkością, i ten związek tajemniczy sprawia, że różni różnie wizyę tę proroczą tłumaczyli.

W rozdziale IX określa prorok czas przyjścia Messyasza i przepowiada odrzucenie ludu niewiernego.

Gdym jeszcze trwał na modlitwie, opowiada prorok, »oto mąż Gabriel, prędko lecący dotknął się mnie czasu ofiary wieczornej i nauczył mię, a mówił ze mną i rzekł... zrozumiej widzenie: Siedemdziesiąt tygodni ukrócone (postanowione) są na lud twój i na miasto święte twoje, aby się dokonało (skończyło) przestępstwo, a grzech aby wziął koniec, ażeby nieprawość była zgładzona, a przywiedziona sprawiedliwość wieczna, a aby się spełniło widzenie i proroctwo, a był pomazany Święty świętych. A tak wiedz, a obacz: od wyjścia mowy (dekretu Cyrusa), aby zaś było zbudowane Jeruzalem aż do Chrystusa wodza (kapłana-króla) tygodniów siedm, i tygodniów sześćdziesiąt i dwa będą: a znowu będzie zbudowana ulica i mury w ciasności czasów (w ciężkich czasach).

A po tygodniów sześćdziesiąt i dwa będzie zabit Chrystus, a nie będzie ludem jego, który się go zaprze. A miasto i świątynię skazi lud z wodzem, który przyjdzie, a koniec jego spustoszenie, a po skończeniu wojny postanowione spustoszenie.

A zmocni przymierze z mnogimi tydzień jeden: a w pół tygodnia ustanie ofiara (krwawa) i ofiarowanie (nie krwawe). I będzie w kościele obrzydłość spustoszenia, i aż do skończenia i końca będzie trwać spustoszenie«.

Jeremiasz był przepowiedział, że niewola babilońska trwać będzie lat 70, ale czy po upływie czasu tego nastąpi jaśniejsza dola dla ludzi i miasta Bożego, czyli też lud, zadufany w obietnice Boże nie popadnie w obojętność i grzeszny fatalizm? A może i era messyańska już blizko i okres chwały i szczęśliwości niezamąconej dla ludu Bożego? Takie i tym podobne wątpliwości i pytania nurtowały umysł proroka, który rozmodlony doprasza się w tej mierze światła z góry. »Proszę Panie, — błaga — Boże wielki i straszny, który strzeżesz przymierza i miłosierdzia... zgrzeszeliśmy, nieprawość czyniliśmy, niezbożnieśmy się sprawowali... kropiło na nas przeklęctwo i klątwa«. I wzbierające uczucie skruchy i żalu i błagalnego wyznania przelewa się w namiętną prośbę: »Panie przeciw wszelakiej sprawiedliwości twojej: niech się, proszę odwróci gniew twój i zapalczywość twoja od miasta twego Jeruzalem i od góry świętej twojej«...

Na błagalne wołanie przyszła odpowiedź z nieba. Anioł »prędko lecący« rzuca do serca rozwiązanie dręczących umysł proroka wątpliwości: »jam przyszedł oznajmić tobie, boś mąż pożądania jest«... »abych cię nauczył, ażebyś zrozumiał«.

Odpowiedź anioła rozróżnia dwie rzeczy: odbudowanie Jerozolimy i czasy messyańskie.

Jerozolima dźwignie się z gruzów w ciągu pierwszych siedmiu tygodni lat »w ciasności czasów« (za Ezdrasza). W sześćdziesiąt i dwa tygodni później (434 lat) »będzie zabit Chrystus«, Pomazaniec Pański, zaczem pójdzie odrzucenie ludu wybranego i zburzenie miasta Bożego i świątyni. »Lud z wodzem« wyruszy przeciw miastu i świątyni i zburzy je do szczętu. *Et finis eius,* (wedł. hebr.) *in inundatione, et usque ad finem (extremitatem) eius, bellum; decretum vastationum.* I koniec podobny będzie do gwałtownie wzbierających wód, do potopu biblijnego; wojna i krwawa wojna i spustoszenie aż do końca. Bo taki jest dekret nieodwołalny.

W ostatniem siedmioleciu po zburzeniu Jerozolimy nowe przymierze i nowa teokracya wejdzie w życie w miejsce dawnej, »ustanie ofiara i ofiarowanie«. A potem w czasie nieokreślonym bałwochwalstwo i zbrodnie potworne splugawią świątynię i »aż do skończenia i końca trwać będzie spustoszenie«.

Po powrocie z niewoli babilońskiej garstka niewielka wygnańców razem z tymi, którzy byli pozostali w kraju zabrała się do odbudowania świątyni, która była symbolem przymierza i najżywotniejszem i jedynem życia religijnego i narodowego ogniskiem. Niebawem atoli intrygi na dworze perskim i ciągłe najazdy pogan i ludu samarytańskiego położyły koniec zbożnej robocie. Dopiero edykt króla Daryusza pod wodzą Zorobabela i Jezusa, arcykapłana, po długich latach popchnął Żydów do nowej pracy nad wzniesieniem świątyni. I tu rozpoczyna się działalność proroków Ageusza i Zacharyasza, którym przypadło w udziale: wskazywać na wielkie przeznaczenie religijne narodu i przypominać ludowi dawne obietnice mesyańskie. To też gdy dawni prorocy nawoływali głównie lud do pokuty i ostro piętnowali wybujałą dumę narodową, prorocy po powrocie z wygnania budzą przedewszystkiem do życia konające nadzieje religijne i rozpalają w skołatanych niepowodzeniem sercach święte ognie zmartwychwstania.

Najprzód przypatrzmy się proroctwom Ageusza.

Marzeniem Zydów było wzmocnić o ile możności w dawnym blasku świątynię jerozolimską. A tu w miarę jak budowa posuwa się naprzód, pokazuje się, jak daleko nowa świątynia odbiegła od okazałej świetności wielkiego wzoru. Stąd żale i rosnące niezadowolenie u ludu. Jak ukoić ten żal i załagodzić rozgoryczenie?

Oto prorok przypomina ludowi wielkie jego przeznaczenie religijne i wskazuje na inną, dużo większą chwałę, którą zajaśnieje świątynia: »Bo oto mówi Pan zastępów: jeszcze jedna mała chwila jest, a ja poruszę niebo i ziemię i morze i suchą (kontynent). I poruszę wszystkie narody. A przyjdzie pożądany wszem narodom (tekst hebr. ma: i przyjdą bogactwa wszystkich ludów) i napełnię dom ten chwałą, mówi Pan zastępów. Moje jest srebro i moje jest złoto, mówi Pan zastępów. Większa będzie chwała

domu tego pośledniego, niż pierwszego, mówi Pan zastępów, a na tem miejscu dam pokój, mówi Pan zastępów« (II, 7—10). Jakiego zaś rodzaju będą te wstrząśnienia, czytamy pod koniec rozdziału (w. 22—24).

»Mów do Zorobabela, książęcia judzkiego, rzekąc: Ja poruszę niebo społem i ziemię. A wywrócę stolicę królestw, a skruszę moc królestwa pogańskiego. I wywrócę poczwórny (wóz bojowy) i wsiadającego nań, że pozdychają konie i wsiadacze ich: mąż od miecza brata swego. W on dzień, mówi Pan zastępów, wezmę ciebie Zorobabelu, synu Salathiel, sługo mój (jako przedstawiciela ludu), mówi Pan: i położę cię jako sygnet, bom cię obrał, mówi Pan zastępów« (t. z. będę cię strzegł jak sygnet na ręce, bo z ludu tego wyjdzie Zbawiciel).

A więc potężne wstrząśnienia i przeobrażenia stosunków ludzkich dokonywać się będą w historycznym pochodzie ludzkości, zanim wszystkie ludy pokłonią się Bogu i przyjdą ofiarować w nowej świątyni co mają najkosztowniejszego. I wówczas przyjdą czasy szczęśliwego pokoju i rozleją się błogosławieństwa messyańskie na ludzkość całą. Podobne perspektywy o rajskim pokoju ludu wybranego już znamy. Ukazywali je Izajasz i Daniel i inni prorocy.

Prorok Zacharyasz roztacza swoje proroctwa w szeregu wizyi naszych, tłumaczonych przez anioła. Pogrążone są one, podobnie jak przepowiednie Daniela, w jakimś mroku apokaliptycznym, który tajemniczy wywiera urok na czytelnika.

Pierwsza wizya: »Widziałem w nocy, a oto mąż, wsiadający na konia rydzego, a on stał między mirty, które były w głębi. a za nim konie rydze, strokate i białe. I rzekłem: co to zacz są, Panie mój?«

To jeźdźcy niebiescy, tłumaczy anioł, którym Pan powierzył pieczę nad narodami (aniołowie stróżowie). Oni zbiegli ziemię »a oto ziemia jest osiadła i odpoczywa«.

Wszędzie spokój niezamącony. Kiedyż wreszcie zlituje się Bóg nad Jerozolimą? Już siedemdziesiąt lat upływa, jak to prorok Jeremiasz przepowiedział, a Bóg milczy, i kraj stał się pustką smętną a reszta ludu nie wraca z wygnania.

Na błagalne pytanie Bóg odpowiada, że niebawem świątynia się dźwignie a kraj cały i miasta opływać będą »dobrami«.

Inna wizya (r. II) mówi o nawróceniu się »mnogich narodów do Pana«.

Prorok widzi człowieka rozmierzającego grunt pod budowę Jerozolimy i dowiaduje się od anioła, że nowa »Jerozolima nie będzie opasana murem dla mnóstwa ludzi«. Bóg bowiem sam będzie miastu »murem ognistym wokoło« i napełni je chwałą i upokorzy ludy, które je złupiły. Dlatego »chwal a wesel się córko sionska, bo oto ja idę i mieszkać będę wpośród ciebie, mówi Pan. I przyłączą się narodowie mnodzy do Pana w on dzień i będą mi ludem... Niech milczy wszelkie ciało (ludzkość) od oblicza Pańskiego, bo powstał (Zbawiciel) z mieszkania swego świętego« (wychylił się z wieczności).

W rozdziale III ujrzał prorok Jezusa arcykapłana »stojącego przed aniołem Pańskim. A szatan stał po prawicy jego, aby mu się sprzeciwiał«. Anioł-sędzia wszelako odrzucił zażalenie szatana i oczyścił z zarzutu arcykapłana. »Aza ten nie jest głownia, wyrwana z ognia (babilońskiego), mówi sędzia?

I Jezus, który przedstawia ówczesne społeczeństwo żydowskie, znękane i zrozpaczone, znajduje znowu łaskę u Boga. Brudne jego szaty zmieniono na kosztowne, anioł przemówił do niego w te słowa:

»Słuchaj Jezusie, kapłanie wielki, ty i przyjaciele twoi, którzy mieszkają przed tobą (t. z. wraz z otoczeniem kapłanów), bo oto ja (t. j. Bóg) przywiodę sługę mego wschodzącego (w hebr. latorośl). Bo oto kamień, którym dał przed Jezusa: na kamieniu jednym siedmioro oczy są: oto ja wyrzezę rzezanie jego, mówi Pan zastępów i odejmę nieprawość ziemi jego dnia jednego. W on dzień, mówi Pan zastępów, będzie wzywał mąż przyjaciela swego pod winne drzewo i pod figę« (r. III).

Mówi więc Pan do arcykapłana, który jest przedstawicielem przyszłości, ja przywiodę sługę mego Messyasza; który z kamienia węgielnego świątyni pod okiem Opatrzności Bożej, który z społeczeństwa, kształtującego się według Zakonu, wyrzeźbi wspaniały gmach i odejmie nieprawość z ziemi. I ziemia zakwitnie

szczęściem: przyjaciel będzie się cieszył z przyjacielem pod winnem drzewem i figą.

W rozdziale VI opowiada prorok, że otrzymał od Pana taki rozkaz: »Wnijdziesz do domu Joziasza, tam przybyli posłańcy babilońscy z darami na świątynię. A nabierzesz złota i srebra i poczynisz korony i włożysz na głowę Jezusa, syna Josedek, kapłana wielkiego, i rzeczesz do niego, mówiąc: To mówi Pan zastępów, rzekąc: oto mąż Wschód (hbr. Latorośl), imię jego, a pod nim (t. j. z niego) wnidzie i zbuduje Kościół Panu. A on zbuduje Kościół Panu, i on nosić będzie sławę, i siędzie a panować będzie na stolicy swojej, i będzie kapłanem na stolicy swej, a rada pokoju będzie między onymi dwiema«.

Jak w wizyi poprzedniej arcykapłan Jezus jest tu tylko typem »Latorośli« z domu Dawidowego czyli Messyasza, który zbuduje nowy Kościół Panu i zasiądzie na tronie wraz z arcykapłanem i panować będzie na stolicy swej, w jedności z nim »a rada pokoju będzie między onymi dwiema«. Druga zaś korona, przechowana w świątyni, spocznie na głowie tego, dla którego jest przeznaczona. A ludy z daleka »przyjdą« i pracować będą nad wykończeniem Kościoła Pańskiego i poznają, że Pan zastępów posłał Messyasza do nich. »A będzie to jeśli słuchając usłuchacie głosu Pana Boga waszego«.

W rozdziale IX prorok opisuje jakby zwycięskie podboje Greków w Azyi. Wstrząśnienie i spustoszenie jak burza idzie z zachodu na wschód przez miasta i kraje od Tyru i Sydonu aż po miasta Gaza i Askalon.

»I zbudował Tyr zamek swój a nagromadzał srebra jako ziemię a złoto jako błota ulic. Oto Pan posiądzie je i porazi na morzu moc jego a samego ogień pożre. Ujrzy Askalon a zlęknie się, i Gaza a rozboleje się bardzo; i Akkaron bo się zawstydziła nadzieja jego; i zginie król z Gazy a w Askalonie mieszkać nie będą« ...

A na tle tych wstrząśnień krwawych i łupiestw i wojen występuje skromna postać Messyasza, który rozpocznie swoje panowanie skruszeniem łuku i sprzętu wojennego w Judei i Efraim i rozszerzy swoje królestwo pokoju na świat cały: »Raduj się

wielce córko Sion, wykrzykaj córko Jeruzalem: Oto Król Twój przyjdzie tobie sprawiedliwy i zbawiciel ubogi a wsiadający na oślicę i na źrebię, syna oślicy. I wytracę poczwórny z Efraim i konia z Jeruzalem, a połamany będzie łuk wojenny. I będzie mówił pokój narodom, a władza jego od morza aż do morza — a od rzek aż do kończyn ziemi«.

Ostatnie rozdziały księgi proroctw Zacharyasza kreślą nam w najogólniejszych i przyćmionych zarysach dzieje ludu Bożego pod koniec wieków, podobnie jak epilog proroctw Izajaszowych. »Oto przyjdą dni Pańskie« ... kiedy zgromadzą się »wszystkie narody do Jeruzalem ku bitwie i będzie wzięte miasto i zburzą domy i niewiasty pogwałcą. I wynidzie połowica miasta w niewolę«. W chwili atoli największego niebezpieczeństwa przyjdzie Pan z pomocą ludowi swojemu: Oto góra Oliwna rozpadnie się na dwoje i da ludowi bezpieczne schronienie przed pościgiem nieprzyjaciela.

Z wrzawy zaś walki wynurzy się nowa Jerozolima. »I przyjdzie Pan Bóg mój i wszyscy święci z nim« i rozciągnie panowanie na świat cały. Jerozolima podniesie się ponad góry sąsiednie a dwa nigdy nie wysychające źródła zraszać ją będą. »A wytracenia nie będzie więcej«.

Proroctwo to tłumaczone zbyt dosłownie, dostarczyło wątku i wzoru autorom literatury apokaliptycznej, która od czasów Machabeuszów pasorzytnie krzewiła się na tle krwawych wstrząśnień i zawiedzionych nadziei narodu, aż do zburzenia Jerozolimy.

Wkońcu jeszcze kilka słów o ostatnim z proroków Malachiaszu, którego przepowiednie łączą się ściśle z poprzedzającym i są jakby ich uzupełnieniem.

Zmudne prace i zabiegi wielkich organizatorów Ezdrasza i Nehomiasza, ażeby życie religijne i moralne ludu i wszystkie stosunki społeczne znowu oprzeć na Zakonie mojżeszowym nikłe tylko wydały owoce. Swiątynia jerozolimska, której budowę Ageusz i Zacharyasz tak gorąco popierali już jest ukończona, już odbywają się w niej święte obrzędy i doroczne uroczystości, ale lud, którego oczekiwania i jasne nadzieje doznały zawodu, popadł w jakiś martwy formalizm, czy zobojętnienie dla rzeczy Bożych:

szerzą się małżeństwa mieszane z pogankami, lud usiłuje się uchylić od płacenia dziesięciny, kapłani lekceważą sobie rytualne przepisy ofiarne, a wszędzie szerzy się jakieś zaciemnienie wiary i duch zuchwałej krytyki przeciwko rządom opatrzności Bożej. I te grzechy i grzeszne prywary surowo piętnuje Malachiasz, wskazując przytem na podwójne przyjście Messyasza i straszne jego sądy: »Syn ma w uczciwości ojca, woła prorok, a sługa pana swego: jeśli tedy ojciec ja jestem, gdzież jest cześć moja? a jeślim ja Pan, gdzież jest bojaźń moja? mówi Pan zastępów do was, o kapłani, którzy gardzicie imieniem moim i rzekliście: w czemżeśmy wzgardzili imię twoje?« Przepisy ofiarne, są w zapomnieniu i pogardzie, i dlatego »nie mam chęci do was, mówi Pan zastępów, i daru nieprzyjmę z ręki waszej. Bo od wschodu słońca aż do zachodu wielkie jest imię moje między narody, a na każdem miejscu poświęcają i ofiarują imieniowi memu ofiarę czystą: bo wielkie jest imię moje między narody, mówi Pan zastępów« (I, 10—11).

Dwie rzeczy zapowiada tu prorok: zniesienie ofiar starozakonnych i zaprowadzenie w ich miejsce ofiary nowej, którą składać będą na każdem miejscu Jehowie. Proroctwo to odnosi się do mszy świętej. Zapewne, zasłona przyszłości tu niezupełnie odchylona. Mowa tu jeszcze o lewitach, choć przeobrażonych i oczyszczonych jak złoto i srebro w ogniu (III, 3) i o ofierze czystej, odpowiadającej wymaganiom Zakonu, choć ofiara ta ma się składać nie tylko w świątyni Jerozolimskiej, lecz na każdem miejscu wśród ludów pogańskich. Jaka zaś będzie ta ofiara tłumaczy nam nadto słowo ‚minha' t. z. ofiara w zbożu lub mące, z chleba lub wina. W myśl tedy proroctwa ofiara czysta poza miastem Bożem i świątynią odnosić się może tylko do czasów messyańskich.

W końcowych rozdziałach (III i IV) roztacza prorok wspaniałe obrazy o sprawiedliwych sądach Bożych, które się odbędą nad wszystkimi narodami i o podwójnem przyjściu Messyasza.

»Oto ja posyłam Anioła mojego — mówi Pan — a nagotuje drogę przed obliczem moim. A zaraz przyjdzie do kościoła swego Panujący, którego wy szukacie i Anioł przymierza, którego wy chcecie. Oto idzie mówi Pan zastępów:

A kto będzie mógł ogarnąć dzień przyjścia jego, a kto się ostoi na widzenie jego? Bo on jako ogień zlewający (przetapiający kruszec) i jako ziele farbierskie (oczyszczające): a usiądzie wypalając i wyczyściając srebro, i wyczyści syny Lewi, i przecedzi je jako złoto i jako srebro, i będą Panu ofiarować ofiary w sprawiedliwości. I spodoba się panu ofiara Judy i Jeruzalem, jako dni wieku i jako dawne lata (t. j. jak ongi w czasach patryarchalnych). I przystąpię do was w sądzie a będę świadkiem prędkim czarownikom i cudzołożnikom i krzywoprzysiężcom i którzy krzywdzą zapłatę najemnika, wdów i sierót, i ściskają cudzoziemca a nie bali się mnie, mówi Pan zastępów. Bom ja Pan, a nie odmieniam się« (III, 1—6).

Sądy Boże, które zapoczątkować miały według proroctw Bożych erę messyańską nie spełniają się, skarżą się Żydzi. Czy Bóg się odmienił? »Wszelki, który złe czyni, dobry jest w oczach Pańskich i tacy mu się podobają, albo więc gdzie jest Bóg sądu«?

»Ja Pan, a się nieodmieniam« odpowiada Bóg. Przyjdzie Messyasz, »którego wy szukacie« i Anioł przymierza, »którego wy chcecie«, i zapoczątkuje nową erę, ale »kto będzie mógł ogarnąć dzień przyjścia jego«? Wpierw trzeba godnie się przygotować na przyjście jego, bo on będzie zmartwychwstaniem dla jednych a ruiną dla drugich. Sąd rozpocznie się od kapłanów a skończy się na tych, którzy źle czynią w oczach Pańskich. I zajaśnieje znowu sprawiedliwość Boża.

»Bo oto dzień przyjdzie pałający jako piec, i będą wszyscy pyszni i wszyscy niezbożni słomą, i zapali je dzień, który przyjdzie, mówi Pan zastępów, który nie zostawi im korzenia i gałązki *(lasciate ogni speranza)*.

Dla dobrych zaś »wznidzie wam bojącym się imienia mego słońce sprawiedliwości« rzucające wokoło promienie szczęścia i pokoju i zdrowia. I cieszyć się i hasać będą jak młode stado.

»Niezbożne« natomiast będą »popiołem pod stopą nóg waszych, w dzień, w który ja czynię, mówi Pan zastępów«. I okaże się różnica pomiędzy złem a dobrem. Ażeby jednak godnie się przygotować na dzień Pański »pamiętajcie na Zakon Mojżesza, sługi mego,

którym mu rozkazał na Horeb do wszego Izraela, rokazania i sądy«.

Wielki Bóg bowiem pomny jest przymierza i dotrzyma słowa. Naród żydowski pod koniec wieków nawróci się do Pana. »Oto ja poślę wam Heliasza proroka, pierwej niźli przyjdzie dzień Pański wielki a straszny (t. j. sąd ostateczny). I nawróci serce ojców ku synom a serce synów ku ojcom t. j. ku wielkim patryarchom narodu ich, abych snadź nie przyszedł a nie skarał ziemi wytraceniem« (IV).

I spełni się prośba, którą za swego pobytu tu na ziemi wielki ten mąż Boży gorąco polecał Bogu: »Wysłuchaj mię Panie, wysłuchaj mię: żeby poznał ten lud, żeś ty jest Pan Bóg, i tyś zaś nawrócił serce ich« (II ks. król. 19, 37).

Ks. Leonard Lipke.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Młodzież. *C. Wagner.* Dzieło uwieńczone przez Akademię francuską. Wyd. II. Warszawa 1906.

Żyjemy pod znakiem dysput i reform. Między kwestyami, które się omawia, jest też i ta nie ginąca nigdy sprawa młodzieży, sprawa stale »żywotniejsza, niż kiedyindziej«, sprawa powszechnej doniosłości. Z tego tytułu zabierają głos w dyskusyi wszyscy, każdy czuje się do tego powołanym, każdy opiera się w tej mierze na doświadczeniu, które jest czemś tak pewnem, prawdziwem i niewzruszonem, że dziwić się należy, dlaczego sprawa na tylu i tak pewnych oparta podstawach, chwieje się i jeżeli nie rozpada w gruzy, to w każdym razie poważnie rysuje się i to we fundamentach. Rzecz dziwna! gdybyśmy energię zawartą w słowach w tej mierze wyrzeczonych, energię zaklętą w tylu tysiącach arkuszy, zapisanych z powodu tych dyskusyi porównali z ostatecznym wynikiem, — jak słabym wyda się nam ten ostatni. Dlaczego to? — Złe ujęcie sprawy, brak zrozumienia istoty jej. Zapominamy o tem, że nie tylko prawdziwem jest twierdzenie: »takiem społeczeństwo będzie, jaką jest młodzież«, ale że nierównie prawdziwszem jest zdanie: jakiem społeczeństwo jest, taką jest i najczęściej musi być młodzież. — Wszak drzewo nie rozwinie się wcale, lub w najlepszym razie będzie nikłe, jeżeli grunt, na którym rośnie jest zły lub nieodpowiedni, jeśli soki, jakie drzewo czerpie, są marne lub zabójcze. Miałożby inaczej być u młodzieży? Wszak u tej młodzieży zmysł naśladowniczy jest bardziej rozwinięty, niż u nas, a i nam go nie brak, wszak prawda? Czyż syn nie naśladuje ojca, córka matkę?

Przecież marzeniem dziecka być dorosłym, czyż więc nie naśladuje ich? Jeżeli więc chcemy rzeczywiście reformy, poprawy, zacznijmy ją od siebie. Niech dysputy na temat poprawy nie będą milczącem przyzwoleniem danem sobie samemu, przyzwoleniem nie zmieniania się. Starajmy się pozbyć sami wad naszych, a zaraz młodzież przejmie ruch ten od nas i sama, może nawet mimowiednie, starać się będzie o poprawę swoją, a dokona tego tem łatwiej, im mniej wad wśród nas spotykać będzie. Pamiętajmy o tem, że *exempla trahunt.*

Dlaczego jednak tak trudno uwolnić się nam od wad naszych? — Nie znamy siebie samych. Brzmi to paradoksalnie, — lecz jest niestety prawdą.

Żyjemy życiem zbyt gorączkowem. Mimo olbrzymiego ułatwienia wszelkich środków i sposobów komunikacyi, bardziej niecierpliwi jesteśmy, niż ci, którzy dłużej jechać, więcej czasu tracić na przeprowadzenie wymiany myśli od nas potrzebowali. To samo obserwować można i w dziedzinie myśli i w dziedzinie czynu. Tylko naprzód i jak najprędzej naprzód. — To jest złem, przeciw temu trzeba walczyć, a bronią najskuteczniejszą... skupienie! Wejść trzeba w siebie, zastanowić się nad sobą. Tymczasem... skupienia, samotności »zwykle boimy się zamiast pożądać. Każdy, wychodząc z wykładów, biura, laboratoryum, fabryki, starannie unika zostania z sobą sam«. »Przekładają nad samotność otoczenie, jak najmniej zajmujące, najniezdrowsze. Niektórzy wolą zapłacić za przyjemność nudzenia się w towarzystwie, byle się nie nudzić w samotności«. »Ubezpieczają się ludzie od skupienia, jak od gradu i pożaru... Jest to wstręt do życia wewnętrznego, posunięty do ostateczności«.

»Drogą utraconą jest obecnie ta mała ścieżka, która prowadzi w głąb własnego serca. Źle czynimy, zaniedbując ją. Dają się tam słyszeć w zakrętach nieuczęszczanych głosy ciche, a jednak potężne, od których uszy nasze całkiem odwykły«.

»Źródłem spokojnej działalności jest skupienie. Na czem polega energia woli, słabość sumienia i jego bezpieczeństwo? Na umiejętności obcowania z sobą, na oporze wpływom zewnętrznym i umacnianiu przeciw nim silnem wewnętrznem życiem. Skupić się, to nie jest wcale uciekać od świata i mięknąć w chorobliwem odosobieniu... Skupić się jest kuć i ostrzyć broń na uboczu, by w chwili walki nie zrobiła zawodu. Jest to cofnąć się, by lepiej skoczyć. Silne wewnętrzne życie jest niezbędnym dodatkiem do wszelkiej ze-

wnętrznej działalności... Gdzie tylko roznosi się głos, zdolny wywołać echo, wszędzie wychodzi on z ust, które milczeć umiały. Tajemnica słów potężnych i czynów bohaterskich leży w wielkich ciszach duszy. W skupieniu energie ześrodkowują się i przygotowują, a gdy wybije godzina, objawiają się silnym rozpędem«... »Nie powinien czyn zewnętrzny wyprzedzać wewnętrznego. To, co się rodzi przedwcześnie, jest fałszywe i nietrwałe. Skąd pochodzi wyjątkowa doskonałość, nieśmiertelne piękno arcydzieł klasycyzmu, tak w poezyi, jak w malarstwie i rzeźbie? W znacznej części z powolnego dojrzewania dzieła, które ujrzało światło dzienne w porę, bez gorączki i sztuki. Ileż lichot tworzymy dlatego, że nie znamy wartości skupienia się, ani sekretu, że tak trzeba długo naciągać, by celnie i daleko ugodzić«.

»Kto nie umie w porę zatrzymać się, nie umie również odnieść korzyści ze swoich wędrówek. Trzeba czasem usiąść, obejrzeć się za siebie, spojrzeć naprzód, pamiętać i przewidywać, badać swój czas i siły... Tosamo z życiem. By je ocenić, nabrać zamiłowania do niego, zgłębić jego znaczenie, trzeba czasem usiąść na jego wybrzeżu i patrzeć, jak ono płynie... Zmęczenie mąci wzrok tak pod względem fizycznym, jak i moralnym. W miarę, jak się mozolimy i jak zmęczenie i gorączka nas ogarnia, tracimy jasny pogląd na rzeczy. Z im większem zapamiętywaniem oddajemy się pracy i im dłużej nie przerywamy jej, tem praca staje się uciążliwszą... O ile zatem jest to w naszej mocy, powinniśmy dawać sobie wytchnienie«... Człowiek odpoczywający »patrzy na rzeczy z innego punktu widzenia... Pracując widział szczegóły, odpoczywając widzi całość i otoczenie. Widzi życie innych ludzi i ich dzieła w stosunku do swej własnej działalności. Robi porównania i uczy się. Wszystko to przyda mu się, gdy wróci na stanowisko«.

Drugą wadą również powszechną jest... pogardzanie pracą. »Praca jest źle rozumiana, a nawet pogardzana przez wielu. Jest ona uważana za pańszczyznę, którą trzeba odrabiać dla zdobycia chleba«. Wprawdzie pracują ludzie, pracują jednak z niechęcią, nieliczna tylko garstka wkłada duszę w pracę, której się poświęca. A przecież rzecz dziwna! Pracy potrzebuje człowiek tak, jak ryba wody, po większej części dobrowolnie obiera rodzaj pracy i zajęcia, a mimo to spełnia ją niechętnie i... wstydzi się tego, że pracuje. Wada ta jest powszechną, a szczególniej rozgałęzioną w społeczeństwie naszem. Do rehabilitacyi pracy nawołuje też autor w po-

wyższej książce, zaleca nawet zwrot ku pracy ręcznej, fizycznej i jako przeciwwagę pracy umysłowej i jako środek i sposób zbliżenia się i złączenia z temi warstwami, które z pracy żyją.

Nie bez słuszności też powiedzieć można, że nie umiejąc odpoczywać, nie umiemy się bawić; zanika też wskutek tego wesołość, a z nią szczery, swobodny, a pogodny humor.

»Pierwiastku rozrywek należy szukać w istotnej, a słusznej potrzebie urozmaicenia czasu... Tak jesteśmy stworzeni, że nieustanne powtarzanie nawet przyjemnych wrażeń denerwuje nas i męczy. A cóż dopiero mówić o pracy ciężkiej, o zajęciach pochłaniających, które zużywają największe zdolności i siły?« Jeżeli jednak przyznać trzeba, że rozrywki są ważnym czynnikiem życia, to w każdym razie nie można uważać ich jako cel, tylko jako środek. Środek zaś może być dobrym lub złym, zależnie od tego, jak się go użyje. »Godziwe rozrywki czynią człowieka lepszym i silniejszym, złe niszczą go i stają się żywiołem rozkładowym społeczeństwa. Nie dość jest umieć pracować, trzeba umieć się bawić. Otóż przyznajmy otwarcie, że czas bieżący nie dał wrodzonej naszej potrzebie rozrywek, zadowoleń istotnie trwałych i właściwie skierowanych. Żądny użycia wiek nasz wynalazł przyjemności i rozrywki nieznane naszym ojcom, ale bawić się naprawdę nie umie... Cóż tedy czynimy po pracy? Idziemy do teatru, do miejsc, gdzie palą, piją, grają, lub też zbieramy się na wspólne czytanie, drażniące nerwy... Jest to złe nader ważne, które prócz innych smutnych następstw dla moralności, zdrowia powszechnego i społecznego pokoju, dąży do najgorszych następstw, do zagłady wesołości. Czem jest życie i młodość bez wesołości? Zmąćcie jej źródło, a czar całego świata ze wszystkiem co w sobie zawiera, nie wynagrodzi zła zrządzonego. Bez wesołości wszystko jest czcze, puste i obumarłe«. »Wrócić do prostoty, do wrażeń zdrowych, silnych, uspokajających i dodających uroku egzystencyi, — oto czego nam potrzeba na miejsce rozkoszy sztucznych, które rodzą wstręt do życia«. A więc gry i zabawy na wolnej przestrzeni, więc piesze wędrówki w gronie rówieśników, więc powrót do pieśni, która też zanika. Śpiew swobodny, a z duszy, a z serca płynący, choć niewyuczony, rozmowy swobodne, gawędy, gawędki oto miłe rozrywki ginące coraz bardziej, rugowane przez karty, hulatyki, knajpy, flirty i t. p. ku wielkiej szkodzie wszystkich. »Ojcowie nasi wyzwolili ziemię świętą z rąk niewiernych. Jest inna ziemia święta, którą złoczyńcy, złodzieje, gwał-

ciciele rzeczy świętych kalają codzień. Jest to ziemia uśmiechu i radości. Tak doszczętnie spustoszyli ją i zeszpecili, że zmieniła się do niepoznania. Ale przez Boga wiosny i gwiazd, przez dobroć łaskawą, która świeży uśmiech dała ustom dziecka, a słodkie upojenie radości sercu młodzieży, ziemia święta nie pozostanie w sercu niewiernych. Jest ona naszą i odzyskać ją musimy«.

* * *

W stosunku starszych do młodzieży odnaleźć można niejeden szczegół, który aczkolwiek podyktowany dobrą wolą przecież zawodzi w skutkach, gdyż tej dobrej woli towarzyszy zazwyczaj fałszywe pojmowanie sprawy. Pomni tego, ile trudu, cierpienia i łez nawet kosztowało nas dojście do mety, przy której dziś stoimy, pamiętni bolów, których zaznaliśmy dźwigając się na zajmowane obecnie stanowisko, pragniemy oszczędzić ich następcom naszym, a posuwając się w tym kierunku przez źle zrozumianą miłość młodzieży za daleko, wtrącamy ją z jednej ostateczności w drugą. Wprawdzie »człowiek buntuje się przeciw trudowi i boleści, bo taka już jego natura«, pamiętać jednak trzeba, że »boleść ocala go nieraz, będąc ostrzeżeniem. Gdy człowiek zbłądzi, ona raptem zjawia się, by mu to powiedzieć«. A przytem »nie tylko obowiązek przeczenia i ostrzegania, wołając: strzeż się w przejściach niebezpiecznych, spełnia przy nas boleść, ona zwraca naszą baczność na nas samych, objawia nas samych sobie. Ileż rzeczy człowiek widzi tylko przez łzy?... Kochajcie tę boleść zrodzoną z zetknięcia się życia z waszym ideałem. Zejdźcie z nią razem do głębin waszej duszy, słuchajcie jej westchnień... Niech boleść nauczy was litości i zbliży was do tych, co cierpią i znoszą trud, do maluczkich, do ludu, do wszystkich pominiętych i zapomnianych. Za to ona wam ukaże rzeczy wielkie i zakryte... Ludzkość, którą gardzą ci, co jej nie znają i nic dla niej nie zdziałali, ukaże się wam piękną tem, co przecierpiała, a wy pokochacie ją za to. Skupcie się wkoło niej, jak dzieci płaczące gromadzą się wkoło matki; o n a n a u c z y was sekretu mocy, nadziei i wiary, który jest objawiony świątyniom wielkiej boleści. Nie obawiajcie się tam utracić wesołości, jak praca bowiem, tak i cierpienie stają się warunkiem szczęśliwości. Przy stromych ścieżkach, na które ona każe się nam wspinać, rosną kwiaty o tajemniczych barwach, których nigdy nie będą oglądać niewtajemniczeni«.

Jeżeli korzystną w wychowaniu jest boleść i cierpienie, o ileż

korzystniejszym trud. »Trud jest bodźcem, potężną sprężyną. Egzystencya zbyt łatwa denerwuje, młodość spędzona w zniewieściałości źle przygotowuje do życia«. Trzeba się nauczyć łamać z trudnościami, borykać z przeciwnościami, — »dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał hydrze, ten młody zdusi centaury... Piekłu ofiarę wydrze, do nieba pójdzie po laury...« w ten bowiem tylko sposób zdobędziemy hart, siłę i energię męską. A tymczasem co się dzieje?... Dziś usuwa się skwapliwie wszelkie trudności z przed młodzieży, co więcej, prowadzi się ją na nitce, na pasku jak najdłużej, — pocieszamy się tem, że zazna jeszcze dość trudu i kłopotu. Rezultat jaki? wskutek braku ćwiczenia marnieją siły, nie dziw więc, że tak wychowani młodzieńcy nie umieją i nie chcą, a że nieprzyzwyczajeni więc boją się stawić czoło trudnościom; błaha przeciwność już ich łamie tak, jak lekki przymrozek warzy zbyt wydelikacone roślinki. Takim jednak jest prąd od szeregu lat i w wychowaniu i w szkolnictwie... Wszystkim zdaje się, że działają dobrze, a tymczasem możnaby im powiedzieć: *caveant consules!* — baczmy, czy nie posuwamy za daleko wszelkiego rodzaju ułatwień, uproszczeń, pomocy i wyręczań w wychowaniu młodzi!

Nakoniec jeszcze jedno... Dość długo panował wśród nas i coraz więcej władzę swą rozszerzał niknący już dzięki Bogu prąd realistyczny. Nie można powiedzieć, by był pozbawiony zupełnie dodatnich stron, ale przyznać trzeba, że te dodatnie cechy nabierały tem większej doniosłości, im lepiej zrównoważone były dążnością nierealistyczną, im bardziej opierały się na prawdziwej równowadze ducha i harmonii jego władz. Temu wierzyć, tego zrozumieć nie chciano. Zdawało się niektórym, — a było ich zbyt wielu — że dzieło ducha będzie tem doskonalsze, im bardziej będzie realistyczne. Poszła więc ludzkość za daleko i jak wahadło nie może się utrzymać w swej krańcowej pozycyi, tak i ludzkość przeszedłszy w krańcowość przekonała się, że właściwie rzecz biorąc straciła równowagę i dlatego dziś wraca do położenia równowagi. Trafnie charakteryzuje tę sytuacyę autor wspomnianej książki.

»W pewnej epoce myślący ludzie wyżsi starali się moralność zawiesić w próżni. Usuwali na bok wiarę, by utrzymać moralność, wierzyli w nią bowiem i przeobrażali ją w dogmat. Dobro, zło, prawa człowieka wydawały się im kolumnami, na których wspiera się świat. Błądzili i mieli zarazem słuszność. Mieli słuszność, bo przypuszczali, że świat

moralny oparty jest na prawach wiecznych, odkrytych i zatwierdzonych przez sumienie, a coraz dokładniej poznawanych przez ludzkość w ciągu jej powolnego wznoszenia się ku światłu. Błądzili, bo przypuszczali, że sumienie może mieć stosunki z rzeczywistością w chwili, gdy ze strony inteligencyi ogłaszano wszystko za czcze i próżne. Jeśli człowiek nie jest mocen w pewnym stopniu poznać prawdę, to nie może także odróżnić złego od dobrego... Upadkowi idei ogólnych w dziedzinie intellektualnej, odpowiedział natychmiast upadek zasad moralnych«.

Taki był początek — dalszy ciąg:

»W epoce, która nie posiadała osobistości wybitnych, wyobrażających w oczach młodzieży streszczenie całego okresu czasu, oraz wnoszących na katedry uniwersyteckie pewien rodzaj słowa i hasła powszechnego, znaleźli się profesorowie z poza uniwersytetu, którzy podjęli się tej misyi, ale, niestety, w zupełnie inny sposób. Ci leaderowie chwili byli pisarzami, szczególnie powieściopisarzami, przyswajającymi sobie jak najszersze realistyczne pojęcie o wszechświecie. Jak wszyscy biorący wiedzę z drugiej ręki, śmielsi w twierdzeniach od uczonych, zbudowali na początkach danych rodzącej się fizyologii gmach psychologii i socyologii. Przekonani o bezwzględności pozytywizmu, rznęli, ważyli, mierzyli. Niewzruszeni i niczem niezmieszani, idąc za przykładem tych, którzy cięli mózg i fotografowali jego zwoje, zabrali się do krajania serca ludzkiego na plasterki, by je następnie wystawiać na widok publiczny i objaśniać mechanizm organu, etykietując każdą jego żyłkę. Pisma ich, w których z talentem i pewnością siebie mówili o wielu rzeczach, potrzebujących poważniejszych rękojmi, stawały się z kolei źródłami. Po popularyzatorach pierwszorzędnych przybywali popularyzatorowie drugiego stopnia, trzeciego i dziesiątego, twierdzący z coraz większą stanowczością. Młodzież rozczytywała się w tej literaturze i przejmowała z niej wiele pojęć, wydających się jej ostatniem słowem nauki, zastosowanej do ludzkości. Nie tylko wolność, odpowiedzialność, dobro i zło nie mają dla nich znaczenia, ale nawet wszelki współudział człowieka we własnem przeznaczeniu uważany bywa przez niektórych za nader wątpliwy. Inni przeczą mu stanowczo«.

Tak więc negacya i analiza wszystkiego doprowadziła do »rozbicia umysłowego« i spowodowała tem samem »rozbicie moralne«, aż wreszcie sam fakt przesady spowodował reakcyę.

Przekonano się, że podobne postępowanie nie tylko nie wydaje pozytywnych rezultatów, lecz owszem doprowadza do ruiny wszystkiego, powoduje »rozbicie czynności i energii«. »Gdy przez przeczenie, niepewność, niestałość, brak spójni, łamane duchowe i moralne skoki, zdobyto stopień najwyższy w nierzeczywistym świecie, idea traci całą siłę swoją. Żeby być gotowym do czynu, trzeba pewnej stałości myśli, trzeba utożsamienia człowieka z jego ideami. Działalność nie godzi się ze zbyt wielką zmiennością umysłu. Myśl, jak struna drgająca, a równie czuła na wszystkie z kolei wrażenia, podobną się staje do niwy, którąby w tydzień na nowo rozorywano i zasiewano na nowo, nie troszcząc się o żniwo. Jedna orka zniszczyła drugą«.

Rezultatem tego:

»Ludzie nieustannie zniechęcani, kończą zwykle na zupełnem o sobie zwątpieniu. Wola wpośród dzisiejszej młodzieży uległa rozmaitym opłakanym wpływom, których smutny współudział doprowadził ją do osłabienia i wyczerpania«. »Gdy się (więc) pomyśli o życiu czekającem młodzież, o pracach i wysiłkach, na jakie zdobyć się będzie musiała, czuje się w sercu niepohamowaną nienawiść dla doktryn nicości, które w ciągu długich lat były przeważną częścią jej duchowego pożywienia. Dość już mamy przeczenia, a przedewszystkiem dość kuglarzy i histryonów. Dajcie nam wierzących ludzi czynu, kochających i nienawidzących, o wzroku przenikliwym, o piersi falującej wzruszeniami, o silnych barkach i ramionach, słowem ludzi, którzy oderwawszy się od mdłych widoków fantazyi i dźwięku czczych wyrazów, milcząc chwytają za pług, by w pełni życia, jako dowód swojej działalności rozorać bruzdę własną«.

Oto wiązanka myśli — narzucających się po przeczytaniu książki, która zasługuje na baczną uwagę, jako szczery i prawdziwy, życzliwy i prawdziwie rozumny przewodnik po ścieżkach tego pola pracy dla dobra młodzieży podejmowanej.

Dr. Roman Jamrógiewicz.

Henryk Flis. Powieść. *Stanisław Antoni Mueller*. Lwów. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa. E. Wende i Sp. 1908.

Przeżywamy epokę zawodów i rozczarowań. Tyle pogrzebaliśmy i wciąż jeszcze grzebiemy nadziei, wierzeń, ideałów. Nie dziw, że zwątpienie coraz bardziej ogarnia dusze, szczególnie dusze młodzieńcze, z natury rzeczy wrażliwsze na działanie prądów czasu.

Oto jeden więcej faktyczny w tym względzie dowód: pierwszy utwór młodego powieściopisarza, świadczący o niepospolitym talencie artystycznym, o niezwykłem bogactwie myśli i o rozpaczliwie dla naszych czasów znamiennym sceptycyzmie.

Jakże wiele mówiące jest zakończenie powieści.

Bohater jej, młody poeta, zawiedziony we wszystkich swych pragnieniach i dążeniach życiowych, rozmyśla boleśnie o ludziach i zdarzeniach, wpośród których dusza jego uległa temu okropnemu rozbiciu. Nagle myśl świetna i radosna mu zabłysła.

»Oto, mówi sobie, ja marny, wyszydzony przez wypadki, sam sobie obrzydły i wstrętny, oto ja zaczynam moje panowanie. Patrzcie! Z nicości was wskrzeszę, ożywię was na jeden moment i moment ten w niezniszczalne posągi przemienię, zdławię was swą ręką bezlitośną w najwyższem napięciu waszego tragizmu i w tym momencie zaklnę was w kamienie, bo dopiero wasza śmierć posągowa stanie się waszą nieśmiertelnością! Dosnuję życie wasze do ostatnich konsekwencyi, uczynię was tem, czem nie umieliście stać się na jawie! A ci, co patrzeć będą na wasze życie, tak zmartwychwstałe, osądzą je jako moje wieszcze urojenie i moja prawda stanie się waszą prawdą wobec wieczności«.

Ustęp ten zdaje się świadczyć o podmiotowych z osobistego przeżycia wynikających źródłach powieści, a jak wyraźnie mówi nam o sceptycznym na wskroś usposobieniu poety wobec odnośnych zjawisk życiowych, posiadających dlań wartość li tylko jako materyał powieściowy.

Materyał niezbyt obfity, mało urozmaicony, w ciasnym skupiony zakresie, ale bardzo umiejętnie przez młodego autora wyzyskany. Rzecz dzieje się w prowincyonalnem mieście galicyjskiem, położonem na terenie naftowym i dzięki temu skupiającem w swych murach sporo bogactwa i intelligencyi. Przybywa tam młody pracownik-poeta dla objęcia posady w biurze adwokackiem. Stopniowo zapoznaje się i wchodzi w stosunki z towarzystwem miejscowem, szczególnie z kobietami, wobec których występuje jako niezmiernie wrażliwy i przeczulony erotoman.

Żywioł erotyczny przeważną w powieści odgrywa rolę. Na tle rozlicznych zawikłań i konfliktów miłosnych zarysowują się charaktery kobiece, ujęte niezbyt głęboko, ale żywo i subtelnie, a zawsze w mniej lub więcej sceptycznem zabarwieniu. Pulchna, anemiczna, z intellektualistycznemi aspiracyami małżonka gruboskórnego filistra — rozwydrzona,

o bujnym temperamencie panna-emancypantka, z wyrafinowaną sztuką podniecającą żądze męskie — czuła, serdeczna dziewczyna prostego stanu i ograniczonego umysłu, z bezgraniczną, ofiarną miłością oddająca się kochankowi — wreszcie eteryczna, wyestetyczniona, wyintellektualizowana piękność, która w aureoli tajemniczych uroków zjawia się bohaterowi powieści jako uosobienie ideału niewieściego, z wyrafinowaną sztuką podtrzymuje w nim piękną ułudę, aż wkońcu okazuje się bardzo pospolitą kokietką-kabotynką zręcznie wyzyskującą naiwną łatwowierność żądz męskich: oto postaci niewieście powieści, z których ostatnia główną odgrywająca w niej rolę, nazbyt już pono przeironizowana, artystycznie staje się niejasną, a psychologicznie niedość uzasadnioną.

W ironicznem oświetleniu ukazują nam się też męskie postaci powieści. Przedewszystkiem główny bohater: nadwrażliwy, przeczulony nerwowiec-intellektualista, bez woli, bez siły moralnej, zrywający się niekiedy do górnych lotów, które jednak lada przeszkoda udaremnia, lada spodniczka ściąga na nizkie poziomy erotyzmu — charakterystyczny w naszej epoce typ człowieka, co nie umie chcieć tego, co chciałby osiągnąć. A oto wprost przeciwny typ działacza socyalistycznego czy anarchistycznego, który umie silnie chcieć, ale sam nie wie czego i ginie marnie i bezużytecznie przy spełnieniu zamachu terorystycznego sam nie wie dlaczego.

Obie te postaci scharakteryzowane wyraźnie i dobitnie. Pierwsza dość wyczerpująco i wielostronnie, druga bardziej szkicowo. Obok nich kilka innych charakterów bardzo udatnie niewieloma rysami nakreślonych: przebiegły filut-adwokat, udający szlachetnego obywatela-patryotę, bogacz-przemysłowiec o grubych instynktach i wielkiem w sobie zaufaniu, cynicznie otwarty w swem zwyrodnieniu moralnem i pijackim nałogu stary prawnik-dependent, który wybitne swe zdolności zużywa na szacherki i krętactwa jurydyczne w służbie zręcznego pryncypała.

Akcya powieściowa, wśród której przewijają się wszystkie te figury, bardzo prosta, nieobfitująca w zdarzenia i zawikłania. Za tło służy jej puste i jałowe życie prowincyonalnego miasta, a w dalszej z lekka tylko naszkicowanej perspektywie sprawy kopalniane: strejki robotnicze i walka ich z kapitalistycznym wyzyskiem. Główny interes osnowy tkwi w bardzo zajmujących, czasami tylko nieco przedłużonych dyalogach, w których napotykamy wiele myśli żywo i dobitnie wyrażonych, wiele zapatrywań na życie, trafnie ujętych z punktu wi-

dzenia różnych charakterów i usposobień ludzkich. Znaleźć można pomiędzy nimi doskonałe aforyzmy o przysłowiowej iście dobitności. Godne są też uwagi niektóre satyryczne ustępy powieści, np. wyborny opis małomiasteczkowej uroczystości na cześć Sienkiewicza, pełnej błyskotliwego paradziarstwa i pustej a nieszczerej frazeologii patryotycznej.

Podobne ustępy ukazują w młodym powieściopisarzu wybitnie uzdolnionego satyryka, który w tym rodzaju literatury pierwszorzędne może zająć stanowisko, tem więcej, że odznacza się niepospolitą intelligencyą i niezwykłym zasobem myśli. Byle tylko nie zatapiał się nadto w ciemnych falach pesymistycznego zwątpienia. Trzeba wierzyć w jakąś pozytywną stronę życia, aby negatywne jego strony w należytem ukazać oświetleniu.

W. Gostomski.

Przez głębinę. *Marya Konopnicka (Jan Wareż).* Lwów. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego. 1907.

Konopnicka jest najwymowniejszą w poezyi naszej rzeczniczką duszy polskiej w okresie poniewolnego po r. 63-cim zmilknięcia wielkich jej haseł wyzwolniczych. Sama poetka dobitnie określiła tę tragedyę milczenia w zakończeniu swej przedziwnej »Modlitwy Ezdreasza«:

... Lecz mowa o tych rzeczach trzęsie i łamie
I drży w sobie zgwałconym zaparta językiem,
A wołaniem do Ciebie wzniesione to ramię,
A milczenie skrzywdzonych przed Tobą jest krzykiem.

Gdy ścichły hasła walki narodowej, zabrzmiały wezwania do pracy społecznej, do pracy z ludem i nad ludem, jako głównym czynnikiem zachowania i odrodzenia narodu. Wiadomo jak silnie i wymownie odzywały się takie wezwania w pieśniach autorki »Pana Balcera«. Nie mogła ona jednak przemilczeć tych pragnień, tych porywów do walki za wolność, które nurtowały w głębi polskiego jej serca. Odgłosy ich nieraz można było dosłyszeć w jej poezyi — szczególnie we »Fragmentach« — a najdobitniej w świeżo wydanym poemacie »Przez głębinę«.

Jest to jakby wspaniała, symboliczno-poetycka synteza manifestacyi patryotycznych, w których tylokrotnie z żywiołową niejako siłą wyrywały się na jaw zbiorowe polityczne dążenia narodu, nie mogące znaleźć ujawnienia w rzeczywistości walk i działań.

Przez usta rzekomego uczestnika wielkiej uroczystości narodowej opowiada nam poetka jej dzieje:

Kto pierwszy w ludzie ruszył ducha, nie wiem —
Sam może buchnął z piersi. Czas był taki,
Że serca stały pod jasnem zarzewiem
Gwiazd betleemskich, że miały swe znaki
I zmowy z niebem tajemne, ogromne,
Czas cudów, co go nigdy nie zapomnę.

Poruszony w narodzie duch poszedł poprzez wszystkie jego stany i warstwy, rozpostarł się po całym obszarze krajów polskich. I cały naród – szlachta, lud kmiecy, mieszczanie, żydzi nawet — wszystko co żyje na ziemi polskiej w szczerem ku niej przywiązaniu ruszyło ku starożytnemu Horodłu, aby tam, w odpowiedzi na srogie prześladowania Unitów, odnowić unię narodów dawnej Rzeczypospolitej — za Bug, za Bug! — jak śpiewano u nas w r. 1830. Jeno teraz bez huku bębnów, bez szczęku oręża.

Rada stanęła na tem, by iść śmiało
Z krzyżem, z śpiewaniem pieśni, jak huf Boży.
Wojsko się będzie rozstąpić musiało
I wolną drogę do Buga otworzy
A nie to padniem »Za ziemię ojczystą!«
Wołając, jak niegdyś wołano: »Pro Christo!«

Jednem słowem pochód ofiarny, męczeński, pobudzony i wiedziony przez wiarę w zbawczą siłę krwi niewinnej dla ojczyzny przelanej. We wspaniałych strofach sześciowierszowych opiewa go poetka, jak się rozwija pełen ducha religijnego i entuzyazmu patryotycznego i staje nad Bugiem przed obliczem zbrojnych szeregów rosyjskich, gotowych w każdej chwili rzucić się na bezbronnych, zasypać ich gradem kul armatnich.

W takiej groźnej sytuacyi dokonywa się symboliczne odnowienie aktu unii horodelskiej. Przybywają przedstawiciele Korony, Litwy, Rusi, różnych ziem i różnych dzielnic polskich, składają przysięgę na unię i akt jej stwierdzają przyłożeniem swych pieczęci. Nie brak tu Gdańska, Malborga, Smoleńska, Inflant — nawet Don posyła swego przedstawiciela. Jakiekolwiek ziemie w przeszłości należały do Rzeczypospolitej — wszystkie biorą udział w tym uroczystym akcie braterstwa — połączonego z aktem protestu przeciw gwałtowi rozbioru.

Jest coś archaicznego w tak pojętem i przedstawionem zbrata-

niu się ludów dawnej Polski — jest to nie odbicie rzeczywistości współczesnej, lecz jakby dalekie, zamierające już echo minionych lepszych czasów. »Sen, sen jakiś daleki, jakieś stare dumy, bajki«, możnaby tu powtórzyć z Gospodarzem z »Wesela«. Nie do unii braterskich nam dzisiaj w epoce zbrodniczych zamachów rusińskich i litewskich nienawiści do wszystkiego co polskie.

Wszelako obok tych echowych dźwięków przeszłości są w poemacie Konopnickiej bardzo silne, wymowne i przedziwnie wyrażone odgłosy teraźniejszości.

Przedewszystkiem zrównanie stanów, poczucie łączności plemiennej we wszystkich warstwach narodu — uludowienie Polski, którego poetka nasza tak wymowną była zawsze rzeczniczką, a które tu przedstawione zostało jako zwrot do najstarszych, najczcigodniejszych tradycyi narodu, do plemiennych piastowskich jego początków:

Tak lud ten cały był — Piastowym ludem,
Bo chociaż wieków naporem przygięty,
Wbrew swej naturze brał ruch poniewolny,
To w chwilach kiedy jest sam sobie święty
Do swych początków polnych wraca — polny,
I wybijają na jego oblicze
Prastare piętna w runy tajemnicze.

Przewspaniale też w zakończeniu poematu przedstawiony został inny również współczesny i po wsze czasy zawsze jednako prawdziwy rys z życia narodu: majestat cierpienia narodowego wobec gwałtu brutalnej przemocy:

Takąm cię widział! Królewską a polną,
Zniżoną czołem, a wzniesioną w duchu,
Pod bagnetami stojącą a wolną,
W orłów twych szumie i w hymnów wybuchu,
Takąm cię widział, Polsko! I niech zgasną
Słońca nademną — ty będziesz mi jasną.

Mamy tu jakby symboliczny obraz całej Polski, która dziś jak przed stuleciem, tylokrotnie zwyciężana — niezwyciężona i niezłomna stoi w obliczu przemożnej potęgi wroga. Ujawnienie tej zwycięskiej, mimo tylu klęsk, postawy narodu, oto naturalny odruch, wyrazisty gest manifestacyi narodowych tak przedziwnie uplastyczniony przez naszą poetkę.

W. Gostomski.

Na Synaju. *Ks. Władysław Szczepański T. J.* Na podstawie podróży z r. 1906. Kraków 1908. Nakład *Przeglądu Powszechnego.* Str. XVI i 375, 60 rycin i 2 mapki.

Niwa rodzimego naszego piśmiennictwa biblijnego, to według słusznego wyrażenia ks. A. Szlagowskiego w jego »Wstępie ogólnym do Pisma świętego«, tom I, str. II. (Biblioteka dzieł chrześcijańskich, zesz. 80, Warszawa 1907), jeszcze »dziewiczy prawie las«. Z tem większą radością powitać należy książkę, która nie tylko ogólne »nauki biblijne, za granicą od dawna już opracowane w nowożytnych językach« (ibid. str. I) w naszym języku przedstawia, lecz nadto poświęcona jest szczegółowym zagadnieniom z dziedziny studyum biblijnego; a taką właśnie jest książka ks. Szczepańskiego.

Autor, znany już zaszczytnie w naszem piśmiennictwie teologicznem, zdaje w tem dziele sprawę, ze swej karkołomnej nieraz wyprawy naukowej na Synaj. Ale nie tuzinkowy to *Reisebericht*, lecz rozprawa naukowa w całem tego słowa znaczeniu. Że potrafił napisać rzecz tak, iż z całą słusznością mógł położyć na czele motto *utile dulci*, w tem główna jego zasługa, a dla książki powab niemały. Kwestya Synaju dla biblisty szczególny przedstawia urok, nawet dla tego, który się nią zajmuje tylko zapomocą książek. Czemże dopiero musi być dla tego, który może »przypatrzeć« się zagadnieniom, jakie się z tą kwestyą wiążą! To też nic dziwnego, że autorowi pilno z Kairu do właściwego celu podróży. Nie mógł jednak nie zawadzić o egipskie pamiątki pobytu św. Rodziny, i zaznajamia nas z ciekawymi szczegółami, znanymi już, co prawda, z dziełka O. M. Jullien, ale tu mówi o tem wszystkiem Polak, który, gdzie chodzi o Matkę Bożą, dobywa tonów ciepłych, bo pospieszył tam »także« i po to, »by się pokłonić niebieskiej Matuchnie«. Z okazyi pobytu w Suezie porusza kwestyę Exodu żydowskiego, ściślej mówiąc lokalizacyi, czy identyfikacyi tak zwanych stacyi tego exodu, przedewszystkiem miejsca przejścia przez Morze Czerwone, i poważne przytacza argumenty na korzyść Jezior Słonych (str. 59). Po przejrzystym szkicu geografii i historyi Synaju, który nie jest tylko »wielką górą na olbrzymiej pustyni« (str. 65), następuje żywy i barwny opis drogi na sam już Synaj — morzem do et-Tur, stąd przez granity na korabiu pustyni do słynnego klasztoru synajskiego św. Katarzyny, którego historya i opis wypełnia dwa rozdziały — a wszystko to nad wyraz ciekawe. Z pobytu w tym klasztorze najwięcej zajmują kartki wspomnień o takim unikacie, jakim jest biblioteka synajska, w której »zabrukany niemożliwie, opylony czci-

godnym prochem wieków« autor czuje się »szczęśliwym«, że tam, na Synaju, spotkał się ze starosłowiańskimi rękopisami. Odtąd, od rozdziału IX, zaczyna się właściwy temat: topografia biblijna Synaju. Zaczynają się pełne trudów i mozołów, pragnienia i potu, gorąca i zimna, zwiedzania szczytów góry »prawa«, którą jest nie Serbal, lecz Dżebel Musa. Rozdział XI stanowi ważny przyczynek do rozwiązania pytania o polu bitwy Refidim, i z wywodami autora w tej materyi trzeba się będzie liczyć. W rozdz. XII, nawiązując do zagadnienia o polu bitwy Refidim, roztrząsa autor pytanie, jak się rzecz ma z liczbą 600.000 wojowników Izraela, która wskazywałaby, że cała ludność wynosiła jakie $2^1/_2$ miliona dusz. Wydaje mu się być — za Lagrangem, Hummelauerem i wielu innymi — pewnem, że obecna cyfra 600.000 wojowników jest nie do przyjęcia (str. 203). Nie przyjmuje obliczeń Hummelauera na $\pm$ 25.000 głów, ani też teoryi Petrie'go. Zdaje mi się, że teorya Petrie'go nie da się »ochrzcić«, jak się spodziewa czcigodny autor (str. 208), a to dla tej głównie trudności, którą sam Petrie odczuł (str. 207, 1 alin.), a której nie usuwa powołanie się na Merenptah i Ramzesa III (tamże), bo sprawa ta bardzo jeszcze niepewna (por. str. 74, uw. 1). Najchętniej zgodziłby się podpisany na wywody Schoenfelda (str. 208/9). Szkoda, że nie wyszczególnił autor tych »i n n y c h« trudności (str. 209) przeciw Schoenfeldowi. Za najdonioślejszy rezultat całej tej wyprawy dla egzegezy i geografii bibl. uważałbym to, co autor teraz *a posteriori* może przytoczyć przeciw »serbalistom«, a na korzyść Dżebel Musa, w połączeniu z temi uwagami, które czyni w kwestyi Refidim-Firan (por. rozdz. XI, XV, XVI, XVII): wszak ilekroć mowa jest o Synaju, zawsze t e n problemat na pierwszym jest planie. »Szersza publiczność«, (a może inni także?) wdzięczna będzie za jasne wyłożenie sprawy napisów synajskich, za informacye o kopalniach turkusów w Murara i za ciekawy — ze stanowiska historyi religii — rozdział XIX, o Sarabit el-Hadem. Świetną jest uwaga na str. 337 o ulubionem twierdzeniu nowej szkoły religijno-historycznej, że »Semici są monoteistami, bo i pustynia, co ich otacza, jest monoteistyczną«. *Distingue frequenter!* To też powiada czcigodny autor: »Pierwsza część twierdzenia fałszywa, druga ładnym, ale mglistym obrazem, bo — z monady do monoteizmu trochę... daleko«.

Pokaźna liczba korektur do dat kartograficznych, rozmieszczonych skromniutko pod kreską, niezawodnie z wdzięcznością zostanie przyjęta przez koła fachowe, skoro tylko książka ukaże się, jak za-

powiedziano, — a wobec znanej ofiarności i ruchliwości ks. prof. Foncka, który wydawnictwem się zajmuje, spodziewać się należy, że ukaże się godnie — w wydaniu niemieckiem. Egzegeta-filolog dobrze zrobi, jeśli sobie zakonotuje interesujące przyczynki do etymologii semickiej na str. 188, 205, 263 i *passim*. Za szczególnie mozolny spis rzeczy na końcu i żmudne zestawienie dat chronologii egipskiej w dodatku, osobno podziękować wypada.

Literatury autor ani nie chciał ani nie mógł podać wyczerpująco; ta, którą w rzeczy samej przytacza, znakomitym jest drogowskazem dla dalszych dochodzeń. Na str. 4_1 winno być Winckler (zamiast Winkler), a na str. 6_3 Belser (zamiast Belzer); zresztą błędów drukarskich jest bardzo mało, bo pozostały tylko tu i ówdzie drobne przeoczenia, które same się poprawiają, i nie warto ich wyliczać. Wogóle na zewnętrzną stronę książki koniecznie trzeba zwrócić tu uwagę i podnieść z uznaniem, że wypadła ona znakomicie. Bo autor kazał sobie wydrukować słowa semickie i egipskie w transkrypcyi na Zachodzie dziś powszechnie używanej, z całym systemem kropek, linii, haczyków, rozdzielników ponad i pomiędzy pojedyńczemi literami, by wiernie oddać w naszem piśmie całokształt oryginału, a u nas rzecz to zupełnie nowa. Ryciny wykonane wcale dobrze. Cena książki (3 k. 50 h.) wobec tego jest bardzo nizka.

Jeśli dodamy, że cała książka przeplatana jest arcyciekawymi epizodami, pełnymi niebezpieczeństw na lądzie i morzu, niebezpieczeństw od ognia i wody — dla jej braku, — złotego humoru, co wszystko czyta się z ogromnem zajęciem aż do końca, czując dla czcigodnego podróżnika naprzemian litość z powodu licznych trudów, to znów cichą zazdrość, np. o taką Mszę św. wśród granitów synajskich, albo o »cichą sumę« w oazie Firan, jeśli to wszystko uwzględnimy, to wypadnie nam tylko życzyć autorowi, by dalszemi pracami tej miary co ta, młodemu pokoleniu pomógł torować drogę przez »dziewiczy las« polskiego piśmiennictwa teologicznego.

Ks. dr. Jan Korzonkiewicz.

Z piśmiennictw obcych.

Les deux Frances et leurs origines historiques. *Paul Seippel.* Lausanne — Paris (Alcan).

L'Anticléricalisme. *Emile Faguet.* Paris (Société fr. d'imprim. et de libr.).

Są to dwa dzieła, omawiające obecną walkę religijną we Francyi. Autorowie niepodobni do siebie rodzajem umysłu, zasadami, ni sposobem pisania (bo i narodowością), godzą się w tym zasadniczym punkcie, że rząd dokonywa gwałtu i że tem szkodzi samemu państwu, osłabia Francyę. Obaj zaś nie są katolikami, stąd obawa stronniczości na korzyść Kościoła zbyteczna; obaj wreszcie są więcej niż życzliwie dla Francyi usposobieni, Seippel jako obywatel francuskiej części Szwajcaryi (profesor szkoły politechnicznej w Lausanne), Faguet jako Francuz z krwi i kości, który jest chlubą swej ojczyzny, po zmarłym Brunetierze najznakomitszy krytyk i historyk literatury, co podobnie jak tamten z nieporównaną werwą i bystrością mówić potrafi o przedmiocie dość odległym od literatury francuskiej (Le libéralisme. — En lisant Nietsche i t. d.).

Różnica w obu dziełach znaczna już w samej metodzie. P. Seippel, w którym, jak nazwisko wskazuje, tkwią widocznie tradycye germańskie, zdradza się na samej karcie tytułowej z pierworodnym grzechem nauki niemieckiej: aprioryzmem. Czytamy tu jako motto dzieła słowa Edgara Quineta: »Każdy może dostrzedz, że podbój rzymski trwa jeszcze: obawa przed Rzymem pozostała religią Gallów«. Całe też dzieło nie jest niczem innem, jak rozwinięciem tej tezy. Według autora wszystko, co we Francyi było despotyzmem, nietolerancyą polityczną, religijną, ma swe źródło w »umysłowości rzymskiej«, której pierwszym wyrazem był cezaryzm, a następnie Kościół katolicki. W ten sposób Ludwik XIV, Bossuet, De Maistre, Jezuici i t. d. z jednej, Encyklopedyści, Terroryści, August Comte, Combes i t. d. z drugiej strony: wszystko to przejawy tej samej *mentalité romaine*, która nie znając żadnych ustępstw, druzgocąc każdego, kto ma inne zdanie, niszczy Francyę do dziś dnia. Dopiero Reformacya — pośrednio od Kalwina — ale głównie po Kalwinie od Teodora de Bèze, wprowadza prawdziwą ideę »wolności«.

Czyż potrzeba obszernie dowodzić fałszywości tezy p. Seippela? Jeżeli katolicyzm i tradycya rzymska jest jedynem źródłem nietolerancyi, despotyzmu, to skądże się tesame objawy, w edycyi naprawdę

nie gorszej niż we Francyi, znalazły np. w Berlinie? Tam przecież Jezuici (ci bowiem według autora są złymi duchami Kościoła) mieli i mają wpływy mniej niż skromne, a natomiast protestantyzm jest religią panującą, a przecież służy on znakomicie za narzędzie despotyzmu; pojęcia germanizacyi i protestantyzacyi są niemal identyczne dla uciskanych Polaków i uciskających Prusaków; podczas gdy sam kwiat »umysłowości rzymskiej«, katolicy nadreńscy stają w obronie wolności, religii i języka!

Wogóle autor ma jaknajujemniejsze wyobrażenie o tej *mentalité romaine*. »Całe to wychowanie rzymskie, powiada on (str. 81), dokonało się w celu wyniszczenia indywidualności moralnej, która jest elementarną substancyą wszelkiej wolności«. Czyżby rzeczywiście autor chciał widzieć brak »indywidualności moralnej« u Bossueta, Pascala, De Maistre'a, iż pominę tylu innych, którzy są przecież dziećmi »wychowania rzymskiego«, do czego się sami z dumą przyznają?

Pan Seippel stara się być bezstronnym, ale naprawdę jego niechęć do katolicyzmu przeziera na każdym kroku; a natomiast mimo gorzkich słów pod adresem Kalwina, w którego absolutyzmie widzi wpływ »umysłowości rzymskiej«, cała sympatya autora jest po stronie protestantyzmu — a także po stronie Dreyfussa i »dreyfusistów«, bo i tej sprawie poświęca szereg uwag, widząc w niej także walkę o ideę wolności — a nie widząc przekupstwa, widząc w niej (słusznie) czynniki klerykalne i antyklerykalne, a nie widząc (niesłusznie) potęgi płatnej reklamy; bo jeżeli, jak chce autor, chodziło milionom dreyfusistów o akt sprawiedliwości względem »niewinnego«, to czemuż ten akt już dokonany tak dziwnie mało obudził entuzyazmu, nawet w samej Francyi? Właśnie sprawa Dreyfussa była klasycznym przykładem na to, co może dobrze zorganizowana, pieniędzmi i dziennikarstwem rozporządzająca partya, jak potężna jej siła. Żeby ten niezwykły fakt ocenić, wystarczy porównać zajęcie, i to tak długie i nieraz namiętne całej Europy dla jednego Dreyfussa z tą prawie obojętnością cywilizowanego świata na rzezie macedońskie — racya bardzo prosta: za Dreyfussem stanęły miliony żydowskie, którymi nie rozporządzali niestety męczennicy bałkańscy.

A więc teza p. Seippela jest fałszywa; ale mimo to książka zawiera niezmiernie wiele i to ciekawych uwag, najzupełniej słusznych, a więc w pierwszym rzędzie wykazanie i potępienie krańcowości owych »dwóch Francyi« t. j. katolickiej i antykatolickiej »czarnej i czerwonej«. Że po stronie katolickiej jej nie brak, to wiadomo, jakkolwiek

nie ulega kwestyi, że więcej stokroć znajdziemy jej u antykatolików, którzy, uzbrojeni w broń najskuteczniejszą w państwie, bo poparcie rządu, dokonują rzeczy niesłychanych w historyi i mogą śmiało iść w zawody z hakatystycznym rządem pruskim. Zagrabieniem dóbr kościelnych (i to nie dla instytucyi, bodaj socyalistycznych, ale do własnej kieszeni jednostek): to jeszcze mniejsza zbrodnia wobec tej strasznej deprawacyi sumień, dusz, serc, jakiej dokonuje szkoła na wskróś antyreligijna, w której wychowują się całe pokolenia od lat trzydziestu i która też wydaje swoje owoce. By zaś nie zmieniła swego charakteru, czuwa nad tem zgraja szpiegów masońskich. I tak np. czasopismo *la Raison* przyjmuje i ogłasza anonimowe »donosy« na nauczycieli, zdradzających przekonania katolickie. Seippel cytuje fakt po fakcie, gdzie ta gazeta wyszydza ojca (nauczyciela) obecnego przy pierwszej Komunii św. dziecka, innego tolerującego w klasie krucyfiks (»karykaturę Chrystusa«) i t. p. zwracając na takie przekroczenia uwagę władzy. Autor dzieła zebrał z różnych stron Francyi wiadomości, że za ministeryum Combes'a denuncyacya stała się systemem rządzenia. W każdej gminie rodzaj komitetu złożonego z wolnomularzy, czy wolnomyślicieli szpiegował i układał listę podejrzanych osób, którą brano w rachubę przy nominacyach urzędników (str. 272). Masonerya rozkazuje samemu prezydentowi Loubetowi, któremu w dniu pierwszej Komunii św. córki, wolno w powozie czekać na nią przed kościołem, ale nie przekraczać — broń Boże! — progu świątyni! Aż śmiech bierze na myśl, że coś podobnego dzieje się w kraju, gdzie z urzędu na gmachach publicznych, od kościołów poczynając, wyryte są wielkiemi literami słowa: Wolność — Równość... Ale te śmieszne i smutne zarazem fakta, cytowane z oburzeniem przez niekatolika, pokazują nam, że tam naprawdę jest źle, i że to już nie przemijające prześladowanie, ale konsekwentnie przeprowadzane dzieło dechrystyanizacyi narodu.

Jeżeli p. Seippel jest protestantem, to Emile Faguet — jak sam się przyznaje — »nie należy do żadnego wyznania religijnego«, ani też do żadnej partyi politycznej i bada rzecz, »jakby tu chodziło o jakąś kwestyę archeologiczną«. Istotnie niema w jego dziele tej niechęci do katolików, papiestwa i t. d., którą widzieliśmy u profesora szwajcarskiego. Jest też cała książka mniej dziełem naukowem, jakiego pozory ma rzecz Seippela, jak raczej obszerną broszurą polityczną napisaną przez gorącego patryotę, chcącego ojczyznę powstrzymać na drodze do zguby.

Punkt wyjścia co prawda trochę dziwny. Zdaniem Fagueta Fran-

cuz jest z natury »niereligijny« i był takim zawsze; objawy przeciwne to tylko »wysepki granitowe wśród krajów wapiennych«. Tkwi to w psychologii narodu: Francuz jest umysłem jasnym i przyjmuje tylko to, co jasne; otóż jedną z rzeczy najmniej jasnych to religia — *ergo:* Francuz jest z natury niereligijny. Dalej, cechą charakteru Francuza jest zarozumiałość, ale nie »zbiorowa«, która wytwarza dumę narodową, a więc jest podstawą patryotyzmu, ale »jednostkowa«, prosta »pycha«, podstawa indywidualizmu. Otóż religia, szczególnie katolicka, ma za podstawę swej moralności coś wręcz przeciwnego t. j. pokorę, która może iść w parze z »my« dumy narodowej, ale nigdy z »ja« indywidualizmu — *ergo:* Francuz z natury stworzony jest na człowieka niereligijnego. Jest on dalej — tak rozumuje autor — »czynny ciałem, a leniwy umysłem, czuje potrzebę działania, a nie lubi zadawać sobie wiele trudu, by znaleźć motyw działania t. j. ideę. Z tego wynika, że pod prostym pozorem, cieniem idei, chwyconym w przelocie rzuca się do walki i uderza«. Z wojen religijnych francuskich nie pozwala autor wnosić o religijności narodu, bo nie o religię tam chodziło: w wieku XVI to zapasy feudalizmu z monarchią, w wieku XVII to znowu »mniej lub więcej świadomi republikanie« godzą na powstający absolutyzm.

Na powyższe rozumowania trudno się zgodzić; autor wprawdzie mówi o przeciętnym Francuzie, ale ostatecznie musi mieć na myśli większość narodu, — a ta przecież ani tak płytka, ani tak zarozumiała nie jest i nie była w epokach, o których mowa; bo inaczej jakżeby była wydała Descartes'a, Pascala i tylu innych, którzy przecież nie spadli z nieba, ale wyszli ze swego społeczeństwa; a jak brak takich właśnie umysłów u nas w Polsce jest wskazówką, jeśli nie dowodem, że przeciętnemu Polakowi brak głębokości myśli, tak wielcy, a tak liczni myśliciele francuscy dowodzą czegoś wręcz przeciwnego o przeciętnym Francuzie. Zdobycze zaś naukowe na wszystkich polach dowodzą, że Francuz potrafi być prawdziwie głębokim — a nadto w dziełach najrozmaitszych kierunków okazuje dar łączenia tej głębokości z jasnością, dar, którego mu pozazdrościć musi niejeden Niemiec i Anglik. Któryś ze sławnych Niemców zwierzył się Quinetowi, że niemiecką filozofię zrozumiał naprawdę dopiero, gdy mu ją wytłumaczył Francuz [1].

---

[1] J. M. Villefranche: *Les illustrations et les célébrités du XIX S.* 6 série, str. 48.

Co do zarozumiałości, to pewnie że Francuz ma jej wiele, a religia jest jej przeciwna; ale czy w innych narodach niema znowu innych wad, które są sprzeczne z nauką Chrystusa? Ależ Chrystyanizm nie schlebia naszej naturze, lecz na każdym kroku niemal jej się sprzeciwia, każe jej się zaprzeć. Przyjęcie religii Chrystusa to właśnie wypowiedzenie walki tej naturze. Zresztą ta zarozumiałość osobista jest podobno do śmieszności doprowadzona w Hiszpanii, a jednak bodaj czy który naród był tak bardzo i tak trwale katolickim, jak ojczyzna św. Teresy.

A i Francyi zdaje się autor ubliżać. Pomijam wojny krzyżowe w średniowieczu, ale ten ból, ta rozpacz formalna, jaka ogarnęła nie jednostki już, ale masy, gdy na tron wstąpił hugenota Henryk IV (stąd też porzucił następnie protestantyzm), czy to nie dowód, że tu nie o feodalizm chodziło? Albo w XVII wieku ten zapał w nawracaniu protestantów — nie u Ludwika XIV oczywiście i jego dragonów, ale u tylu naprawdę zacnych, nieraz świątobliwych katolików, którzy o politycznych ideach protestantyzmu nie mieli wyobrażenia: czy to nie wskazywałoby raczej, że ta walka dwóch wyznań była naprawdę religijną?

Daleki jestem od próby nawet stwarzania własnej syntezy w tej sprawie. Ale mam wrażenie, że Francuz ma duszę najprawdziwiej religijną, albo raczej nadającą się do przyjęcia religii w sposób najdoskonalszy t. j. z całą jej konsekwencyą. Stąd ta gorliwość i ofiarność (nie w pieniądzach tylko, ale i w ludziach na Misye zagr.), któremi przewyższają Francuzi wszystkie inne narody katolickie, nawet dziś, gdy ten katolicyzm jest tam liczebnie tak przerażająco szczupły. Nadto umysł Francuza, lubiący »jasność«, chce tę religię uczynić sobie możliwie najjaśniejszą — i stąd prawda, że wielu odpada [1], nie dochodząc do celu, ale zato pozostali z jakąż wytrwałością i głębokością tę religię badają — i to nie jedni teologowie tylko, ale i świeccy. Któryż to naród może się poszczycić taką plejadą świeckich obrońców wiary, jaką ma ojczyzna Pascala, De Maistre'a, Bonalda, Brunetière'a? Czy nasz 18-milionowy katolicyzm polski ma choć w przybliżeniu taką

[1] Niemniej należałoby wątpić, czy to jest główną przyczyną upadku wiary we Francyi. Pierwszym czynnikiem jest tu wychowanie publiczne. Zbyt potężnym jest wpływ szkoły, by ta, stawszy się bezwyznaniową, nie miała w ciągu lat kilkudziesięciu podkopać religijności narodu. W przyszłości będzie jeszcze gorzej, gdy ustanie zupełnie działalność szkół kongregacyjnych. Dodajmy do tego prześladowanie, które, jeżeli jednych utwierdza i podnosi we wierze, to jednak na całe warstwy np. urzędników, zdanych na łaskę

literaturę religijną (zwłaszcza apologetyczną), jaką dali Francyi katolicy świeccy?

Z dziełem Fagueta trudniej znacznie polemizować z chwilą, gdy przechodzi do studyum dziejów antyklerykalizmu we Francyi. Że zaś tenże przejawia się, zwłaszcza w wieku XVII i XVIII, w literaturze, a p. Faguet jest jej niezrównanym znawcą, nic więc dziwnego, że ta część dzieła jest skreślona po mistrzowsku; czytelnik tu już niema ochoty się spierać, woli się uczyć. A z tego pospiesznego rysu nauczy się bardzo wiele, zrozumie ten straszny pochód idei zniszczenia, która jednostkom i narodowi całemu odbiera spokój i szczęście, a dzięki której dziś Francya stoi bez mała nad brzegiem przepaści.

Ostatnia część wreszcie omawia położenie obecne. Autor nie tylko potępia, ale wyszydza postępowanie rządu. Panu Combes'owi musi być trochę niemiło przyjąć do wiadomości, że człowiek, jak on niewierzący, a jeden z najtęższych umysłów, nazywa go ni mniej ni więcej tylko »najbardziej ograniczonym z mężów politycznych« (str. 206). Lecz właśnie ponieważ tacy ludzie są u steru rządu, położenie katolików staje się coraz trudniejszem. Autor zdaje się patrzeć bardzo pessymistycznie w przyszłość i wierzyć w możliwość spełnienia słów jednej z gazet wrogich religii: »Przyjdzie dzień, kiedy cywilizowane (?) społeczeństwa będą prześladowały kupczących mszami jako złoczyńców«. Rzecz kończy się odezwą do rodaków, by stworzyli jak najliczniejszą partyę »liberalną«, ale to w dosłownem tego słowa znaczeniu, a więc której hasłem zupełna tolerancya wszystkich ludzi i idei — z wyjątkiem antypatryotycznych. Sam autor jednak nie bardzo wierzy, by go posłuchano. *M. Paciorkiewicz.*

Poland the knight among nations by *Louis E. van Norman*, with an introduction by Helena Modjeska. New-York. Revell. (»Polska — rycerz narodów« przez Ludwika E. van Norman'a, ze słowem wstępnem Heleny Modrzejewskiej).

Biorąc do ręki dzieło p. Norman'a, mamy przed sobą szereg barwnych artykułów rozmaitej treści, cokolwiek sztucznie powiązanych

---

rządu, oddziaływać musi fatalnie. Jeden z nich opowiadał, że idąc na Mszę św. w niedzielę, rozgląda się bacznie, czy go nie widzi który z kolegów lub podwładnych, bo w razie denuncyacyi mógłby stracić posadę lub być pominiętym w awansie. Inny znów opowiadał mi (urzędnik starostwa), że mu wyraźnie oświadczono, iż, jeźli przystąpi do masoneryi, awans jego się przyspieszy.

w jedną całość wspólnym tytułem *Poland.* Tytuł wymowny dla nas tak bardzo, że z niecierpliwością sięgamy przedmowy, aby poznać myśl przewodnią autora, jego zamiary i cel. Odpowiedź, którą znajdujemy, brzmi zupełnie kategorycznie. Osobista sympatya dla sprawy polskiej i podziw dla idealnych cech naszego narodowego charakteru, powodowały autorem w kreśleniu tych szkiców, całość zaś ma być *a collection of honest impressions of a remarkable people, presented as an humble contribution to race psychologie.*

Impresya właśnie, obserwacya bezpośrednia jaskrawych przejawów życia, chwytanych na gorącym uczynku — obserwacya z konieczności pobieżna i powierzchowna — stanowi o charakterze całego opracowania.

Pani Modrzejewska opatrzyła to dzieło w słowo wstępne, pełne gorącego uznania dla autora. Jeżeli się weźmie pod uwagę jego dobrą wolę w traktowaniu sprawy polskiej, to na uznanie to zasłużył w zupełności. Zapominać o niem nie mamy prawa tam nawet, gdzie opracowanie przedmiotu mija się z powagą zasadniczego założenia, z zamiarem autora stworzenia »skromnego przyczynku do psychologii ras«.

»Rycerzem narodów« jest Polska dla van Norman'a...

W słowach tych streszcza on jej rolę historyczną w przeszłości, konieczność jej istnienia na przyszłość. Piętno misyi dziejowej, przyjęte na wzór romantyków, jako polskie *a priori*, narzuca autor Polsce, bo stanowić ma ono klucz do *mysterium magnum,* naszego historycznego istnienia śród ludów. W przeszłości więc daną nam była rola chrześcijańskiego przedmurza, niezmierna zasługa bezinteresowna względem zachodniego świata, a zarazem misya najbardziej wysuniętej ku wschodowi placówki religijnej Rzymu. Jedną po drugiej podkreśla autor te cechy historyi naszej, które nadają jej zabarwienie specyficzne. Stale jednak idzie za najbardziej utartemi u nas zdaniami powszechności, obracając się w sferze zawsze ryzykownych ogólników, które z trudnością dają się rozłożyć krytycznie na określone obserwacye historyozoficzne.

Pan Norman robi wysiłek aby się wyrwać z błędnego koła, nasze stanowisko historyczne wydaje mu się *more the result of an impulsive generosity then the development of an conscious logical will,* ale, usuwając moment celowości świadomej, tem samem przenosi punkt ciężkości rozważań z misyjnej roli Polski do jej wewnętrznego psychologicznego rozwoju, który wysuwa się na plan pierwszy jako czynnik kierowniczy.

Stajemy teraz na właściwym gruncie autora, którego zamiarem są obserwacye psychologiczne.

Następujące zdanie charakteryzuje w zupełności jego stanowisko w tym względzie:

»W swoich zasadniczych cechach poświęcenia dla ideału, bohaterstwie duchowem i fizycznem, gorącym patryotyzmie charakter polski rozwinął się w zupełności przed czterema lub pięciu wiekami«.

Kult dla Sienkiewicza (prawdopodobnie jedynego znanego autorowi pisarza polskiego) posuwa p. Norman'a w danym wypadku, do założenia, które mogłoby uchodzić za zdanie wyrzeczone bez zamiaru nadawania mu głębszego znaczenia, gdyby nie to, że całość książki potęguje mniemanie, że autor głęboko w nie wierzy. Wypowiada je raz jeszcze (str. 26) i w dalszym ciągu stosuje swoje psychologiczne *a priori* do wszystkich omawianych warstw i osobistości.

Z tego stanowiska Polacy biorą specyficzną barwę udatnych, miłych i porywających maryonetek, teatralnie i odświętnie ustrojonych w swoje zalety, tak samo, jak krakowskie parobczaki w swoje pióra pawie i kółka mosiężne.

Pomimo licznych trafnych uwag *Poland* robi pod względem psychologicznym wrażenie jasnej, obszernej budowli, po której porozrzucano barwny *bric à brac* psychologicznych cech, jak błyskotliwe szczątki pancerzy, broni, żupanów, delii i litych pasów, na pozór bezładnie i bez uprzedniej intencyi, jakby w zgodzie z istotą rzeczy, a na prawdę sztucznie i cokolwiek teatralnie.

Psychologiczne spostrzeżenia p. Norman'a nie wyczerpują jednak treści książki. Właściwe bowiem jej znaczenie leży w rozdziałach zatytułowanych: *Polish autonomy under Austria, The Poles and Germany's world dream, Russia's European door.*

Te trzy rozdziały, to obraz obecnego stanu trzech zaborów, charakterystyka panujących w każdym z nich stosunków.

Już na pierwszy rzut oka uderza nas trafność i wytrawność politycznych sądów autora w kwestyach międzynarodowych.

Politykę antypolską Prus i Rosyi charakteryzuje on dosadnie, wykazuje jej bezcelową barbarzyńskość. Ucisk pod zaborem rosyjskim, systematyczne prześladowanie wszelkich tendencyi narodowych, wszelkiego dążenia do zdrowego oświecania ludu, dały ten tylko rezultat, że umysłową strawą codzienną polskiego chłopa staje się rewolucyjna broszura lub proklamacya, któremi tak hojnie zasypują Królestwo tajne drukarnie socyalistyczne. Działalność komisyi kolonizacyjnej pruskiej

przynosi minimalne rezultaty pozytywne, a potęguje tylko u Polaków poczucie odrębności narodowej.

Natomiast niebezpieczeństwo walki i jej punkt najważniejszy tkwi w zmaganiu się kultury polskiej z narzucającym się wciąż obcym wpływem.

W Rosyi proces ten jest stosunkowo mało groźnym (autor nie uwzględnia smutnego, a jednak potężnego wpływu rewolucyi rosyjskiej), ale w Niemczech walka jest stokroć trudniejszą, a często nawet beznadziejną.

W tej walce rola poszczególnych warstw społeczeństwa nie jest równoznaczną, aczkolwiek wszystkie biorą w niej udział.

Tam, gdzie pracą mają być znaczone drogi życia na przyszłość, *the polish aristocrat... is certainly not practical enough, and really, if the truth were told, he often lueres patriotism?*

Lud wiejski jest co prawda »wcieleniem patryotyzmu« *(patriotism personified)*, ale nawet p. Norman, wielbiciel bezwzględny, nie może mu przyznać donioślejszego znaczenia dla chwili obecnej. Nadzieją i ostoją narodu polskiego we wszystkich trzech zaborach jest tworząca się stopniowo warstwa średnia, występująca w pierwszym rzędzie jako rzecznik postępu; a wyrazem tego postępu — stopniowe i ciągłe uprzemysłowianie kraju.

Robiąc ten pobieżny przegląd czynników, które dla p. Norman'a są najważniejszemi dźwigniami narodowego życia, nie można pominąć ustępu jego pracy, noszącego tytuł: *What Poland owes to her women.*

Jest to gorący hołd, złożony polskiej kobiecie.

»Jeśli orzeł polski nigdy dotąd nie został obłaskawionym; jeśli znosi niewolę i rany, ale nie daje się ugłaskać, to dlatego, że kobiety polskie go wychowały, ukazały mu atmosferę wyżyn i miłość wolności. Jeśli dotąd nie znaleziono sposobu, aby Polaka przekształcić w Rosyanina lub Niemca, to dlatego, że polskie kobiety zachowały źródło narodowego życia czystem i niezmąconem. Jeśli polscy żołnierze wszystkich wieków walczyli w szeregach wszystkich armii świata przeciwko zastępom tyranów, to stało się to nie dlatego, aby byli zrodzeni na żołdaków, ale dlatego, że z mlekiem matki chłonęli w siebie patryotyzm. Jeśli miłość ojczyzny i wolność nie wygaśnie nigdy w sercu Polaka, to przyczyną tego będzie, że matki Polki wyśpiewały mu te uczucia w swoich kołysankach«.

Dla silniejszego uwypuklenia charakterystycznych momentów w życiu współczesnej Polski, a zarazem dla podkreślenia raz jeszcze

ogólnoludzkiej roli jej myśli i czynów, sięga p. Norman w przeszłość, aby stawić przed oczy czytelnika postaci Kopernika, Sobieskiego i Kościuszki.

Stają oni przed nami, otoczeni jak nimbem, czarem nawpół legendarnej biografii, jako wcielenie wiedzy, waleczności i cnoty. Tylko, być może, nadto wiele poezyi w kreśleniu ich figur. Autor nie czuje, że Kościuszko i Jan III należą w całości do najistotniejszych przejawów rzeczywistości polskiej, a nie do legendy tylko, nie widzi, że wpływ ich postaci wsiąknął w rdzeń narodowego życia, jako jego część integralna, której treści niepodobna wyczerpać, przewcielając ją w sztuczną formę poetycznej opowieści.

Nie mielibyśmy za złe p. Norman'owi gdyby w jego słowach drżała ciągle nuta odrębności własnej, bodaj w formie poczucia kulturalnej wyższości. Wtedy bowiem wiele byłoby do skorzystania. Ale p. Norman nie stoi ponad zjawiskami życia Polski, tak samo, jak nie przeżuwa tematu głębiej — myśl jego krąży około zjawisk, poddanych obserwacyi.

Stąd chwilami zda się, że sięga już istoty jakiegoś wypadku, obrzędu, czy historycznej postaci, że myślą opanowuje rdzeń poszczególnego przejawu naszego życia — ale to tylko złudzenie. Bezpośrednio po najsubtelniejszej obserwacyi następuje frazes gromki, a częstokroć tak pusty, że odrzuca myśl naszą w przeciwległy, do właściwego, kierunek.

Jako tło dla swego obrazu Polski kreśli autor szereg opisów. Oddzielne studya poświęca głównym środowiskom naszej kultury: Warszawie i Krakowowi, zarówno jak arenom bohaterskich zapasów: Zbarażowi i Kamieńcowi na Podolu.

W opisach tych pełno barwności i ciepła.

Stanowiłyby one cykl prawdziwie interesujący, gdyby nie pewna z góry uplanowana celowość obserwacyi. Do Kamieńca udaje się pan Norman, aby poznać teren kresowych walk. I wbrew wszelkiemu oczekiwaniu pomiędzy Husiatynem a Kamieńcem przeżywa wcale intenzywnie wrażenie stepowych równin, swoją wycieczkę zaś nazywa *a voyage over the steppes*...

Prawdziwą apoteozę współczesnego życia Polski kreśli autor *Poland* omawiając nasz dorobek artystyczny z końca ubiegłego stulecia. Powielekroć podkreśla swój podziw dla »rasy artystów z urodzenia«. Poza podziwem jednak trudno odnaleźć myśl głębszą, którąby powodowała autorem w kreśleniu tych ustępów i, wbrew oczekiwaniu,

w nich właśnie występuje na jaw powierzchowność jego informacyi. Charakterystycznem jest zdanie, że »Waclaw Gansiorowski, Marya Konopnicka and Stanislaw *(sic)* Zeromski *are writers of strong verse and fascinating fiction!*«

Podobnych nieporozumień zawiera dzieło pana Norman'a ilość znaczną i nie należałoby tak długo zajmować niem polskiego czytelnika, gdyby nie to, że współcześnie ma ono dla nas wartość jako głos przychylny, pochodzący z ust autora, który potrafił sobie zjednać szerokie koła amerykańskich i angielskich czytelników.

W. J. Grzybowski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Ród Bibersteinów. Studyum nad średniowiecznym rodem rycerskim. *Leon Białkowski.* Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908. Str. 35.

Heraldyka przestaje już być zabawką, jak za dobrych czasów; obecnie staje się, choć pomału, umiejętnością, niezbędną do poznania osadnictwa w naszym kraju. Materyału nieznacznego dostarczają drukowane dotychczas nieliczne »kodeksy«, a stokroć obfitszego materyału owe tysiące foliałów »Aktów grodzkich i ziemskich«, co się walają po naszych archiwach. Materyał ten, jako urzędowe akta, jest pierwszorzędnej wartości do wszelkich transakcyi, spraw majątkowych. Na podstawie takich to materyałów kreśli p. B., współpracownik herbarza Bonieckiego swą wprawną ręką heraldyczne studyum o rodzie Bibersteinów. W XIII wieku występują oni na Śląsku, u nas w pilźnieńskiem, bieckiem i wiślickiem występują w XV w.

Ród to znakomity i w Polsce bardzo rozgałęziony dlatego, że — wielu z naszej szlachty podszywa się do dziś dnia jeszcze pod stary herb Bibersteinów. Po przeczytaniu tego studyum, może spotka ich nieprzyjemne rozczarowanie.

K. K.

Abecadlnik z historyi polskiej. *Wł. L. Anczyc.* Wyd. 5 powiększone. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1908. Str. 89. (Z obrazkami).

Abecadlnik dla małych dzieci, z któregoby one mogły czerpać pierwsze wiadomości nie tylko czytania, ale przedewszystkiem polskiego czytania, czytania o rzeczach naszych polskich, jest dzisiaj książką niezbędną. Przedewszystkiem mamy tutaj na myśli kraje zabrane, kraje dalekie, nawet zamorskie, gdzie dziecko polskie nie ma żadnej sposobności nauczyć się czytać po polsku. Nasi Ślązacy i koloniści w Saksonii i Westfalii dają dziecku do ręki gazetę lub książkę do nabożeństwa — to dla nich elementarzem może nie zawsze dobrym pod względem pedagogicznym. Niechby obecny elementarz, który ze stanowiska pedagogicznego odpowiada wszystkim potrzebom elementarza, znalazł drogę tam, gdzie powinien pomagać polskości. Ale pożądanemby było, by i nasze matki tutaj w rdzen-

nej Polsce mieszkające, zamiast bajek tłumaczonych (często z niemieckiego) dawały do ręki swym »malutkim« tę książeczkę, gdzie: Są uczeni i hetmani, — Święci Pańscy i kapłani, — A to wszystko są Polacy. — Nie szczędzili krwi i pracy, — By ojczyzna, Polska miła — Wolną, szczęsną zawsze była. — Przypatrz się im chłopcze dzielny! — Przypatrz im się dziewczę złote! — Bóg, odwaga i wytrwanie:— A ojczyzna zmartwychwstanie!

K. K.

Kurze Geschichte des Bistums Hildesheim und seiner Bischöfe. Von *Georg Wolpers.*

Broszura powyższa jest jeno wyciągiem z obszerniejszych dzieł ks. biskupa hildesheimskiego, ks. d-ra A. Bertrama p. t. *Die Bischöfe von Hildesheim* i *Geschichte des Bistums Hildesheim,* jak to zresztą sam autor we wstępie zaznacza. Przechodząc kolejno biskupów, kreśli on dzieje tego prastarego biskupstwa, bo sięgającego aż początków IX stulecia. Broszura ta przeznaczona dla szerszych warstw.

S.

Mali Samarytanie. *Wisława.* 17 opowiadań dla młodzieży z 6 illustracyami. Lwów—Warszawa. Maniszewski i Meinhart. — E. Wende i Spółka. 1908. Str. 146.

Na wcale oryginalną myśl wpadła autorka wymienionej książki. W formie dla młodego wieku z pewnością ciekawych powiastek, uczy młodzież, jak się zachować w nagłych wypadkach chorób i jak się brać do ratowania otrutych, utopionych, wisielców, tkniętych apopleksyą, zemdlałych, jak się zachować przy oparzeniu, złamaniu nogi i t. d. Żeby takie ratowanie nie stało się przypadkiem mieczem obosiecznym w ręku młodzieży i zamiast zdrowia nie przyniosło śmierci, kalectwa lub choroby, zwraca zawsze na to uwagę, gdzie i kiedy powinien wejść w grę lekarz; dla tej samej racyi sposób leczenia tej samej choroby powtarza w różnych miejscach książki i wbija go w pamięć a ucząc równocześnie, jak samemu podobnych wypadków się ustrzedz, oddaje swoją pracą prawdziwą przysługę.

Ks. W. W.

Das heilige Messopfer. Dogmatisch, liturgisch und aszetisch erklärt von *Dr. Nikolaus Gihr.* 9. u. 10. Auflage. Freib. i. Br. 1907. 8-ka, str. XV, 715.

Kto zna klasyczne w swoim rodzaju dzieło ks. Gihra o Mszy św., nie zadziwi się, że po 30 już latach, odkąd po raz pierwszy je wydano, wciąż jeszcze ponownie rozchodzi się po świecie katolickim. Rozległa erudycya, połączona z ciepłem tchnieniem żywej wiary i głębokiej pobożności sprawiła, że w zakresie ascetyczno-praktycznym zajmuje ono zawsze jeszcze wybitne stanowisko obok znakomitego dzieła Benedyktyna, O. Sautera. Sędziwy autor nie zaniedbał swego dzieła i teraz jeszcze ulepszyć pod względem formy i treści, jakkolwiek tych poprawek jest stosunkowo niewiele. Wypływa to z bardziej praktycznego charakteru tej książki, w której czysto teoretyczne polemiki zostały pominięte. Tem także tłumaczę sobie, że najnowsze dzieła o Mszy św., umieszczono wprawdzie w spisie odnośnej literatury, ale bardzo rzadko cytowano w toku książki.

E. M.

Psallite sapienter. Psallieret weise. Erklärung der Psalmen im Geiste des betrachtenden Gebets und der Liturgie. Von *Dr. Maurus Wolter O. S. B.* 3. Auflage. V (Schluss-) Band. Freib. i. B. 8-ka, str. 566.

Trzecie wydanie tego monumentalnego dzieła ascetyczno-liturgicznego zostało obecnie ukończone. Stanowi ono zwłaszcza dla księży i osób zakonnych, obowiązanych do chóru, niewyczerpaną skarbnicę najwznioślejszych myśli dla rozmyślania i czytania, gdyż czuć na każdej stronie, że autor tego komentarza — to prawdziwy mąż modlitwy, przejęty na wskróś duchem tych natchnionych pieśni. Cały koloryt stylu już tak jest dostrojony do stylu obrazowego psalmów, że wplątane w komentarz cytaty ledwie się różnią od wzniosłych zwrotów autora. Książka O. Woltera uczy, jak się przejąć duchem psalmów i to może stanowi jej najważniejszą zaletę. Wyborny klucz do nieprzebranych bogactw podaje znakomity spis liturgiczny, oraz dokładny spis imion i rzeczy.

E. M.

Elementar-Schulbuch der Harmonielehre von *Dr. Phil. et Mus. Hugo Riemann.* Leipzig. Max Hesses Verlag. 1906. 8-ka, str. VIII, 192.

Najgenialniejszy współczesny teoretyk i wielki uczony muzyczny oraz prof. uniwersytetu w Lipsku, streszcza w tym bardzo cennym podręczniku swe badania nad harmonią, zastosowane do nauki kompozycyi. Riemann jest przedstawicielem dualizmu harmonicznego i buduje dalej na podstawach, które dali nowszej teoryi muzycznej Zarlius (1517—1590) i Rameau (1683—1764), wielcy poprzednicy Riemanna. W swym podręczniku usunął część spekulatywną zupełnie z programu, tak że nauka jest bardzo uprzystępnioną. Riemann jako teoretyk jest dziś bardzo cenionym i uwielbianym przez wszystkich nauczycieli teoryi, myślących samoistnie i logicznie i wywarł pod niejednym względem wielki wpływ na pedagogię i praktykę muzyczną. Dziś już posiada swą szkołę (Schreyer, Louis-Thuille i t. d.) Niestety szwankujący u nas zawsze postęp w teoryi jeszcze go nie zdołał zauważyć. Zdałoby się przeto przetłumaczyć jeden z podręczników Riemanna do nauki harmonii, przedewszystkiem jednak omawiany przez nas.

A. Ch.

Kirchenmusikalisches Jahrbuch. Begründet von Dr. Fr. X. Haberl, herausgegeben von Dr. Karl Weinmann. 21 Jahrgang. Regensburg, Rom, New York & Cincinnati. Druck u. Verlag von Friedrich Pustet.

XXI rocznik dawnego »Cecyliańskiego kalendarza« rozpoczął się wprost imponująco, co do treści, formy, doskonałości i różnorodności materyałów. Dyletanci, którzy czasem psuli harmonijne wrażenie całości, ustąpili zupełnie. Znajdziemy prace najlepszych uczonych, jak P. Wagnera, Joh. Wolfa, T. Kroyera, A. Scheringa, H. Kretzschmara, Schiedermayra, Ludwiga, Lederera i t. d. Wielkie wrażenie wywołuje sumienność recenzyi, spoczywających w najpowołańszych rękach, oraz znakomite prace oryginalne z zakresu bądź gregoryańskiego śpiewu (Mathias, Wagner, Walter, Müller), bądź figuralnego (Wolf, Ludwig, Haller, Widmann, Weinmann i t. d.) Można tylko przyklasnąć zmianie, jaką wydawca i redaktor zaprowadzili w wydawnictwie cennego rocznika.

A. Ch.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Jeszcze o modernizmie

Encyklika *Pascendi* doczekała się słów gorącego uznania, a jej przeciwnicy, szczególniej z obozu, który się uważa za katolicki, dosadnych słów potępienia z tej strony, z którejby się prawdopodobnie nikt ani jednego, ani drugiego nie spodziewał.

Włoskie czasopismo *Critica* umieściło obszerniejsze studyum p. t. *Modernizm i encyklika Pascendi*, pióra niekatolickiego autora, Gentile. Encyklika, pisze on, wykryła całą naiwność modernistów, »którzy w równej mierze nie podobają się Bogu i Jego wrogom«. »Encyklika jest mistrzowskiem przedstawieniem i miażdżącą krytyką filozoficznych podstaw całego modernizmu; zarzut, że encyklika zasady modernizmu wypaczyła, to proste gęganie gęsi, jakby się był wyraził Carducci. Autor encykliki wniknął do samego dna opartej o teologiczne, filozoficzne, apologetyczne, historyczne, krytyczne i społeczne zasady nauki modernistów... i poddał ją takiej krytyce, że odpowiedzi na nią nie mają żadnej naukowej wartości«.

Surowy sąd wydaje autor rozprawy o t. zw. katolickich modernistach, jak o Loisy'm, Tyrrell'u, Laberthonnièr'ze, Blondel'u i innych. Loisy najfałszywiej widzi w sobie »żywe wcielenie ob-

jektywnej historyi«. »Nie mogę pisać historyi dowolnego religijnego dogmatu tak, jak opisuję dzieje pierwszego lepszego historycznego faktu; muszę przeciwnie mieć pewne ustalone pojęcia, które są już zawarte w religijnych dogmatach, muszę się umieć zasadniczo pooryentować i — bądźmy szczerzy — muszę posiadać pewną wiarę. Nie mogę przecież przedstawić wiernie systemu Spinozy ani go zrozumieć, jeżeli nie pamiętam o tem, że jest on determinizmem i naturalizmem i *causa sui*, i jeżeli nie skłaniam się do tego, by przyjąć w siebie to ziarno prawdy, które on w sobie zawiera. Być może, że, jeżeli bez wiary przystąpię do badania ewangelii, Chrystus przedstawi mi się jako człowiek tylko i inaczej się przedstawić nie będzie mógł; ale też nie mogę otworzyć ewangelii, — jeżeli to przynajmniej robię nie przypadkowo, lecz w celu historycznych badań, — bez pewnych filozoficznych poglądów na bóstwo Chrystusa. Te filozoficzne poglądy nie będą wprawdzie oparte na dowodach historycznych, dlatego właśnie, że są filozoficznymi, ale wszakże to mój duch i moje zmysły wpatrują się w ewangelie i od tej mojej filozofii zależy ostatecznie, czy w Bogu ujrzę prawdziwie historyczną osobę, czy nie«.

Surowo zwalcza Gentile pragmatyzm i tak zwaną metodę immanentną Blondel'a i Laberthonière'a. »Blondel nie jest wprawdzie zwolennikiem Kanta; jego subjektywizm jest w sobie transcendentalnym. Ale to nie jest transcendentalizm Arystotelesa i scholastyka, lecz absolutyzm Hegla... Immanentyzm postępuje tak, jak ów pies w alegorycznej bajce Giordana Bruno, który wypuścił trzymaną w pysku jaszczurkę, aby gonić za jej cieniem, który widział we wodzie. Wasz transcendentalizm jest cieniem waszego Boskiego ducha a porzucając tego ducha, gonicie napróżno za cieniem, i pozostajecie tym sposobem poza wami i poza Bogiem... Intellektualizmu nie zwycięża się metodą, ale zasadą. Wasza zasada jest intellektualistyczną (Bóg transcendentalny), wasza metoda subjektywną (Bóg immanentny). Jesteście katolikami, ponieważ wasza zasada stoi w sprzeczności z waszą metodą; w rzeczywistości jednak prowadzi ta metoda, oceniana według waszej zasady, do ateizmu«.

»Stary pień katolicyzmu, kończy Gentile, który uwolnił się

od modernistów, zazieleni się na nowo, pokryje liśćmi i kwiatem, jeżeli pozostanie zawsze niezłomnie wiernym swojej własnej logice. Ta zginąć nie może. I dlatego ani Loisy ani Tyrrell nie położą podwalin pod przyszłość katolicyzmu, ale ci liczni, którzy zawsze są gotowi wsłuchać się w głos Boga, przemawiający do nich z wysokości Synaju«.

Rozłam w demokracyi włoskiej

Dużo już razy, i z różnych stron, zwracano na to uwagę, że przyczyną klęsk katolików, np. we Francyi lub Włoszech, to brak jedności. Zdawaćby się mogło po tylu przykrych doświadczeniach, że katoliccy przywódcy raz wreszcie tę prawdę zrozumieją — wszystkie, niestety! nauki, to ziarno padające na twardą opokę, znowu bowiem przygotowuje się rozłam w chrześcijańskich demokratycznych stronnictwach Włoch. Znamiennemi są w tej sprawie wynurzenia prof. Brauzzi, jednego z filarów *Demokratycznej Ligi Narodowej*, ogłoszone w *Giornale d'Italia.*

Demokracya chrześcijańska, mówi prof. Brauzzi, upada, gdyż brak jej ściśle określonego programu, a o jedności akcyi, wobec najróżnorodniejszych elementów, nadających tamże ton, nie może być mowy. Kiedy socyalizm zaczął się szerzyć, wywodzi dalej Brauzzi, wystąpiliśmy do walki, aby z jednej strony obalić skostniały blok klerykalno-konserwatywny, z drugiej wyprzeć socyalizm. Mieliśmy więc dwóch wrogów. »Tych, którzy w imię Ewangelii stanęli w obronie zupełnie ziemskich interesów, i tych, którzy w imię solidarności, aby potępić niesprawiedliwość, rozpoczęli nizką walkę przeciwko dzisiaj panującym i posiadającym klasom«. Walkę prowadziliśmy pod hasłem: antyklerykali lecz nie antyreligijni. Szerokie sfery nie zrozumiały naszego hasła; klerykali podburzają przeciwko nam z powodu naszych tendencyi demokratycznych, socyaliści z powodu tendencyi chrześcijańskich. Ale i między nami brak jedności.

Bertini w Bolonii został przez blok klerykalno-konserwatywny wybrany do rady gminnej i wybór przyjął; w Turynie skutkiem powstrzymania się naszych od wyborów przeszedł socyalista; w Carpi nasi połączyli się ze socyalistami.

Jakim przyczynom przypisać to zjawisko? Temu, powiada Brauzzi, że demokracya stała się klerykalną.

Co jednak rozumie on przez to słowo? Klerykałami według niego są ci, co z jednej strony bronią świeckich interesów Kościoła, a z drugiej w swej polityce kierują się prawami Bożemi. To także bardzo ciekawe pojęcie klerykalizmu i smutny dowód, jakie zamieszanie pojęć panuje wśród tych, którzy mieli stać na straży interesów katolickich. Przecież religijne pobudki zrodziły cały ruch chrześcijański we Włoszech.

Dziś skutkiem niejedności i niezgody w pojęciach i hasłach ten ruch znajduje się w zupełnej stagnacyi. *Opera dei Congressi* niema obecnie w praktyce żadnego znaczenia, *Unione elettorale* coraz więcej się rozpada, *Unione popolare* nie daje znaku życia. Ostatnie gazety przynoszą jeszcze smutniejsze wieści. Najwybitniejsi dzisiejsi przywódcy demokracyi, jak Calligaris z Genui, Poggipollini z Ferrary, prof. Avolio z Neapolu i prof. Brauzzi z Rzymu zgłosili swe wystąpienia, a różne organy demokracyi, jak *Giustizia sociale* z Florencyi, *La Montagna* z Palermo, *Lotte sociale* i *Tribuna sociale* z Medyolanu przestały wychodzić — nowe dowody rozłamu i rozdźwięku.

Z masoneryi włoskiej

Jest to publiczną tajemnicą, że między członkami masoneryi i pojedynczemi lożami mogą w różnych rzeczach różne panować pojęcia i poglądy; w jednem schodzą się zawsze: w nienawiści Boga i Kościoła i w walce przeciwko religii. Ostatnie jednak miesiące przyniosły fakt, który stanął w pozornej sprzeczności z powyższem twierdzeniem. Mówimy tu o różnicy zdań, jaka między włoskimi wolnomularzami zapanowała w kwestyi zajęcia stanowiska wobec wykładu religii w ludowych szkołach włoskich.

Czytelnikom *Przeglądu* wiadomo już, że socyalista Bisolati postawił w parlamencie włoskim 18 lutego wniosek, domagający się, aby wykład religii, w jakiejkolwiekby on się pojawił formie, ze szkół ludowych usunięto. Wniosek ten upadł olbrzymią większością, bo trzystu trzema głosami przeciwko stu sześciu.

Kiedy ten projekt przychodził pod obrady, zażądała loża,

by wolnomularze jednogłośnie za projektem głosowali. Tymczasem głosowało dwunastu braci od fartuszka i kielni przeciwko niemu. Różne loże zażądały więc ukarania zdrajców a *Wielki Oryent*, który stoi na czele masoneryi włoskiej, przychylił się wraz ze swoim Wielkim Mistrzem, Hektorem Ferrari, do tego żądania. Ale *Wielki Oryent* ma przydzieloną sobie do boku tak zwaną *Najwyższą Radę 33.* Ta pozbyła się najpierw niedogodnego radykalnego prezydenta, prof. Ballorego, obrała na jego miejsce protestanckiego pastora, Ferę, i odrzuciła znaczną większością wyrok *Wielkiego Oryentu.* Motywem tego ciekawego kroku było pragnienie udowodnienia przed światem, że loża jest rzeczywiście liberalną i zostawia swym członkom wolność nawet w rzeczach sumienia.

Ten zacofany krok Najwyższej Rady nie podobał się lożom; zaprotestowały więc przeciwko decyzyi *Najwyższej Rady*, a ta w odpowiedzi ukarała dwudziestu dziewięciu wolnomularzy, między którymi znajdowało się także ośmiu członków *Rady.* To wywołało nowy zamęt. Mniejszość *Najwyższej Rady*, do której należy *Wielki Mistrz,* Ferrari, i burmistrz rzymski, żyd Nathan, nazwała siebie *Najwyższą Radą* i obrała prof. Ballorego swoim komturem; to samo uczyniła większość, ktora uzupełniła liczbę brakujących członków i zamianowała się również *Najwyższą Radą* pod przewodnictwem pastora Fery. Obie *Najwyższe Rady* nazywają się równocześnie centralnem kierownictwem loży; warto więc wiedzieć, jaki obrót ostateczny weźmie cała sprawa.

Z obłędów protestanckich

Trudno, niepodobna nawet, pisać o wszystkich sposobach, jakich w walce przeciwko katolicyzmowi używa protestantyzm w Prusach, w tym kraju »bojaźni Bożej i dobrych obyczajów« (!), w ojczyznie hasła: siła przed prawem. Od czasu do czasu zdarzają się tam jednak fakta, które przekraczają zwykłą miarę.

O takim ciekawie ducha pruskiego illustrującym fakcie, donoszą gazety. Istnieją w Prusach czytelnie dla nauczycieli. Nauczyciele są zmuszeni do nich należeć i materyalnie je wspierać. W tych czytelniach, których członkami są także nauczyciele-

katolicy, kursują, rzecz jasna, pisma przeważnie protestanckie, co jeszcze jest zrozumiałem, gdyż protestanci posiadają tam większość. I nie to budzi wstręt, ale fakt, że katolikom za ich krwawo zapracowany grosz dają do rąk pisma, które w niemożliwy, niegodny kulturalnego człowieka i społeczeństwa sposób, wypaczają naukę Kościoła katolickiego, drwią sobie z niego i robią karykaturę.

Znaleźć można w tych czytelniach między innemi pedagogiczne pismo *Der praktische Schulmann.* Ostatni numer tego pisma zamieścił artykuł z zakresu historyi kościelnej, z którego przytaczamy tu kilka wyjątków, jako nader znamiennych.

»Czem jest dla nas Marya? — pyta autor artykułu. — Dla nas jest ona Matką Jezusa, która jednak nie zrozumiała swego wielkiego Syna i której też w godzinę śmierci nie było pod Jego krzyżem«.

»Co mamy sądzić o ćwiczeniach duchownych (rekollekcyach) Jezuitów? Uważamy je za barbarzyńskie poniżenie nauki Jezusa. Jest to niewypowiedzianie wstrętne i prostackie dłubanie w duszy. Te ćwiczenia — to zbrodnia, to morderstwo ducha«.

»Co mamy sądzić o moralnej nauce Jezuitów? Przeraża nas widok tej przepaści. Przeraża nas widok moralności jezuickiej. Ona zatruwa człowieka«. Następuje kilka próbek tej nauki moralnej np.: »Jeżeli wiarołomną żonę pyta mąż, czy wiarę małżeńską złamała, wolno jej nawet złożyć przysięgę i powiedzieć: n i e, jeżeli w swej myśli zrobi to zastrzeżenie: n i e uczyniłam tego od owej chwili, w której po raz ostatni w ten grzech wpadłam. Tak więc każdy może przysiądz, że czegoś nie uczynił, choć się w rzeczywistości tego dopuścił, jeżeli przy tej przysiędze myśli o dniu, w którym tego nie zrobił«.

»Co mamy sądzić o katolicyzmie? Jest to pewna ściśle określona forma chrześcijaństwa, forma średniowiecza, która wiecznie ma trwać, zakamieniała i skostniała, mimo to imponująca jak potężna, średniowieczna katedra. To religia dla niesamodzielnych, dla tych, którzy sami chodzić nie potrafią, dla nieletnich i niewolników. To religia, która nie wychodzi poza rzeczy zewnętrzne i widzialne, nie wychodzi nawet poza pogaństwo«.

Ta naukowa praca pruskiego uczonego przypomina, mimo że należy on do narodu, który siebie samego nazywa narodem filozofów, słowa Pisma św.: *Stultorum infinitus est numerus.*

Z wyborów w Metzu

Ostatnie miesiące b. r. stały wogóle pod znakiem najrozmaitszych wyborów po rozmaitych krajach; odbywały się między innemi w końcu czerwca wybory do rad gminnych w Lotaryngii. Wspominamy tu o nich, gdyż mniej o tym kraju u nas słychać, a głównie dlatego, że i te wybory dosadnie wykazują, jak szlachetnym rodzajem ludzi są tak zwani liberali.

Centrum, które w Lotaryngii coraz więcej zyskuje wpływu i poparcia, postanowiło w Metzu iść razem ze stronnictwem pisma *Lorrain* i zawrzeć kompromis na podstawie chrześcijańskiego poglądu na świat. Jeden z przywódców stronnictwa *Lorrain'u*, Collin, nawiązał jednak już przedtem stosunki ze stronnictwem liberalnem, stawiając równocześnie za warunek kompromis z centrum, któremu w drodze łaski przyznano trzy miejsca w radzie. Centrum dla miłej zgody przyjęło warunek, sądząc, że chrześcijańska większość w radzie jest w każdym razie zapewniona.

Wybory przyniosły rozczarowanie; większość nowych radnych była protestancka i liberalna a najgorzej wyszli na wyborach właściwi Lotaryńczycy. Katolicy dochowali warunków, sprzeniewierzyli się im liberali. Liberali też tryumfowali a opierając się na zawartym kompromisie, chociaż go pierwsi nie zachowali, zażądali od kartelu wielkiej liczby miejsc w radzie dla wyborów ściślejszych, a nadto postawili jeszcze kandydaturę prezydenta Związku Wolnej Myśli, d-ra Christla, znanego radykała.

Tego było już wszystkim za wiele, gdyż tę kandydaturę Collin od samego początku stanowczo wykluczył. Stronnictwo *Lorrain'a* zerwało więc kompromis a połączyło się wyłącznie z Centrum, przyczem postanowiono oddać dziesięć miejsc w Radzie Lotaryńczykom, a pięć Staroniemcom; na piętnastu kandydatów było trzynastu katolików a dwóch protestantów, przyczem wypada zauważyć, że wszyscy Staroniemcy i kilku Lotaryńczyków zaliczało się do Centrum.

Liberali widząc, że ziemia im się z pod stóp usuwa, połączyli się ze socyalistami i to było ich zgubą, gdyż obudziło śpiące dotąd w Metzu żywioły i dopomogło do zwycięstwa stronnictwu chrześcijańskiemu, które przy wyborach ściślejszych zyskało trzynaście miejsc, a byłoby zyskało może i wszystkie, gdyby nie taktyka pisma *Messin*, które świadomie wprowadziło w błąd wyborców, wspominając tylko o kandydatach Lotaryńczykach, nie pisząc nic o Centrum.

Liberali przygotowali już na wieczór dnia, w którym kończyły się wybory, orkiestrę, by swoje zwycięstwo godnie uczcić, tymczasem okazało się, że stronnictwo chrześcijańskie posiada w nowej Radzie przeszło dwie trzecie głosów. Nie pomogła zdrada ani sprzeniewierzenie się obowiązkowi, ani nawet kartel z socyalistami.

Wybory w Metzu są nowym dowodem, że potrzeba tylko trochę jedności, sprężystości i organizacyi, aby pobić wrogów uważanych za niezwyciężonych dlatego, że umieją grać i grają na najniższych namiętnościach ludzkich.

Ze statytyki wyznaniowej w Wiedniu

Kilka zaciekawiających szczegółów z ruchu religijnego w Wiedniu od roku 1875—1904 przynosi piąty zeszyt miesięcznika *Statistische Monatsschrift*. W tych trzydziestu latach, w których skład wchodzi już pięć pierwszych lat ruchu, znanego pod nazwą *Los von Rom*, zmieniło wyznanie 28.609 osób, a mianowicie 15.597 katolików, 2.893 ewangelików, 9.388 żydów, 407 starokatolików, 324 różnych religii.

Główny procent zmieniających wyznanie tworzyli katolicy, co wobec faktu, że Wiedeń ma przeważną ludność katolicką, jest łatwo zrozumiałem. Ciekawym jednak jest fakt, że trzy czwarte zmieniających religię było stanu wolnego i że liczba kobiet, przechodzących do innego Kościoła, jest większą od liczby mężczyzn. Tak np. opuściło Kościół katolicki 38,9—45,2% mężczyzn a kobiet 54,8—61,1%; porzuciło wyznanie ewangelickie 37,1—45,5% mężczyzn a 54,5—62,9% kobiet. Obydwa te fakta tłumaczą się tem, że głównym motywem zmiany wyznania były małżeństwa mieszane.

Kościół katolicki w Wiedniu zyskał przeciętnie od 1875—

1879 r. po 36, od 1880—1884 r. po 102, od 1885—1889 r. po 199, od 1890—1894 r. po 300, od 1895—1899 r. po 379, od 1900—1904 r. po 466, w 1904 r. 493 członków. Ewangelicy zyskali w tym samym czasie członków: po 125, 153, 193, 340, 592, 763, 701. Bezwyznaniowymi ogłosiło się w tym samym czasie: po 119, 230, 165, 213, 288, 314, 339.

Z roku na rok rośnie procent przechodzących z Kościoła katolickiego na protestantyzm, a mianowicie w stosunku 43,4—63,7%; z drugiej jednak strony wzrasta procent ewangelików, przechodzących na łono Kościoła katolickiego. W r. 1904 wynosił on przeszło 81%.

O ile to zjawisko jest smutnem, jest ono także i budzącem nadzieję. Co z Kościoła przechodzi na protestantyzm, należało do Kościoła tylko ciałem i chrztem, nie duchem, choć żal biednych dzieci, dla Kościoła straconych; co za to z protestantyzmu przechodzi na katolicyzm, jest zwykle dla Kościoła prawdziwym zyskiem, wynagradzającym w zupełności straty szumowin.

Protestanckie głosy o kulturkampfie

Walka toczona przeciwko Kościołowi po różnych krajach, choć dużo przynosi mu strat, częściej jeszcze trafia tam, gdzie się tego nie spodziewano i gdzie oczekiwano dla siebie nie straty, lecz korzyści. W tym względzie są charakterystyczne dwa wyjątki z kościelnych gazet protestanckich.

Deutsches Pfarrblatt pisze w n. 6: »Potęga Kościoła z dnia na dzień zanika; Kościół jest dziś pokorną, za swoją wierną służbę, deptaną sługą. Państwo chciało uderzyć w Kościół katolicki; to uderzenie trafiło w Kościół ewangelicki. Czy państwo rozumnie tak postępuje? Bynajmniej. Państwo odniesie największą szkodę, jeżeli naród zatraci swą wiarę i jeżeli Kościołowi odbierze się możność oddziaływania na masy«.

A odnoszą się te lamenty nie tylko do walki kulturnej w Niemczech.

»Prawo rozdziału (we Francyi), piszą prawie wszystkie inne protestanckie gazety kościelne, nie pozostało bez wpływu i na Kościół ewangelicki. W niektórych okolicach nie są w stanie protestanckie gminy wyznaniowe zebrać odpowiednich funduszów dla

utrzymania Kościoła i duchownych. Kierujący Komitet Związku Kościołów Reformowanych ogłasza, że do stałego budżetu 1,458.000 fr. trzeba jeszcze dodać 398.000 fr., aby pokryć konieczne wydatki... Jeżeli ofiarność wiernych się nie zwiększy, trzeba będzie zamknąć pewną liczbę kościołów. Synod z Montbéliard zniósł już kilka parafii z powodu braku środków. W Angers istnieją dwa ewangelickie kościoły; jeden w rue du Musée jest przez państwo uznany; drugi w rue Toussaint należy do Wolnej Gminy. Od czterech tygodni jest kościół w rue Toussaint opuszczony; wszyscy wierni zbierają się w rue du Musée. A lękać się musimy, że po trzech latach trudności jeszcze wzrosną, ponieważ wówczas stracą duchowni prawo pierwszeństwa do zamieszkania w budynkach kościelnych; oprócz tego wydatki pieniężne wzrastać będą w miarę, jak zmniejszać się będzie liczba duchownych, utrzymywanych lub wspomaganych przez państwo«.

Spełnia się więc znowu przysłowie: kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Swego czasu szli protestanci francuscy ręka w rękę z blokiem, rzekomo w celach liberalnych. Dzisiaj odczuwają następstwa swego politycznego błędu na własnej skórze.

Ks. Wiktor Wiecki.

Jeszcze w sprawie kanału Dunaj-Odra-Wisła.

Do budowy kanału, względnie wykupna gruntów można było już przystąpić z dniem 1 czerwca, różne szczegóły projektu zostały już ostatecznie ustalone, a cały projekt wypracowany z całą drobiazgowością.

Kanał zaczyna się powyżej Wiednia naprzeciw Leopoldsbergu w Lang-Engersdorf, i we Florisdorfie łączy się z portem założonym w starym korycie Dunaju. Wprowadzenie kanału do Dunaju w Wiedniu natrafi na trudności w obszernym lewobrzeżnym terenie zalewowym, gdyż po przejściu każdej wielkiej wody kanał byłby zaszutrowany.

Z Lang-Engersdorf trasa kanału b i e g n i e na wschód do Gänserndorf i Schönkirchen, skręca następnie wzdłuż rzeki Morawy na północ, przechodzi obok stacyi kolei północnej Dürnkrut, Drösing,

Hohenau, w Bernhardstal przechodzi po raz pierwszy popod jej tor, a koło Landshut przekracza Dyję (Thaya) akwaduktem żelaznym, ułożonym powyżej poziomu przewidywanej najwyższej wody. Na lewym brzegu Dyji wchodzi już kanał na Morawy, i w kierunku północno-wschodnim, dotykając miejscowości Rohatec, Pisek i Hradyszcze, pod Napajedl przechodzi po raz drugi popod tor kolei północnej, skręca się ku północy, przekracza Morawę koło Tłumaczowa, w Hulinie po raz trzeci przechodzi pod koleją północną, i wpada w dolinę Beczwy w Przerowie. Stąd przez Lipnik przechodzi przez europejski dział wód między Dunajem i Odrą, i zbliża się do zagłębia węglowego w Morawskiej-Ostrawie.

Gęste zabudowanie tego miasta, tak znacznego centra fabrycznego utrudnia w wysokim stopniu dogodne zresztą ze względów terenowych założenie portu i dalsze prowadzenie trasy kanałowej, należało więc koło Swinnowa przekroczyć kolej północną po raz czwarty. Specyalnie wiele trudności przedstawiało przekroczenie Ostrawicy, gdyż akwadukty należy zakładać w takiej wysokości, aby były zabezpieczone przed wielką wodą, a założenie takie w tym wypadku uniemożliwiało wprost ukształtowanie terenu. W tym celu kanał zostanie na krótkiej przestrzeni wpuszczony do Ostrawicy, która będzie spiętrzona jazem dla otrzymania koniecznej głębokości spławowej i w ten sposób przekroczenie zamieniono na skrzyżowanie poziome. Pod Hruszowem po raz piąty podchodzi kanał pod kolej północną, tym razem aby ominąć teren zalewowy Odry — stąd prowadzi w dalszym ciągu przez Bogumin do Krakowa.

Szczegóły dla szlaku Bogumin-Kraków nie zostały jeszcze opracowane!!

Cała długość części kanału Wiedeń-Bogumin wynosi 274·3 km. i przy projektowanym systemie śluz wznosi się o 115 m., spada o 72·0 m. łącznie więc śluzami trzeba będzie pokonać różnice wysokości 182 m. W tym celu zaprojektowano 29 śluz, względnie 12 śluz i 6 podnośni mechanicznych.

Te różnice wysokości są wprawdzie znaczne, jednak wcale nie tak nadzwyczajnie wielkie, jak utrzymują przeciwnicy kanału, wynoszą one przeciętnie 1·35 m. na 1 kilometr kanału, tymczasem na kanale Marna-Saona dochodzą do 2·0 m., na kanałach St.-Dizier i Ren-Marna do 1·5 m., a nawet na nowych niemieckich kanałach, budowanych w niezwykle korzystnych warunkach terenowych, przychodzą miejscami o wiele znaczniejsze spadki kilometrowe.

Przekrój poprzeczny kanału o głębokości 3·0 m. obliczony jest dla nowoczesnego typu łodzi towarowych o udźwigu 670 ton i 1·8 m. zanurzenia, używanych obecnie przez towarzystwo żeglugi parowej na Dunaju.

Zasilenie kanału wodą przedstawiało niemałe trudności — do km. 97·3 doprowadza się jeszcze wodę Dunaju, od km. 97·3 do km. 175·6 wodę Morawy, zaś dla przestrzeni wierzchołkowej należało założyć cały system sztucznych zbiorników w dorzeczach Beczwy i Bystryczki.

W projekcie przewidziano 31 portów i ładowni, z których większość przedstawia się jako miejscowe rozszerzenie normalnego profilu kanałowego. Porty w Morawskiej Ostrawie i Boguminie tworzą osobne kanałami połączone baseny, a rozmiary ich dostosowano do wymogów ekonomicznych, licząc się jednak z przewidywanem w przyszłości rozwinięciem ruchu. Port w Morawskiej Ostrawie będzie początkowo założony dla ruchu obecnego, jednak już teraz zakupione będą znaczne obszary gruntu, dla ułatwienia rozszerzenia portu w razie potrzeby. Z powodu przewidywanego znacznego ruchu ropy naftowej — porty w Boguminie i Morawskiej Ostrawie będą zaopatrzone w osobne izolowane ładownie naftowe.

Koszta budowy części schaltu z Wiednia do Bogumina obliczono obecnie okrągło na 260 milionów K., więc prawie dwa razy tyle, co w generalnym projekcie z roku 1901, zaś koszta budowy kanału Bogumin-Kraków na 100 milionów K. t. j. trzy razy więcej. Pochodzi to stąd, że kosztorysy pierwsze sporządzano podobnie jak dla projektów kolei alpejskich bardzo powierzchownie i dorywczo. Tak np. na budowę portów przeznaczono w projekcie generalnym 4 miliony K., obecnie koszta te obliczono na 30 milionów K. – podobnie i na wykupno gruntów preliminowano prawie piątą część obecnej kwoty; nadto ceny materyałów i robocizny poszły w ciągu tych 7 lat niepomiernie w górę.

Rentowność tej drogi wodnej omawiano już tyle razy, że byłoby rzeczą zbyteczną powtarzać na nowo wszystkie dowody wskazujące dobnitnie i jasno konieczne korzyści tej nowej arteryi komunikacyjnej;— nie brak jednak argumentów i to wcale silnych, które rentowność tę stawiają w wątpliwość. Drogi wodne, nawet sztuczne kanały, zapewniają przewóz bezwarunkowo tańszy niż koleje żelazne, jednak pod warunkiem, że ładunek statków w obu kierunkach jest odpowiedni obliczeniu rentowności. Przedsiębiorstwa przewozowe, które nie mają ruchu powrotnego, nie rozwijają się nigdy — przykładem typowym austryacki

Lloyd podtrzymywany sztucznie subwencyami rządu — i Austro-Amerikana, rentująca się znakomicie dzięki ładunkom w dwu kierunkach. A tymczasem na naszym kanale niema perspektywy, aby statki węglowe wracały w powrotnym kierunku z ładunkiem. Wywozowi z Wiednia brak tych małowartościowych towarów. Na kolei północnej, przy obecnym dziennym przewozie 1000 wozów węgla, wraca w ciągu roku około 340.000 wozów próżnych z Wiednia do Morawskiej Ostrawy, a po nieznacznych nawet cenach jak chętnie przewoziłaby kolej północna towary w powrotnym kierunku bodaj dla opędzenia kosztów transportu próżnych wozów — ale tego towaru niema. Swoją drogą koszta te przewidziane są już w taryfie węglowej do węgla — więc i na kanale trzeba będzie dla węgla przewoźne podnieść, aby pokryło transport próżnego statku z Wiednia do kopalni. Dalsze zarzuty względnie zbicie ich postaramy się omówić w następującem sprawozdaniu.

Ak.

Ze statystyki misyjnej.

Niktby nie myślał, że w wiekach średnich, w tych wiekach »ciemnoty i pogłębienia wszelkiego postępu w jarzmie papiestwa«, niktby nie myślał, mówię, żeby w tych już czasach i najbliższych im latach istniała znajomość i praktyka tej nauki, którą uważa się za dziecię dopiero najnowszych czasów. Tak niktby nie myślał, że zanim ujrzał światło dzienne nasz »ojciec statystyki« Achevall, już rozwijały się poważnie praktyki statystyczne w Kościele katolickim, że statystyka istniała i była w codziennem użyciu wiele wieków wpierw, nim najpostępowsze państwa europejskie zaprowadziły u siebie biura statystyczne.

Dzięki tym katolickim misyonarzom, mamy dzisiaj dokładniejsze wiadomości o ruchu ludności w krajach misyjnych już od wieku XVI i wcześniej. Czasem spotykamy cały szereg stale notowanych cyfr, przez dziesiątki i setki lat; jak np. tablice statystyczne dla misyi franciszkańskiej w Costa Rica, za cały wiek XVI, XVII, XVIII. A jak porządnie prowadzono czasem te tablice wystarczy przytoczyć parę pozycyi dla ruchu ludności ze statystyki np. misyi w Paragwaju, za rok 1783 [1]. Misya w Paragwaju liczyła wtedy: 57 księży-misyonarzy,

[1] Cf. Probst: *Des neuen Welt-Botts*, t. IV, nr. 460.

2 pomocników, 104.473 chrześcijan, z tego 47.993 mężczyzn, 56.480 kobiet, zamężnych osób było w tym roku 43.458, w stanie wdowim żyło 418 mężczyzn i 8418 kobiet. Za tenże rok 1783 zanotowano 1851 zawartych małżeństw, 4750 urodzin, 4674 wypadków śmierci.

Wszak to wzorowy niemal schemat statystyczny, a szereg takich tablic co za wspaniały materyał przedstawiać musi dla statystyka!

Ks. Krose T. J. zajmował się historyczną statystyką ludności [1], i twierdzi, że jeśli chodzi o ilość ludzi, stosunki płci, rodzin, śmiertelność i t. d. szczepów w krajach zamorskich w dawnych wiekach XVI—XVIII, a nawet czasem i wcześniejszych jeszcze, to można znaleźć bardzo obfity materyał rękopiśmienny po archiwach Kongregacyi de Propaganda Fide (założożona w r. 1622), a niejednokrotnie może więcej jeszcze znaleźćby można w archiwach zakonów misyjnych, naturalnie o ile uniknęły one losu *auto da fe* w imię postępu. Niektóre z tych aktów ocalały, i znalazły pracowników, którym zawdzięczamy opublikowanie kilku znaczniejszych prac z tego zakresu. I tak mamy dokładne cyfry z misyi franciszkańskiej w Kantonie z całego szeregu lat XVIII w. [2]; dalej bardzo stare, bo jeszcze połowy XVII w. sięgające tablice statystyczne ze sławnej misyi jezuickiej w Chinach [3]. W tymże XVII w. na rozkaz papieży poczyna sekretarz Propagandy redagować skorowidze statystyczne całego Kościoła katolickiego razem z krajami misyjnemi [4]. Przerwane rewolucyą francuską prace, podjęte zostały równocześnie z restauracyą. W roku 1822 powstają *Annales de la propagation de la foi*, organ pierwszorzędny, i niejako urzędowy, dla spraw misyjnych, a poza tem, oprócz wielu książek i atlasów misyjnych, każda niemal kongregacya misyjna i każdy kraj ma w swoim języku jakieś pismo misyjne; jest ono zwykle utrzymywane w tonie więcej zajmującym, niźli suche cyfry statystyczne. U nas w Polsce mamy tylko jedno jedyne wydawnictwo miesięczne, o którem można powiedzieć, że stoi na wyżynie naukowej, a odpowiadającej potrzebom inteligencyi; to owe, znane prawie każdemu w Polsce »Misye katolickie«, miesięcznik wydawany w Krakowie, przez 25 już z górą lat, przez doskonałych znawców stosunków misyjnych (specyalnie zaś kwe-

---

[1] *Stimmen a. M. Laach.* LXXIII, 390—405.

[2] *Le missioni Francescane.* Roma 1897.

[3] Zestawił P. Colombel: S. J.: *Histoire de la Mision du Kiangnan, de 1644—1840 ms.*

[4] *Stato della religione cattolica in tutto il mondo.* Przedrukowane u Mejera, Die Propaganda I, Leipzig 1852.

styi wschodnich), OO. Hołubowicza, Zaborskiego, obecnie zaś przez O. M. Czermińskiego T. J. Każdy z redaktorów stara się zawsze i ma wiadomości z pierwszej ręki, przez samych misyonarzy pisane. Ale każde z tych pism opierać się musi na urzędowym organie dla misyjnych spraw, jakiemi są *Misiones catholicae*, wydawane od r. 1866 przez Kongregacyę *de Propaganda fide*. Wydawnictwo to, niezmiernie utrudnione, jeśli ma być naukowem, a że takiem jest, to przyznają nawet protestanccy statystycy [1], choć przecie oni wszyscy nie tak skorzy do uznawania tego wszystkiego, co katolickie.

Aby uniknąć jednak wszelkich nieporozumień, zauważyć musimy, iż *Missiones cath.* podają tylko statystykę tych obszarów misyjnych które są podległe pod jurysdykcyę Propagandy. A więc nie mamy tutaj żadnych cyfr danych z krajów, ongi podległych hiszpańskiej koronie, które nigdy nie należały pod Propagandę, jak np. Filipiny, Ameryka południowa i środkowa. Jest to jednym z nielicznych braków wydawnictwa, który też może wkrótce poprawionym będzie: a poprawionym być musi, gdyż wprowadza wielu w błędne mniemanie, że nieznaczna część chrześcijan, żyjących na misyach, podległych Propagandzie, to całkowita ilość wszystkich chrześcijan na misyach.

Z tych to mniej więcej wszystkich wydawnictw oraz z wiadomości zaczerpniętych wprost od misyonarzy, zebrał ks. Krose statystykę misyi katolickich w krajach pogańskich [2].

Jeśli mowa o statystyce misyi, to każdy niemal w pierwszym rzędzie wyczekuje wiadomości, jak też wielkie sumy pieniężne idą na cele misyjne; niestety musi się on tutaj spotkać z rozczarowaniem, gdyż statystyką osiągnąć się absolutnie nie da; ma się wprawdzie sprawozdania częściowe rozlicznych towarzystw misyjnych, redakcyi pism, które zbierają składki na cele misyjne: wiadomo też, że przez cały wiek XIX Propaganda wydała na cele misyjne 100 milionów mk.. papieże 22 mil. [3], ale to prawie wszystko, co się wie na pewno, bo dalej, to już się zaczynają czyste kombinacye tylko, których nawet przytaczać nie warto, bo mogą wprawdzie dać w przybliżeniu pojęcie prawdziwe, ale mogą równocześnie dać najfałszywsze wnioski.

Jedno tylko rozumowanie jest prawdziwe.

---

[1] Cf. protestanckie *Allgem. Missionsstatistik.* 1907, zesz. czerwcowy.

[2] *Katholische Missionsstatistik* v. H. Krose S. I. Herder 1908, str. 129.

[3] Cf. Baumgarten: *Die kath. Kirche in Wort u. Bild.* III. München 1903, str. 399.

Do najbogatszych narodów na świecie, należą dziś narody germańskie, ogółem wzięte, (Niemcy, Anglicy, Amerykanie), oni też są najliczniejszymi na świecie. Więc można stąd wnioskować z księdzem Krose, że najwięcej dają ofiar na dobre cele, i na misye, które ogółem mówiąc są i w Niemczech i w Anglii i Ameryce dość popularne. Tylko — rzecz najważniejsza — ponieważ przeważna część tych narodów jest protestancką, więc te ewentualne miliony czy miliardy idą na misye — protestanckie; na katolickie misye nieznaczna część składek od katolickiej mniejszości tychże krajów.

A teraz przejdźmy do statystyki ludności w misyach.

Z góry zastrzedz się tutaj znowu trzeba, że mówimy tutaj tylko o misyach formalnych, jakie się odbywają w nawracaniu pogan, więc w nawracaniu z pogaństwa; również mowa tutaj tylko o takiem duchowieństwie, które pracuje około nawrócenia pogan wyłącznie, a nie nad przybyłymi z Europy katolikami.

Powtóre, cyfry niżej przytoczone podają tylko obecny stan misyi wedle spisu ludności między 1900—1906 r. i dla uzupełnienia tylko podajemy liczbę dawniej nawróconych ludzi, owoc prac misyjnych z poprzednich wieków, t. j. ile milionów katolików żyje obecnie z pośród tych plemion, które przyjęły wiarę katolicką między wiekiem XVI a XIX. Poniżej wieku XVI nie sięgają już obrachunki ks. Krose.

Tablica I. Misye katolickie w r. 1900—1906.

Kraje	Katolików		Misyonarzy		Pomocnicy		Stacye misyj.	Kościoły i kaplice	Szkoły	Dzieci szkoln.
	Razem	Europejczyków	Europejczyków	Tubylców	Zakonnice	Laicy				
Azya	6,299.886	138.000	9.086	5.237	11.996	2.930	25.157	17.837	13.083	504.074
Australia i Oceania . . .	170.054	—	392	9	531	291	547	553	497	20.634
Afryka . . .	253.931	130.000	1.842	123	3.668	1.357	3.702	3.418	3.392	193.813
Ameryka. . .	998.092	170.000	985	?	1.008?	285?	1.008	928?	862?	72.357?
Razem. . . .	8,321.963	438.000	12.905	5.369	17.284	4.863	30.414	22.736	17.834	790.878

Jak z załączonej tabelki widać, Kościół liczy w krajach misyjnych $8\frac{1}{2}$ milionów wiernych: z tej liczby $\frac{2}{5}$ mil., to przybysze z Europy, reszta, prawie 8 mil., to chrześcijanie tubylcy. Liczba na oko mała, jeśli się nie bierze pod uwagę, jak wyżej powiedzieliśmy, dawniej

nawróconych plemion przez dawnych misyonarzy, o ile one wytrwały w wierze św. Liczba ich przedstawia się w ten sposób:

Tab. II. Liczba nawróconych na misyach w XVI—XIX w.

Kraj	Katolików razem	Europejczyków
Azya	6,700.000	10.000
Afryka	1,038.000	15.000
Ameryka	14,250.000	
Razem	21,988.000	25.000

Tych 22 milionów nie wprowadza się jednak umyślnie w rachubę, bo właściwie nie wliczają się oni do misyi obecnej — praca nad nimi to właściwie praca duszpasterska, zwykła praca parafialna, może więcej utrudniona, ale zawsze praca tylko nad potwierdzeniem zasiewu wiary, rzuconego w dusze ich przodków przed wiekiem co najmniej. Gdyby zaś porachować tych wszystkich razem, to owoce misyi całkiem poważnie się przedstawiają — liczbą 30 milionów nawróconych z pogaństwa. Ale i obecna liczba $6\frac{1}{2}$ miliona powinnaby być większą i w rzeczywistości jest znacznie wyższą, gdyż cyfry podane nie uwzględniają (nie wiadomo z jakiej przyczyny) wielkiej bardzo w każdym kraju liczby mieszkańców. Nadto do »katolików« nie zalicza statystyka katechumenów[1], którzy przecież w całem tego słowa znaczeniu powinniby się do nich zaliczać. Liczba ich jest wogóle bardzo znaczną i przeciętnie wynosi 20—30% ogólnej liczby katolików: np. w Chinach ma się ten stosunek jak 902.478 (katolików) : 390.617; w Japoni 126.773 : 24.672; w południ. Afryce jak 92.840 : 30.792; tylko w Indyach przedgangesowych wyjątkowo jak 22,242.922 : 55.453, a to z tej przyczyny może, że stosunki rozwijają się więcej normalnie, i można misye urządzić więcej na sposób nasz, w Europie praktykowany, gdzie niema katechumenów (prawie) ponieważ już od dzieciństwa wychowuje się wszystko w prawdach wiary katolickiej.

Na tych to misyach nad 8—9 mil. dusz pracuje 12.305 kapłanów. W rubryce tej zachodzi też jedna wielka luka: ilu kapłanów dostarcza sam kraj misyjny z pośród ludności tubylczej? Zupełnie brak tutaj danych z Ameryki, ponieważ w statystyce podają tam za ludność tubylczą wszystkich Europejczyków z pochodzenia, ale urodzonych na amerykańskiej półkuli. Tymczasem nie o tę cyfrę chodzi, lecz o cyfrę tubylczej ludności nieeuropejskiego pochodzenia, gdyż

[1] Katechumeni, t. j. przygotowujący się do przyjęcia chrztu św.

bezsprzecznie dopiero taka cyfra może wykazać, o ile ludność postąpiła w kulturalnym rozwoju do tego stopnia, że zdolną jest wydać z pośród siebie nawet księży, którzy znajdując zaufanie i cześć u swoich ziomków, wystawiają im tem samem świadectwo ich ucywilizowaniu (Indye np. liczyły na 2.804 kapłanów, 1.755 z pośród krajowców; w Azyi Mniejszej i Syryi na 2.874 kapłanów, było 2.256 z pośród krajowców.

Z powodu niedokładności trzeba również przyjąć, że i liczba stacyi misyjnych 30.414 jest absolutnie za wielką. Stacyą misyjną przecież nie można nazwać osady jakiejś dlatego tylko, że tam kilka razy do roku zajdzie misyonarz i pod gołem niebem katechizuje lub Mszę św. odprawi. Stąd to wedle ks. Krosego [1] należałoby liczbę stacyi zmniejszyć przynajmniej o 7.000.

Dowodem na to, że przecież na każdej stacyi misyonarz stara się przedewszystkiem o najprymitywniejszą bodaj kaplicę, a kaplic tych tylko 22 tys., więc i prawdziwych stacyi będzie mniej więcej tyle.

Najwięcej jednak daje się odczuwać brak statystyki w szkolnictwie. Luk tutaj więcej, niż powinno być. A liczba 17.000 szkół z 790.000 dzieci, jest już na pierwszy rzut oka wątpliwą. Przecież każdy misyonarz pracuje przeważnie nad dziećmi prawie a zupełnie nieprawdopodobną jest rzeczą, żeby w każdej szkółce misyjnej liczono przeciętnie tylko dwadzieścia kilkoro dzieci. Skądinąd znowu, bo z relacyi prywatnych tychże misyonarzy, widać zupełnie co innego: wogóle, zaznacza ks. Krose, że tu i owdzie jakieś braki czy błędy w statystyce odbijają się bardzo na całości; wytłumaczyć je trzeba, jak już wspomnieliśmy, niesłychaną trudnością w zbieraniu tego materyału; często i źle zrozumiana pokora misyonarzy jest przyczyną braku dokładniejszych sprawozdań, nadto do niedokładności przyczynia się i brak dokładnego określania, co nazywać stacyą misyjną, kogo można nazwać uczniem w szkole i t. p. szczegóły, z którymi muszą się łamać misyonarze, dowodząc, że jeżeli u nas w krajach tak znakomicie urządzonych, przeprowadzenie statystyki jest zazwyczaj połączone z błędami większemi, niżby przypuścić należało, to tem bardziej łatwiej trzeba z góry przyjąć pewną liczbę błędów w statystyce dla krajów zamorskich misyi.

Protestanci bardzo lubią porównywać misye katolickie ze swemi:

---

[1] Ks. Krose uważa za stacyę misyjną tę miejscowość tylko, jeśli w niej przebywa stale kapłan a przynajmniej katechista.

i my możemy zrobić to samo. Ks. Krose podaje dokładnie, przy każdym kraju, w cyfrach działalność protestantów i katolików osobno.

Tab. III. Misye protestanckie.

Kraj	Tubylców protest.	Misyonarzy	Pastorzy tubylcy	Pomocnicy	Stacye	Szkoły	Uczniowie i uczennic.
Azya	1,528.922	2.617	1.689	19.676	1.632	10.768	413.428
Australia i Oceania	278.830	122	544	5.833	207	2.917	71.437
Afryka	695.232	1.268	890	10.081	1.090	4.719	323.798
Ameryka	713.700	463	129	2.210	861	517	58.707
Razem . .	3,216.684	4.470	3.252	37.800	3.790	18.921	867.370

Cyfry te zebrane w latach ostatnich XIX wieku, jednak mimo to porównywać je można z nieco późniejszemi cyframi dla misyi katolickich, gdyż różnica lat wynosi tylko ?—10, a w tym czasie nie zaszło nic takiego, coby powinno i mogło wpłynąć na większe zmiany.

Dziwnie małe liczby — 3 miliony tylko, a 8 mil. u katolików!

Mógłby nas nawet kto posądzić o stronniczość, gdyby nie to, że cyfry te wyjęte ze sprawozdań samych protestantów [1]. Na obronę ich można przytoczyć, że misye protestanckie zaczęły się dopiero w drugiej połowie XVIII wieku. Ale dlaczegóż nie rzucili się prędzej na pole misyjne? Któż im bronił? Bo protestantyzm nie był jeszcze tak rozwiniętym? Otóż właśnie o to chodzi. A potem, choć później ruszyli się protestanci, by naśladować katolików w misyonarzowaniu, to jednak od razu znaleźli jak największe poparcie u angielskiego i holenderskiego rządu, które przecież w XVIII wieku były największemi potęgami kolonialnemi, posiadały najwięcej terytoryów zamorskich. Gdy przeciwnie misye katolickie prawie ustawicznie przechodzić musiały przez ogień prześladowań, a całe państwa były dla nich nieraz przez przeciąg całych wieków zamknięte. Nadto wielka rewolucya w Europie zadała śmiertelny cios misyom, tak że w XIX wieku trzeba je było dopiero na nowo stwarzać.

Wobec tego, zesumowawszy trudności i wyniki z obu stron, bezwarunkowo trzeba przyznać, że nie tylko o wiele większe trudności, ale i większe owoce są po stronie katolików. Cyfra wskazuje.

Tylko dział szkolny przedstawia się u protestantów znacznie lepiej, niż u katolików: zapewne, jak ks. Krose twierdzi, przyczyną tego jest pewne nieporozumienie w określeniu, kogo uważać na misyach za ucznia — co za szkołę, ale mimo wszystko i w rzeczy samej

[1] *Kleine Missions-Geographie u. Statistik,* 202.

liczbę u protestantów trzeba przyjąć większą, niż u katolików. A jednym z głównych może powodów, dlaczego protestanci więcej mogą wskazać na większe wyniki na polu szkolnictwa, jest, że rozporządzają większym funduszem: owszem, zważywszy, jak poprzednio zauważyliśmy, że wogóle narody protestanckie mogą więcej dawać na misyjne cele, obecnie mając w ręku pewnik, że szkolnictwo na misyach protestanckich tak bardzo się rozwija, znajdujemy potwierdzenie naszego przypuszczenia: bo szkolnictwo przedewszystkiem pochłania moc pieniędzy: więc muszą je mieć protestanci. A dla nas katolików, choć ten fakt jest nieco przykrym, że pod tym względem nas przewyższają, jednak statystyk taić tego nie potrzebuje — poznanie prawdy, choć przykrej, jest zawsze tylko bodźcem do zaradzenia łatwiejszego niedostatkowi. I dobrze, że widzimy, gdzie ten niedostatek.

Ks. K. Konopka.

Druk ukończono 30 lipca 1908 r.

DWA ZJAZDY AKATOLICKIE
I STOSUNEK ICH DO KATOLICYZMU.

Od 15 do 24 czerwca r. b. obradował w Londynie p a n a n g l i k a ń s k i k o n g r e s. Pierwsza idea takiego kongresu powstała sześć lat temu pod wpływem kazania, wygłoszonego w świątyni św. Pawła w Londynie. Projekt dojrzewał powoli. Rozesłano go jeszcze w r. 1902 do zaopiniowania wszystkim »biskupom« wyznania aglikańskiego, następnie zajęto się studyowaniem kwestyi, które miały kongresowi dostarczyć materyału obrad. Zjazd ten dosięgnął kolosalnych rozmiarów. Przybyło nań z różnych części świata około 250 anglikańskich »biskupów« i do 700 innych delegatów świeckich i »clergymanów«, tak iż niektórzy publicyści angielscy upatrzyli w nim aż »Sobór powszechny«, zebrany po tysiącletniej przerwie.

Kongres soborem być nie zamierzał; owszem zrzekł się wszelkiej działalności dogmatycznej lub ustawodawczej. Zakreślił sobie cel o wiele skromniejszy, mianowicie w y ś w i e t l i ć tylko wszechstronnie wiele kwestyi religijnych i religijno-społecznych i tym sposobem dostarczyć materyału konferencyi biskupów, t. zw. lambethskiej, która od r. 1868 zbiera się co lat dziesięć i jest instytucyą normującą religijno-kościelne sprawy wyznania anglikańskiego. Z tego powodu nie poddawano żadnych wniosków pod głosowanie, ograniczając zajęcia kongresu do wygłoszenia i słuchania referatów. Jeśli się jeszcze weźmie pod uwagę, że za-

den mowca nie mógł przemawiać dłużej nad 10 minut; to i naukowa wartość tych referatów (o ile nie będą poparte jakiemiś anneksami) musi się wydać bardzo wątpliwą, i kongres nabiera raczej charakteru olbrzymiej anglikańskiej manifestacyi. Ten manifestacyjny charakter kongresu wyraził się najbardziej 24 czerwca w dziękczynnem nabożeństwie i złożeniu ofiar pieniężnych »na podziękowanie Panu Bogu Wszechmogącemu za rozszerzenie i rozwój duchowy Kościoła anglikańskiego w świecie«. Złożono przeszło 330 tysięcy funtów szterligów do rozporządzenia episkopatu na cele wyznaniowe i oświatowo-kulturalne.

Z powodu olbrzymiej liczby mowców i referatów zgłoszonych, trzeba było podzielić kongres na siedem niezależnych sekcyi, z których każda obradowała w osobnym lokalu pod przewodnictwem swego prezesa. Głos zabierali biskupi, »clergymani«, świeccy i nawet kobiety, między któremi wybitne miejsce zajmowały żony »biskupów«. Największy interes budziła sekcya I pod hasłem: Kościół i społeczeństwo, zajmująca się kwestyami małżeństwa, życia rodzinnego, pracy i płacy i stosunku chrystyanizmu do socyalizmu. Socyalizm prawie wszyscy mówcy usiłowali »ochrzcić«. Podkreślili w nim »etyczną zasadę braterstwa«, mającą stanowić zasadę fundamentalną socyalizmu, podziwiali wielkie dzieła, dokonane przez socyalizm, uznawali w nim ideał, identyczny z »królestwem Bożem« na ziemi, wzywali Kościół do ujęcia ruchu społecznego w swoje ręce. Oczywiście, musieli mieć na myśli jakiś inny socyalizm, nie ten, który jest wszystkim znany. Jeden z mowców, duchowny I. C. Simpson, zaznaczał, że socyalizm nie jest zamachem na własność bogatych, aby ją rozdzielić między biednych. On jest tylko ideałem, i wychowanie dlań ludzkości jest dziełem Kościoła.

Ważną jest dla nas rzeczą stanowisko kongresu względem katolicyzmu. Sekcya V: Misya kościelna wśród chrześcijan, i sekcya VI: Wyznanie anglikańskie, miały sposobność rozpatrzenia stosunku anglikanizmu do katolickiego Kościoła. Mało jednak na ten temat mówiono. Jeden tylko Lord Halifax przemawiał o możliwości połączenia się z Rzymem. Inni mowcy, jak dr. Richards i W. J. Birkbeck interesowali się kwe-

styą połączenia się z Cerkwią Wschodnią. Dla sprawy jednak zjednoczenia religijnego ważniejszym od tych kilku przemówień jest bezwątpienia ogólny nastrój, jaki czuć było wśród uczestników kongresu. Przedewszystkiem kierował uczestnikami kongresu duch religijny; w przemówieniach mowców po większej części czuć było czystość intencyi. Tem szczerem szukaniem prawdy, wolnem od ubocznych pobudek, jakie wśród anglikańskiego kleru już od dawna widzieć się daje, tłumaczy się i ta znaczna liczba nawracających się do Kościoła katolickiego duchownych. Powtóre zjazd doskonale widział i wytknął wiele braków i ujemnych stron anglikańskiego Kościoła, a taka samokrytyka niejednemu może oczy otworzyć i na ostateczne ich źródło — protestantyzm anglikańskiego Kościoła. Następnie wszyscy odczuwali potrzebę zjednoczenia religijnego wszystkich chrześcijan, jak również to, że Kościół anglikański całym Kościołem Chrystusowym nie jest. Stąd też nie wiele sympatyi napotkał delegat, mówiący o misyi anglikańskiej wśród katolików Hiszpanii i Portugalii. Pragnienie jedności kościelnej, pokorne mniemanie o swojem partykularnem wyznaniu, pokojowe usposobienie względem innych wyznań chrześcijańskich — oto rysy charakterystyczne tegorocznego kongresu. Zaznaczyć jeszcze należy i to, że w sekcyi nauki kościelnej, w kwestyach objawienia, dogmatu bóstwa Chrystusowego, krytyki biblijnej, zgromadzenie tchnęło duchem prawowierności chrześcijańskiej, a niektórzy mówcy, jak np. dr. Burkitt w referacie o biblii, wypowiadali wprost katolickie przekonania.

Wobec takiego stanowiska większości uczestników, można mieć nadzieję, że kongres pananglikański i dla sprawy zjednoczenia z Kościołem rzymskim, którą prawie pomijał, może mieć pewne znaczenie i ubocznie przyczynić się do stopniowych zdobyczy dla idei katolickiej wśród wyznawców episkopalizmu anglikańskiego.

* * *

Zupełnie inne wrażenie odnosi się z drugiego akatolickiego zjazdu, który przytem bezpośrednio interesuje nasz polski Kościół. Mamy na myśli IV Wszechrosyjski zjazd misyonarzy

w Kijowie. Ile w Londynie wypowiedziano słów pokoju, tyle w Kijowie padło haseł nienawiści religijnej, ile tam było pokory chrześcijańskiej, tyle tutaj czuć było pychy i pewności siebie. W zjeździe nad Tamizą podziwiano dobre wychowanie uczestników, któremu dano wyraz w poszanowaniu cudzego zdania i w szlachetności stylu mowców; nad Dnieprem odbyła się wystawa »istinnego« prostactwa i ufnego w swą pięść gburstwa. Lecz mniejsza o to. Któżby śmiał żądać, aby nad Wołgą, a choćby i Dnieprem zarażano się obyczajami »zepsutego, gnijącego Zachodu«?

Odbył się tedy zjazd misyonarski. Trzeba jednak na wstępie uprzytomnić sobie, co to za ludzie ci rosyjscy misyonarze, żeby nieświadomy rzeczy czytelnik nie pomieszał ich z misyonarzami katolickimi. »Misyonarz« prawosławny to bynajmniej nie apostoł, udający się w dalekie kraje dla nawracania pogan, jak św. Ksawery, lub w celu pielęgnowania trędowatych, jak Damian. To nawet nie kaznodzieja ludowy, objeżdżający parafie i nawołujący lud do pokuty i poprawy obyczajów, jak nasz ks. Antoniewicz. Misyonarz rosyjski to nawet niekoniecznie ksiądz lub zakonnik. Rekrutują się wprawdzie ci misyonarze i z pomiędzy kleru, lecz przeważna ich liczba są to ludzie świeccy, którzy ukończyli jakąś szkołę duchowną, lecz nie czuli powołania do sukni. »Misyonarstwo« czy to świeckich, czy duchownych, jest sobie jedną z nienajgorszych posad w służbie dyecezyalnej, stanowiskiem dobrze opłacanem i otwierającem drogę do orderów, rang państwowych i sutej emerytury. Bywa takich misyonarzy niekiedy po kilku na jedną dyecezyę. Otóż taki misyonarz, wszystko jedno czy on jest protojerejem w »riasie«, czy też radcą stanu w mundurze, ma obowiązek śledzenia powstających sekt i prowadzenia ze zwolennikami herezyi dysput, na które spraszano »inaczej wierzących« często przy pomocy policyi. Oczywiście w dysputach zwycięża zawsze strona prawosławna; argumentacye misyonarzy drukują się w specyalnych wydawnictwach; sekciarze wystawiani są tam zawsze jako nieucy i fanatycy. Pomimo tych dysput, sekty mnożą się coraz bardziej, sekciarstwo nakształt raka wżera się coraz głębiej w organizm Cerkwi urzędowej, co zresztą leży poniekąd w interesie misyonarzy, albowiem w razie zniknięcia sekt i ich

posady straciłyby racyę bytu. Ponieważ uparte sekciarstwo trzyma się mocno, więc od czasu do czasu organizują się zjazdy misyonarzy, mniejsze i większe, lub nawet »wszechrosyjskie«, oczywiście na koszt Synodu, na których obmyśla się środki dalszej walki z herezyą.

Tegoroczny, IV wszechrosyjski, zjazd w Kijowie miał podwójnie ważne zadanie przed sobą. Nie tylko bowiem, mocą ukazu tolerancyjnego, sekciarstwo uzyskało prawną podstawę bytu, a państwo ograniczyło swą pomoc, udzielaną przedtem misyonarzom, lecz nadto wyłoniła się w ostatnich czasach kwestya przeciwdziałania przechodzeniu prawosławnych na katolicyzm i protestantyzm, o czem dawniej i mowy być nie mogło. Misyonarstwo, przywykłe dotąd wspierać się na ramieniu władzy świeckiej, miało na zjeździe wykazać, do czego jest zdolne samo z siebie. Przebieg zjazdu i uchwalone przezeń rezolucye wykazały, że misya i w przyszłości liczy nie tyle na swoje siły, ile na miecz cesarski.

Już przedwstępne zjazdy dyecezyalne, zwłaszcza w eparchiach zachodnich, odbyte w Dźwińsku, Białej Cerkwi, Kamieńcu i wielu innych miejscach, zapowiedziały, że Wszechrosyjski zjazd misyonarski wymierzy swe strzały głównie przeciwko katolicyzmowi. Wybór miejsca na zjazd toż samo obiecywał. Do tego »dobór uczestników zjazdu zmierzał ku temu, aby wzmocnić kierunek podtrzymywany przez Antoniusza wołyńskiego, człowieka namiętnego i żądnego władzy, którego trafnie nazywają ‚maleńkim Nikonem'« (*Now. Wr.* nr. 11.623). Antoniusz ten jest zwierzchnikiem poczajowskiej ławry i głównym reżyserem akcyi antykatolickiej i reakcyjnej, promieniejącej z tego klasztoru. Wreszcie znaczącem było jednoczesne otwarcie zjazdu w Kijowie przedstawicieli »Związku narodu rosyjskiego«, do którego i wielu misyonarzy należy.

Przebieg zjazdu jest nam dość znany z opisu codziennych gazet. Dnia 12 (25) lipca zjazd został otwarty nabożeństwem, odprawionem przez najwyższych dostojników Cerkwi. Metropolita petersburski Antoniusz wygłosił mowę, w której wskazał, że działalność misyonarzy winna się odznaczać pokojowym nastrojem i być przejętą miłością ku wszystkim ludziom. Następny mowca,

oberprokurator Synodu, Izwolski, zaznaczył, że ukaz tolerancyjny stworzył nowe warunki działalności misyjnej, i wezwał uczestników zjazdu, aby, szanując wolę monarszą, nie przekraczali granic, wytkniętych tym ukazem. Te dwa przemówienia dwóch najwyższych dygnitarzy, pierwszego metropolity, domniemanego kandydata na patryarchat, i synodalnego prokuratora, reprezentującego cesarza w Cerkwi, stanowiły świetlany początek zjazdu, na który jednak zaraz rzuciła cień wysunięta na prezydyalne krzesło czarna figura Antoniusza wołyńskiego. Że ogólna atmosfera zjazdu była daleka od uczuć, wypowiedzianych przez najwyższych dostojników, poczuli to oni najpierw sami. Obadwaj opuścili zjazd wkrótce po jego otwarciu Na wezwanie metropolity do pokoju i miłości, a prokuratora — do poszanowania zasad tolerancyi, odpowiedział za misyonarzy Związek narodu rosyjskiego. Józefowicz, »prawdziwie rosyjski człowiek« (nazwisko najlepszym tego dowodem), oznajmił, że ukaz o tolerancyi został wyłudzony u cesarza przez »ożenionego z żydówką politycznego awanturnika, który niejednokrotnie ośmielił się wprowadzić w błąd monarchę«, i wyraził nadzieję, że cesarz podda rewizyi prawo z 17 kwietnia. Dostało się od p. Józefowicza i metropolicie za jego »pokój i miłość«. Tym sposobem Józefowicze i Dubrowiny wytknęli kierunek obradom zjazdu misyonarskiego.

Rezolucye zjazdu, dotyczące sekciarstwa, mniej nas obchodzą. Nie zawierają one zresztą żadnej nowej myśli, nie stawiają żadnej nowej metody. Spotka je też zapewne los wszystkich dawniejszych tego rodzaju rezolucyi. Dla nas najważniejszą jest rzeczą postawa Zjazdu względem katolicyzmu. Postawa ta okazała się względem nas bezwzględnie wrogą. Zjazd doskonale zrozumiał ducha owego prezesa, »małego Nikona«, jak również prezesa sekcyi antykatolickiej, biskupa chełmskiego Eulogiusza i stojących za nimi »prawdziwych Rosyan«.

Najpierw stanęła na porządku dziennym kwestya mieszanych małżeństw katolików z prawosławnymi. Wiadomo, że Kościół katolicki zawsze niechętnie patrzał na tego rodzaju małżeństwa, a w Rosyi z powodu niemożliwości wypełnienia warunków kościelnych, wprost je zakazywał, uznając jednak ich ważność, choćby

były błogosławione tylko w cerkwi prawosławnej. Dopóki małżeństwa mieszane obracały się na korzyść, przynajmniej zewnętrzną, prawosławia, duchowieństwo prawosławne chętnem patrzało okiem na śluby z katolikami, i kapłani katoliccy, którzy swym wiernym odradzali podobne związki, byli prześladowani i karani deportacyą, zazwyczaj wskutek denuncyacyi prawosławnych duchownych. Po ukazie tolerancyjnym Kościół katolicki bynajmniej nie zmienił swego stanowiska wobec mieszanych związków; ponieważ atoli z zawartych poprzednio małżeństw katolicyzm po ukazie faktycznie tu i owdzie odniósł pewne korzyści, przeto ojcowie misyonarze wyobrazili sobie, że duchowieństwo łacińskie nie tylko się już nie sprzeciwia małżeństwom mieszanym, ale je wprost popiera i do nich zachęca. Oczywiście, trzeba było przeciwdziałać tej »propagandzie«. Pierwszy ku temu krok uczynił Antoniusz wołyński, zakazując w swojej eparchii błogosławić związki mieszane, stając tym sposobem na stanowisku, za które niedawno tak karano księży katolickich. Zjazd misyonarski, po słabych protestach kilku uczestników, przyjął praktykę wołyńską, robiąc wyjątek tylko dla Królestwa, Finlandyi i gubernii nadbałtyckich, gdzie po dawnemu małżeństwa mieszane mają być tolerowane.

Charakterystycznem jest umotywowanie rezolucyi zjazdu Przyjął on bowiem teologię »małego Nikona«, według której katolicy są heretykami; a u heretyków ważnych sakramentów być nie może. Niektórzy publicyści upatrywali w kijowskim zjeździe »generalną próbę« przyszłego Soboru cerkiewnego, inni nawet wprost uważali tegoroczny zjazd za surogat soboru. W rzeczy samej Zjazd misyonarski, przyjmując poglądy Antoniusza, wkroczył w kompetencyę Soboru Powszechnego, owszem stanął nawet w sprzeczności z poprzednimi soborami. Wszak, według zasad prawosławnych teologów, kwalifikowanie jakiejkolwiek nauki jako heretyckiej jest wyłącznym przywilejem Soboru powszechnego. Nadto, pogląd o nieważności sakramentów u heretyków, z tytułu samej ich herezyi, którego bronił niegdyś św. Cypryan, został odrzucony przez cały Kościół na koncylium nicejskiem. Antoniusza wołyńskiego ani jedno, ani drugie nie obchodzi. On nawet w komisyi przedsoborowej oświadczył ku ogólnemu zdumieniu,

że katolików za chrześcijan nie uważa, a kiedy mu zwrócono uwagę, że przecież katolików, przyjmujących prawosławie, nie chrzci się powtórnie, dodał, że chrzest dla nich zastępuje się przez pokutę. Ten szczegół rzuca dostateczne światło na zamęt w pojęciach teologicznych prezesa zjazdu misyonarskiego i jego uczestników, piszących się na podobne nonsensa. Zamęt ten ma swoje źródło przedewszystkiem w nienawiści do katolików. Wiadomo, że jasność i ścisłość twierdzeń teologicznych jest przymiotem scholastyki katolickiej. Teologowie rosyjscy, w rodzaju Antoniusza, gotowi cofnąć się do pojęć afrykańskich III wieku, byle nie mieć nic wspólnego ze szkołą katolicką. I w tem »mały Nikon« XX stulecia różni się od Nikona Wielkiego z XVII wieku. Nikon Wielki, wobec patryarchów greckich, swych sędziów, zarzucających mu papistyczne poglądy na stosunek wzajemny władz świeckiej i duchownej, udowadniał, że i u papistów można się uczyć rzeczy dobrych; »Nikon mały« gotów odrzucić wiarę w Boga w Trójcy jedynego, jeśli mu kto wykaże, że ta wiara pochodzenia łacińskiego. Treść »prawosławia« według niego polega widocznie jedynie na negacyi i nienawiści tego, co łacińskie. W rozmowie z jednym pisarzem staroobrzędowcem wyraził się, że cała teologia rosyjska jest naszpikowaną łaciństwem, nawet nauka o 7 sakramentach wzięta od papistów. Zjazd misyonarski zrobił walny krok po drodze oczyszczania tej teologii od łacińskich naleciałości. Pytanie tylko, czy wszyscy teologowie rosyjscy uznają w tym względzie kompetencyę kijowskiego zjazdu.

Za rezolucyą w sprawie małżeństw mieszanych wydano inne: wzmocnić wśród ludu ducha prawosławnego nacyonalnego (jakie trafne zestawienie dwóch przymiotników), prosić monarchę, aby wobec ukazu kwietniowego religia prawosławna nie utraciła swych prerogatyw (pytanie, jak się to da uskutecznić bez cofnięcia samego ukazu?); świątyń prawosławnych, nawet tych, które niegdyś były katolickiemi, nie zwracać katolikom (dobro prawosławia wymaga widocznie skreślenia z kodeksu moralnego obowiązku restytucyi); zabronić zagranicznym misyonarzom wstępu do Rosyi (uczyniły to już wcześniej władze administracyjne); podnieść pensyę nauczycielom szkół cerkiewnych i szkołom tym nadać cha-

rakter misyjny (obawy zatem ś. p. biskupa Zwierowicza były aż nadto uzasadnione); duchowieństwo krajów zachodnich zjednoczyć w jedno bractwo; odłączyć Chełmszczyznę od Królestwa; w seminaryach wzmocnić wykłady polemiki z katolikami a dla duchownych urządzać osobne w tym celu kursy; w Wilnie wprowadzić do seminaryum duchownego obowiązkową naukę języka litewskiego (a więc prawosławie i Litwinów nie spuszcza z oka); w Chełmszczyźnie utworzyć posadę misyonarza eparchialnego (dotąd obowiązki te pełniło duchowieństwo parafialne przy pomocy policyi). To jedna serya uchwał antykatolickich.

Druga serya, zawierająca »środki wewnętrzne«, proponuje wprowadzić do Cerkwi te praktyki katolickie, które pociągały ludność prawosławną do Kościoła, a mianowicie: codzienne nabożeństwa, śpiew ludowy w cerkwi, kaznodziejstwo, święta miejscowe w rodzaju naszych odpustów, pielgrzymki do Poczajowa i Kijowa, święcenie pól, odwiedzanie parafian (niby nasza kolęda), nauczanie katechizmu dzieci przed pierwszą spowiedzią. Okazuje się, że i od heretyckich papistów niejednej dobrej rzeczy można się nauczyć. Z bólem serca jednak musiał zjazd godzić się na te łacińskie nowości, skoro zastosowanie ich polecił tylko dla tych okolic, gdzie prawosławni mieszkają wśród katolików. Katolicyzm odegrał tu rolę szczupaka między leniwymi karasiami.

Nie możemy pominąć jeszcze jednej seryi środków, uchwalonych przez sekcyę antykatolicką. Zjazd, zaznaczywszy, że »duchowieństwo prawosławne nigdy nie pozwoli sobie wygłosić zasady: cel uświęca środki« (*Cerk. Wied.* nr. 30, str. 1401), sam poszedł za tą zasadą. Dla wzmocnienia prawosławia, Zjazd postanowił poczynić u władz kroki, aby majoraty w Chełmszczyźnie (powstałe głównie ze skonfiskowanych dóbr kościelnych) sprzedano przy pomocy banku włościańskiego prawosławnym włościanom, jak również, aby w kraju Zachodnim wprowadzić do komisyi rolnych prawosławne duchowieństwo i aby potrzeby rolne prawosławnych w tymże kraju zostały niezwłocznie zaspokojone. Tym sposobem, »zjazd misyjny domaga się stanowczej reformy agrarnej w kraju Zachodnim na korzyść włościaństwa prawosławnego w celach walki z katolicyzmem« (*Słowo* nr. 516). Rze-

komi »konserwatyści« rosyjscy nie zawahali się zagrać na najbardziej demagogicznej, najbardziej czułej w duszy chłopa strunie, byle go odciągnąć od katolicyzmu.

Podsumujmy antykatolicką robotę misyonarskiego zjazdu i wyciągnijmy pewne przypuszczenia.

Pobudki i apetyty uczestników Zjazdu były zaiste godne »iście — ruskich ludzi«. Ze wszystkich rezolucyi przebija wolterowskie wezwanie: *écrasez l'infâme!* Jakie jednak rezultaty wydadzą uchwały zjazdu? Że nie uczynił on nic, aby podnieść w oczach wierzących prawosławnych moralną powagę Cerkwi, na to się zgadza cała prasa rosyjska, nie wyjmując *Now. Wremieni* i *Mosk. Wiedomostiej.* Tylko *Roskoje Znamia* i *Kołokoł* są zadowolone z roboty zjazdu. Zjazd zatem będzie miał ten pierwszy skutek, że osobniki szlachetniejsze, liberalniejsze, poczują jeszcze bardziej, niż dotąd czuły, duszność atmosfery, panującej w oficyalnej Cerkwi i dezercya z niej niewątpliwie się wzmoże.

Powtóre, katolicyzm to nie Jeryho, żeby miał upaść od głosów *istinno russkich* trąb. Choćby nawet uchwały zjazdu uzyskały sankcyę prawną, co w wielu punktach jest rzeczą bardzo wątpliwą, to i wtedy Kościoła *non praevalebunt.* Przetrwał on nie takie burze! Najmniej powinno nas, katolików, niepokoić stanowisko zjazdu względem małżeństw mieszanych. Nam się zdaje, że jeśli w czem, to właśnie w tym punkcie pomieszał Pan Bóg rozumy misyonarskie. Jeśli zabronienie zjazdu stanie się prawem, w takim razie duchowieństwo katolickie w walce swej z mieszanemi małżeństwami znajdzie sojusznika w klerze prawosławnym i w kodeksie cywilnym. Przed zawarciem małżeństwa obie strony będą zmuszone zgodzić się wyznawać jedną wiarę. Strona mocniejsza w swej wierze, pociągnie za sobą i przyszłego współmałżonka. Zadaniem kleru katolickiego jest uświadamiać pod tym względem i umacniać w wierze swoich podwładnych. Dalej, jeśli samo projektowane prawo nie obiecuje wiele korzyści prawosławiu, to tem mniej obiecuje uczyniony z tego prawa wyjątek dla Królestwa. Protojerej Tracz (zdaje się Galicyanin, działacz »rosyjski« w Chełmszczyźnie), namiętnie przemawiający na zjeździe za dopuszczeniem małżeństw mieszanych z katolikami w Królestwie

złą oddał przysługę swojej religii. Jeśli gdzie, to właśnie w Królestwie, choć Kościół katolicki i tu z zasady będzie się sprzeciwiał mieszanym ślubom, nie przyniosą one wielkiej szkody katolicyzmowi. Według stałych praw asymilacyi, przy istnieniu możliwości przejścia z prawosławia na katolicyzm, mieszane śluby stać się mogą środkiem powolnego wchłaniania mniejszości przez większość; a wszak wiemy, jaka ludność stanowi większość w Królestwie.

Nie straszą nas zbytnio rezolucye seryi drugiej. Dobre i to, że zjazd prawosławny uznał wartość i celowość naszego życia kościelnego i jego praktyk i u siebie chce je zastosować. *Bonum est diffusivum sui.* Niektórzy z rosyjskich publicystów uchwały tej kategoryi przyrównali do ewangelicznego wlewania nowego wina do starych worków. Z tą przypowieścią łączy się zwykle obawa o całość skórzanych naczyń. Dla nas ta rzecz jest obojętną, czy worki popękają lub nie, ale czujemy jednak skłonność do uspokojenia przesadnych obaw: tylko płyn prawdziwy, szlachetny, jest w tym razie niebezpieczny, nie zaś robiony na urząd falsyfikat. Worki z taką zawartością pozostaną workami.

Pomimo to uchwały zjazdu misyonarskiego wkładają na nasze duchowieństwo poważne obowiązki. Najgłówniejszym z nich jest gruntowne nauczanie katolików prawd naszej świętej wiary, aby lud nie pokładał różnicy religii w różnicy wystawności kultu, lub w innych formach liturgicznych, ale trzymał się Kościoła z poczucia ścisłego obowiązku. Wtedy zakusy »misyonarzy« nie będą dla nas strasznymi. Nadewszystko zaś niech katolicyzm przoduje w czynnej miłości bliźniego, a wtedy żaden zjazd nie przeszkodzi rozwojowi i zdobyczom naszego świętego Kościoła.

Ks. X. T. J.

PROŚBA O NIERUCHOMĄ WIELKANOC [1].

1. Dawniejsze zabiegi o Wielkanoc nieruchomą.

Stara to myśl, którą na nowo porusza prośba, wniesiona do Rzymu o nieruchomą Wielkanoc.

Zawiązek tej myśli sięga półtora tysiąca lat. Już Augustyn Hipponski rozprawia ze zwolennikiem Wielkanocy tak nieruchomej, jak Boże Narodzenie [2]; wywodzi, że taka Wielkanoc straciłaby głęboką treść swoją w nabożeństwie chrześcijańskiem. Tę treść niejeden z Ojców Kościoła pokazuje nam na widok świąt żydowskich, które schodzą się z Wielkim Tygodniem chrześcijańskim: widzimy u Żydów radosne święta, u chrześcijan dni bolesnego smutku; tam starozakonna pascha po domach wesołych, tu po żałobnych świątyniach na krzyżu krwawa Pascha Nowego Zakonu; tam po świętach powrót do pracy, tu po Wielkim Tygodniu uroczysta Niedziela Zmartwychwstania. Tak sama treść obchodów chrześcijańskich wiąże Wielki Tydzień z żydowską paschą; a na tę paschę Mojżesz wyznaczył wieczór w pełnię pierwszą po równonocni: zatem z tą pierwszą pełnią wiosenną nad-

[1] Z powodu rozpraw d-ra Józefa Schmida: *Die Osterfestfrage* w 13-m zeszycie czasopisma *Theologische Studien*, wydawanego przez d-ra Ehrharda i d-ra Schindlera w Wiedniu. — *Die Osterfestberechnuny* w 1-m zesz. 9-go tomu czasopisma *Theologische Studien*, 1907, wydawanego przez d-ra Ehrharda i d-ra Madlera we Fryburgu.

[2] Listy ks. 2, l. 53 do Januarego.

chodzi dla chrześcijan Wielki Tydzień a w następną niedzielę Wielkanoc.

Przy tym wywodzie Augustyn z innymi Ojcami mieli na oku prawdę niewątpliwą w nieboznawstwie, (choćby ledwo początkowem,) że mianowicie ruchomą być musi niedziela zależna od pełni. Naukowa prawda, którą już za Augustyna światły ogół rozumiał, nie może dziś czytelnikowi zdawać się niezrozumiałą: więc ją krótko tu wystarczy przedłożyć.

Pełnia nie na jednym dniu z równonocnią wraca co roku: jeżeli któregoś roku wypadnie w sam dzień równy nocy, tedy na drugi rok wypada o dziewiętnaście dni później, następnego roku w ośm dni po równonocni, potem w dwadzieścia siedm, w szesnaście i t. d. Tak z biegiem lat widzimy pełnię coraz innego dnia między równonocnią a dwudziestym dziewiątym dniem wiosny.

Otóż na równonocnię liczymy w kalendarzu poprawnym dzień dwudziesty pierwszy marca; następnie w dni dwadzieścia dziewięć po równonocni liczymy dzień kwietnia ośmnasty: zatem pełnię pierwszą na wiosnę widzimy z roku na rok w dniu coraz innym, między dwudziestym pierwszym marca a ośmnastym kwietnia.

Całe to zjawisko ruchomej pełni wynikło z odmiennych obrotów księżyca i słonecznej tarczy po niebie: zatem przyrodzone to zjawisko nie zależy od Kościoła ani od żadnego postępu ludzkiej nauki; ludzką siłą nie da się usunąć.

Niedziela tedy najbliższa po pełni nie da się ustalić i musi co roku wypadać na inny dzień miesiąca, od dwudziestego drugiego marca po dwudziesty piąty kwietnia: nie może razem następować po ruchomej pełni i nieruchomo tkwić w stałym dniu po równonocni.

Powyższe pojęcia o zmiennym dniu pełni tak mało wkraczają w zawodowe nieboznawstwo, że już dostępne dla spółczesnych Augustynowi wystarczyły im, aby zrozumieli jego wywód i zaniechali myśli o Wielkanocy nieruchomej.

Cały tedy wywód Augustyna da się ująć w syllogizm, o jednej przesłance opartej na astronomii, a drugiej wyprowadzonej ze względów kościelnych; a mianowicie:

Niedziela, zależna od pierwszej pełni wiosennej,
musi być ruchomą;
a niedziela wielkanocna
zależy od pierwszej pełni wiosennej:
więc niedziela wielkanocna
musi być ruchoma.

Oczywiście Augustyn w przesłance drugiej nie przesądzał praw Kościoła do potrzebnej zmiany w obchodzie świąt; tylko przeciwnikom przypomniał względy duchowne, dla których chrześcijaństwo od początku związało Wielki Tydzień z paschą żydowską i Wielkanoc z pełnią: więc tyle sprawił tylko, że przeciwnicy uznali zarzuty swoje, — czysto świeckiej treści, — za mniej ważne od duchownych względów, którymi Kościół rządzi się w porządku swoich nabożeństw. Do samego Kościoła należy sąd, czy od swoich względów duchownych ma odstąpić wobec potrzeb społecznych.

Bieg wieków nie wykazywał takiej potrzeby, aż ją dostrzegli Marcin Luter ze współwyznawcami, którym przewodził Michał Maestlin[1]. Następcy ich, przy rozprawach nad poprawą kalendarza za Grzegorza XIII, wnosili myśl o zmianie już mniejszej: tylko stałej niedzieli żądali, jak np. przy święcie różańcowem, a nie dnia stałego, jak przy Bożem Narodzeniu[2].

W rozprawie stąd wynikłej nastąpił rozbiór ponowny syllogizmu, powyżej zestawionego; nieboznawcy sprawdzali pierwszą przesłankę a drugą teolodzy. Sąd o pierwszej przesłance wypadł oczywiście ten sam, którego żaden wiek nie zmieni, że mianowicie ani trójkątnego koła nikt nie nakreśli, ani nie ustali niedzieli zależnej od pełni. Za drugą przesłanką rozprawa przywiodła i powyższy wywód Augustyna i powagę soboru nicejskiego. Wówczas, przy zgodnem o uchwale nicejskiej świadectwie wszystkich wyznań chrześcijańskich, nie trzeba było co do owej uchwały

[1] Szczegóły u Kaltenbrunnera: *Die Vorgeschichte der Gregor. Kalenderreform. Sitzungsberichte der Wiener Akademie, philosophisch-historische Klasse,* 1876, tom 82, str. 409; tom 87, str. 516, 521.

[2] Kaltenbrunner: *Sitzungsberichte...* t. 82, str. 385, 403; t. 87, str. 569; Schmid: *Historisches Jahrbuch der Goerresgesellsch.* t. 5, str. 66.

sięgać po wskazówki do badaczy dziejoznawstwa: wystarczyło krótko nadmienić wyrok jednakowo wszędzie przyjęty. Nikt nie wierzyłby zarazem w Kościół nieomylny i razem przypuszczałby, że ten Kościół może z biegiem wieków powszechnie zapomnieć o własnej uchwale powziętej na soborze i mylnie zdawać z niej sprawę.

Po takim tedy sądzie o obu przesłankach, Rzym pozostał przy świętach ruchomych i powagę nicejskiego soboru za swoim wyrokiem przytoczył tak w bulli o naprawie kalendarza jak i w rubryce ksiąg liturgicznych: brewiarza i mszału; mianowicie: »Za wyrokiem świętego soboru nicejskiego powinniśmy obchodzić Wielkanoc w niedzielę najbliższą po pełni pierwszej od równonocni«.

Więc w szesnastem stuleciu Rzym jeszcze nie sądził, że wobec stosunków społecznych odstąpić już ma co do Wielkanocy od duchownych względów na treść tego święta i od uchwały nicejskiej.

Czwarte już odtąd schodzi stulecie; znajduje społeczeństwo w stosunkach zupełnie odmiennych, niż wieki minione; przynosi ze sobą pytanie, czy dzisiejsze potrzeby społeczne mogą jeszcze wytrzymać Wielkanoc ruchomą, czy wymagają już nieruchomej?

Za nieruchomą Wielkanocą przemawia wiele głosów, zebranych około berlińskiego profesora Foerstera. Główny to przeciwnik święta ruchomego i krzewiciel poglądu, że Kościół przez to święto wstrzymuje postęp nowoczesny i rozwój stosunków, godnych oświeconego społeczeństwa [1].

Inni spadkobiercy duchowni Marcina Lutra krzewią tę myśl gorliwie słowem i pismem. Na wyznaniowym zjeździe w Eisenachu r. 1900-go, pastorzy uchwalili jednogłośnie, że mają dążyć do dnia Wielkanocy stałego w końcu marca albo w początku kwietnia, aby stosunki życia społecznego nie mąciły niczem obchodu

---

[1] W Foerster: *Die päpstliche Sternwarte und die Kalenderverbesserung, National-Zeitung*, 14 sierpień 1896. — *Das neue Jahrhundert und die Unifikation des Kalenders, Hamburgische Wochenschrift für deutsche Kultur »der Lotze«*, rok I, zesz. 23, str. 753. — I. B. Achatz: *Beilage zur Augsburger Postzeitung*, 11 sierpień 1897, liczba 46.

Zmartwychwstania. Inni wnoszą, żeby ustalić to święto na niedzielę pierwszą od równonocni, inni wolą drugą niedzielę, inni trzecią, inni inną.

I w Kościele Powszechnym znalazła ta myśl zwolenników. Ci z nią zwrócili się do Rzymu, aby pozyskać dla niej Leona XIII. Dostali od kilkunastu lat odpowiedź, że nieboznawcy watykańscy zbadają rzecz zawodowo.

Jak słusznie taką Rzym dał odpowiedź, okazuje się stąd, że przeciwnicy świąt ruchomych zdradzają zwłaszcza w pojęciach astronomicznych, nawet w początkowych, zamęt myśli trudny do wiary. Wystosowali prośbę przeciw wnioskowi, że niedziela wielkanocna musi być ruchoma; spostrzegli, że przy prośbie przeszkadzają im dwie przesłanki, z których wynika wniosek; zatem musieli osłabić choć jedną przesłankę, aby usunąć wniosek i przeszkodę do prośby. Otóż postanowili drugą przesłankę poddać pod rozbiór ścisły i zbadać w świetle dziejoznawczem, czy istotnie nicejski wyrok przywiązał wielkanocną niedzielę do pierwszej pełni wiosennej.

Któżby przypuszczał, że jeden ze zdolniejszych pisarzy utknie przy tym rozbiorze i dojdzie do wniosków jaskrawo mylnych, bo nawet tego nie pojmuje wyraźnie, co u nicejskich Ojców znaczy niedziela po pierwszej pełni wiosennej. Pisze o niej, jakby tyle pojął, że to któraś z pierwszych niedzieli po równonocni, bliżej nie określona na soborze, zostawiona do woli Kościołowi, aby tę niedzielę najbliższą po pierwszej pełni wiosennej zostawił błędną albo umieścił gdzieś w miejscu porządnem.

Z powyższem pojęciem bada uchwałę nicejską pisarz na początku przy nagłówku wymieniony dr. J. Schmid. Pracownik ten uczony popiera swojemi rozprawami różne czasopisma, zwłaszcza wydawnictwa słynnego Ehrharda. Główną pracę, wymierzoną przeciw ruchomej Wielkanocy, przedstawił jako dysertacyę inauguracyjną na wszechnicy fryburskiej. We wstępie do rzeczonej rozprawy wyznaje otwarcie, po co ją ogłasza, mianowicie: aby rozproszyć obawę, czy Ojcowie nicejscy nie ustanowili jakiej przeszkody ściśle określonej na drodze do zamierzonej obecnie zmiany w prawidle wielkanocnem.

Aby zbadać nicejską uchwałę, dr. I. S. sięgnął do dziejopisów starożytnych, zestawił z nich zbiór świadectw bogatszy od wszystkich dotąd spotykanych, przebrał je i zostawił tylko zupełnie wiarogodne, opatrzył je cennym przyborem uwag i sądów najnowszej bibliografii, kalendografii, archeologii, chronologii i dziejoznawstwa; choć wielu pisarzy jeszcze nie poznał, zdolnych rozwiązać zawiłe w tej sprawie zagadki, ale już uchwałę nicejską wyjaśnił, jak przed nim nikt, w szczegółach podrzędnych, a w głównej treści zaciemnił; bez nieboznawczych pojęć, choćby początkowych nie dostrzegł ze strony Ojców nicejskich przeszkody do zmiany w prawidle wielkanocnem.

2. Naukowa powaga Aleksandryjczyków a nienaukowy zwyczaj przedświętowców.

Przyznaje najprzód dr. I. S. powagę świadectwom [1], według których Chrystus Pan cierpiał w pierwszy dzień przaśników podczas pełni wiosennej, a w następną niedzielę zmartwychwstał; dalej, według owych świadectw, pierwsi chrześcijanie przestrzegali niezmiennie niedzieli tak oznaczonej i w tygodniu, kiedy Żydzi świętowali, chrześcijanie obchodzili Piątek Męki Pańskiej a w następną niedzielę: pamiątkę zmartwychwstania. Tak obchodził Wielkanoc wierny podaniu apostolskiemu rzymski Kościół wraz z aleksandryjskim, a z nimi inne [2], z wyjątkiem tylko chwilowym Kościołów w Małej Azyi. Tu niektórzy chrześcijanie za Wiktora papieża nie Mękę Pańską obchodzili w tygodniu świąt żydowskich i nie w następną dopiero niedzielę Zmartwychwstanie, ale razem z paschą starozakonną zaczynali święta wielkanocne na pierwszą pełnię wiosenną, w którymby dniu tygodnia ta pełnia nie wypadła: zupełnie po żydowsku [3]. Ci judeofile dostali nazwę Czternastodniowców, od dnia pełni: czternastego po nowiu [4].

---

[1] *Osterfestfr.* str. 15, 81.

[2] *Osterfestfr.* str. 76. — Sozomen. Migne, P. gr. t. 67, str. 1472.

[3] Sokrates. Migne, P. gr. t. 67, str. 629.

[4] Epifani. Migne, P. gr. t. 42, str. 217, 220.—Eusebiusz. Migne, P. gr. t. 20, str. 491, 492.

Przelotnie przez miejscową rozterkę naruszona w drugiem stuleciu zgoda zapanowała znowu powszechnie co do wielkanocnej niedzieli. A co ją utrzymywało? Sozomen odpowiada [1], że Kościoły obchodzą Wielkanoc tak, jak uczeni Egipcyanie w Aleksandryi, poparci zwierzchniczą powagą Rzymian.

Zgodnie ze Sozomenem dzieje świadczą o poważnej nauce Aleksandryjczyków; w ich wiedzy wskazują źródło, z którego czerpał odnowiciel kalendarza żydowskiego: Hillel. O tej powadze naukowej Egipcyan, skojarzonej z powagą duchowną Rzymu, zebrał dr. I. S. dość świadectw dziejowych [2], według których Aleksandrya Rzymowi, a ten wszystkim Kościołom w dobie przednicejskiej rozsyłał co roku okólniki z wykazem niedzieli wielkanocnej na rok następny. Swiadczą o tem sobór w Arles z roku 312-go, Atanazy, Sozomen, Kasian i inni [3].

Do jakiegoż wniosku prowadzi dotychczasowy rzut oka na obchód Wielkanocy u pierwszych chrześcijan?

Dziwne to, jak dr. I. S. ani słowem nie natrąca wniosku oczywistego dla wszystkich, że mianowicie była to Wielkanoc ruchoma, którą od apostolskich czasów obchodziły Kościoły w zgodzie powszechnej i co do której rządziły się wskazówkami uczonych Aleksandryjczyków, rozsyłanymi przez Rzym na całe chrześcijaństwo. Wszak o święcie nieruchomem nie potrzebuje chrześcijaństwo wskazówek co roku.

Wniosek ten nie wypada po myśli przeciwników Wielkanocy ruchomej; o nim dr. I. S. milczy zupełnie: nie nadmienia nic o święcie ruchomem, ani nie w nauce Aleksandryjczyków, opartych o Rzym, widzi źródło zgody między Kościołami co do Wielkanocy, tylko w Żydach widzi najprzód przewodników chrześcijaństwa przy obchodzie świąt a potem sprawców rozterki, którą uchylił sobór nicejski. Prócz przewodnictwa Żydów także wymienia dr. I. S. tabele wielkanocne, jako łącznik Kościołów przy zgodnym obchodzie świąt.

---

[1] Migne, P. gr. t. 67, str. 1472.

[2] *Osterfestfr.* rozdz. 11 i 12.

[3] Migne, P. gr. t. 26, str. 1354, 1358, 1421; t. 67, str. 1544. Collat. Patr. X, 2.

Nie można zaprzeczyć, — oświadcza dr. I. S.[1], — że chrześcijanie w pierwszem i drugiem stuleciu rządzili się podług Żydów z obchodem Wielkanocy. Skoro Żydzi pod koniec drugiego stulecia zaczęli wypuszczać z uwagi równonocnię, kiedy dobierali pełnię paschalną, zaraz zrazili chrześcijan do swojego systemu: Kościół chwycił się tabel wielkanocnych na początku trzeciego stulecia.

Przez te słowa dr. I. S. toruje czytelnikowi pochyłą drogę do mylnego sądu o uchwale nicejskiej, jakoby Sobór uchwalił tę właściwie zasadę, od której Żydzi odstąpili, mianowicie ustanowił Wielkanoc po równonocni; a ta zasada nie wymaga święta ruchomego, więc Sobór nie przeszkadza ustalić Wielkanocy.

Tu właśnie z braku początkowych pojęć astronomicznych dr. I. S. przedstawia bardzo niedokładnie wypadki, z których zdać jasno sprawę potrzeba, aby wyrozumieć myśl Ojców nicejskich.

Najprzód powinienby dr. I. S. dokładnie powiedzieć, że Kościół sam miał własny sąd o niedzieli wielkanocnej, a nigdy sądem Żydów nie rządził się, jakoby naukowa powaga, tylko w niejednym kraju korzystał ze Żydów z ich świętami, aby z nimi obchodzić Wielki Tydzień, póki wiedział od swoich znawców, że Żydzi zgodnie z niebem wyznaczają pełnię paschalną. Najprostszem to było dla niezliczonych chrześcijan, na których z ubóstwem ciężyła troska o chleb codzienny, a nie o naukę nieboznawców. Rozproszeni między narodami zarówno jak Żydzi, widzieli ich święto przaśników, a wiedzieli z poważnych ust, że to święto wypada na pierwszą pełnię wiosenną któregobądź dnia w tygodniu, że na ten sam tydzień wypada pamiątka Męki Pańskiej, a na następną niedzielę Wielkanoc. Korzystali tedy ze wskazówki w świętach żydowskich, póki mieli za nimi rękojmię: powagę, która wydawała własny sąd o świętach przaśników: znajdowała je obchodzone w czasie właściwym po drugą połowę stulecia drugiego, a później orzekła, że nie mogą chrześcijanie spuszczać się na pełnię żydowską.

---

[1] *Osterfestfr.* str. 14.

I o tę rękojmię, — o naukę Egipcyan opartych o Rzym, — potrącił dr. I. S. gdzieś przypadkiem i przytoczył o niej dziejowe świadectwa, ale tam milczy o niej, gdzie właśnie z niej pada światło na główny wątek wywodów. Tam mówi tylko o Żydach. I tylko czytelnik uważny zada tam pytanie: skąd chrześcijanie wiedzieli dawniej, że mogą spuszczać się na pełnię, przestrzeganą wtedy u Żydów jeszcze poprawnie przy obchodzie przaśników? Skąd dowiedzieli się później, że już nie mają w Żydach rękojmi co do pełni, obieranej przez nich do paschy?

Wszak chrześcijanie ówcześni, w stuleciach drugiem i trzeciem, przeciętnie nie znali się lepiej na ruchu ciał niebieskich, niż dziś ogół chrześcijaństwa. Dziś widzimy, mimo postępu oświaty, że prawie nikt prócz rzeczoznawców zawodowych nie zna biegu gwiazd dostatecznie, aby pod koniec zimy zauważyć po słońcu i księżycu, czy pełnia następna jeszcze wyprzedzi równonocnię czy dopiero po niej nastąpi; wie o tem ogół chyba od rzeczoznawców i z kalendarza, przez nich wydanego. Czyż pierwsi chrześcijanie znali takie szczegóły bez rzeczoznawców, poleconych im przez wyższe powagi kościelne? Czy przeciwnie musieli posiadać takich rzeczoznawców i od nich wiedzieć, kiedy mogą spuszczać się na Żydów z ich pełnią, a odkąd potrzebują dokładniejszych wskazówek?

W jednym chyba wypadku byłoby dla chrześcijan możliwem wiedzieć bez rzeczoznawców o pomyłce żydowskiej, ale wypadek ten nie zaszedł.

Żydzi nie naukę swoją o dniach przaśników zmienili, ani nie od dawnego prawidła odstąpili co do paschy, tylko stracili zdolnych wykonawców mojżeszowego przepisu, a w zasadzie tak samo jak chrześcijanie wyglądali pierwszej pełni wiosennej do obrzędowych swoich obchodów.

Gdyby Żydzi odeszli od zasady spólnej z chrześcijanami co do pełni wiosennej, wtedy co roku w czasie przaśników jawnie okazywaliby się wyznawcami jakiejś zasady nowej, a odstępcami od starozakonnego prawidła; wtedy zwierzchnicy Kościołów, zawodowo obeznani z księgami Mojżesza i prawem paschalnem, przestrzegliby się wzajemnie i wezwali wiernych do obchodu

świąt zgodnie z mojżeszową ustawą, a niezależnie od Żydów. Ale duchowni zwierzchnicy Kościołów widzieli ciągle Żydów zachowawczych we wszystkiem aż do martwoty i wiernych słowom Mojżesza: więc nie mieli czem zrażać się od nich w zasadzie a nieobeznani z niebem nie zdołali ocenić, jak Żydzi zgodnie czy nie zgodnie z zasadą wybierają pełnię na paschę. Przecie Żydzi zwrócili na siebie uwagę chrześcijan przez paschę obchodzoną na pełnię nie zawsze właściwą: widocznie spotkali śród chrześcijan czujne oczy nieboznawców.

Przed powyższym wywodem uchyla się dr. I. S. przez twierdzenie, jakoby Żydzi rzeczywiście odstąpili od przepisów Mojżeszowych świadomie i ze zasady[1]. Za tem twierdzeniem dr. I. S. nie przytoczył niczyjego świadectwa, a przeciw niemu świadczą dzieje Hillela. Przypomnieć tu wypada ich treść.

Żydzi, zarówno starożytni jak spółcześni, pierwszym chrześcijanom z bezpośrednich spostrzeżeń corocznie zapowiadali dzień pełni wiosennej; przyznaje to dr. I. S.[2]. Do tej czujnej straży nad niebem zmuszał Żydów kalendarz Mojżeszowy, — oparty na doświadczalnem nieboznawstwie nierównie więcej, niż nasze dziś kalendarze. U Mojżesza księżyc przez swoje zmiany służy za główną miarę czasu: wyznacza początek miesiąca dniem nowiu a zaczyna rok tym miesiącem, który większą częścią wypada po równonocni wiosennej a przynajmniej schodzi się dniem pełni z dniem równonocnym. Dziś Żydzi zaczynają rok świecki z miesiącem jesiennym, — po staro-egipsku, — ale obrzędowy rok swój po dawnemu liczą od wiosny.

Taki ustrój kalendarza wyrabiał czujnych nieboznawców w Jerozolimie, którzy na cały kraj rozsyłali Żydom wskazówki o świętach. Najbardziej w ostatnich miesiącach zimy musieli uważać, aby po słońcu i księżycu poznać, kiedy wypadnie pierwszy miesiąc nowego roku, zwany Nizaan, a u polskich Żydów kwiecień: bo ten ich kwiecień wypadał w niektórych latach po dwunastym miesiącu poprzedniego roku, w innych latach po trzy-

[1] *Osterfestfr.* str. 14.
[2] *Osterfestfr.* str. 9—12.

nastym. Pochodzi to stąd, że między dwiema równonocniami pełnia zachodzi albo dwanaście razy albo trzynaście. Zatem rok wytyczony dwiema równonocniami bywa dwojaki; zwykły kończy się z dwunastym miesiącem, zwanym Adaar, a u polskich Żydów Marzec; przestępny rok ma miesiąc jeszcze trzynasty: Weadaar albo u polskich Żydów Marczyk. Marzec żydowski wypadał jeszcze w ciągu zimy; następny miesiąc mógł albo jeszcze na koniec zimy większą częścią przypadać, a dopiero mniejszą na początek wiosny, albo przeciwnie już po równonocni upływać większą częścią, a przynajmniej połową. W pierwszym razie, kiedy większą częścią należał do zimy, wtedy jako Marczyk liczył się do starego roku. W przeciwnym razie, kiedy już do wiosny należał większą częścią albo przynajmniej dniem pełni zbiegł się z równonocnią, wtedy liczył się już jako kwiecień do roku nowego.

Zatem z końcem marca Żydzi dobrze musieli rozglądać się po niebie, aby rozeznać po słońcu i księżycu, ile od następnego nowiu zabraknie dni do równonocni. Jeżeli miało brakować jeszcze więcej niż czternaście dni, tedy dopiero po pełni miała nadejść równonocnia, miesiąc następny wypadał jeszcze zimowy, — Marczyk, — i rok był przestępny. Jeżeli po nowiu miało braknąć do równonocni tylko czternastu dni albo mniej, tedy na samą pełnię miała nadejść równonocnia albo pełnię wyprzedzić, zatem następował miesiąc już wiosenny, — kwiecień, — i kończył się rok zwyczajny.

Otóż Żydzi po ostatecznej zagładzie Jerozolimy, rozpędzani między narodami, ledwo do końca stulecia drugiego przechowywali tu i owdzie jakiegoś niedobitka z pomiędzy znawców, który jak dawniej przy świątyni badał stan nieba i umiał wstawiać Marczyk poprawnie. Stracili wkońcu wprawnych spostrzegaczy, nieraz zaczynali kwiecień przed czasem i jedli przaśniki na pełnię jeszcze zimową.

Otóż dzieje kalendografii świadczą, że przedstawiony zamęt w kalendarzu trapił Żydów i kazał rabinom troskliwie oglądać się za nieboznawcą, zdolnym uporządkować kalendarz. Natężone ich zabiegi trwały bez skutku dziesiątki lat, nim doczekały się Hillela.

Tych szczegółów dr. I. S. niema na oku; nie zdaje sprawy z uchwytnych przeszkód, które niewprawnych badaczy nieba wprowadzają w błąd, nie dają spostrzedz pełni właściwej. Czytał dr. I. S., że coś się zmieniło z kalendarzem żydowskim; za pewnik przyjął, że Żydzi zmienili mojżeszową zasadę.

Otóż, nim Żydzi doczekali się upragnionego Hillela, za nimi z ich rozstrojem co do kalendarza poszła cząstka chrześcijan w patryarchacie antyocheńskim. Ci zachowawcy bezwzględni do świętych obowiązków zaliczali wzgląd na święta żydowskie, z którymi zżyli się od lat niepamiętnych. Słyszeli od innych chrześcijan, że zwyczajowy wzgląd na Żydów powstał przypadkiem przy zgodzie kalendarza żydowskiego z niebem, ale że słońce i księżyc rozstrzygają ostatecznie o dniu święta, nie wzgląd na Żydów: więc że odkąd rabini nie umieją wstawiać Marczyka, odtąd nie na Żydów trzeba zważać bez względu na niebo, tylko na niebo bez względu na Żydów.

Przyciskani tym zarzutem judeofilscy zachowawcy nie dali się przekonać: wynaleźli na swoją obronę za świadectwem Epifaniego ustęp z ksiąg, zwanych Didascalia[1]. W innych źródłach nie przechowany ten ustęp zawiera słowa rzekomo apostolskie, żeby chrześcijanie »nie obliczali, a świętowali, kiedy obrzezani świętują; po nich zaraz trzeba świętować; chociaż zaś są w błędzie, niema o co dbać (κἂν δὲ πλανηθῶσι, μηδὲ ὑμῖν μελέτω)«.

Jeżeli te słowa pochodzą od apostołów, tedy nie o kalendarskich błędach Żydów mówią, bo w te błędy Żydzi wpadli w sto lat po apostołach. Zatem apostołowie mogli mówić o błędach co do wiary i zarządzać, żeby prosty naród chrześcijański nie trapił się nieboznawstwem, ale poznawał po świętach żydowskich, kiedy ma świętować, ani pod tym względem nie bał się Żydów, choć ci nie wierzą w Mesyasza.

Oczywisty to anachronizm poddawać apostołom słowa o błędach kalendarza żydowskiego: przecie judeofile antyocheńscy, — Epifani dodaje: — dosłownie brali ów ustęp, a nie rozumieli myśli apostolskiej. Pozostali tedy przy Żydach, ale całkiem odosobnieni,

[1] Διάταξις, Διαταγαὶ τῶν ἀποστόλων. Migne, P. gr. t. 42, str. 356.

bo wszystkie Kościoły gromadnie odstępowały od zwyczajowego względu na Żydów, a liczyły się z niebem: zgodne z Rzymem i Aleksandryą w apostolskim zwyczaju co do pełni wiosennej [1].

Tak Żydzi zatracili po przodkach nie zasadę, tylko sposób, w jaki przodkowie oznaczali pełnię pierwszą po równonocni. Podobnie Antyocheńczycy nie zmienili zasady Kościoła Powszechnego o związku Wielkanocy z pełnią pierwszą po równonocni, tylko o tej pełni dowiadywać się chcieli w sposób dawny, — ze świąt żydowskich, — a nie w sposób naukowy od nieboznawców. Zatem nieraz ze Żydami brali zimową jeszcze pełnię w pierwszą już wiosenną i wcześniej o miesiąc przed całym Kościołem świętowali Wielkanoc. Stąd dostali nazwę Przedświętowców (Πρωτο na σχῖται).

Powyższa tedy treść sporu poróżniła Przedświętowców z Kościołem Powszechnym, nim Żydzi doczekali się nakoniec Hillela.

Niepośledni ten nieboznawca nabył głębokiej wiedzy podobno od Aleksandryjczyków i spełnił nadzieje, w nim pokładane, z wielką chwałą swojego narodu. Zestawił tak pomysłowo biegi księżyca i tarczy słonecznej, że aż do dziś, po półtora tysiąca lat, Żydzi według jego prawidła wstawiają Marczyk zgodnie ze stanem nieba i dopiero wtedy zaczynają swój kwiecień, kiedy od nowiu do równonocni brakuje mniej niż czternaście dni.

Zapał, z jakim Żydzi natychmiast i powszechnie przyjęli wspaniałe dzieło Hillela: to jeszcze raz wymowny dowód, że im ciężyła rozterka między zasadą a pełnią paschalną, przedwcześnie wyznaczaną nieraz przez nieudolnych kalendografów.

Nie prędko przyszedł Hillel dla Żydów i za późno dla Przedświętowców. Ci, choćby się Żydów trzymali po Hillelu, widzieliby już u nich paschę w miesiącu wiosennym: więc i z niebem zgodnie i z Kościołem całym razem obchodziliby Wielkanoc. Rozterki w tej sprawie już nie byłby zastał Sobór i nie byłby wydał wyroku o Wielkanocy w Nicei.

Powyższy przebieg wypadków przedstawia, że istniał jakiś

---

[1] Sokrates. Migne, P. gr. t. 67, str. 540, 624, 629; Sozomen. Migne, P. gr. t. 67, str. 1356, 1470.

związek między Żydami a Wielkanocą chrześcijan przednicejskich, ale zupełnie w całej istocie swojej różny, niż dr. I. S. podaje.

A więc:

1) Za uczoną Aleksandryą, opartą o Rzym, szły wszystkie Kościoły przy zgodnym obchodzie Wielkanocy, a nie za Żydami, jako powagą najwyższą.

2) Nie za jakąś zmianę systemu co do paschy odraziły się od Żydów wszystkie Kościoły, tylko za ich pełnię, niepewną według sądu nieboznawców.

3) Nie o odstępstwo od zasad co do pełni wiosennej oskarżały Przedświętowców wszystkie Kościoły, ale o przedawniony sposób, w jaki Przedświętowcy stosowali zasadę.

4) Nie o to tylko toczył się spór, aby zabezpieczyć Wielkanoc po równonocni, ale także, aby przedwielkanocną pełnię zabezpieczyć po równonocni wiosennej.

5) Nie o jakiejś Wielkanocy, zawisłej tylko od równonocni, miał rozstrzygać wyrok nicejski; taka Wielkanoc nie wymagałaby niedzieli ruchomej; — ale miał pogodzić przeciwników, zgodnych w zasadzie, że Wielkanoc zależy od pełni, poróżnionych tylko co do sposobu, jak trzeba poznawać pełnię wiosenną i z tą sprawą pełni czekała na wyrok nicejski.

(C. d. n.).

Ks. K. Czaykowski.

TYP LITERACKI BROWNINGA I HAUPTMANNA.

Są imiona w literaturze, które stawszy się stałymi terminami na pewne najogólniejsze typy ludzkie, powtarzają się w niej częstokroć, choć za każdym razem ich ogólna treść ulega znacznym przeobrażeniom pod wpływem tak ducha czasu, jak i indywidualnych właściwości talentu poety czy pisarza. Don Kiszot i Prometeusz, Don Juan i Faust, ile razy pojawią się w powszechnej literaturze, oddaleni są od siebie całą przepaścią pojęć, jakie się wytworzyły z biegiem czasów i całą głębią myśli, podsuniętych pod te szablonowe typy, a zależnych od osobistości pisarza. Do szeregu tych imion przybyło w ostatnich czasach jedno jeszcze imię Pippy, wiotkiego włoskiego dziewczęcia. Wprowadzone w literaturę poraz pierwszy przez Roberta Browninga w r. 1841 w dramatycznym poemacie: *Pippa passes* (»Pippa przechodzi«), powtórzyło się po 65 latach w fantastycznym dramacie Gerharta Hauptmanna: *Und Pippa tanzt.* Lecz z jakże zmienioną treścią! I nic dziwnego — przez te pół wieku, między dwiema fazami »Pippy« przeżyło się tyle kierunków umysłowych, dokonało się tyle zmian w duchowym nastroju Europy, odbyła się tak intenzywna ewolucya w kierunku postępu na wszystkich polach myśli ludzkiej, że dawna »Pippa« może się wydać przy dzisiejszej naprawdę anachronizmem, (jeżeli wogóle przy dziełach ludzkiej myśli można mówić o anachronizmach).

O tym poemacie Browninga i o jego stosunku do utworu Hauptmanna chciałbym powiedzieć słów parę, tembardziej, że

kiedy dramat Hauptmanna u nas tłumaczono i grano, o Browningu, o ile wiem, prócz wzmianki p. Kasprowicza w »Poetach angielskich«, który również tam zwrócił uwagę na identyczność tytułów, nie wiadomo u nas nic. Zresztą i Europa wogóle niedawno dowiedziała się o nim, bo niedawno też raczyła się o nim dowiedzieć Anglia, która go ignorowała zupełnie prawie przez cały ciąg jego długiego życia (1812—1889) lub traktowała tylko jako męża Elżbiety Barret-Browning, ulubionej poetki angielskiej koło połowy XIX w. Dopiero na kilka lat przed jego śmiercią rzucono się w ojczystym kraju Browninga do jego dzieł i zaczęto go wynosić, jako wielkiego poetę, w sposób przesadny. W ślad za tłumnym szeregiem zwolenników podniosły się głosy opozycyi, które odmawiają Browningowi wszelkich praw do artyzmu, ograniczając jego znaczenie tylko do wartości filozoficznej jego myśli. I jedni i drudzy nie mają racyi ostatecznej; mimo protestów jest Browning niezaprzeczenie wielkim poetą, choć nie tak wielkim, jakimby go chcieli widzieć jego zwolennicy, jest nim, mimo wielu wielkich wad, choćby dla swojej ogromnej indywidualności, która właśnie prowadzi do owych nieuzasadnionych sądów *pro* i *contra* i do dzisiaj niepozwala jeszcze na jego jasną syntezę.

Mimo całej swojej oryginalności Browning wyszedł z romantyzmu tak, jak cała literatura angielska lat 1830—50, była tylko dalszą jego ewolucyą, nie reakcyą. W r. 1832 umiera Walter Scott, widzialna głowa romantyzmu — w rok potem ukazuje się »Pauline«, pierwszy utwór Browninga, który wraz z Tennysonem będzie prowadzić przez następny okres angielską poezyę. Ale o ile Tennyson przejął z romantyzmu to wszystko, co stanowiło formę zewnętrzną, więc przedewszystkiem uwielbienie dla średniowiecza, które wydało najpiękniejszy owoc w jego opracowaniu podań o rycerzach okrągłego stołu w »Idylach królewskich«, — o tyle Browning sięgnął głębiej w wewnętrzną treść romantyzmu i z jego nieokreślonych liberalnych dążności i porywów zaczął wyprowadzać konsekwentnie idee, bliższe życiu niż to było za czasów Byrona, często niemal polityczno-społeczne programy. Stąd też najżywszą sympatyą a pośród romantycznych swoich poprzedników okazuje on — przez poświęcenie mu swego pierwszego dru-

kowanego utworu — Shelley'owi, któremu do wypowiedzenia szczegółowego, na zimno obmyślanego politycznego programu, opartego na najradykalniejszych zasadach, przeszkodziła tylko jego rozwichrzona artystyczna natura i poczucie piękna. Później, pod koniec życia, gdy po doświadczeniach przebytych zrozumiał stosunek idei do życia realnego, śmiał się z swoich młodzieńczych zapałów, choć chciał swój pierwszy utwór jeszcze przerabiać; teraz jednak w tym pierwszym okresie jego twórczości, w którym »Pippa przechodzi« zajmuje tak wybitne miejsce, unosi się nad całą jego poezyą ten duch romantyczny. Przyczyniło się do tego wiele wychowanie w domu rodzinnym, gdzie ojciec, idealista, czytywał z nim godzinami średniowieczne kroniki tak, że Browning znał jak najdokładniej historyę tych czasów i umiał np. wyliczyć wszystkich książąt włoskich w okresie walk Gibelinów z Gwelfami. Czasem i to, co stanowiło istotę romantyzmu Waltera Scotta lub Southey'a, umiłowanie czasów dawnych dla nich samych, pokutuje jeszcze w Browningu; świadczą o tem »Cavalier Tunes«, piosnki, układane dla stronników nieszczęśliwego Karola I, bez żadnych epicznych ram nawet, świadczy i to, że pomysły swoje filozoficzne, programy etyczne ubierał w szaty średniowiecznych zdarzeń i opowiadań.

Czuł jednak dobrze fałszywe strony romantyzmu i wyśmiewał się z nich np. w »Ucieczce księżnej«, która ucieka przed mężem, wprowadzającym w życie wszystkie średniowieczne zwyczaje, od ubioru począwszy, a najdotkliwiej rozprawia się z nimi w »Rękawiczce«. Do treści ballady Schillera, uznanej przez Mickiewicza za godną swego przekładu, dodaje Browning dalszy ciąg— owa biedna Kunegunda czy Marta, skarży się przed Piotrem Ronsardem, który rzekomo opowiada całe to zdarzenie, skarży się nie na swój policzek od rękawiczki, lecz na opuszczenie przez rycerza, który tyle razy przysięgał, że gotów dla niej śmierć ponieść, — a gdy zachciała wziąć za prawdę jego przysięgi, opuścił ją w tak haniebny sposób. Potem — oznajmia nam Piotr Ronsard — poszła za jakiegoś mieszczanina i była bardzo szczęśliwa. I Browning ma zupełną racyę w dodaniu tego śmiesznego dalszego ciągu. Romantyzm kochał się w geście, choćby za nim

nie było żadnej treści, w geście, z którym »rycerz jej w oczy rękawiczkę rzucił«, z którym rzekł słowa: »Pani, twych wdzięków nie trzeba mi wcale« i »poszedł i więcej nie wrócił«, a który doczekał się tak przepysznej apoteozy w »Cyranie de Bergerac«; romantyzm malował bajecznie piękne kasztelanki i opowiadał o bajecznych cudach dzielności rycerzy, a nieprawdę tych stylizowanych postaci tłumaczył dawnymi czasami. Browning, który stał bliżej tych czasów, niż wielu romantyków, nie godził się z takiem fałszywem ich pojmowaniem i dlatego musiał odrzucić wiele rzeczy z romantyzmu, dziedzicząc po nim głównie tylko rozbujały indywidualizm i w ślad za tem idące liberalne dążenia.

Rozwiodłem się nieco dłużej nad stosunkiem Browninga do romantyzmu, bo jest to konieczne do zrozumienia utworu, o który nam chodzi. *Pippa passes* jest może jednym z najwięcej sięgających swą treścią w duszę poety utworów i dlatego nie jest ten dramat oderwanym dla samego siebie istniejącym faktem literackim, lecz przeciwnie zostaje w ścisłym związku tak z tem, co go poprzedziło, będąc niemal konieczną tego ewolucyą, jak i z całym szeregiem następujących po nim bezpośrednio dzieł Browninga. W stosunku do tych ostatnich bowiem jest »Pippa« niejako programem, którego ogólną ideową treść przenosi poeta na poszczególne etyczne zagadnienia. Dopiero w świetle tego zrealizowania programu, można dojść do prawdziwego, jasnego zrozumienia symbolu »Pippy«, którego poeta nie zdołał dość wyraźnie zarysować — że zaś równocześnie można na tych utworach poznać rozwój powolnej przemiany zasadniczych idei Browninga, przeto chcę w kilku przynajmniej słowach scharakteryzować ogólnie cały pierwszy okres jego twórczości, pozostawiając szczegółowsze omówienie »Pippy« na koniec.

Rzeczy, pisane przed r. 1841 nie posiadają wielkiej wartości artystycznej, nie ma jej ni hołd, oddany Shelley'owi w »Paulinie«, ani dramat historyczny: »Strofford«, mimowoli nastrojony na ton romantyczny, ani duży epiczny poemat, z czasów ostatnich walk Gibelinów włoskich: »Sordello«, ciemny i niezrozumiały, ośmieszony aż nadto w charakterystycznych anegdotach z powodu swej

niejasności. Najlepszym jest może dramat »Paracelsus«, pierwsze z ogniw ideowego łańcucha, wiążącego całą twórczość Browninga.

Po tych kilku niepewnych krokach, niezapowiadających jeszcze nic złego, co miało nastąpić, zaczyna wychodzić od r. 1841 po r. 1846 szereg poematów, objętych wspólną, nieco dziwaczną, jak często u Browninga, nazwą: »Dzwony i jabłka granatu«, zainaugurowany utworem, który ma być głównym przedmiotem mojego studyum. W rozwoju artystycznym poety, stanowią one ważny etap — są dokumentem, jak Browning szukał długo odpowiedniej formy dla swoich myśli, jak ciągle trzymał się dramatu, który wcale nie leżał w zakresie jego talentu, aż wreszcie opuścił go, znalazłszy to, do czego tak usilnie dążył, w dramatycznym monologu. Taką formę mają »Dramatyczne liryki i romanse« (nr. 3 i 7), i tej to formie, która jest oryginalną własnością Browninga, zawdzięczają swoje powodzenie dwa szczyty jego twórczości: *Men and Women* (1859) i *Dramatis personae* (1864).

Nierównie większe znaczenie niż w zakresie formy ma naturalnie cała ta serya: *Bells and Pomegranates* dla obrazu duchowego rozwoju Browninga. Jest to ciągle jeszcze okres fermentu, przetwarzanie się nie tylko form, ale i treści wewnętrznej, okres krystalizowauia się nowego kierunku literackiego, nowych idei, nowego światopoglądu. »Dramatyczne liryki i romanse« wypełnia ciągła walka z romantyzmem, wciskającym się do poezyi Browninga bądź w postaci tematu, bądź nastroju czy rysunku tła, walka zakończona ostateczną porażką romantyzmu — zbiór bowiem tych właśnie drobniejszych utworów zamyka wspomniana wyżej »Rękawiczka«.

Inne numera tej seryi — to same dramaty. Nie tworzą one jakiejś jednolitej całości — niema w nich żadnego systemu etycznego, przeprowadzonego w szczegółach, w stosunku do społeczeństwa, do jednostki i t. d. Łączy je wszystkie przecież tasama wewnętrzna myśl, tasama idea czy raczej tensam nastrój. A jest nim bardzo pełne i wysokie poczucie czystości etycznej, dążenie do ideału z całej siły serca i duszy i co ważniejsza z gorącą wiarą w ten ideał, dążenie dla niego samego. Ta usilna chęć widzenia ludzkości bez plam, ludzkości idealnej, zdolnej do poświę-

ceń i szukającej szczęścia w czynieniu dobrze, wykwitła z czystej miłości bliźniego, usymbolizowanej w programowym dramatycznym poemacie: »Pippa przechodzi« (nr. 1). Że to uczucie miłości chrześcijańskiej było tylko dalszym etapem w rozwoju duchowym poety, — jest to zupełnie jasne. Z romantycznego liberalizmu, który miał raczej charakter rewolucyjny, przewrotowy, który nie zgadzał się na instytucye czy to kościelne czy to rządowe, wyciąga Browning to, co stanowiło właśnie najlepszą część tego prądu, dochodzi do jego istotnego źródła, od którego romantyzm dzięki swemu indywidualizmowi odbiegł tak daleko, — do bezwzględnej miłości. Swiatopogląd, rozwijający się na tym podkładzie, nosi na sobie zawsze do pewnego stopnia charakter romantyczny przez wysoki etyczny program i zasadnicze nieuznawanie zła jako konieczności. Fałsz, choćby użyty dla ocalenia narodu lub idei, nieprawe środki, choćby dla osiągnięcia najsprawiedliwszej zemsty, utrata czci i honoru, choćby z największej miłości, nie przestaje być grzechem dla Browninga, który nie uznaje okoliczności łagodzących i żąda za niego ekspiacyi.

I dla zadosyćuczynienia nie znajduje Browning nic innego, prócz śmierci. Dziś mówi się o takiem rozwiązaniu kwestyi: szablon — ale też dziś mówi się długo i szeroko o śmierci, jako o wyzwoleniu, o życiu szarem, jako o ciężarze i aż nadto wystarczającej ekspiacyi za winy często nie własne a odziedziczone, a Browning patrzy na śmierć znów raczej z romantycznego punktu widzenia. Dla niego nie jest ona tem koniecznem złem, przed którem zbiera dzisiejszych materyalistów strach, mimo całego zblazowania — dla niego niesie ona z sobą jakieś piękno nadziemskie, którego blask pada na ziemię w chwili uchylenia kotary, zasłaniającej wejście do innego świata. Browninga uderza przedewszystkiem mistyczny pierwiastek śmierci [1], (choć nie zastanawia się przynajmniej w tym okresie, nad jego stosunkiem do życia), a to nadaje śmierci w jego oczach charakter największego

[1] Bardzo pięknie i głęboko przedstawia to Browning w jednym z późniejszych utworów: »List Karshisha, arabskiego lekarza« *(Men and Women)* opisujący postać Łazarza po wskrzeszeniu.

»czynu« — stąd też śmierć jest u niego nie tylko symbolem ekspiacyi, ale i poświęcenia.

Śmierć więc pojawia się bardzo często w jego koncepcyach dramatycznych, jako ostateczne rozwiązanie. Od pierwszego zaraz utworu z tej seryi, od »Pippy«, przez wszystkie niemal dramaty, nawet w »Dramatycznych romansach« niekiedy, powtarza się ciągle ten motyw[1]. I tak ginie śmiercią samobójczą Djabal, który dla ocalenia swego narodu użył kłamstwa i głosił, że jest bogiem (nr. 4, *The Return of the Druses*), — daje się zabić dobrowolnie w pojedynku młody i piękny hrabia Mertonu, odpokutowując w ten sposób zakazany grzech miłości, a jego morderca, brat kochanki, płaci za zniszczenie szczęścia obojga również własnem życiem (*The Blot on the Sentcheor* nr. 5). Ginie i szlachetny wódz wojsk florentyńskich, murzyn Luria, który widzi, że marzeniom jego o poddaniu się Florencyi pod jego władzę staną na przeszkodzie różnice rasy i niechcąc ukochanego miasta narażać na złe skutki własnej ambicyi, poświęca dla niego życie (nr. 8, »Luria«). A poświęceniem i ekspiacyą zarazem jest śmierć króla Wiktora sardyńskiego (1731), ekspiacyą za dawne popełnione winy, za fałsze i intrygi, użyte dla podniesienia potęgi kraju, poświęceniem, bo koronę, którą po swej abdykacyi znów chce odebrać od syna, otrzymuje od tego zupełnie dobrowolnie. (Nr. 2, *King Victor and King Charles*).

Ostatni utwór z tej seryi jest może najciekawszy — jest to bowiem zastosowanie ogólnego programu do idei politycznej, a więc struny, która silnie dźwięczy w poezyi Browninga. Poeta powoli wydobywał się z więzów romantyczno-liberalnych przekonań i właściwie dopiero teraz, w kilka lat po wydaniu »Pippy«, zrozumiał zupełnie jasno daleki stosunek doktryny, choćby najrady-

[1] W jednym tylko utworze: »Colombe's Birthday« (nr. 6) nie spotykamy tego motywu. Poświęcenie głównej postaci, Walentyna, adwokata z miasta Cleve, znajduje tu inny wyraz: jest nim walka między miłością do księżny a pamięcią na poselstwo mieszczan, z którem na dwór przyszedł; księżna sama wyznaje mu miłość i opuszcza z nim stolicę, by żyć z nim w szczęściu gdzieś na samotnym zamku. Podobnie romantyczną treść mają wszystkie inne dramaty Browninga z tego okresu, do których temat czerpie on przeważnie z różnych starych kronik.

kalniejszy do praktyki życiowej, a tem samem i praktycznej etyki. Choć potem nieraz wraca do politycznych tematów, np. w »Starych obrazach we Florencyi« (1854), lub w satyrze na Napoleona III: »Książę Hohenstiel Schwangau« (1871), teraz stanowczy bierze rozbrat z doktryną w »Tragedyi duszy« (nr. 8, *The Soul's Tragedy* wraz z »Lurią«), jakgdyby charakterystycznie zamykającej seryę: »Dzwony i jabłka granatu«, a więc zamykającej proces rozwoju poety. A utwór ten posiada jeszcze większe w tym kierunku znaczenie, że był pisany w r. 1846, w czasie najgorętszych przygotowań do 48 roku, którym Browning przypatrywał się z blizka we Włoszech.

W pierwszej części tej »Tragedyi duszy«, pisanej wierszem, zawarta jest »poezya życia« niejakiego Chiappina, więc poświęcenie się jego, przyjęcie na siebie winy zamordowania prefekta za przyjaciela Luitolfa, który popełnił ten czyn w czasie kłótni, powstałej przy proszeniu prefekta o zniesienie wyroku wygnania na Chiappina, przywódcę radykalnej partyi w Faenzy, poświęcenie tem większe, że Luitolfo odebrał mu ukochaną jego Nulalię. Ale zamordowanie miało inny skutek niż przypuszczał Luitolfo i Chiappino. Lud staje po stronie sprawcy i obiera go za swego wodza — i z tem zaczyna się druga część »tragedyi duszy«, »proza życia« Chiappina, oddana prozą. Chiappino nie wyjawia nazwiska przyjaciela i zabiera dla siebie całą chwałę, co więcej, aby swoją władzę ulegalizować zgadza się na propozycyę legata papieskiego, Ognibena, by został profektem, naturalnie z pewnemi (pozornemi) ustępstwami na rzecz liberalnych zasad. Ogniben, wytrawny dyplomata, który ciągle się chwali, że znał dwudziestu trzech przewódców rewolucyi, trzymając wszystkie nici intrygi w ręku, doprowadza Chiappina prawie do tego, że ten godzi się na ewentualne skazanie sprawcy mordu śmiercią — i wtedy, ogłaszając amnestyę dla zabójcy i wywołując tem samem przyznanie się do winy Luitolfa, niszczy Chiappina. I gdy ten naturalnie oddala się dobrowolnie do Lugo, tam, gdzie nie chciał iść na wygnanie, legat wypowiada do zebranych rodzaj kazania na temat, jak z wiekiem zamierają w nas daleko sięgające zapędy i kończy

całą »tragedyę duszy« słowami: »Znałem dwudziestu czterech przewódców rewolucyi«.

Takim ironicznym uśmiechem z własnych ideałów, podobnym do tego, z jakim się żegna z romantyzmem, kończy Browning ten szereg poematów. I nie mógł dojść do innego rezultatu w okresie, w którym coraz jaśniej zaczął mu się przedstawiać i coraz wyraźniej krystalizować program, zawarty w pierwszym dramaciku. Tem więcej kończyły się i traciły na cenie jego polityczne idee, im więcej promieni płynąć zaczęło ku niemu od jasnej postaci Pippy, w którą on zaklął najwyższy ideał miłości. Jeden z krytyków Browninga, Chesterton, podnosi artystyczny smak poety, który wcielił tę miłość w wiotką postać dziewczęcia i nadał jej charakter najszlachetniejszy, obdarzając ją pierwiastkiem kobiecości, uważając ją niejako za odmianę *des Ewig-weiblichen*, pierwiastku, który nie działa przez czyn, ale przez dobroczynny wpływ słodyczy, która naokoło niej się unosi, jak złote pyłki słoneczne. I Pippa rzeczywiście nic nie działa — przechodzi tylko przez scenę, śpiewając dziwne piosnki i tylko z jej wpływu można się domyślać, czem ona jest naprawdę, że jest tą samą miłością, której pierwsze przebłyski przedzierają się przez ciemny jeszcze horyzont »Paracelsa«:

»W mem sercu miłość jeszcze nie umiała
poznać w ludzkości słabiuchnych początków
miłości, poznać, iż nawet nienawiść
jest tylko maską miłości«...

I jest Pippa tą samą miłością, którą Browning tak apoteozuje w *Christmas-Eve and Easter-Day*, w poemacie, bezpośrednio idącym po omawianej seryi, gdzie już zupełnie jasno skrystalizowała się jego zasadnicza idea. Stawia on tu tę miłość wyżej od piękna natury, sztuki i wiedzy, trzech rzeczy, które ukochał całą duszą — stawia ją wyżej, ją jedną uznając za motyw, dla którego żyć warto — a do miłości tej prowadzony krajem szaty Chrystusa.

Temu założeniu Pippy nie zawsze odpowiada wykonanie. Browning nigdy nie posiadał zmysłu do tworzenia wielkich

koncepcyi o jasnych liniach budowy i często zamiast jednolitej konstrukcyi dawał w swoich dramatach szereg epizodów. Taką samą budowę ma i »Pippa przechodzi«, tylko że tu jest taki układ więcej usprawiedliwiony, gdyż chodzi tu o wpływ Pippy na szereg zupełnie niezależnie od siebie stojących postaci. A całą akcyę rzuca poeta na tło Włoch, do których lgną tak angielscy poeci, w których mieszkał prawie do śmierci Byron, w których umarł Shelley i Keats i Walter Savage Landor, a które Browning ukochał tak szczerze za ich piękność i ich zapał ku wolności, że, jak spowiada się w wierszu: *De Gustibus* (w zbiorze: *Men and Women*), mógłby powiedzieć, jak królowa Marya po stracie Calais, iż, gdyby serce jego rozkroić, znalazłoby się tam jedno słowo: Włochy.

I w tych Włoszech, w miasteczku Asolo, w którem poeta spędził swój pierwszy pobyt w tym kraju, w ranek Nowego Roku rozmyśla Pippa, dziewczyna z przędzalni jedwabiu, jak spędzić ten jedyny wolny dzień w roku. Rozmawia z swymi ptakami i kwiatami, śpiewa do nich piosenki i postanawia pójść przyglądnąć się szczęściu czworga najszczęśliwszych w Asolo. I z piosnką na ustach przechodzi obok tych czworga, zamykając swojem przejściem przez scenę każdy epizod, — przechodzi nie domyślając się, jakie przepaści nieszczęścia i grzechu kryją się w tem szczęściu.

Ottima, zona starego Łukasza i Sebald, niemiecki wędrowny przy nim czeladnik (w pierwszym obrazie) zabili właśnie w tę noc męża Ottimy, który stał na przeszkodzie ich szczęściu i zapominają o swojej winie w upojeniu miłosnem bez trwogi, z którego budzi ich piosnka Pippy o Bogu na niebie — budzi ich, przynosząc wyrzuty sumienia i wstręt wzajemny do siebie i wywołuje żądzę zadosyćuczynienia, która według znanego Browningowskiego poglądu doprowadza ich do dobrowolnej śmierci. A Pippa idzie dalej i piosnką o miłości, która nie potrzebuje ni majątku ni sławy ni imienia, sprowadza spokój w duszę młodego francuskiego rzeźbiarza, Juliusza, któremu zazdrośni koledzy wyrządzili przykry żart, przywodząc go do małżeństwa z jakąś biedną grecką dziewczyną, Phene, którą ubierali bardzo bogato, i za którą pisali

czułe listy. Biedna Phene, która kochała Juliusza, zgadzała się w swojej naiwności na ten podstęp, aby tylko go pozyskać; teraz gdy po ślubie wszystko się wydało, Juliusz nie chce z nią żyć, gardzi nią, lecz pod wpływem piosnki Pippy pojmuje istotę całego zdarzenia i opuszczając Włochy, jedzie z Phene, której nie przestał kochać, na jakąś odludną wyspę grecką, żyć z nią w samotności i szczęściu. Po obrazie miłości kochanków i małżeńskiej następuje obraz miłości matki. Luigi, młody chłopak, idzie od matki w świat, aby morderstwem przynieść Włochom swobodę; jakże cierpi nad tem matka, że jej ukochany jedynak zginie, jakże jeszcze więcej cierpi nad tem, że on chce dokonać tego czynu. A Pippa, która przechodzi, nie przynosi tej ulgi matce, ani nie zmienia charakteru tej miłości — tu Browning ustąpił nieco na rzecz swoich liberalnych przekonań, na zamiar Luigiego patrzał jako na rzecz słuszną i piosnce Pippy kazał go wzmocnić w tem przedsięwzięciu, kiedy Luigi zaczął się chwiać na myśl o własnem szczęściu, gdyby został przy matce. Rozwiązanie tego epizodu nie odpowiada nastrojowi całego poematu i można je wytłumaczyć tylko tem, że Browning nie doszedł jeszcze do tego stadyum rozwoju, jakie widzieliśmy w *The Soul's Tragedy*.

Wreszcie na ostatniem miejscu miłość rodzinna, braterska, przedstawiona w postaci Monsignora, który przybył do Asolo po śmierci brata, aby uporządkować jego interesa. Tę miłość braterską kusi do złego intendent majątków brata biskupa, który dla zmarłego dopuszczał się wielu morderstw i gwałtów, kusi, domagając się oddania mu połowy majątków za niewyjawienie prawdy. »Czy mam pozwolić, byś dostał te wille i włości, ty złodziej i morderca, abyś mógł tymi środkami tworzyć nowych złodziejów i zbójców?« pyta biskup, tem bardziej, że brat miał dziecko, które podobno intendent miał zamordować. To dziecko żyje, — lecz jeżeli Monsignore zechce, kusi go znowu intendent, to, aby nie stracić majątku i sławy rodziny, można ją, tę dziewczynę, zręcznie usunąć, kierując na drogę prostytucyi przy pomocy niejakiego Bluphocksa. Bluphocks jest to Anglik — Browning, zostając jeszcze wciąż pod wpływem romantyzmu, nie wahał się rzucić obelgi w twarz swemu narodowi — Anglik, który występuje w jednem z inter-

mezzo, przedzielających poszczególne epizody, a służących mniej lub więcej bezpośrednio do objaśnienia akcyi, używany przez policyę austryacką do różnych szpiegowskich poleceń, do którego poeta stosuje zdanie z Pisma św.: »On każe słońcu świecić nad złym i dobrym«, zdanie, które w tem miejscu brzmi jak okrzyk największej wzgardy. Tego Bluphocksa proponuje jako pośrednika w haniebnym czynie intendent Monsignorowi, który niewiadomo czy się zawahał czy nie, bo w tejże chwili rozlega się jasny śpiew Pippy o tem, jak ona wszystko zna w naturze — i Monsignor woła straży, by związała nikczemnika, nie zważając na to, jakie skutki sprowadzi uwięzienie intendenta.

Tylko Browning popełnia tu ogromny artystyczny błąd — owem dziewczęciem, którem handlować chce intendent, jest właśnie Pippa. Że od razu urok jej postaci nie pryska, to tylko dlatego, że to oznajmienie pomijamy jako nieprawdopodobne, bo widzieliśmy ją tak długo jako powiernicę kwiatów i ptaków, jak gdyby sama była kwiatem jasnym i ptakiem śpiewającym słodkie piosenki, widzieliśmy ją tyle razy przesuwającą się przez scenę, jakby wcielony promień słońca, że jej mistyczny charakter rozwinął się przed nami w całej pełni. A teraz musimy sobie wyobrazić, że cięży na niej tyle zbrodni, gromadzących się w ciągu wieków na rodzinie Monsignora. I poco? Browning pewnie chciał w ten sposób ratować jakieś pozory jednolitości akcyi, podczas kiedy przez to właśnie skrzywił, skarykaturyzował jedyną piękną linię kompozycyjną w tym dramaciku.

Ale zapomnijmy o tem wszystkiem, o wszystkich przodkach Pippy, a przyjdzie nam to łatwo w uczuciu sympatyi, jaką mamy ku niej, i wróćmy z nią wieczorem późnym do jej izdebki. Wita się z swoimi kwiatami i rozbierając się do snu, opowiada im, jak spędziła dzień świąteczny. Była tem, czem być chciała — była i Ottimą i Phene i Luigi i Monsignorem, bo była najświętszym impulsem w ich duszach, który ich pobudził do szlachetnych czynów, miłością samą, nie zróżniczkowaną jeszcze w żadne specyalne odcienie, największą czystością, choć sama nie wie, jaki wpływ wywarła na tych ludzi. Browning z wielkiem poczuciem artystycznem każe jej zastanawiać się nad tem pytaniem, nie

pozwalając w ten sposób jej postaci rozpłynąć się zupełnie w mgle mistycznej allegoryi, a tylko podnosząc jej urok przez rzucenie na nią zaziemskiego odblasku. I kończy się dramat słowami hymnu, który Pippa odmawiała rano, że niema »wielkiego« lub »małego wyniku« jakiegoś czynu, — wszystkie zarówno kosztują wiele trudu, — »każda służba jest taką samą w obliczu Boga, Boga, którego lalkami jesteśmy wszyscy, czy najlepsi, czy najgorsi — tam niema ani ostatnich ani pierwszych«. Ale choć są to ostatnie słowa poematu, nie są to ostatnie stopnie idei, w nim zawartej — idea idzie wyżej nad te romantycznym demokratyzmem zabarwione słowa, podnosi się aż do tej cytaty: »On każe słońcu świecić nad złym i nad dobrym i zsyła deszcz na sprawiedliwego i niesprawiedliwego«, zawierającej istotną treść Chrystusowej nauki. Jeszcze niezupełnie świadomie jest dramat »Pippa przechodzi« głośnym, pełnym radosnego zachwytu okrzykiem na cześć bezgranicznej miłości.

Różnicę, jaka zachodzi między ogólnym charakterem utworu Browninga i dramatu Hauptmanna, określają już same tytuły, jest to różnica, która dzieli zwykły krok od wyuczonego kroku tanecznego, różnica między naturalnością a sztucznością. Chociaż nie taką różnicę miał Hauptmann na myśli, tworząc główną postać swego dramatu — rozwinęła się ona bez jego woli i mimo jego woli i wypłynęła tak z odmiennego pojęcia Pippy — jako symbolu, jak i z natury samego talentu Hauptmanna. Bo Pippa nie jest żadnym dalszym ciągiem owej wcielonej czystej miłości, bezgranicznej i bezprzedmiotowej, nie ulegającej wpływom żadnej epoki ni kraju, najgłębszej treści wewnętrznego życia — przeciwnie Hauptmannowska postać jest uosobieniem miłości, która stanowi treść życia zewnętrznego, miłości, pojętej jako objaw niemal fizyologiczny, o tem tylko zabarwieniu mistycznem, jakie może dać życie, pojmowane materyalnie, ale niezupełnie zrozumiane, życie jako podkład wszystkich zjawisk, do którego jeszcze nie zdołano dotrzeć. Pippa Hauptmanna jest również swojego rodzaju oświetleniem *des Ewig-weiblichen*, oświetleniem wywołanem przez nastrój dzisiejszych czasów, które niechcąc przypuścić poza świa-

tem pierwiastka nadzmysłowego, niezbadane i nieujęte jeszcze przez siebie potęgi żywiołów, czczą, jak niewolnik pana, bojąc się ich, korząc się przed ich siłą, a równocześnie wygrażając im i piętnując mianem złośliwych sił, demonów. Tego demonicznego charakteru dopatruje się Hauptmann za każdym objawem życiowym, w każdym pierwotnym impulsie. »Ja jestem upiorem i ty jesteś upiorem i cały świat jest upiorem« mówi stary Huhn do Pippy. I ten demoniczny pierwiastek jest treścią istoty Pippy, bo ta zmysłowa żywiołowa miłość, zaklęta w postać włoskiej dziewczyny, ma wybitny destruktywny charakter.

Widać to we wpływie, jaki wywiera na losy młodego czeladnika z hut szklanych, marzyciela-poety, Michała Helbriegla. Tylko, że tu znów w wykonaniu, jak Browninga, tak i Hauptmanna zawiodła, nie zawsze zręczna i pewna, ręka. Hauptmann po okresie wybitnego realizmu w poezyi, niejako prawem reakcyi przerzucić się chciał w świat romantyczny, ale poprzednio wdrożony w realistyczną rutynę talent nie mógł się zupełnie poddać nowym porywom i z wzajemnego zlania się tych dwóch sprzecznych prądów, powstało Hauptmannowskie jedyne arcydzieło: »Wniebowstąpienie Hanusi«, rzecz, która nie ma sobie równej, jeżeli chodzi o harmonijne połączenie pierwiastku realistycznego z t. zw. światem nadzmysłowym. Eksperyment taki nie zawsze jednak się nadaje i tak się też ma rzecz w dramacie: »A Pippa tańczy«, gdzie na karb właśnie realistycznego traktowania allegoryi trzeba złożyć nieszczęśliwy pomysł wprowadzenia ojca Pippy, włoskiego robotnika w hucie szklanej, Szubera, zabitego zaraz w pierwszym akcie w karczemnej kłótni i postać dyrektora huty, zakochanego w Pippie, z którym autor po pierwszym akcie naprawdę nie wie co zrobić, a ponieważ osoby, która odgrywa ważną rolę na początku sztuki, nie można potem pomijać, pokazuje go jeszcze raz w III akcie i niezręcznie i niepotrzebnie, bo dyrektor w towarzystwie tych wszystkich symbolów czuje bardzo nieswojsko.

I Pippa sama z początku zakrojona jest też realistycznie, chociaż już samo umieszczenie jej na tle szklanych hut (w tytule: »Baśń huty szklanej«), ziejących krwawym ogniem i mieniących się tęczami, załamanemi w kryształach szkieł, rzuca na nią dziwny,

mistyczny blask. W zjawisku o ognistych pasmach włosów zakochany jest stary wydalony z fabryki robotnik Huhn, zakochany jest i Michał Helbriegel — obaj jednak tworzą razem jedną całość. Huhn jest symbolem odwiecznego zmysłowego pierwiastku w ludzkiem życiu, Michał uosabia w sobie to, co jest pięknem życia, stroną wprost przeciwną żywiołowym impulsom ciała, poezyą. I między nimi dwoma zaczyna się walka o Pippę. Huhn kusi ją do siebie i zmusza do tańca przy dźwięku najprostszego instrumentu, okaryny, do tańca, który przedstawia gonitwę pierwiastku brutalnego pożądania za zmysłowem pięknem — z chatki w górach, dokąd porwał ją Huhn, ratuje ją Helbriegel, z którym dostaje się do chaty starca Wanna, patrzącego ze szczytu góry przez teleskop na wszystko, co się dzieje na ziemi. W spisie osób jest Wann określony, jako »mityczna postać« — i jest symbolem czasu lub wogóle wieczystej równowagi, unoszącej się nad wszystkiem i gwarantującej niezniszczalność, wieczne powtarzanie się życiowych zjawisk. A więc jest to sam Bóg, jakby się można domyśleć z jego niektórych powiedzeń i ze zdziwienia Pippy, że stary Huhn jest tak do niego podobny. Bo Huhn zawlókł się do chaty Wanna, w ślad za przedzierającym się Michałem z swoją kochanką — i w tej chatce następuje rozstrzygająca walka. Helbriegel pod wpływem zaklęć Wanna i symbolicznej małej, czarnej gondoli weneckiej, przeżywa cudowny sen o złotym pałacu, do którego klucze ma Pippa, pałacu szczęścia duchowego, czystej ekstazy miłosnej, ale mimo wszystko zwycięża pierwiastek fizyczny; mimo przestróg i zakazu Wanna, przy dźwięku okaryny, na której gra Michał, odkupiwszy ją od grajka z karczmy, na prośbę Huhna, umierającego z powodu zadanego mu przez Wanna ciosu, wśród podziemnego burzliwego drżenia ziemi, wśród ostatecznego rozpętania się żywiołów, tańczy Pippa po raz ostatni i kona. Kona i stary Huhn, a Michałowi odbiera Wann wzrok i wysyła go w świat z laską w ręku, ślepego nędzarza. Czy było to łaską z jego strony, by Helbriegel nie spostrzegł śmierci Pippy i wierzył ciągle, że ona idzie z nim razem? Nie, chociaż w duszy temu poecie będzie teraz wciąż jasno, to raczej z śmiercią Pippy skończyło się dlań szczęście, zgasło ziemskie słońce. Idzie on na że-

braczą tułaczkę, zapłaciwszy wszystkiem, co mógł oddać na ziemi, za jedną chwilę. »A Pippa tańczy« zamyka dramat Wann — zawsze i wszędzie.

Takim pessymistycznym wnioskiem odpowiadającym całości koncepcyi Pippy, kończy się Hauptmannowski dramat. Osiągnięcie szczytu szczęścia jest zarazem jego unicestwieniem, bo Hauptmann nie sądzi, abyśmy mogli pragnąć inaczej, silniej lub goręcej, jak tylko zmysłami, owego pierwiastka kobiecości, który przedstawia Pippa. I urok tej postaci silny jak śmierć, to też i śmierć przynosi. Jakże odmienną jest Pippa lat romantycznych, jakże wydaje się prostą ta dziewczyna z przędzalni jedwabiu, z pod której wiotkich rąk snują się gładkie i miękkie nitki, jak prawdziwa przędza szczęścia, wobec tej, oświetlonej tęczą blasków, drgającą za nierównemi falami płomienia. I czy nie piękniejszą? czy nie jest ona piękniejszą swoją ciszą i spokojem, głębią prostego uczucia, idealnem rozkochaniem się w naturze, nie pojmowanej jeszcze jako orgia żywiołów? I jest nam bliższą, mimo oddalenia epoki, swoją treścią, sięgającą głębiej w życie psychiczne, którego środkami mimo ciągłego wzrostu materyalizmu są zawsze jeszcze ideały i jest bliższą tem, co jest jedynym podkładem wielkich czynów, na jakie nas stać coraz rzadziej, — szlachetnym optymizmem.

Andrzej Tretiak.

PO ZWYCIĘSKIEJ WOJNIE.

(Dokończenie).

WIELKIE DIONYSIA.

Jaskrawe słońce wiosenne z przeczystego błękitu potopem światła oblewało tę niezmierną mnogość ludzi, odzianych w jasne, odświętne szaty. Przed olśniewającym blaskiem wieńce z bluszczu, winogradu i fiołków ocieniały im czoła. Wielu dla ochrony przed skwarnymi promieniami pozaciągało na głowy fałdy himationów; niektórzy mieli szerokie, krągłe kapelusze pilśniowe, zwane *petasos*, aczkolwiek była to jeszcze nowość mało używana.

Pierwsze siedzenia na samym dole amfiteatru zajęli archontowie i członkowie Arejopagu, wśród których ukazywano sobie Themistoklesa, Aristejda, Xantippa. W samym środku ławy, najpoczestniejsze miejsce zasiadł siwobrody kapłan Dionysosa, w pierwszych rzędach siedzieli również kapłani wszystkich innych bóstw. Pamiętano też o dostojniejszych gościach, między którymi widać było Pindara. Dalsze ław szeregi zajmowali zbitym tłumem atheńscy obywatele. Nie brakło miejsca i dla kobiet, prawo bowiem dopuszczało je na przedstawienia tragiczne; na komedye zaś, jako i wątkiem zbytnio swywolne i w słowach za śmiałe, płeć białogłowska wstępu nie miewała. Dla młodzieńców osobne były siedzenia, w miejscu zwanem *efebikon*. Ostatnie rzędy przepełniała liczna rzesza *metojków* czyli napływowej ludności, osiadłej bez pełnego prawa obywatelskiego, lecz pod opieką Rzeczypospolitej.

Wreszcie już poza obrębem teatru, w górze, na kamiennych zboczach Akropolu, pouczepiało się skał mrowie niewolników.

Od góry do dołu wszędzie gwarną wrzawą huczały rozmowy. Z ust do ust podawano sobie wieści nadeszłe świeżo z Bysantion. Wiadomo było, że Pausanias Kleombrotów na czele sprzymierzonej floty spartańskiej i atheńskiej zdobył wyspę Kypr i zajął Bysantion; lecz teraz o nim dochodziły najdziwniejsze słuchy, jakoby twardych obyczajów lakedajmońskich poniechawszy, perskim otaczał się przepychem, z perskimi satrapy w związki wchodził i o tyrannii dla siebie nad Bosforem przemyśliwał. Kupcy atheńscy, którzy z nad Hellespontu powrócili do miasta na świątki dionysejskie, takie wiadomości przynieśli. W Atheńczykach burzyła się krew, sarkali, że Lakedajmonowi nie na to zeszłego roku w pomoc posłano czterdzieści okrętów, by spartański wódz królestwo sobie własne zakładał. Najgorzej przeciw Pausaniasowi sierdził się Xantippos, Lakedajmońcom zawsze niechętny.

Tam znowu, w przejściu między rzędami siedzeń, rozmawiał Kimon z młodym rzeźbiarzem, Kalamisem, który osiadł był niedawno w Athenach.

— Z marmuru posąg bogini chcesz mieć? Miltiadów synu — pytał Kalamis.

— Z białego marmuru... i piękna niechaj będzie i uśmiechnięta, jakoby się właśnie z piany morskiej zrodziła.

— Chcesz ją w świątnicy której, alboli wewnątrz gmachu jakiego postawić, czy może pod niebem odkrytem?

— Na Akropolu stać będzie, nieopodal od wnijścia na grojec, Kalamisie. Lecz pomnij twarz jej dać na podobę siostry mej przyrodniej a małżonki, Elpinike, która mnie pięknością swoją i dobrocią od niechybnego więzienia wybawiła. Na tę pamiątkę nazwiemy boginię Afrodite Sosandra!

— Niedawno w Athenach mieszkam i nie widziałem twojej Elpinike — rzekł Kalamis.

— Masz ją tam oto, w pierwszym rzędzie białogłowskich siedzeń; widzisz tę trzecią z kraja, złotowłosą, z wiankiem fiołków...

— Tę, w białej szacie, obszytej purpurą?

— Tę właśnie.

— Twoja Sosandra podobna jej będzie, możesz tego być pewien, Kimonie.

Tymczasem w orchestrze kończono przygotowania do dalszej tragedyi, do *Persów*. Pomiędzy kolumny, zdobiące scenę proskenionu, zakładało kilku ludzi *pinakes*, czyli malowane tablice, na których pendzlem Agatharcha malarza wyobrażone były różnobarwne ozdoby na modłę perską; drudzy wynieśli okazały sarkofag z drzewa uczyniony, a na barwę kamienia pomalowany i zastawili nim jedne z trojga drzwi, prowadzących z budynku skenicznego na orchestrę, zaczem górną część podwojów nad sarkofagiem zasłonili, rozwieszając oponę z bogato wyszywanej tkanicy. Widzowie, zaciekawieni, żadnego ich ruchu nie spuszczali z oka, w rozmowach przeróżne snuli domysły o sztuce.

Równocześnie wewnątrz skeny ruch panował, jak w mrowisku. Piętnastu naraz choreutów przebierało się za starszyznę perską: wdziewali tedy na się długie, wzorzyste chitony, z pod których widać było dołem obcisłe, jaskrawe nogawice, owinięte rzemieniami sandałów. Ani na chwilę nie ustawała krzątanina. Ten oto przymocowywał sobie pozłocisty napierśnik, zwany *kolpema*, ów przepasywał się pstrym pasem, tamten spinał sobie na ramionach zwierzchnią szatę zielonawej barwy, sutą i powłóczystą. A gdy wszyscy byli już ubrani, jęli sobie nawzajem nakładać i przytwierdzać maski, które im zakrywały twarz i całą głowę nakształt hełmów. Były to misternie wykonane, poważne oblicza starców z boleśnie rozchylonemi usty i otworami na oczy. Z pod wysokich tiar z purpury i złota spływały na karki sploty siwych włosow, co łączyły się z przodu z kędziorami bród krętych i długich. Młodziuchny *koryfajos*, czyli przodownik chóru, wszystkich po kolei obchodził, odzież na nich poprawiając. Sam podobnie, jak inni, tylko wspanialej ubrany, maski jeszcze nie miał na twarzy. Cudny to był chłopiec, rosły i barczysty, choć jeszcze niespełna dwudziestoletni, o rysach prostych i tak szlachetnych, jakby z marmuru były kowane. Rzekłbyś, iż nie syn ziemi śmiertelny, jeno posąg Apollona niepojętą mocą jakąś ożywiony. Ukończywszy przegląd chóru, zwrócił się ku *doryforom*, czyli kopijnikom, którzy, jako milczący orszak, towarzyszyć mieli Xerxesowi.

Ci również, perskim obyczajem, spodnie mieli na sobie, a wierzchem krótkie, jaskrawe chitony; na głowach dźwigali mitry pilśniowe, naszywane żelaznemi blaszkami, przez ramię przewieszone łuki ogromne i kołczany, a w ręku dzierżyli włócznie.

— Wszystko już gotowe, Ajschylosie — rzekł piękny młodzieniec.

— Wdziewaj tedy maskę, synu Sofillosa; ja zaraz kończę się ubierać — odrzekł Ajschylos. Wyglądał on z wszystkich najdziwaczniej, albowiem, jako pierwszy aktor, czyli *protagonista*, grać miał rolę królowej-matki Atossy, a pod koniec tragedyi przedzierżgnąć się w samego Xerxesa. Koturny wysokie niemal na półtorej piędzi znacznie wzrost jego podnosiły. Stosownie do tego ramiona i tułów rozszerzone miał zapomocą wypchanej pierzem opończy. Od szyi aż po samą ziemię okrywała go ciemno szkarłatna szata niewieścia, zwana *syrmą*, z tyłu ciągnąca się sutym powłokiem, a z przodu tak długa, iż koturnów zgoła z pod niej widać nie było. Właśnie wdziewał maskę o wyrazie niewymownie bolesnym, a młody ów koryfajos na głowę zarzucał mu błękitną zasłonę, która obfitymi fałdy spływała na plecy i ramiona; z pod niej, nad czołem przebłyskiwała tiara złocista i sploty długich, siwiejących włosów. Drugi aktor, *deuteragonista*, miał naprzód wystąpić jako posłaniec przynoszący wieści: obwiązywał sobie tedy nogawice taśmami koturnów, ubrany zaś był podobnie jak orszak doryforów Xerxesowych, w krótki chiton, szerokim pasem w biodrach podpięty. Ale obok niego leżał, już do drugiej roli przygotowany, wspaniały strój królewski zmarłego Darejosa, który jako widmo z grobowca powstanie, zbudzony lamentem swoich satrapów.

Widzowie poczynali się niecierpliwić. Z efebikonu i najwyższych kręgów siedzeń huczał nawet głuchy pomruk niezadowolenia. Każdy wszelako pamiętał o przystojności, która już w krew ludowi atheńskiemu weszła była. A ktoby o niej zapomniał, temu przypomnieliby ją *mastigoforowie*, straż uzbrojona w bicze, pilnująca w teatrze ładu i spokoju.

Niebawem, na znak dany fletniami, zasiedli wszyscy na swoich miejscach i cisza niczem nie zamącona zaległa wpośród

nieprzejrzanych tłumów. Na środku orchestry, w krąg ołtarza stanął chór perskich starców: rozdzielili się na dwa półchóry i nawpół śpiewnie, melodyjnymi głosy poczęli sławić przemożną potęgę, z którą Xerxes wyruszył był na podbój Hellady. Wymieniali dziwne nazwy wszelakich barbarzyńskich ludów — i wodzów dumne imiona i dziwowali się, że z za morza nie przylatują wieści radosne, zwycięstwami brzmiące. Aż oto rozwarły się na ścieżaj środkowe podwoje pałacu i wyszła sędziwa królowa z gronem dworek. Pomiędzy starców zstąpił z Atossą lęk dławiący: wdowa Darejosa rozpowiada im, jaki okropny sen trapił ją dzisiejszej nocy i próżno chce odegnać mary złowróżbne. A potem starszyznę wypytuje, »gdzie na świecie ów atheński gród się mieści?« Poprzed chór wysuwa się poważnym krokiem leciwy koryfajos, by odpowiedzieć wspaniałej władczyni:

Na zachodzie, gdzie ostatnie gasną w morzu słońca blaski [1].

ATOSSA.

Skąd synowi memu żądza, gród ten brać do swojej łaski?

KORYFAJOS.

Kto Atheny wziął wielmożne, Hellas tego słucha cała.

ATOSSA.

Liczba mężów tam tak znaczna, że w nim żądza ta powstała?

KORYFAJOS.

Wystarczyła, by się Medom nieraz groźnie dać we znaki!

Widzowie drgnęli na te słowa i serca im żywiej zabiły. — Marathon! Marathon! — poszło stłumione szeptanie przez wszystkie ławy, a dostojna macierz Xerxesowa dalej pytała:

Czy w procarzy, czy w łuczników ten Hellady kraj dostatni?

KORYFAJOS.

Nie, oszszepem biją długim, piersi krągłą tarczą słonią.

ATOSSA.

Ale któż nad mężnym tłumem władną tam przewodzi dłonią?

KORYFAJOS.

Władcy nie zna lud nad sobą: wolny — pana nie uznaje!

[1] Przekład Józefa Szujskiego.

ATOSSA.

Więc bez pana i bez władcy, jakże bronią się te kraje?

KORYFAJOS.

Bronią tak, że raz już ongi zdruzgotały miecz Dariusza!

Grzmot oklasków runął po amfiteatrze. Wołaniom: *Autis! Autis!* końca nie było. Więc koryfajos, przyniewolon okrzykiem, powtórzyć musiał ostatni wiersz o tem, jak Atheny »raz już ongi zdruzgotały miecz Daryusza«.

Wtem, bocznem wejściem, od strony Lenajonu, wpadł zadyszany posłaniec. Wszystkim zdało się, że istotnie biegnie stamtąd, kędy poza pagórami Musajonu złociła się popołudniowem słońcem skrząca tafla morza.

O biada! miastom Azyi biada!
Biada Persyi bogatej!

wołał przerywanym głosem. Obstąpili go strwożeni starcy, królowa, jakby skamieniała bólem, wlepiła weń przerażone oczy, on zaś bezładnie mówił coś o klęsce okropnej i haniebnej, aż wkońcu wszystko zawarł w jeden rozpaczliwy okrzyk:

Wojska naszego już niema!

Chór oczy sobie zasłonił rękoma i przeciągłem zawodzeniem odjęknął:

Okropność! Okropność! Persowie,
Któż usty wypowie?!
Któż wypłacze oczyma?!...

POSŁANIEC.

Okropna prawda; nie z innych brałem,
Ale patrzałem, patrzałem, patrzałem!

CHÓR.

Azya poszła, Azya cała!
Poszło zbroic bez końca!
Nie, niepodołała
Helladzie, córa słońca!

POSŁANIEC.

Nie, nie! Trupami leżą wasze syny,
Gdzie Salaminy toń, brzeg Salaminy!

CHÓR.

O w krzyk nam, w lamenty!
W biadanie, w rozpacze!
Zgubiony, podcięty
Lud Persów niech płacze...

POSŁANIEC.

O, póki życia, dopóki godziny,
Athen nam pomnieć, pomnieć Salaminy!

Niewysłowiony zapał rozpierał serca widzów, dłonie same składały się do oklasków. I znowu musiał koryfajos powtórzyć ostatni dwuwiersz, a cały lud atheński, niby wielotysięczny chór, słowo w słowo wtórował mu rytmicznie.

Tymczasem Atossa, mężniejsza od całej starszyzny perskiej, choć jeszcze otrętwiała boleścią, przystąpiła ku posłańcowi, a wypytywać jęła o życie syna, o rozmiary klęski. Więc długim szeregiem posypały się z ust nieszczęsnego posła przesławne imiona barbarzyńskich wodzów i dostojników, co padli w salamińskim boju. Zdawało się, że nie będzie miał końca ten poczet żałobny. Z każdem nowem imieniem, głębiej chyliły się ku piersiom zgnębione głowy starców, boleśniej łamała ręce Xerxesowa macierz. Gdy skończył, rozdarła zasłonę z przenikliwym jękiem:

— Klęska nad klęski. Wstyd, wstyd niesłychany!

Tam, wpośród widzów długi ów orszak poległych perskich bohaterów żywe, świeże jeszcze budził wspomnienia. Wszak te same dłonie, co przed chwilą biły oklaski, zrumieniły się wówczas krwią tych mężów, których poseł wyliczał. Z widzów niejeden widział przed sobą potężne owe postaci, lśniące od złota i drogich kamieni, może niejeden, na dźwięk tego lub tamtego imienia, mógł sobie rzec w duszy rozpromienionej tryumfem:

— Toć jam go posłał do Hadu!

Atossa pytała dalej:

Więc stoi Athen gród? I nie zburzony?

POSŁANIEC.

Z męskich ma piersi mur — mur doświadczony!

Zaczem na żądanie królowej opowiadał o przebiegu bitwy:

U syna twego mąż jakiś atheński
Zjawił się twierdząc, że o pierwszym zmroku
W ucieczce szukać będzie lud Helleński
— Przed straszną Persów przewagą — zbawienia...

— Themistokles! Themistokles! huknął cały teatr ogromnym głosem i huragan oklasków przerwał opowieść posłańca. W pierwszych ławach podniósł się syn Neoklesa, jak słońce promieniejący radością i dumą, bo czuł, że jego imię powtarzane w tej chwili tyloma usty, odbija się grzmiącem echem o skały Akropolu, bije w niebiosa, rozlewa się nad wszystkie ziemie i nad wszystkie morza i płynie poprzez wieki, w nieśmiertelność...

A gdy ucichły przeciągłe wołania, poseł opowiadał dalej:

I skoro w morzu oko słońca zgaśnie
A noc powietrze świetlane pokona,
Kazał się flocie w trzy dzielić ramiona,
By pochwyciwszy uchodzących właśnie,
Żadnego z Greków nie puściła żywo...
Toż gdy porankiem w jarkiej światła fali
Brzeg się dokoła zatoki zapali,
Od naw helleńskich powiał śpiew radosny...
Miedziane trąby gromko im wtórzyły:
Szybko, w takt pieśni, z wysuniętem ciałem,
Równemi wiosły nawy morze biły...
Prawem się skrzydłem ruszyli do biegu;
Za niem w ścieśnionym cały tłum szeregu
Rwał się wśród krzyku: — »W bój dzieci Hellady,
W bój za ojczyznę, za bogów za dziady
Leżące w grobach, za dzieci, za żony!«...
. . . . . Więc i z naszej strony
Nie brakło wołań. Czas walki nadchodził.
W tyryjski — okręt helleński ugodził,
Od dzioba padły jego stroje złote,
Nawy się z trzaskiem waliły w ciasnotę,
Gniotąc się, dzioby dziurawiąc ostrymi...
Morze się krwawej zdało płatem ziemi.
Zrazu się liczby trzymamy przemocą,
Ale, zagnanych w zatoki cieśniny,
Gubi nas natłok... gnieciem się w ruiny...
Wśród trzasku — wioseł pękają krawędzie,
A statki nasze swym ciężarem toną,
Gdy greckie prą nas i gruchocą w pędzie,
Żelazną wkoło ściskając obręczą...
Wtedy, od ruder zniszczonych okrętów,

Od ciał, co toną — od rannych, co jęczą,
Jużeś nie ujrzał zielonych odmętów,
Tylko co żyło, co wiosłu podoła,
Wdal gdzieś goniło, by ujść mogło zdrowo
Z pod gradu gruzów, co żeglarzy czoła
Ranią wśród krzyku, gdzie rozpaczy słowo
Z tryumfujących mieszało się śmiechem,
Zielonej fali powtarzane echem!
Tak aż do nocy, czarnej nocy trwało...
Dniby minęły, zanimby zdołało
Ucho człowiecze objąć zgrozę klęski,
Bo nigdy, nigdy, odkąd hymn zwycięski
Naród nad drugim narodem zaśpiewał —
Nie była taka rzeź, ni strach nie bywał!...

Z ogromną mocą, z przejmującym bólem padał każdy wiersz tej potężnej opowieści. A gdy na ostatnich słowach głos posła załamał się i przeszedł w łkanie, gdy Atossa rozpaczą zastygłe oblicze i wzrok przebolesny zwróciła ku niebu i drżące ramiona podniosła nad głową, gdy z warg jej wykrzywionych cierpieniem jękliwe buchnęły lamenty — dreszcz grozy i jęku przeleciał przez amfiteatr. Atheńczykom okrzyk zachwytu i tryumfu nagle uwiązgł w gardle i była cisza wielka, duchów naprężeniem brzemienna, biciem serc tętniąca. W orchestrze starszyzna perska na białych kijach wsparta, jakby nie mogła udźwignąć ogromu nieszczęść, dygotała cichym płaczem. A posłaniec, ochłonąwszy, mówił dalej:

Jest przed Salaminą
Wysepka mała... Płasy Pan w niej stroi,
Ale nierade łodzie ku niej płyną.
Tam, w gwieździe szczęścia zadufany swojej,
Xerxes rycerzy zataił tysiące,
By je na Greki rzucić pierzchające.
Inak się stało...

Teraz dopiero zawrzało w tłumach. I nagle zerwał się jak burza, rozgłośny okrzyk: Aristejdes! Aristejdes! Oczy całych Athen z upragnieniem szukały bohatera, co na wyspie onej rozgromił i wysiekł »nieśmiertelny hufiec« króla królów. Lecz on pod huraganem okrzyków i oklasków zwiesił głowę, skurczył się w sobie i oczy wbił w ziemię, jak gdyby nic nie słyszał. Wszak nie dla pustego rozgłosu, nie dla marnej sławy z garścią nieustraszonych

wojenników przepłynął w onym dniu pamiętnym na Psittaleję, by wytępić nieprzyjaciół ojczyzny. Niespodziewanie kilku mężów najbliżej siedzących porwało go na ramiona i podniosło w górę, a teatr aż się zatrząsł od okrzyków: Aristejdes! Aristejdes! Skoro przebrzmiały wołania i gdy znalazł się znowu na kamiennej ławie, kraj szaty ubogiej na twarz nasunął i cicho zapłakał z radości. A posłaniec kończył opowiadanie o czynach jego i tej garści walecznych, co z nim razem na wysepce dokonali cudów męstwa:

Pyszni z naszej klęski
Na nich zwracają Grecy miecz zwycięski,
Wyspę ujmują korabiów obręczą,
Z pomostów zewsząd na Persów się walą,
Kłują strzałami, kamieniami dręczą,
Aż krew ku morzu popłynęła falą;
Na tronie Xerxes, co patrzył ze skały,
Szaty swe rozdarł wybladły, struchlały,
Dał znak odwrotu i pierwszy na przodzie
Pierzchnął...

ATOSSA.

O straszny, w obłęd wiodący demonie,
Coś Athen dumę radził upokorzyć!
Małoż już padło tam, przy Marathonie,
Syn-że mój głową jeszcze chciał nałożyć!?

Lecz nie tu kres nieszczęść i pogromów. Przerażona pani słyszeć jeszcze musi o straszliwych dziejach powrotu przez trackie krainy:

Przedwczesny ścinał mróz Strymonu łoże;
Kto gardził bogiem, wtedy imię boże
Wzywał, ratunku błagając i zmiany...
Przez nurt w kryształy lodowe kowany
Rwano się w tłoku, lecz tylko część mała
Przeszła — co słońca się nie doczekała:
Bo kiedy błysło jarkie słońca oko,
Lody z łoskotem rozpękły w momencie,
Wtedy — szczęśliwy, komu w tym odmęcie
Dano pójść na dno prędko i głęboko...

Atossa do pałacu idzie z orszakiem służebnic, a chór zawodzi rozdzierające żale:

Najpierwsi z ludu — brzmi skarga,
U brzegów kychrejskich tam gniją,
O biada, biada, biada!
Haj morski zwłoki ich targa,
Bałwany o skały je biją,
O biada, trzykroć biada!
A doma ojce, a dziadowie doma
Rwą włos rozpacznemi rękoma...

Wróciła królowa, czarną zasłoną pokrytą ma głowę. W ślad za nią szlochające niewiasty na głowach niosą kosze pełne ziarna i kwiatów i dzbany z winem a miodem. Więc na grobowcu Dariusza nieszczęsna objaty składa bogom i cieniom zmarłego. Starcy półkolem otoczyli sarkofag, smętnie chwieją siwemi głowami, a z ust płynie im śpiew żałosny, zmieszany z łkaniem:

O wstań, o pójdź,
Pieluchy grobu rzuć...
Na skroni królewska tiara,
Na nogach sandałów para
Złotych barwą szafranu...
Niech się pokłonię i ojcu i panu!

O wstań, o słysz,
W myśli wspaniałej pisz
Mą skargę i moje boleści!
— Słyszę już, to Styx szeleści...
Król powstaje z kurhanu!
Niech się poskarżę i ojcu i panu!

Rozsuwają się cicho ponad sarkofagiem wzorzyste opony, odchyla się kamienne wieko i z grobowej cieśni wstaje, dźwiga się widmo spowite w całun przejrzysty, z pod którego przeświecają szaty drogocenne i »królewska na skroni tiara«. Przed wybladłem, trupiem obliczem zmarłego mocarza padają na kolana starcy, chyli się kornie sama królowa Atossa — widzom lęk zabobonny w żyłach krew ścina.

I oto nawiązuje się ta dziwna rozmowa żywych z cieniem zagrobowym, a wśród niej padają najokropniejsze przepowiednie z ust królewskiej mary:

Próżno — nie wróci już w ojczystą stronę
Wojsko, co jeszcze w Helladzie zostało...

KORYFAJOS.

Ależ wracało, wiemy, że wracało!

DUCH.

Część wróci może, lecz wojsko nie wróci!
Zato, że Greków podeptało wiarę,
Posągi bogów kradło, żar ognisty
Miotło na szczyty świątyń, w gruz ołtarze
Waliło... strasznie, strasznie bóg je skarze!
Złe — zła pożąda. W głębi przepaścistej
Czekają na nich przyszłych klęsk bezdenie:
Czekają Dorów dzidy pod Plateją,
Co we krwi Persów całe zczerwienieją...
. . . . . .

I w grób zapada się Darejos, trenem chóru żegnany, a królowa znika w pałacowych podwojach.

Widzowie dech w piersi zatrzymują, bo już oto słychać wozu turkot i tententy kopyt. W pozłocistym rydwanie, zaprzężonym w cztery mleczno-białe bachmaty, wjeżdża Xerxes. Płaszcz na nim i mitra i sandały od złota kapią; ale twarz »króla królów« ciężką troską zorana; nieszczęście na bladem czole pieczęć mu swoją wyryło. Za nim z włóczniami w prawicy, z kołczanem i łukiem przez ramię, ciągnie garść przybocznej straży. Starcy na kolana padają przed władcą i czoła zniżają ku ziemi perskim obyczajem. Xerxes rumaki wstrzymał przed pałacem, sługom rzucił pozłociste wodze, ale z rydwanu nie kwapi się zstąpić. Oczy rękoma zasłonił i jęczy:

Biada, biada mojej głowie,
Jakiż demon wściekły nas uciska!?
Krew mi stygnie, kiedy widzę z blizka:
Tam poddani moi... tam Persowie
Czekają na mnie z pokłonem...

CHÓR.

O królu, gdzie wojska waleczne?
Gdzie Persów potęga?
Gdzie kwiat młodzieży?
Zniszczony leży
Na żale, na płacze wieczne!
A dziejów księga
Zapisze ciebie między mnożycieli

Kraju umarłych! Już nie uweseli
Mnie widok rycerzy...
W straszliwej obieży
Zginął lud cały!
. . . . . .

XERXES.

W mogiłach, w mogiłach — Persowie —
W mogiłach dalekich zostali...
Wóz króla wybrnął z tej fali,
Około wozu — pustkowie!

I targa na sobie szaty król nieszczęśliwy i włosy — i wielkim głosem płacze. A starcy podnoszą się z klęczek i sfrasowanemu panu zejść pomagają z wozu. Pod ręce go zsadzili, obejmują go za kolana, kraj szaty całują mu kornie, a biadają nad nim a zawodzą, że taki sam powraca, »bez wiernych swoich walecznego koła!«

XERXES.

Płacz, płacz! Płaczący wstępuj do podwoi!

KORYFAJOS.

Płaczemy, panie, ile pierś wydoła...

XERXES.

O płaczcie srodze bólom duszy mojej!

Ale ani gorące ich łzy, ani wyrzekania żałosne i lamenty nie mogą dać ulgi jego rozdartemu sercu. Wszechwładny samodzierżca pierwszy i jedyny raz w życiu poczuł się bezsilnym, pychę i wielkość swoją widzi zdeptaną w proch, więc mu rozpacz i wściekłość mąci zmysły i piersi rozsadza. Zgasła jego sława, pękła jego moc — a słońce świeci, a świat stoi! Więc gdy własną duszą nie może wydołać ogromowi bólu, niech jego nadmiar wezmą na się ci starzy tronu słudzy:

Pięścią się bijcie w boleści szalonej!

I z niewolniczem poddaniem królewskiej woli, tłuką się zaciśniętą pięścią po głowach i piersiach, ale jemu nie dość tego:

Do krwi się bijcie, z krwią niech łza się spływa!

CHÓR.

O biada nam! O biada! biada! biada!

Biją czołami o kamienne węgły pałacu, o posadzkę dziedzińca, lecz jemu wszystko to mało i mało:

Włos rwijcie siwy!

Drżące palce targają włos ubielony wiekiem, łzy z krwią zmieszane płyną po zawiędłych licach, z ust wydobywa się chrapliwy jęk i łkanie, które na rozkaz pański przechodzi w barbarzyński, zwierzęcy niemal ryk...

KORYFAJOS.

O panie starców siła już opada!

XERXES.

Szaty swe drzyjcie!

KORYFAJOS.

Drzemy, co sił staje...

Wspaniałe szaty idą w strzępy, lecz król, rozjuszony rozpaczą, pastwi się nad starcami bezmyślnie, upornie, szukając próżno swym boleściom ukojenia w ich męce:

Nie szczędźcie włosów! Ho! Nie szczędźcie włosów!

KORYTAJOS.

Słabniemy panie!

Gdy oni już nie mogą, sam głową bije o ściany, i brodę rwie i szaty złociste rozdziera, aż i on, wycieńczony, ustaje i z płaczem zawodzić tylko zdolen:

O straszne zniszczenie!
O moje wojsko! O floty w bezdenie
Morskie rzucone!... Pod taką żałobą
Padam!... Prowadźcie mnie...

CHÓR.

Idziemy z tobą!

Z głośnym szlochem wyprowadzają Xerxesa... Tragedya skończona. Jeszcze chwila ciszy, a potem amfiteatr cały zrywa się z gromem oklasków i okrzyków. Twarzy rozognione, oczy pałające, na rzęsach świecą łzy. Lecz oni sami nie umieliby powiedzieć, ile w tych łzach było tryumfalnej radości, a ile niemej

litości nad perską żałobą... Gdzie i kiedy na świecie drugi jaki naród znalazł w poezyi swojej wyraz współczucia dla pokonanych wrogów? Gdzie i kiedy zwycięzcy mieli łzę dla zwyciężonych!

*

W budynku skenicznym zdejmowali z siebie szaty perskie aktorzy i choreutowie, gdy przed Ajschylosem stanął Pindaros.

— Jakiż bóg daje tobie takie ogromne słowa, synu Euforionów? — rzekł ujmując go za rękę, — od czasów boskiego Homerosa nie miało plemię helleńskie takiego piewcy!

— Służę jako umiem ojczyźnie mojej, Pindarze: pod Marathonem i Salaminą Ares mi sił dodawał; w czasach pokoju syn thebańskiej Semeli pomocen mi jest w pracy mojej. Wszystko mamy od bogów! Azaż mniejszą łaskę Apollona i Muz widać w tobie i w pieśniach twoich? Gdziekolwiek brzmi grecka mowa, słynie po świecie twe imię!

— Gdym wyjeżdżał z Sykuliej, powtarzał mi Hieron: »Proś a proś Ajschylosa, iżby z mojego domu swój dom uczynił, a wsławił imię moje swą przyjaźnią«. — Mówię ci tedy Ajschylosie, nie godzi się odmawiać. Jedź ze mną do Syrakuz.

— Jeśli wieńca tragicznego nie dobędę dzisiaj, Pindarze, jakoż mi jechać? Rzeką żem z Athen uszedł zwyciężony.

— Mógłżebyś nie otrzymać wieńca?!

— Nie chwal dzieła przed końcem. Oto jeszcze tragedya o *Glaukosie*, dopełnić ma trylogii. Obaczymy jeszcze, obaczymy, jako się ta trzecia część powiedzie.

— Choreuci, jak widzę, już oblekają na się stroje do twego *Glauka* — rzekł Pindaros. — I tobie może teraz nie pora mówić ze mną. Pójdę przeto na swe miejsce, przyrzecz mi jeno, Ajschylosie, że jeśli dziś tragiczny wieniec osiągniesz, nie odjadę z Athen bez ciebie. Nie wiesz, jak sobie tęskni do ciebie Hiero!

— Jeśli mi zdarzą bogowie zwycięstwo, pojadę z tobą...

Odszedł Pindaros rad z odpowiedzi; Ajschylos przez chwilę stał zadumany. Lecz niebawem zwrócił się ku młodzieńczemu koryfajosowi, który właśnie zbliżał się doń z szatą *Glauka* i niósł za włosy maskę podobną uciętej głowie. Wszystko to zło-

żył przed poetą. Ów kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł serdecznie:

— Pięknie mi grałeś w *Persach* i z uczuciem gorącem. Wdzięczen ci za to jestem, Sofillosów Sofoklesie.

*

Z rumianego nieba schodziło wielkie, purpurowe słońce i chowało się za wzgórza Pnyxu i Musajonu. Ostatnie jego promienie oświetlały ostatnią scenę tragedyi o *Glaukosie*. Zaczem, po hucznych oklaskach, nastała w teatrze uroczysta cisza. Z ławy kamiennej podniósł się Archon-Eponymos i w oczach widzów zdarł pieczęci woskowe z zamkniętego krateru, w którym na tabliczkach wypisane były setki imion. Zanurzał potem rękę i dwanaście tabliczek wyciągał kolejno z krateru, imiona wylosowanych obywateli wywołując głośno. Zstępowali tedy z amfiteatru i stawali rzędem podle ołtarza, jako sędziowie, by głosować nad tem, komu z poetów tragicznych i komu z choreutów przyznane mają być wieńce. Niedługo tym razem trwały narady i głosowanie: zwycięscą jednozgodnie ogłoszon był Ajschylos.

Z zapalonemi pochodniami w ręku, półkolem stanęło kilkudziesięciu choreutów, co brali udział w tegorocznych widowiskach. Gdy ogromnem wołaniem tłumów i biciem rąk wywołany; pojawił się w onem półkolu świateł Ajschylos Euforionów, postąpił ku niemu kapłan Dionysosa i wieniec, uwity z listków złotych, włożył mu na głowę. Cały stok Akropolu buchnął wielkim okrzykiem: Raduj sią Ajschylosie! W tejże chwili Pindaros, uniesiony zapałem, zerwał sobie ze skroni wieniec kwiatów i rzucił zwycięscy pod nogi, a za jego przykładem poszli wsyscy. Setki wianków laurowych, fiołkowych, z bluszczu i z polnego kwiecia padać jęły z góry i słały się pod stopy wielkiemu twórcy *Persów*. I długo jeszcze tysiące oczu patrzyły nań z podziwem, a tysiące ust obwoływały jego imię nieśmiertelne.

Tuż obok mistrza z płonącą żagwią w prawicy, z oczyma pełnemi zachwytu stał przyszły twórca *Ojdipa*.

Lucyan Rydel.

NASI WYCHODŹCY ZAMORSCY.

(Dokończenie).

Wobec tego stanu rzeczy łatwo zrozumieć, że wszystkie sprawozdania galicyjskich starostw w sprawie emigracyjnej składane, a opierające się na liczbie udzielanych paszportów, podają fałszywie i niestosunkowo nizko ilość wychodźców. Namiestnictwo Niższej Austryi w r. 1892 poruszyło myśl urządzenia wspólnych biur kontrolnych dla wszystkich koncesyonowanych przedsiębiorców okrętowych pod nadzorem rządu celem uchronienia wychodźców przed wyzyskiem ze strony poszczególnych agentów, oraz celem udzielania im zgodnych z prawdą informacyi o stosunkach w krajach zamorskich i ich widokach. Jednak myśli tej niewykonano, poprzestając na popieraniu jednych towarzystw, a zwalczaniu drugich, może równie odpowiednich, ale »nie dopuszczonych do interesu« *(zum Geschäftsbetriebe nicht zugelassen)*. Pierwsze wyzyskiwały tedy swój oficyalny przywilej, inne mimo to wyławiały w cichej a mętnej wodzie klientów dla siebie. W Galicyi wydano rozporządzenie Namiestnictwa, którem zabroniono dyrekcyom kolejowym sprzedawania biletów emigrantom do tych pociągów, które w godzinach wieczornych przybywały do Wiednia. Miało to znaczenie tylko dopóty, póki Genua była głównem miejscem ekspedycyi wychodźców, po upływie roku bowiem fala wychodźców skierowała się na północ ku Hamburgowi i Bremie, a Genua zachowała znaczenie tylko dla wychodźców, udających się do południowej Ameryki, tudzież dla mieszkańców krajów koronnych, znajdujących

się na południe od Wiednia. Wiedeń stracił tedy dawniejszą swoją rolę stacyi przejściowej, zachował ją tylko dla pasażerów Cunardu i innych angielskich linii, udających się przez Szwajcaryę i Południowe Niemcy do Anglii, stąd zaś dopiero do Ameryki, tudzież dla wychodźców do Ameryki południowej, odbywających drogę na Wiedeń do Tryestu.

Starostwa galicyjskie otrzymały polecenie oddziaływania na sądy i rejentów w kierunku przeszkodzenia zbyt pospiesznym i lekkomyślnym sprzedażom ziemi ze strony ludności włościańskiej. Ale i ten środek, jak wogóle wszelka refleksya wobec ludności umysłowo nierozwiniętej i cierpiącej nędzę, traktowanej przytem wyniośle przez władze, a przyjaźnie i życzliwie przez agentów, nie odniósł nawet tam, gdzie istotnie miał miejsce, pożądanego skutku.

Oprócz agentów towarzystw okrętowych, działali i działają dotychczas agenci państw zamorskich. Brazylia zaraz po obaleniu cesarstwa i zamianie na rzeczpospolitą, wyszukała niejakiego p. Fioritę z Genui, z którym zawarła umowę na »dostarczenie« w ciągu lat 10 miliona wychodźców za opłatą po 160 franków na głowę, przeznaczonych na koszta transportu, agentów i reklam wszelkiego rodzaju. Równocześnie wydano ustawę, zapewniającą utrzymanie wychodźcom, przybywającym do Brazylii aż do pierwszych żniw wraz z wolnym wyborem miejsca osiedlenia. Umowę tę niebawem 1 stycznia 1897 r. rozwiązano i nowe prawo uchylono, a poszczególnym stanom zapewniono autonomię ustawodawstwa w sprawach immigracyjnych i kolonizacyjnych z zachowaniem atoli nadzoru ze strony rządu federalnego. Poszczególne stany, a w pierwszym rzędzie San Paolo i Espirito Santo potrzebujące robotników, pozawierały tedy na własną rękę z przedsiębiorstwami okrętowemi niemieckiemi i włoskiemi umowy podobne z zastrzeżeniem atoli, że pozyskanym i przewiezionym przez nie emigrantom wolno będzie osiąść tylko w tych stanach, które za nich zapłaciły koszta podróży. Agenci stanów poszczególnych ogłaszali w Austryi tylko pierwszy dekret rządu federalnego, zatajając ograniczające warunki stanów poszczególnych, wskutek czego w portach powstawały ciągłe nieporozumienia, do czego i ta przy-

czyniała się okoliczność, iż adwokat genueński Gavotti był równocześnie agentem brazylijskiego rządu federalnego, rządu stanu San Paolo i przedsiębiorstwa prywatnego, Sociedade promotora de immigraçao San Paolo.

Jednym z najulubieńszych i najskuteczniejszych sposobów pozyskania ludności ruskiej dla Brazylii, było rozgłaszanie wiadomości, że Brazylia jest prowincyą austryacką, w której rządzi arcyksiąże Rudolf, co atoli Polacy ukrywają przed »uciskanym« ludem ruskim. Niejednokrotnie agenci przybierali mundur urzędowy i zwoływali bębnem ludność po wsiach, celem oznajmienia im o brazylijskim raju. *Wiener Tageblatt* (luty 1896) przyniósł wiadomość, że niejaki Finkelstein, były oficyał dyrekcyi skarbowej ubrawszy się w mundur, obiecywał ludności wiejskiej w Zbarażu, że ją za opłatą nizkiej taksy wpisowej wyszle do Brazylii. Wedle relacyi austryackiego konsula w Genui na dworcu centralnym w roku 1895 przybywających wychodźców otaczali natychmiast przewodnicy i właściciele zajazdów, ostrzegając ich przed oszustwami innych agentów i oświadczali gotowość służenia im aż do dnia wyjazdu i wyszukania taniego i dobrego pomieszczenia. W rzeczywistości nieszczęśliwych prowadzono do najwstrętniejszych jaskiń w portach, gdzie za najnędzniejsze pomieszczenie w ciasnych pokoikach bez powietrza i światła oraz najskromniejsze pożywienie zabierano im grosz ostatni, a gdy niewystarczał na zapłatę słonego rachunku, zatrzymywano im ruchomości.

Konsul austryacko-węgierski w Genui widział w tamtejszej dyrekcyi policyi rachunki, wedle których 6 emigrantom, między którymi było dwoje niemowląt, policzono za nocleg, rosół, sztukę mięsa i trzy butelki lichego wina włoskiego, 32 liry. Innych czterech wychodźców musiało zapłacić, za rosół, sztukę mięsa, trochę sałaty i dwie flaszki wina 40 lirów — ceny przewyższające potrzykroć przyjęte nawet w dobrych restauracyach. Jeszcze gorzej wychodzili ci, którzy szczupłe swoje fundusze powierzali dla zmiany właścicielom zajazdów. I tak pewien Polak powierzył swojemu gospodarzowi 100 złr. dla zmiany i za to otrzymał 100 lirów, z kłamliwem oczywiście objaśnieniem, że taki jest kurs chwilowy. Inny emigrant oddał wszystko, co miał, to jest

400 lirów do zmiany na pieniądze amerykańskie i dopiero na okręcie za późno się przekonał, że mu za nie wręczono 20 fałszywych sztuk złota. Pewien Tyrolczyk zapłacił 145 lirów w złocie za przejazd. Wnet po odpłynięciu okazało się, że okręt wymaga gruntownej naprawy, powrócił więc do portu. Tyrolczyk zażądał wówczas od agenta zwrotu pieniędzy, na co mu odpowiedziano, że może żądać tylko przejazdu innym okrętem towarzystwa, obiecano jednak wystarać się bodaj o część pieniędzy. W rezultacie agent odebrał całe 145 lirów, a emigrantowi oddał 25 lirów, zapewniając w dodatku, że i uzyskanie tej kwoty wiele go kosztowało trudu.

Mimo te wszystkie nadużycia ani jednego oszustwa nie ukarano sądownie, ani nawet nie odebrano koncesyi, kończyło się tylko na karach pieniężnych. Nie można się temu dziwić ani na to narzekać, bo i w Galicyi na każdym kroku dzieją się nadużycia agentów, a nie myśli się o tem, aby im odebrać koncesyę, ani tem mniej o tem, aby ich powierzać opiece prokuratoryi państwa, jakkolwiek na to niewątpliwie codziennie zasługują.

Rząd włoski domagał się w tym czasie od rządu austryackiego, aby każda partya wychodźców miała przewodnika, bez którego nie przepuszczano ich przez granice. Wychodziło to oczywiście na korzyść agentów, podejmujących się roli przewodników dla nieznających języka włoskiego emigrantów. Często musieli wychodźcy długo czekać na granicy na pozwolenie przejazdu i skutkiem tego bądź w Wiedniu, bądź w Pontafel wydawali szczupłe swoje zasoby na wikt i utrzymanie. I po przejściu granicy setki galicyjskich wychodźców tułały się z żonami i dziećmi o głodzie i chłodzie po ulicach Genui, nocując pod gołem niebem przez kilka nocy podczas surowej zimy r. 1896. Naturalnem następstwem tego było nagminne wystąpienie choleryny i przepełnienie szpitali polskimi wychodźcami. Nodari z Udine pracował przedewszystkiem dla Stanu San Paolo celem dostarczenia mu robotników na plantacye kawy. Gdy po jakimś czasie przeniknęła do kraju wiadomość o tropikalnym klimacie i złem obchodzeniu się *fazendeir*ów, t. j. plantatorów ze swoimi robotnikami, mającymi im zastąpić murzynów, których niewolnictwo dopiero w r. 1888

zostało zniesione, zdarzało się wprawdzie, że wychodźcy nasi mimo całej swojej naiwności, z jaką niedawno jeszcze dali się brać na piękne nazwy stanów (Duch święty, *Espirito Santo* i św. Paweł, *São Paolo*), oświadczali, że do São Paolo nie pójdą, żądając przewiezienia do Paranv, o której zdrowym klimacie już za pośrednictwem galic. filii austr. Tow. św. Rafała mieli wiadomość. Nodari i jego urzędnicy przyjmowali takie oświadczenia do wiadomości, a jednak wywozili, względnie odsyłali wychodźców za pośrednictwem *Ligure brasiliana* tylko do Rio de Janeiro lub do Santos; stamtąd oddawano wychodźców do baraków emigracyjnych w Ilha das Flores lub w Pinheiro i zapytywano ich dla formy, dokąd chcą się udać. Oczywiście rozmowa toczyła się z jednej strony po portugalsku, z drugiej po polsku, porozumienie więc było cokolwiek trudne, a urzędnicy brazylijscy rozumieli tylko to, co rozumieć chcieli; że zaś bogaci plantatorzy kawy cieszyli się poparciem rządu i jego urzędników, więc też do San Paolo odsyłano główne zastępy naszych wychodźców.

Osławiony agent bremeński Missler postępował tak samo. I tak kilka rodzin w r. 1895 wysłał do Santos, mimo, że wyraziły one jasno życzenie przewiezienia ich do Parany. Taksamo wbrew woli wychodźców w r. 1896, wysłał ich na kolonie własne w Georgii. Gdy wrócili, zeznali w starostwie, iż panuje tam tropikalne gorąco, oraz że zatrudniano ich zaledwie przez 1 do 4 dni roboczych w tygodniu, za co płacono im po pół do jednego dolara dziennie. I ten sposób kierowania wychodźców nie tam, dokąd się udać zamierzają, ale tam, dokąd w skierowaniu wychodźców ma przedsiębiorstwo okrętowe i jego urzędnicy własny interes, praktykuje się po dziś dzień. Tak postępuje dotąd osławione »Anglo-Continentales Reisebureau« w Rotterdamie, a przeciw »Austro-Amerykanie« podnoszą ogólnie zarzut, że pragnących udać się do Kanady urzędnicy jej namawiają do Argentyny, co i Missler dotąd praktykuje.

Każdy z agentów głównych utrzymuje u nas cały zastęp subagentów, a wedle niepodejrzanego twierdzenia mr. Browna, byłego inspektora immigracyjnego Stanów Zjednoczonych, Galicya cała jest nimi formalnie zasiana. Arendarze, wójtowie, pisarze gminni, kanceliści a niekiedy i sekretarze manipulacyjni starostw,

popi ruscy są w Galicyi wedle twierdzenia p. Browna, na usługach rozmaitych wielkich towarzystw okrętowych. Bracia Nodari, Stefano Oppizza w Genui, jakoteż Carlo Pizzelli i Alojzy Mosetigg w Tryeście płacili, jak mi wiadomo z aktów Ministerstwa spraw wewnętrznych, agentom po 5 lirów, a urzędnikom i wogóle ludziom z pewnem stanowiskiem społecznem po 5 złr. od głowy, a za każdego małoletniego połowę. B. Karlsberg płacił 5 guldenów; M. Morawetz w Hamburgu ogłaszał się jako »firma chrześcijańska« i z tej racyi uważał, że ma prawo płacić tylko 4 guldeny od głowy, a za małoletnich obojga płci połowę; widocznie obaj musieli spotykać się z reklamacyami subagentów, skoro w cyrkularzach dodają, że za niemowlęta nic nie płacą. Dowcipnie urządzało się »Anglo-Continentales Reise-Bureau« w Rotterdamie ofiarując za pierwszych dwóch dostarczonych wychodźców »piękny srebrny zegarek«, za każdą dalszą osobę wyżej lat 12 po 6 guldenów, niżej lat 12 po 3 guldeny, Missler w Bremie płacił 5 do 10 K., P. Canon w Antwerpii po 12 K., później płace te jeszcze się poprawiły. Pisarze gminni otrzymywali najczęściej zegarek srebrny z łańcuszkiem niklowym i obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, jako brelokiem, dowód znajomości psychologii naszego ludu; obojętni na punkcie religii 12 K. od głowy, jeżeli wychodźca udawał się do Stanów Zjednoczonych, a tylko 6 K. od głowy, jeżeli szedł do Kanady, zapewne dlatego, iż co się tyczy Kanady z biletu okrętowego, przypadała jeszcze opłata na rzecz jeneralnego ajenta rządu kanadyjskiego w Amsterdamie w wysokości jednego funta lub wedle innych źródeł $7^1/_2$ szylingów od każdej sprzedanej karty okrętowej [1]. Subagentów tych zyskuje się w drodze korespondencyi. Na podstawie kalendarzy wysyła się tysiące listów pod adresem: Zwierzchność gminna w ..... albo: Pan Naczelnik gminy, albo: Pan Sekretarz gminy, lub wreszcie: Pan Nauczyciel wiejski, Pan dzierżawca propinacyi, Pan restaurator. Zdarzają się też często wypadki, że inicyatywa korespondencyi wychodzi od kandydatów na subagentów. Gdy już agent w danej wsi jest

[1] Phillipovich: *Im Westen Canada's. Österr. Rundschau*, 1905 i głos Aleks. Wagnera na ankiecie emigracyjnej.

pozyskanym, korespondencya prowadzi się nadzwyczaj ostrożnie, tak, że w razie jej ujęcia trudnoby było na tej podstawie osnuć dowód winy. Wychodźcę oznacza się w niej zazwyczaj jako towar; natrafia się też często frazes w relacyach subagentów: »towar łatwy do nabycia i doskonałej jakości«. Agent miejscowy pisze list swój imieniem analfabety wychodźcy, a nazwisko swe wymienia tylko ubocznie jako tego, który list napisał. I na tej podstawie wciąga się go w księgę agentów jako pośrednika dla odnośnego wychodźcy z zastrzeżeniem wynagrodzenia, gdy wychodźca do portu przybędzie i u agenta głównego się zgłosi. Honoraryum w kwotach wyżej podanych, a jak obecnie w wielu wypadkach i 20 K. od głowy wynoszące wysyła się agentowi miejscowemu w liście rekomendowanym bez wymienienia nazwiska wysyłającego, albo też przekazem posługując się nazwiskiem samego wychodźcy, znajdującego się w tym czasie już na okręcie. Komisarz policyjny Krzyżanowski, który przez szereg lat urzędował w jednem z centrów naszego wychodźtwa, w Oświęcimiu, powiada dosłownie w swojem sprawozdaniu dla ankiety emigracyjnej: »Miliony anonsów, reklam, naiwnych nazbyt opisów dobrobytu w Ameryce, małych prezentów, jako to: portfeli, kalendarzy, map, papierośnic, talerzy blaszanych, chustek do nosa, roznoszą w najodleglejsze kąty wiadomość o agencie, którego włościanin galicyjski uważa dotąd za swojego dobrodzieja«. Teraz, kiedy wynagrodzenie agenta miejscowego, udającego w dodatku niejednokrotnie b e z i n t e r e s o w n e g o opiekuna, podniosło się do wysokości 20 K. od głowy, które często ów »opiekun« inkasuje z góry jako rzekomy zadatek na bilet okrętowy, oczywiście wysyłki subagentów jeszcze się zwiększyły.

Pewien chłop z Łękawicy w powiecie tarnowskim zeznał w starostwie, że w dwa dni po zażądaniu w starostwie paszportu do Ameryki otrzymał list od Misslera z Bremy, z cyrkularzami i kartami reklamowemi, chyba więc kanceliści starostw lub woźni donoszą bezzwłocznie Misslerowi o każdym starającym się o paszport i podają mu jego adres. To samo zeznał i drugi chłop z powiatu tarnowskiego. Sprawa ta zasługuje na bliższe zbadanie i byłoby pożądanem, aby w tym kierunku wdrożono dochodzenia we wszyst-

kich starostwach, a w tarnowskiem wyśledzono owego niepowołanego korespondenta czy subagenta Misslera. Tensam gospodarz zeznał również, że agent Misslera, jakoteż subagent wiedeński (wychodźca ten bowiem skierowany był na Wiedeń i Rotterdam) wypytuje każdego, kto w jego wsi miałby ochotę pojechać do Ameryki, urzędnicy jego notują sobie adresy tych wszystkich i rozsyłają im cyrkularze i prospekty.

Na każde listowne zapytanie odpowiadają agenci główni bardzo uprzejmie odwrotną pocztą i po polsku, żądając tylko zadatku dla »zabezpieczenia miejsca na okręcie«. Agitacya subagentów w wielkiej mierze przyczynia się do wzrostu wychodźtwa, choć spotkać się można i ze zdaniem, że najlepszymi agitatorami są listy samych wychodźców. Tak mówią ludzie, którzy bądź autentycznych listów wychodźców nie czytali, bądź mają w tem interes, aby listy fabrykowane przez przedsiębiorstwa okrętowe podawać za listy od wychodźców pochodzące. Agencye, jako to: Missler, Karlsberg, Anglo-Continentales Reisebureau, Austro-Americana i inne posiadają drukowane formularze, których tekst jest mniej więcej taki: »Pan N. N. zdrów i szczęśliwie tu do nas przybył. Wyjeżdżając stąd prosił nas przesłać Panu od siebie serdeczne ukłony, a zarazem zawiadomił nas, że następujące osoby ..... również do Ameryki wyjeżdżają, wobec czego zlecił nam porozumienie się z niemi«. Naturalnie, że o podobnem zleceniu nie było mowy, a wychódźcę naszego wypytywano jedynie w biurze agencyi o nazwiska osób, które również mogłyby wyjechać do Ameryki. Te nazwiska skwapliwie spisano, a listy odnośne są tylko zręcznym sposobem reklamowania się agenta. Pewien gospodarz wysłany wbrew swej woli przez firmę Misslera do jego kolonii w Georgii, zeznał w starostwie, że proboszcz jego opowiedział mu po powrocie, że jakoby od niego otrzymał z Georgii entuzyastyczny list o wspaniałym rozkwicie kolonii polskiej w Georgii, z prośbą o skłonienie jeszcze 20 rodzin z tej samej wsi do wychodźtwa do tej kolonii. Tymczasem chłopu o pisaniu podobnego listu ani się nie śniło, sfabrykował go agent Misslera, który o nazwisku proboszcza od chłopa się dowiedział. Proboszcz był na szczęście na tyle przezorny, że na liście swego parafianina

nie polegał, lecz postanowił zasięgnąć bliższych informacyi; zanim one nadeszły, chłop zbiedzony i nieszczęśliwy wrócił do rodzinnego kąta.

Klasycznym przykładem listu, sfabrykowanego przez agenta jest list bukowińskiego Rusina, napisany najczystszą polszczyzną, pełen zachwytu z powodu obchodzenia z wychodźcami na okręcie »Wittekind«, północno-niemieckiego Lloyda, pełen uniesień nad cudowną Argentyną. W liście tym 10-krotnie wymieniona jest firma Misslera wraz z pełnym adresem: Bremen, Bahnhofstr. 30. List ten, jak i wiele innych, w litografowanej odbitce, widocznie przeznaczony do masowego rozszerzania, jest w mojem posiadaniu. Prawdziwe listy emigrantów nie zawierają reklamy dla agentów; setki ich miałem w ręku i nie było w nich ani razu obszernych, logicznych i dokładnych opisów, choćby dlatego, że piszący te listy, tak pisać nie potrafią. Stereotypowo listy te zaczynają się od słów: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus« a kończą się całą masą ukłonów i pozdrowień, zawierają cytaty z Pisma świętego, słowa zasłyszane na ostatniem kazaniu, niezmiernie czułe i troskliwe wypytywania o znajomych, życzenia zdrowia i t. d Tęsknota za krajem naszego chłopa dyktuje mu masę czułości, nawet wierszy, nieudolnych pod względem formy, ale pełnych prawdziwego uczucia. Lud nasz jest bardzo poetyczny i bardzo wierzący. Po burzy morskiej, po katastrofie w kopalni wymownie dziękuje Panu Bogu, nie można czasem bez wzruszenia czytać takich listów, przypominających słowa Ujejskiego o ziemi polskiej, tak zawodnej, że dla własnych dzieci nie ma chleba.

Wychodźcy żalą się na zły i niedostateczny wikt oraz na brutalne obchodzenie się w schroniskach bremeńskich, utrzymywanych przez Misslera. Mamy przed sobą list niemieckiego emigranta z San Paolo, Minesota, żalącego się na wprost niemożliwy wikt na okręcie »Bremen«.

Artykuł »Pasożyty wychodźców«, zamieszczony w r. 1903 w *Illustracyi Polskiej*, a napisany przez naocznego świadka, podaje, że w halach emigracyjnych w Hamburgu nie dają czystej pościeli, łazienek używa tylko personal towarzystwa, na dwóch wązkich łóżkach sypia 5—6 osób. W halach jest taki ścisk, że

przed odejściem każdego parowca liczba emigrantów 2—3-krotnie przewyższa liczbę przeznaczonych dla nich miejsc do spania; ludzie leżą pod łóżkami lub w małych kurytarzach na asfalcie lub cemencie w marcu lub kwietniu, w wilgotnem i niezdrowem powietrzu. Lekarze na okrętach obchodzą się z wychodźcami bardzo nielitościwie i całkiem się o nich nie troszczą. *Narodni politika* z 21 maja r. 1903 donosi, że na okręcie »Prätoria«, pasażerów III klasy wypuszczano tylko na czas krótki codziennie na pokład; większą zaś część drogi odbyć musieli na spodzie okrętu, dusząc się w ciemnej i ciasnej przestrzeni, w której w dodatku z konieczności często musiało się luki (okienka) zamykać, gdy tylko morze nie było całkiem spokojne W jednej sali spało 174 osób, pakunki ręczne ginęły, jedzenie było złe i w szczupłej ilości, z ludźmi obchodzono się w sposób grubiański i ordynarny; lekarza nigdy nie można było na czas uprosić. Droga zamiast zapowiedzianych sześciu dni trwała 16.

Niedawno *Słowo* warszawskie (dnia 29 czerwca 1907 r.) ogłosiło list p. Kozłowskiego i 17 towarzyszy, przedstawiający koleje ich od chwili wyjazdu z domu aż do Hamburga. W stacyi zbiorowej mysłowickiej, urządzonej zarówno dla austryackich, jak i dla rosyjskich poddanych, jak brzmi urzędowe ich przeznaczenie, a mieszczącej wyłącznie Polaków i Żydów, obchodzono się z wychodźcami, jak z niewolnikami; póki pieniądze za kartę okrętową z biura podróżnego lub agencyi nie nadeszły, nie pozwolono »pasażerom« wychodzić na ulicę z hotelu Hapagu. W przestrzeni dla nich przeznaczonej znajdowały się tylko ławki, na których siedziały kobiety i dzieci, reszta na brudnej podłodze asfaltowej, a mężczyźni stali, paląc papierosy dla skrócenia czasu. Po takiem 48-godzinnem więzieniu, wsadzono ich do klasy czwartej zamiast trzeciej, jak to było umówione, wysyłając wprost z Mysłowic do Hamburga do hal emigracyjnych. Przeprawa do Ameryki odbywała się na okręcie »Badenia«. Obchodzenie się z wychodźcami było znowu brutalne, wikt wprost nie do przełknięcia. Droga z Warszawy do Nowego Jorku trwała zamiast 10 dni 19. Filia warszawska Hamburg-Amerika Linie obiecywała ludziom, że się dla nich wystara w Sosnowcu o paszporty na cudze nazwiska,

za co osobno musieli zapłacić po 12 rubli. W ostatniej chwili zapewne żal się zrobiło warszawskiemu agentowi tego wydatku, pasażerów bowiem przeprowadzał nocą tajnemi drogami przez krzaki i rzekę, narażając ich na niebezpieczeństwo spotkania się każdej chwili ze strażą graniczną.

Pewien gospodarz, wysłany przez agencyę Misslera na Wiedeń do Rotterdamu, zeznał, że go najprzód oszukano na 15 złr., następnie w Rotterdamie umieszczono w domu, pełnym wstrętnego robactwa; zapewne w hotelu »America«. Masło smakowało jak łój, śledzie były wprost niejadalne, tylko chleb był dobry. Na okręcie »White Star Line« wikt był znowuż niemożliwy. Na śniadanie dawano zgniłe śledzie i brudną wodę bez cukru, zwaną herbatą, na obiad codziennie kartofle nieobierane, czasem kapustę, wieczór znowu kawę lub herbatę podobnego rodzaju, chleb i masło takie, jak rano. Łyżek i talerzy nie myło się po jedzeniu, pościel aż zczerniała od robactwa. Majtkowie i służba zachowywali się brutalnie, bywały wypadki bicia pasażerów po twarzy, na co zresztą pasażerowie niemieckich okrętów również się żalą. Dziewczęta zaczepiano w najbezecniejszy sposób, wprost nie mogły się oddalać na krok od starszych kobiet. Najgorzej oczywiście zachowywała się służba okrętowa, steward'owie, mający najwięcej z pasażerami styczności. Podobnie dzieje się i na innych okrętach.

O »Navigazione generale« w Genui podał prof. Siemiradzki, iż widział w agencyi towarzystwa szczegółową listę wszystkich mieszkańców pewnej wsi wschodnio-galicyjskiej, do których towarzystwo bez pośrednictwa agentów wysyłało listy po rusku lub po polsku. Musiał więc być ktoś, kto towarzystwu dostarczył spisu mieszkańców a może być, że miał on przystęp do urzędowych spisów, skoro lista owa była zupełną, prywatnemu bowiem człowiekowi sporządzenie podobnego spisu z większą przyszłoby trudnością.

O antwerpskiem towarzystwie »Red Star Line« podał ks. Kozlik, były zasłużony sekretarz austr. Tow. św. Rafała, że ludzie narzekają, iż na okrętach nabawili się, z powodu braku wszelkich urządzeń sanitarnych, reumatyzmu i postradali w ten sposób zdrowie i siły do pracy. Hotel emigracyjny »Philadelphia« w Ant-

werpii, który zwiedziłem, utrzymywany przez rosyjskiego żyda, daje niedostateczne pomieszczenie i lichy wikt.

Zarówno z Rotterdamu, jak i z Antwerpii odpływają małe okręty holenderskie, przewożące wychodźców tylko do Liverpoolu, skąd dopiero na angielskich okrętach odbywa się dalsza droga wprost do Ameryki. Przesłuchani trzej czescy emigranci zeznali, że przez cały czas przeprawy z Antwerpii przez Grimsby do Liverpoolu otrzymywali tylko ziemniaki nieobierane, stęchłe mięso i brudną wodę. Kto nie chciał pić wódki, płacił dziennie 25 cents tytułem »kary«. W czasie przeprawy z Liverpoolu do Ameryki nie było lepiej. Droga z Antwerpii trwała dni 14, z Pragi 21 dni.

Gazety węgierskie narzekają na Cunard-Linie z powodu złego obchodzenia się, lichego wiktu i niewygód w drodze. Agenci tego towarzystwa, wedle twierdzeń posła niemieckiego d-ra Lichta, namawiają do emigracyi w sposób prawem niedozwolony. Pomieszczenie pasażerów Cunarda w Tryeście, zwłaszcza zaś rodzin i kobiet podróżujących bez mężczyzn jest tego rodzaju, że pomieszcza się je w domu, zajętym przez prostytutki na Via Valdirivo nr. 23, co mąż zaufania austr. Tow. św. Rafała, p. Dean, sprawdził i podał do wiadomości publicznej. Ogólnie ludzie żalą się na twarde i wprost niejadalne mięso na angielskich okrętach. Trudno żądać, aby się wychodźca dostosował do angielskiego zamiłowania w rostbifach, skoro Anglik na chłopie polskim zarabia. Logiczniej byłoby raczej, by Anglik dawał chłopu jeść to, do czego jest przyzwyczajony, w przeciwnym wypadku pasażer głodzi się i wprost wycieńczony przyjeżdża na miejsce przeznaczenia, na którem czeka go niezwyczajnie intenzywna praca i walka z wybujałym egoizmem ludzkim lub z nieujarzmioną zgoła przyrodą. Stewardzi na okrętach Cunarda obchodzą się równie brutalnie z naszymi wychodźcami, jak niemieccy na okrętach północnego Lloydu lub Hapagu. Przebywanie tu lub tam, to prawdziwy dla wychodźcy czyściec.

Niestety i »Austro-Amerykana«, do której przywiązywano pewne, zwłaszcza u nas, nadzieje, ani o włos nie jest lepsza od innych towarzystw. Hr. Baworowski w sejmie ją popierał, powodo-

wany najlepszemi intencyami, inni ujmowali się za nią bądź mniej bezinteresownie, bądź też w błąd wprowadzani przez sprytnych agentów i subagentów towarzystwa. Teoretycznie oczywiście każdy pragnąłby podniesienia się żeglugi parowej austryackiej, a już dla skuteczniejszego roztoczenia opieki nad wychodźcami, wolałby, aby wychodźcy obierali drogę na Tryest. Tymczasem faktycznie Austro-Amerykana nie jest austryackiem przedsiębiorstwem, ani też w Tryeście żadnej takiej opieki nad wychodźcami się nie wykonywa, jakaby i w zagranicznych portach nie była możliwa. Towarzystwo Austro-Amerykana, a jak urzędowa jego nazwa opiewa: *Vereinigte österreichische Schiffahrtsactiengesellschaft* przedstawia kapitał akcyjny 16 milionów koron, z których połowa lub więcej należy do towarzystw: Hamburg-Amerika-Linie i Norddeutscher Lloyd. Wprawdzie w ostatnich czasach była o tem mowa, że część tych akcyi kapitaliści niemieccy sprzedać mają bankierom austryackim, ale bądź co bądź umowa taka nie przyszła dotąd do skutku. Być może, że sfinalizowanie umowy zależy od uchwalenia ustawy ochronnej dla wychodźców, której dotąd doczekać się nie możemy. Wpłynąć to bowiem może na kurs akcyi, bo jeśli za wiele urządzeń ochronnych »sentymentalny« rząd nakaże towarzystwu, jeśli będą zbyt wysokie na rzecz funduszu emigracyjnego opłaty, tem samem dywidendy będą mniejsze i akcye będą mniej warte. Nie wiadomo również, czy może socyalno-chrześcijańskie ministeryum nie przyjdzie kiedyś do steru i energicznem cięciem nie przetnie wszystkich bankierskich spekulacyi. Sytuacya dla panów bankierów nie jest więc dostatecznie wyjaśniona.

Dotychczasowe zarządzenia ochronne dla wychodźców, używających okrętów Austro-Amerykany, są na niektórych okrętach wprost niedostateczne. Przed kilkoma laty zdarzył się towarzystwu temu taki skandal, że kapitan okrętu »Georgii«, należącego wówczas do Austro-Amerykany został na zasadzie ustaw Stanów Zjednoczonych tamże aresztowany, z powodu braku stołów, krzeseł, nożów i widelców dla podróżnych międzypokładowych. Jankiesi mają tak humanitarną ustawę, iż za podobne przestępstwa karzą aresztem. Bronią tych, którzy do nich przybywają, choć ci są jeszcze

cudzoziemcami. Nic dziwnego, że wychodźca wdzięczny im jest za tę opiekę, a żal ma do kraju i państwa, w którem podobne żądania uważa się za »teoryę« i »ideologię«.

Okręty »Gerthy« i »Giulia«, które były pierwotnie okrętami towarowymi i przerobione zostały na pasażerskie, okazały się tak źle zbudowanymi, że je rząd włoski w lutym 1907 r. pozbawił prawa zabierania włoskich emigrantów. Jako powód podaje urzędowy dekret rady emigracyjnej z dnia 11 lutego 1907 r.: la velocità minima e tutte le altre mancanze notate a bordo dei suddetti navigli, che la legge sull' emigrazione del Regno ritiene strettamente necessarie alla commodità e siccurrezza dei passaggeri. (*Popolo* fiumeński z 15 lutego 1907). Zarządzenie to rządu włoskiego było dla mnie świetną satysfakcyą za ataki, jakich na miesiąc przed niem nie szczędził mi członek rady zawiadowczej Austro-Amerykany, p. Artur Kuffler w Wiedniu, gdy w odczycie, mianym w Towarzystwie austryackich ekonomistów w Wiedniu (15 stycznia 1907), krytykowałem również niedostateczne bezpieczeństwo, brak prymitywnych urządzeń sanitarnych i małą szybkość niektórych okrętów Austro-Amerykany. Ataki te przeniosły się nawet do prasy codziennej — ale choć miałem słuszność, nie byłby mi jej nikt przyznał, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności, iż wkrótce potem nastąpiło owo zarządzenie włoskiej rady emigracyjnej.

Austro-Amerykana wniosła przeciwko temu zarządzeniu rekurs, a w naiwnej lub ujętej prasie wiedeńskiej tłumaczyła się tem, że tu chodzi o zawiść konkurencyjną do austryackiego przedsiębiorstwa. Tymczasem wcale tak nie jest. Towarzystwo Austro-Amerykana posiada bowiem oprócz tych dwóch okrętów jeszcze 31, którym prawa zabierania włoskich emigrantów wcale nie odebrano, nadto zaś zaopatruje się ze szkodą produkcyi i handlu austryackiego we wszelką żywność, potrzebną dla tryesteńskiego schroniska i okrętów — w Genui — tak, że rząd włoski raczej powinienby tego rodzaju przedsiębiorstwo popierać a nie zwalczać. Mimo to wszystko rząd austryacki nie wysłał dotąd komisyi dla sprawdzenia bezpieczeństwa umieszczania emigrantów na napiętnowanych przez rząd włoski okrętach, w każdym zaś razie pozwala dalej

zabierać emigrantów w Tryeście tym okrętom, które dla Włochów są za liche, ale dla Polaków, Rusinów i Żydów widocznie jeszcze dostatecznie dobre. Ubytek włoskich emigrantów wynagradzają sobie teraz »Gerthy« i »Giulia«, zawijając do Patras, gdzie zabierają emigrantów greckich.

Ponieważ Austro-Amerykana powstała z połączenia mniejszych towarzystw, więc przejęła po nich rozmaite małe okręty, nie nadające się do masowej służby pasażerskiej, tak zw. »Leichterschiffe«, przeznaczone do przewożenia wychodźców z »Ospizio Maritimo« do wolnego portu (Freihafen), w którym zarzucają kotwicę wielkie statki. Na jednym z takich statków transportowych skutkiem braku dozoru, pośpiechu, nocy i wpuszczenia zbyt wielkiej ilości wychodźców, zdarzył się niedawno nieszczęśliwy wypadek zawalenia się mostu, w następstwie czego kilku ludzi poniosło ciężkie lub lżejsze uszkodzenia. Jedzenie na Austro-Amerykanie jest również liche; jak Anglicy na okrętach Cunardu dają jeść twarde rostbify, tak znowu Austro-Amerykana karmi swoich pasażerów konserwami mięsnymi z Argentyny, do których słodkawego smaku chłop nasz również przyzwyczaić się nie może.

W »Ospizio Maritimo« pomieszczenie dla pasażerów jest niedostateczne. Łazienki obrócono na pralnie. Skutkiem tego lekarze badają brudnych pasażerów z konieczności pobieżnie, narażając ich wobec surowych przepisów immigracyjnych Stanów Zjednoczonych na zakaz wylądowania. Na transporcie do Stanów zresztą Austro-Amerykanie widocznie niewiele zależy. Wedle tajnego układu z innemi towarzystwami okrętowemi (z któremi tworzy t. zw. *pool*), ma wyznaczoną pewną tylko ilość pasażerów, za którą wolno jej zgarnąć cały zarobek, podobno 17 tysięcy, wedle innych 14 tysięcy. Za nadwyżkę ponad tę liczbę od głowy płaci towarzystwo do funduszu wspólnego 70 K. Czy ten kontyngent jest ustalony raz na zawsze, czy też w razie rozwoju towarzystwa zabezpieczyło sobie ono na przyszłość większą ilość pasażerów, oczywiście nie wiadomo. To są rzeczy, trzymane w najściślejszej tajemnicy. A jednak od ich wiadomości zależy cała polityka nawigacyjna towarzystwa, domagającego się od rządu ciągłych subwencyi i przywilejów; rząd zaś nie tylko sam wiedzieć

o tych szczegółach winien, ale umożliwić nad nimi dyskusyę w obu izbach rady państwa. Urzędnicy towarzystwa Austro-Amerykana zachęcają pasażerów swoich do emigracyi do Argentyny, a w ostatnim czasie także do Brazylii; co do tych państw może trust towarzystw okrętowych nie ustanowił żadnego *maximum* pasażerów, może państwa te ponadto udzielają subwencyi za każdego przywiezionego emigranta.

W »Ospizio Maritimo« wymieniają każdemu pieniądze austryackie i rosyjskie na dolary, przyczem za dolar każą płacić 5 K 5 h, to znaczy więcej aniżeli równocześnie płacono w Tryeście w kantorach wymiany [1].

Ruski proboszcz Hanyckyj twierdził na ankiecie emigracyjnej z r. 1905, że każdy szynkarz w Galicyi jest podagentem Austro-Amerykany i otrzymuje po 10 K za głowę. Zdaniem jego, towarzystwo to spowodowało ogromny wzrost ruchu emigracyjnego w Austryi, a w szczególności w Galicyi. Jeśli zważymy, że Austro-Amerykana jedynem jest towarzystwem, uprawnionem do zakładania w myśl rozporządzenia ministeryalnego z 30 kwietnia 1904 l. 21903, w każdej gminie austryackiej agencyi, to twierdzenie to okazać się musi wysoce prawdopodobnem.

Komisarz policyjny Krzyżanowski w sprawozdaniu swojem do ankiety, o którem już powyżej była mowa, powiada dosłownie, że Austro-Amerykana zorganizowała w Galicyi korpus agentów, zachowujących troskliwie »dobre« tradycye zagranicznych przedsiębiorstw, tak że na widok tych ludzi wyrywa się westchnienie: »Policyo, strzeż mię przed »ojczystem przedsiębiorstwem« *(vaterländische Schiffahrtsgesellschaft).*

Naprzód podał w numerach z 17 i 18 maja 1906 r., że Austro-Amerykana posługuje się, jako jednym z agentów osobistością, karaną w procesie wadowickim kilkoma latami więzienia i to rzekomo tą samą, która w swoim czasie odgrywała rolę owego jenerała z pióropuszem, mającego zadanie nakręcania owego słynnego budzika w obecności zdumionych i zachwyconych wy-

[1] Bliższe szczegóły o stosunkach w Tryeście podałem w artykule p. t. »Wrażenia z Tryestu«, umieszczonym w drugim numerze *Straży Polskiej,* oraz w 10 numerze *Polskiego przeglądu emigracyjnego* z 20 maja 1908 r.

chodźców. Z przybyciem każdego pociągu do Krakowa rzucają się agenci Austro-Amerykany na biednych wychodźców, wloką ich do swoich biur, zmuszają do przerywania podróży i dopiero po odejściu pociągu wypuszczają tych, którzy już mają bilety okrętowe, tak, że emigranci tracą połączenia na Hamburg, Antwerpię lub Bremę, jako też często z najbliższymi statkami z tych portów odpływającymi. Celem uchylenia wszelkiego podejrzenia wydaje się odezwy do włościan z napisem: »Bracia w Chrystusie!«, o czem *Naprzód* wspomina z przekąsem ze względu na osobę agenta krakowskiego. Ludzi popycha się, bije, wyzywa, a jeśli się kto za nimi ujmié, grozi się śmiałkowi ministerstwem handlu i policyą, agent bowiem rzekomo otrzymał z ministerstwa prawo werbowania emigrantów na dworcu krakowskim. Kto posiada bilety kolejowe do portu zagranicznego, od tego odkupuje się je po tańszych cenach, celem skłonienia go do podróży przez »ciepłe morze Adryatyckie«. Kto zaś posiada karty okrętowe z portów zagranicznych, temu odsprzedaje się nabyte dopiero co bilety kolejowe, oczywiście po cenach oryginalnych. Handel kartami okrętowemi trwa pół nocy, podczas której chłopi w zimie przebywać muszą na ulicy. Zastępstwo bowiem krakowskie Austro-Amerykany nie zbudowało nawet baraku dla wychodźców. Póki emigranci nie kupili biletu kolejowego, a to oczywiście nastąpić może dopiero po nabyciu karty okrętowej, zarząd kolei nie pozwala im naturalnie na pobyt nocą w poczekalni III klasy, wobec czego muszą przenocować na wilgotnych kamieniach ulicy przed agencyą. Zanim po podobnych przejściach i kłopotach dostaną się wychodźcy do Tryestu, upłynie dni kilka. Z czterech portów północnych (Hamburg, Brema, Antwerpia, Rotterdam) odpływają okręty o wiele częściej aniżeli z Tryestu; natomiast w porcie austryackim trzeba czekać często i 10 dni, podczas których przedsiębiorstwo daje wprawdzie obecnie pożywienie za ryczałtową opłatą 5 K, ale zawsze to strata czasu i utrata pewnej ilości dni roboczych, którą zresztą również znacznie dłuższa przeprawa morzem z Tryestu do północnej Ameryki od drogi przez porty północne pociąga za sobą. W Tryeście wymieniają emigranci pieniądze na włoskie lub amerykańskie. Na okrętach oblicza się

atoli wszystko wedle waluty austryackiej względnie koronowej; w razie dokupienia żywności, co ze względu na lichy wikt bardzo często następuje, trzeba więc napowrót mieniać, przyczem oczywiście za każdym razem wyzyskuje się wychodźcę. Międzypokład jest brudny, powietrze niezdrowe i pełne wyziewów. Taka jest krótka treść dwóch obszernych a rzekomo przez byłego lekarza towarzystwa napisanych artykułów *Naprzodu*. Austro-Amerykana nie zadała sobie jednak trudu sprostowania powyższych twierdzeń, mimo że zapewne o nich od krakowskiego zastępcy swego wiedziała, nadto zaś obszernie zacytowałem je 15 stycznia 1907 r. w towarzystwie austryackich ekonomistów w Wiedniu, tudzież w rozprawie *Unsere überseeischen Auswanderer und die Enquête vom Jahre 1905* [1].

Na ankiecie emigracyjnej mówiono wiele o subagentach, na których tak chętnie zrzucają całą winę wielcy agenci, umywając ręce od wszystkich nadużyć przez swoich podwładnych popełnianych. Sekretarz krakowskiej Izby handlowej, dr. Benis, podał na ankiecie, że dotąd personal kolejowy pobiera za każdego wychodźcę jadącego z Oświęcimia do Bremy po 80 halerzy, tudzież że główni agenci zarabiają na emigrancie 18 marek, z których około 5 oddają subagentom.

Twierdził nadto dosłownie: »Cały interes towarzystw niemieckich spoczywa w Galicyi częścią w korespondencyi, częścią zaś na barkach tajnych, nielegalnie pracujących agentów«. »Żywioły te w haniebny sposób wyzyskują ludzi i cały interes demoralizują«. Jeneralny dyrektor północnego Lloydu, dr. Wiegand, miał również powiedzieć, że niemieccy agenci pracować muszą w Galicyi z szumowinami społeczeństwa a ci agenci miejscowi stoją na tak nizkim poziomie moralnym, że niepodobna tutaj nawet używać wyrazów »interes« lub »handel«. Z drugiej strony p. dr. Benis brał w obronę Austro-Amerykanę, twierdząc, że dlatego napotyka na takie trudności (jakie? wszak ma na każdym kroku przywileje), »ponieważ zwalczać musi wstrętną bandę sub-

[1] *Plener'sche Zeitschrift*, listopad 1907.

agentów« *(das klebrige, eckelhafte Agentenpack)*. Zauważyć tu wypada, że przedewszystkiem Austro-Amerykana subagentów nie tylko nie zwalcza, ale się nimi posługuje, powtóre zaś wytknąć, że dyrektor północno-niemieckiego Lloyda, von Pilis, przyznał na ankiecie emigracyjnej, że po zawarciu trustu okrętowego, własnych subagentów galicyjskich oddał w usługi Austro-Amerykanie, celem »dania jej sposobności do objęcia interesu«. Oczywiście więc agenci północno-niemieckiego Lloydu są identyczni z obecnymi agentami Austro-Amerykany a tem samem uwagi p. d-ra Wieganda i d-ra Benisa muszą mieć zastosowanie tak do jednych, jak i do drugich. Może zaś i cokolwiek cienia pada stąd na niewdzięcznych Piłatów-milionerów, którzy owej »wstrętnej bandzie« zawdzięczają swoje miliony.

Gdyby ministerstwo spraw wewnętrznych i namiestnictwo galicyjskie wglądnęły energicznie w działalność towarzystw okrętowych, odbywały od czasu do czasu w granicach udzielonej koncesyi przez zaufane organy surową a ścisłą kontrolę agencyi tak głównych, jak i ubocznych, gdyby bodaj kazały sobie przedłożyć protokóły licznych aktów karnych i doniesień przeciw krakowskiej agencyi Austro-Amerikany, znajdujących się w tutejszej c. k. Dyrekcyi policyi i w sądzie krajowym karnym, byłyby niewątpliwie w możności wydania stosownych zarządzeń. Jaskrawsze niedostatki istniały podobno tylko dawniej, ale faktem jest i dotąd niesłychanie rażącym, np. brak baraków, czy schronisk dla wychodźców w Krakowie, który zwłaszcza w miesiącach zimowych bardzo się daje odczuwać. Gdy pisałem w *Polskim Przeglądzie emigracyjnym* o braku stosownego pomieszczenia dla wychodźców w »Ospizio Maritimo« w Tryeście, w odpowiedzi p. redaktor Okołowicz słusznie wskazał na o wiele gorsze stosunki w Krakowie. Nie było to jednak argumentem przeciw słuszności mojego żądania, owszem, było jednem żądaniem więcej, w dodatku wystosowanem do tegoż samego przedsiębiorcy. Nie kto inny bowiem, tylko Austro-Amerikana, która zyski ciągnie z naszych wychodźców, powinna sumy pewne corocznie obracać na pożyteczne dla wychodźców inwestycye i to tak w Tryeście i Krakowie, jakoteż

w innych miejscowościach. Powinna zdobywając krocie tysięcy, wystarczające na sowite dywidendy dla akcyonaryuszów 16 milionowych przedewszystkiem zaspokoić żądanie społeczeństwa i urządzeniem wzorowych schronisk, baraków dla wychodźców, które nawet w takim Oświęcimie i Boguminie się znajdują, zorganizowaniem uczciwej zmiany pieniędzy, urządzeniem wzorowej kontroli lekarskiej i odpowiednich łazienek, jakoteż sprowadzaniem żywności z Monarchii austryackiej, jeśli już nie z Galicyi, okazać szczyptę dobrej woli, jeżeli w zamian żąda w imię »austryackiego patryotyzmu« popierania włosko-austryackiego portu i niemiecko-austryackich akcyonaryuszy przed portem i akcyonaryuszami niemieckimi, niderlandzkimi lub belgijskimi, za którymi bądź co bądź krótszy okres czasu jazdy morskiej do Północnej Ameryki i lepsze urządzenia ochronne w porcie i w drodze przemawiają.

Daleki jestem od przypisywania żywiołowego ruchu wychodźczego działalności agentów i subagentów; że jednak wielką ilość wychodźców skłaniają do emigracyi agenci i subagenci w usługach zamorskich towarzystw okrętowych i państw, to stwierdzają ludzie bezstronni z najrozmaitszych obozów. Twierdzi to niemiecki profesor, Karol Rathgen, znakomity znawca sprawy emigracyjnej w Schmollera *Jahrbücher*, a o wiele jeszcze stanowczej znany wódz socyalistyczny w Stanach Zjednoczonych, Maurycy Hillquit w czasopiśmie *Neue Zeit* 1907. Już sama ilość tych subagentów budzić musi poważne podejrzenie. Austro-Amerikana utrzymuje w Galicyi kilku tysięcy agentów. Red Star Line głównych agentów miała wedle twierdzenia Hillquita 1500, Anchor Line 2500, Linman Line 3400. Mr. Brown, inspektor immigracyjny Stanów Zjednoczonych, o którym wyżej była mowa, podaje, że w każdej wsi galicyjskiej znajdują się agenci najrozmaitszych towarzystw okrętowych.

Byłby czas, aby prasa galicyjska, a za nią ustawodawstwo wzięło się energicznie do piętnowania i tępienia tych nowoczesnych handlarzy ludźmi, którzy dla marnego zarobku, na podstawie fałszywych informacyi skłaniają braci swoich do opuszczenia ziemi ojczystej. Jakkolwiek dotąd niema ustawy ochronnej w spra-

wie emigracyjnej, mimo tyloletnich nawoływań izby poselskiej, to i w obrębie istniejących ustaw, byle ściśle i z uczciwą bezwzględnością wykonywanych, wiele możnaby zdziałać. Galicya nie może patrzeć dłużej obojętnie na to, w jaki sposób sprytni agenci wyludniają ją przy pomocy kłamliwych przedstawień w usługach zagranicznych towarzystw okrętowych i państw zamorskich. Galicya musi pokątnej agitacyi przeciwstawić powagę prawa, a przytem przez stworzenie przemysłu, intenzywnego gospodarstwa rolnego i podwyższenie płac roboczych w kraju, stworzyć najskuteczniejszą wobec knowań i zdzierstw agentów przeciwwagę.

Dr. Leopold Caro.

ROCZNICE MĘCZENNIKÓW [1].

Chwilą, która wiernych szczególnie tłumnie gromadziła przy grobach męczenników, był dzień t. zw. natalicyi, czyli pamiątki śmierci męczennika. Natalicye były jedną z najstarszych form kultu relikwii. Już w skreślonym przez naocznych świadków opisie męczeństwa św. Polikarpa († 155) czytamy o nich wzmiankę, która dla swej krótkości i zwięzłości naprowadza nas na wniosek, że natalicye były znane już przedtem, przynajmniej na Wschodzie. Kościół w Rzymie bowiem nie zostawił nam żadnych dowodów obchodzenia natalicyi w dwu pierwszych wiekach. Być może, że przed III wiekiem tej uroczystości w Rzymie nie obchodzono [2]; może też dlatego żaden z nagrobkowych napisów rzymskich z przed III wieku nie zaznacza daty śmierci męczennika. Atoli od III w. natalicye w rzymskim Kościele są już powszechne.

Zapytamy, w jaki sposób tak podniosła i publiczna uroczystość natalicyi była możliwą w czasach nieustannych niemal prześladowań wyznawców Chrystusa. Odpowiedź daje nam prawo rzymskie [3].

Prawdziwie opatrznościowo, równocześnie z pojawieniem się chrześcijanizmu, pojawia się w cesarstwie rzymskiem instytucya,

---

[1] Artykuł ten jest ustępem z obszerniejszej pracy o czci św. relikwii w starożytności chrześcijańskiej. *P. R.*

[2] Duchesne: *Origines du culte chrétien,* 283 sq. Paryż 1903.

[3] Cfr. P. Allard: *Le christianisme et l'empire romain de Néron a Théodose.* str. 79 sqq. Paryż 1903. — Kraus: *Roma sotterranea*, str. 54 sqq.

w której skład wchodzili przedewszystkiem ubodzy i niewolnicy, a której zadaniem było godne pochowanie każdego ze zmarłych swych członków. Były to t. zw. *collegia funaratitia*, *collegia tenuiorum*. Ustawodawstwo rzymskie patrzyło bardzo łaskawie na owe stowarzyszenia. Podczas gdy wszystkie inne potrzebowały zatwierdzenia i uprawnienia rządowego, *collegia funeratitia* mogły się zawiązywać bez wszelkiego nadzoru rządowego. Miały swoje własne cmentarze, swoją własną kasę, i własnych urzędników. Wszyscy członkowie zgromadzali się co miesiąc w celu złożenia miesięcznej wkładki. Należeli do tych stowarzyszeń także bogaci, którzy jako patroni wspomagali je swymi datkami. Zebranemi pieniądzmi pokrywano koszta pogrzebu i wspólnych uczt. Uczty te odbywały się bardzo często, z rozmaitych powodów. Na uczty zgromadzali się członkowie w dni, poświęcone swoim opiekuńczym bóstwom, w rocznice różnych uroczystości cesarskich i swych dobroczyńców z klasy zamożnych.

Oto jest klucz, który nam dość wyjaśnia niezbadaną jeszcze zadawalniająco kwestyę prawnego stanowiska chrześcijan. Jako *collegia funeratitia* mogli chrześcijanie posiadać swoje cmentarze, nie tylko pod ziemią, ale i na powierzchni ziemi, mogli się przy grobach w pewne dni zgromadzać. Miejsce pogańskich uczt i rozrywek zajęły u chrześcijan zgromadzania się w celach liturgicznych, w celu obchodzenia różnych uroczystości religijnych, a zwłaszcza natalicyi.

Nie zajmujemy się na tem miejscu więcej szczegółowo kwestyą związków pogrzebowych, chcieliśmy tylko temi kilku uwagami objaśnić ówczesne stosunki chrześcijan, by lepiej zrozumieć zwyczaj obchodzenia natalicyi w czasach prześladowania Kościoła. Oczywistą jest rzeczą, że od czasów Konstantyna W. natalicye przybrały jeszcze więcej na blasku, zwłaszcza, odkąd ten cesarz wydał rozkaz do rządców prowincyi, by i oni brali udział w uroczystościach męczenników [1].

Nakreślmy sobie obraz tej podniosłej uroczystości.

Po większych miastach już dzień lub kilka dni przedtem

[1] Euseb.: *De vita Constantini*, l. IV, c. 23, Migne: Patr. gr. 20, 1171.

zapowiadano w kościołach nadchodzącą pamiątkę śmierci męczennika, którego grób lub relikwie miasto posiadało. Tak zapowiadał natalicye św. Julitty, św. Bazyli [1], natalicye 40 męczenników św. Grzegorz Nysseński [2].

Wierni gromadzili się przy grobie męczennika już w przeddzień pod wieczór. Przez noc odprawiały się t. zw. wigilie. Większą część tego obrzędu wypełniało śpiewanie psalmów. Początkowo przejęto bez zmiany sposób wykonywania psalmów od synagogi żydowskiej [3]. Odśpiewywał je *solo* jeden śpiewak, a lud powtarzał za nim tylko końcową melodyę, stąd też nazwa *psalmus responsorius*. Widoczna, że ten sposób śpiewania psalmów zostawiał wiernych niemal zupełnie na uboczu, lud za mało był czynny w czasie nabożeństwa. Stąd też bardzo skwapliwie powitano i rozpowszechniono wszędzie zmianę, jaka się pojawiła w Antyochii, za biskupa Leoncyusza (344—357) [4]. Wszystkich wiernych podzielono na 2 chóry, które na przemian, podobnie jak się to dziś dzieje w czasie nieszporów, zwrotki psalmów śpiewały.

Śpiewanie psalmów przerywano pobożnem czytaniem. Zazwyczaj czytano wyjątki z Pisma św., jak tego ślad mamy u św. Chryzostoma. W jednej z homilii napomina wiernych, by uroczystości męczenników uświęcały ich życie, bo śmiesznem byłoby powracać do grzechów po tak uroczystych wigiliach, po wysłuchaniu Pisma św. [5].

Oprócz Pisma św. czytano także akta męczeńskie świętego, którego natalicye obchodzono. Stąd n. p. autor opisu śmierci św. Perpetuy i Felicyty życzy sobie, by i te dzieje odczytywano »ku zbudowaniu Kościoła« [6]. W prowincyi afrykańskiej działo się to powszechnie z rozkazu synodu, stąd też św. Augustyn częstokroć nawiązuje swą mowę ku czci męczennika do odczytanych dopiero

[1] *Hom. in martyrem Julittam*, n. 1, M. P. gr. 31, 238.

[2] *In 40 martyres or. III*, M. P. gr. 46, 774.

[3] P. Wagner: *Ueber den Psalmengesang in christl. Altertum*, drukowane w *Compte rendu du IV congrès scientifique des catholiques*. Section dixième, str. 201.

[4] Duchesne: *Origines du culte chrétien*, str. 114. Paryż 1903.

[5] *Hom. in Martyres*, M. P. gr. 50, 664.

[6] *Passio SS. Perpetuae et Felicitatis*, c. XXI, Knopf: l. c. str. 57.

co jego aktów męczeńskich [1]. W ten sposób wierni poznawali cnoty świętego, zapalali się do ich naśladowania.

Po odczytaniu dziejów męczeńskich, powszechnym zwyczajem, występował biskup z kazaniem. Biskupi uważali głoszenie słowa Bożego przy tej sposobności za swój ścisły obowiązek. Św. Chryzostom zapowiedział raz swoim wiernym szereg nauk przeciw błędom Anomejczyków. Tymczasem już po pierwszej nauce nastąpiła dłuższa przerwa, ponieważ musiał przemawiać często na natalicyach. »Nadeszły — mówi — częste pamiątki męczenników, a trudno było nie głosić chwały takich zapaśników« [2]. Znów kiedyindziej, dla podobnej przyczyny, przerywa inny szereg kazań [3]. Owszem, bywały wypadki, że w dniu natalicyi przemawiało nawet kilku biskupów. W święto 40 męczenników w Sebaste przemawiał do ludu św. Bazyli i św. Grzegorz Nysseński; w natalicye św. Tekli w Seleucyi występowali z panegirykami, oprócz obecnych biskupów, i świeccy mowcy [4]. Chrześcijańska starożytna literatura pozostawiła nam bardzo wiele z tych mów, które posiadają dla historyi kultu relikwii niezmiernie cenną wartość.

Treścią ich, jak łatwo spodziewać się można, było znów życie i męczeńska śmierć świętego. Okrucieństwo prześladowców, stałość i męstwo męczenników dostarczały bardzo wiele treści moralnej i przykładów do naśladowania. Gorąca zachęta do wstępowania w ślady świętego, lub polecanie opiece jego wszystkich zgromadzonych, losów Kościoła, miast i państw, stanowiło zazwyczaj koniec mowy pochwalnej na cześć męczennika.

Główny punkt natalicyjnej uroczystości wypełniała ofiara mszy św. Św. Cypryan mówi, że odprawia mszę św. w dniu pamiątki śmierci męczenników za wszystkich, o których śmierci doniósł mu Tertullus [5]. Toż w innym liście: »Święte ofiary składamy za nich (męczenników) zawsze... ilekroć obchodzimy do-

---

[1] Binterim: *Die vorzüglichsten Denkwürdigkeiten der christ-katholischen Kirche,* v, 1, str. 108.

[2] *De incomprehensibili Dei natura,* sermo II, M. P. gr 48, 709.

[3] *De Anna,* sermo I, M. P. gr. 54, 634.

[4] Lucius: *Anfänge des Heiligenkults,* str. 315.

[5] *Ep. 37,* M. P. lat. 4, 336.

roczną pamiątkę dnia ich śmierci« [1]. W aktach św. Tryfona i Respicyusza czytamy podobną wzmiankę o mszy św., odprawianej przez licznych kapłanów w rocznicę ich śmierci [2]. Zna ów zwyczaj także św. Chryzostom [3].

W czasie mszy św. wierni przystępowali do komunii św., jak tego dowód mamy w listach św. Bazylego. »Komunię przyjmujemy — pisze [4] — ... (prócz stałych czasów) i w inne dnie, kiedy się obchodzi pamiątkę jakiego świętego«.

Już sam przebieg nabożeństwa natalicyjnego daje nam wyobrażenie o wielkim majestacie uroczystości natalicyjnej. Nie zapominano atoli i o zewnętrznym blasku, by dzień męczennika szczególniej uświetnić. Kościół przystrajano w kwiaty i zieleń, na ścianach i drzwiach rozwieszano drogie, barwne materye. Grób otaczano złotymi świecznikami, na których płonęły rzęsiste światła [5]. Dzień natalicyi wydawał się wielkiem świętem.

Istotnie wspaniała była to uroczystość.

Św. Chryzostom, zachwycony onym blaskiem ziemskiej chwały męczennika, zapytuje się, jakże wielką chwałą musi darzyć męczenników Bóg w niebie, kiedy taką czcią otaczają ich ziemianie, chociaż oni nie za nich krew przelewali [6]. Indziej znów nie waha się wprost powiedzieć wiernym, zgromadzonym w dzień natalicyi: »Noc zamieniliście na dzień przez te święte wigilie« [7]. »Cóż wspanialszego mówi św. Asteryusz — można porównać z temi zebraniami?« [8].

Nie mielibyśmy dokładnego pojęcia o świetności tych uroczystości, gdybyśmy zamilczeli o wielkim zapale i gorliwości, z jaką niezliczone tłumy wiernych na natalicye podążały. Musiało to być bardzo wybitnem zjawiskiem, kiedy w literaturze chrześcijańskiej tak częste napotykamy wzmianki o niem.

---

[1] *Ep. 34,* M. P. l. 4, 331.
[2] Binterim, l. c. str. 108.
[3] *Hom. in Martyres,* M. P. gr. 50, 664.
[4] *Ep. II, 93,* M. P. gr. 32, 483.
[5] Lucius: *Anfänge des Heiligenkults,* str. 311 (r. 1904).
[6] *In S. Julianum M.,* n. 1, M. P. gr. 50, 665.
[7] *Hom. in Martyres,* M. P. gr. 50, 663.
[8] *Hom. in SS. Martyres,* M. P. gr. 40, 315.

Np. na natalicye 40 męczenników tak wielki był napływ ludzi, że św. Grzegorz Nyss. był zmuszony przerwać swe kazanie [1]. Na drugi dzień dokończył kazania od tego miejsca, na którem stanął »z powodu owego pożądanego i przyjemnego zgiełku gromadzących się rzesz« [2]. Na natalicye św. Gordyana ludność tak licznie podąża do grobu za miasto, za świadectwem św. Bazylego [3], jak rój pszczół, wypuszczonych z ulów. Św. Phokas M., w dniu swoich natalicyi w Amazyi, »ściąga wszystkich w zbitym szeregu do swego przybytku (do grobu) i drogi publiczne przepełnione są tymi, którzy ze wszystkich okolic do miejsca modlitwy zdążają« [4]. Jakże tłumnie było na zamiejskich cmentarzach Antyochii w dzień natalicyi spoczywających tam męczenników, jak się dowiadujemy z wygłoszonej wtedy mowy św. Chryzostoma. »Całe niemal miasto tutaj się zebrało«. Starcy, młodzież, świat urzędniczy, bogaci, ubodzy — oto ci, których tu, »jakby jedną wielką rzeszę, okoloną łańcuchem«, przywiodła miłość ku męczennikom [5]. Nie dziwi nas teraz bynajmniej, że patrzącemu na to morze ludzi, wyrwał się z ust okrzyk: »Noc zamieniliście na dzień przez te święte wigilie«. Podobne tłumy wita przy grobie św. Teodora M. św. Grzegorz Nyss., zdziwiony, że nawet ostra zima nie zmniejszyła liczby czcicieli świętego [6].

Istniał już wówczas zwyczaj, niemniej podnoszący uroczysty nastrój święta męczenników, że na dzień natalicyi spraszano innych biskupów z różnych miast. Tak np. biskup Melecyusz zaprasza św. Bazylego, by w połowie czerwca przybył na natalicye męczenników do Phargamum, »miejsca słynnego chwałą męczenników, gdzie dorocznie obchodzi się święto przy współudziale bardzo licznej ludności« [7]. Św. Bazyli znów zaprasza do siebie Amphilocha, biskupa Ikonium na dzień 7 września, na natalicye

[1] Gregorius Nyss., *Hom. I in 40 Martyres,* M. P. gr. 46, 755.

[2] Idem, *Or. in 40 Martyres,* ibidem col. 758.

[3] *Hom. in S. Gordium,* n. 1, M. P. gr. 31, 490.

[4] S. Asterius *Hom. in S. Phocam,* M. P. gr. 40, 307; cfr. *Hom. in SS. Martyres,* ibidem col. 315.

[5] *Hom. in SS. Martyres,* M. P. gr. 50, 663.

[6] *Hom. de S. Theodoro M.,* M. P. gr. 46, 735.

[7] S. Basilius: *Ep. II, 95,* M. P. gr. 32, 490.

św. Eupsychiusza, »ażeby uroczystość, którą tu kościół corocznie na cześć męczenników obchodzi, tem świetniej wypadła« [1]. Szczegół ten miał miejsce w r. 374, zaś poprzedni w r. 372. Znów w r. 376 rozpisuje św. Bazyli listy do wszystkich okolicznych biskupów, by przybyli na natalicye św. Eupsychiusza i Damasa, które tu »corocznie obchodzi całe miasto i cała sąsiednia okolica«. Z tego też listu [2] dowiadujemy się, że to przybywanie biskupów na święta męczenników było już wtedy »dawnym zwyczajem«.

Ślady podobnego zwyczaju w Italii widzimy w Noli na natalicyach św. Feliksa w r. 402. Przybył na nie w towarzystwie swoich księży Nicetes, biskup Dacyi [3]. Sam św. Paulin w jednym z swoich listów [4] wspomina o swojej podróży do Rzymu na natalicye św. Piotra i Pawła w r. 399, a gdzieindziej [5] dodaje, że było to jego corocznym uroczystym zwyczajem. Jakoż rzeczywiście w r. 400 znów go w Rzymie na tej uroczystości widzimy [6].

Myślimy, że podobny zwyczaj istniał nie tylko w metropolii św. Bazylego i w Kościele rzymskim, ale i w innych prowincyach, przynajmniej na Wschodzie.

Przypuszczenie to nabiera jeszcze więcej prawdopodobieństwa w świetle tej okoliczności, że na natalicye nadchodził lud wierny nawet z dalekich miast i wiosek. »Patrz, jak nawet miasta zbiegają się do grobów męczenników« powiedział raz św. Chryzostom [7]. Toż św. Grzegorz Nyss. odzywa się do wiernych, zaraz na wstępie mowy, wypowiedzianej w natalicye św. Teodora: »Któż wam dał znak do podjęcia podróży do tego świętego miejsca, wam, którzyście tu tłumnie spłynęli zewsząd i z miast i z wiosek?« [8]. Do grobu św. Hippolita przybywali na natalicye, za świa-

---

[1] S. Basilius: *Ep. II, 176,* M. P. gr. 32, 654; cfr. *Ep. II, 100,* col. 503.

[2] S. Basilius: *Ep. II, 252.* M. P. gr. 32, 939; cfr. *Ep. II, 282,* ibid. col. 1018.

[3] S. Paulinus Nolanus: *Poëmata,* XXVII, v. 151—163 M. P. l. 61, 651 sq.

[4] *Ep. XVII, n. 1,* M. P. l. 61, 235.

[5] *Ep. XLV, n. 1,* ibidem, col. 392.

[6] *Ep. XX, n. 2,* ibidem, col. 247.

[7] *Expositio in ps. 115,* M. P. gr. 55, 326.

[8] *De S. Theodoro M.,* M. P. gr. 46, 735.

dectwem Prudencyusza, mieszkańcy Etruryi, Samnium, mieszkańcy Kapuy, Noli i t. d. [1].

W nader poetyczny sposób opisuje nam św. Paulin z Noli tłumny napływ ludzi ze wszystkich stron Italii do Noli na natalicye św. Feliksa w r. 396. Byli tam wierni z Apulii, Kampanii, Kalabryi, Samnium i t. d. Nawet sam Rzym, posiadacz grobów apostolskich, chętnie na ten dzień się wyludniał.

Ipsaque caelestum sacris procerum monimentis
Roma Petro Pauloque potens, rarescere gaudet
Huius honore diei... [2].

O natalicyach roku poprzedniego zapisał:

Niezliczone miasta podziwiamy w jednem mieście... [3].

Na tem miejscu wspomnieć nam także trzeba o kalendarzach, które, o ile można wnosić ze źródeł dotychczas znanych, pojawiają się już w IV w., a które powiadamiały wiernych, gdzie i kiedy jakie natalicye przypadały. Każdy kościół miał swój kalendarz [4]. Najstarszym takim znanym zabytkiem jest kalendarz kościoła rzymskiego, ułożony za papieża Milcyadesa (311—314), potem kilkakrotnie powiększany, mianowicie za papieży: Marka (336), Liberyusza (352—366), Innocentego (401—417). Kalendarz ten, przeznaczony do użytku wiernych, zapisywał święta i uroczystości różnych bazylik i cmentarzy, w tym celu, by wierni mogli się zbierać w stosownym czasie na owe uroczystości. Owszem znamy z IV w. kalendarz, przeznaczony do prywatnego użytku jakiegoś chrześcijanina Walentyna, zredagowany przez Filokala. Zaznacza nam on niektóre natalicye, zwłaszcza w Rzymie i blizkiej okolicy, na które widocznie Walentyn miał zwyczaj uczęszczać [5].

Tem, co miało, według Wigilancyusza, największego ówczesnego przeciwnika kultu relikwii, psuć i obniżać podniosłość na-

---

[1] *Peristephan.* XI, v. 200 sqq., M. P. l. 60, 551 sq.

[2] *Poëmata,* XIV, v. 50—85, M. P. l. 61, 466.

[3] *Poëmata,* XIII, v. 25, ibidem col. 464.

[4] Duchesne: *Origines du culte chrét.,* str. 289.

[5] Cfr. *Martyrologium Hieronymianum,* edit. De Rossi et L. Duchesne: *Prolegomena,* p. XLIX sq. w *Acta SS. Novembr.* t. II.

talicyjnych uroczystości, były t. zw. *agapy*, czyli uczty wspólne przy grobach męczenników. Protestanci umieją wiele mówić na ten temat, bo chętnie malują w jaskrawych barwach to, co może rzucić cień na ówczesny stan Kościoła św. Zbadajmy więc to zjawisko bezstronnie. Szczęściem, źródła ówczesne, dotyczące tego przedmiotu, są tak liczne, że nakreślenie wiernego obrazu uczt natalicyjnych nie przedstawia żadnej trudności.

Nie należy sądzić, że zwyczaj uczt natalicyjnych był w całem chrześcijaństwie powszechny. Św. Augustyn kilkakrotnie powtarza, że w wielu okolicach ten zwyczaj nigdy się nie przyjął[1]. Były to atoli wyjątki, może nawet dość nieliczne.

Gdzie szukać źródła owego zwyczaju? Wiadomo, że chrześcijaństwo zaczęło kiełkować i rozwijać się w otoczeniu zupełnie pogańskiem, które miało właściwe sobie, z dawna zakorzenione zwyczaje i nawyknienia. Do rzędu tych zwyczajów należały też wspólne, huczne uczty, które były niezbędną częścią wszelkich obchodów, więcej uroczystych, jak pogrzebowych i świątecznych. Wszyscy dziś podziwiamy wielką roztropność pierwotnego Kościoła, jaką zachował w swem stanowisku do form pogańskich. Mimo, że Kościół starał się we wszystkiem wyodrębnić od pogaństwa, to jednak wszystkich mostów zrywać nie miał zamiaru, owszem, liczył się bardzo z słabą naturą nawróconych do wiary św. pogan. Wiele więc zwyczajów Kościół przejął z dawnej kultury, tylko je uszlachetnił i do pojęć chrześcijańskich dostroił.

Podobnie się rzecz miała i z ucztami natalicyjnemi, które, w myśli Kościoła, miały być surrogatem uczt, obchodzonych w czasie świąt pogańskich. Trafna to była polityka, jak się okazało z owoców. Sam Julian Odstępca zauważa, że temi ucztami chrześcijaństwo wielu pogan skłoniło do wzgardy bóstw a wprowadziło do łona Kościoła[2]. Tak nam tłumaczy genezę uczt natalicyjnych św. Grzegorz Nyss. w żywocie św. Grzegorza Cudotwórcy. Chwali mu to św. Grzegorz Nyss., że, przyzwyczajonemu

---

[1] Cfr. *Ep. I, 29. n. 10,* M. P. l. 33, 119; *De civit. Dei,* l. VIII, c. 27, M. P. l. 41, 255.

[2] Binterim: *Denkwürdigkeiten der kath. Kirche,* t. II, 2, str. 72. Moguncya 1838.

w pogaństwie do zabaw i rozrywek ludowi, zezwolił na odprawianie uczt w święta męczenników, by te niewyrobione jeszcze umysły, nie zechciały kiedyś powrócić do dawnych przesądów[1]. Zupełnie tak samo wyjaśnia zjawisko uczt natalicyjnych św. Augustyn[2]. Owszem, z tych samych powodów, jeszcze Grzegorz W. poleca zachować ten zwyczaj w nowo nawracającej się Brytanii[3].

Chrześcijaństwo atoli umiało nadać tym ucztom wyższy charakter, stworzyło z nich instytucyę miłosierdzia Chrystusowego. Były to uczty, urządzane dla uboższej klasy chrześcijan a nie ofiary, składane męczennikom. Stąd też św. Augustyn na zarzut Fausta, manichejczyka, jakoby chrześcijanie zamienili pogańskie ofiary, składane z potraw bogom, na ofiary męczenników w formie agap, odpowiada: »Nie zamieniliśmy ofiar ich (pogan) na agapy, lecz ofiarę tę... zrozumieliśmy według słów Pana. Miłosierdzia chcę a nie ofiary. Agapy bowiem nasze żywią ubogich... Ponieważ na naszych agapach zazwyczaj także rozdaje się ubogim potrawy mięsne, stąd miłosierdzie chrześcijan nazywacie ofiarami pogańskiemi«[4]. Ten charakter uczt natalicyjnych, jako instytucyi miłosierdzia, znamionuje nam także szczegół, jaki podaje św. Augustyn o swej matce, św. Monice. Na natalicye męczenników chodziła zawsze z różnemi potrawami, które rozdzielała między ubogich[5]. Wspomina i św. Hieronim o niewiastach, ten zwyczaj zachowujących, tylko im wyrzuca, że czynią to z pewną dumą i wyniosłością[6]. Piękność moralną tak pojętych uczt ocenimy tem dokładniej, jeżeli uwzględnimy, że na natalicye przychodził lud ubogi nieraz z bardzo daleka. Miłosierdzie chrześcijańskie nie pozwoliło wówczas ubogiemu żebrać na pożywienie, ale zapraszało go, jako przyjaciela, do stołu. Gdyby nie nadużycia, jakie się w wieku IV w czasie tych uczt pojawiły, nie podniósłby się był zapewne żaden głos przeciw nim. Właśnie ta

---

[1] *De vita S. Gregorii Thaumaturgi*, M. P. gr. 46, 954.
[2] *Ep. I, 29, n. 9*, M. P. l. 33, 118.
[3] *Ep. XI, 71*, M. P. l. 77, 1215.
[4] *Contra Faustum*, l. XX, c. 20, M. P. l. 42, 383.
[5] *Confessiones*, l. VI, c. 2, M. P. l. 32, 719.
[6] *Ep. 22, n. 32*, M. P. l. 22, 418.

troska o ubogich, za wyżej przytoczonem świadectwem Juliana Odstępcy, czyniła chrześcijaństwo tak ponętnem w oczach wielu bardzo pogan. Stąd też św. Augustyn, który szczególniej energicznie walczył za zniesieniem uczt natalicyjnych, dla częstych nadużyć, pragnął jednak zachować ową instytucyę miłosierdzia w innej formie, mianowicie, by zamiast uczt, sprawianych ubogim, ofiarowywano ubogim przy grobach świętych jałmużnę pieniężną [1].

Wyjaśniliśmy już wystarczająco genezę i charakter uczt natalicyjnych, przypatrzmy się teraz ich stronie ciemniejszej t. j. nadużyciom, zachodzącym podczas tych uczt. Nie da się zaprzeczyć, że te nadużycia pojawiały się wszędzie, gdziekolwiek obchodzono agapy natalicyjne.

Swiadkiem nadużyć w Italii jest św. Ambroży. Mówi on o chrześcijanach swego czasu, którzy »do grobów męczenników przychodzą z kielichami i piją na tem miejscu aż do samego wieczora... Nierozumni... sądzą, że opilstwo podoba się tym, którzy wśród postów mękę ponieśli« [2]. Niebawem św. Ambroży zniósł w swojej dyecezyi uczty natalicyjne. Kiedy św. Monika w Medyolanie przyszła razu pewnego do grobu męczennika w ten sposób, jak to wyżej wspomnieliśmy, stróż grobowca, na podstawie zakazu św. Ambrożego, nie pozwolił jej wstąpić do świątyni [3]. O podobnych nadużyciach wspomina również św. Zeno († około r. 380) biskup Werony, tylko miały one miejsce, jak się zdaje wynikać z jego słów, nie przy grobach męczenników, ale w jakichś ciemnych zaułkach cmentarzy. »Z namiętności do swywoli i opilstwa potworzyli sobie pełnymi kielichami męczenników (czyli groby męczenników) w skrytych miejscach« [4]. Być może, że było jeszcze więcej biskupów Italii, którzy piętnowali ową swywolę, bo św. Augustyn w liście do Aureliusza biskupa, w którym zachęca do stanowczego wykorzenienia zwyczaju uczt natalicyjnych, powołuje się na powszechny prawie tego przykład biskupów włoskich [5].

---

[1] S. Augustinus: *Ep. I, 22*, M. P. l. 33, 92.
[2] *De Elia et ieiunio*, c. 17, n. 62, M. P. l. 14, 754.
[3] S. Augustinus: *Confess.*, l. VI, c. 2, M. P. l. 32, 719.
[4] S. Zeno: *Opera*, l. I, tract. XV, c. 6, M. P. l. 11, 366.
[5] *Ep. I, 22*, M. P. l. 33, 91.

Przejdźmy z Italii do Azyi Mniejszej. Nie brak i tu skarg na nadużycia, popełniane w czasie uczt natalicyjnych. Św. Grzegorz Naz. ostrzega wiernych [1], by nie przychodzili na święta męczenników po to, by schlebiać przyjemnościom żołądka, zażywać zmiennych i krótkotrwałych rozkoszy, by miejsc, gdzie są groby świętych, nie czynić miejscem hulaszczych wybryków. »Cóż bowiem ma wspólnego z walką męczenników rozkosz ciała?« Nie jest atoli św. Grzegorz Naz. stanowczym przeciwnikiem pomienionych uczt, lecz tylko gromi pojawiające się na nich występki. »Nie chcę atoli — mówi — zakazywać skromnej rozrywki, lecz tylko wzbraniam rozwiązłości«. Dotyka jeszcze tego samego przedmiotu w swoich wierszach. Oto, jak np. przemawia do Świętych, mając na myśli uczty natalicyjne:

»Męczennicy, powiedzcie nam, czy na prawdę podobają się wam nasze zebrania« (w czasie natalicyi).

To znów do wiernych:

»Nie myślcie błędnie, jakoby męczennicy byli wielbicielami żołądka...«

Wreszcie raz jeszcze zwraca się do Świętych w tych słowach:

»Świadczę się wami, zwycięzcy i męczennicy: znieważyli chwałę waszą czciciele żołądka...« [2].

Największe jednak rozmiary przybrały te nadużycia w Afryce. Szczególnie wiele świadectw pozostawił nam św. Augustyn. »Dlaczegóż ci to — zapytuje raz taką przyjemność sprawia, obchodzić natalicye nieskromnemi ucztami?« [3]. — »Widzicie — mówi gdzieindziej [4] — jak wielu biegnie do świątyń męczenników, błogosławi kielichy na grobach męczenników, i syci wracają od grobów męczenników. Ci są powodem zamieszania, niezgód i wszelkiego rodzaju lubieżnych tańców«. Z tych powodów, już przed św. Augustynem, zakazano wszelkich rozrywek przy grobie św. Cypryana, gdzie szczególniej przekraczano granicę i miarę w ucztach.

Stąd wielki biskup Hippony nie szczędził sił, by doszczętnie

---

[1] *Oratio XI ad Greg. Nyss.*, n. 5. 6., M. P. gr. 35, 838 sq.

[2] *Epigrammata*, M. P. gr. 38, 97 sq.

[3] *Sermo 352, n. 11*, M. P. l. 39, 1548.

[4] *Sermo in natali S. Laurentii M.*, M. P. l. 46, 857.

wykorzenić ów zwyczaj. Miewał często na ten temat kazania i nauki. W powyżej nadmienionym liście do Aureliusza podaje św. Augustyn przebieg myśli jednego z tego rodzaju kazań. Jego też dziełem, jak powszechnie przypuszczają, jest kanon III-go synodu kartagińskiego z r. 393, który zakazywał biskupom, jak wogóle całemu duchowieństwu, brać udział w ucztach, odbywających się w kościołach. Ile tylko można, należało także z polecenia tegoż synodu, i lud od tych uczt odwodzić [1].

Bezsprzecznie więc działy się nadużycia na ucztach natalicyjnych. Słusznie gromili je biskupi pierwszych wieków, pochwalić należy wielkie, choć nie wszędzie uwieńczone pomyślnym skutkiem, usiłowania do wykorzenienia zwyczaju tego rodzaju uczt. Wypadki, choćby nieliczne, takich nadużyć, nie licowały przecież z świętością kościołów i grobów męczenników, do których trzeba było spieszyć na modlitwę a nie na swobodne uczty. Jednak bądźmy sprawiedliwymi w sądzie i nie przesadzajmy zbytniem rozszerzaniem granic dla owych nadużyć. Stanowczo za ostro osądził je np. Binterim, twierdząc [2], że po czasach Konstantyna więcej działo się złego na ucztach natalicyjnych w pewnych okolicach, jak dobrego. Jeszcze ostrzej wyrażają się protestanci. Takie zdania opierają się oczywiście na przypuszczeniu, że niemal wszyscy, albo przynajmniej wcale poważna część biesiadników na ucztach natalicyjnych, oddawała się takiej rozpuście. Tymczasem przypuszczenie to jest zgoła bezpodstawne. W porównaniu do olbrzymich tłumów, jakie brały udział w świętach natalicyjnych, część chrześcijan, obniżających swem zachowaniem się uroczysty nastrój świąt, była stosunkowo dość nieznaczna.

Poświęćmy kilka uwag uzasadnieniu naszego twierdzenia. Z tego, że owe nadużycia były częstym przedmiotem publicznych kazań Ojców św., jeszcze nie można wnosić, że one były tak bardzo powszechne. I dziś mamy zwyczaj, nie tylko na ambonie, ale także i w prasie, karcić ostro występki, które przecież nie są chlebem codziennym wszystkich. Owszem, gdyby ktoś, zgodziwszy

---

[1] Hardouin: *Collect. concilior.*

[2] *Denkwürdigkeiten der christ-kath. Kirche,* t. II, 2 str., 73 sq.

się na powyższy sąd protestantów i niektórych katolickich pisarzy o rozmiarach nadużyć na ucztach natalicyjnych, zechciał szukać w literaturze chrześcijańskiej pierwszych wieków śladów ostrego piętnowania tych nadużyć, to zdziwiłby się niepomiernie, że Ojcowie Kościoła tak mało mówili o owym występku. Wyjąwszy św. Augustyna, nie napotykamy u innych Ojców tak częstych przygan ucztom natalicyjnym, jakby się tego spodziewać należało, gdyby te nadużycia były tak powszechne. Ot np. u św. Ambrożego, który zniósł uczty natalicyjne, w tak wielu znanych nam mowach jego, spotykamy zaledwie jedną, powyżej zapisaną, wzmiankę o nadużyciach. To samo spostrzeżenie można zrobić na tak licznych mowach na cześć męczenników, głoszonych przez św. Chryzostoma, Grzegorza Nyss. i Grzegorza Naz. Doprawdy to zjawisko jest zupełnie niezrozumiałem w hypotezie o powszechnem i częstem nadużywaniu uczt natalicyjnych, bo przecież ci Ojcowie nie umieli być pobłażliwymi na rzeczywiste, większe grzechy swych wiernych.

Nawet z samych świadectw św. Augustyna można łatwo wywnioskować, że owe nadużycia były tylko wyjątkami. Kiedy np. w jednej z mów wyrzucał wiernym, jak bardzo brzydzą się męczennicy ich swawolą, rozpustą i opilstwem w czasie natalicyi, dodał to sprostowanie: »Nie chcę atoli krzywdzić tych, którzy tego nie czynią: ci niech to do siebie zastosują, którzy tak postępują« [1]. Przecież to sprostowanie byłoby zbytecznem, gdyby ten grzech był powszechnym i częstym. Toż znów w dziele *De civitate Dei*, przeznaczonem dla szerszych kół, mówi wyraźnie, że nie wszyscy przychodzą do grobów męczenników z potrawami a ci, »którzy to czynią, po złożeniu ich (potraw) przy grobie, modlą się i zabierają je, by się niemi pożywić lub też podzielić się z potrzebującymi, oraz pragną, by dla zasług męczenników błogosławieństwo na nie spłynęło« [2]. Sądzimy, żeby był św. Augustyn w tem zwłaszcza dziele surowiej napiętnował uczty natalicyjne, gdyby one były powszechną plamą ówczesnego chrześci-

[1] *Sermo 273*, M. P. l. 38, 1251.
[2] *De civitate Dei*, l. VIII, c. 27. M. P. l. 41, 255.

jaństwa, lub przynajmniej starałby się usprawiedliwić w oczach pogan owe nadużycia.

Ale i wśród wiernych nie było świadomości winy powszechnej z powodu tych nadużyć, jak to możemy wnosić ze stawianego oporu dążnościom władzy duchownej do zniesienia zwyczaju uczt natalicyjnych. Prawdopodobnie po ogłoszeniu kanonu synodu kartagińskiego miały miejsce one, zanotowane przez św. Augustyna, szemrania chrześcijan, że sobie nie pozwolą znieść tej uroczystości [1]. Toż również po kazaniu przeciw tym ucztom, o którem donosił biskupowi Kartaginy, Aureliuszowi, słychać było między wiernymi tego rodzaju wymówki: »Ażaliż ci, którzy nam tego przedtem nie zabraniali, nie byli chrześcijanami?« [2]. Chyba trudno u tych chrześcijan przypuścić taki zanik uczuć etycznych i formalny bunt przeciw władzy duchownej, iżby obstawali za zatrzymaniem tego, co nie było niczem więcej, jak tylko powszechną obrazą Boga. A dodajmy, że trudność w zaniechaniu tego dawnego zwyczaju miała nawet sama św. Monika. Oto, jak nam to przedstawia św. Augustyn: »A jednak zdaje mi się, Panie i Boże mój, i tak w obliczu Twem czuje serce moje, że może nie tak łatwo zgodziłaby się matka moja na wykorzenienie tego zwyczaju, gdyby jej był tego zabraniał kto inny, którego nie miłowała tak, jak Ambrożego« [3]. Myślimy, że ten szczegół wiele przemawia za naszem przypuszczeniem.

Lecz szukajmy jeszcze innych świadectw. Oto np. sąd św. Chryzostoma o ucztach natalicyjnych. Kiedy już wyłuszczył wiernym, jak wiele korzyści dla duszy można odnieść z uroczystości męczennika, tak mówi: »Ale pragniesz może posilić się także materyalnie? Dobrze, po skończonem nabożeństwie wolno tu obok świątyni męczennika i ciału rozrywki nie poskąpić... Wzrok bowiem, zwrócony ku męczennikowi, który jest tak blizko, że niemal przy stole ci towarzyszy, nie pozwoli, byś rozrywkę w grzech obrócił; bo męczennik, jak gdyby z blizka oczyma wiary widziany nauczyciel i ojciec najlepszy, powstrzymuje od żbytniego śmiechu,

[1] S. August. *Ep. I, 29, n. 2,* M. P. l. 33, 115.
[2] Ibidem n. 8, col. 118.
[3] *Confess.* l. VI, c. 2. M. P. l. 32, 720.

strzeże przed nieskromnemi rozkoszami, wzbrania wszelkich wybryków ciała...« [1]. Św. Paulin, biskup Noli, potrącając w swym hymnie z r. 402 o uczty w dzień św. Feliksa, mówi, że należy wiernym wybaczyć tę rozrywkę, jaką sobie sprawiają »małemi ucztami«, bo nie traci na tem pobożność, dla ich prostoty, nieświadomej wielkiej winy [2]. Aby zaś ustrzedz wiernych od tych nadużyć, ozdobił św. Paulin całą świątynię męczennika licznymi obrazami z dziejów śmierci św. Feliksa, by lud, zajęty ich oglądaniem, nie miał już wiele czasu na uczty. Co więcej? Jeszcze Teodoret, biskup Cyru († 458) w apologetycznem dziele, napisanem pod koniec życia, mógł śmiało przeciwstawić rozpustnym pogańskim uroczystościom skromne uroczystości natalicyjne chrześcijan »bez opilstwa, żartów i śmiechów« [3]. A więc jeszcze w połowie wieku V można było wobec czytelników pogańskich chwalić skromność uczt natalicyjnych.

Nie ulega przeto najmniejszej wątpliwości, że owe nadużycia na ucztach natalicyjnych nie przybierały tak olbrzymich rozmiarów, by na nich więcej było plam jak światła. Zapewne ze względów czysto pedagogicznych malowali je przed oczyma wiernych pierwsi wychowawcy chrześcijaństwa w barwach nieco jaskrawszych, jak było w rzeczywistości, ale też nie brak nam dowodów, które nam pozwalają ścieśnić nieco te granice, jakie się powszechnie tym nadużyciom zakreśla.

Po tem, cośmy o ucztach natalicyjnych powiedzieli, możemy bez wahania uwierzyć w szczerość i bezstronność odpowiedzi św. Hieronima na zarzut Wigilancyusza, że owe nadużycia były grzechem zepsutych młodzieńców i niewiast, a nie chrześcijan [4].

Wspomnijmy u końca tego szerokiego opisu uroczystości natalicyjnych o kilku innych okolicznościach, przy których spotykamy podobny obrzęd liturgiczny z wigiliami, wypełnianemi śpiewaniem psalmów, słuchaniem kazań i t. d. Wogóle możemy powiedzieć, że wigilie nocne miały miejsce przy każdej poważniej-

[1] *In S. Julianum M.*, n. 4. M. P. gr. 50, 673.
[2] S. Paulini Nolani: *Poemata*, XXVII, v. 563 sqq. M. P. l. 61, 661.
[3] *Graecarum affectionum curatio*, VIII. M. P. gr. 83, 1034.
[4] *Adv. Vigilant.* M. P. l. 23, 347.

szej sposobności, mającej związek z relikwiami św. Jeżeli np. Kościół otrzymywał nowe relikwie, to wigilie poprzedzały ich wniesienie do świątyni. Widzimy takie wigilie w Nyssie w nocy, poprzedzającej wniesienie nowo otrzymanych relikwii św. XL męczenników. Odbywały się one na wolnem polu w ogrodzie. Święty Grzegorz Nyss. opowiada, jak go matka prowadziła, jeszcze jako chłopca, na tę uroczystość. Niebawem młodzieniec nie spieszył się na miejsce pobożnych modlitw, ale w poblizkim domu ułożył się do spoczynku. Wtem śni mu się, że wchodzi do ogrodu, gdzie wierni trwali na wigiliach; atoli czuwający u wrót ogrodu żołnierze porywają rózgi i chcą się z niemi rzucić na młodego przychodnia. Szczęściem, za wstawieniem się jednego z żołnierzy, otrzymuje przebaczenie. Zbudzony snem, upatrując w tem słuszną karę swego ospalstwa, biegnie do ogrodu i zlewa łzami urnę z relikwiami męczenników [1].

W r. 386 odbyły się wspaniałe wigilie w Medyolanie w przeddzień wniesienia do bazyliki ambrozyańskiej ciał św. Gerwazego i Protazego, które w sposób cudowny znalazł św. Ambroży [2]. Pobożny entuzyazm panował z tego powodu przez kilka dni w całym Medyolanie. O to zdarzenie przyjdzie nam potrącić dokładniej przy innej sposobności.

Ks. Karol Feliś.

---

[1] S. Gregorius Nyss. *Or. III in XL Martyres*, M. P. gr. 46, 783 sq.
[2] S. Ambrosius: *Ep. I, 22, n. 2 sq.* M. P. l. 16, 1063.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z nowszych powieści polskich.

Wł. St. Reymont: »Na krawędzi«. — M. Zmogas: »Barcikowscy«. — M. Rodziewiczówna: »Byli i będą«. — J. Orwicz: »Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło!« — W. Żmudzki: »Bór«. — M. Zych: »Echa leśne«. — M. Kulikowska: »W promieniach«. — Mimar: »W nierównej walce«. — Ksawery Maryan: »Nasze dole«. — A. Gruszecki: »Na wulkanie«. — G. Daniłowski: »Jaskółka«. — C. Jaczewski: »Hispaniola«. — St. Ostrowski: »Zarzewie«.— B. Biernacki: »Nawrócony«. — Dzeteo: »Ludzie smutni«. — Wł. Orkan: »Komornicy«. — Ks. J. A. Łukaszkiewicz: »Kopalnia złota«. — Tenże: »Światło w ciemnościach«. — K. Piliński: »Z teki taternika«. — Z. Wójcicka-Chylewska: »Listy do Pana Boga. Spowiedź grzecznej dziewczynki« — Bohowityn: »Czarnemi czcionkami«. — G. Zapolska: »Wodzirej«.

Z wielkim rozmachem i potężnymi rysami namalowane sceny z rozruchów rosyjskich przedstawia tomik Reymonta »Na krawędzi«[1]. Są w tym tomie nie tylko opowiadania w ścisłem słowa tego znaczeniu, ale i dłuższe refleksye, allegorye, luźne, składające się jednak w fotograficznie wierną całość, notatki, spostrzeżenia i wrażenia. Groza unosi się nad tymi wszystkimi utworami, ale bo też grozą przepojone te czasy. Lud składa »Sąd« nad bandytami i przeprowadza go z całą bezwzględną zaciekłością w chwilach rozpaczy i rozwydrzenia mu właściwą; wylosowany spiskowiec powtarza ciągle »Zabiłem« i kończy po mistrzowsku odmalowanych walkach wewnętrznych i wyrzutach

[1] Władysław St. Reymont: »Na krawędzi«. Opowiadania. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1907. Str. 261.

sumienia obłędem; przewija się w posępnych barwach narysowany strejk w »Cmentarzysku« — rozprzęga się wszystko, rozlatuje. Jakiś dziwny, ponury, do głębi sercem wstrząsający nastrój, w innych warunkach może nie zawsze zrozumiały i trochę chorobliwy, np. w »Czekam«, w tych zupełnie naturalny, przygniata swoim ciężarem. Gdyby nie pewne, zbyt drastyczne, a do oddania wiernego obrazu całości nie koniecznie potrzebne sceny w noweli »Zabiłem!«, posiadałaby książka, jako odzwierciedlenie smutnych stosunków i smutnych czasów, daleko wyższą wartość.

»Głód, powietrze, ogień, woda — I wszelaka zła przygoda — Będzie temu, ktoby starą — Ojców swoich wzgardził wiarą...«, to motto powieści »Barcikowscy« [1], w której te słowa, jeżeli już nie zawsze w dosłownem, to przynajmniej w moralnem znaczeniu się spełniają. Mimo to, nie jest powieść, jakby ktoś może sądził, powieścią sentymentalną i słodką, lecz istotnie dobrze i interesująco napisaną, tak, że posiada trwalszą wartość. Są w niej momenty tragiczne i groźne; wykazane jasno, jak strasznie mści się na człowieku odstępstwo od wiary i narodowości. Kontrast między tą rodziną Barcikowskich, która wszelkiemi siłami trzyma się wiary i ojczystej ziemi, walczy z niedostatkiem i powoli wymiera, widząc jak jeden z rodziny sprzeniewierzył się tradycyom, — i między renegatem, na którego, mimo pozornego powodzenia, spada grom po gromie, aż doprowadza go, choć zapóźno, do poznania swej winy i w następstwie do samobójstwa, występuje ostro i plastycznie. Sceny z życia rosyjskiej intelligencyi rzucają wprost ohydne światło na zgniliznę, która te warstwy toczy. Czasami wydaje się, jak gdyby stanowisko, jakie rodzina Barcikowskich względem Wacława zajęła, było za surowe — po przeczytaniu tej powieści powiedzieć sobie trzeba, że innem być nie mogło.

»Byli i będą« [2], to także jedna z lepszych powieści ostatnich miesięcy. Nie tak efektowna, jak »Macierz« lub »Ioan. VIII«, ale za to o temacie na większą skalę zakrojonym, daje obraz z jednej strony ponury, z drugiej jednak napełniający nadzieją. Na pierwszy składają się: spalone wioski i kościoły, zagrabione majątki i ziemie,

---

[1] M. Zmogas: »Barcikowscy«. Powieść. Kraków. 1908. Str. 319.

[2] Marya Rodziewiczówna: »Byli i będą«. Powieść z niedawnej przeszłości. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908. Str. 323.

męczeńskie śmierci bohaterów, prześladowania ludności, renegaci od narodowości i apostaci od wiary, ugodowcy, którzy aż zapominają o swej godności, lalki i papugi salonów. Jasną stronę tworzą: heroiczne, a wkońcu szczęśliwym skutkiem uwieńczone zabiegi o ratowanie ziemi i podtrzymanie ducha, postacie, które we łzach, cierpieniu i krwi ratują narodowość i w innych miłość kraju budzą, a nadewszystko postać starej marszałkowej z Grel, matki zastrzelonego wodza powstańców, kobiety ze stali, a z miłującem sercem i młodego Hrehorowicza, wnuka marszałkowej, który żyjąc w najgorszych warunkach, przedarł się jednak do światła. I w tej powieści, jak w kilku innych, operuje autorka chętnie antytezami, przyczem najgorzej wychodzi, rozumie się, arystokracya. Jednostajny czasami bieg powieści i zbyt nagromadzone szczegóły przerywają tu i ówdzie, i dość szczęśliwie, rysy o charakterze romantycznym.

Krótka opowieść »Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło« [1], odróżnia się od innych belletrystycznych rzeczy treścią i formą. Treść taka prosta! Młody spiskowiec morduje z »woli narodu« szpiega. Komitet rewolucyjny podejrzywa go jednak, że zdradził tajemnicę przed narzeczoną i wydaje na nią wyrok śmierci. Uprzedza wyrok, zatapia żelazo w łonie dziewczyny, chce odjąć życie i sobie; przeszkadzają mu żołdacy rosyjscy, wiodą na sąd, a ten widząc, że oskarżony za wszelką cenę umrzeć pragnie, skazuje go po torturach na dożywotnie więzienie w kopalniach Nerczyńska.

Nie zgadzamy się z ideą opowieści; nie rozumiemy także, dlaczego komitet rewolucyjny wydaje wyrok tylko na narzeczoną, a nie na samego spiskowca, poza tem nie mamy jednak opowieści nic do zarzucenia. To ciemna, łzami i krwią pisana karta, wyrwana z życia. Dusza, którą autor tchnął w te stronice, robi z nich lekturę miłą i zrobi — spodziewamy się — także zbawienną; czasby wyrwać kierownictwo losem narodu z rąk do tego niepowołanych.

Z pewnem niedowierzaniem braliśmy do rąk Żmudzkiego »Bór«[2]; autor uprzedził nas do siebie swoim kilka lat temu wydanym »Trę-

---

[1] Jerzy Orwicz: »Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło!...« Opowieść na tle bolesnej przeszłości. Warszawa. 1908. Str. 32.

[2] Wacław Żmudzki: »Bór«. Powieść. Trzeci i czwartyt ysiąc. Lwów—Łódź. Maniszewski i Meinhart-Miszewski. 1908. Str. 291.

dowatym«. I doznaliśmy zawodu, ale miłego. Powieści, która swoją drogą przed dziesięciu laty pierwszy raz się pojawiła, pod względem moralnym w ścisłem słowa znaczeniu nic zarzucić nie można. Przedstawia ona kartę z cierpień i prześladowań polskich pod zaborem rosyjskim. Po nadaniu tak zwanej konstytucyi jeden drugi rys, uwydatniony w tej powieści, prawdopodobnie w rzeczywistościby odpadł; ogólny obraz jest wierny i ciekawy. Nizka i podła rola, jaką w tej walce odgrywa prawosławny duchowny, jego szpiegowanie i demoralizujący wpływ na pewne części ludności; szlachetna, z początku słaba, później jednak coraz to silniejsza i idealniejsza postać katolickiego proboszcza — męczennika; wpływ, jaki biedny Znajda wywiera na polską ludność, która pod działaniem jego słów, budzi się ze snu i narodowo uświadamia; prześladowanie ze strony rządu i władz; nieuprawnione, ale zrozumiałe uczucie zemsty nad wrogami, kilka momentów miłosnych; tu i ówdzie sytuacya trochę romantyczna i lekko sensacyą trącąca — wszystko to składa się na powieść wcale nie tuzinkową. Co nas w tej powieści jeszcze uderzyło, to może nie zupełnie psychologicznie pogłębiona, ale za to nie szablonowa postać Łatki; gorąco kraj swój kochający Polak i namiętny agitator, nie umie trafić jednak do przekonań ludu, zazdrości rosnącego wciąż wpływu Znajdzie, zniechęca się do niego, zaczyna go nienawidzić, a po doznanym zawodzie w miłości, do której nie miał prawa, bo Władka zawsze tylko Znajdę kochała, jemu zaś nigdy nie robiła żadnej nadziei, staje się renegatem i wydaje ukrytego Znajdę w ręce moskali. Kończy się powieść pod wrażeniem smutnem, brzmi jednak w niej i nuta nadziei.

Wytwornie, może za wytwornie nawet, wydane »Echa leśne«[1] mogą tworzyć i utworzą z pewnością ozdobę każdej biblioteki i każdego salonu. Okładka i dekoracya stronic pendzla J. Bukowskiego, chromotypia Jacka Malczewskiego, artystyczny, słabo zielony druk, przynoszą istotną chlubę drukarni Anczyca, która ten utwór puściła w świat. I treści, prócz pewnych dysonansów, nic chyba zarzucić nie można. Wieczorem przy ognisku w lesie, dymisyonowany a zmoskwiczony jenerał Rozłucki opowiada zgromadzonym, jak za czasów ostatniego powstania, gdy jeszcze był podpułkownikiem, bratanek jego Rymwid, porucznik, przeszedł do powstańców, długie tygodnie ucierał się z Rosyanami, aż popadł nareszcie w niewolę, został skazany na

[1] Maurycy Zych: »Echa leśne«. Kraków. Str. 39.

śmierć przez własnego stryja i rozstrzelany. Na jego grobie wystawiła miłosierna ręka krzyż, ale prośby, by syna wychować na Polaka, stryj nie uwzględnił. Działa to proste, śliczne opowiadanie tem więcej, że odgrywa się ono niedaleko tego miejsca, gdzie się generał z swymi towarzyszami znajdował, i że z kart opowiadania czuć, iż wielki udział w tem wszystkiem brało także obecne otoczenie spensyonowanego generała, który również nie może się pozbyć mary przeszłości.

Dość ciężką do czytania jest powieść Kulikowskiej »W promieniach« [1]. Trochę to mgliste, trochę oderwane, dużo refleksyi i bardzo szeroki, może za szeroki, zakres, skutkiem czego nie wszystko dobrze się łączy. Mimo to jest to chyba jedna z lepszych powieści. I ona przedstawia kilka chwil z rewolucyi rosyjskiej, w takiej jednak formie, że na pierwszy plan wybijają się losy pojedynczych bohaterów i bohaterek i one większy wywołują interes, jak same zaburzenia pod wrogim zaborem. Idealne porywy zapaleńców i realne wymagania życia; szlachetność i pospolitość; piękne teorye i odmienna praktyka; tęczowe nadzieje i rozwiane marzenia składają się na tę powieść. Jedną z dodatnich jej stron jest ta, że autorka bohaterów i pionierów rewolucyi nie koniecznie wzorem innych idealizuje i nie widzi w nich zawsze istot wyjątkowych, lecz ludzi podlegających nieraz i bardzo nizkim namiętnościom. Gęsto wplatane, krótkie lecz piękne opisy okolic, np. Riviery i stanów duszy, powiększają tej powieści wartość, choć nie nadaje się ona na lekturę dla wszystkich.

Tytuł »W nierównej walce« [2] wprowadza czytelnika trochę w błąd, gdyż każe mu się domyślać jakiejś na wielką skalę zakrojonej powieści, czy też obrazu tytanicznych wysiłków; tymczasem tego powieść nie daje. Składa się ona raczej z szeregu obrazów, niekoniecznie zawsze ze sobą silnie spojonych, znikających, aby ustąpić miejsca innym, illustrujących wprawdzie całość, ale w dosyć ciasnych granicach. Niektóre z tych ustępów wcale udatne, tak np. obraz moralnego zepsucia wśród niższych urzędników, wojska i profesorów lub obraz rozruchów

---

[1] Marcelina Kulikowska: »W promieniach«. Powieść. Lwów. Polskie Towarzystwo Nakładowe. 1908. Str. 257.

[2] Mimar: »W nierównej walce«. Powieść na tle współczesnych zdarzeń w Królestwie Polskiem. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908. Str. 488.

w małem powiatowem miasteczku. Odkąd jednak powieść przenosi się do Warszawy, rwie się, staje się czasami niezrozumiałą, nieuzasadnioną, ledwo naszkicowaną, tak że niełatwo w tem wszystkiem się zoryentować. O ile jednak powieść, jako całość, nie tworzy organicznej pracy, o tyle pojedyńcze ustępy składają się na ciekawy, chociaż bardzo smutny i przygnębiający obraz stosunków — smutny dlatego, bo systematycznej walce nie można przeciwstawić równych sił i odpowiednich środków i dlatego wszystko tak smutnie się kończy.

»Nasze dole« [1], to także powieść z naszej niedoli pod zaborem rosyjskim, a treścią jej to bezskuteczne, ale ożywione najlepszemi chęciami wysiłki idealistów, szpiegowania, rewizye, więzienia i zsyłania, przykłady wierności i zdrady, łamanie życia i wypaczanie charakterów i burzenie własnego szczęścia dla wierności zasadzie. Powieść odgrywa się na szerokim terenie: Warszawa z tajemnymi spiskami, Ukraina z walką ze ziemią i ciężkimi stosunkami wśród pojedynczych rodów, Wołga i olbrzymie obszary wschodniej Syberyi z tęsknotą wygnańców, z ciężkiem i trudnem życiem, z rzadka tylko rozjaśnionem jakimś promykiem nadziei i świtu lepszej doli, z grozą śmierci i krwi na tle strasznych zimowych nocy i ponurych tajg, to wszystko przesuwa się przed okiem czytelnika. A nie brak tam i niespełnionych marzeń i łamiącej się miłości i miłości opromieniającej życie. To kalejdoskop z urwanych scen, łączących się w całość trochę, skutkiem tej obfitości obrazów, zagmatwaną i nie zawsze zlaną w harmonijną jedność. Dominujące uczucie, to ból, jaki z tych kart wieje, ból często uzasadniony, nie zawsze jednak, zdaje się, konieczny.

»Na wulkanie« [2], to, jak wszystkie powieści Gruszeckiego, powieść aktualna, senzacyjna, interesująca; czyta się ją jednym tchem a to wobec 517 stron druku też coś znaczy. Ale na tem wszystko się kończy. Bomby, sztylety, skrytobójcze morderstwa, wyroki śmierci wydawane przez partyę, napady na kasy, aresztowania, więzienia, przypadkowe wnikanie w tajemnice rządowe, rozłam między stronnictwami

---

[1] Ksawery Maryan: »Nasze dole«. Powieść. Lwów—Warszawa. Maniszewski i Meinhart—E. Wende i Sp. 1908. Str. 247.

[2] Artur Gruszecki: »Na wulkanie«. Powieść na tle rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908. Str. 517

przewrotu, to tej powieści treść. Przypomina ona »Bojowników«; niektóre nawet motywy są te same, zmieniają się jedynie osoby. Jedna ylko, ale istotna różnica, zachodzi między t emi dwoma powieściami. W »Bojownikach« autor trzymał się w rezerwie z wypowiedzeniem ostatecznego sądu o sposobie walki. W »Na wulkanie« metodę walki idealizuje. Ci ludzie rozbijający kasy, rzucający bomby lub mordujący sztyletem, to wszystko ludzie niezwykle szlachetni, idealni, wzory doskonałości. Rozumiemy dobrze straszne stosunki w Królestwie, rozumiemy psychologiczny proces, jaki tych nieszczęśliwych pchał do kroków, gdzie za kroplę krwi wylano wiadro i gdzie rzucono żałobę na cały kraj, ale to jeszcze nie wystarcza, by takie postępowanie idealizować. Autor niedobrą oddał swoją powieścią społeczeństwu przysługę.

Z różnemi, bo dodatniemi i ujemnemi sądami, spotkała się Daniłowskiego »Jaskółka« [1]. Dodatnie pochodziły przeważnie z czerwonego obozu, który znalazł w powieści wyidealizowanych poprzedników rewolucyi i socyalistycznych agitatorów; przypatrywał się na medyolańskim bruku budowanym barykadom i płynącej krwi; słyszał hasła wielbiące anarchię; był świadkiem, jak młody entuzyasta wolności, Orski, przekształcał się pod wpływem zmienionych materyalnych warunków życia w najzwyklejszego burżuja. Niemało też uroku dodawała powieści w tym samym obozie wolna miłość, przeprowadzona konsekwentnie do ostatnich granic, ślizkie sceny, igranie z świętemi rzeczami. Ale to właśnie nie podoba się innym, którzy w swem zacofaniu wygłaszają tak wsteczne poglądy, jak np., że człowiek nie jest tylko zwierzęciem i że podlega pewnym prawom, których niezachowanie poniża jego godność i rozbudza w nim zwierzę ludzkie, choćby to zwierzę występowało w tęczowych osłonkach; że poza miłością, streszczającą się tylko w funkcyach fizyologicznych, istnieje jeszcze inna szlachetniejsza, choć może nieznana tam, gdzie nizka przewrotność głosi, że celibat sprzeciwia się naturze. Powieść nie jest wprawdzie gorsza od wielu innych podobnych utworów, ale też nie jest i lepszą. Poza istotnie pięknymi opisami nic właściwie nowego nie przynosi; operuje przeważnie znanymi już skądinąd motywami a i pod względem technicznym dużo wykazuje braków.

---

[1] Gustaw Daniłowski: »Jaskółka«. Powieść współczesna. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908. Tom I, str. 266. Tom II, str. 324.

Treść »Hispanioli«[1] tworzy jedno z najdonioślejszych wydarzeń dziejowych, bo historya odkrycia Ameryki. Autor, który chętnie szuka tematów egzotycznych i odległych od naszych czasów, kładzie w tej powieści na swój obraz przeważnie czarne barwy; inaczej też być nie mogło. Wszak historya odkrycia Ameryki, to historya przelanej krwi i wylanych łez. W zbyt może sielankowych barwach przedstawia się na kartach powieści życie mieszkańców tych nowoodkrytych wysp. Pominąwszy trochę zanadto ludzkie fakta, świadczące, że natura człowieka wszędzie tak samo zepsuta, byłby to prawie kawałek raju na ziemi: światło, słońce, muzyka, pieśń, naiwność, rozkosz, szczęście. W to środowisko wpada stara, przewrotna Europa, a z nią intryga, zepsucie, chciwość i śmierć. Jedno od drugiego odcina się bardzo jaskrawo i choć to rzeczy z historyi znane, zasługą autora, że je raz jeszcze przypomniał a przypomniał w formie pięknej, często artystycznej. I o ile czytelnik czuje głęboką litość i współczucie dla ujarzmionych narodów, o tyle rodzi się w nim równocześnie oburzenie na widok niewdzięczności, jaką Kolumba za jego wielkie dzieło nakarmiono. Plama, która z odkryciem Ameryki zaciężyła na Europie, przedstawia się bardzo wyraziście, nawet zanadto. Rola, jaką autor każe w tej kwestyi odgrywać duchowieństwu, zdaje się świadczyć o jego niechęci do kleru, a takie przedstawienie nie jest z pewnością historyczne, gdyż nie uwzględnia wystarczająco warunków czasu i położenia. To jedna ze słabych stron powieści; druga — to objęcie zbyt długiej przestrzeni czasu i zbyt obfitego materyału. Skutkiem tego powieść staje się czasami jakby kroniką, brak jej wyrazistości i plastyki, musi się ślizgać po powierzchni.

Wysiłki, illuzye, rozwiane nadzieje — to treść powieści »Zarzewie«[2]. Temat nadaje się do powieści, jak mało który, a nie jest jeszcze dostatecznie wyzyskany; nie zdaje się nam, żeby go był dobrze wyzyskał p. Ostrowski. Pojedyncze epizody i sceny są dość udatnie przedstawione, czasami z zacięciem, z życiem, zajmująco; całość jednak składa się z tego nieszczególna i przemienia się w dość sucho i niewyraźnie nakreślony opis bitew i walk. Zajmują one dużo miejsca,

---

[1] Cezary Jaczewski: »Hispaniola«. Powieść historyczna. T. I, str. 349. T. II, str. 367. Kraków. 1907. G. Gebethner i Sp.

[2] Stanisław Ostrowski: »Zarzewie«. Powieść historyczna z czasów Księstwa Warszawskiego. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. Str. 370.

lecz brak im tej siły i tych własności, których słusznie się domagamy, ażeby zaciekawiły i żeby postawiły książkę na wysokim poziomie artystycznym. Jedna tylko myśl przewija się jasno: zdrada narodu polskiego ze strony Napoleona — tyle krwi polskiej płynie na marne; wobec tego losy poszczególnych bohaterów powieści schodzą na drugi plan. Może i lepiej, że Dziewanowski nie doczekał się takiego rozwiązania sprawy.

W czasy Kazimierza Wielkiego prowadzi »Nawrócony« [1], powieść, w której z uczciwą tendencyą nie idzie, niestety! w parze wartość artystyczna. Powieść oświetla, choć w zbyt może ogólnych zarysach, dość dobrze epokę. Jesteśmy świadkami walk z Litwą i Tatarami, życia mieszczan, czasami i panów; pojawiają się Krzyżacy i Niemcy, puszcze polskie i litewskie, polska przyroda i polskie stare klasztory i niejeden ciekawy szczegół z dawnego życia i dawnych zwyczajów chrześcijańskiej Polski i pogańskiej Litwy. Ale tego wszystkiego jest za wiele, stąd pojedynczym częściom brak wyrazistości. Nie jeden raz pyta się czytelnik (np. w scenie powtórnego uwięzienia Hanki i jej dręczenia przez Niemkę Albertę, o którem przecież wszyscy wiedzieli), jak coś podobnego jest możliwem. Skutkiem zbytniego nagromadzenia szczegółów, któreby starczyły na powieść o trzech przynajmniej tomach, »Nawrócony« ma charakter raczej szkicowy, brak mu potrzebnej jedności; odnosi się wrażenie, że autor nie potrafi oddzielić rzeczy ważnych od drugorzędnych. Dlatego to, coby powinno się wybić na pierwszy plan, pozostaje gdzieś w cieniu, jak np. sama historya »Nawróconego«, tak, że powieść mogłaby równem prawem nosić inny, nawet lepszy tytuł. Nie chcemy twierdzić, że różne sceny, które autor przedstawia, nie mogły mieć miejsca; ale tak jak są przedstawione, są zbyt nieuchwytne i nieprawdopodobne. Mimo to wszystko powieść dla ciekawych, ogółowi nieznanych, oryginalnych szczegółów i dla obfitości interesującego materyału, może tworzyć pożądaną lekturę, przedewszystkiem w czytelniach przeznaczonych dla szerokich sfer.

Po »Miłości« i »Historyach różnych« spodziewaliśmy się, przyznajemy to otwarcie, bardziej skończonego utworu, jak »Ludzie smu-

[1] Bolesław Biernacki: »Nawrócony«. Powieść historyczna z XIV w. Warszawa. E. Wende i Sp. 1908. Str. 317.

tni« [1]. To takie rozpaczliwe i przygnębiające! A przecież w życiu już dosyć jest smutku i bólu, pocóż nim rozstrajać jeszcze w powieści, szczególniej dziś, gdy wszystko się rozprzęga a siły i zdrowia nam potrzeba. Figury tego studyum do powieści, to, według słów autorki, »dusze chore, przeczulone«; można im sprzyjać i współczuć z niemi, a przyznać trzeba, że choremi są nie tylko te dusze, ale i sposób ich życia, zakres ich idei i zapatrywań, cała ich działalność. I ta choroba nie jest lekka, lecz ciężka i zaraźliwa: między innemi brak wiary i występna miłość, przedstawiona za gorąco i za sympatycznie. Nie ratują ideowej strony powieści mistyczne marzenia o nowej religii Milburna, wskazujące na pewną nieznajomość istotnych zasad wiary; nie ratuje jej śmierć Hanki, jako coś przypadkowego, a okoliczności towarzyszące jej pogrzebowi, zniechęcają do ludzi. Jedyny bardziej pozytywny moment w ideowej stronie powieści — to ofiara Stefki, która skądinąd była ostatecznie także obowiązkiem. Mimo wszystko nie odmawiamy »Ludziom smutnym« wartości literackiej; autorka, przyjąwszy raz takie a nie inne założenie, pozostała mu wierną przez cały ciąg powieści i tych ludzi smutnych dobrze odmalowała. Zawidowskiego np. każdy pozna z »Miłości«. Więcej jednak zdrowia, pogody i chrześcijańskiego poglądu na świat, uczyni przyszłe dzieła autorki z pewnością bardziej sympatycznemi.

Niesłychanie smutną powieścią są także Orkana »Komornicy« [2]. Autor przeprowadził myśl, wyrażoną w przedmowie, tę mianowicie, że »najmizerniejsza z wioszczyn ma swoją arystokracyę rodową, średnio zamożnych chałupników i bezdomną od wspólnego stołu życia odłączoną rzeszę«. Ciężkie i smutne życie tej rzeszy bezdomnej, w głodzie i poniewierce; niemniej jednak ciężkie tej arystokracyi rodowej wiejskiej, bo pełne nieokiełzanych namiętności, które prowadzą aż do morderstwa i każą się człowiekowi wyrzec prawie ludzkiej natury. Na tem ciemnem tle rysują się postacie bezdomnych, upośledzonych, niezrozumianych, i składają się na obraz pełen cienia i bólu. W stylu, pochwyceniu charakterów, uwydatnieniu tła znać wszędzie rękę Orkana.

---

[1] Dzeteo: »Ludzie smutni«. (W jesienne zmierzchy). Studyum do powieści. Lwów—Warszawa. Altenberg—Wende. 1908. Str. 110.

[2] Władysław Orkan: »Komornicy«. Powieść. Wydanie drugie. Lwów—Warszawa. Towarzystwo Wydawnicze.—E. Wende i Sp. 1908. Str. 179.

»Kopalnia złota« [1] może sferom, dla których napisana, oddać niemałe przysługi. Tą kopalnią, to Kółka rolnicze i sklepiki, które osłabiają a czasami paraliżują wpływ i potęgę żydów a przed ludnością otwierają szersze horyzonty, dopomagają do dobrobytu i zmieniają ujemne warunki całych okolic. W formie, która z pewnością niewybrednych czytelników wiosek i małych miasteczek zajmie, opisuje autor powstanie takiego Kółka, trudności, jakie się nasuwały, ostateczne zwycięstwo i zbawienne skutki. Urozmaica powieść epizod o Sośniaku, który »swojej drogi« szukał aż w Ameryce, wrócił stamtąd zgorzkniały, prawie złamany, aż za poparciem Kółka wybił się na nowo. Wykończenie charakterów i postaci za mało wyraziste, ale ich zestawienie dla opowiadania popularnego bardzo dobre.

Tę samą umoralniającą wartość posiada dla ludu »Światło w ciemnościach« [2]. To kilka kartek z życia naszego ludu, kartek ciemnych i jasnych. Ale do tych jasnych droga prowadzi po długiej walce z oszczerstwem, pieniactwem, chciwością, karczmą, kłótnią i zawziętością ludzką. Tego odrodzenia dokonywa szerzona przez dobre gazetki oświata i kółka katechizmowe. Antyteza dodatnich przymiotów i wad występuje wcale dobitnie. »Światło w ciemnościach« należy wprawdzie do typu powieści, w których cnota tryumfuje a zło ulega, ale pamiętać trzeba, że jest to powieść tendencyjna w dodatniem znaczeniu, przeznaczona dla ludu, a nie dla salonu, choć może i salon mógłby z niej korzystać.

Kilka osobistych wrażeń, kilka opisów, kilka humorystycznych szkiców, illustrujących przygody w Tatrach składa się na pięknie się przedstawiający i przyjemnie czytający zbiorek »Z teki taternika« [3]. Autor prowadzi czytelnika na wysokie Tatry, na zawrotne szczyty w dni słoneczne i śnieżne wichury i gęste mgły; przedstawia dodatnie strony tych wycieczek, nie pomija jednak i niebezpieczeństw grożących taternikom; zaciekawia pięknym opisem rzadko kiedy spotyka-

[1] Ks. J. A. Łukaszkiewicz: »Kopalnia złota«. Biblioteka powieściowa. Ser. I, t. III. Lwów. Spółka Wydawnicza. 1907. Str. 196.

[2] Ks. J. A. Łukaszkiewicz: »Światło w ciemnościach«. Powieść współczesna. Biblioteka powieściowa. Ser. I, t. IV. Lwów. Spółka Wydawnicza. 1907. Str. 222.

[3] Kazimierz Piliński: »Z teki taternika«. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908. Str. 93.

nego t. zw. widma, znanego w górach Harcu pod nazwą *Brockengespenst,* a wszystko w formie lekkiej i miłej, kładącej nacisk na charakterystyczne cechy danej okolicy lub danej wycieczki. Na te udatne obrazki skrzywią się chyba tylko panie i ten rodzaj turystów, których autor przedstawia w szkicu na »Na werandzie«.

Ostatnie miesiące przyniosły powieść dziwną, napisaną z talentem p. t. »Listy do Pana Boga« [1]. W listach tych dorastająca dziewczynka opisuje kilka miesięcy swego życia, w których od naiwnej wiary dochodzi do bluźnierstwa, nienawiści Boga i — jest to przyznanie się ważne, choć może ze strony autorki nie zamierzone — do zupełnego moralnego bankructwa. Gdyby autorce było o to tylko chodziło, żeby w tej powieści wytknąć pewne usterki i wady, czy to w wychowaniu domowem, czy też religijnem w szkole, możnaby z nią dyskutować; niejeden punkt sporny możeby się wyświetlił. Nie ten cel miała jednak, zdaje się, p. Wójcicka na oku; a jeżeli nawet do niego zdążała, to na zupełnie fałszywej drodze. Przeciętny bowiem czytelnik wyczyta w tej powieści, że religia niema celu i stoi w sprzeczności z życiem i nauką; że Bóg nie bardzo sprawiedliwy a raczej kapryśny; że księża przy słuchaniu spowiedzi psują ludzi, sieją zgorszenie i przyczyniają się do utraty wiary; że świat urządzony podle; — ze zdumieniem też spostrzeże czytelnik poruszone pewne drażliwe kwestye, o których się mówi chyba z ginekologiem lub w tajemnicy przed światem. Wszak i to dziewczę, a z niem prawdopodobnie i autorka, nie mogą zrozumieć, jak Bóg może czasami nie wysłuchiwać próśb i modlitw — dowód, że Bóg nie jest dobry i miłosierny; — jak człowiek może być wolnym i jak może grzeszyć, skoro Bóg wszystko widzi i t. d. I dlatego też spotykamy się w powieści z takimi dziwolągami, jak np. pogląd na zakaz Kościoła co do czytania złych książek lub z takiem ciekawem zdaniem, że pokusa, na którą się zezwoliło, nie jest grzechem, gdyż jest tylko pokusą — tę przynajmniej odpowiedź daje dziewczęciu na spowiedzi ksiądz. Trudno nam tu przytaczać inne jeszcze zarzuty, jakie autorka kładzie w usta swej bohaterki, trudniej jeszcze, bo bezcelowem, je zbijać; powieść robi na nas wrażenie lekkomyślnego igrania z najważniejszemi sprawami życia, i świadomej, a w każdym razie zawinionej ignorancyi wiary. Dlatego uważamy ją za bezwzględnie szkodliwą,

[1] Zofia Wójcicka-Chylewska: »Listy do Pana Boga. Spowiedź grzecznej dziewczynki«. Lwów. 1908. Str. 176.

i sądzimy, że jest to naszym obowiązkiem, przestrzedz przed nią katolickich rodziców i wychowawców.

Jeżeli o jakiemś dziele, to z pewnością o dziele Bohowityna można powiedzieć, że jest ono nie tylko w materyalnem, ale i w moralnem znaczeniu pisane »Czarnemi czcionkami« [1]. Co w tych nowelach nie jest chore i anormalne, to jest z jednym tylko wyjątkiem, w wysokim stopniu pesymistyczne i niesmaczne. Czytelnik musi się dziwić, że są autorzy, którzy z gorączkowem zajęciem wyszukują same ciemne strony życia, a zapominają o tem, że w życiu znajdują się także dodatnie pierwiastki, znajduje się światło i znajduje zdrowie. Celem powieści czy noweli nie może być przecież lać w serca zwątpienie czy nienawiść; talent ma także swoje prawa i swoje przepisy, których bezkarnie przekraczać nie wolno.

Sąd o Zapolskiej »Wodzireju« [2] wypowiedział już *Przegląd* przed dziesięciu laty; ten sąd możemy dziś tylko powtórzyć. Kto w powieści szuka wyłącznie senzacyi i ludzkiego brudu, kto, udając demokratę, lubuje się w odkrywaniu plam arystokracyi, tak jak ją autorka przedstawia, i w malowaniu zgubnego wpływu arystokracyi na intelligentny proletaryat, ten chętnie tę książkę przeczyta. Znajdzie tam brudów niemało i dowie się, że arystokracya polska to stek zgnilizny; przejrzyste pseudonimy zainteresowanie się powiększą. Kto jednak, kierując się jeszcze p r z e s t a r z a ł y m przesądem, domagać się będzie od powieści wyższych jakichś zadań, odłoży tę książkę, jako obrzydliwą, *ad acta*, i co najwięcej powie sobie, że nigdy jeszcze dumne hasło: »sztuka dla sztuki«, nie było tak nadużyte, jak w »Wodzireju« p. Zapolskiej.

Ks. Wiktor Wiecki.

---

[1] Bohowityn: »Czarnemi czcionkami«. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908. Str. 151.

[2] Gabryela Zapolska: »Wodzirej«. Powieść. Wydanie drugie. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1908. Str. 436.

Z piśmiennictw obcych.

Dictionnaire de théologie catholique, commencé sous la direction de *A. Vacant,* continué sous celle de *E. Mangenot.* Paris, Letouzey et Ané éditeurs, 1899—1908. Tom I, kolumn XII, 2664; tom II, kolumn VIII, 2550; tom III, kolumn VIII, 2584; pag. fracta in 4.

Założyciela »Dykcyonarza teologii katolickiej«, d-ra A. Vacant, profesora seminaryum wyższego w Nancy, zaskoczyła przedwczesna śmierć, kiedy zdążył wydać zaledwie pięć zeszytów swej encyklopedyi. Dalsze prowadzenie podjętego dzieła przeszło w ręce profesora tegoż seminaryum, a obecnie profesora Instytutu katolickiego w Paryżu, E. Mangenot'a, znanego uczonemu światu teologa i biblisty. Pod jego naczelnym kierunkiem wychodziły regularnie w pewnych odstępach czasu dalsze zeszyty Dykcyonarza aż do zeszytu 25 włącznie, którym zamyka się trzeci tom olbrzymiego, pomnikowego wydawnictwa. O rozmiarach omawianej encyklopedyi teologicznej świadczy to, że wyszłe dotąd trzy tomy o objętości prawie 8000 kolumn drobnego druku objęły zaledwie pierwsze trzy litery alfabetu. Całość więc da się obliczyć w przybliżeniu na 25 tomów, których wydanie pochłonie jeszcze dużo czasu. Niebezpieczeństwu, że prenumeratorzy pierwszych tomów zaprzestaną odbierać tomy późniejsze, odbiorcy zaś tomów dalszych nie będą mogli dokompletować ich tomami pierwszymi, zapobiegli wydawcy w ten sposób, iż zapisać się na odbiór Dykcyonarza można tylko od początku, i wszyscy nowi przedpłatnicy muszą odebrać wszystkie dotychczasowe zeszyty, płacąc za nie od początku, lub też wykazać się rewersem, że weszli w prawa któregoś z dotychczasowych odbiorców, przez nabycie od niego pierwszych zeszytów. Uwagę tę uważamy za konieczną dla przestrogi, aby nikt nie nabywał dotychczasowych zeszytów w antykwarniach lub z prywatnych rąk bez wzięcia rewersu, dającego mu prawo na odbiór dalszych zeszytów.

Po tych wstępnych uwagach przystępujemy do omówienia treści Dykcyonarza. Dotychczasowe trzy tomy wystarczają w zupełności do tego, aby módz wyrobić sobie ogólny sąd o wartości dzieła i o tem, czego po takich siłach, jakie obecnie w Dykcyonarzu pracują, można spodziewać się w przyszłości. Oczywiście nie miejsce tutaj oceniać każdy artykuł po szczególe. Trzebaby bowiem do tego powołać całe grono specyalistów w rozmaitych gałęziach wiedzy teologicznej, reprezentowanych w Słowniku. My zadowolnimy się tem, że podzielimy

się z czytelnikiem tem ogólnem wrażeniem, jakiego doznaje się, przeglądając olbrzymie tomy Dykcyonarza, i dorzucimy parę uwag w rzeczach nie przechodzących naszej kompetencyi.

Dictionnaire, jak głosi przedmowa pióra E. Mangenot'a, zamierza dać całkowity wykład poszczególnych twierdzeń teologii katolickiej, łącznie z ich uzasadnieniem i historyą. Będąc redagowanym przez przedstawicieli rozmaitych szkół teologicznych, a zarazem uznanych specyalistów w każdej dziedzinie, Słownik ten omawia wszystkie kwestye, mogące obchodzić teologa. Nie jest on jednakże encyklopedyą wszystkich nauk kościelnych, w rodzaju np. znanego niemieckiego *Kirchenlexicon'u* Wetzera i Welte. Tak, naprzykład, z zakresu nauk biblijnych »Dykcyonarz teologiczny« podaje tylko artykuły treści ogólniejszej i bardziej zasadniczej, lub bezpośrednio wchodzącej we właściwą teologię, pomijając specyalne artykuły, tyczące imion, nazw, trudności egzegetycznych, antylogii i t. d., które znalazły swe dokładne opracowanie w »Słowniku biblijnym« M. Vigouroux. Podobnież pominięte zostały artykuły specyalne z zakresu liturgii i archeologii chrześcijańskiej, będące specyalnością *Dictionnaire d'archéologie chrétienne et de liturgie,* wydawanego przez dom Cabrol'a, i kwestye apologetyki szczegółowej, uwzględnione w »Słowniku apologetycznym« Jaugey'a, istniejącym i w polskim przekładzie. Te więc cztery słowniki: Mangenota, Vigouroux, Cabrola i Jaugeya, wzajemnie się uzupełniając, będą stanowiły, razem wzięte, encyklopedyę, rzec można — wszech nauk kościelnych, encyklopedyę, nie mającą równej sobie ani rozmiarami ani gruntownością opracowania w całej dotychczasowej literaturze katolickiej.

Wierny swemu założeniu, Dykcyonarz Mangenota nie ogranicza się na streszczeniu nauki teologicznej w obecnem jej stadyum i postaci, nie zadawalnia się nawet naukowem uzasadnieniem dogmatów wiary i twierdzeń szkół teologicznych, lecz nadto uwzględnia szeroko historyę każdego dogmatu, lub opinii czy też systemu, co, wobec zainteresowania się w naszych czasach teologią t. zw. pozytywną, dodaje szczególnej wartości wydawnictwu. Owszem, ten element pozytywno-historyczny zajmuje niejako dominujące miejsce w Dykcyonarzu i artykuły z tego zakresu są najobszerniej i najgruntowniej opracowane.

Ważniejsze partye teologiczne najczęściej są obrabiane przez kilku uczonych, z których każdy zajmuje się tą stroną przedmiotu, w której czuje się specyalistą. Jeden zajmuje się, naprzykład, wykładem dogmatu i jego dowodów, ktoś inny, lub kilku nawet, śledzą

rozwój tegoż dogmatu w rozmaitych epokach czasu, w rozmaitych krajach lub szkołach teologicznych, jeszcze kto inny obrabia stronę praktyczną, zastosowanie do życia i t. d. Stąd znajdujemy pod wyrazem *Absolution* aż 18 artykułów, napisanych przez kilku autorów. Jeśli przypomnimy sobie, że warunkiem gruntowności w każdej nauce jest przy dzisiejszym stanie nauk i metod — jak najdalej idąca specyalizacya, to się upewnimy, że praktykowany w Dykcyonarzu Mangenota podział pracy daje nam zupełną gwarancyę gruntowności i wszechstronności artykułów. Bliższe też zapoznanie się z nimi przekonywa czytelnika, że Dykcyonarz nie poprzestaje na streszczeniu, alfabetycznem ugrupowaniu i wulgaryzacyi tego, co inni uczeni dotąd osiągnęli, ale w wielu razach posuwa wiedzę teologiczną o walny krok naprzód pogłębiając zrozumienie niejednego dogmatu, oświetlając niejedną ciemniejszą dotąd kwestyę. Omawiany dykcyonarz zatem jest nie tylko drogowskazem do oryentowania się w labiryncie teologii; on często czytelnika bierze za rękę i prowadząc go odkrywa z nim razem nowe wyjścia, ukazuje myśli teologicznej nowe horyzonty.

Wykład kwestyi z zakresu teologii dogmatycznej, moralnej' prawa kanonicznego, po części filozofii, koncentruje się w artykułach, noszących nagłówki, pod jakimi występują te kwestye w systematycznych pismach z tych dziedzin. Część historyczna Dykcyonarza grupuje się około imion głośniejszych teologów, Ojców Kościoła, nazw szkół i kierunków teologicznych. Najlepiej, naszem zdaniem, opracowanymi zostały artykuły o wybitniejszych Ojcach i założycielach szkół teologicznych. Takie np. artykuły E. Portalié o Abelardzie, o św. Augustynie i augustyanizmie w teologii, dalej artykuł A. De la Barre o szkole aleksandryjskiej i o Klemensie Aleksandryjskim, I. Bainvela o św. Anzelmie i wiele innych nie pozostawiają nic do życzenia. Artykuły tej kategoryi podają zwykle wiadomości biograficzne o danym Ojcu czy scholastyku, wyliczają wszystkie jego utwory, a następnie szeroko omawiają jego system, podkreślając charakterystyczne rysy nauki i jej genezę, związek i pokrewieństwo z innymi autorami czy szkołami. Bogata bibliografia kończy tego rodzaju artykuły. Niektóre z nich (np. o św. Augustynie), gdyby były wydane osobno, stanowiłyby wcale pokaźną książkę. Ojcom scholastykom, którzy nie stworzyli szkoły, ani nie zaznaczyli się w historyi teologii czemś charakterystycznem i samodzielnem, Dykcyonarz poświęca mniej uwagi, podając w takich razach najczęściej tylko krótką ich biografię i wykaz pozostawionych przez nich utworów.

Na pochwałę Dykcyonarza Mangenota zaznaczyć należy, że nie poprzestaje on (jakby może z tytułu dzieła wnosić było można) na uwzględnianiu wszystkich wybitniejszych przedstawicieli tylko katolickiej myśli teologicznej, ale uwzględnia szeroko i pisarzy sekt i kościołów odłączonych, i to nie tylko omawiając daną sektę czy wyznanie wogóle, ale podaje szczegółowe wiadomości o każdym teologu akatolickim. Artykuły te pisane są również przez gruntownych znawców piśmiennictwa teologicznego poza Kościołem katolickim, jakimi są np. A. Palmieri, zak. św. Augustyna, L. Petit i S. Nailhé assumpcyoniści i inni. Ci autorzy podają głównie wiadomości o teologach greckich i rosyjskich, zapełniając świetnie lukę, jaka gdzieniegdzie daje się spostrzegać w artykułach teologicznych innych autorów, mających głównie na względzie Kościół zachodni.

Część historyczną uzupełniają wreszcie prace, podające nazwy koncyliów powszechnych, imiona heretyków, imiona papieży i nazwy krajów i części świata. Te ostatnie, oprócz historyi Kościoła, podają podług najnowszych źródeł zupełny obraz i statystykę życia religijnego w danym kraju. Zbiegiem okoliczności trafiło się, że dotychczasowe trzy tomy Dykcyonarza mogą już służyć prawie za kompletne źródło do historyi, statystyki i charakterystyki Kościołów wschodnich i misyi katolickich w rozmaitych częściach świata, albowiem większość dotyczących tych kwestyi artykułów musiała się znaleźć w pierwszych trzech literach alfabetu. Z Kościołów wschodnich omówione zostały patryarchaty: Aleksandrya, Antyochia, Konstantynopol (ten ostatni pod każdym względem zadawalniająco i świetnie), kraje: Armenia, Bułgarya, Austrya, Albania, Abissynia i t. d. Obraz misyi katolickich poznajemy z artykułów: Azya, Afryka, Ameryka; tylko Australię odesłano do Polinezyi.

Z wyznań niechrześcijańskich znalazł uwzględnienie islam w artykule o Koranie. Zwłaszcza obszerny artykuł O. A. Palmieri o teologii Koranu i jego stosunku do chrystyanizmu, oparty na gruntownej znajomości całej literatury tego przedmiotu, nie wyłączając i bogatej rosyjskiej, zasługuje na szczególną wzmiankę.

Wyróżniają się jeszcze gruntownością opracowania artykuły I. Bainvela o kulcie Serca Jezusowego, o Duszy i parę innych. Nie można jednak tego powiedzieć o artykule tegoż autora: *Apostolicité*, podobnież i o artykule *Catholicité* pióra H. Moureau. Te artykuły, omawiając cechy prawdziwego Kościoła, nie zdołały wydostać się z szablonu, zakreślonego już od dawna przez apologetów zachodnich,

zbyt mało uwzględniających trudności, wynikające przy stosowaniu tego zapatrywania do Kościołów wschodnich. Dlatego nie wiem, czy wystarczy rozprawić się krótko z Grekami metodą O. Bainvela. Aplikując cechę apostolskości do Wschodu, autor ten twierdzi, że w chwili rozdziału Kościołów, jeden z nich utracił apostolskość, mianowicie ten, który wpadł w schizmę. I potem krótko się rozprawia: *Sont-ce donc les grecs qui sont schismatiques, ou sont-ce les latins? Avoir posé la question, c'est l'avoir résolue.* Czy to nie za krótko? Czy ramki, przez autorów zakreślone, nie są za ciasne na objęcie tego materyału, którego dostarcza historya i rozwijająca się wciąż nauka o Kościele?

Kwestye pokrewne z potępionym niedawno modernizmem znalazły dotąd swe uwzględnienie w artykułach *Agnosticisme, Apologétique, Crédibilité* i paru innych. Wszystkie odnośne artykuły oprócz *Crédibilité,* zostały napisane przed wydaniem encyklik Piusa X o modernizmie i dlatego odnośne błędy za mało zostały zaakcentowane. Wszelako metoda »immanencyi« została już omówioną przez L. Maisonneuve w artykule *Apologétique (Méthodes nouvelles au XIX siècle)* ze stanowiska ściśle katolickiego, ile można było powiedzieć w tej kwestyi 7 lat temu. A. Gardeil w artykule *Crédibilité* ocenił sprawiedliwie, choć możliwie łagodnie, modernistyczne próby stworzenia nowej apologetyki. Znajdujemy tamże zacytowane i najnowsze dekrety Stolicy świętej: *Lamentabili* i *Pascendi.*

Zewnętrzna strona Dykcyonarza przedstawia się bardzo pociągająco. Piękny i mocny papier, czysty i wyraźny, chociaż drobny druk, staranność korekty, przynoszą zaszczyt drukarni Renouard'a. Artykuły, tyczące się katolicyzmu w rozmaitych krajach, opatrzone są odpowiedniemi mapami. Wyrazy z języków wschodnich znajdujemy w transkrypcyi łacińskiej, której klucz podany jest na okładce każdego zeszytu. Co do korekty, to zauważyłem często błędy w cytatach z języków słowiańskich. Wypadałoby drukarni zwrócić na to uwagę.

Reasumując nasze uwagi nad tem pomnikowem wydawnictwem, wyrażamy przekonanie, że i w dalszych zeszytach usprawiedliwi ono wszystkie wymagania nauki, a zatem, że stanie się niezbędną pomocą dla każdego teologa z zawodu i wielce pożytecznem *repertorium* teologicznem dla kapłanów i wszystkich, ktokolwiek się interesuje kwestyami teologicznemi. Nie powinna się znaleźć ani jedna biblioteka, zwłaszcza w uczelniach teologicznych, któraby nie posiadała tego nieocenionego wydawnictwa. Pozostanie ono na długie czasy, jako pomnik

katolickiej wiedzy XX wieku na chlubę Francyi, na której gruncie został on wzniesiony.

Ks. Jan Urban.

Mélanges de la Faculté Orientale de l'Université St. Joseph — Beyrouth. I (1906), XIII, 377, in 4°; II (1907), 423, in 4°. Leipzig, Harrassowitz.

Weszło już prawie w powszechny zwyczaj na znaczniejszych uniwersytetach, że profesorzy już to całego uniwersytetu, już też poszczególnych fakultetów, wydają zbiorowe publikacye swych prac, jakby pomniki i dowody żywotności i działalności tych ognisk wiedzy współczesnej. Tytuły owych odświętnych publikacyi są najrozmaitsze; rzecz główna leży wtem, że sam już pomysł jest nie tylko szczęśliwy, ale i nader pożyteczny, gdyż mniejsze objętością prace profesorów znajdują tu łatwe pomieszczenie, z drugiej zaś strony zaznaczoną jest silnie solidarność danych kół profesorskich. Dziś mam na oku zbiorowe pismo fakultetu oryentalnego w Bejrucie (w Syryi). Wyszły już dwa spore tomy in 4° pod tytułem wymienionym w nagłówku sprawozdania.

Przypatrzmy się nieco ich treści. Jest ona nader rozmaitą, a interesować musi zawodowych uczonych. Ks. prof. Henryk Lammens zamieścił: »Studya nad ḥalîfaten Mo'âwiji I«. (*Mélanges* I, 1—108; II, 3—172). Ukazały się one już w osobnej książce. Nie jest to monografia w ścisłem słowa znaczeniu, ale raczej cały szereg znakomitych historycznych szkiców, o tym bądź co bądź niezwykłym władcy i założycielu dynastyi Omajjadów i jego czasach. Treść ich jest tak bogatą, że chcąc dać jakie takie sprawozdanie trzebaby całego artykułu. Muszę przeto poprzestać na wymienieniu tytułów poszczególnych szkiców: I. 'Abd-ar-raḥmân ibn Ḫâlid i chrześcijanie z Homs. II. Pierwszy najazd Mardaitów. III. Stanowisko Ḫalîfa wobec własnej rodziny. IV. Pomocnicy Mo'âwiji i parlamentaryzm u Arabów. V. Charakter Mo'âwiji i Omajjadów. VI. 'Oṯmânija i M'otazila. VII. Konferencya w Adroḥ. VIII. Zamordowanie 'Alîego i Ḫalîf Ḥasan. IX. Polityka Mo'âwiji z potomkami Proroka. X. Mo'âwija wzorem arabskiego władcy. XI. Finezya polityki Ḫalîfa. XII. Polityka agrarna Mo'âwiji. XIII. Poezya polityczna za czasów Mo'âwiji. XIV. Organizacya wojenna za czasów Mo'âwiji i rzut oka na jego charakter. Ściśle historyczna metoda naukowa, skepsis i krytyka wobec źródeł arabskich i publikacyi europejskich; jasność wykładu, piękność obrazowania i stylu cechuje tę pracę, w którą autor wtłoczył i organi-

cznie a zręcznie powiązał mnóstwo szczegółów o Arabach, ich charakterze, zwyczajach, poezyi i literaturze. Chociaż to praca ściśle naukowa, mimo to czyta się ją bez znużenia i rozstaje się z nią niechętnie.

Tensam autor zamieścił w obu tomach trzy studya geograficzno-etnologiczne. Pierwsze: *Notes de géographie syrienne* (I, 239—283) jest nader cennym przyczynkiem do geografii Syryi, bo opisuje powiat el-Ǧazr, prostuje dane geografa Idrisi o topografii Krzyżowców i Libanie, wkońcu zestawia zagadkowych Nosajri z Galilejczykami Sozomena. Wtóre: *Études de géographie et d'etnographie orientales* (II, 366—396), poświęcone jest syryjskim Jezîdom, »czcicielom szatana« i pogórzu Sim'ân. Studyum trzecie (II, 397—407), zbija nową hypotezę, według której nazwy: Maronici, Μασονῖται i Mazûn z 'Omânu miałyby oznaczać ten sam lud. Z bogatego skarbca swej wiedzy rozsypał wszędzie autor ogromną ilość nowych szczegółów, za które wdzięczni mu będą koledzy.

Nieutrudzony redaktor arabskiego czasopisma *al-Mašrik*, płodny pisarz i profesor literatury arabskiej ks. Alojzy Cheikho (Szejhô) obdarzył oryentalistów dwiema pracami. Jedna: *Un dernier echo des Croisades* (I, 303—375) podaje nieznane dotychczas teksty historyka arabskiego Sâliḥ ibn Jaḥja i ibn Taghri Bardi w arabskim oryginale i francuskiem tłumaczeniu. Tekst ten jest ważny z dwóch przyczyn: naprzód dla historyi Syryi w epoce dotychczas ciemnej (w. XIV i XV), następnie dla historyi Lusignanów na Cyprze; z tego zaś tytułu ma związek z historyą Krzyżowców. Następna praca, znowu wartości filologiczno-historycznej: *Les archevêques du Sinaï* (II, 408—421), zestawia na podstawie dotychczasowych prac i nieznanego arabskiego rękopisu z r. 1710 dokładną a krytyczną listę biskupów i arcybiskupów Synaju. Obecnie więc dzięki ks. Cheikho znamy już 50 arcypasterzy synajskiej twierdzy, począwszy od pierwszego Naterasa (biskupa Pharanu), aż do obecnego Porphyriosa.

Koptolog Aleksy Mallon poświęcił swe badania złotemu wiekowi literatury koptyjskiej (redagowanej po arabsku!) w wiekach XI—XIV. Jego studya nad uczonymi gramatykami owych czasów Abû Šâker i Abû-l-Barakât stanowią ważny krok naprzód w dziedzinie koptologii.

Do dziedziny filologii i literatury arabskiej należą dwie rozprawki małe rozmiarem, ale wybitne treścią o dwu poetach: Umajja ibn Abî-s-Ṣalt (przez E. Power'a) i Bišr ibn Abî Ḥâzim (przez A. Hartigan'a).

Na szczególną uwagę filologów i egzegetów zasługuje: *Note sur l'expression* צדקמן *en hébreu biblique.* Autor Józef Neyrand zestawia w tym artykule wszystkie miejsca Pisma św., gdzie wyrażenie ṣadaḳ min lub pokrewne mu pojęcia zachodzą, porównywa je że LXX, Pešîṭṭâ, Targûm i z tłumaczeniem arabskiem Sa'adii i dochodzi do wniosku, że ono wyrażenie najlepiej możnaby oddać słowy: »mieć słuszność przed kimś«. W ten sposób dane miejsca Pisma św. (*Gen.* 38, 26; *Hab.* 1, 13; *Job* 14, 17; 32, 2; 35, 2), stają się zrozumiałe same w sobie i w kontekście.

Literatura etyopska posiada wielką ilość pism apokryficznych, dotychczas mało znanych nawet zawodowym uczonym, bo spoczywają tylko w rękopisach, ukryte po większych bibliotekach Europy. Ks. M. Chaine zajął się niemi bliżej; obecnie daje nam mały cykl apokryfów etyopskich, odnoszących się do Najśw. Maryi Panny. Obok tekstu w oryginale etyopskim, dał autor tłumaczenie francuskie wraz z krótkiemi objaśnieniami.

Nad sporządzeniem nowej kollekcyi napisów greckich i łacińskich w Syryi pracuje od szeregu lat ks. A. Jalabert. Część rezultatów tej mozolnej nad wyraz pracy daje w obu tomach *Mélanges* (I, 132—188; II, 265—320). Niektóre z tych napisów są wielkiej wagi dla historyków.

W dziedziny archeologii przenosi nas artykuł znanego zaszczytnie przez swe prace i odkrycia na polu archeologii Wschodu ks. Seb. Ronzevalle. Opisuje on w nim dwa *Bas-Reliefs rupestres de Kabeliâs* w Celesyryi, niedawno odnalezione, i omawia ich znaczenie pod względem religijno-historycznym i kulturalnym.

R. Mouterde wziął za temat swej rozprawy: *La voie romaine d'Antioche à Ptolémaïs* rzymski głaz milowy, odkryty niedawno temu w okolicach Bejrûtu. Kamień ten z nazwiskami Nerona i Wespazyana jest niezbitym dowodem, że za czasów cesarstwa wielka droga wojskowa łączyła Antyochię (w Syryi) wraz z Ptolomaidą, biegła brzegiem morza i w Tyrze miała połączenie z drugą wojskową szosą, która na Damaszek i Palmyrę zdążała aż do Indyi.

Pozostają nam jeszcze dwie prace, odnoszące się do Pisma św., które zasługiwałyby na szersze omówienie, gdyby ramy tego pobieżnego sprawozdania i wzgląd na zbyt specyalny ich charakter na to pozwalał. Pierwsza z nich, napisana po niemiecku, przez ks. H. Wiesmanna usiłuje zbić twierdzenie niektórych krytyków protestanckich, że psalmy (hebr.): 40, 50, 51 są wrogie wszelkim ofiarom. Wyjaśnie-

nia Wiesmanna, chociaż nie są bez wszelkiego zarzutu, posiadają jednak wielkie prawdopodobieństwo. Ks. J. Dillenseger wziął sobie za zadanie udowodnić autentyczność II listu świętego Piotra i odpowiedzieć na rozliczne trudności podniesione w ostatnich czasach. Przedsięwzięcie nie pozbawione zasługi ni żmudnych poszukiwań. Prosty nader podział dowodowego materyału, jasność i stanowczość odpowiedzi cechują tę pracę, za którą istotnie należy się autorowi wdzięczność od wszystkich, co się bliżej zajmują studyami biblijnemi. Obydwa tomy *Mélanges* przyjęli zawodowi uczeni z wielkiem uznaniem. Spodziewać się można, że i następne zadowolą jeszcze w wyższym stopniu uczonych, i że niemało się przyczynią do podniesienia poziomu nauk oryentalnych w Syryi i do wzbogacenia oryentalistyki wogóle przez cenne, a europejskim uczonym z wielu przyczyn utrudnione, badania pomników kultury syryjskiej. Szczęść Boże!

Ks. Władysław Szczepański.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Dogmatyka szczegółowa. Podręcznik szkolny. Ułożył *ks. dr. M. Sieniatycki,* prof. uniw. lwowsk. Lwów 1908. Str VI, 205.

Potrzeba dobrego podręcznika dogmatyki dla szkół średnich dała się dosyć dotkliwie uczuć. Niełatwe to zaiste zadanie, w ramach stosunkowo niewielkiej książki podać treściwy i wyczerpujący pogląd na tak trudne i doniosłe zagadnienia. Autor umiał ścisłość teologiczną połączyć z popularniejszym wykładem, zastosowanym do potrzeb uczniów, i szczęśliwie ominął niebezpieczeństwo suchego przedstawienia rzeczy. Wartość dogmatyki szkolnej podnosi niemało to, że autor uwzględnił mądrze stronę apologetyczną, niezbędną dziś dla uczniów szkół średnich. Zdaje się nam jednak, że dogmatyka ta jest jeszcze zbyt obszerna dla użytku szkolnego. Możnaby krócej ją wyłożyć, zestawiając prawdy wiary więcej w ich harmonijnym związku ze sobą z pominięciem dłuższych uzasadnień poszczególnych prawd. Oczywiście łatwo to powiedzieć, — ale trudno wykonać. Warto jednak o tem pomyśleć. W każdym razie podręcznik ks. prof. Sieniatyckiego jest obecnie najlepszą szkolną dogmatyką.

E. M.

Historya związku narodowego polskiego i rozwój ruchu narodowego polskiego w Ameryce półn. W dwudziestą piątą rocznicę założenia Związku napisał *Stanisław Osada.*

Obszerny tom zawiera bardzo dokładną historyę Związku narodowego polskiego. Założony przed 25 laty, jest łącznikiem spajającym rozrzucone po północnej Ameryce tysiące Polaków. Działalność związku ma charakter przeważnie ideowy, utrzymywa-

nie poczucia narodowego, choć i cele społeczne nie są mu obce. Ustrój związku świadczy o zmyśle organizacyjnym założycieli i kierowników, umiejętności spojenia różnych żywiołów, rozmaitych warstw i umysłów. Przykry rozdźwięk stanowi w dziejach Związku walka z duchowieństwem katolickiem szczęśliwie już zażegnana. Jakie tego były przyczyny i ile tam było winy ze strony zarządu Związku, niepodobna nam ocenić na podstawie materyału zawartego w »historyi«, który z natury rzeczy nie może dawać rękojmi zupełności i objektywności.

Bi.

Z myśli społecznej. I. Główne zasady socyologii katolickiej. Skreślił *ks. Naudet.* II. Związki katolickie w Niemczech.

Z zeszytem II i V wydawnictwa »Z myśli społecznej« mieli czytelnicy *Przeglądu* sposobność zapoznać się za pośrednictwem świetnego pióra przew. ks. arcybisk. Teodorowicza, który omówił na łamach naszego pisma broszury Antoniego Szecha, stanowiące wymienione zeszyty.

Ks. Naudet na czele socyologii katolickiej stawia zasadę sprawiedliwości. Dlatego nie zgadza się ze szkołą liberalną i socyalizmem, choć wśród plew są w tych doktrynach ukryte i ziarna dobre. Błędem jest zasadnicza teza socyalistów, przymus bezwzględny i hasło liberalizmu, wolność bezwzględna.

Zasada sprawiedliwości społecznej wymaga, aby płaca odpowiadała potrzebom życia, dawała pracownikowi możność utrzymania siebie i rodziny. Człowiek niema być samotnikiem i potrzebuje on przeważnie życia rodzinnego. W rodzinie ojciec tylko w regule winien pracować poza domem, zaś zadaniem kobiety jest działalność w domu, a nie praca zarobkowa w fabryce.

Niepomyślne warunki zarobkowe, brak sprawiedliwości w wymiarze płacy wytworzyły całą klasę »proletaryatu«, czego nie było w wiekach średnich, owianych duchem chrześcijańskim. Robotnik i jego egzystencya winna się opierać na trwałej umowie; winny być utworzone kasy zbiorowe, zapewniające robotnikom wynagrodzenie w czasie przesileń ekonomicznych.

Autor żąda pojęcia własności w duchu prawa kanonicznego, że jest ona lennem nadanem od Boga, i używać jej należy wedle zakonu Bożego.

Pojęcie własności wedle prawa rzymskiego jest niezgodne z prawem kościelnem. Nadużywanie własności przez używanie jej wyłączne i bezwzględne spowodowało reakcyę, zaprzeczenie własności w socyalizmie.

Na nędzę i braki w warunkach życia robotnika, konieczna jest interwencya państwa w duchu sprawiedliwości. Państwo winno uregulować system pracy. Nadto dźwignią bytu robotników będą korporacye ich i stowarzyszenia, współudział ich w zyskach przedsiębiorstwa, przypuszczenie ich do komisyi i rad fabrycznych lub sądów polubownych, a wreszcie instytucye kredytowe. A jako hasło programu reformy stawia autor poszanowanie religii, ojczyzny, rodziny, pracy i własności.

Zeszyt III »Z myśli społecznej« daje krótką genezę powstania związków katolickich w Niemczech. Zresztą poświęcony jest praktycznym uwagom, jak zawiązywać stowarzyszenia katolickie, jak je urządzić i prowadzić.

B.

Pod czerwonym sztandarem. Wizerunki przyszłości socyalistycznej w duchu Bebla. Według E. Richtera. Wydawnictwo *Dziennika Powszechnego*. Warszawa. Str. 191.

Te »Wizerunki przyszłości socyalistycznej« narobiły swego czasu w Niemczech dużo hałasu i dużo napsuły krwi. I łatwo zrozumieć dlaczego. Richter oparł się w swym utworze o przyszłem państwie socyalistycznem na poglądach i zapatrywaniach Bebla i przeprowadził je z konsekwencyą, z humorem i zacięciem, wykazując, jak to państwo nie ziszcza położonych w niem nadziei, lecz do większych jeszcze prowadzi zaburzeń i do ostatecznej katastrofy, niosąc ze sobą morze łez i krwi. Nic dziwnego, że niejeden pod wpływem tych kart zmienił swe zdanie o socyalistach i o nich nic nie chciał słyszeć. To też i polskie wydanie czy opracowanie tych obrazków należy powitać z radością i starać się o ich rozszerzenie.

Ks. W. W.

Życie Pana naszego Jezusa Chrystusa, skreślone piórem Ewangelistów. Opracował *ks. J. A. Łukaszkiewicz,* honorowy kap. Baz. Lor. Rzeszów 1908. Str. 359.

Dla ludu katolickiego opracował autor życie P. Jezusa na tle czterech ewangelii. Mamy więc tu do czynienia z tak zwaną »harmonią ewangeliczną«. Myśl, aby natchnione księgi same nam mówiły o Chrystusie bez dodatków czysto ludzkich, jest z pewnością dobra. Na końcach rozdziałów umieścił autor pożyteczne objaśnienia, które jednak należałoby pomnożyć. Np. nazwa »sycery« wymagała koniecznie wytłumaczenia. Autor zachował styl i język ks. Wujka z nielicznemi zmianami. Mogłoby tych zmian być więcej — wszak sam charakter dziełka pozwoliłby bez trudności na większą swobodę pod względem językowym. Pragnęlibyśmy jeszcze cytacyi, które ustępy ewangeliczne weszły w skład poszczególnych rozdziałów.

E. M.

M. R. Monlaur. **Promień.** Str. 144. — **Po dziewiątej godzinie.** Str. 160. Warszawa 1908. Księg. M. Szczepkowskiego.

Wdzięczność należy się warszawskiej księgarni Szczepkowskiego za przyswojenie naszej literaturze tych dwóch wartościowych powieści. Że są one prawdziwie wartościowemi i że mimo swego wzniosłego, religijnego tematu nie należą do utworów szablonowych lub nużących i nudzących, najlepszy dowód w tem, że we Francyi doczekały się każda kilkudziesięciu wydań. A temat był niebezpieczny. Pierwsza powieść, gdzie łaska pracuje nad czystą duszą żydowskiego dziewczęcia, wysuwa na pierwszy plan samego Chrystusa i przedstawia ostatnie miesiące Jego życia aż do śmierci krzyżowej; druga maluje działalność apostolską i męczeńską śmierć tej samej gorąco Chrystusa miłującej Zuzanny. Zdaje się nam, że autorki żywa wiara i głęboka miłość Boga, jak również i litość nad błądzącymi ludźmi, ustrzegła ją od niebezpieczeństw, jakie temat nasuwał, a jej wykształcenie, odczucie piękna i smak artystyczny nauczyły ją nie tylko jak zachować we wszystkiem miarę, ale także, jak uroczemi barwami malować charaktery, czasy, wierzenia i zwyczaje Żydów, Greków i Egipcyan. Życzyć więc tylko należy, by te książki czytelników za-

prowadziły na prawdę do »Promienia«, choćby i »Po dziewiątej godzinie«.

Ks. W. W.

Am Morgen des Lebens. Erwägungen und Betrachtungen, insbesondere für studierende katholische Jünglinge. Von *Herbert Lucas S. J.* Aus dem Englischen übertragen von K. Hofmann. Freiburg i. Br. 1908. Herder. Str. 194.

Mamy tu zbiór egzort zastosowanych do uczącej się młodzieży. Autor chciał w nich przedstawić jasno i przekonywująco najgłówniejsze zasady życia duchownego, oraz stosunek, w jakim do nich stoją najważniejsze nabożeństwa, praktykowane w Kościele. Katolicka prasa angielska bardzo przychylnie przyjęła tę pracę, co bez wątpienia przyczyniło się do przekładu niemieckiego.

Egzorty te są gruntownie i praktycznie opracowane, nie brak w nich świeżych i oryginalnych myśli, choć w ogólności nie znajdujemy w nich nic nadzwyczajnego. Tu i owdzie spotykamy szczegóły miejscowe angielskiej szkoły. Wobec braku książek podobnych, mogą te egzorty znaleźć licznych zwolenników. *E. M.*

Das neue Leben. Der Epheserbrief des heiligen Paulus für gebildete Christen dargelegt. Von *Dr. Franz Keller.* Freiburg i. Br. 1907. Herder. (Str. VII, 128).

Za mało znamy skarby, złożone w Piśmie św., a zwłaszcza w listach apostolskich. Egzegeci i teologowie zawodowo się nimi zajmują, ale ogół wykształconych katolików ogranicza się do znajomości wybranych cytatów, które tu i owdzie się spotykają w traktatach ascetycznych. Dr. Keller podaje intelligencyi w książce p. t. »Nowe życie« znakomity komentarz listu św. Pawła do Efezów, ale w formie pięknej i przystępnej. W 12 rozdziałach przedstawia wspaniałą naukę św. Pawła o łasce, jak ją sam Apostoł rozwinął w swym liście. Nagłówki rozdziałów bardzo trafnie wyjęte zostały z samego tekstu. Autor umiał wzniosły swój styl dostroić do stylu wielkiego Apostoła, co jego książce nadaje szczególniejszy urok. Życzyć należy, aby dr. Keller inne także listy św. Pawła opracował w podobny sposób. Na str. 36 czytamy, że obrzezanie było właściwe tylko Żydom. Jest to oczywista pomyłka.

E. M.

Kirche, Kapelle und Friedhof oder die heiligen Orte und ihre Einrichtungen. Von *Max Pfaff.* Herder. Freiburg im Breisgau.

Przez dobrane pytania i odpowiedzi objaśnia autor urządzenia miejsc świętych, ubiory, naczynia, obrazy kościelne i ich znaczenie. Książeczka ta, widoczny owoc długoletniej praktyki, napisana jest treściwie a przytem z dokładnością i jasnością, przez co katechecie niemałą przysługę oddać może.

S.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nowy zamach na katolicyzm i polskość

Dwa zarzuty, stawiane przez niemieckich katolików protestanckim Prusom, dziwnie zawsze denerwowały rząd i szeregi ewangelickie. Pierwszy zarzut to ten, że rząd pruski, nie licząc się nigdzie i z niczem, faworyzuje i uwzględnia zawsze tylko protestantów kosztem katolików, tworzących przecież wcale pokaźną część ludności Niemiec; drugi, że rząd całą swoją polityką dąży do sprotestantyzowania państwa. Wskazywano nie bez słuszności na to, że nie tylko w stronach protestanckich kraju, ale i w prowincyach, gdzie katolicyzm przeważa, wszystkie wyższe i ważniejsze urzędy złożono prawie wyłącznie w ręce protestantów; że katolicką prowincyę poznańską obsadził rząd głównie kolonistami protestanckimi i otoczył gminy katolickie ciasnym pierścieniem innowierczych osad; że protestanckim Mazurom i Litwinom, których przecież z natury rzeczy powinien uważać za wrogów państwa, pozostawił wolność języka i t. d.

Na wszystkie te zarzuty prasa protestancka, nie mogąc odpowiedzieć inaczej, odpowiadała z reguły wymyślaniem i wymijąco, co najlepiej słuszność zarzutów stwierdzało. W ostatnich tygodniach zaszedł jednak fakt, który wykazał co najmniej prawdziwość poglądu, że protestantyzm dąży istotnie do sprotestan-

tyzowania katolickich części państwa niemieckiego. Mówimy tu o założonem w czerwcu b. r. w Kempnie w W. Księstwie Poznańskiem Towarzystwie ewangelizacyjnem dla katolików-Polaków.

Jedenastego czerwca ogłosił pastor Rosenberg z Kempna następującą odezwę:

»Szanowny Panie! W ostatnich lat dziesiątkach około 50.000 Polaków-katolików w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki odwróciło się od Kościoła rzymskiego i przyłączyło do Kościoła ewangelickiego. W przeciągu ostatnich lat trzech mniej więcej 100.000 Polaków w Rosyi otrząsło się z jarzma Rzymu i utworzyło znany »kościół maryawitów«. Ten ostatni, o ile ruch da się wogóle ocenić, nie posiada jeszcze ostatecznie ustalonego wyznania wiary; jednakże trzy objawy dają się już spostrzegać: gorąca nienawiść do Rzymu, ogólne rozpowszechnianie Pisma świętego pomiędzy duchownymi i świeckimi i zniesienie celibatu. Ruchem tym kierują liczni duchowni, którzy z Kościoła rzymskiego wystąpili. I w Galicyi widać już wyraźne początki ruchu *Los von Rom*... Aby dać możność licznym do pokoju wzdychającym Polakom, do których niemało księży należy, przyłączenia się do Kościoła ewangelickiego, który jedynie potrafi dać prawdziwy pokój, zebrało się grono osób i założyło Towarzystwo ewangelizacyjne dla katolików-Polaków. Zamierzonem jest otwarcie ewangelistycznego seminaryum, rozszerzanie na wielką skalę pism i założenie na wzór francuski przytułku dla tych księży, którzy z Kościoła występują. Założyciele uważają swoje dzieło za honorowy obowiązek protestanckiego Kościoła, który nie chce poniechać żadnej próby, aby walkę dwóch wzajem na siebie rozgoryczonych narodowości, na polu duchowem zakończyć. Szanownego Pana prosi niżej podpisany, który na razie sprawami Towarzystwa kieruje, o miłosierny datek na ten cel. I najdrobniejsza ofiara będzie z wdzięcznością przyjęta...«

Do tej odezwy dołączono dokument erekcyjny następującej treści:

»Dokument erekcyjny. W imię Boga Ojca i Syna i Ducha

św. Amen. W dniu dzisiejszym niżej podpisani zebrali się po odprawieniu modlitw i założyli Towarzystwo, które nazwano Towarzystwem ewangelizacyjnem dla katolików-Polaków. Jako godło obrano słowa: Ewangelię Polakom! Siedzibą Towarzystwa jest chwilowo Kempno w Poznańskiem.

»Powody, które niżej podpisanych do założenia tego Towarzystwa pobudzily, dadzą się ująć w następujące pięć punktów:

1) Od wieków istnieje nienawiść prawie nie do wykorzenienia pomiędzy ludem niemieckim a polskim.

2) Historya i codzienna obserwacya uczą, że nienawiść tę podnieca strona słowiańska. Dzieje się to nie tylko w czasie obecnym, ale działo się na długo przed rozbiorem Polski.

3) Historya i doświadczenie uczą, że polsko-katolickie duchowieństwo zawsze na nowo nienawiść tę podniecało.

4) Ażeby doprowadzić do pokoju pomiędzy obu ludami i stale go utrzymać, jest tylko jeden środek, a mianowicie ewangelia z łaski Boga w Jezusie Chrystusie. Ta jedynie może uleczyć i połączyć to, co rzymska nienawiść rozdziera i rani.

5) Przez ewangelię przychodzi pokój nie tylko do serc, ale i pomiędzy ludy.

»Rozważywszy to, postanowili niżej podpisani rozpocząć dzieło ewangelizacyi katolików-Polaków. Mają wszelką nadzieję, że przedsięwzięty zamiar do celu doprowadzą i ufają jedynie w pomoc Pana, który oby uznał pracę swoich niegodnych sług i zlał na ich dzieło swoje błogosławieństwo.

Harhausen, superintendent. A. Rhode, pastor. Rosenberg, pastor«.

Zamachu tego na naszą wiarę lękać się nie mamy potrzeby. Co za głosem tej odezwy pójdzie, było już dawno dla Kościoła i kraju stracone. Ogół z pewnością odpowie poznańskim pastorom to, co po rozdziale Kościoła od państwa odpowiedzieli Francuzi, którzy już prawie z Kościołem zerwali: »Ze wszystkich religii będzie religia niemiecka chyba ostatnią, którąbyśmy przyjęli«.

Pewną satysfakcyę sprawia za to każdemu zakłopotanie, jakie po ogłoszeniu tej odezwy pojawiło się w obozie hakatystycznym. »Chociaż rząd, piszą fanatycznie antypolskie *Berliner*

Neueste Nachrichten (nr. 409), może ze spokojnem sumieniem zaręczyć, że z dopieroco założonem Towarzystwem niema nic wspólnego, roznamiętni ono jednak Polaków Marchii Wschodniej i ich sprzymierzeńców więcej, jak wszystkie prawa ostatnich lat, które miały stawić tamę naporowi polskiemu. Dlatego właśnie, że duchowieństwo polskie podtrzymuje w swych wiernych przekonanie, że Kościół katolicki domaga się od nich trwania przy starych zwyczajach i narodowej niezależności, dlatego właśnie katolicy-Polacy stoją z taką miłością i z takim entuzyazmem przy swojej wierze. A ponieważ odezwa bynajmniej z tem się nie kryje, że założyciele Towarzystwa żywią nadzieję, że protestantyzując katolickich księży i ludzi świeckich, nakłonią ich do zaniechania dalszej walki przeciwko niemczyźnie, ujrzą w tem Towarzystwie katolicy-Polacy zamach na swoje religijne i narodowe świętości. To z pewnością zgotuje nowe i bardzo wielkie trudności rządowi, który pragnąc zaznaczyć swoją bezstronność, chciałby osiedlić licznych katolików niemieckich w Marchiach Wschodnich. Nowe Towarzystwo nie będzie przytem wcale mogło pochwalić się wydatniejszymi rezultatami. W każdym razie łatwiej jest zgermanizować tylko polskiego katolika, jak go równocześnie sprotestantyzować«.

Podobnie wyraża się *Kölnische Zeitung, Post, Kreuzzeitung* i inne. Te wynurzenia są nie tylko dowodem, że i protestanci niewiele po nowem Towarzystwie oczekują, ale zarazem i przyznaniem się, przynajmniej ze strony szerokich sfer niemieckich, że germanizacya to na prawdę protestantyzacya.

Z walki przeciwko niemoralności

Rozlewająca się coraz szerszem korytem fala niemoralności, wcielająca się w sztukę i literaturę, gangrenująca życie, kupcząca żywym towarem, wywołuje coraz to większe obawy w szeregach ludzi, patrzących się poważnie na świat i budzi chęć reakcyi.

Ruch taki zarysowuje się wyraźnie w Niemczech, gdzie jest on chyba najwięcej potrzebnym i najbardziej uzasadnionym. Te same Niemcy, które przed dziewięciu laty odrzuciły z oburzeniem tak zwaną *lex Heinze*, jako zagrażającą literaturze

i sztuce, szukają dzisiaj usilnie środka, którymby rosnącemu zepsuciu skutecznie zapobiedz mogły.

Kaznodzieja nadworny, Stöcker, powiedział kiedyś, że Berlin jest najbardziej zepsutem miastem świata; ten zarzut rozciągnęła *Deutsche Tageszeitung* (nr. 346) na całe Niemcy, twierdząc, że zagranica zupełnie słusznie przyznaje Niemcom pierwszeństwo na polu pornograficznej literatury i ślizkiej sztuki: »Przedtem, pisze, wprowadzano tylko do Niemiec podobne plugastwa i świństwa, dzisiaj je z Niemiec wywożą a niemieckie fabryki brudu przewyższyły już swoje pierwowzory w Paryżu i Peszcie... Chcąc się tego brudu pozbyć, trzeba się wziąć do niego z żelaznemi miotłami, widłami od gnoju i rozpalonemi obcęgami, a gdyby się okazało, że i to jeszcze nie wystarcza, ufamy, że naród niemiecki znajdzie inne środki, nowe i skuteczne. Nie możemy pozwolić, aby zagranica, gdy omawia niebezpieczeństwo moralnego zabagnienia, palcami na nas wskazywała. Państwo niemieckie i naród niemiecki będą i muszą mieć na tyle siły, aby te tanie i lubieżne, zgniłe i śmierdzące twory brudnej spekulacyi zdeptać i zniszczyć«.

To ostre, graniczące już z trywialnością wyrażenia, ale one są zrozumiałe. Nie tylko Hardena *Zukunft*, którąby można słusznie o przesadę podejrzywać, lecz ta sama *Deutsche Tageszeitnng* twierdzi, że występki przeciwko naturze szerzą się w społeczeństwie niemieckiem w sposób wprost zatrważający a opanowały więcej klasy wyższe, jak niższe; *Allgemeine evangelisch-lutherische Kirchenzeitung* (nr. 30) zarzuca rządowi, że granice, w obrębie których moralność uważa się za zagrożoną, są w ustawodawstwie niemieckiem bardzo szerokie: »Można pisać najgorsze rzeczy, byle tylko uniknąć brzydkich słów«.

»Nie możemy się już dzisiaj, narzeka liberalna *Münchener Allgemeine Zeitung*, ratować przed brudem. Aż straszno pomyśleć, jak głęboko i jak prędko obniżył się w ostatnich latach poziom publicznej moralności. Przez książki i obrazki szerzy się pewien rodzaj duchowego syfilisu, który grozą przejmuje; brud wzbiera wyżej i wyżej, zakaża otoczenie; żaden stan, żaden wiek nie jest nienaruszonym. Polityczne niesnaski powinny wobec tej dżumy ustąpić na drugi plan«.

Te czarne poglądy nie są bynajmniej przesadzone. Przeszło sześćdziesiąt firm niemieckich zalewa targi zbytu swoimi pornograficznymi wyrobami; cały milion marek wydaje się w Niemczech co roku na reklamę tego brudu; niemieckie pornograficzne firmy pootwierały swe filie w Paryżu, Peszcie, Genui, Madrycie, Norwegii i t. d.; na międzynarodowych kongresach w Paryżu i Kolonii, zwołanych w celu zwalczania literatury pornograficznej, skarżyli się uczestnicy, że głównie niemieckie domy handlowe zasypują podobnymi tworami rynki zagraniczne. W ostatnich dopiero czasach skonfiskowano przecież pewnemu handlarzowi w średniowielkiem mieście południowych Niemiec pięćset tysięcy niemożliwie brudnych fotografii. Powszechnie jest też znanem, że w zimowych miesiącach odbywały się w Berlinie w pewnym teatrze przedstawienia, na których aktorzy i aktorki występowali zupełnie bez ubrania a na te przedstawienia uczęszczali nawet wysocy urzędnicy policyjni.

Dzisiaj więc te same gazety protestanckie, które tak pięknie pisały o wolności sztuki i tak namiętnie zwalczały *lex Heinze*, domagają się na gwałt od parlamentu nowych ustaw przeciwko pornografii. Na to żądanie odpowiedział na zjeździe katolików w Düsseldorfie poseł Roeren a także i gazety katolickie, że to samo nie wystarczy. Prawo nie może przewidzieć pojedynczych wypadków, ono może tylko dać wskazówki ogólne. Jak te wskazówki ogólne stosować, to zależy w wielkiej części od publiczności i od przekonań moralnych sędziego. Jeżeli publiczności brud się podoba, jeżeli ona go szuka i nic w nim zdrożnego nie widzi, to ten pogląd szerokich mas oddziaływać będzie także na sędziego, boć i on, jeżeli nie będzie miał bardzo gruntownie wyrobionych poglądów moralnych, nie usunie się z pod ogólnego wpływu. Jeżeli publiczność za to domagać się będzie stanowczo obrony zagrożonych obyczajów, brud nazwie brudem a błoto błotem i nie pozwoli sobie narzucać wyzwolonej moralności nadludzi, która jest równoznaczną z rozpasaniem wszelkich namiętności, to i sędzia, jako członek społeczeństwa, sam powoli jego zapatrywaniami się przejmie i nie da się wziąć na lep pięknych słówek o czystej nagości, o zdrowej zmysłowości i t. d.,

i surowiej stosować będzie istniejące już prawa. Do tego jednak potrzeba, żebyśmy mniej mieli nadludzi a więcej ludzi pamiętających o tem, że nad nimi jest Bóg i Jego prawo; potrzeba również organizacyi i związków po wszystkich większych miastach — pojedynczy człowiek nic tu nie poradzi a przynajmniej niewiele.

Na pochwałę poważniejszych księgarni niemieckich przyznać trzeba, że tak szeroki związek, jak *Börsenverein der deutschen Buchhändler* w Lipsku, wziął sobie bardzo do serca to fatalne zjawisko i wszelkiemi siłami dąży do oczyszczenia nakładowych firm księgarskich z tej plamy. W swoim organie wywodzi on także, że w stosowaniu środków przeciwko pornografii łatwo iść za daleko i tego nie będzie można uniknąć, ale »naszem zdaniem lepiej być w tej sprawie za ostrym i narazić się na gniew pewnych pisarzy i pewnych artystów, jak zbytnią powolnością utwierdzać naród w jego zwyrodniałych instynktach«.

Poważnym krokiem naprzód w sprawie zwalczania zepsucia był międzynarodowy kongres, jaki się odbył dwudziestego pierwszego i drugiego maja b. r. w Paryżu. Stu delegatów przedstawiało osiemdziesiąt dwa francuskich i zagranicznych stowarzyszeń. Omawiano na nim przedewszystkiem zmianę lub raczej organizacyę międzynarodowago ustawodawstwa przeciwko pornografii i potrzebę surowego stosowania istniejących już praw. Zwrócono uwagę na to, że nie wystarcza tylko karać rozszerzanie dzieł niemoralnych, trzeba również nałożyć surowe kary na ich wytwarzanie a sędziom dać władzę, by mogli także uniemożliwić handel prowadzony za granicami państwa. Zażądano więc od międzynarodowego ustawodawstwa, aby ono sądownie ścigało wytwarzanie i przechowywanie w celach sprzedaży pism, obrazów i wogóle przedmiotów obrażających dobre obyczaje, jak również ich reklamowanie i sprzedaż samą.

Postanowiono wreszcie dążyć do tego, aby wszystkie państwa rozszerzyły władzę sędziego w ten sposób, by mógł on sądownie karać reklamowanie i sprzedawanie obrażających moralność pism, obrazów i przedmiotów, choćby winowajca dopuścił się tej zbrodni za granicą; by państwa udzielaniem sobie infor-

macyi, dokumentów, ostrzeżeń i t. d., ułatwiały ściganie winnych; by wreszcie zmieniono prawa o wzajemnem wydawaniu winnych, tak, żeby winowajcę wydać można rządowi tego państwa, w którym stał się występku winnym.

Rezolucye te przyjęto jednogłośnie i życzyćby sobie tylko należało, aby i państwa do nich się zastosowały i w życie je wprowadziły. I o naszych polskich miastach, naszych księgarniach i przedewszystkiem naszych czytelniach kolejowych dużoby powiedzieć można.

Z ruchu *Los von Rom* w Austryi

Znamienny ze wszechmiar artykuł pod tytułem Na Morawy zamieścił pastor Kornrumpf w numerze 32 pisma *Evangelisch-kirchlicher Anzeiger;* znamienny z tego względu, że jaśniej jak inni i szczerzej przyznaje się do prawdziwego celu protestanckiej propagandy w Austryi.

»Kto nie był już z rozkoszą świadkiem wschodzącego słońca? Ciało i dusza widza kąpią się wówczas w radości i zachwycie, bo wschód słońca przynosi światło ziemi, niebo jaśnieje a kwiaty błyszczą; lasy i gaje i domostwa zalewa nowem światłem słońce a przenika ono i do podziemnych piwnic, i tylko tu i owdzie nieprzystępne pieczary pozostają ciemne i wyłącznie ślepi nie rozróżniają pięknego jasnego dnia. Podobne, tylko duchowne widowisko, przedstawia się dzisiaj ludzkości w ewangelickim ruchu w Austryi. Piszący te słowa przebywał różnymi czasy dłużej lub krócej w Czechach i widział tam nowe cuda Boże, pojawiające się w ruchu ewangelickim... Z początkiem tego ruchu, między r. 1897 a 98, wzeszło dla Austryi słońce. Przedtem można tam było znaleźć tylko jutrzenkę, teraz pojawiła się pełnia zwycięskiego światła nad pojedynczymi krajami Austryi; każdy zrozumiał czem jest ewangelia i Kościół ewangelicki. Ten Kościół wszedł w Austryi na porządek dzienny; przeszedł już do ataku — nie do ataku bronią krwawą, którą go niegdyś tłumiono i życie ewangelickie niszczono, ale bronią ducha i słowa. W tem leży czar wschodu słońca, że ciemność musi światłu ustąpić... Kto widział wschód słońca w Austryi w jego promienistej piękności, jak światło powoli się rozlewało i w tych jedenastu latach wyżej a wyżej się wznosiło,

ten pełen uwielbienia powiedzieć musi: ‚to nie jest ludzkie, lecz Boże dzieło'. Wolny plac czy port można elektrycznemi lampami oświecić, ale przenigdy całego kraju. To nie jest światło zapalone przez ludzi, to jest światło prawdy Bożej, które dziś nad Austryą się unosi«.

Cennem jest dla nas formalne przyznanie się, że Kościół ewangelicki w Austryi przeszedł już do ataku. Dotychczas oburzali się protestanci na ten zarzut, twierdząc, że niosą oni ewangelię tylko poszukującym jej. Że jednak mógł on przejść do ataku, to chyba tylko w Austryi możliwe. Cóżby bowiem powiedział rząd pruski a z nim i protestanci, gdyby tak księża austryaccy, a do tego jeszcze zakonni, udali się na Pomorze, do Saksonii, Szleswiku lub Brunszwiku, już nie żeby atakować protestantyzm i katolicyzm szerzyć, ale choćby ratować tylko to, co tam się znajduje? Ileż dziś doznają księża w tym względzie trudności i ileż to razy grozi im niebezpieczeństwo, że jako u p r z y k r z o n y c h c u d z o z i e m c ó w odstawi się ich do granicy!

Swoją drogą takich objawów lekceważyć nie wolno. Można wprawdzie przejść do porządku dziennego nad następującem np. twierdzeniem pastora Kornrumpfa: »Kościół ewangelicki to prawda, to wyższa moralność, to większa wolność« — fakta niemoralności, omówione przez nas w poprzedzającym ustępie, stawiają te słowa w odpowiedniem świetle, ale szczegóły przytoczone przez pastora w dalszym ciągu jego artykułu mówią, że tu chodzi o propagandę celową i na wielką skalę zakrojoną.

Odważa się przecież Kornrumpf na postawienie takiego twierdzenia: »Gdyby istniało lekarstwo, które przyjęte przed udaniem się na spoczynek, zmieniłoby w ciągu nocy katolika na protestanta, niezliczone tłumy korzystałyby z tego lekarstwa«. Jest w tem z pewnością przesada, lecz znowu takie fakta, jak, że intelligencya garnie się do protestantyzmu, że w austryackich małżeństwach mieszanych strona katolicka przyjmuje najczęściej wyznanie protestanckie, że dzieci z takich małżeństw zostają przeważnie wychowane w wyznaniu ewangelickiem, że szkoły ewangelickie szerzą się coraz więcej na Morawach i w Czechach tak, że »niema już tam dziś dziecka ewangelickiego, któreby nie otrzy-

mało ewangelickiego wychowania«, — takie szczegóły, choćby były i przesadzone, mówią jednak dość wymownie o protestanckiej sieci na ludność katolicką Austryi zarzuconej, a wiadomo, że tę sieć już i do Galicyi kierują.

Sprawa Fumagalli

Czytelnicy *Przeglądu* przypominają sobie jeszcze burzę, jaką zeszłego roku wywołała w Medyolanie sprawa księdza Rivy i pseudo-zakonnicy Fumagalli. Kierowana przez tę ostatnią ochronka miała być domem nierządu dla samej Fumagalli i dla zajętych tamże duchownych. Było to odkrycie służące do tego, by wywołać znowu burzę antyklerykalną i dać ludziom, którzy sami najszczęśliwszymi w błocie się czują, okazyę do rzucania piorunów i oburzania się na niemoralność kleru.

Sprawa ta toczyła się obecnie przed sądem, lecz zakończyła się nie tak, jak się tego spodziewano. Stwierdzono sądownie, że Fumagalli nie była zakonnicą, że nie można jej bynajmniej zarzucić czynów niemoralnych ani o to jej zakładu oskarżyć, udowodniono jej tylko zaniedbanie nadzoru.

W i ę k s z a liczba niemoralnych księży, którzy w zakładzie orgie wyprawiać mieli, stopniała do dwóch. Jednego uwolniono zupełnie, drugiego skazano na szesnaście lat więzienia, gdy nagle nastąpił i co do tego ostatniego w procesie niespodziewany zwrot. Główny świadek, nieletnia dziewczynka, Brambilla, przyznała się teraz, gdy jej ojciec leżał złożony ciężką chorobą, że świadczyła przeciwko księdzu Rivie fałszywie, a skłoniła ją do tego jakaś kobieta.

Rzecz na nowo więc roztrząsaną będzie i zdaje się, że, jak pisał medyolański liberalny *Corriere della sera,* kompromitacya klerykałów przemieni się w kompromitacyę antyklerykałów. Swoją drogą i nadal sprawa Fumagalli i ks. Rivy służyć będzie za dowód moralnego zwyrodnienia duchowieństwa.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z ruchu emigracyjnego.

Szwedzi wobec polskich robotników.

Doszło do naszej wiadomości, że stowarzyszenie misyjne protestanckie zamierza zarzucić sieci na dusze polskich robotników sezonowych w Szwecyi. W. O. Bernard Stolberg, który, jak wiadomo, otacza opieką duchowną naszych robotników w Szwecyi, zapytany w tej sprawie, następującą przysłał nam odpowiedź w dniu 5 sierpnia b. r.: »... W Szwecyi istnieje protestanckie »Szwedzkie stowarzyszenie misyjne«. Postanowiło ono rozwinąć wśród naszych polskich robotników swoją działalność misyjną, o czem dowiedzieliśmy się z tutejszych dzienników. Wycinki z gazet, donoszące o tem, wraz z kilku słowami od siebie posłałem br. Bennet'owi z Örtofta i innym członkom »Związku rolnych chlebodawców« w Skänach (południowej Szwecyi). Skutek był ten, że »związek rolnych chlebodawców« ze Skäne wysłał urzędowe pismo do »szwedzkiego stowarzyszenia misyjnego«, i tegoż kopię mnie przysłał, którą w dosłownem tłumaczeniu ojcu przysyłam; słowa podkreślone w tej kopii, są również podkreślone w szwedzkim oryginale.

Malmö 22 lipca 1908 r.

Do szwedzkiego stowarzyszenia misyjnego!

Z waszego ogłoszenia w Svenska Dagbladet z d. 4 b. m. jest widocznem, żeście postanowili rozwinąć działalność misyjną między galicyjskimi robotnikami w Szonach (Skäne). Wobec tego chcemy zwrócić waszą uwagę, że ci ludzie są Chrześcijanami, chociaż należą do innego niż my Kościoła, i że oni o wiele bardziej są religijnymi, niż nasi szwedzcy robotnicy. Okazują zaś to tem, że gdy są znagleni tutaj pracować, jako pierwszy warunek stawiają, aby im podczas pobytu w Szwecyi, z jednej strony dano sposobność na odwiedziny ich kapłanów, z drugiej na branie udziału w nabożeństwie Kościoła katolickiego, gdzie się taki w niebardzo wielkiej odległości znajduje. Gdzie taki kościół istnieje, rzadko opuszczają niedzielne nabożeństwo, a wielu z nich, pomimo, że mają do kościoła katolickiego do 30 kilometrów, jednak odwiedzają go, aby być na nabożeństwie.

Przytem znaleźliśmy zakład, który tym robotnikom, ile razy jest to możebnem, przysyła ich własnego kapłana. Prócz tego otrzymują ci robotnicy dla zbudowania religijne pisma ze swej ojczyzny.

Widzicie więc, że Wasze wkraczanie w tę sprawę jest zbyteczne,

a prócz tego łatwo przewidzieć, że nie miałoby żadnego skutku, ponieważ ci robotnicy są ulegli z największą czcią swemu Kościołowi.

Pozwalamy więc sobie założyć stanowczy protest przeciw zamierzonej waszej działalności misyjnej między galicyjskimi robotnikami w Szonach (Skäne) i wszystkim naszym członkom Związku, u których znajdują się galicyjscy robotnicy, zakażemy, aby pozwalali na wasze wkraczanie w tym względzie.

Dla waszej działalności macie bardzo godne zastanowienia i szerokie pole między waszymi własnymi ziomkami, bluźniącymi Bogu szwedzkimi robotnikami, szczególnie między tak zwanymi młodo-socyalistami.

Gdybyście ich przywiedli do chrześcijańskiej wiary i chrześcijańskich obyczajów, zdobylibyście dla siebie nieprzemijającą cześć«.

(Podpis).

Pismo ziemskich obywateli południowej Szwecyi, protestantów, świadczy nader wymownie o ich szlachetnem usposobieniu względem polskich, katolickich robotników, i komentarza nie potrzebuje. To tylko dodamy z naszej strony, że nazywają ich Galicyanami, ponieważ znaczna większość pochodzi z Galicyi; a chociaż są w Szwecyi także robotnicy z Królestwa Polskiego i Prus Zachodnich, chlebodawcy nie robią między nimi różnicy, otaczając ich równą opieką.

Podczas dwukrotnej dłuższej misyi w Szwecyi, dla tych właśnie robotników polskich przekonałem się, że panowie szwedzcy nie tylko nie przeszkadzają misyonarzowi katolickiemu w urządzaniu nabożeństw ale i owszem ułatwiają mu czynności duszpasterskie, podejmując go bezinteresownie u siebie, czasem zmieniając jakiś pokój w prowizoryczną kaplicę, a niejednokrotnie czynią to z taką wykwintną delikatnością, jakiej nie mógłby się spodziewać kapłan katolicki od osób innej wiary.

Powyższy list do szwedzkiego stowarzyszenia misyonarzy ma bardzo aktualne znaczenie, bo jak spodziewamy się, tamę położy zamierzonej akcyi protestanckiej przez »szwedzkie stowarzyszenie misyjne«. Pomimo tego, jako nie ogłoszony w szwedzkich dziennikach, nie przeszkodzi zakusom misyonarzy i misyonarek, którzy na własną rękę już od lat kilku rozwijają akcyę misyonarską luterską wśród polskich robotników w Szwecyi. Wprawdzie dzięki silnej wierze naszego ludu, o ile mogłem przekonać się, nie zdobyli oni dla siebie ani jednego prozelity, i owszem lud nasz dowiedziawszy się, że bro-

szurki »pobożne« rozdawane mu bezpłatnie przez panie luterskie, są zakazane przez władze Kościoła katolickiego — niezwłocznie palił takowe: lecz czy zawsze usłyszy zawczasu w danym wypadku przestrogę kapłana? Wątpliwość, która sama się nasuwa, niech będzie dla nas upomnieniem, abyśmy każdy w miarę możności przestrzegał i pouczał wychodźców naszych szukających na obczyźnie zarobku, czy to udających się do Szwecyi, czy do Danii, a zwłaszcza do Saksonii, Prus lub innych stron Niemiec, a także Ameryki, że należy się strzedz uwodzicieli, czyhających na wyrwanie z ich serc św. wiary katolickiej zarówno słowem, jak pismami peryodycznemi i broszurami. Nie wszędzie bowiem znajdą się tak szlachetni chlebodawcy, jak panowie należący do związku ziemian południowej Szwecyi, nie wszędzie kapłan misyonarz jest w stanie zawczasu zapobiedz złemu, i nie zawsze może dotrzeć do wszystkich miejscowości, gdzie się robotnicy polscy znajdują.

Ks. M. Czermiński.

Z archiwów.

Przyczynek do kolęd polskich XVI w.

W *Andreae Tricesii equitis poloni secretarii regii... Sylvaruni liber tertius... Cracoviae ex officina Mathiae Wirzbięta Typographi regii* w egzemplarzu biblioteki zakładu narodowego im. Ossolińskich sygn: 17.469 na stronach A_2^v i A_3 na marginesie znajduje się ręką u schyłku XVI w. pisana kolęda. Pod względem treści nie ma ona jeszcze charakteru specyficznie polskiego, lecz ogólno-chrześcijański; pod tym zatem względem nie wyróżnia się z pośród kolęd naszych XVI w. — posiada jednak, w przeciwstawieniu do innych współczesnych jej kolęd, piękną rytmiczną formę stroficzną, a ciekawem zwłaszcza jest użycie w niej męskich rymów.

Przytaczam ją zachowując pisownię rękopisu:

Na stronie A_2^v:

[Po]wiedzcie pasterze mili
[G]dziescie tym czasem chodzyli
[Do] Betlegem sławnego
[Sz]ukacz narodzonego

[S] panny cisteÿ iedÿnego
[Z]bawiciela spusconego
Z niebieskÿ krainÿ
[Y m]ybyśmy tam bieżeli
[Gdy]byśmy droge wiedzieli
[Pód]źcie predko powiemy wąm
[Tyl]ko chcieÿcie uwierzÿć nąm
Do betlegem pretko biezcie
Dziecie małe tam znaidziecie
Leżące płacące we złobie

Na stronie A_3:

A iakosz go tam po[znamy]
gdy żadnych znako[w nie]
mamy
W złobie lezy pow[ity]
Woł y osieł rog[....
Parą swoią nąń c[huchaią]
Dzieciotko to zagrze[waią]
Jezusa Christus[a]
ma[łego]
Przypatrzcie sie y tym str[oiom]
Abo cudzo ziemskym kr[oiom]
W podłe szaty powity
Nie dba o axamity
Złotogłowy kapicie [...]
Insze szaty wzgardzieł [...]
Ubostwo niewolstwo [...]
Nie leży w kamiennym gma[chu]
Nie chciał kosztownego da[chu]
Mierzi go dwor Herodow
Y pompa szumnych grodow
Mierzą szciany malowane
Y obicia Aftowane
Wysokie szerokie pałace.

Tekst kolędy zdefektowany z powodu obcięcia kart w oprawie; na stronie A_2^v (lewej) brak początków wierszy — na stronie A_3 (prawej) końców.

Kolęda ta zmieniała się z biegiem czasów znacznie, skoro w dzisiejszym stanie zatraciła zupełnie swój charakter.

Oto tekst dziś śpiewanej kolędy:

Powiedzcie pasterze mili,
Gdzieście po ten czas chodzili?
Do Betleem sławnego
Witać narodzonego
Z panny czystej Messyasza
Skąd pociecha rośnie nasza
Ubogich pastuszków na ziemi
Gdy Boga na oko widzimy.

I mybyśmy tam bieżeli,
Gdybyśmy drogę wiedzieli
Idźcie pokażemy wam,
Tylko chciejcie wierzyć nam.
Do Betleem prosto bieżcie
Ale czyste serca nieście,
Bo ten Pan czysty sam szanuje
Takowych sług nowych przyjmuje.

A po czemże to poznamy
Gdy żadnych znaków nie mamy?
W szopie leży powity,
Wół z osłem pracowity
Parą swoją nań chuchają
Dzieciąteczko zagrzewają
Jezusa Chrystusa małego
Poznali być Stwórcę swojego.

A cóż mu podarujemy
Panięciu, gdy go znajdziemy?
Ja barana białego
A ty Kuba czarnego
Z chęcią Jemu darujemy
O łaskę prosić będziemy —
Nędznicy, grzesznicy na ziemi,
My, którzy zbawienia pragniemy.

I Matce potrzeba co dać,
Że nam da Syna oglądać;
Weź ty masła garnuszek
Ja wezmę koszyk gruszek.
Panience tej darujemy
Z radością powinszujemy
Miłego Bożego potomka
I duszy niewinnej małżonka.

Znać nie chcą puścić nikogo
I starzec patrzy tak srogo
Strzegąc matki, dzieciątka.
Co poczniem niebożątka?
Bo to tam coś nie podłego
Zeszło z nieba wysokiego
Na ten świat dla ludzi mizernych
Leżących w występkach niezmiernych.

Patrz Józefie, co czynimy
Puść nas tam, gdzie cię prosimy:
Do tej stajni bydlęcej,
Nie oddalaj nas więcej.
Niech to dziecię oglądamy,
Bo od braci tę wieść mamy,
Że się król narodził niebieski.
Głos świadczy pod niebem anielski.

Stary Józef odpowiada:
Do szopy przystępu nie da;
Są tam teraz królowie
Ode wschodu mędrcowie.
Dziecięciu dary dawają
Matkę jego pozdrawiają,
Z niziuchnym, miluchnym ukłonem
W stajence przed żłobem nie tronem.

I nam też jego potrzeba,
Gdyż przyszedł dla wszystkich z nieba
Pójdźcież już niebożęta
Klęczą przed nim bydlęta,
Panu społem chwałę dajcie
Imię Jego wyznawajcie
Ze trzema królami na ziemi
Żebyście mogli być zbawieni.

Widzimy zatem, że z biegiem czasu kolęda znacznie urosła (z 5 zwrotkowej, na 9 zwrotkową) i przekształciła się. Z ogólno-chrześcijańskiej stała się specyficznie polską. Z pięciu strof rękopisu z XVI w. pozostały 3 zaledwie i to zmienione. Cóż się stało ze zwrotkami 4 i 5? Otóż, jakeśmy już powiedzieli, kolęda w rękopisie Sylv. miała charakter ogólno-chrześcijański. Z czasem przyrosły do niej nowe strofki o charakterze rodzimym. Później raziły snać te dwie zwrotki 4 i 5 rkp. Sylv., jako mające najbardziej obcy charakter, obok rdzennie polskich i dlatego też, aby tego rdzennie polskiego charakteru nie kaziły, opuszczono je. *Tadeusz Marceli Dobrowolski.*

Z naszych wydawnictw.

Świat Słowiański, miesięcznik pod redakcyą d-ra Feliksa Koneczngo, Kraków.

W chwili, kiedy pod wrażeniem konferencyi praskiej, wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego zainteresowały się żywo ruchem neosłowiańskim, nie od rzeczy będzie poświęcić słów kilka pismu, które od lat już czterech sieje na naszej roli znajomość słowiańszczyzny i służy idei wzajemności i solidarności słowiańskich ludów.

Nieliczne grono krakowskich profesorów, uczonych i publicystów, tworzące od r. 1901 »Klub Słowiański«, postanowiło rzucić w szersze warstwy społeczeństwa pielęgnowaną przez się ideę słowiańską; i oto w tym celu powstaje r. 1905 nowy miesięcznik, który od razu zajmuje w polskiej publicystyce poważne miejsce, i z każdym dniem zdobywa sobie coraz większy wpływ na opinię publiczną w kraju i zagranicą.

Przedewszystkiem *Świat Słowiański* przysłużył się rzetelnie naszemu społeczeństwu przez szerzenie słowianoznawstwa w najszerszem tego słowa znaczeniu. Pyszne sylwetki literackie zaznajamiały nas z duchowym dorobkiem pobratymczych narodów, przegląd prasy słowiańskiej odsłaniał przed nami nurtujące w poszczególnych ziemiach słowiańskich prądy myśli, bogata kronika roztacza przed polskim czytelnikiem cały obraz życia, sukcesów, czy też walk i cierpień pojedyńczych narodowości słowiańskich. Te dwie ostatnie stałe rubryki *Świata Słowiańskiego* najsumienniej spełniały swe zadanie. Kto chciał śledzić prasę lub kronikę wypadków w krajach słowiańskich, ten w *Świecie Słowiańskim* znalazł tyle wiadomości i tak pełnych i tak sumiennych, ile i jakich nie dostarczyłby mu cały tuzin innych gazet. A z jakiem mistrzowstwem kreślono te przeglądy i kroniki! Krótkość i jędrność, ciętość bez obrażania kogokolwiek, humor złoty i animusz rycerski tryska obficie z każdej kolumny druku.

Klub słowiański zamierzał traktować sprawy słowiańskie bardziej po akademicku, bez wdawania się w bieżącą politykę; miał na celu przedewszystkiem zbliżenie Słowian przez wzajemne zapoznawanie się. *Świat Słowiański* ten sam wytykał sobie zamiar. W rzeczywistości trzeba było wyjść z ramek kwestyi czysto kulturalnych. Bo i jakże tu pominąć zupełnie politykę, przy pracy nad zbliżeniem Słowian, kiedy nie można się obejść bez ciągłego podkreślania tego, co ich wzajemnie łączy, nie tylko w filologii, ale i w polityce, i bez zwalczania

tych przeszkód, jakie między jednymi a drugimi ludami słowiańskimi taż polityka stworzyła? I. *Świat Słowiański* musiał w wielu kwestyach politycznych zająć wyraźne stanowisko i poglądy swe propagować w społeczeństwie. Na chlubę *Świata Słowiańskiego* to zapisać należy, że w najważniejszych sprawach od razu stanowisko obrał takie, iż z niego zejść przez kilka lat nie potrzebował i zapewne zmuszonym do tego nie będzie nigdy.

Najpierw musiał jasno wypowiedzieć swoje zdanie co do stosunku Polaków do Rosyi i w tej kwestyi od razu z pełną świadomością stanął na gruncie zgody obydwóch narodów, z uznaniem ze strony polskiej, państwowości rosyjskiej w zaborze carów. Artykuły na ten temat zajmują naczelne miejsce. *Świat Słowiański* jest tego przekonania, że tym sposobem wskrzesza i ożywia ideę dobrowolnej unii obydwóch narodów pod jednem berłem, ideę, która przyświecała wielkim mężom stanu już w XVI stuleciu (*Świat Słowiański* roczn. I, t. II, str. 259 i nast.). Względem Rusinów stał *Świat Słowiański* na stanowisku ścisłej sprawiedliwości, nawołując do dania im wszystkiego, co im jest rzeczywiście potrzebnem dla ich samodzielnego narodowego i kulturalnego rozwoju. Poza tem *Świat Słowiański* był stałym zwolennikiem sojuszu jaknajściślejszego Austryi i Rosyi, bo tylko w tym sojuszu wszystkie narodowości słowiańskie, bez popełnienia nielojalności względem państw, do których należą, będą mogły zgodnie pracować dla osiągnięcia jednego celu, zbudowania silnej, wolnej, nie obawiającej się germańskiego zalewu Słowiańszczyzny.

Nie wszystkie te idee i nie dla wszystkich były zrozumiałe. Nieraz można się było spotkać w prasie naszej z przekąsem lub pobłażliwym uśmiechem, przesłanym pod adresem »krakowskich idealistów« i »nauczycieli«. *Światowi Słowiańskiemu* cześć za to, że się niczem nie zniechęcił i nie dał się sprowadzić z wyżłobionej przez się kolei. I doczekał się publicznego uznania swego rozumu politycznego przez cały niemal naród. Ci, dla których u g o d a była nieledwie synonimem zdrady, dziś nauczeni życiem realnem stali się czystej wody ugodowcami; ci, co obiecywali, że autonomia Polski będzie jednym z etapów do zupełnej jej odrębności i niezależności, uznali wreszcie potrzebę s i l n e j R o s y i nawet dla Polski. Czynny udział polskiej reprezentacyi w życiu politycznem Rosyi, »tydzień słowiański« w Petersburgu i »dni polskie« w Pradze dokonały zwrotu w opinii ogólnej. Boć chyba opozycyi socyalistycznej ani też *votum separatum* tych, co ten zwrot ganią dla podtrzymania tradycyi *liberum veto*, nikt

na seryo brać w rachubę nie myśli. Dziś można powiedzieć, że społeczeństwo polskie w zasadniczych rzeczach tak myśli, jak myślał i pisał od samego początku *Świat Słowiański* i jeśli społeczeństwo i jego oficyalni przedstawiciele stanęli na tem stanowisku po długiem doświadczeniu życiowem, to tem większa chwała *Światu Słowiańskiemu*, że niezależnie od tego doświadczenia dobrze się zoryentował. Widocznie i »nauczyciele« i idealiści mogą mieć sąd trafny i przydać się na coś.

Nawoływanie *Świata Słowiańskiego* do zgody z Rosyą ma i stronę wesołą. Oto rząd rosyjski odebrał mu debit w Rosyi, widocznie za to, że szczery przyjaciel Rosyi i narodu rosyjskiego nie wahał się biczować nadużyć biurokracyi rosyjskiej. Tam przywykli tego tylko uważać za przyjaciela Rosyi, kto pełnemi garściami rzuca kadzidło na ołtarz biurokracyi. Zwłaszcza biurokracya prowincyonalna nie cierpi propagandy zgody Polaków z Rosyą, albowiem jutrzenka takiej zgody — to zachód słońca dla rozmaitych stanów wyjątkowych i złączonych z nimi przywilejów czynownictwa. *Świat Słowiański* przyjął ten ostracyzm, jaki go spotkał, ze zwykłym sobie humorem: na okładce swojej kolorowemi literami wypisał: W Rosyi zabronione! Szczęśliwy pomysł. Za sto lat historycy rosyjscy, czytając te słowa, będą głowy łamali nad tem, co spowodowało taką niełaskę rządu, względem szczerego przyjaciela Rosyi.

Tymczasem »*Świat Słowiański* pójdzie dalej torami, które sam sobie żłobił od samego początku«. Życząc mu jaknajszczerzej powodzenia w dalszej pielgrzymce, ośmielam się przedłożyć jego uwadze parę drobnych wątpliwości moich. Może te uwagi będą nie na miejscu, może nie będą mogły być uwzględnione, mam nadzieję jednak, że będą przynajmniej po przyjacielsku wysłuchane.

Pierwsza uwaga dotyczy stosunku *Świata Słowiańskiego* do Rusinów. Przez lat trzy korzystał *Świat Słowiański* z każdej sposobności, by okazać swą życzliwość względem wszelkich usiłowań Rusinów w celu podniesienia narodowej kultury. Traktował ich, jako narodowość odrębną od Wielko-Rosyan, choć nie oszczędza hajdamackich wybryków prowodyrów ukrainofilstwa. W ostatnich czasach, mianowicie po wystąpieniu na widownię odrębnego przedstawicielstwa t. zw. starorusinów, zmienił się nieco i stosunek *Świata Słowiańskiego* do kwestyi ruskiej. Zaczęto poważniej traktować zbliżenie się do partyi moskalofilskiej. Otóż ten zwrot w stronę starorusinów — i nie powiemy niechęć — ale pewien chłód względem narodowców ukraińskich, nie wydają się

nam rzeczą ani konieczną, ani dość uzasadnioną. Nie ulega wątpliwości, że wyciągać do kogoś rękę przez lata całe, gdy ten ktoś plecy tylko pokazuje, to dosyć żeby się doń zniechęcić; *Świat Słowiański* wszakże w innych razach nie cofnął się z raz obranej drogi pod wpływem zniechęcenia, i tutaj cofać się nie był powinien. Zapewne, że teraźniejszym reprezentantom moskalofilstwa nie można zarzucać ani rublarstwa, ani płaszczenia się przed czynownictwem rosyjskiem; stoją oni moralnie niezrównanie wyżej od swoich poprzedników. Mają oni nadto więcej taktu i więcej ogłady od ogółu menerów ukrainofilskich. Jednak nie można zaprzeczyć, że na gruncie galicyjskim moskalofilstwo jest tworem sztucznym i za wyraz świadomości narodu ruskiego uważanem być nie może. Gdyby w Galicyi byli obok Rusinów i Rosyanie, wtedy możnaby na seryo paktować z pp. Markowymi i Glebowickimi przynajmniej o kwestyi rosyjskiej; lecz *Świat Słowiański* aż nadto dobrze wie, że w Galicyi obok Polaków mieszka tylko jeden, j e d n o l i t y naród rusiński, który się nie czuje nigdzie »moskalem«, nawet tam, gdzie wybierał Markowa i Glebowickiego. Oni zyskali sobie sympatye jego chyba nie swą »wszechrosyjską« ideologią, ale swą opozycyą do ukraińskiego hajdamactwa, które w wielu miejscach nawet ludowi stało się wstrętnem. Niech się prowodyrzy ukraiństwa pozbędą swego radykalizmu, wtedy i lud »staroruski« do nich się przyłączy, nie dbając o »jedność« wszechrosyjską, która go zarówno mało obchodzi, jak i jedność i odrębność Ukrainy. Jeszcze powiemy więcej. Dzień, w którym posłowie »staroruscy« zdołają otworzyć w Galicyi pierwszą szkołę ludową »rosyjską«, będzie chyba ostatnim dniem ich wpływu i znaczenia. Przecież wiadomo, że ci sami posłowie, którzy w parlamencie przemawiali po rosyjsku, do swoich wyborców muszą mówić po »ukraińsku«, zlekka tylko podlewając swą mowę »rosyjskim« sosem. I księża staroruscy nie mniej używają odrębnego rusińskiego języka w stosunkach swych z parafianami, jak ich konfratrzy narodowcy — ukraińcy. Słowem, program »staroruski« o ile mieści »jedność« wszechrosyjską, jest programem pewnego odłamu inteligencyi ruskiej, nie zaś n a r o d u ruskiego i dlatego nie warto zbyt żywo brać go w całości do serca, dlatego tylko, że z moskalofilami można prędzej się zgadać. Trudno się bardzo spuszczać i na »konserwatyzm« starorusinów, skoro nas dochodzą wiadomości o organizowanej przez nich właśnie pielgrzymce do Poczajowa i Kijowa, gdzie przecież z ust takiego Witaliusza nie usłyszy lud nic innego, oprócz słów nienawiści i skrajnej demagogii. Radzilibyśmy więc

Światu Słowiańskiemu przy stałej życzliwości względem Rusinów wogóle zachować nieco więcej rezerwy wobec starorusinów i więcej jeszcze cierpliwości względem narodowców. A może przecież i oni w swem hajdamactwie dojdą do absurdu i zatrąbią na odwrót, może i oni wydadzą z pośród siebie grono ludzi, z którymi będzie można się porozumieć.

Druga uwaga dotyczy kwestyi unickiej. Jakkolwiek *Świat Słowiański* wyraził się kiedyś, że nam wszystko jedno w polityce, czy Rusini będą unitami czy odpadną od Kościoła, wiem jednak doskonale, że w rzeczy samej nie jest mu wszystko jedno. *Świat Słowiański* zawsze interesował się kwestyami religijnemi, chętnie dla nich swe łamy otwierał i z katolickiego punktu widzenia je omawiał. Tem bardziej niepożądaną jest rzeczą jakakolwiek, choćby najlżejsza niechęć, czy uprzedzenie do t. zw. Unii. I tak naprzykład, niejednokrotnie spotykaliśmy na jego łamach wzmianki o jakichś »przywilejach« grecko-katol. obrządku w sprawie przechodzenia na obrządek łaciński. Otóż, jeśli zakaz takiego przechodzenia (często nawet krętemi drogami omijany) jest przywilejem, to przecież takiż sam przywilej posiada i obrządek łaciński, z którego również uciekać nie wolno. Często była również mowa, że czas zaprzestać nam »opiekować« się Unią i t. p. Nie wiem, jaką »opiekę« *Świat Słowiański* miewał na myśli; ale jeślibyśmy w rzeczy samej, mieli sposobność okazać jeszcze jakąś opiekę grecko-katolickiemu obrządkowi, to sądzę, że do niej bylibyśmy obowiązani i jako katolicy i jako Polacy. Przy upadku Unii, nie łaciński obrządek święciłby tryumfy. Zyskalibyśmy może jednostki, ale co się tyczy całego narodu ruskiego, to zerwałby się ostatni węzeł łączący ich z nami, i stanęlibyśmy oko w oko wobec takich przyjaciół, jakimi są rozmaici Antoniusze Wołyńscy, Witaliusze, Eulogiusze i Heliodory. To coś groźniejszego, niż nawet Petryccy.

Temi uwagami kończymy nasze sprawozdanie, życząc jeszcze raz *Światu Słowiańskiemu* powodzenia w dalszej pracy i jaknajszerszego posłuchu w społeczeństwie. *Ks. Jan Urban.*

Ze świata akcyi społecznej.

W numerze *Revue des deux mondes* z 15 lipca 1908 r. znajduje się ciekawy artykuł p. Contesson *Le travail de la femme et les institutions professionelles.* Uderza on głównie tem, że stara się dać wska

zówkę co do zużytkowania chęci czynu i ofiarności tych kobiet, które dotąd szukały w zakonie ujścia dla swych pragnień. »Ponieważ obecnie we Francyi — pisze p. Contesson — tyle kobiet nie może oddać się pracy w zgromadzeniach zakonnych, dziś rozwiązanych, i ponieważ habit stał się niejako znakiem odrzucenia z pola pracy w szpitalu i szkole, czemuż inaczej nie zużytkować zapału tylu dusz spragnionych tego ideału, który się nazywa poświęceniem? Czemuż nie obrócić tych pragnień czynu ku formie legalnej i nowoczesnej stowarzyszeń zawodowych, gdzie pole działania jest nieskończone?« W ciepłych i wymownych słowach zwraca się do kobiet niezależnych i swobodnych po miastach prowincyonalnych zwłaszcza, zachęcając je, aby się wzięły do pracy nad ugrupowaniem robotnic i zawodowych pracownic. Stowarzyszenia, syndykaty — oto cel, do którego trzeba dążyć. Ale ten cel wymaga przygotowania. Trzeba zgromadzić, rozbudzić interes, wywołać zrozumienie korzyści, jakie daje stowarzyszenie każdej jednostce. Pewien takt i roztropna zapobiegliwość w przyciągnięciu do tej idei jest konieczne. Trzeba więc na początek wybrać coś, co wzbudzi w przyszłych stowarzyszonych poczucie dotykalnej, blizkiej korzyści. Wedle stosunków miejscowych trzeba tutaj zadecydować, czy takim punktem atrakcyjnym będzie biuro umieszczeń dla szwaczek i modniarek, czy też kurs kroju, buchalteryi lub języków. Jednostki przyciągnąć umiejętnie tym sposobem do siebie, a potem zbliżyć je między sobą i zawiązać stowarzyszenie — oto skutek pożądany tej pracy, która ma na celu uzbroić kobietę do ciężkiej doli zdobywania codziennego chleba. Kobieta pracująca w domu lub w pracowni, to nie tylko zarobnica; trzeba się na nią równie patrzeć jako na członka społeczeństwa. Ona jest tą podstawową komórką społeczną, od której zawisła rodzina. Badając stosunki nowoczesne, trzeba koniecznie uwzględniać przedewszystkiem to, co stanowi o bycie rodziny, w której leży cała przyszłość narodów. Kobieta jest tu kamieniem węgielnym i dlatego patrząc na nią, musi się obok jej pracy zawodowej, pracy na chleb powszedni, uwzględniać przedewszystkiem tę, która jest lub będzie żoną i matką. Niestety! ciężkie stosunki ekonomiczne czynią to, że liczba kobiet pracujących na życie coraz się zwiększa; jedni cieszą się tem, widząc, że kobieta coraz więcej oswobadza się od opieki mężczyzny, stając się jego współtowarzyszką i współzawodniczką. Naturalną koleją rzeczy, jakby niewidzialnie popychane, kobiety wchodzą coraz chętniej na drogę zarobkowej pracy, nawet te, któreby w domu miały daleko pożyteczniejsze pole działania. W całej Europie spostrzedz

można w ciągu ostatnich 25 lat napływ kobiet do fabryk, szczególnie tam, gdzie rolnictwo upadające nie wabi wielkiemi zarobkami. Pan Contesson podaje następujące cyfry co do Francyi, wedle statystyki z r. 1901, jako zestawienie proporcyonalne różnych gałęzi pracy, rozdzielonych między mężczyzn a kobiety:

Rolnictwo	28	na 100	mężczyzn
Handel	35	» »	»
Zajęcia domowe	77	» »	»
Zawody t. zw. wolne	33	» »	»

W fabrykach i warsztatach pracuje 927.700 kobiet w przeciwstawieniu 2,350.800 mężczyznom. W pracy domowej kobiety są w większości 906.500 wobec 679.500 mężczyzn. Co do poszczególnych zajęć, to wszelkie rzemiosła, dotyczące ubrania, wykazują pięciokrotną nadwyżkę kobiet t. j. 381.000, w zawodzie tkackim kobiet jest też znaczna połowa, rolnictwo zajmuje też trzecią część kobiet w stosunku do mężczyzn. Wobec przemieniających się stosunków społecznych nowe pola pracy roztwierają się dla kobiet: poczta, telefon, telegraf, praca wychowawcza. W Ameryce są charakterystyczne pod tym względem objawy: praktykuje tam około 10.000 doktorek, tysiąc dentystek, tysiąc z górą adwokatek, dalej pokaźna liczba kobiet zajmuje się budownictwem i inżynierstwem, stenografia i buchalterya daje zarobek ogromnej liczbie, tak samo administracya i zawody urzędowe są otwarte dla kobiet; wreszcie w Japonii cała praca po fabrykach jest przeważnie spełniana przez kobiety, szczególnie tkactwo zupełnie spoczywa na barkach kobiet.

Wobec tych stosunków trzeba się zapytać: co jest uczynionem i co się robi dla obrony praw kobiety pracującej?

»Miłosierdzie dobrze zrozumiane zaczyna się od samego siebie« — mówi p. Contesson, wykazując, jak mężczyźni, jako pracodawcy głównie i wyłącznie prawie zajmują się obroną praw pracującego mężczyzny; co do robotnic, to interes dla niej najwięcej polega na współczuciu, na pięknych frazesach i deklamacyi. Tu i tam miłosierdzie stara się drogą dobroczynności ulżyć jej doli, porywy poświęcenia i ofiarności usiłują naprawić to, co jest fałszem i niesprawiedliwością w samem założeniu. Tymczasem byłoby inne narzędzie daleko więcej skuteczne do użycia: mianowicie wykształcenie pod względem prawnym, nauczenie kobiet, jak mają się posługiwać tem, co im prawo przyznaje na równi z mężczyznami.

We Francyi prawo z 1884 r. daje kobietom możność stowarzy-

szania się: wedle *Bulletin de l'Office de Travail* w r. 1907 syndykaty liczyły 93.805 kobiet; procentowo jednak w porównaniu z mężczyznami przedstawiał udział kobiet zaledwo 2·5 na 100, 8·8 na 100 i 20·9 w syndykatach mieszanych, patronatach i syndykatach robotniczych; większość kobiet należy do syndykatów, gdzie są w większości mężczyźni. Ale gdy się wie, że we Francyi pracuje zarobkowo około 7 milionów kobiet, z których ledwie 100.000 korzysta z praw syndykatu, rozumie się dlaczego pracujące kobiety tak mało znajdują obrony. To też zadanie zszeregowania kobiet pracujących w stowarzyszenia zawodowe, uświadomienie jej co do korzyści tychże, przedstawia szerokie pole do działania dla osób dobrej woli, we wszystkich klasach.

Artykuł p. Contesson, zwrócony głównie do badania stosunków we Francyi, budzi jednak i u nas interes dla tej kwestyi zszeregowania kobiet pracujących w syndykaty. Z upragnieniem też wyglądać trzeba pracy objektywnej, wychodzącej z pod pióra człowieka dobrze znającego tak prawo, jak stosunki istniejące, któraby uczyniła popularnemi następujące kwestye: jak brzmią ustawy broniące kobiety pracujące? Jakie stowarzyszenia już istnieją? Co byłoby do zrobienia? Dużo kobiet swobodnych materyalnie znalazłoby tym sposobem wskazówkę i pouczenie, gdzie szukać pola do tej pracy, jakiemi narzędziami się posługiwać w celu polepszenia doli pracujących współtowarzyszek i obronienia jej praw.

Marya Harsdorf.

Druk ukończono 3 września 1908 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

HASŁO NEOSLAWIZMU. List do Redakcyi »Przeglądu Powszechnego«. Przez *J. E. Wojciecha hr. Dzieduszyckiego* . . . . . 1*—5*

MIĘDZY SŁOWIANAMI: W CELOWCU I OSSYACHU. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 1

Z MYŚLI WIECZORNYCH. III. Jest on jeszcze bardzo oddalony... IV. Słyszy to wieczór... Przez *Elizę Orzeszkową* 15

POGRZEBY POSĄGÓW. Szkic historyczno-obyczajowy. Przez *Lucyana Rydla* 18

PROROCY I IDEAŁ MESYAŃSKI W IZRAELU. (Dok.) Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 38 223

PIERWSZA SKARGA JOBA. Uwagi i próbka przekładu. Przez *ks. Władysława Szczepańskiego T. J.* . . 58

SPÓŁCZESNA CYWILIZACYA. Przez *Elizę Orzeszkową* . 145

NASI WYCHODŹCY ZAMORSCY. Przez *d-ra Leopolda Caro* 149 352

OSTATNI DZIEŃ FLAWIUSZÓW. Z papierów pośmiertnych ks. Maryana Morawskiego T. J. 166

WIECZNOŚĆ ŚWIATA WOBEC NAUKI DZISIEJSZEJ. Przez *ks. d-ra Fr. Gabryla* 187

PO ZWYCIĘSKIEJ WOJNIE. Wielkie Dionysia. Przez *Lucyana Rydla* 211 336

KS. STANISŁAW ZAŁĘSKI T. J. * 1843 † 1908. Wspomnienie pośmiertne. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* 1*—7*

DWA ZJAZDY AKATOLICKIE I STOSUNEK ICH DO KATOLICYZMU. Przez *ks. X. T. J.* 295

PROŚBA O NIERUCHOMĄ WIELKANOC. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 306

TYP LITERACKI BROWNINGA I HAUPTMANNA. Przez *Andrzeja Tretiaka.* 320

ROCZNICE MĘCZENNIKÓW. Przez *ks. Karola Felisia T. J.* 373

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Nowe drogi. Leopold Caro. Z przedmową ks. arcybiskupa J. Teodorowicza. *(W. Gostomski)* 68

Jezuici w Polsce. Ks. Stanisław Załęski T. J. W skróceniu, 5 tomów w jednym, z dwoma mapami *(Th. Wybicki)* 72

Z niwy poetyckiej: »Połów gwiazd«. Kornel Makuszyński. »I mówi do mnie wieś«. Kazimierz Króliński. Serya druga. »Jak smutna ballada«. Adam Dobrowolski. Sceny dramatyczne. *(Adam Stodor)* 75

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II, t. XXII. *(Dr. A. Bielecki)*. 76

Państwo — Naród — Jednostka. Ks. K. J. Kantak. *(Ks. J. Kozłowski)* 85

Z historyi sztuki: F. F. de Daugnon: »Gli Italiani in Polonia dal IX secolo al XVIII«. F. Mączyński: »Ze starego Krakowa«. Dr. St. Tomkowicz: »Wawel«. Tom I. Cz. I. Ks. T. Trzciński: »Ozdoby architektoniczne w gnieźnieńskim kościółku św. Jana«. »Jeszcze o zagadkowym nagrobku katedry gnieźnieńskiej«. »Miniatury w antyfonarzu katedry gnieźnieńskiej«. Dr. E. Świeykowski: »Pamiętnik Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie (1854—1904)«. »Zarys artystycznego tkactwa i haftarstwa«. *(Leonard Lepszy)* 88

Młodzież. C. Wagner. Dzieło uwieńczone przez Akademię francuską. Wydanie II. *(Dr. Roman Jamrógiewicz)* 247

Henryk Flis. Powieść. Stanisław Antoni Mueller. *(W. Gostomski)* . 253

Przez głębinę. Marya Konopnicka (Jan Waręż). *(W. Gostomski)* . . 256

Na Synaju. Ks. Władysław Szczepański. Na podstawie podróży z r. 1906. *(Ks. dr. Jan Korzonkiewicz)* 259

Z nowszych powieści polskich. Wł. St. Reymont: »Na krawędzi«. M. Zmogas: »Barcikowscy«. M. Rodziewiczówna: »Byli i będą«. J. Orwicz: »Jan Dant za życia przeszedłem przez piekło«. W. Żmudzki: »Bór«. M Zych: »Echa leśne«. M. Kulikowska: »W promieniach«. Mimar: »W nierównej walce«. Ksawery Maryan: »Nasze dole«. A. Gruszecki: »Na wulkanie«. G. Daniłowski: »Jaskółka«. C. Jaczewski: »Hispaniola«. St. Ostrowski: »Zarzewie«. B. Biernacki: »Nawrócony«. Dzeteo: »Ludzie smutni«. Wł. Orkan: »Komornicy«. Ks. J. A. Łukaszkiewicz: »Kopalnia złota«. Tenże: »Światło w ciemnościach«. K. Piliński: »Z teki taternika«. Z. Wójcicka-Chylewska: »Listy do Pana Boga. Spowiedź grzecznej dziewczynki«. Bohowityn: »Czarnemi czcionkami«. G. Zapolska: »Wodzirej». *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* . . 390

Z piśmiennictw obcych.

Z najnowszej literatury o inkwizycyi: L'inquisition, étude historique et critique sur le pouvoir coercitif de l'Eglise. E. Vacandard. — L'inquisition, ses origines, sa procédure. Mgr. Douais. *(Ks. Józef Sawicki T. J.)* 97

Les deux Frances et leurs origines historiques. Paul Seippel.— L'Anticléricalisme. Emile Faguet. *(M. Paciorkiewicz)* 262

Str.

POLAND THE KNIGHT AMONG NATIONS by Louis E. van Norman, with an introduction by Helena Modjeska. (»Polska — rycerz narodów« przez Ludwika E. van Norman'a, ze słowem wstępnem Heleny Modrzejewskiej). *(W. J. Grzybowski)* 267

DICTIONNAIRE DE THÉOLOGIE CATHOLIQUE, commencé sous la direction de A. Vacant, continué sous celle de E. Mangenot. *(Ks. Jan Urban T. J.)* 403

MÉLANGES DE LA FACULTÉ ORIENTALE de l'Université St. Joseph — Beyrouth. I, II. *(Ks. Władysław Szczepański T. J.)* 408

Zapiski bibliograficzne.

OBOWIĄZKI SPOŁECZNE I NARODOWE. Ks. K. J. Kantak. *(Ks. J. K.)* . 114

BIBLIOTHECA ASCETICA-MYSTICA. Manuale vitae spiritualis continens L. Blosii opera spiritualia selecta. *(H.)* 114

DIE ZWEITE WAHRMUNDBROSCHÜRE. Anmerkungen und Austellungen von Dr. W. Naumann (Pilatus). *(E. M. T. J.)* 115

LEHRBUCH FÜR DEN KATH. RELIGIONSUNTERRICHT IN OBEREN KLASSEN. Dr. H. Wedewer. *(K. K.)* 115

KATHARINE FRENSHAM by B. Harraden. *(T. W.)* 116

THE MOORINGS by R. Nouchette Carey. II vol. *(T. W.)* 116

FRIEDRICH SMETANA von F. V. Krejči. *(A. Ch.)* 117

RÓD BIBERSTEINÓW. Studyum nad średniowiecznym rodem rycerskim. Leon Białkowski. *(K. K.)* 272

ABECADLNIK Z HISTORYI POLSKIEJ. Wł. L. Anczyc. Wydanie 5 powiększone. *(K. K.)* 272

KURZE GESCHICHTE DES BISTUMS HILDESHEIM UND SEINER BISCHÖFE. Von Georg Wolpers. *(S.)* 273

MALI SAMARYTANIE. Wisława. 17 opowiadań dla młodzieży z 6 illustracyami. *(Ks. W. W. T. J.)* 273

DAS HEILIGE MESSOPFER. Dogmatisch, liturgisch und aszetisch erklärt von Dr. Nikolaus Gihr. 9. u. 10. Auflage. *(E. M.)* 273

PSALLITE SAPIENTER. PSALLIERET WEISE. Erklärung der Psalmen im Geiste des betrachtenden Gebets und der Liturgie. Von Dr. Maurus Wolter O. S. B. 3 Aufl. *(E. M.)* 274

ELEMENTAR-SCHULBUCH DER HARMONIELEHRE von Dr. Phil. et Mus. Hugo Riemann. *(A. Ch.)* 274

KIRCHENMUSIKALISCHES JAHRBUCH. Begründet von Dr. Fr. X. Haberl, herausgegeben von Dr. Karl Weinmann. 21 Jahrgang. *(A. Ch.)* . 274

DOGMATYKA SZCZEGÓŁOWA. Podręcznik szkolny. Ułożył ks. dr. M. Sieniatycki, prof. Uniw. lwowsk. *(E. M. T. J.)* 411

HISTORYA ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO i rozwój ruchu narodowego polskiego w Ameryce półn. Napisał Stan. Osada. *(Bi)* 411

Z MYŚLI SPOŁECZNEJ. I. Główne zasady socyologii katolickiej. Skreślił ks. Naudet. II. Związki katolickie w Niemczech. *(B.)* 412

POD CZERWONYM SZTANDAREM. Wizerunki przyszłości socyalistycznej w duchu Bebla. Według E. Richtera. *(Ks. W. W. T. J.)* . . . 413

ŻYCIE PANA NASZEGO JEZUSA CHRYSTUSA, skreślone piórem Ewangelistów. Opracował ks. J. A. Łukaszkiewicz. *(E. M. T. J.)* . . 413

M. R. Monlaur. PROMIEŃ.—PO DZIEWIĄTEJ GODZINIE. *(Ks. W. W. T. J.)* 413

Str.

Am Morgen des Lebens. Erwägungen und Betrachtungen. Von Herbert Lucas S. J. Aus dem Englischen übertragen von K. Hofmann. *(E. M. T. J.)* 414

Das neue Leben. Der Epheserbrief des hl. Paulus für gebildete Christen dargelegt. Von Dr. Franz Keller. *(E. M. T. J.)* 414

Kirche, Kapelle und Friedhof oder die heiligen Orte und ihre Einrichtungen. Von Max Pfaff. *(S.)* 414

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła. Z wyborów belgijskich. — Wybory w Luksemburgu. — Z zamętu francuskiego. — Z powodu t. zw. strejku studentów krakowskich. — Pierwszy dom rekolekcyjny w Galicyi. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 118

Listy z Warszawy. Literatura przed- i po-rewolucyjna. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 126

Konkursy naukowe. Przez *X. T. J.* 142

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Jeszcze o modernizmie — Rozłam w demokracyi włoskiej. — Z masoneryi włoskiej. — Z obłędów protestanckich. — Z wyborów w Metzu. — Ze statystyki wyznaniowej w Wiedniu. — Protestanckie głosy o kulturkampfie. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 275

Jeszcze w sprawie kanału Dunaj-Odra-Wisła. Przez *Ak.* . . . 284

Ze statystyki misyjnej. Przez *ks. K. Konopkę T. J.* 287

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła. Nowy zamach na katolicyzm i polskość. — Z walki przeciwko niemoralności — Z ruchu *Los von Rom* w Austryi. — Sprawa Fumagalli. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 415

Z ruchu emigracyjnego. Szwedzi wobec polskich robotników. Przez *ks. M. Czermińskiego T. J.* 425

Z archiwów. Przyczynek do kolęd polskich XVI w. Przez *T. M. Dobrowolskiego* 427

Z naszych wydawnictw. *Świat Słowiański*, miesięcznik pod redakcyą d-ra F. Konecznego. Przez *ks. Jana Urbana T. J.* 431

Ze świata akcyi społecznej. Przez *Maryę Harsdorf* 435

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.